FUNDACJA

ISAAC

ASIMOV

FUNDACJA I ZIEMIA

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Trevize, Pelorat i przedstawicielka planety Gai, Bliss, poszukują legendarnej kolebki ludzkości — Ziemi. Na każdej z odwiedzanych planet spotykają inną cywilizację bądź ślady dawnych cywilizacji. Trevize pragnie przekonać się, czy wybierając Gaję jako model dalszego rozwoju ludzkości podjął słuszną decyzję. Odpowiedź znajdzie dopiero na Księżycu, gdzie rozegra się zaskakujący finał wyprawy.

- Isaac Asimov
  - 1. Początek poszukiwań
    - 1
    - 2
    - 3
    - 4
  - 2. Na Comporellon!
    - 5
    - 6
    - 7
    - 8
  - 3. Na stacji granicznej
    - 9
    - 10
    - 11
    - 12
  - 4. Na Comporellonie
    - 13
    - 14
    - 15
    - 16
  - 5. Walka o statek
    - 17
    - 18
    - 19
    - 20
    - 21
  - 6. Natura Ziemi
    - 22
    - 23
    - 24
    - 25
  - 7. Odlot z Comporellona

- 26
- 27
- 28
- 29
- 30

8. Zakazany Świat
- 31
- 32
- 33
- 34

9. Wataha
- 35
- 36
- 37
- 38
- 39
- 40

10. Roboty
- 41
- 42
- 43
- 44
- 45
- 46

11. W podziemiu
- 47
- 48
- 49
- 50

12. Na powierzchnię!
- 51
- 52
- 53
- 54
- 55

13. Z dala od Solarii
- 56
- 57
- 58
- 59

14. Martwa planeta
- 60
- 61
- 62

- 63
- 64
- 65

○ 15. Mech
- 66
- 67
- 68

○ 16. Centrum Światów
- 69
- 70
- 71
- 72
- 73

○ 17. Nowa Ziemia
- 74
- 75
- 76
- 77

○ 18. Festiwal muzyczny
- 78
- 79
- 80
- 81
- 82
- 83
- 84

○ 19. Radioaktywna?
- 85
- 86
- 87
- 88
- 89
- 90
- 91
- 92
- 93

○ 20. Pobliski świat
- 94
- 95
- 96
- 97
- 98
- 99
- 100

- 21. Koniec poszukiwań
  - 101
  - 102
  - 104

Isaac Asimov
Fundacja i Ziemia

1. Początek poszukiwań

1

— Dlaczego właściwie to zrobiłem? — spytał Golan Trevize.

Pytanie to dręczyło go od chwili, kiedy przybył na Gaję. Zdarzało się nawet, że budził się w środku nocy i stwierdzał, że w głowie pulsuje mu, niczym miarowy, monotonny odgłos bębna, wciąż to samo: „Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego to zrobiłem?"

Teraz jednak skierował je po raz pierwszy do innej osoby, do Doma, starca z Gai.

Dom zdawał sobie doskonale sprawę z napięcia, w jakim znajduje się Trevize, gdyż specyficznym dla gajan zmysłem wyczuwał stan jego umysłu. Nie zrobił jednak nic. Gai nie wolno było pod żadnym pozorem nawet tknąć myśli Trevizego, a najlepszym sposobem uniknięcia takiej pokusy było staranne ignorowanie tego, co Dom wyczuwał.

— Dlaczego co zrobiłeś, Trev? — spytał. Trudno mu było zwracać się do kogoś więcej niż jedną sylabą jego nazwiska, a zresztą nie było to ważne. Trevize powoli przyzwyczajał się do tego.

— Dlaczego podjąłem taką decyzję — odparł Trevize. — Dlaczego wybrałem dla Galaktyki przyszłość w stylu Gai.

— Postąpiłeś właściwie — rzekł Dom, patrząc mu prosto w oczy. Musiał przy tym podnieść głowę, gdyż on siedział, a Trevize stał przed nim.

— To tylko słowa — odparł z irytacją Trevize.

— Ja-my-Gaja wiemy, że postąpiłeś właściwie. Właśnie dlatego jesteś dla nas tak cenny. Posiadasz dar podejmowania słusznych decyzji na podstawie niepełnych danych i podjąłeś taką właśnie decyzję. Wybrałeś model Gai! Odrzuciłeś anarchię imperium galaktycznego opierającego się na technice Pierwszej Fundacji, a także anarchię imperium opierają tego się na mentalistyce Drugiej Fundacji. IW szedłeś do wniosku, że ani jedno, ani drugie nic przetrwałoby długo i dlatego wybrałeś model proponowany przez Gaję.

— Właśnie! — odparł Trevize. — Tak zrobiłem. Wybrałem Gaję superorganizm, planetę o wspólnym dla wszystkich umyśle i osobowości, coś tak niezwykłego, że trzeba było stworzyć dziwny zaimek „ja-my-Gaja", żeby jednostka mogła wyrazić to, czego słowami wyrazić się nie da. — Mówiąc to, przemierzał niespokojnie pokój tam i z powrotem. — I w końcu ma to doprowadzić do powstania Galaxii, super-superorganizmu, obejmującego całość Drogi Mlecznej.

Zatrzymał się, odwrócił niemal gwałtownie do Doma i powiedział:

— Podobnie jak ty, czuję, że postąpiłem słusznie. ale wy pragniecie utworzenia Galaxii i dlatego wystarczy wam, że podjąłem taką decyzję. Jednak ja wcale nie pragnę takiej przyszłości i dlatego

nie wystarczy mi zapewnienie, że postąpiłem słusznie. Chcę wiedzieć, dlaczego podjąłem taką decyzję, chcę zważyć wszystkie za i przeciw. Dopiero wtedy będę spokojny. To, że czuję, że postąpiłem słusznie, to za mało. Ale jak mogę się przekonać, że miałem rację? Co sprawia, że podejmuję właściwe decyzje?

— Ja-my-Gaja nie wiemy, jak to się dzieje, że podejmujesz słuszne decyzje. Czy to takie ważne, skoro decyzja już zapadła i jest właściwa?

— Mówisz w imieniu całej planety, prawda? Przemawia przez ciebie zbiorowa świadomość, której częścią jest każda kropla rosy, każdy kamyk, nawet płynne jądro planety, tak?

— Tak, mówię w imieniu całej planety. To samo mogłaby powiedzieć każda inna jej część, w której zbiorowa świadomość jest wystarczająco intensywna.

— I całej tej waszej zbiorowej świadomości wystarczy, że użyła mnie jako swego rodzaju czarnej skrzynki, tak? Skoro czarna skrzynka działa, to czy to ważne, co jest w jej wnętrzu? Ale mnie to nie odpowiada. Nie chcę być czarną skrzynką. Chcę wiedzieć, co jest w jej wnętrzu. Chcę wiedzieć, jak i dlaczego wybrałem Gaję i Galaxię jako przyszłość ludzkości. Inaczej nie zaznam spokoju.

— Ale dlaczego tak ci się nie podoba decyzja, którą podjąłeś? Dlaczego sam sobie nie ufasz?

Trevize zaczerpnął głęboko powietrze i powiedział wolno, cichym i stanowczym głosem:

— Dlatego, że nie chcę być częścią jakiegoś superorganizmu. Nie chcę być częścią, której można się pozbyć, kiedy tylko ten superorganizm uzna, że byłoby to z pożytkiem dla całości.

Dom popatrzył na Travizego w zamyśleniu. Czyżbyś zatem chciał zmienić swą decyzję, Trev? Wiesz, że możesz to zrobić.

— Bardzo chciałbym ją zmienić, ale nie mogę tego zrobić tylko dlatego, że mi się nie podoba. Żeby teraz coś zrobić, muszę wiedzieć, czy ta decyzja jest słuszna czy błędna. To, że czuję, że jest słuszna, absolutnie mi nie wystarcza.

— Jeśli czujesz, że jest słuszna, to jest słuszna. Przez sam kontrast z jego wewnętrznym niepokojem cichy, łagodny głos Doma jeszcze bardziej wyprowadził Trevizego z równowagi.

Po chwili, przerywając ciągłe wahanie się między tym, co czuł, a tym, czego pragnął, Trevize rzekł cicho:

— Muszę odnaleźć Ziemię.

— Dlatego, że ma ona coś wspólnego z tym, czego tak bardzo chcesz się dowiedzieć?

— Dlatego, że jest ona drugim problemem, który nie daje mi spokoju i dlatego, iż czuję, że jest między jednym i drugim jakiś związek. Czyż nie jestem czarną skrzynką? C z u j ę, że istnieje między

tymi sprawami jakiś związek. Czy to nie wystarczy, abyś uznał, że tak jest faktycznie?

— Być może — odparł Dom ze spokojem.

— Jeśli przyjmiemy za pewnik, że od tysięcy lat, może od dwudziestu tysięcy lat, ludzie interesują się Ziemią, to jak to możliwe, żebyśmy wszyscy zapomnieli o planecie, z której pochodzimy?

— Dwadzieścia tysięcy lat to okres dłuższy, niż możesz sobie wyobrazić. Jest wiele spraw dotyczących wczesnego Imperium, o których prawie nic nie wiemy, jest wiele opowieści, które prawie na pewno są zmyślone, a które mimo to stale powtarzamy, w które nawet wierzymy, ponieważ nie mamy ich czym zastąpić. A Ziemia jest znacznie starsza niż Imperium.

— Ale na pewno są jakieś zapiski. Mój przyjaciel Pelorat zbiera mity i legendy odnoszące się do Ziemi, wszystko, co może gdziekolwiek wygrzebać. To jego zawód, co więcej — to jego pasja. Te mity i legendy to wszystko, co pozostało. Nie ma żadnych zapisków z prawdziwego zdarzenia, żadnych dokumentów.

— Dokumentów, które liczyłyby sobie dwadzieścia tysięcy lat? Wszystkie rzeczy się starzeją, rozsypują się, ulegają zniszczeniu w wyniku nieodpowiedniego obchodzenia się z nimi albo wojen.

— Ale przecież powinny istnieć jakieś wzmianki o tych zapiskach, kopie, kopie kopii, materiały liczące mniej niż dwadzieścia tysięcy lat. Wszystkie zostały usunięte. Biblioteka Galaktyczna na Trantorze musiała posiadać w swoich zbiorach dokumenty dotyczące Ziemi. Powohzją się na te dokumenty znane nam prace historyczne, a mimo to w Bibliotece Galaktycznej nie ma ich. Są wzmianki o nich, ale brak jakichkolwiek cytatów.

— Nie zapominaj o tym, że kilka wieków temu Trantor został złupiony.

— Ale Biblioteka pozostała nietknięta. Uchronił ją przed zniszczeniem personel, który składał się z ludzi z Drugiej Fundacji. I to właśnie oni niedawno odkryli, że w Bibliotece nie ma już żadnych materiałów odnoszących się do Ziemi. Zostały celowo usunięte w ostatnich czasach. Dlaczego? — Trevize przerwał nerwowy spacer po pokoju i intensywnie wpatrywał się w Doma. — Jeśli odnajdę Ziemię, to dowiem się, co kryje…

— Kryje?

— Co ona kryje albo co się na niej kryje. Mam wrażenie, że kiedy się tego dowiem, to zrozumiem, dlaczego wybrałem Gaję i Galaxię, mimo że oznacza to koniec istnienia ludzi jako niezależnych jednostek, obdarzonych indywidualną świadomości. Przypuszczam, że wówczas będę wiedział, a nie tylko czuł, że podjąłem słuszną decyzję, a jeśli jest ona słuszna — wzruszył bezradnie ramionami — to niech będzie tak, jak ma być.

— Jeśli czujesz, że tak się sprawy mają — rzekł Dom — i jeśli czujesz, że musisz odnaleźć Ziemię, to oczywiście pomożemy ci w miarę naszych możliwości. Ale ta pomoc będzie ograniczona. Na przykład ja-my-Gaja nie wiemy, w jakim miejscu tej niezmiernie wielkiej przestrzeni, która tworzy Galaktykę, znajduje się Ziemia.

— Mimo to — powiedział Trevize — muszę szukać… Nawet jeśli nieskończona liczba gwiazd w Galaktyce sprawia, że poszukiwania te wydają się beznadziejne i nawet jeśli będę musiał prowadzić je samotnie.

2

Trevizego otaczała ujarzmiona, łagodna natura Gai. Temperatura, jak zawsze, była umiarkowana, wiał przyjemny wietrzyk, który chłodził ciało, lecz nie ziębił. Po niebie leniwie przesuwały się obłoki, zasłaniając od czasu do czasu słońce, ale jeśli w tym czy w innym miejscu planety zmniejszy się znacząco poziom wilgoci przypadającej na metr kwadratowy powierzchni lądu, to bez wątpienia spadnie odpowiednia ilość deszczu, aby wyrównać ubytek.

Drzewa rosły w regularnych odstępach, jak w sadzie. Bez wątpienia było tak na całej planecie. Na lądach i w morzach żyły organizmy roślinne i zwierzęce w takiej ilości i w takiej różnorodności, aby została zachowana równowaga ekologiczna, a liczba osobników poszczególnych gatunków bez wątpienia to zmniejszała się, to zwiększała, utrzymując się na poziomie uznanym za optymalny… Odnosiło się to również do ludzi.

Spośród wszystkich przedmiotów znajdujących się w polu widzenia Trevizego tylko jeden nie pasował do całości. Przedmiotem tym był jego statek, „Odległa Gwiazda". „Odległa Gwiazda" została dokładnie oczyszczona i odnowiona przez grupę ludzkich składników Gai. Uzupełniono zapasy żywności, odnowiono lub wymieniono osprzętowanie, sprawdzono działanie przyrządów mechanicznych. Trevize osobiście sprawdził komputer pokładowy.

Nie trzeba było uzupełniać zapasów paliwa, gdyż „Odległa Gwiazda" była jednym z kilku zaledwie statków o napędzie grawitacyjnym, jakimi dysponowała Fundacja. Statki tego typu czerpały energię z ogólnego pola grawitacyjnego Galaktyki, a było jej dość, by mogły z niej korzystać, bez mierzalnego spadku intensywności, wszystkie floty, jakie zdoła zbudować ludzkość, i to przez wszystkie eony jej prawdopodobnego istnienia.

Trzy miesiące temu Trevize był radnym na Terminusie. Mówiąc innymi słowy, był członkiem ciała ustawodawczego Fundacji i, ex officio, ważną osobistością w Galaktyce. Czy to naprawdę było zaledwie trzy miesiące temu? Trevizemu wydawało się, że od czasu, kiedy piastował tę funkcję, kiedy interesowało go tylko to, czy wielki Plan Seldona działa czy nie, czy gładkie przejście Fundacji z roli planetarnej wioski do potęgi galaktycznej zostało wcześniej odpowiednio zaprogramowane czy nie, dzieli go pół życia. A miał trzydzieści dwa lata.

Z drugiej wszakże strony nic się nie zmieniło. Nadal był radnym. Zachował swój status i przywileje, tyle tylko że nie spodziewał się, by kiedykolwiek miał powrócić na Terminusa i korzystać z tego statusu i przywilejów. Tak samo nie pasował do chaosu Fundacji, jak do

porządku Gai. Nigdzie nie czuł się w domu, wszędzie był obcym.

Zacisnął szczęki i ze złością przeczesał palcami swe czarne włosy. Zanim zacznie marnować czas, rozpaczając nad swym losem, musi znaleźć Ziemię. Jeśli wyjdzie cało z tych poszukiwań, to będzie miał dosyć czasu, żeby siedzieć i użalać się nad sobą. Zresztą wtedy będzie miał, być może, więcej powodów ku temu.

Z tym niezłomnym postanowieniem cofnął się myślą w przeszłość…

Trzy miesiące temu opuścił Terminusa razem z Janovem Peloratem, zdolnym, lecz naiwnym uczonym. Peloratem kierowało pragnienie odkrycia dawno zapomnianej Ziemi, a on, Trevize, traktował misję Pelorata jako przykrywkę dla zrealizowania swych własnych planów. Nie znaleźli Ziemi, ale za to znaleźli Gaję i Trevize został zmuszony do podjęcia owej, brzemiennej w skutki, decyzji.

I oto teraz on, Trevize, obrócił się niespodziewanie o sto osiemdziesiąt stopni i pragnął znaleźć Ziemię.

Jeśli chodzi o Pelorata, to on również znalazł coś, czego się nie spodziewał. Znalazł tę ciemnowłosą i czarnooką Bliss, dziewczynę, która była Gają w tym samym stopniu co Dom… w tym samym stopniu, co ziarnko piasku czy źdźbło trawy. Pelorat, przeżywając drugą młodość, zakochał się w kobiecie dwa razy młodszej od siebie i, co dziwniejsze, ta młoda kobieta wydawała się z tego cieszyć.

Było to co prawda dziwne, ale Pelorat był na pewno szczęśliwy i Trevize pomyślał z rezygnacją, że każdy musi znaleźć swój sposób na szczęście. Była to sprawa indywidualnych zapatrywań, które Trevize, przez swój wybór, usuwał (z czasem) na zawsze z Galaktyki.

Ból znowu powrócił. Świadomość decyzji, którą podjął, którą musiał podjąć, doskwierała mu niczym otarty naskórek na pięcie, była…

— Golan!

Czyjś głos przerwał jego ponure rozmyślania. Odwrócił się, mrużąc oczy przed promieniami słońca.

— A, to ty, Janov — rzekł serdecznie, tym serdeczniej, że nie chciał, aby Pelorat domyślił się, że coś go gnębi. Zdobył się nawet na żart: — Widzę, że udało ci się oderwać na chwilę od Bliss.

Pelorat potrząsnął głową. Łagodny wietrzyk potargał jego jedwabiste, siwe włosy, a jego długa, poważna twarz zachowała swój skupiony wyraz.

— Prawdę mówiąc, stary, to właśnie ona zasugerowała, żebym się z tobą spotkał, żeby… żeby pomówić z tobą o pewnej sprawie. To oczywiście nie znaczy, żebym sam nie chciał się z tobą spotkać, ale wydaje się, że ona myśli szybciej niż ja.

Trevize uśmiechnął się.

— W porządku, Janov. Rozumiem, że przyszedłeś, żeby się ze

mną pożegnać.

— No, niezupełnie. Prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. Golam kiedy odlatywaliśmy z Terminusa, chciałem koniecznie znaleźć Ziemię. Poświęciłem na to praktycznie całe życie.

— A ja to będę kontynuował. Teraz to jest moje zadanie.

— Tak, ale także moje. Nadal moje.

— Ale… — Trevize machnął ręką pokazując cały otaczający ich świat.

— Chcę lecieć z tobą — wyrzucił z siebie nagle Pelorat.

Trevize był zupełnie zaskoczony.

— Chyba nie mówisz tego poważnie, Janov? Masz teraz Gaję.

— Kiedyś do niej wrócę, ale nie mogę pozwolić, żebyś leciał sam.

— Na pewno możesz. Potrafię sam zadbać o siebie.

— Nie obraź się, Golam ale za mało wiesz. To ja znam te mity i legendy. Mogę cię poprowadzić.

— I zostawisz Bliss? Coś takiego!

Policzki Pelorata pokrył rumieniec.

— Właściwie, stary, to ja nie bardzo mam na to ochotę, ale ona powiedziała…

Trevize zmarszczył brwi.

— To znaczy, że ona chce się ciebie pozbyć, Janov. Obiecała mi…

— Nie, nie rozumiesz. Posłuchaj mnie, proszę, Golan. Masz taki nieprzyjemny zwyczaj pochopnego wyciągania wniosków, zanim wysłuchasz kogoś do końca. Wiem, że to twoja specjalność, a w dodatku sprawia mi trudność wyrażanie się zwięźli, ale…

— No dobrze — rzekł Trevize już spokojnie powiedz mi dokładnie, o co chodzi Bliss. Mów tak, jak ci wygodnie, a ja obiecuję cierpliwie wysłuchać cię do końca.

— Dziękuję. Jeśli obiecujesz słuchać cierpliwie, to myślę, że uda mi się powiedzieć to krótko. No więc, widzisz, Bliss też chce lecieć.

— Bliss też chce lecieć? — powtórzył Trevize. Zaraz, mówię spokojnie. Nie wybuchnę. Powiedz mi… a dlaczego to Bliss chce ze mną lecieć? Jak widzisz, pytam spokojnie.

— Tego mi nie powiedziała. Chce o tym sama z tobą porozmawiać.

— No to dlaczego tu nie przyszła, co?

— Myślę… — rzekł Pelorat — powtarzam, myślę… że ona chyba uważa, że jej nie lubisz, Golam i że chyba boi się zbliżać do ciebie. Zapewniałem ją, jak mogłem, że nie masz nic przeciw niej. Nie wierzę, żeby ktoś mógł o niej myśleć inaczej niż dobrze. Mimo to wolała, żebym… jakby to powiedzieć… poruszył najpierw z tobą ten temat. Mogę jej powiedzieć, że chcesz się z nią zobaczyć?

— Oczywiście, zaraz się z nią zobaczę.

— I będziesz zachowywał się spokojnie? Widzisz, stary, jej bardzo

na tym zależy. Powiedziała, że to sprawa najwyższej wagi i że musi lecieć z tobą.

— Ale nie powiedziała dlaczego, prawda?

— Nie, ale jeśli ona uważa, że musi lecieć, to na pewno uważa tak Gaja.

— Co znaczy, że nie mogę odmówić. Zgadza się, Janov?

— Tak, Golam myślę, że nie możesz.

3

Po raz pierwszy w czasie swego krótkiego pobytu na Gai Trevize przekroczył próg domu Bliss, który teraz służył również Peloratowi.

Trevize obrzucił wnętrze krótkim spojrzeniem. Domy na Gai były proste. Prawie zupełny brak jakichkolwiek kaprysów pogody, umiarkowana przez okrągły rok temperatura w tej szerokości geograficznej i łagodne ruchy tektoniczne, jeśli w ogóle musiało do nich dochodzić, sprawiały, że nie było potrzeby budowania domów chroniących ich mieszkańców przed groźnym otoczeniem ani tworzenia wygodnych zakątków pośród niegościnnej przyrody. Cała planeta była, jeśli można tak powiedzieć, jednym wielkim domem dającym schronienie jej mieszkańcom.

Dom Bliss, znajdujący się wewnątrz owego planetarnego domu, był mały, o oknach raczej przesłoniętych niż oszklonych. Nieliczne meble pełniły funkcje ściśle użytkowe. Na ścianach wisiały zdjęcia holograficzne; jedno z nich przedstawiało Pelorata z miną raczej zdumioną i zakłopotaną. Trevize skrzywił usta, ale ukrył rozbawienie poprawiając starannie swój pas.

Bliss obserwowała go uważnie. Nie uśmiechała się, jak to miała w zwyczaju. Z szeroko otwartymi, ładnymi oczami i włosami opadającymi na ramiona łagodną falą, wyglądała raczej poważnie. Tylko pełne usta, muśnięte czerwoną pomadką, ożywiały nieco jej twarz.

— Dziękuję, że przyszedłeś, Trev.

— Janov bardzo na to nalegał, Blissenobiarella.

Bliss uśmiechnęła się lekko.

— Dobra riposta. Jeśli będziesz mówił mi Bliss, postaram się zwracać do ciebie pełnym nazwiskiem, Trevize. — Zająknęła się, niemal niezauważalnie, przy drugiej sylabie.

Trevize uniósł prawą rękę: — To byłby dobry układ. Rozumiem, że macie zwyczaj używania przy wyrażaniu myśli jednosylabowych części nazwiska, więc nie obrażę się, jeśli od czasu do czasu powiesz mi „Trev". Mimo to będę czuł się znacznie lepiej, jeśli postarasz się jak najczęściej zwracać do mnie pełnym nazwiskiem. W zamian za to ja będę ci mówił „Bliss".

Trevize przyglądał się jej badawczo, jak zawsze, kiedy ją spotykał. Jako jednostka, była młodą, dwudziestoparoletnią kobietą. Jednak jako część Gai miała wiele tysięcy lat. Nie miało to żadnego wpływu na jej wygląd, ale miało wpływ na sposób, w jaki niekiedy mówiła, i na atmosferę, która ją otaczała. Czy chciałby, żeby tak samo było z każdym człowiekiem? Nie! Na pewno nie, a jednak…

— Przejdę do sedna sprawy — powiedziała Bliss. — Mówiłeś, że

pragniesz znaleźć Ziemię…

— Mówiłem o tym Domowi — rzekł Trevize, zdecydowany nie ulegać Gai i nie rezygnować łatwa ze swojego punktu widzenia.

— Owszem, ale mówiąc o tym Domowi, mówiłeś tym samym Gai, każdej jej części, a więc również, na przykład, mnie.

— Słyszałaś, jak o ty mówiłem?

— Nie, bo cię nie słuchałam, ale gdybym później chciała, to mogłabym sobie przypomnieć wszystko, co powiedziałeś. Zostawmy to, proszę, i idźmy dalej… Mówiłeś, że pragniesz znaleźć Ziemię i upierałeś się, że to bardzo ważne. Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne, ale skoro posiadasz dar trafnego wnioskowania, to ja-my-Gaja musimy przyjąć, że jest tak, jak mówisz. Jeśli ta misja ma kluczowe znaczenie dla twojej decyzji dotyczącej Gai, to ma również kluczowe znaczenie dla Gai, a w związku z tym Gaja musi polecieć z tobą, choćby po to tylko, by spróbować zapewnić ci ochronę.

— Kiedy mówisz, że musi polecieć ze mną Gaja, to oczywiście masz na myśli siebie, prawda?

— Ja jestem Gają — odparła po prostu Bliss.

— Ale jest nią też wszystko inne na tej planecie. Dlaczego zatem musisz to być ty? Dlaczego nie miałaby ze mną polecieć jakaś inna cząstka Gai?

— Dlatego, że chce lecieć z tobą Pel, a on nie byłby zadowolony, gdyby poleciała z wami jakaś inna cząstka.

Pelorat, który dotąd siedział dyskretnie na krześle w innym końcu pokoju (plecami — jak zauważył Trevize — do swej holograficznej podobizny), powiedział łagodnie:

— To prawda, Golan. Bliss jest moją częścią Gai.

Bliss nagle się uśmiechnęła:

— To nawet dość podniecające być ocenianym w ten sposób, choć, oczywiście, jest mi zupełnie obcy taki styl myślenia.

— No dobrze, zastanówmy się. — Trevize założył ręce na kark i przechylił się z krzesłem do tyłu. Cienkie nóżki krzesła zaskrzypiały ostrzegawczo, więc doszedłszy do wniosku, że mebel nie wytrzyma takiej zabawy, szybko opuścił je z powrotem na cztery nogi. — Czy jeśli opuścisz Gaję, nadal będziesz jej częścią?

— Niekoniecznie. Mogę się od niej oddzielić, na przykład gdyby wyglądało na to, że grozi mi niebezpieczeństwo, którego skutki mogłyby dotknąć Gaję albo gdyby była po temu inna ważna przyczyna. Stałoby się tak jednak tylko w wyjątkowej sytuacji. Normalnie będę nadal częścią Gai.

— Nawet jeśli zrobimy skok przez nadprzestrzeń?

— Nawet wtedy, chociaż to trochę skomplikuje sprawy.

— Nie mogę powiedzieć, żebym się z tego cieszył.

— Dlaczego?

Trevize zmarszczył nos, jakby poczuł przykry zapach.

— To znaczy, że jeśli zrobię czy powiem na swoim statku cokolwiek, co zobaczysz czy usłyszysz, to będzie to widziane czy słyszane przez wszystkich na Gai.

— Jestem Gają, a więc Gaja usłyszy, zobaczy i poczuje wszystko, co ja usłyszę, zobaczę i poczuję. — No właśnie. Nawet ta ściana zobaczy to, usłyszy i poczuje.

Bliss spojrzała na ścianę i wzruszyła ramionami.

— Tak, ta ściana też. Jej świadomość jest bardzo niewielka, a więc czuje ona i rozumie bardzo niewiele, ale przypuszczam, że jej reakcją na to, o czym teraz mówimy, są na przykład jakieś zmiany na poziomie wewnątrzatomowym, które umożliwiają jej zespolenie się z Gają w bardziej celowym działaniu dla wspólnego dobra.

— A jeśli zależy mi na intymności? Może nie życzę sobie, żeby ta ściana wiedziała, co robię czy mówię?

Bliss miała wyraźnie zirytowaną minę. Wtedy nagle wtrącił się Pelorat:

— Słuchaj, Golam nie chcę się mieszać, bo nie wiem zbyt wiele o Gai, ale jestem już trochę czasu z Bliss i wydaje mi się, że zorientowałem się co nieco w tym wszystkim… Jeśli znajdziesz się w tłumie na Terminusie, to widzisz i słyszysz wiele rzeczy. To i owo możesz zapamiętać. Może nawet, pod wpływem odpowiedniej stymulacji mózgu, potrafiłbyś odtworzyć swoje spostrzeżenia, ale przeważnie nie obchodzi cię to, co się wokół ciebie dzieje. Nie zwracasz na to uwagi. Nawet jeśli w danej chwili zainteresuje cię jakaś emocjonująca scena z udziałem obcych ci ludzi, to — jeśli nie dotyczy to bezpośrednio ciebie — zaraz o niej zapominasz. — Tak samo jest na pewno na Gai. Nawet jeśli cała Gaja zna dokładnie twoje sprawy, to nie znaczy, że zwraca na to uwagę, że ją to obchodzi… Mam rację, Bliss?

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób, Pel, ale jesteś bliski prawdy. Niemniej jednak ta intymność, o której mówi Trev… chciałam powiedzieć Trevize… nie jest u nas w cenie. Prawdę mówiąc, ja-my-Gaja nie potrafimy tego zrozumieć. Nie życzyć sobie być częścią… nie chcieć, aby nas słyszano… aby wiedziano, co robimy… aby odbierano nasze myśli… — Bliss potrząsnęła energicznie głową. Mówiłam już, że w nagłych przypadkach możemy się odizolować od całości, ale kto chciałby żyć w ten sposób, choćby tylko przez godzinę!

— Ja — powiedział Trevize. — Właśnie dlatego muszę znaleźć Ziemię. Muszę dowiedzieć się, co, jeśli w ogóle było coś takiego, spowodowało, że wybrałem dla ludzkości taki okropny los.

— Taki los nie jest wcale okropny, ale nie roztrząsajmy już tej sprawy. Polecę z tobą nie jako szpieg, lecz jako przyjaciel i pomocnik.

Gaja będzie z tobą, ale nie będzie cię śledzić, lecz pomagać ci.

— Gaja pomogłaby mi najbardziej, gdyby wskazała mi, gdzie jest Ziemia — rzekł ponuro Trevize.

Bliss wolno potrząsnęła głową.

— Gaja nie zna położenia Ziemi. Dom już ci o tym mówił.

— Nie bardzo w to wierzę. W końcu musicie mieć jakieś zapiski. Dlaczego przez cały czas mojego pobytu tutaj nie mogłem ich ujrzeć? Nawet jeśli Gaja naprawdę nie wie, gdzie może się znajdować Ziemia, to może ja mógłbym znaleźć w tych zapiskach jakieś wskazówki. Znam dosyć dobrze Galaktykę, na pewno o wiele lepiej niż Gaja. Być może mógłbym w waszych źródłach znaleźć jakieś aluzje, które są niezrozumiałe dla Gai.

— O jakich zapiskach mówisz?

— O jakichkolwiek. O książkach, filmach, nagraniach, hologramach, wytworach dawnych epok… czy ja wiem, co wy tu macie? Przez cały czas, odkąd tu jestem, nie widziałem nic, co można by uznać za zapiski. A ty, Janov?

— Ja też nie — odparł Pelorat z ociąganiem ale, prawdę mówiąc, nie bardzo ich szukałem.

— Ale ja szukałem po cichu — rzekł Trevize — i nic nie znalazłem. Nic! Mogę się tylko domyślać, że ukryto je przede mną. Zastanawiam się dlaczego. Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Bliss zmarszczyła czoło i rzekła ze zdziwieniem:

— Dlaczego nie zapytałeś o to wcześniej? Ja-my-Gaja niczego nie ukrywamy i nie opowiadamy żadnych kłamstw. Kłamstwa może opowiadać izol — jednostka wyizolowana z otoczenia. Jednostka jest ograniczona i strachliwa, właśnie dlatego, że ograniczona. Ale Gaja jest organizmem obejmującym całą planetę, ma ogromną siłę umysłową i nie boi się niczego. Opowiadanie kłamstw, tworzenie opisów niezgodnych z rzeczywistością jest Gai zupełnie niepotrzebne.

Trevize parsknął.

— Wobec tego dlaczego trzymacie mnie cały czas z dala od swoich zapisków? Podaj mi jakieś sensowne wyjaśnienie.

— Oczywiście. — Wyciągnęła przed siebie obie ręce, dłońmi do góry. — Nie mamy żadnych zapisków.

4

Pierwszy doszedł do siebie Pelorat. Wydawał się mniej zaskoczony niż Trevize.

— Moja kochana — powiedział łagodnie — to zupełnie niemożliwe. Nie może istnieć cywilizacja bez zapisków w jakiejś formie.

Bliss uniosła brwi.

— Zdaję sobie z tego sprawę. To, co powiedziałam, znaczy tylko tyle, że nie mamy żadnych zapisków w rodzaju tych, o jakich mówi Trev… Trevize i że właśnie dlatego nie mógł nic znaleźć. Nie mamy ani pism, ani druków, ani filmów, ani banków danych, niczego w tym typie. Nawet napisów naskalnych. To wszystko. A ponieważ nie mamy nic z tych rzeczy, to jest zupełnie naturalne, że Trevize nic nie znalazł.

— Jeśli nie macie żadnych zapisków, które potrafiłbym zidentyfikować jako zapiski, no to co wobec tego macie? — spytał Trevize.

— Ja-my-Gaja mamy pamięć — odparła Bliss, wymawiając słowa starannie, jak gdyby zwracała się do dziecka. — Ja zapamiętuję i pamiętam.

— Co pamiętasz? — spytał Trevize.

— Wszystko.

— Wszystkie dane?

— Oczywiście.

— Z jakiego czasu? Sprzed ilu lat?

— Z okresu tak długiego, że trudno to określić. Sprzed bardzo, bardzo wielu lat.

— Mogłabyś podać mi dane historyczne, biograficzne, geograficzne, naukowe? Nawet miejscowe plotki?

— Wszystko.

— Wszystko w tej małej główce! — Trevize wskazał ironicznie palcem na skroń Bliss.

— Nie — odparła. — Pamięć Gai nie ogranicza się do tego, co zawiera ta akurat głowa. Posłuchaj — w tym momencie przybrała oficjalny, nawet trochę surowy ton, jak gdyby przestała być tylko sobą i stała się amalgamatem różnych jednostek — był na pewno taki czas, zanim — zaczęła się historia, kiedy ludzie byli na tyle prymitywni, że choć potrafili zapamiętywać różne wydarzenia, to nie potrafili mówić. Potem wynaleziono mowę, która posłużyła do wyrażania wspomnień i przekazywania ich innym. Potem wynaleziono pismo, aby utrwalać wspomnienia i przekazywać je następnym pokoleniom. W całym postępie technologicznym, który dokonał się od tamtej pory, chodziło o to, aby uzyskać więcej miejsca dla przekazywania i przechowywania

wspomnień oraz ułatwić wyszukiwanie i odtwarzanie tych wspomnień, które w danej chwili były potrzebne. Jednakże z chwilą, kiedy ludzie połączyli się i utworzyli Gaję, wszystko to stało się nie potrzebne. Możemy wrócić do pamięci, podstawowego systemu przechowywania danych, na którym opiera się cała reszta. Rozumiesz?

— Chcesz przez to powiedzieć, że całkowita suma mózgów na Gai jest w stanie zapamiętać więcej danych niż jeden mózg? — rzekł Trevize.

— Oczywiście.

— Ale jeśli te wszystkie dane są rozproszone w ogólnoplanetarnej pamięci, to jaki pożytek masz z nich ty, jako jedna część Gai?

— Taki pożytek, jakiego możesz zapragnąć. Wszystko, co chcę wiedzieć, jest gdzieś, w czyimś mózgu. Niektóre informacje mogą być w wielu mózgach. Jeśli są to wiadomości podstawowe, takie jak na przykład znaczenie wyrazu „krzesło", to zawarte są we wszystkich mózgach. Ale nawet jeśli jest to coś bardzo rzadkiego i specjalnego, co znajduje się tylko w jakiejś jednej, małej części mózgu Gai, to jeśli zajdzie taka potrzeba, mogę to sobie przypomnieć, chociaż trwa to trochę dłużej niż wtedy, kiedy pamięć o czymś jest bardziej powszechna… Jeśli chcesz dowiedzieć się o czymś, o czym nie ma żadnych informacji w twoim mózgu, to szukasz tego w odpowiednich książkach, na taśmach albo w komputerowych bankach danych. Ja natomiast szukam tego w zbiorowym umyśle Gai.

— A jak się bronisz przed zalewem tych informacji? — spytał Trevize. — Przecież mogłyby wszystkie napłynąć do twego mózgu i rozsadzić ci głowę.

— Dlaczego szydzisz sobie ze mnie?

— Daj spokój, Golam nie bądź niemiły — rzekł Pelorat.

Trevize popatrzył na niego, potem na Bliss i z wolna rozchmurzył się. Widać było, że przychodzi mu to z trudem.

— Przepraszam — powiedział. — Czuję się przytłoczony spoczywającą na mnie odpowiedzialnością. Chcę się od niej uwolnić, ale nie wiem, jak to zrobić. Dlatego mogę, nawet wbrew swoim intencjom, powiedzieć czasem coś przykrego. Ale jeśli chodzi o moje pytanie, Bliss, to naprawdę chcę wiedzieć, jak sobie dajesz z tym radę. W jaki sposób udaje ci się korzystać z wiedzy zawartej w mózgach innych bez zatrzymywania jej w twoim własnym mózgu i przeciążania jego pojemności?

— Nie wiem, jak to się dzieje, Trevize, tak samo jak ty nie wiesz dokładnie o wszystkim, co dzieje się w twoim mózgu — odparła Bliss. — Przypuszczam, że wiesz, jaka jest odległość od słońca waszego układu do najbliższej gwiazdy, ale na pewno nie zawsze myślisz o tym świadomie. Przechowujesz gdzieś tę informację i, jeśli trzeba, przywołujesz ją. Jeśli nie jest ci do niczego potrzebna, to z czasem

możesz o niej zapomnieć, ale zawsze możesz odświeżyć ją, zwracając się do jakiegoś banku danych. Mózg Gai można potraktować jako ogromny bank danych, z którego mogę korzystać, ale nie muszę zapamiętywać świadomie żadnej konkretnej informacji, z której skorzystałam. Skoro już wykorzystam jakiś fakt czy wiadomość, to mogę sobie pozwolić na to, żeby o nim czy o niej zapomnieć. Jeśli już o tym mowa, to mogę taką informację z powrotem umieścić w miejscu, z którego ją zaczerpnęłam.

— A ilu ludzi żyje na Gai, Bliss?

— Około miliarda. Chcesz wiedzieć, ilu jest dokładnie w tej chwili?

Trevize uśmiechnął się ponuro.

— Rozumiem, że jeśli zechcesz, możesz zaraz dowiedzieć się, jaka jest dokładna liczba, ale wystarczy mi to, co podałaś w przybliżeniu.

— Faktycznie — powiedziała Bliss — populacja jest stała i oscyluje wokół pewnej konkretnej liczby, która nieznacznie przekracza miliard. Rozszerzając swoją świadomość i hmm… „czując" granice, jestem w stanie powiedzieć, o ile w danej chwili faktyczna liczba mieszkańców jest większa czy mniejsza od tego optimum. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. Trzeba by tego doświadczyć, żeby to zrozumieć.

— W każdym razie wydaje mi się, że miliard mózgów, z których pewna część to mózgi dzieci, to za mało, żeby pomieścić w pamięci wszystkie informacje, które potrzebne są rozwiniętej i złożonej społeczności.

— Ale ludzie nie są jedynymi żywymi istotami na Gai, Trev.

— Chcesz powiedzieć, że informacje zawarte są także w mózgach zwierząt?

— Mózgi zwierząt nie mogą przechowywać takich ilości informacji jak mózg człowieka, a poza tym znaczna część pojemności mózgu, i to zarówno ludzkiego, jak i zwierzęcego, musi być przeznaczona na wspomnienia indywidualne, które są użyteczne prawie wyłącznie dla tego akurat składnika świadomości ogólnoplanetarnej, w którego mózgu się znajdują. Mimo to w mózgach zwierząt można zgromadzić, i gromadzi się, znaczące ilości danych. To samo zresztą odnosi się do tkanki roślin i mineralnej struktury planety.

— Mineralnej struktury planety? To znaczy do skał i łańcuchów górskich?

— Tak, a w przypadku pewnych rodzajów danych, również do oceanu i atmosfery. One też składają się na Gaję.

— Ale co może przechować przyroda nieożywiona?

— Bardzo dużo. Natężenie informacji jest niskie, ale pojemność ogólna jest tak duża, że większa część całkowitej wiedzy Gai zawarta jest w jej skałach. Z drugiej strony, uzyskanie informacji

zgromadzonych w skałach czy zastąpienie ich innymi zabiera trochę więcej czasu, tak że są one idealnym miejscem dla przechowywania martwych — jeśli można tak powiedzieć — danych, to znaczy, z których normalnie bardzo rzadko się korzysta.

— A co się dzieje, kiedy umiera ktoś, kogo mózg zawiera dane dużej wagi?

— Dane te nie giną. Co prawda, w miarę jak mózg po śmierci ulega powoli dezorganizacji, dane te ulatniają się, ale jest dosyć czasu, aby umieścić je w pamięci innych części Gai. Z kolei dzieci, rozwijając się z wiekiem, snują nie tylko własne myśli i gromadzą osobiste wspomnienia, ale też mózgi ich karmione są odpowiednią wiedzą z innych źródeł. To, co nazwałbyś edukacją, u mnie, u nas na Gai jest całkowicie automatyczne.

— Naprawdę, Golan — rzekł Pelorat — wydaje mi się, że wiele przemawia na korzyść tej idei żywego świata.

Trevize zerknął z ukosa na swego rodaka.

— Jestem tego pewien, Janov, ale wcale mnie to nie zachwyca. Ta planeta, jakkolwiek duża i zróżnicowana, to jeden mózg. Tylko jeden! Każdy nowy mózg, jak tylko się pojawi, zostaje wtopiony w całość. Gdzie tu możliwość niezgody, gdzie szansa na opozycję? Kiedy myślisz o ludzkiej historii, to myślisz o pojedynczych ludzkich istnieniach, o indywidualnościach, których poglądy mogą być potępiane przez społeczeństwo, ale które w końcu zwyciężają i zmieniają świat. A jaką szansę mieliby na Gai wielcy buntownicy naszej historii?

— U nas też istnieje wewnętrzny konflikt — powiedziała Bliss. — Nie każdy element Gai musi podzielać opinię powszechną.

— Ale ten konflikt musi być bardzo ograniczony — rzekł na to Trevize. — Organizm nie może być zanadto wewnętrznie skłócony, gdyż nie funkcjonowałby sprawnie. Jeśli postęp i rozwój nie zostały w ogóle całkowicie zatrzymane, to na pewno musiały zostać spowolnione. Czy mamy narzucić to całej Galaktyce? Całej ludzkości?

— Czyżbyś kwestionował teraz swoją własną decyzję? — spytała Bliss, nie okazując żadnych emocji. — Zmieniłeś zdanie i uważasz, że Gaja proponuje ludziom niedobrą przyszłość?

Trevize zacisnął usta i zastanawiał się przez chwilę. W końcu powiedział wolno:

— Chciałbym zmienić zdanie, ale… jeszcze nie teraz. Podjąłem tamtą decyzję na jakiejś podstawie, działając podświadomie, i dopóki nie dowiem się, co wpłynęło na to, że dokonałem takiego właśnie wyboru, co to była za podstawa, nie potrafię z pełnym przekonaniem zdecydować się, czy podtrzymać tamtą decyzję, czy ją zmienić. Wróćmy zatem do sprawy Ziemi.

— Bo czujesz, że tam dowiesz się, co było podstawą twojej

decyzji, tak?

— Tak właśnie czuję… No więc Dom utrzymuje, że Gaja nie zna położenia Ziemi. Domyślam się, że jesteś tego samego zdania.

— Oczywiście, że tak. Jestem tak samo Gają, jak on.

— I nie ukrywasz nic przede mną? To znaczy świadomie?

— Oczywiście, że nie. Nawet gdyby Gaja mogła kłamać, to nie okłamywałaby ciebie. Nasz los zależy od twoich decyzji. Chcemy, żeby były one trafne, a to wymaga, żeby opierały się na prawdzie.

— W takim razie — powiedział Trevize — skorzystajmy z waszej pamięci. Sprawdź, jak daleko sięga pamięć waszego świata.

Bliss zawahała się. Przez chwilę patrzyła na niego pustym wzrokiem, jak gdyby znajdowała się w transie. Potem powiedziała:

— Piętnaście tysięcy lat wstecz.

— Dlaczego zawahałaś się?

— Potrzeba na to było trochę czasu. Stare, naprawdę stare wspomnienia znajdują się prawie w całości w korzeniach gór i na wydobycie ich stamtąd potrzeba trochę czasu.

— A więc piętnaście tysięcy lat wstecz? To wtedy założono Gaję?

— Nie, zgodnie z tym, co nam wiadomo, nastąpiło to jakieś trzy tysiące lat wcześniej…

— Dlaczego nie masz pewności? Czy ty — albo Gaja — nie pamiętasz?

— To wydarzyło się, zanim Gaja rozwinęła się na tyle, że pamięć stała się zjawiskiem ogólnoplanetarnym.

— Ale zanim doszło do tego, że mogliście zacząć polegać na waszej zbiorowej pamięci, na Gai musiały znajdować się jakieś zapiski. Zapiski w normalnym znaczeniu tego słowa, Bliss — nagrania, filmy, pisma i tak dalej.

— Przypuszczam, że tak istotnie było, ale nie mogły przetrwać tyle czasu.

— Mogły zostać skopiowane albo, jeszcze lepiej, ich treść mogła zostać utrwalona w pamięci zbiorowej, gdy już osiągnęliście ten etap.

Bliss zmarszczyła czoło. Znowu się zawahała, tym razem dłużej.

— Nie mogę znaleźć nawet śladu tych wcześniejszych zapisków.

— A dlaczego?

— Nie wiem, Trevize. Przypuszczam, że okazały się niezbyt ważne. Myślę, że zanim zorientowano się, że te wczesne, niepamięciowe zapiski niszczeją, zdecydowano, że są one zbyt archaiczne i w związku z tym niepotrzebne.

— Nie wiesz tego. Przypuszczasz, myślisz, ale nie wiesz na pewno. Gaja nie wie tego.

Bliss spuściła oczy. — Musi być tak, jak powiedziałam.

— Musi? Ja nie jestem częścią Gai, więc nie muszę przypuszczać tego, co przypuszcza Gaja. To przykład na to, jak ważna jest

niezależność. Ja, człowiek niezależny, izol — jak mówisz — przypuszczam coś zupełnie innego.

— Co przypuszczasz?

— Przede wszystkim jednego jestem pewien. Otóż jest zupełnie niemożliwe, żeby kwitnąca cywilizacja zniszczyła swe wczesne zapiski, świadectwa swej przeszłości. Nie tylko nie uważałaby ich za niepotrzebne nikomu przeżytki, ale traktowałaby je z niezwykłym szacunkiem i robiłaby wszystko, żeby je zachować. Jeśli zapiski z czasów, kiedy Gaja nie była jeszcze jednym organizmem, zostały zniszczone, to na pewno wasi przodkowie nie zrobili tego z własnej woli.

— No to jak to wyjaśnisz?

— Wszystkie wzmianki na temat Ziemi, które znajdowały się w Bibliotece na Trantorze zostały usunięte przez kogoś czy przez coś spoza Drugiej Fundacji. Czy zatem nie mogło być tak, że również tu, na Gai, wszystkie wzmianki dotyczące Ziemi zostały usunięte przez kogoś nie będącego Gają, nie należącego do Gai?

— A skąd wiesz, że te stare zapiski dotyczyły Ziemi?

— Powiedziałaś, że Gaja została założona przynajmniej osiemnaście tysięcy lat temu. W tym czasie nie istniało jeszcze Imperium Galaktyczne, ludzie dopiero kolonizowali Galaktykę, a planetą, od której się to wszystko zaczęło, była Ziemia. Pelorat na pewno to potwierdzi.

Pelorat, zaskoczony niespodziewanym zaproszeniem do rozmowy, chrząknął i powiedział:

— Tak mówią legendy, kochanie. Traktuję te legendy poważnie i, tak jak Golan Trevize, myślę, że pierwotnie rodzaj ludzki zamieszkiwał tylko jedną planetę, właśnie Ziemię. Pierwsi osadnicy pochodzili z Ziemi.

— Jeśli zatem — podjął na nowo Trevize — Gaja została założona w czasach, kiedy podróże przez nadprzestrzeń były jeszcze nowością, to jest bardzo prawdopodobne, że założyli ją przybysze z Ziemi, a przynajmniej z jakiegoś niezbyt starego świata, który został niedługo przedtem skolonizowany przez Ziemian. Z tego względu zapiski z czasów, kiedy zakładano Gaję i z pierwszych kilku tysiącleci po jej założeniu musiały zawierać informacje na temat Ziemi i Ziemian. I zapiski te zaginęły. Coś musi troszczyć się o to, żeby w żadnych źródłach w Galaktyce nie było nawet wzmianki o Ziemi. A jeśli tak, to musi być jakiś powód, dla którego to robi.

— To tylko domysły, Trevize — powiedziała z oburzeniem Bliss. — Nie masz na to żadnego dowodu.

— Ale to przecież Gaja cały czas utrzymuje, że mam szczególny talent wyciągania właściwych wniosków z analizy skąpych danych. A więc jeśli twierdzę, że jest tak a nie inaczej, to nie gadaj mi, że nie

mam żadnych dowodów.

Bliss nic na to nie odpowiedziała.

— Tym bardziej więc należy znaleźć Ziemię. Chcę wystartować, jak tylko „Odległa Gwiazda” będzie gotowa do podróży. Nadal chcecie ze mną lecieć?

— Tak — odparła natychmiast Bliss.

— Tak — zawtórował jej Pelorat.

2. Na Comporellon!

5

Siąpił lekki deszczyk. Trevize spojrzał na niebo zaciągnięte szarymi chmurami.

Na głowie miał kapelusz przeciwdeszczowy, który odtrącał krople deszczu i odrzucał je we wszystkich kierunkach, daleko od jego ciała. Pelorat, który stał poza zasięgiem kropel spadających z kapelusza Trevizego, nie miał żadnej osłony.

— Nie rozumiem, Janov, dlaczego mokniesz rzekł Trevize.

— Nie przejmuję się tym, że moknę — odparł Pelorat, z poważną jak zawsze miną. — Nie pada zbyt mocno, a poza tym jest ciepło. Nie ma też właściwie wiatru. A zresztą, jak powiada stare porzekadło: „Jeśli jesteś na Anakreonie, to rób to, co Anakreończycy". — Tu wskazał na kilku Gajan stojących koło „Odległej Gwiazdy" i przyglądających się jej w milczeniu. Stali w pewnych odległościach od siebie, zupełnie jak drzewa w gajańskim lasku. Żaden z nich nie miał kapelusza.

— Przypuszczam, że mokną dlatego, że moknie reszta Gai — powiedział Trevize. — Drzewa, trawa, ziemia — wszystko moknie, a wszystko to jest w takim stopniu częścią Gai, jak tajanie.

— Myślę, że ma to pewien sens — rzekł Pelorat. — Wkrótce znowu wyjrzy słońce i wszystko szybko wyschnie. Ubrania nie stracą fasonu ani się nie skurczą, a ponieważ nie jest zimno i nie ma tu żadnych niepotrzebnych mikroorganizmów chorobotwórczych, to nikt się nie przeziębi, nie dostanie grypy czy zapalenia płuc. Dlaczego więc mieliby się przejmować tym, że trochę zmokną?

Trevize nie mógł odmówić słuszności temu rozumowaniu, ale nie zamierzał się poddawać. Powiedział:

— Mimo to nie musieli ściągać tu tego deszczu akurat w chwili naszego odlotu. W końcu pada tu tylko wtedy, kiedy tego chcą. Gdyby Gaja sobie tego nie życzyła, to by teraz nie padało. Wygląda to zupełnie tak, jakby chcieli nam okazać swoją pogardę.

— A może — rzekł Pelorat i usta lekko mu drgnęły — Gaja płacze z żalu, że odlatujemy.

— Może — odparł Trevize — ale ja nie odlatuję stąd z żalem.

— A naprawdę — ciągnął swoją myśl Pelorat pada pewnie dlatego, że ziemia w tej okolicy potrzebuje wody i jest to ważniejsze niż twoje pragnienie, żeby świeciło słońce.

Trevize uśmiechnął się.

— Coś mi się wydaje, że naprawdę polubiłeś ten świat. To znaczy niezależnie od faktu, że jego częścią jest Bliss.

— Owszem, polubiłem — odparł nieco zaczepnie Pelorat. —

Zawsze prowadziłem spokojne, uporządkowane życie i zastanawiam się, jak żyłoby mi się tutaj, gdzie cały świat troszczy się o to, aby był spokój i porządek… W końcu, kiedy budujemy dom… czy statek, jak ten tutaj, to staramy się, aby był jak najwygodniejszy. Wyposażamy go we wszystko, co nam potrzebne, staramy się, aby temperatura, powietrze, oświetlenie, w ogóle wszystko. co jest dla nas ważne, było dokładnie dostosowane do naszych potrzeb. Gaja jest po prostu spełnieniem marzeń o bezpieczeństwie i wygodzie, rozciągniętych na całą planetę. Co w tym złego?

— To — odparł Travize — że mój dom czy statek jest zaprojektowany i zbudowany tak, aby odpowiadał mnie, a nie, żebym ja odpowiadał jemu. Ja nie jestem zaprojektowany. Gdybym był składnikiem Gai, to nawet gdyby cała planeta była idealnie przystosowana do moich potrzeb, przeszkadzałaby mi świadomość, że ja też jestem przystosowany do jej potrzeb.

Pelorat wydął usta. — Można by na to odpowiedzieć — rzekł — że każda społeczność tak kształtuje swoich członków, aby byli do niej jak najlepiej dostosowani. Tworzą się pewne zwyczaje, które mają sens tylko w danej społeczności, a to ogranicza swobodę jednostki i dostosowuje jej działania do potrzeb tej społeczności.

— W społecznościach, które są mi znane, jednostka zawsze może się zbuntować. Zdarzają się ekscentrycy i przestępcy.

— Chcesz, żeby istnieli ekscentrycy i przestępcy?

— A dlaczego nie? Ty i ja jesteśmy przecież ekscentrykami. Na pewno nie jesteśmy typowymi mieszkańcami Terminusa. A jeśli chodzi o przestępców, to jest to kwestia definicji. Poza tym, jeśli istnienie przestępców jest ceną, którą musimy zapłacić za istnienie buntowników, heretyków i geniuszy, to ja zgadzam się ją zapłacić. Więcej — domagam się, abyśmy zapłacili tę cenę.

— Czy istnienie przestępców to jedyna możliwa cena? Nie można mieć geniuszy bez przestępców?

— Nie można mieć geniuszy i świętych bez ludzi znacznie odbiegających od normy, a nie przypuszczam, żeby takie odchylenia możliwe były tylko w jedną stronę. Musi istnieć w tym względzie pewna symetria… W każdym razie potrzebuję lepszego uzasadnienia dla swojej decyzji o wyborze Gai jako modelu dla dalszego rozwoju ludzkiej cywilizacji, niż to, które mi proponujesz. Fakt, że Gaja jest planetarną wersją wygodnego domu, nie jest wystarczającym powodem.

— Ależ, przyjacielu, nie miałem najmniejszego zamiaru przekonywać cię, że powinieneś być zadowolony ze swojej decyzji. Po prostu dzieliłem się z tobą swoimi uwa…

Przerwał. Zbliżała się do nich Bliss. Jej mokra sukienka przylegała ściśle do ciała, podkreślając dość wydatne biodra. Już z daleka kiwała

do nich głową.

— Przepraszam, że musieliście na mnie czekać powiedziała trochę zdyszanym głosem. — Rozmowa z Domem zajęła mi więcej czasu, niż się spodziewałam.

— Przecież wiesz wszystko, o czym wie on powiedział Trevize.

— Czasami są różnice w interpretacji. W końcu nie jesteśmy wszyscy tacy sami, więc rozmawiamy ze sobą i dyskutujemy. Posłuchaj — powiedziała nieco szorstko — masz przecież dwie ręce. Każda z nich to część ciebie samego. Obie wyglądają identycznie, z tym tylko, że każda z nich wydaje się lustrzanym odbiciem drugiej. Ale przecież nie używasz obu dokładnie tak samo, prawda? Pewne rzeczy robisz przeważnie prawą ręką, inne przeważnie lewą. To różnice w interpretacji, żeby tak powiedzieć.

— Zagięła cię — stwierdził Pelorat z wyraźną satysfakcją.

Trevize skinął głową.

— To efektowne porównanie, tyle że — obawiam się — niewłaściwe. W każdym razie znaczy to, że możemy chyba wsiadać już na statek, co? Pada deszcz.

— Tak, tak. Nasi ludzie już go opuścili. Wszystko jest w doskonałym stanie. — Spojrzała nagle ze zdziwieniem na Trevizego i powiedziała: — Jesteś suchy! Nie pada na ciebie.

— Faktycznie — odparł Trevize. — Unikam wilgoci.

— Ale to przecież bardzo przyjemne — wymoczyć się od czasu do czasu.

— Oczywiście. Ale wtedy, kiedy chcę tego ja, a nie deszcz.

Bliss wzruszyła ramionami.

— No cóż, to twoja sprawa. Bagaże mamy już załadowane, więc wsiadajmy.

Podeszli do „Odległej Gwiazdy”. Deszcz padał coraz słabiej, ale trawa była nadal bardzo mokra. Trevize złapał się na tym, że stąpa ostrożnie, aby nie zamoczyć nóg, gdy tymczasem Bliss zrzuciła buty, wzięła je w rękę i kroczyła boso.

— To wspaniałe uczucie — powiedziała, widząc spojrzenie, jakim Trevize obrzucił jej stopy.

— Dobrze — odparł z roztargnieniem. Nagle rozejrzał się i rzekł z irytacją:

— A po co sterczą tu ci Gajanie?

— Odnotowują w pamięci to wydarzenie — powiedziała Bliss. — Gaja uważa, że jest ono niezwykle doniosłe. Jesteś dla nas bardzo ważny, Trevize. Zważ, że jeśli w rezultacie tej podróży zmienisz zdanie i podejmiesz decyzję niekorzystną dla nas, to nie tylko nigdy nie staniemy się Galaxią, ale na zawsze przestaniemy być Gają.

— A więc moja decyzja oznacza dla Gai, dla całego świata, życie albo śmierć.

— Tak myślimy.

Trevize nagle przystanął i zdjął kapelusz. Tu i ówdzie zaczynał przeświecać poprzez chmury błękit nieba.

— Ale w tej chwili moja decyzja jest korzystna dla was. Jeśli mnie zabijecie, to nie będę już mógł jej zmienić.

— Golan, coś ty… — mruknął Pelorat. Był wstrząśnięty. — Jak możesz mówić takie straszne rzeczy!

— To typowe dla izola — powiedziała spokojnie Bliss. — Słuchaj, Trevize, musisz zrozumieć, że nie interesuje nas ani twoja osoba, ani nawet to, po czyjej stronie się opowiadasz, ale tylko prawda, tylko fakty. Jesteś dla nas ważny tylko jako swego rodzaju instrument, który umożliwia nam poznanie prawdy, a twój głos za czy przeciw nam tylko jako reakcja tego instrumentu na fakty, jako wskazanie nam tej prawdy. To jest wszystko, czego chcemy od ciebie. Gdybyśmy cię zabili, aby nie dopuścić do zmiany twej decyzji, to tym samym ukrylibyśmy przed sobą prawdę.

— A jeśli powiem wam, że ta prawda jest dla was niekorzystna, że przyszłością Galaktyki nie jest wcale Gaja, to czy chętnie zgodzicie się umrzeć?

— Może niezbyt chętnie, ale to i tak na jedno by wyszło.

Trevize potrząsnął głową. — Już to jedno twierdzenie wystarczyłoby, żeby mnie przekonać, że wasza cywilizacja jest przerażająca i że powinna zginąć. — Przeniósł wzrok na cierpliwie przyglądających się im (i prawdopodobnie słyszących wszystko) Gajan i powiedział: — Dlaczego oni się tak porozstawiali? Czy nie wystarczy, żeby to wydarzenie obserwowała tylko jedna osoba? Przecież i tak cała reszta planety będzie mogła korzystać z tego, co zostanie w jej pamięci! Przecież jeśli zechcecie, to możecie pamięć o tym przechować w milionie innych miejsc.

— Każdy z nich patrzy na to z innego punktu widzenia — odparła Bliss — i każdy taki widok odnotowany jest w innym umyśle. Kiedy przestudiuje się potem wszystkie obserwacje, to okaże się, że to, co ma teraz miejsce, jest o wiele bardziej zrozumiałe, niż gdyby zostało zaobserwowane przez każdego z nich z osobna.

— Mówiąc innymi słowy, całość jest większa niż suma wszystkich elementów, tak?

— Dokładnie tak. Zrozumiałeś wreszcie podstawową zasadę istnienia Gai. Jako jednostka ludzka składasz się z pięćdziesięciu bilionów komórek, ale jako organizm wielokomórkowy jesteś o wiele ważniejszy niż suma wszystkich komórek tworzących twój organizm. Chyba się z tym zgodzisz?

— Tak — odparł Trevize. — Z tym się zgodzę.

Wszedł na statek i odwrócił się na chwilę, aby raz jeszcze spojrzeć na Gaję. Powietrze po deszczu było bardziej czyste i rześkie. Miał

przed sobą cichy, urodzajny, pełen zieleni świat — oazę spokoju pośród pełnej zamętu Galaktyki.

Patrzył na Gaję i miał nadzieję, że nigdy już jej nie zobaczy.

6

Kiedy zamknęła się za nimi pokrywa luku, Trevize poczuł się tak, jakby wyzwolił się od gniotącej mu piersi zmory. No, może zmora to za mocne określenie, ale w każdym razie było to coś nienormalnego, co utrudniało mu swobodne oddychanie.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że w osobie Bliss został z nim jakiś element tej nienormalności. Dopóki była ona na statku, dopóty była tam też Gaja. Jednak mimo to on również był przeświadczony, że jej obecność na statku jest konieczna. Znowu zaczęła działać „czarna skrzynka". Miał nadzieję, że nigdy nie dojdzie do tego, że zacznie jej zbytnio ufać.

Rozejrzał się z zadowoleniem po statku. Od chwili kiedy Harla Branno, burmistrz Fundacji, zmusiła go, aby udał się w przestrzeń w charakterze żywego piorunochronu i ściągnął na siebie grom ze strony tych, którzy jej zdaniem zagrażali Fundacji, był to jego statek. Wykonał już wprawdzie zadanie, ale nie miał zamiaru zwrócić statku. „Odległa Gwiazda" była nadal jego statkiem.

Należała do niego zaledwie od kilku miesięcy, ale wydawała mu się domem. Swój prawdziwy dom na Terminusie pamiętał jak przez mgłę.

Terminus! Położony na skraju Galaktyki, był jednak centrum Fundacji, której przeznaczeniem, zgodnie z Planem Seldona, było utworzenie za pół tysiąca lat drugiego, potężniejszego niż pierwsze, imperium galaktycznego. I oto on, Trevize, udaremnił ten plan. Swoją własną decyzją sprowadził rolę Fundacji do zera, umożliwiając powstanie społeczeństwa zupełnie nowego rodzaju, stwarzając warunki do uformowania się zupełnie nowej formy życia, do przerażającej rewolucji — największej ze wszystkich, które miały miejsce od czasu wykształcenia się organizmów wielokomórkowych.

Teraz rozpoczynał podróż, która miała mu dostarczyć dowodów na to (lub przeciw temu), że postąpił słusznie.

Stwierdził nagle ze złością, że zamiast przystąpić do działania, pogrążył się w rozmyślaniach. Otrząsnął się i szybko przeszedł do sterowni. Komputer był na swoim miejscu. Cały aż lśnił, lśniło wszystko wokół, dokładnie wyczyszczone i wypucowane. Sprawdził na chybił trafił kilka przycisków. Wszystkie działały bez zarzutu, wydawało się nawet, że lepiej niż przedtem. System wentylacyjny pracował bez najlżejszego szmeru, tak że musiał potrzymać rękę nad otworami, aby się upewnić, czy rzeczywiście przepływa przez nie strumień powietrza.

Krążek światła na płycie stołu jarzył się zachęcająco. Trevize dotknął go i światło zalało całą płytę, ukazując zarysy wgłębień na

dłonie. Zaczerpnął głęboko powietrza i dopiero wtedy uświadomił sobie, że na chwilę wstrzymał oddech. tajanie nie mieli pojęcia o technice, którą dysponowała Fundacja i mogli niechcący uszkodzić komputer. Jak dotąd, wszystko było w porządku — wgłębienia na dłonie były nienaruszone.

Zasadniczy sprawdzian miał się jednak zacząć dopiero z chwilą, kiedy umieści we wgłębieniach swe dłonie. Przez chwilę wahał się. Zorientowałby się prawie natychmiast, gdyby coś nie było w porządku, ale… co mógłby w takiej sytuacji zrobić? Musiałby dla naprawy komputera wrócić na Terminusa, a był prawie pewien, że gdyby to zrobił, Branno nie pozwoliłaby mu odlecieć. A gdyby został na Terminusie…

Czuł gwałtowne bicie serca. Nie było sensu przedłużać tej niepewności.

Wysunął szybko ręce przed siebie i położył je we wgłębieniach. Natychmiast poczuł łagodny, ciepły uścisk, jak gdyby jego dłonie znalazły się w innych dłoniach. Jego zmysły spotęgowały się i mógł nimi sięgnąć poza statek. Widział Gaję wokół siebie, z przodu, z boków i z tyłu, widział wilgotną zieleń pokrywającej ją trawy i Gajan, którzy nadal stali dokoła statku. Kiedy wyraził w myśli życzenie, że chce spojrzeć do góry, zobaczył chmury. Zapragnął spojrzeć poza chmury i w tej samej chwili ujrzał czyste, błękitne niebo, na którym świeciło słońce Gai. W odpowiedzi na następne życzenie błękit rozstąpił się i Trevize zobaczył gwiazdy.

Starł ten obraz, wyraził inne życzenie i ujrzał Galaktykę niczym ogień sztuczny w skrócie perspektywicznym. Sprawdził obraz komputerowy, regulując jego ustawienie, odwracając pozorny upływ czasu i obracając go najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Zlokalizował słońce Sayshell, najbliższą od Gai dużą gwiazdę, potem słońce Terminusa, a potem Trantora. Podróżował z gwiazdy na gwiazdę po mapie Galaktyki, która zakodowana byka we wnętrzu komputera.

Wreszcie cofnął ręce i na powrót znalazł się w rzeczywistym świecie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z faktu, że przez cały czas stał pochylony nad komputerem, aby mieć z nim kontakt. Zesztywniały mu plecy, więc zanim usiadł, musiał rozprostować mięśnie.

Patrzył na komputer z uczuciem ulgi. Urządzenie działało bez zarzutu. Jeśli coś się w ogóle zmieniło, to tylko na korzyść, wydawało mu się bowiem, że komputer reaguje na jego polecenia jeszcze szybciej niż przedtem. Dla uczucia, które go wypełniało, nie znajdował innego określenia niż miłość. W końcu, kiedy ujmował „jego dłonie” (nie chciał przyznać sam przed sobą, że myśli o tym jako o „jej dłoniach”), każde z nich było częścią drugiego, a jego wola kierowała

potężniejszą osobowością, była jej częścią i doświadczała tego. On i komputer musieli w pewnym stopniu czuć to (pomyślał niespodziewanie dla siebie samego i zdenerwował się), co czuje, w znacznie większym stopniu, Gaja.

Potrząsnął głową. Nie! W ich przypadku to on, Trevize, sprawował całkowitą kontrolę. Komputer był mu absolutnie podporządkowany.

Podniósł się i przeszedł do małego pomieszczenia spełniającego rolę kuchni i jadalni. Były tam obfite zapasy różnego jadła, z odpowiednimi urządzeniami do chłodzenia i szybkiego podgrzewania potraw. Zdołał już wcześniej zauważyć, że książkofilmy w jego kabinie były ustawione w takim porządku, w jakim je zostawił, i był prawie pewien, nie — całkowicie pewien, że biblioteka Pelorata została odpowiednio zabezpieczona. Gdyby było inaczej, to na pewno do tej pory już by się o tym od niego dowiedział.

Pelorat! To mu o czymś przypomniało. Wszedł do jego kabiny.

— Czy znajdzie się tu miejsce dla Bliss, Janov? — spytał.

— Tak, tak, oczywiście.

— Mogę przeznaczyć salon na sypialnię dla niej.

Bliss spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

— Nie chcę osobnej sypialni. To, że mogę tu zostać z Pelem, zupełnie mi odpowiada. Ale myślę, że kiedy będę potrzebowała, będę też mogła korzystać z innych pomieszczeń. Na przykład z salki gimnastycznej.

— Oczywiście. Ze wszystkich pomieszczeń, z wyjątkiem mojej kabiny.

— Dobrze. Właśnie taki układ bym zaproponowała, gdyby to ode mnie zależało. Naturalnie ty nie będziesz wchodził do naszej kabiny.

— Naturalnie — powiedział Trevize, spoglądając pod nogi i widząc, że prawie przestąpił próg kabiny. Cofnął się o pół kroku i rzekł ponuro:

— To nie jest apartament na miesiąc miodowy, Bliss.

— Biorąc pod uwagę jego skromne rozmiary, choć Gaja powiększyła je o połowę, powiedziałabym, że właśnie jest.

Trevize starał się ukryć uśmiech.

— Będziecie musieli bardzo zaprzyjaźnić się ze sobą.

— Już to zrobiliśmy — powiedział Pelorat, wyraźnie zażenowany tematem rozmowy — ale mógłbyś, stary, zostawić nam samym załatwienie tych spraw.

— Kiedy właśnie nie mogę — powiedział wolno Trevize. — Chcę, żeby było jasne, że te pomieszczenia nie zostały przygotowane z myślą o miesiącu miodowym. Możecie sobie robić, co chcecie za obopólną zgodą, ale musicie sobie uświadomić, że nie ukryjecie waszych intymnych spraw. Mam nadzieję, Bliss, że mnie rozumiesz.

— Są tu drzwi — odparła Bliss — i myślę, że nie będziesz nam przeszkadzał… to znaczy z wyjątkiem jakichś nagłych wypadków.

— Oczywiście, że nie będę. Ale to pomieszczenie nie jest dźwiękoszczelne.

— Chcesz przez to powiedzieć — rzekła Bliss że będziesz zupełnie wyraźnie słyszał każdą naszą rozmowę i każdy głośniejszy ruch, który wykonamy, uprawiając miłość.

— Tak, to właśnie chcę powiedzieć. W związku z tym podejrzewam, że będziecie musieli ograniczyć swoje zapędy. Będzie to dla was na pewno nieprzyjemne i przykro mi z tego powodu, ale taka jest sytuacja.

Pelorat chrząknął i powiedział cicho:

— Prawdę mówiąc, Golam ja już wcześniej stanąłem przed tym problemem. Zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co przeżywa Bliss, kiedy jest ze mną, jest przeżywane przez całą Gaję.

— Myślałem o tym, Janov — rzekł Trevize z miną świadczącą o tym, że walczy ze sobą, żeby się nie skrzywić. — Nie chciałem ci jednak o tym mówić… na wszelki wypadek, gdyby ci to samemu nie przyszło do głowy.

— Ale, niestety, przyszło — powiedział Pelorat.

— Nie przesadzaj, Trevize — powiedziała Bliss. — W każdej chwili tysiące ludzi na Gai uprawiają miłość, a miliony oddają się jedzeniu, piciu czy innym przyjemnym czynnościom. W wyniku tego powstaje ogólna aura rozkoszy, która otacza Gaję, a którą czuje jej każda część. Zwierzęta niższe, rośliny i minerały też mają swoje, odpowiednio mniejsze przyjemności, dzięki którym również one mają swój udział w tym ogólnym uczuciu radości, które zawsze odczuwa Gaja we wszystkich swoich częściach, a które jest zupełnie nieznane innym światom.

— My mamy swoje indywidualne przyjemności, którymi możemy, jeśli chcemy, dzielić się do pewnego stopnia z innymi albo zachować je dla siebie powiedział Trevize.

— Gdybyś mógł choć raz doświadczyć tego, co my czujemy, to przekonałbyś się, jak ubodzy jesteście pod tym względem.

— A skąd możesz wiedzieć, co my czujemy?

— Nie trzeba tego wiedzieć, żeby dojść do wniosku, że przyjemność, w której mają udział wszyscy jest bardziej intensywna niż przyjemność, która jest dostępna tylko dla pojedynczej, wyizolowanej z otoczenia jednostki.

— Być może, ale nawet jeśli moje przyjemności są ubogie, to wolę zadowolić się nimi, ale za to mieć je tylko dla siebie i pozostać sobą niż być krewnym jakiejś skały.

— I po co te drwiny? — spytała Bliss. — Cenisz sobie każdy mineralny kryształ znajdujący się w twoich kościach czy w zębach i za

nic nie chciałbyś, żeby któryś z nich został uszkodzony, chociaż ich świadomość nie jest większa niż świadomość przeciętnego kryształu skalnego tej samej wielkości.

— Owszem, to prawda — zgodził się niechętnie Trevize — ale zeszliśmy z tematu. Nie obchodzi mnie, Bliss, nic a nic to, czy Gaja ma udział w twoich rozkoszach, ale ja nie chcę w nich uczestniczyć. Będziemy tu mieszkali blisko siebie i nie chcę być nawet biernym uczestnikiem waszych przyjemności.

— Nie ma się o co spierać, przyjacielu — odezwał się Pelorat. — Mnie zależy tak samo jak tobie na tym, żeby twoje prawo do intymności nie zostało pogwałcone. Zresztą moje też. Bliss i ja będziemy na to uważali. Prawda, Bliss?

— Będzie tak, jak chcesz, Pel.

— W końcu — ciągnął Pelorat — będziemy przypuszczalnie spędzać o wiele więcej czasu na planetach niż w przestrzeni, a na planetach jest więcej okazji do prawdziwej intymności.

— Nie obchodzi mnie, co będziecie robić na planetach — przerwał mu Trevize — ale na tym statku ja rządzę.

— Oczywiście — odparł Pelorat.

— No to skoro już to wyjaśniliśmy, pora lecieć.

— Zaczekaj! — Pelorat chwycił Trevizego za rękaw. — Dokąd lecieć? Ani ty, ani ja, ani Bliss nie wiemy, gdzie znajduje się Ziemia. Twój komputer też nie, bo już dawno temu powiedziałeś mi, że nie ma w nim żadnych danych na temat Ziemi. Co zatem zamierzasz zrobić? Nie możesz przecież lecieć na oślep ani tułać się bez żadnego planu po przestrzeni.

W odpowiedzi Trevize uśmiechnął się z prawdziwą satysfakcją. Po raz pierwszy, od czasu kiedy wpadł w ręce Gai, czuł się panem swego losu.

— Zapewniam cię, Janov — powiedział — że nie mam najmniejszego zamiaru tułać się po przestrzeni. Wiem dokładnie, dokąd chcę lecieć.

7

Pelorat wszedł cicho do sterowni, nie doczekawszy się odpowiedzi na swe nieśmiałe pukanie. Trevize był tak pochłonięty obserwowaniem gwiazd, że nawet go nie zauważył.

— Golan… — odezwał się Pelorat i umilkł.

Trevize podniósł głowę.

— A, to ty, Janov… Siadaj… A gdzie Bliss?

— Śpi… Widzę, że jesteśmy już w przestrzeni.

— Dobrze widzisz. — Trevize nie był zaskoczony zdumieniem Pelorata. Znajdując się na statku o napędzie grawitacyjnym, nie sposób było zorientować się, kiedy statek startuje. Startowi nie towarzyszyły bowiem żadne efekty będące skutkiem działania siły bezwładu — nie odczuwało się ani przyspieszenia, ani wibracji, a w dodatku wszystko odbywało się bezgłośnie.

Posiadając zdolność uniezależnienia się, nawet całkowitego, od zewnętrznych pól grawitacyjnych, „Odległa Gwiazda" mogła wznieść się nad powierzchnię każdej planety zupełnie tak, jak gdyby unosiła się na falach jakiegoś kosmicznego morza, a w czasie kiedy się to odbywało, działanie siły ciężkości wewnątrz statku nie ulegało, paradoksalnie, żadnym zmianom.

Kiedy statek znajdował się jeszcze w atmosferze, nie było oczywiście potrzeby przyspieszania, a więc nie słyszało się świstu powietrza, przez które szybko przedzierał się statek, i nie odczuwało się wywołanej jego oporem wibracji. Natomiast po wyjściu z atmosfery można było nawet gwałtownie przyspieszyć, gdyż nie powodowało to absolutnie żadnych niemiłych doznań u załogi.

Był to szczyt komfortu i Trevize nie wyobrażał sobie, żeby — dopóki ludzie nie odkryją sposobu przemieszczania się przez nadprzestrzeń bez pomocy statków i bez obawy o to, że znajdujące się w pobliżu pola grawitacyjne mogą być zbyt silne — można było w tym względzie jeszcze coś udoskonalić. Teraz jednak „Odległa Gwiazda" będzie musiała przez kilka dni oddalać się od słońca Gai, zanim jego pole grawitacyjne osłabnie na tyle, by mogli spróbować wykonać skok.

— Słuchaj, stary — rzekł Pelorat — czy mogę z tobą przez chwilę porozmawiać? Nie jesteś za bardzo zajęty?

— Skądże! Wszystkim zajmie się komputer, jeśli dam mu odpowiednie polecenia. Czasami zdaje się nawet odgadywać, jakie to będą polecenia i spełnia je, zanim zdążę je wypowiedzieć. — Pogładził pieszczotliwie płytę biurka.

— Bardzo się zaprzyjaźniliśmy, Golam przez ten krótki okres, kiedy się znamy, choć muszę przyznać, że mnie ten okres wcale nie

wydaje się krótki. Tyle się w tym czasie wydarzyło. Kiedy pomyślę o swoim, dosyć już przecież długim życiu, to uderza mnie, że połowa wydarzeń, w których przyszło mi uczestniczyć, miała miejsce w kilku ostatnich miesiącach. Tak mi się przynajmniej wydaje. Byłbym nawet gotów pomyśleć, że…

Trevize przerwał mu ruchem ręki:

— Janov, jestem pewien, że odbiegasz od tematu. Zacząłeś od tego, że w krótkim czasie bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Owszem, to prawda. 1 nadal jesteśmy przyjaciółmi. Skoro już o tym mowa, to Bliss znasz jeszcze krócej, a zaprzyjaźniłeś się z nią nawet bardziej niż ze mną.

— No, to oczywiście zupełnie co innego — rzekł Pelorat, chrząkając z zakłopotaniem.

— Oczywiście — zgodził się Trevize — ale co wynika z tej naszej, od niedawna trwającej przyjaźni?

— Jeśli nadal jesteśmy, jak sam przed chwilą powiedziałeś, przyjaciółmi, to muszę przejść do sprawy Bliss, która — to też powiedziałeś — jest mi szczególnie droga.

— Rozumiem. No i co z tego?

— Wiem, Golam że nie lubisz Bliss, ale chciałbym, żebyś przez wzgląd na mnie…

Trevize znowu uniósł rękę.

— Chwileczkę, Janov. Nie zachwycam się Bliss, ale też nie żywię do niej nienawiści. Prawdę mówiąc, nie mam jej nic do zarzucenia. Jest ona atrakcyjną młodą kobietą, a nawet gdyby nią nie była, to — przez wzgląd na ciebie — byłbym skłonny za taką ją uważać. To Gai nie lubię.

— Ale Bliss jest Gają.

— Wiem, Janov. To właśnie komplikuje sprawy. Dopóki myślę o Bliss jako o kobiecie, nie ma żadnego problemu. Ale kiedy pomyślę o niej jako 0 Gai, zaczynają się problemy.

— Ale nie dałeś Gai żadnej szansy, Golan… Słuchaj, stary, pozwól, że ci coś wyznam. Kiedy jestem blisko Bliss, to czasami, na jakąś minutę, pozwala mi zespolić się ze sobą myślowo. Na minutę, nie dłużej, bo mówi, że jestem za stary, żeby się do tego przystosować… Oj, nie śmiej się, Golan! Ty też byłbyś na to za stary. Gdyby izol, ktoś taki jak ty czy ja, pozostawał częścią Gai dłużej niż przez jedną czy dwie minuty, to groziłoby mu uszkodzenie mózgu, a gdyby przedłużyło się to do pięciu czy dziesięciu minut, to zmiany byłyby nieodwracalne… Gdybyś mógł poznać to uczucie, Golan…

— Jakie uczucie? Nieodwracalne zmiany w mózgu? Dziękuję, nie skorzystam.

— Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz, Golan. Chodzi mi o ten krótki moment wspólnoty z Gają. Nawet nie wiesz, co tracisz. Tego się

nie da opisać. Bliss mówi, że to uczucie szczęścia i radości. To tak, jakbyś napił się wody w chwili, kiedy prawie umierasz z pragnienia. Nie potrafię nawet w przybliżeniu tego określić. Uczestniczysz w rozkoszach doświadczanych przez miliard ludzi naraz. To nie jest stałe uczucie. Gdyby takim było, to szybko przestałbyś zwracać na to uwagę. To wibruje, drga jakimś dziwnym, pulsującym rytmem, który nie pozwala ci zapomnieć czy zobojętnieć. To większa rozkosz… nie, nie większa — lepsza rozkosz, niż zdarzyło ci się kiedykolwiek doświadczyć samemu, bez tej więzi z innymi. Kiedy Bliss zamyka mi do niej dostęp, to chce mi się płakać…

Trevize potrząsnął głową.

— Jesteś zadziwiająco elokwentny, przyjacielu, ale to, co mi tu opowiadasz, brzmi jak opis uzależnienia od pseudoderfiny czy jakiegoś innego narkotytku, który szybko doprowadza do ekstazy, ale po zażyciu którego długo żyje się w ciągłym przerażeniu. To nie dla mnie. Nie chcę sprzedać swojej osobowości za krótkotrwałe uczucie rozkoszy.

— Zachowałem swoją osobowość, Golan.

— Ale na jak długo? Jak długo pozostaniesz sobą, jeśli nadal będziesz się temu oddawał? Będziesz błagał o coraz większą dawkę tego narkotyku, aż wreszcie skończy się to uszkodzeniem twego mózgu. Janov, nie możesz pozwalać Bliss, żeby to robiła… Może lepiej będzie, jeśli pomówię z nią o tym.

— Nie! Nie! Wiesz o tym, że nie jesteś wzorem taktu, a nie chcę, żebyś ją uraził. Zapewniam cię, że w tym względzie dba o mnie bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Bardziej niż ja przejmuje się możliwością uszkodzenia mego mózgu. Możesz być tego pewien.

— No dobrze, wobec tego pomówię o tym z tobą. Nie rób tego więcej, Janov. Przez pięćdziesiąt dwa lata miałeś swoje własne przyjemności i rozkosze. Twój mózg przystosował się do tego i znosi to dobrze. Nie wpadaj teraz w jakiś nowy, niezwykły nałóg. Będziesz musiał za to zapłacić — jeśli nie od razu, to po pewnym czasie.

— Tak, Golan — odparł Pelorat cichym głosem, przypatrując się czubkom swoich butów. Potem powiedział: — Przypuśćmy, że spojrzałbyś na to z innego punktu widzenia. Załóżmy, że jesteś jednokomórkowcem…

— Wiem, co chcesz powiedzieć, Janov. Daj temu spokój. Bliss już się raz odwoływała do tej anagii.

— Tak, ale pomyśl przez chwilę. Wyobraźmy sobie organizmy jednokomórkowe o świadomości na takim samym poziomie jak świadomość człowieka i o takiej samej zdolności myślenia i przypuśćmy, że nagle stanęłyby wobec możliwości połączenia się w jeden, wielokomórkowy, organizm. Czy te jednokomórkowe organizmy nie obawiałyby się utraty swojej indywidualnej

osobowości? Czy każdej z tych istot nie oburzałaby perspektywa stania się tylko częścią obejmującego je wszystkie organizmu, perspektywa stania się tylko fragmentem większej osobowości? I czy nie byłyby w błędzie? Czy pojedyncza komórka jest w stanie wyobrazić sobie potęgę ludzkiego mózgu?

Trevize gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie, Janov, to jest fałszywa analogia. Organizmy jednokomórkowe nie mają ani świadomości, ani zdolności myślenia, a jeśli nawet mają, to jest ona tak minimalna, że można ją uważać za zerową. Dla takiego organizmu utrata osobowości to utrata czegoś, czego nigdy w rzeczywistości nie miał. Natomiast człowiek posiada i świadomość, i zdolność myślenia. Ma do stracenia prawdziwą, rzeczywiście istniejącą świadomość i rzeczywisty, niezależny umysł, a więc analogia ta jest chybiona.

Umilkł. Pelorat też się nie odzywał. W końcu milczenie zaczęło im ciążyć, więc Pelorat spróbował skierować rozmowę na inny temat.

— Dlaczego obserwujesz ekran? — spytał.

— Z przyzwyczajenia — odparł Trevize, uśmiechając się krzywo. — Komputer mówi mi, że nie leci za nami żaden statek gajański ani nie zbliża się do nas flotylla statków sayshellskich. Ale mimo tego, że sensory komputera są setki razy doskonalsze od moich zmysłów i dostrzegają to, czego ja nie jestem w stanie dostrzec, wpatruję się z niepokojem w ekran i oddycham z ulgą, że niczego nie mogę dostrzec. Co więcej, komputer potrafi zarejestrować pewne subtelne właściwości przestrzeni, których ja nie mógłbym w żaden sposób uchwycić swoimi zmysłami. A jednak, wiedząc o tym, nie mogę nie patrzeć.

— Golam jeśli naprawdę jesteśmy przyjaciółmi… — zaczął Pelorat.

— Obiecuję — przerwał mu Trevize — że nie zrobię nic, co mogłoby urazić Bliss, a przynajmniej, że będę się od tego powstrzymywał.

— Tym razem chodzi mi o co innego. Trzymasz przede mną w tajemnicy cel naszej podróży, zupełnie jakbyś mi nie ufał. Możesz mi powiedzieć, dokąd lecimy? Uważasz, że wiesz, gdzie znajduje się Ziemia?

Trevize spojrzał na niego, unosząc w górę brwi.

— Przepraszam. Zazdrośnie strzegę tej tajemnicy, prawda?

— Tak, ale dlaczego?

— No właśnie, dlaczego? — odparł Trevize. Zastanawiam się, stary, czy nie ma to związku z Bliss.

— Z Bliss? A więc nie chcesz, żeby ona o tym się dowiedziała? Słuchaj, jej naprawdę można całkowicie zaufać.

— To nie o to chodzi. No i co z tego, że nie będę jej ufał?

Podejrzewam, że jeżeli zechce, to wyczyta w moim mózgu każdą tajemnicę. Wydaje mi się, że powód jest raczej dziecinny. Mam takie uczucie, że całą uwagę poświęcasz tylko jej i że ja dla ciebie praktycznie nie istnieję.

Pelorat zrobił zdumioną minę.

— Ależ to nieprawda!

— Wiem, ale próbuję po prostu głośno przeanalizować swoje uczucia. Przyszedłeś tu pełen obaw o to, czy nadal jesteśmy przyjaciółmi, a ja, myśląc o tym, dochodzę do wniosku, że chyba też mam takie same obawy. Nie przyznawałem się do tego sam przed sobą, ale myślę, że czułem się odsunięty przez ciebie z powodu Bliss. Być może próbowałem się odegrać na tobie, trzymając pewne sprawy w tajemnicy. To dziecinada.

— Golan!

— Przecież powiedziałem, że to dziecinada. Nie słyszałeś? Ale z drugiej strony, czy każdy z nas nie zachowuje się czasem jak dziecko? W każdym razie jesteśmy nadal przyjaciółmi. Wyjaśniliśmy tę sprawę, więc nie będę się już bawił w te dziecinne gierki. Lecimy na Comporellon.

— Na Comporellon? — powtórzył Pelorat, jakby po raz pierwszy słyszał tę nazwę.

— Chyba przypominasz sobie mego byłego przyjaciela, Munna Li Compora? Spotkaliśmy go na Sayshell.

Na twarzy Pelorata pojawił się wyraz olśnienia.

— Oczywiście, że sobie przypominam. Comporellon to świat jego przodków.

— Może. Nie muszę wierzyć we wszystko, co mówił Compor. Ale Comporellon to znany świat, a Compor mówił, że jego przodkowie wiedzieli o istnieniu Ziemi. A więc polecimy tam i sprawdzimy. Może okazać się, że to nas donikąd nie zaprowadzi, ale to jedyny punkt zaczepienia.

Pelorat chrząknął i spytał z powątpiewaniem:

— Jesteś tego pewien?

— W tej sprawie nie można być niczego pewnym. Mamy tylko ten jeden trop i choćby był bardzo nikły, musimy nim podążyć. Nie mamy innego wyboru.

— Zgoda, ale jeśli opieramy się na tym, co nam powiedział Compor, to być może powinniśmy wziąć pod uwagę wszystko, co powiedział. Zdaje mi się, że mówił, i to z naciskiem, że na Ziemi nie istnieje życie, że jej powierzchnia jest radioaktywna. A jeśli jest tak naprawdę, to nie mamy po co lecieć na Comporellon.

8

Siedzieli w trójkę w jadalni, wypełniając sobą całą jej przestrzeń.

— To jest naprawdę smaczne — powiedział z wyraźnym zadowoleniem Pelorat. — Czy to jeszcze z naszych terminuskich zapasów?

— Ależ skąd — odparł Trevize. — Już dawno się skończyły. To jest z zapasów, które zrobiliśmy na Sayshell, przed odlotem na Gaję. Niespotykany smak, prawda? To jakaś roślina morska, ale dość chrupka. A to z kolei… kiedy to kupowałem, byłem przekonany, że to kapusta, ale ma zupełnie inny smak.

Bliss słuchała, ale sama nic nie mówiła. Jadła mało, jakby nie miała apetytu.

— Musisz jeść, kochanie — rzekł łagodnie Pelorat.

— Wiem o tym, Pel. Jem.

— Mamy produkty gajańskie — powiedział Trevize z lekką irytacją, której nie potrafił stłumić.

— Wiem — odparła Bliss — ale wolę je zostawić na później. Nie wiemy, ile czasu przyjdzie nam spędzić w przestrzeni i w końcu będę musiała się przyzwyczaić do jedzenia tego, co jedzą izole.

— Czy to źle? A może Gaja musi zjadać samą siebie?

Bliss westchnęła. — Prawdę mówiąc, jest u nas takie powiedzenie: „Kiedy Gaja zjada samą siebie, to nie ma z tego ani straty, ani zyksu". To nic innego jak przenoszenie się świadomości z góry w dół i z dołu w górę. Wszystko, co jem na Gai, jest Gają i kiedy w moim organizmie pokarm ulega przemianie i staje się mną, to nadal jest Gają. Zresztą dzięki temu to, co zjadam, ma możliwość bardziej intensywnego udziału w zbiorowej świadomości, choć, oczywiście, pewne części pokarmu nie zostają wchłonięte przez mój organizm, są wydalane i w związku z tym ich pozycja na skali świadomości wydatnie spada.

Ugryzła spory kęs, żuła przez chwilę energicznie, połknęła i ciągnęła dalej:

— To jest ciągła cyrkulacja na ogromną skalę. Rośliny rosną i są zjadane przez zwierzęta. Zwierzęta jedzą i same są zjadane. Każdy organizm, który umiera, jest stopniowo wchłaniany przez bakterie gnilne, komórki żyjące w glebie i tak dalej, i służąc powstawaniu innych organizmów pozostaje Gają. W tym ciągłym krążeniu świadomości ma udział nawet materia nieorganiczna, a wszystko, co uczestniczy w tym procesie, ma co jakiś czas szansę na udział w warstwie bardziej intensywnej świadomości.

— To wszystko — rzekł Trevize — można powiedzieć o każdym świecie. Każdy atom mojego ciała ma długą historię. Zanim stał się

częścią mnie, mógł być częścią wielu stworzeń, wliczając w to ludzi, mógł też przez długie okresy czasu być częścią morza albo bryły węgla, częścią skały albo wiatru.

— Ale na Gai — powiedziała Bliss — wszystkie atomy są co jakiś czas częścią wyższej, planetarnej świadomości, o której nie masz absolutnie pojęcia.

— No dobrze — rzekł Trevize. — Co się zatem dzieje z tymi warzywami z Sayshell, które jesz w tej chwili? Czy one też stają się częścią Gai?

— Tak… choć powoli. A to, co wydalam, tak samo powoli przestaje być częścią Gai. W końcu to, co opuszcza moje ciało, traci kontakt z Gają. Nie ma nawet tego, już nie tak bezpośredniego kontaktu, który ja, dzięki wyższemu poziomowi mojej świadomości, mogę z nią utrzymywać w nadprzestrzeni. To właśnie dzięki temu nadprzestrzennemu kontaktowi produkty, które nie pochodzą z Gai, stają się powoli Gają, kiedy je spożywam.

— A co stanie się z zapasami, które zabraliśmy z Gai? Czy powoli przestaną być Gają? Jeśli tak, to lepiej jedz je, dopóki możesz.

— Tym nie muszę się przejmować — powiedziała Bliss. — Te zapasy, które zabraliśmy z Gai, zostały tak przygotowane, że jeszcze przez długi czas pozostaną jej częścią.

— A co się stanie, jeśli my je zjemy? — spytał nagle Pelorat. — A w ogóle, czy coś się z nami działo, kiedy jedliśmy wasze produkty na Gai? Czy my też z wolna stajemy się Gają?

Bliss potrząsnęła przecząco głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz zmieszania.

— To, co zjedliście, jest dla nas stracone. Przynajmniej ta część, która uległa przemianie materii w waszych tkankach. To, co wydaliliście, pozostało Gają albo powoli stało się na powrót Gają, tak że w ostatecznym rachunku równowaga została zachowana, ale w rezultacie waszego pobytu na naszym świecie duża liczba atomów składających się na Gaję przestała być Gają.

— A to dlaczego? — spytał z zaciekawieniem Trevize.

— Dlatego, że nie znieślibyście przemiany, nawet częściowej. Byliście naszymi gośćmi, którzy w pewnym sensie znaleźli się u nas przymusowo, tak że musieliśmy chronić was przed niebezpieczeństwem, nawet za cenę utraty małych części Gai. Była to cena, na którą przystaliśmy dobrowolnie, choć bynajmniej nie z radością.

— Przykro nam z tego powodu — rzekł Trevize — ale czy jesteś pewna, że żywność nie pochodząca z Gai, a przynajmniej pewne jej rodzaje, nie zaszkodzi dla odmiany tobie?

— Nie — odparła Bliss. — To, co jest jadalne dla was, jest jadalne i dla mnie, tyle tylko że powstaje dodatkowy problem przyswojenia

tego, co spożywam, przez Gaję, jak też przez tkanki mego ciała. Stwarza to pewną barierę psychologiczną i dlatego jem tak mało i tak wolno, ale z czasem to przezwyciężę.

— A nie boisz się jakiejś infekcji? — spytał przerażonym głosem Pelorat. — Nie rozumiem, jak to się stało, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Przecież na każdym świecie, na którym się znajdziesz, mogą żyć jakieś mikroorganizmy, na które nie jesteś uodporniona! Możesz umrzeć z powodu zwykłej infekcji. Golam musimy wracać.

— Nie wpadaj w panikę, Pel — rzekła z uśmiechem Bliss. — Mikroorganizmy, które dostaną się do mojego organizmu z pożywieniem czy jakąś inną drogą, też zostaną zasymilowane przez Gaję. Jeśli będzie wyglądało na to, że mi szkodzą, to zostaną zasymilowane jeszcze szybciej, a kiedy już staną się Gają, nie zrobią mi nic złego.

Obiad dobiegł końca. Pelorat łyknął podgrzanego soku wieloowocowego z korzeniami.

— No — rzekł oblizując wargi — myślę, że pora zmienić temat. Wygląda na to, że moim jedynym zajęciem na tym statku jest zmienianie tematów. Ciekawe, jaka jest tego przyczyna?

— Taka, że Bliss i ja mamy odmienne zdania na każdy temat i za żadną cenę nie odstąpimy od swoich poglądów — rzekł poważnie Trevize. — W tobie nadzieja, Janov, że nie popadniemy w obłęd… A więc o czym chciałbyś mówić?

— Przejrzałem swoje materiały na temat Comporellona i okazuje się, że cały tamten sektor obfituje w stare legendy. Mieszkańcy tamtejszych światów utrzymują, że zostały one założone w bardzo dawnych czasach, w pierwszych tysiącleciach po wynalezieniu metody podróży w nadprzestrzeń. Comporellon twierdzi nawet, że zna nazwisko swego legendarnego założyciela. Miał nim być niejaki Benbally, choć nie podają, skąd pochodził. Według nich pierwotnie ich świat nazywał się światem Benbally'ego.

— A ile, twoim zdaniem, jest w tym prawdy?

— Jest pewnie ziarnko prawdy, ale jak stwierdzić, co jest tym ziarnkiem?

— Nigdy nie słyszałem o żadnym Benballym. A ty? Spotkałeś się z tym nazwiskiem w jakimś rzetelnym źródle historycznym?

— Nie, ale sam wiesz, że w okresie późnego Imperium usilnie starano się wymazać z historii wszystko to, co działo się w czasach przedimperialnych. W ostatnich, niespokojnych stuleciach istnienia Imperium jego władcom bardzo zależało na stłumieniu lokalnego patriotyzmu, gdyż uważali, zresztą słusznie, że niszczy on wewnętrzną spójność Imperium. Dlatego też w prawie każdym sektorze Galaktyki prawdziwa historia, mająca oparcie w źródłach i operująca ścisłą chronologią, zaczyna się dopiero w momencie, kiedy stają się tam

silne wpływy Trantora i dany sektor zawiera przymierze z Imperium albo zostaje przez nie zaanektowany.

— Nigdy bym nie pomyślał, że historię jest tak łatwo wymazać — rzekł Trevize.

— No, nie jest to takie łatwe — odparł Pelorat — ale silny i zdecydowany rząd może dużo zrobić, żeby przestano się nią interesować. Kiedy to zainteresowanie dostatecznie osłabnie, to materiały ulegają rozproszeniu, wiedza o dawnych czasach degeneruje się i może przetrwać tylko w opowieściach ludowych. A takie opowieści mają to do siebie, że są bardzo przesadzone i każdy sektor jest w nich zawsze starszy i potężniejszy, niż był naprawdę. I bez względu na to, jak nieprawdopodobna jest taka legenda i jakie nonsensy zawiera, mieszkańcy danego sektora uważają za swój patriotyczny obowiązek święcie w nią wierzyć. Mógłbym ci przytoczyć opowieści z wszystkich kątów Galaktyki, mówiące o tym, że światy, na których powstały, zostały założone przez ludzi przybyłych tam bezpośrednio z Ziemi, choć nie zawsze jest to nazwa, którą określają planetę przodków.

— A jak ją jeszcze nazywają?

— Różnie. Czasami Jedyna, czasami Najstarsza. Nazywają ją też Księżycowym Światem, co — zdaniem niektórych — jest aluzją do jej olbrzymiego satelity. Inni natomiast utrzymują, że w czasach pregalaktycznych „księżycowy” znaczyło tyle, co „bezludny” albo „porzucony”.

— Janov, proszę cię, przestań! — przerwał mu łagodnie Trevize. — Będziesz mówił bez końca o zwolennikach to jednego, to znów drugiego poglądu. Powiadasz, że takie legendy można znaleźć wszędzie?

— O tak! Prawie wszędzie. Wystarczy tylko, abyś się z nimi zapoznał, a zrozumiesz, że ludzie mają zwyczaj zaczynać od jakiegoś okruchu prawdy, a potem otaczają ten okruch coraz grubszymi warstwami zmyśleń — zupełnie jak te ostrygi z Rhampory, które tworzą perły, otaczając ziarnko piasku coraz to nowymi warstwami swej wydzieliny. To porównanie przyszło mi do głowy, kiedy…

— Janov, znowu zaczynasz. Przestań! Powiedz mi lepiej, czy w legendach comporelliańskich jest coś, co różni je od innych.

— Co? — Pelorat patrzył przez chwilę na Trevizego nieprzytomnym wzrokiem. — Coś, co je różni od innych? Hmm, Comporellianie utrzymują, że Ziemia leży niedaleko od nich i to jest niezwykłe. Na większości światów, na których żywe są legendy o Ziemi, jej położenie określa się bardzo niejasno, umieszczając ją gdzieś daleko albo zgoła w jakimś nie istniejącym miejscu.

— Zupełnie tak, jak na Sayshell, gdzie nam opowiadano, że Gaja znajduje się w nadprzestrzeni — powiedział Trevize.

Bliss roześmiała się.

Trevize obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

— To szczera prawda. Tak nam mówiono.

— Nie wątpię w to. Śmieję się dlatego, że to zabawne. Oczywiście chcemy, żeby wierzyli, że jest tak, jak mówią. Na razie życzymy sobie tylko jednego, żeby nas zostawiono w spokoju, a gdzie może być spokojniejsze miejsce niż w nadprzestrzeni? Jeśli ludzie sądzą, że się tam znajdujemy, to jest tak, jakbyśmy się tam znajdowali naprawdę.

— Owszem — rzekł szorstko Trevize — zgodnie z tą samą zasadą coś dba o to, żeby ludzie wierzyli, że Ziemia nie istnieje albo znajduje się gdzieś daleko, albo że jej powierzchnia jest radioaktywna.

— Tyle tylko — dodał Pelorat — że Comporellianie są przekonani, iż znajduje się ona dosyć blisko od ich planety.

— Ale są również przekonani, że jest skażona radioaktywnością. Każda planeta, na której znana jest jakaś legenda o Ziemi, jest przekonana, że, z takiego czy innego powodu, Ziemia jest niedostępna.

— Tak to z grubsza wygląda — przyznał Pelorat.

— Wiele osób na Sayshell uważa — powiedział Trevize — że Gaja znajduje się niedaleko. Niektórzy potrafią nawet prawidłowo wskazać gwiazdę, wokół której krąży, a mimo to wszyscy są przekonani, że jest ona niedostępna. Być może również na Comporellonie są ludzie, którzy wierzą święcie, że Ziemia jest radioaktywna i martwa, ale potrafią wskazać gwiazdę, wokół której krąży. Jeśli tak, to będziemy wiedzieli, dokąd mamy lecieć i polecimy tam, nawet gdyby uważali, że jest niedostępna. Przecież akurat tak postąpiliśmy w przypadku Gai.

— Ale Gaja chciała, żebyście przylecieli — powiedziała Bliss. — Nie mogliście wprawdzie uciec z naszych rąk, ale nie zamierzaliśmy uczynić wam nic złego. A jeśli Ziemia jest również potężna, ale bynajmniej nie życzliwa? Co wtedy?

— Muszę tam się dostać, bez względu na konsekwencje. Ale to tylko moja sprawa. Kiedy zlokalizuję Ziemię, będziecie mogli rozstać się ze mną. Wysadzę was na najbliższym świecie należącym do Federacji Fundacyjnej albo, jeśli będziecie chcieli, odstawię was z powrotem na Gaję i potem polecę sam na Ziemię.

— Słuchaj, stary — powiedział wyraźnie przygnębiony Pelorat. — Nie mów, proszę, takich rzeczy. Nawet mi przez głowę nie przeszło, żeby zostawić cię samego.

— A mnie, żeby zostawić Pela — powiedziała Bliss, gładząc Pelorata po policzku.

— No więc dobrze. Niedługo będziemy mogli wykonać skok na Comporellon, a potem — miejmy nadzieję — na Ziemię.

3. Na stacji granicznej

9

— Czy Trevize mówił ci, że w każdej chwili możemy wykonać skok i wejść w nadprzestrzeń? spytała Bliss, wchodząc do ich wspólnej kabiny.

Pelorat, który siedział właśnie pochylony nad dyskiem obrazowym, podniósł głowę i powiedział:

— Prawdę mówiąc, zajrzał tu tylko i powiedział: „za pół godziny".

— Niepokoi mnie sama myśl o tym. Nigdy nie lubiłam skoków. Podczas skoku mam takie dziwne uczucie, jakbym się wywracała na drugą stronę.

Pelorat spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Nie przypuszczałem, że jesteś taką podróżniczką.

— Właściwie nie jestem, i to nie tylko jako akurat ten element Gai. Gaja w ogóle nie ma okazji do regularnych podróży w przestrzeni. Z samej swojej natury ja-my-Gaja nie szukamy innych planet, nie prowadzimy z nikim wymiany handlowej ani nic urządzamy wycieczek turystycznych. Mimo to ktoś musi być na stacjach orbitalnych strzegących wejścia na Gaję…

— Tak jak wtedy, kiedy mieliśmy szczęście cię spotkać.

— Tak, Pel — uśmiechnęła się do niego ciepło. — Albo nawet, z różnych powodów, lecieć na Sayshell i w inne regiony gwiezdne… zwykle potajemnie. Ale czy potajemnie czy nie, musi wykonywać skoki i oczywiście odczuwa to cała Gaja. Skacze przecież to, co jest jej częścią.

— To niedobrze — rzekł Pelorat.

— Mogłoby być jeszcze gorzej. Cała, duża przecież, masa planety nie bierze udziału w skoku, więc jego skutki są osłabione. Wydaje się jednak, że ja odczuwam to znacznie silniej niż reszta Gai. Zgodnie z tym, co stale tłumaczy Trevizemu — że poszczególne elementy Gai nie są identyczne. Istnieją między nami różnice i na przykład moja struktura jest z jakiejś przyczyny szczególnie wrażliwa na skoki.

— Zaczekaj! — powiedział Pelorat, przypominając sobie nagle o czymś. — Trevize wyjaśnił mi to kiedyś. Te sensacje odczuwa się w zwykłych statkach. W takim statku, wchodząc w nadprzestrzeń, opuszcza się normalne pole grawitacyjne Galaktyki. a wychodząc z nadprzestrzeni, powraca się do niego. I właśnie wyjście z normalnej przestrzeni i powrót do niej powodują te sensacje. Ale „Odległa Gwiazda" jest statkiem o napędzie grawitacyjnym. Jest zupełnie niezależna od pola grawitacyjnego, w związku z czym faktycznie ani z niego nie wychodzi, ani do niego nie powraca. Dlatego nic w ogóle nie będziemy czuli. Zapewniam cię, kochanie, na podstawie swojego

własnego doświadczenia.

— To wspaniale! Szkoda, że wcześniej o tym nie porozmawialiśmy. Zaoszczędziłoby mi to niepotrzebnych obaw.

— Ma to jeszcze inną zaletę — powiedział Pelorat, czerpiąc niezwykłą przyjemność z faktu, że może wystąpić w nowej dla siebie roli eksperta od spraw astronautyki. — Po to, aby wykonać skok. normalny statek musi się znacznie oddalić od ciał o wielkiej masie, takich jak gwiazdy. Częściowo dlatego, że im bliżej gwiazdy, tym silniejsze pole grawitacyjne, a co za tym idzie, także te przykre sensacje odczuwane podczas skoku. Poza tym, im silniejsze pole grawitacyjne, tym bardziej skomplikowane równania, które trzeba rozwiązać, aby wykonać skok bezpiecznie i znaleźć się po nim w tym miejscu normalnej przestrzeni, w którym chce się znaleźć. Jednakże na statku o napędzie grawitacyjnym nie odczuwa się w ogóle żadnych sensacji spowodowanych skokiem. W dodatku ten statek jest wyposażony w komputer, który znacznie przewyższa normalne komputery i który potrafi z niezwykłą szybkością rozwiązywać nawet bardzo skomplikowane równania. Skutkiem tego „Odległa Gwiazda" nie musi, jak inne statki, odsuwać się od jakiejś gwiazdy przez wiele tygodni na odległość gwarantującą bezpieczny i wygodny skok, gdyż potrzebuje na to tylko dwóch albo trzech dni. Jest to możliwe przede wszystkim dlatego, że nie podlegamy działaniu pola grawitacyjnego, a więc nie działa na nas siła bezwładności, i że — tu muszę przyznać, że nie rozumiem jak to możliwe, ale Trevize zapewniał mnie, że tak jest — możemy uzyskać znacznie większe przyspieszenie niż jakikolwiek statek o normalnym napędzie.

— To świetnie, a fakt, że Trev potrafi kierować tym niezwykłym statkiem, dobrze świadczy o jego umiejętnościach.

Pelorat lekko zmarszczył Brwi.

— Bliss, proszę cię, mów „Trevize".

— No przecież tak mówię. Jednak kiedy go nie ma, mogę sobie pozwolić na lekkie odprężenie.

— Nie rób tego. To tak jak z nałogiem, kochanie, nie można sobie pozwolić nawet na trochę, bo znowu się wpada. On jest taki drażliwy na tym punkcie.

— Nie na tym. To ja go drażnię. Nie lubi mnie.

— To nie jest tak — powiedział Pelorat z przekonaniem. — Rozmawiałem z nim o tym… No, nie rób takiej chmurnej miny. Starałem się być bardzo taktowny, dziecko. Zapewnił mnie, że nie ma absolutnie nic przeciwko tobie. Jest nieufny w stosunku do Gai i przygnębiony faktem, że musiał wybrać taką przyszłość dla ludzkości. Musimy mu to wybaczyć. Minie mu ten nastrój, kiedy zrozumie, jakie pożytki płyną z takiego wyboru.

— Mam nadzieję, że się tak stanie, ale tu nie chodzi tylko o Gaję.

Bez względu na to, co on ci mówi, Pel — a pamiętaj, że bardzo cię lubi i nie chciałby zranić twoich uczuć — on nie lubi mnie jako jednostki, a nie jako Gai.

— Nie, Bliss. To niemożliwe.

— To, że ty mnie kochasz, Pel, nie znaczy, że każdy musi mnie kochać. Pozwól, że ci wyjaśnię, o co tu chodzi. Trev… no dobrze, Trevize… uważa, że jestem robotem.

Na nieruchomej zazwyczaj twarzy Pelorata pojawił się wyraz zdumienia.

— Na pewno nie uważa, że jesteś sztucznie stworzoną istotą ludzką — powiedział.

— Dlaczego to cię tak zdumiewa? Gaja została założona przy pomocy robotów. To fakt dobrze znany.

— Roboty mogły w tym pomagać, tak jak maszyny, ale to ludzie założyli Gaję, ludzie z Ziemi. t Tak właśnie sądzi Trevize. Wiem, że tak sądzi.

— Jak już mówiłem tobie i Trevizemu, w pamięci Gai nie zachowało się nic na temat Ziemi. Ale za j to, choć minęło od tamtych czasów trzy tysiące lat, w naszych wspomnieniach przetrwały roboty, które pracowały nad przekształceniem Gai w świat nadający się do zamieszkania. My tworzyliśmy wtedy Gaję jako ogólnoplanetarną świadomość… Zajęło to sporo czasu, Pel, i jest to kolejny powód tego, że nasze wspomnienia z najdawniejszej przeszłości są tak nieostre. I być może, wbrew temu, co myśli Trevize, to wcale nie było tak, że wymazała je Ziemia…

— Dobrze, Bliss — powiedział ze zniecierpliwieniem Pelorat — ale co z tymi robotami?

— No cóż, kiedy już powstała Gaja, roboty wyr niosły się. Nie chcieliśmy takiej Gai, która obejmowałaby też roboty, bo byliśmy i jesteśmy nadal przekonani, że na dłuższą metę taki element jak one byłby szkodliwy dla ludzkiej społeczności, bez względu na to, czy byłaby to społeczność izoli czy społeczność ogólnoplanetarna. Nie wiem, w jaki sposób doszliśmy do tego wniosku, ale możliwe, że opieraliśmy się na wypadkach, które miały miejsce w tak wczesnych dziejach Galaktyki, że nie sięga do nich pamięć Gai.

— Jeśli roboty wyniosły się…

A jeśli część ich pozostała? A jeśli jestem jednym z nich… liczącym może nawet piętnaście tysięcy lat? Trevize podejrzewa, że tak właśnie jest.

Pelorat wolno potrząsnął głową. — Ale nie jesteś.

— Na pewno wierzysz w to, co mówisz?

— Oczywiście. Nie jesteś robotem.

— A skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Nie ma w tobie nic sztucznego. Jeśli ja nic

takiego nie zauważyłem, to na pewno nie mógł tego zauważyć nikt inny.

— A czy nie jest możliwe, że zostałam tak znakomicie, w najdrobniejszych szczegółach skonstruowana, że nie można mnie odróżnić od prawdziwego człowieka? Gdyby tak było, to czy byłbyś w stanie odróżnić mnie od prawdziwego człowieka?

— Nie sądzę, żeby skonstruowanie takiego robota było możliwe — powiedział Pelorat.

— No a gdyby, wbrew temu, co sądzisz, było to jednak możliwe?

— Ja po prostu w to nie wierzę.

— No to przyjmijmy, że jest to przypadek czysto hipotetyczny. Jak byś się czuł, gdybym była robotem, którego nie można odróżnić od człowieka?

Pelorat strzelił nagle palcami prawej ręki.

— Wiesz, są legendy o kobietach, które zakochały się w sztucznych mężczyznach, i odwrotnie. Zawsze myślałem, że ma to jakieś alegoryczne znaczenie i nigdy nie przyszło mi do głowy, że te opowieści mogą być prawdziwe… Oczywiście ani Golam ani ja nie znaliśmy nawet słowa „robot", dopóki nie wylądowaliśmy na Sayshell, ale kiedy teraz o tym myślę, to jestem przekonany, że te sztuczne kobiety i sztuczni mężczyźni byli robotami. Najwidoczniej w bardzo dawnych czasach istniały takie roboty. Znaczy to, że te legendy trzeba będzie przeanalizować na nowo…

Umilkł nagle i zamyślił się. Bliss czekała chwilę, a kiedy nadal milczał, klasnęła głośno w dłonie. Pelorat podskoczył.

— Pel, kochany — powiedziała Bliss. — Uciekasz w tę swoją mitologię, żeby uchylić się od odpowiedzi na moje pytanie. Pytam więc ponownie: I „Jak byś się czuł, kochając się z robotem?"

Popatrzył na nią z zakłopotaniem.

— Z takim, którego naprawdę nie można odróżnić od człowieka? Z absolutnie nieodróżnialnym?

— Tak.

— Wydaje mi się, że robot, którego w żaden sposób nie można odróżnić od człowieka, jest człowiekiem. Gdybyś była takim robotem, to dla mnie byłabyś człowiekiem.

— To właśnie chciałam usłyszeć, Pel.

Pelorat czekał chwilę, a potem powiedział:

— No, teraz kiedy już to usłyszałaś powiesz mi chyba, że jesteś prawdziwą istotą ludzką i że nie muszę już się zmagać z hipotetycznymi sytuacjami?

— Nie. Nie powiem nic takiego. Zdefiniowałeś istotę ludzką jako obiekt, który posiada wszystkie własności istoty ludzkiej. Jeśli stwierdzasz, że ja mam wszystkie te własności, to zamyka to dyskusję. Mamy definicję operacyjną i nie potrzeba nam innej. Zresztą skąd

mogę wiedzieć, czy ty sam nie jesteś robotem, którego nie można odróżnić od prawdziwego człowieka?

— Stąd, że ja to mówię.

— Tak, tylko że gdybyś był robotem, którego nie można odróżnić od człowieka, to może byłbyś tak skonstruowany, żeby mi powiedzieć, że jesteś człowiekiem i może nawet tak by cię zaprogramowano, żebyś sam wierzył, że tak jest. Nie mamy i nie możemy mieć nic oprócz tej definicji operacyjnej.

Zarzuciła Peloratowi ramiona na szyję i pocałowała go. Pocałunek był długi i namiętny. W końcu Pelorat zdołał wykrztusić:

— Przecież obiecaliśmy Trevizemu, że nie będziemy go stawiać w kłopotliwej sytuacji, przekształcając ten statek w przybytek miłości.

— Dajmy się ponieść uczuciom i nie myślmy o obietnicach — powiedziała zalotnie Bliss.

Pelorat rzekł z zakłopotaniem:

— Nie mogę tego zrobić, kochanie. Wiem, że musi cię to irytować, Bliss, ale taką już mam naturę, że nie mogę przestać myśleć i poddać się emocjom. Byłoby to sprzeczne z moimi zwyczajami. Prawdopodobnie dla innych te zwyczaje są denerwujące, ale nic na to nie poradzę. Nie zdarzyło mi się spotkać kobiety, która po pewnym okresie pożycia ze mną nie zgłaszałaby z tego powodu pretensji. Moja pierwsza żona… ale obawiam się, że to nie jest odpowiedni temat do rozmowy z tobą…

— Raczej nie; ale nie obrażam się o to. Ty też nie jesteś moim pierwszym mężczyzną.

— Och! — powiedział Pelorat, nie bardzo wiedząc, jak się ma zachować, ale zaraz, dostrzegając uśmiech Bliss, dodał: — Ależ oczywiście. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że jestem. W każdym razie mojej pierwszej żonie nie podobało się to.

— Ale mnie się podoba. Uważam, że to twoje ustawiczne pogrążanie się w myślach jest bardzo pociągające.

— Nie wierzę w to, ale właśnie nasunęła mi się inna myśl. Robot czy człowiek, to nie ma znaczenia. Zgadzamy się co do tego. Jednakże jestem izolem. Wiesz o tym. Nie jestem częścią Gai i kiedy kochamy się, twoje uczucia kierują się poza Gaję. Jest tak nawet wtedy, kiedy pozwalasz mi na krótko złączyć się z Gają. Być może nie przeżywasz tego tak intensywnie, jak mogłabyś przeżywać, gdybyś kochała się z kimś należącym do Gai.

— Miłość do ciebie i z tobą, Pel, ma swoje uroki — rzekła na to Bliss. — Nie chcę niczego więcej.

— Ale to nie jest tylko twoja sprawa. Nie jesteś tylko i po prostu sobą. A jeśli Gaja uważa, że twoja miłość do mnie to perwersja?

— Gdyby tak było, to wiedziałabym o tym, gdyż jestem Gają. Skoro ja znajduję w tym przyjemność, to Gaja też. Kiedy kochamy się,

cała Gaja czuje w jakimś stopniu rozkosz. Kiedy mówię, że cię kocham, to znaczy to, że kocha cię Gaja, chociaż tylko ta jej część, którą jestem ja, bierze w tym bez, pośredni udział… Wyglądasz na speszonego.

— Będąc izolem, Bliss, nie jestem w stanie dokładnie tego zrozumieć.

— Zawsze można przeprowadzić porównanie z ciałem izola. Kiedy wygwizdujesz jakąś melodię, to całe twoje ciało, ty jako organizm, chce wygwizdywać tę melodię, ale bezpośredni udział w tym procesie biorą tylko twoje usta, język i płuca. Duży palec u prawej nogi nie robi nic.

— Może przytupywać do taktu.

— Ale nie jest to niezbędne do wykonania tej czynności. Przytupywanie nie jest tą czynnością, lecz reakcją na nią. Podobnie wszystkie części Gai mogą w jakiś sposób reagować na moje emocje, a ja z kolei na ich emocje.

— Myślę, że nie ma sensu przejmować się tym rzekł Pelorat.

— Oczywiście, że nie.

— A jednak czuję z tego powodu jakąś dziwną odpowiedzialność. Kiedy staram się, żebyś była ze mną szczęśliwa, to wydaje mi się, że muszę starać się o to, żeby każdy organizm na Gai był szczęśliwy.

— Każdy atom… ale przecież w istocie robisz to. Przyczyniasz się do tej wspólnej radości, w której pozwalam ci krótko uczestniczyć. Myślę, że twój udział jest za mały, aby można go było łatwo zmierzyć, ale też się liczy i, wiedząc o tym, powinieneś odczuwać jeszcze większą przyjemność.

— Chciałbym mieć pewność — powiedział Pelorat — że Golan jest tak zajęty tym swoim manewrowaniem w nadprzestrzeni, że jeszcze przez pewien czas zostanie w sterowni.

— Chcesz skorzystać z uciech miesiąca miodowego, co?

— Tak.

— No to weź kartkę, napisz na niej „Przybytek Miłości”, przyczep ją do drzwi i jeśli będzie chciał tu wejść, to jego zmartwienie.

Pelorat zrobił, jak mu powiedziała Bliss, i kiedy tuż potem oddali się nader przyjemnym zajęciom, „Odległa Gwiazda” wykonała skok. Żadne z nich w ogóle nie zauważyło jakiejkolwiek zmiany. Zresztą nie zauważyliby żadnej zmiany, nawet gdyby starali się ją zauważyć.

10

Minęło zaledwie kilka miesięcy od czasu, kiedy Pelorat poznał Trevizego i opuścił Terminus. Zanim jednak to się stało, przeżył ponad pół wieku (według standardowego czasu galaktycznego) nie wychylając nosa poza planetę.

W swoim mniemaniu stał się w czasie tych kilku miesięcy starym wygą przestrzeni. Oglądał z przestrzeni trzy planety: Terminusa, Sayshell i Gaję. A teraz oglądał czwartą, choć tylko na ekranie, uchwyconą przez sterowany komputerem teleskop. Tą czwartą był Comporellon. I po raz czwarty czuł się dziwnie rozczarowany. Nadal bowiem wyobrażał sobie, że patrząc z przestrzeni na zamieszkany świat powinno się widzieć kontury kontynentów otoczonych morzem albo kontury jezior otoczonych lądem, gdyby oglądany świat był akurat suchą planetą.

Tymczasem rzeczywistość zawsze była inna. Jeśli świat nadawał się do zamieszkania, to miał zarówno atmosferę, jak i hydrosferę. A skoro była tam i woda, i powietrze, to były też chmury, a skoro były chmury, to przesłaniały widok z przestrzeni. A więc Pelorat raz jeszcze stwierdził, że widzi tylko wirujące białe chmury, spoza których mignie niekiedy skrawek wypłowiałego błękitu lub rdzawa plama.

Zastanawiał się ponuro, czy ktoś potrafiłby zidentyfikować jakikolwiek świat z odległości, powiedzmy, trzech tysięcy kilometrów, oglądany do tego na ekranie. Jak można odróżnić jeden kłąb wirujących chmur od innego?

Bliss spojrzała na Pelorata z pewnym niepokojem.

— O co chodzi, Pel? Masz taką nieszczęśliwą minę.

— Przekonałem się, że wszystkie planety oglądane z przestrzeni wyglądają tak samo.

— No i co z tego, Janov? — powiedział Trevize. — Wszystkie wyspy na Terminusie wyglądają tak samo, jeśli widzisz je na linii horyzontu… chyba że wiesz, czego wypatrywać, na przykład szczytu jakiejś góry albo jakiegoś charakterystycznego półwyspu.

— Zapewne — odparł Pelorat z wyraźnym niezadowoleniem — ale czego można wypatrywać w masie wirujących chmur? A nawet jeśli spróbujesz coś tam dojrzeć, to zanim zorientujesz się, czy to jest właśnie to, czego szukasz, znajdziesz się prawdopodobnie z drugiej, nie oświetlonej strony planety.

— Przypatrz się lepiej, Janov. Jeśli skoncentrujesz uwagę na kształcie chmur, to przekonasz się, że układają się one w pewien wzór. Całość otacza planetę i krąży wokół swego środka. Ten środek wypada mniej więcej nad jednym z biegunów planety.

— Nad którym? — spytała z zaciekawieniem Bliss.

— Ponieważ z naszego punktu widzenia planeta kręci się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, to na mocy definicji — patrzymy na jej południowy biegun. Dalej, ponieważ środek tego wiru zdaje się być oddalony o około piętnaście stopni od terminatora — to ta linia cienia — a oś planety nachylona jest o dwadzieścia jeden stopni w kierunku prostopadłej płaszczyzny jej obrotu, to znajdujemy się nad strefą, gdzie jest akurat pełnia wiosny albo pełnia lata. To, jaka jest faktycznie pora, zależy od tego, czy biegun przesuwa się w kierunku od czy do terminatora. Komputer może obliczyć orbitę planety i podać mi szybko dokładne dane. Stolica znajduje się na północ od równika, a więc jest tam teraz środek jesieni albo środek zimy.

Pelorat zmarszczył czoło. — To aż tyle możesz powiedzieć? — Spojrzał na warstwę chmur, jak gdyby myślał, że mu odpowie, ale oczywiście nic nie odpowiedziała.

— Nawet więcej — rzekł Trevize. — Jeśli spojrzysz na strefy wokół biegunów, to spostrzeżesz, że w warstwie chmur nie ma przerw, chociaż dalej od biegunów są takie przerwy. W rzeczywistości tam też są przerwy, ale widać przez nie lód, który też jest biały i stąd się bierze to złudzenie.

— No, faktycznie — odparł Pelorat. — Myślę, że gdzie jak gdzie, ale na biegunach można się spodziewać lodu.

— Oczywiście na biegunach zamieszkanych planet. Planety, na których nie istnieje życie, mogą być pozbawione wody albo powietrza, a jeśli jest na nich lód czy chmury, to pewne oznaki mogą świadczyć o tym, że ani ten lód, ani chmury nie składają się z wody.

Inna rzecz, która rzuca się w oczy, to obszar nieprzerwanej bieli po dziennej stronie terminatora. Doświadczone oko dostrzeże od razu, że obszar ten jest większy, niż to zazwyczaj bywa. Co więcej, jeśli się dokładnie przyjrzeć, to można zauważyć, że światło odbite od tej powierzchni ma lekko pomarańczowy odcień. Znaczy to, że słońce Comporellona jest zimniejsze niż słońce Terminusa. Chociaż Comporellon znajduje się bliżej swego słońca niż Terminus swego, to nie jest na tyle blisko, żeby mogło to skompensować niższą temperaturę jego słońca. Dlatego Comporellon jest, jak na zamieszkane światy, światem zimnym.

— Czytasz z tego obrazu jak z książki, stary rzekł z podziwem Pelorat.

— Nie wpadaj w zbytni zachwyt — powiedział, uśmiechając się, Trevize. — Komputer dostarczył mi odpowiednich danych statystycznych na temat tego świata, w tym średnie temperatury roczne, które są dość niskie. Łatwo jest wydedukować coś, o czym się już wie. Prawdę powiedziawszy, Comporellon znajduje się na progu ery lodowcowej i gdyby konfiguracja jego kontynentów była nieco inna, to era ta już by się zaczęła.

Bliss zagryzła usta. — Nie lubię zimna.

— Mamy ciepłe ubrania — powiedział Trevize.

— To nie ma znaczenia. Ludzie nie są przystosowani do zimnego klimatu. Naprawdę. Nie mamy — ani gęstych futer, ani upierzenia, ani podskórnej grubej warstwy tłuszczu. Jeśli jakiś świat ma zimny klimat, to wskazuje to na pewną obojętność, z jaką odnosi się do swoich części.

— A czy cała Gaja ma łagodny klimat? — spytał Trevize.

— Większa część. Jest trochę zimnych rejonów dla roślin i zwierząt przystosowanych do zimna i trochę gorących, dla roślin i zwierząt przystosowanych do takiego klimatu, ale na przeważającej części jej obszaru panuje klimat łagodny, gdzie nigdy nie jest zbyt gorąco ani zbyt zimno dla organizmów, włączając w to oczywiście organizmy ludzkie, które nie lubią takich skrajności.

— Włączając w to, oczywiście, organizmy ludzkie. Wszystkie części Gai są żywe i równe pod . tym względem, ale ludzie najwidoczniej są równiejsi.

— Nie bądź taki idiotycznie sarkastyczny — odcięła się Bliss. — Poziom i intensywność świadomości i wiedzy to ważne rzeczy. Człowiek jest bardziej pożyteczną częścią Gai niż skała o tej samej wadze, nic więc dziwnego, że właściwości i funkcje Gai jako całości ustawione są pod kątem potrzeb człowieka, jednak nie w takim stopniu jak na waszych światach. Co więcej, kiedy wymaga tego interes całej Gai, jej funkcje i właściwości ustawia się pod kątem jej innych części. Może się nawet zdarzyć, że będą ustawione pod kątem potrzeb jej skalnego wnętrza. Ono również wymaga opieki i gdyby jej zabrakło, mogłyby ucierpieć wszystkie części Gai. Nie chcielibyśmy przecież zbędnego wybuchu wulkanu, prawda?

— Faktycznie — odparł Trevize. — Zbędnego nie.

— Zrobiło to na tobie wrażenie, co?

— Słuchaj — rzekł Trevize — są światy, które są zimniejsze, niż się normalnie spotyka, i światy, które są cieplejsze, światy, których znaczne części pokrywają tropikalne lasy, i światy, na których olbrzymie obszary zajmują sawanny. Nie ma dwóch światów, które byłyby identyczne, a każdy z nich jest domem dla ludzi, którzy do niego przywykli. Ja jestem przyzwyczajony do dość łagodnego klimatu Terminusa — ujarzmiliśmy pogodę, tak że jest prawie taka, jak na Gai — ale lubię, przynajmniej na jakiś czas, znaleźć się w innym otoczeniu. Tym, Bliss, co mamy my, a czego nie ma Gaja, jest zróżnicowanie. Czy każdy świat będzie musiał zmienić swój klimat na łagodny, jeśli Gaja obejmie całą Galaktykę i stanie się Galsxią? Takie ujednolicenie byłoby nie do zniesienia.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, i jeśli różnorodność wydaje się pożądana, to zostanie utrzymana — odparła Bliss.

— Jako dar centralnego komitetu, co? — rzekł zimno Trevize. — I tylko tyle różnorodności, ile będziecie mogli ścierpieć, tak? Wolę pozostawić to naturze.

— Ale przecież nie pozostawiliście tego naturze. Każdy zamieszkany świat w Galaktyce został zmieniony. Każdy zastaliście takim, jakim go ukształtowała natura, w stanie pierwotnym, który wam nie odpowiadał, i każdy przekształciliście tak, aby uczynić go — w miarę swoich możliwości — jak najbardziej wygodnym. Jestem pewna, że ten świat tutaj jest zimny tylko dlatego, że jego mieszkańcy nie mogli uczynić go cieplejszym bez nadmiernego wydatku energii, a i tak te jego części, które są faktycznie zamieszkane, są na pewno sztucznie ogrzewane. A zatem nie bądź z tego taki dumny i nie opowiadaj, że zostawiliście to naturze.

— Przypuszczam, że mówisz w imieniu Gai rzekł Trevize.

— Zawsze mówię w jej imieniu. Jestem przecież Gają.

— To dlaczego Gaja potrzebowała mojej decyzji, skoro jest tak pewna swej wyższości? Dlaczego nie prze do przodu, nie oglądając się na mnie?

Bliss przez chwilę milczała, jakby zbierając myśli. Wreszcie powiedziała:

— Dlatego, że nie jest mądrze być zbyt pewnym swoich racji. Jest rzeczą naturalną i oczywistą, że wyraźniej dostrzegamy swoje zalety niż wady. Pragniemy robić to, co słuszne, lecz nie to, co nam się wydaje słuszne, ale co jest obiektywnie słuszne, jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak obiektywna słuszność. Ze wszystkich znanych nam osób ty wydajesz się najbliższy owej obiektywnej słuszności. Dlatego zdajemy się na ciebie.

— Tak — odparł ze smutkiem Trevize — jestem tak bliski obiektywnej słuszności, że nie rozumiem swej własnej decyzji i muszę szukać dla niej uzasadnienia.

— Znajdziesz je — powiedziała Bliss. — Mam nadzieję — odparł Trevize.

— Jeśli mam być szczery, stary — odezwał się Pelorat — to wydaje mi się, że w tej dyskusji górą jest Bliss. Dlaczego nie chcesz przyjąć do wiadomości faktu, że jej argumenty uzasadniają twoją decyzję?

— Dlatego — odparł szorstko Trevize — że w chwili kiedy ją podejmowałem, nie znałem tych argumentów. Nie znałem żadnych szczegółów dotyczących Gai. Coś na mnie wpłynęło, przynajmniej podświadomie. Coś, co nie zależy od tych szczegółów, coś, co ma zupełnie podstawowe znaczenie. I to coś muszę znaleźć.

Pelorat uniósł rękę w uspokajającym geście.

— Nie złość się, Golan.

— Nie złoszczę się. Ale żyję teraz w takim napięciu, że nie mogę

tego znieść. Nie chcę być centrum Galaktyki.

— Nie mam o to do ciebie pretensji — powiedziała Bliss — i naprawdę jest mi przykro, że twoja struktura psychiczna narzuciła ci w pewnym sensie taką rolę… Kiedy wylądujemy na Comporellonie?

— Za trzy dni — odparł Trevize — i to dopiero po przejściu przez któryś z tych posterunków granicznych na orbicie.

— Chyba nie powinno być z tym żadnych problemów, co? — spytał Pelorat.

Trevize wzruszył ramionami.

— To zależy od liczby statków, które chcą lądować, od liczby posterunków granicznych, a przede wszystkim od przepisów regulujących zasady udzielania i nieudzielania zgody na lądowanie. Takie przepisy od czasu do czasu się zmieniają.

— Jak to nieudzielania zgody? — rzekł z oburzeniem Pelorat. — Jak mogą nie udzielić zgody obywatelom Fundacji? Przecież Comporellon należy do Federacji?

— Hmm, i tak, i nie. To kwestia interpretacji prawnej. Nie wiem, jak oni to interpretują. Przypuszczam, że istnieje możliwość, że nie udzielą nam zgody na lądowanie, ale myślę zarazem, że to mało prawdopodobne.

— A co zrobimy, jeśli nam odmówią?

— Nie wiem — odparł Trevize. — Zamiast łamać sobie głowy nad tym, co zrobić, jeśli nas nie wpuszczą, lepiej poczekajmy i zobaczmy, co nam powiedzą.

11

Byli już tak blisko Comporellona, że widzieli go bez pomocy teleskopu jako dużą kulę. Kiedy patrzyli przez teleskop, widzieli też stacje graniczne. Znajdowały się one w dużo większej odległości od planety niż inne stacje orbitalne i były dobrze oświetlone.

Ponieważ „Odległa Gwiazda" zbliżała się do planety od strony jej południowego bieguna, widzieli półkulę cały czas skąpaną w świetle słonecznym. Naturalnie stacje graniczne znajdujące się po stronie pogrążonej w mroku nocy były lepiej widoczne, gdyż dzięki jasnemu oświetleniu wyraźnie odcinały się od ciemnego tła. Naliczyli ich sześć (bez wątpienia po oświetlonej stronie globu też było sześć stacji). Okrążały planetę z tą samą, jednakową prędkością.

Pelorat, nieco przestraszony tym widokiem, powiedział:

— Bliżej planety widać jakieś inne światła. Co to jest?

— Nie znam tej planety, więc nie mogę nic powiedzieć. Niektóre mogą być światłami orbitalnych fabryk, laboratoriów, obserwatoriów czy nawet miast. Pewne planety wolą, żeby obiekty znajdujące się na orbitach wokół nich, z wyjątkiem stacji granicznych, nie były oświetlone. Tak jest na przykład na Terminusie. Comporellon, jak widać, ma w tym względzie bardziej liberalne zasady.

— Do której stacji podlecimy, Golan?

— To zależy od nich. Wysłałem prośbę o pozwolenie na lądowanie i w końcu dostaniemy wskazówki, kiedy i do której stacji mamy podlecieć. Dużo zależy od tego, ile statków stara się w tej chwili o pozwolenie lądowania. Jeśli przy każdej stacji czeka tuzin statków, to nie mamy innego wyboru niż uzbroić się w cierpliwość.

— Do tej pory tylko dwa razy zdarzyło mi się znaleźć w odległości nadprzestrzennej od Gai, ale byłam wtedy albo na, albo blisko Sayshell. Nigdy nie byłam tak daleko jak teraz — powiedziała Bliss.

Trevize przyjrzał się jej bacznie.

— A czy to ma jakieś znaczenie? Jesteś przecież nadal Gają, prawda?

Bliss zrobiła zirytowaną minę, ale po chwili uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

— Muszę przyznać, że tym razem udało ci się mnie złapać. Słowo „Gaja" ma dwa znaczenia. Można go używać w odniesieniu do planety jako ciała niebieskiego, ale można go też używać w odniesieniu do żywego tworu, który obejmuje również to ciało. Właściwie powinniśmy używać dwu różnych słów na określenie tych dwu różnych pojęć, ale za każdym razem kontekst określa, w którym znaczeniu zostało to słowo użyte. Niemniej jednak muszę przyznać, że

izolowi może być czasem trudno w tym się połapać.

— No dobrze — rzekł Trevize — ale czy znajdując się wiele tysięcy parseków od planety Gaja, jesteś nadal częścią Gai jako żywego tworu?

— Jeśli o to chodzi, to nadal jestem Gają.

— Nie odczuwasz żadnego osłabienia więzi?

— W sprawach zasadniczych — nie. Na pewno już ci mówiłam, że kontakt z Gają przez nadprzestrzeń jest trochę skomplikowany, ale mimo to nadal jestem Gają.

— Nigdy nie przyszło wam do głowy — spytał Trevize — że Gaja to coś w rodzaju galaktycznego krakena, tego legendarnego potwora, którego macki sięgają wszędzie? Wystarczy, żebyście umieścili po kilku Gajan na każdym z zamieszkanych światów i już będziecie mieć tę waszą Galaxię. Zresztą prawdopodobnie już to zrobiliście. Gdzie umieściliście waszych ludzi? Przypuszczam, że jest co najmniej jeden na Terminusie i co najmniej jeden na Trantorze. Jak daleko się posunęliście?

Bliss miała niewyraźną minę.

— Powiedziałam, że nie będę cię okłamywała, Trevize, ale to nie znaczy, że muszę ci powiedzieć całą prawdę o nas. Są pewne rzeczy, o których nie musisz wiedzieć. Należy do nich sprawa rozmieszczenia i identyfikacji pojedynczych części Gai.

— A czy mogę wiedzieć, jaka jest przyczyna istnienia tych waszych macek, skoro nie mogę wiedzieć, dokąd one sięgają?

— Zdaniem Gai nie możesz.

— Przypuszczam, że mogę przynajmniej starać się odgadnąć. Uważacie się za strażników Galaktyki.

— Pragniemy silnej i bezpiecznej Galaktyki; Galaktyki, w której panuje pokój i ludziom żyje się dobrze. Plan Seldona, przynajmniej w swej pierwotnej postaci, ma na celu doprowadzić do powstania Drugiego Imperium Galaktycznego; do imperium, które byłoby trwalsze i bardziej operatywne niż pierwsze. Ten plan, stale udoskonalany przez Drugą Fundację, działa jak dotąd zupełnie dobrze.

— Ale Gaja nie chce utworzenia Drugiego Imperium Galaktycznego w klasycznej postaci, prawda? Chcecie Galaxii — żywej Galaktyki.

— Ponieważ pozwoliłeś na to, mamy nadzieję za jakiś czas osiągnąć swój cel. Gdybyś nie pozwolił, to dążylibyśmy do utworzenia Drugiego Imperium Galaktycznego, starając się, w miarę naszych możliwości, aby było jak najbardziej bezpieczne.

— No, ale co jest złego w … — W tym momencie do jego uszu dotarło ciche brzęczenie. — Wzywa mnie komputer — powiedział. — Przypuszczam, że otrzymuje właśnie instrukcje, do której stacji mamy podlecieć. Zaraz wrócę.

Wszedł do sterowni, ułożył dłonie we wgłębieniach na pulpicie i przekonał się, że komputer faktycznie otrzymał już instrukcje — współrzędne stacji granicznej, do której mieli się udać, określone w odniesieniu do linii przeprowadzonej od centrum Comporellona do jego bieguna północnego, drogi podejścia do tej stacji.

Trevize potwierdził odbiór instrukcji i wyprostował się w fotelu.

Plan Seldona! Prawie zapomniał o nim. Pierwsze Imperium Galaktyczne rozpadło się i od pięciuset lat rozwijała się Fundacja, najpierw we współzawodnictwie z Imperium, a potem na jego gruzach, cały czas w zgodzie z Planem.

Ten systematyczny rozwój został na pewien czas przerwany przez Muła. Planowi groziło unicestwienie, ale ostatecznie Fundacja wyszła z tego cało, prawdopodobnie z pomocą cały czas kryjącej się przed nią Drugiej Fundacji, a być może z pomocą jeszcze lepiej ukrytej Gai.

Teraz jednak Plan stanął w obliczu niebezpieczeństwa o wiele poważniejszego niż Muł. Zamiast do restauracji Imperium miał doprowadzić do czegoś niespotykanego dotąd w dziejach ludzkości, do Galaxii. A on, Trevize, zgodził się na to.

Dlaczego? Czyżby w Planie był jakiś błąd? Czyżby oparty był on na jakimś błędnym założeniu? Przez chwilę wydawało się Trevizemu, że istotnie kryje się tam jakiś błąd i że, co więcej, wie on, na czym ten błąd polega i że wiedział to w chwili, kiedy podejmował tę decyzję, ale to wrażenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło, i został z niczym.

Być może było to tylko złudzenie, zarówno wtedy, kiedy podejmował decyzję, jak i teraz. W końcu, poza podstawowymi przesłankami, na których opierała się psychohistoria, nie wiedział o Planie absolutnie nic. Nie znał żadnych jego szczegółów, nie miał pojęcia o matematyce, na której Plan się opierał.

Zamknął oczy i wytężył umysł…

I nic.

A może pomógł mu dostrzec to komputer? Położył dłonie na pulpicie i poczuł na nich ciepły uścisk komputera. Ponownie zamknął oczy i wytężył umysł…

I znowu nic.

12

Comporellianin, który wszedł na ich statek, miał przypiętą do munduru holograficzną kartę identyfikacyjną. Przedstawiała ona niezwykle wiernie jego pucołowatą, pokrytą lekkim zarostem twarz. Pod zdjęciem widniało jego nazwisko, A. Kendray.

Był raczej niski, o lekko zaokrąglonej, pasującej do twarzy figurze. Zachowywał się swobodnie i z widocznym zdumieniem rozglądał się po statku.

— W jaki sposób zjawiliście się tutaj tak szybko? — spytał. — Nie spodziewaliśmy się was wcześniej niż za dwie godziny.

— To statek nowego typu — powiedział grzecznie, lecz wymijająco Trevize.

Kendray nie był jednak taki naiwny, na jakiego wyglądał. Wszedł do sterowni i od razu powiedział:

— Napęd grawitacyjny?

Trevize nie widział powodu, żeby zaprzeczać rzeczom oczywistym.

— Tak — odpowiedział obojętnym tonem.

— To bardzo interesujące. Słyszy się o nich, ale jakoś nie można ich zobaczyć. Silniki w obudowie kadłuba?

— Tak.

Kendray spojrzał na komputer. — Obwody komputera też?

— Tak. W każdym razie tak mi powiedziano. Nie sprawdzałem.

— W porządku. Mnie potrzebne są tylko dane statku: numer silnika, miejsce produkcji, kod identyfikacyjny, wszystkie te historie. Na pewno jest to w komputerze i za pół sekundy mogę dostać wszystko na właściwym blankiecie.

Istotnie zajęło to tylko trochę więcej czasu. Kendray znowu rozejrzał się.

— Jest was tylko troje?

— Zgadza się — odparł Trevize.

— Macie jakieś zwierzęta? Rośliny? Stan zdrowia?

— Nie. Stan zdrowia dobry — odparł krótko Trevize.

— Taa… — mruknął Kendray, zapisując to w notesie. — Mógłby pan włożyć tu dłoń? To po prostu formalność… Prawą.”

Trevize popatrzył nieprzychylnym okiem na przyrząd, który wyciągnął Kendray. Był on coraz powszechniej używany i ustawicznie udoskonalany. Wystarczył rzut oka na mikrodetektor, żeby się zorientować, czy dany świat jest zacofany czy nie. Było niewiele światów, choćby nie wiadomo jak zacofanych, które w ogóle nie używały mikrodetektorów. Zaczęły wchodzić w użycie tuż po ostatecznym upadku Imperium, kiedy każdy świat powstały na jego

gruzach zaczął dbać o to, żeby nie przeniknęły tam choroby i drobnoustroje z innych światów.

— Co to jest? — spytała z zaciekawieniem Bliss, wyciągając szyję jak żuraw, żeby lepiej przyjrzeć się instrumentowi.

— Zdaje mi się, że to się nazywa mikrodetektor — powiedział Pelorat.

— Nie ma w tym nic tajemniczego — dodał Trevize. — To urządzenie automatycznie sprawdza jakąś część ciała, zarówno z zewnątrz, jak i od wewnątrz, i wykrywa drobnoustroje, które mogą przenosić choroby.

— To tutaj także je klasyfikuje — powiedział Kendray z dumą. — Zostało wykonane u nas, na Comporellonie… Może jednak będzie pan uprzejmy włożyć tu prawą dłoń.

Trevize włożył rękę i patrzył, jak na ekranie, wzdłuż poziomych linii, miga ciąg czerwonych kropek. Kendray wcisnął guzik i w otworze ukazało się kolorowe zdjęcie obrazu.

— Zechce pan to podpisać — powiedział.

Trevize złożył swój podpis.

— No i jak wypadłem? — spytał. — Chyba nie grozi mi żadna niebezpieczna choroba?

— Nie jestem lekarzem — odparł Kendray więc trudno mi powiedzieć coś konkretnego, ale aparat nie wykazuje niczego, co dawałoby podstawę do odmówienia panu prawa lądowania albo do poddania pana kwarantannie. Nic więcej mnie nie interesuje.

— Co za szczęściarz ze mnie — powiedział sucho Trevize, potrząsając ręką, aby pozbyć się uczucia lekkiego mrowienia.

— Teraz pan — powiedział Kendray.

Pelorat włożył z pewnym ociąganiem dłoń do otworu aparatu, a potem podpisał zdjęcie.

— A pani?

Chwilę potem Kendray, gapiąc się na wynik badania, powiedział:

— Nigdy dotąd nie widziałem nic podobnego. Spojrzał na Bliss z wyrazem lęku na twarzy. — Ma pani wynik ujemny. Całkowicie ujemny.

Bliss uśmiechnęła się ujmująco. — Miło to usłyszeć.

— Tak, proszę pani. Zazdroszczę pani — spojrzał ponownie na pierwsze zdjęcie i powiedział: Poproszę pański dowód tożsamości, panie Trevize.

Trevize wręczył mu swój dowód. Kendray spojrzał na niego i znowu podniósł głowę z zaskoczeniem:

— Radny z Terminusa?

— Zgadza się.

— To wysoka ranga w administracji Fundacji.

— Zgadza się dokładnie — powiedział chłodno Trevize. — A więc

załatwimy wreszcie te formalności, co?

— Pan jest kapitanem tego statku?

— Tak, ja.

— Cel wizyty?

— Bezpieczeństwo Fundacji. To wszystko, co mam panu do powiedzenia na ten temat. Rozumie pan?

— Tak, proszę pana. Jak długo ma pan zamiar tu się zatrzymać?

— Nie wiem. Może tydzień.

— Dobrze. A ten drugi pan?

— To profesor Janov Pelorat — powiedział Trevize. — Ma pan tu jego podpis, a poza tym mogę zaręczyć za niego. Jest naukowcem na Terminusie, a w tej wyprawie jest moim pomocnikiem.

— Rozumiem, proszę ~ pana, ale muszę zobaczyć jego dowód tożsamości. Przepisy to przepisy i nic na to nie poradzę. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Pelorat pokazał swoje papiery. Kendray skinął głową.

— A pani? — powiedział.

— Obawiam się, że nie mam żadnych papierów, proszę pana — odparła Bliss.

Kendray zmarszczył czoło. — Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Ta pani nie zabrała dokumentów ze sobą wtrącił się Trevize. — To zwykłe przeoczenie, ale wszystko jest w porządku. Całą odpowiedzialność za to biorę na siebie.

— Bardzo żałuję, ale nie mogę się na to zgodzić — rzekł Kendray. — To ja jestem odpowiedzialny za wszystko, co się tu dzieje. W tych warunkach nie jest to zresztą takie ważne. Nie powinno być żadnych kłopotów z uzyskaniem duplikatów. Ta młoda dama, jak sądzę, jest z Terminusa.

— Nie.

— A więc z jakiegoś świata Fundacji?

— Prawdę mówiąc, nie.

Kendray spojrzał uważnie na Bliss, a potem na Trevizego.

— To komplikuje sprawy, panie radny — powiedział. — Uzyskanie duplikatów ze świata nie należącego do Fundacji może zabrać więcej czasu. Skoro nie jest pani obywatelką Fundacji, pani Bliss, musi mi pani podać nazwę świata, na którym się pani urodziła, i nazwę świata, którego jest pani obywatelką. Potem będzie pani musiała zaczekać, aż dotrą tu duplikaty pani dokumentów.

— Niech pan posłucha, panie Kendray — powiedział Trevize. — Nie widzę powodu, żeby to przeciągać. Jestem członkiem rządu Fundacji i przybywam tu w sprawach wielkiej wagi. Nie mogę tracić czasu z powodu jakichś błahych papierków.

— Nic na to nie poradzę, panie radny. Gdyby to zależało ode mnie, to moglibyście zaraz lecieć na Comporellon, ale niestety mam tu

grubą księgę przepisów, które precyzyjnie określają moje obowiązki. Muszę się do nich ściśle stosować albo wylecę z pracy… Przypuszczam, oczywiście, że czeka na pana jakaś ważna osoba z naszego rządu. Jeśli zechce pan podać mi jej nazwisko, to zaraz skontaktuję się z nią i jeśli poleci mi, abym państwa wpuścił, to natychmiast to zrobię.

Trevize zawahał się.

— To byłoby niedyplomatyczne, panie Kendray. Czy mogę się zobaczyć z pana bezpośrednim przełożonym?

— Oczywiście, ale nie można tego załatwić od ręki…

— Jestem pewien, że zjawi się tu natychmiast, kiedy się dowie, że ma rozmawiać z przedstawicielem władz Fundacji…

— Prawdę mówiąc — rzekł Kendray — tak między nami, to by tylko pogorszyło sprawy. Rozumie pan, nie jesteśmy częścią Fundacji. Oficjalnie występujemy jako państwo stowarzyszone i traktujemy tę nazwę poważnie. Nie chcemy uchodzić za marionetki w rękach Fundacji — cytuję tylko powszechną opinię, proszę mnie dobrze zrozumieć — i na wszelkie sposoby demonstrujemy niezależność. Mój przełożony dostałby dodatkowe punkty za to, że nie zgodził się potraktować członka władz Fundacji ze specjalnymi względami.

Trevize spochmurniał. — Pan też? — spytał.

Kendray potrząsnął głową. — Mnie nie interesuje polityka. Mnie nikt nie daje za nic dodatkowych punktów. Jestem zadowolony, że dostaję pensję. Ale chociaż nie dostaję za nic dodatkowych punktów, to mogę dostać naganę, i to bardzo łatwo. Nie chcę, żeby mnie to spotkało.

— Niech pan zważy, jaką mam pozycję. Mogę panu pomóc, rozumie pan?

— Nie, proszę pana. Przepraszam, jeśli czuje się pan tym urażony, ale nie sądzę, żeby mógł pan to zrobić… I jeszcze jedno — niezręcznie mi o tym mówić, ale proszę nie dawać mi żadnych prezentów. Funkcjonariusz, który zgodzi się na coś takiego, zostaje przykładnie ukarany i z miejsca wylatuje z pracy.

— Nie miałem zamiaru próbować pana przekupić. Myślę tylko o tym, co może panu zrobić burmistrz Terminusa, jeśli utrudni mi pan wykonanie zadania.

— Panie radny, dopóki stosuję się do przepisów, nic mi nie grozi. Jeśli członkowie naszego prezydium zostaną za to w jakiś sposób ukarani przez Fundację, to ich zmartwienie, a nie moje… Ale jeśli może to w czymś panu pomóc, to mogę przepuścić pana i profesora Pelorata. Zostawcie panią Bliss tutaj i jak tylko dotrą duplikaty jej dokumentów, przetransportujemy ją na planetę. Gdybyśmy, z jakiegoś powodu, nie mogli uzyskać jej papierów, to odeślemy ją na jej świat naszym statkiem handlowym. Obawiam się jednak, że w takim

przypadku ktoś musiałby zapłacić za podróż.

Trevize spostrzegł, jak zareagował na to Pelorat i powiedział:

— Panie Kendray, czy mógłbym porozmawiać z panem chwilę na osobności, w sterowni?

— Proszę bardzo, ale nie mogę tu przebywać za długo, bo będą pytania.

— To nie zajmie dużo czasu — rzekł Trevize.

Kiedy weszli do sterowni, Trevize dokładnie zamknął drzwi, starając się, aby nie uszło to uwagi Kendraya, a potem powiedział cicho:

— Byłem już w wielu miejscach, panie Kendray, ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się znaleźć w miejscu, gdzie by tak skrupulatnie przestrzegano przepisów wjazdowych, szczególnie w odniesieniu do ludzi z Fundacji i do członków jej władz.

— Ale ta kobieta nie pochodzi z Fundacji.

— Mimo wszystko.

— W tych sprawach raz jest tak, raz inaczej. Mieliśmy ostatnio parę afer i stąd te obostrzenia. Może gdyby przyleciał pan za rok, to nie byłoby żadnych problemów, ale teraz nie mogę nic dla pana zrobić.

— Niech pan spróbuje, panie Kendray — powiedział Trevize aksamitnym głosem. — Zdaję się na pana łaskę i proszę jak mężczyzna mężczyznę. Ja i Pelorat jesteśmy już ładny kawałek czasu w tej podróży. Przez cały ten czas byliśmy tylko we dwóch. Tylko on i ja. Jesteśmy, co prawda, przyjaciółmi, ale zaczęła nam doskwierać samotność. Myślę, że pan wie, co mam na myśli. No i niedawno Pelorat znalazł tę panienkę. Nie muszę panu chyba wyjaśniać, co potem nastąpiło, w każdym razie postanowiliśmy zabrać ją ze sobą. To, że możemy od czasu do czasu skorzystać z jej usług, dobrze nam robi. Otóż sęk w tym, że Pelorat zostawił kogoś na Terminusie. Mnie jest wszystko jedno, rozumie pan, ale on jest już w wieku, kiedy człowiek robi się trochę, no… uczuciowy. Przeżywa drugą młodość czy coś w tym stylu. W każdym razie on nie chce się z nią rozstać. Z drugiej strony, jeśli gdzieś pojawi się choćby wzmianka o niej, to Pelorat może mieć spore kłopoty, kiedy wróci na Terminusa.

Nie ma w tym nic złego, niech mnie pan zrozumie. Panna Bliss, jak się sama przedstawia — nawiasem mówiąc, imię odpowiednie dla dziewczyny tej profesji — nie jest zbytnio rozgarnięta. Nie dlatego przecież wzięliśmy ją ze sobą. Musi pan w ogóle wspominać o niej? Nie może pan przymknąć na to oczu i zapisać, że na statku jesteśmy tylko ja i Pelorat? W dokumentach statku figurujemy tylko my dwaj. Nie musi pan w ogóle odnotowywać oficjalnie jej obecności. W końcu jest zupełnie zdrowa. Sam pan to stwierdził.

Kendray zrobił niepewną minę.

— Ja naprawdę nie chcę wam przeszkadzać. Rozumiem waszą sytuację i, niech mi pan wierzy, współczuję wam. Jeśli myśli pan, że mieć przez parę miesięcy służbę na tej stacji to przyjemność, to jest pan w błędzie. I nie ma tu mieszanej załogi, na Comporellonie to nie do pomyślenia. — Potrząsnął głową. — Ja też mam żonę, więc rozumiem… ale nawet jeśli was przepuszczę, to jak tylko zorientują się, że ta… no… ta panienka nie ma dokumentów, to wsadzą ją do więzienia, a pan i pan Pelorat będziecie mieli akurat takie kłopoty, jakich chcecie uniknąć. A ja na pewno wylecę z pracy.

— Panie Kendray — rzekł Trevize — proszę mi zaufać. Jak tylko znajdę się na Comporellonie, będzie po kłopotach. Mogę o tym porozmawiać z właściwymi ludźmi. Wezmę na siebie całkowitą odpowiedzialność za to, co się tu wydarzyło, jeśli kiedykolwiek wyjdzie to na jaw, w co wątpię. Co więcej, zarekomenduję pana na wyższe stanowisko i na pewno dostanie pan awans, bo jeśli ktoś będzie miał co do tego jakieś wątpliwości, to dopilnuję, żeby Terminus je rozwiał… A Pelorat odetchnie.

Kendray wahał się chwilę, a w końcu powiedział: — Zgoda. Przepuszczę was… ale ostrzegam, że od tej chwili począwszy zaczynam myśleć o tym, jak ocalić swój tyłek, jeśli się ta sprawa wyda. Nie będę was krył. Poza tym ja wiem, jak te sprawy wyglądają na Comporellonie, a wy nie i muszę panu powiedzieć, że nie jest to przyjemne miejsce dla ludzi, którzy wyłamują się z reguł.

— Dziękuję panu, panie Kendray — powiedział Trevize. — Nie będzie żadnych kłopotów. Zapewniam pana.

4. Na Comporellonie

13

Przepuszczono ich. Stacja graniczna została daleko w tyle i malała coraz bardziej, wyglądając jak odległa, szybko tracąca blask gwiazda. Za parę godzin powinni przejść przez warstwę chmur otulającą planetę.

Statek o napędzie grawitacyjnym nie musiał podchodzić do lądowania wykonując wokół planety wiele okrążeń o coraz mniejszym promieniu, ale też nie mógł zniżyć się zbyt gwałtownie. To, że nie podlegał działaniu siły ciężkości, nie znaczyło jednak, że nie działał nań opór powietrza. Mógł wprawdzie schodzić ku planecie po linii prostej, ale manewr ten należało wykonywać bardzo ostrożnie — prędkość nie mogła być zbyt duża.

— Gdzie się kierujemy? — spytał Pelorat ze zdezorientowaną miną. — W tych chmurach nie potrafię odróżnić jednego miejsca od drugiego.

— Ja też nie — powiedział Trevize — ale mamy tu urzędową mapę holograficzną Comporellona, na której widać kształty lądów i trochę przerysowaną rzeźbę terenu — wzniesienia na lądzie i głębiny morskie, a także podział administracyjny planety. Wprowadziłem mapę do komputera i on już zrobi, co trzeba. Porówna widok powierzchni z mapą, ustalając w ten sposób położenie statku, a potem skieruje statek po cykloidzie do stolicy.

— Jeśli polecimy do stolicy, to wpadniemy w wir polityki — powiedział Pelorat. — Jeśli panują tu, jak sugerował ten facet na stacji granicznej, nastroje antyfundacyjne, to napytamy sobie kłopotów.

— Ale stolica musi być intelektualnym centrum planety, a więc jeśli chcemy uzyskać jakieś informacje, to tylko tam — rzekł Trevize. — Co się tyczy nastrojów antyfundacyjnych, to wątpię, aby okazywali je otwarcie. To, że burmistrz nie darzy mnie zbytnią sympatią, nie znaczy, że mogłaby dopuścić do tego, aby potraktowano tu źle radnego z Terminusa. Mogłoby to stworzyć niebezpieczny precedens.

Z toalety wyszła Bliss. Miała jeszcze wilgotne ręce. Poprawiła bez śladu zażenowania majtki i powiedziała:

— Tak zupełnie na marginesie: myślę, że nasze odchody podlegają dokładnej utylizacji.

— Nie mamy wyboru — powiedział Trevize. Jak myślisz, na ile starczyłyby nasze zapasy wody, gdybyśmy nie uzdatniali i nie wykorzystywali tej, która jest w odchodach? A na czym rosną te smakowite drożdżowe ciasteczka, którymi urozmaicamy mrożonki, co? Mam nadzieję, moja ty wydajna panno, że to ci nie zepsuje apetytu.

— A niby dlaczego miałoby mi to zepsuć apetyt? Jak myślisz,

skąd się bierze woda i żywność na Gai, na tej planecie czy na Terminusie?

— Oczywiście na Gai odchody są tak samo żywe jak ty — powiedział Trevize.

— Nie żywe. Świadome, a to duża różnica. Naturalnie poziom ich świadomości jest bardzo niski.

Trevize pociągnął wymownie nosem, ale powstrzymał się od komentarza.

— Idę do sterowni dotrzymać towarzystwa komputerowi — powiedział. — Nie znaczy to bynajmniej, że jestem mu potrzebny.

— Możemy iść z tobą? — spytał Pelorat. — Nie mogę się przyzwyczaić do tego, że on sam prowadzi statek, że potrafi wyczuć inne statki, burze czy co tam jeszcze…

Trevize uśmiechnął się szeroko.

— Musisz się do tego przyzwyczaić. Statek jest o wiele bezpieczniejszy pod jego kontrolą niż pod moją… Ale oczywiście możecie iść ze mną. Dobrze wam zrobi, jeśli sobie trochę popatrzycie.

Znajdowali się teraz nad oświetloną półkulą, gdyż, jak wyjaśnił im Trevize, komputerowi było łatwiej porównać mapę z powierzchnią planety w słońcu niż w ciemności.

— To oczywiste — powiedział Pelorat.

— Wcale nie takie oczywiste. Komputer może równie szybko działać w podczerwieni, którą powierzchnia emituje w ciemnościach, jak przy świetle dziennym. Jednakże fale promieniowania podczerwonego są dłuższe, przez co komputer nie ma takiego rozeznania jak przy świetle widzialnym. To znaczy w podczerwieni komputer nie widzi tak ostro i dokładnie jak przy świetle dziennym i dlatego, jeśli nas nic nie pili, to wolę ułatwić mu zadanie.

— A jeśli stolica leży na półkuli, która jest teraz w cieniu?

— Mamy szanse pół na pół, że leży z tej strony — powiedział Trevize — ale kiedy już komputer zgra mapę z terenem, to poprowadzi nas bezbłędnie do stolicy, nawet gdyby znajdowała się na zaciemnionej półkuli. A poza tym, zbliżając się do niej, będziemy przechodzili przez pasma fal ultrakrótkich i dostaniemy wskazówki, jak dotrzeć do najdogodniejszego portu… Nie ma się czym martwić.

— Jesteś tego pewien? — spytała Bliss. — Wieziecie mnie bez dokumentów, nie mogąc podać nazwy mojej ojczystej planety, którą by ci ludzie tutaj znali i zaakceptowali, a ja jestem zdecydowana w żadnym przypadku nie zdradzić nazwy Gai. Co zrobimy, jeśli zażądają ode mnie dokumentów?

— To raczej nieprawdopodobne — odparł Trevize. — Każdy będzie myślał, że zostały sprawdzone na stacji granicznej.

— No ale jeśli jednak ich zażądają?

— No to wtedy będziemy się martwić. Na razie nie stwarzajmy

sztucznych problemów.

— Kiedy się pojawią problemy, może być za późno, żeby je rozwiązać.

— Ufam w swoją pomysłowość i nie boję się, że będzie za późno.

— Skoro już o tym mowa, to jakim sposobem udało ci się przekonać tego człowieka na stacji, żeby nas przepuścił?

Trevize popatrzył na Bliss i uśmiechnął się szelmowsko. Wyglądał zupełnie jak kilkunastoletni łobuziak cieszący się z wyrządzonej psoty.

— Główka pracuje.

— No, ale co zrobiłeś, stary? — spytał Pelorat.

— Trzeba było po prostu zwrócić się do niego we właściwy sposób. Próbowałem gróźb i przekupstwa. Apelowałem do jego rozsądku i lojalności wobec Fundacji. Wszystko na próżno, więc została ostatnia deska ratunku. Powiedziałem mu, Janov, że zdradzasz żonę.

— Żonę? Przecież ja nie mam żadnej żony, stary!

— Wiem, ale on o tym nie wiedział.

— Zdaje mi się, że przez „żonę" rozumiecie stałą towarzyszkę jakiegoś mężczyzny — powiedziała Bliss.

— Coś więcej, Bliss — rzekł Trevize. — Legalną towarzyszkę, taką, która w rezultacie tego związku ma pewne niepodważalne prawa.

— Bliss, ja nie mam żony — rzekł ze zdenerwowaniem Pelorat. — Byłem parę razy żonaty, ale już od dawna nie jestem. Gdyby ci zależało na formalnym potwierdzeniu naszego związku…

— Och, daj sposób, Pel — powiedziała Bliss, machnąwszy ręką — dlaczego miałoby mi na tym zależeć? Mam nieprzeliczone rzesze towarzyszy, którzy są mi tak bliscy, jak twoja jedna ręka drugiej. Tylko izole czują się tak samotni i wyobcowani, że muszą uciekać się do jakiejś sztucznej konwencji, żeby uzyskać niepewną namiastkę prawdziwego uczucia.

— Ale ja też jestem izolem, Bliss.

— W miarę upływu czasu będziesz nim w coraz mniejszym stopniu, Pel. Prawdopodobnie nigdy nie staniesz się w pełni Gają, ale nie będziesz zupełnym izolem. Wtedy będziesz miał mnóstwo towarzyszy.

— Chcę tylko ciebie, Bliss.

— To dlatego, że nic o tym nie wiesz. Ale dowiesz się.

Podczas tej rozmowy Trevize ze sztuczną obojętnością obserwował ekran. Zbliżyli się do warstwy chmur i na chwilę otoczyła ich szara mgła.

„Ogląd mikrofalowy" wydał w myśli polecenie i komputer natychmiast przełączył się na odbiór radarowy. Chmury zniknęły i ukazała się powierzchnia Comporellona. Miała nienaturalny kolor, a

granice między rejonami o różnej budowie były nieco zamazane i drżące.

— To tak to już teraz będzie wyglądało? — zapytała ze zdumieniem Bliss.

— Tylko do czasu, gdy wyjdziemy z chmur. W słońcu wszystko znowu będzie wyglądało normalnie. — Akurat gdy kończył to mówić, ukazało się słońce i powrócił normalny obraz.

— Tak, widzę — rzekła Bliss. — Nie rozumiem, dlaczego dla tego funkcjonariusza straży granicznej okazało się takie ważne to, że Pel zdradza żonę.

— Powiedziałem temu Kendrayowi, że gdyby cię zatrzymał, to wiadomość o tym mogłaby dotrzeć na Terminusa i tym samym do żony Pelorata. W konsekwencji Pelorat znalazłby się w kłopotach. Nie sprecyzowałem, jakiego rodzaju byłyby te kłopoty, ale dałem mu do zrozumienia, że bardzo poważne… Między mężczyznami istnieje pewnego rodzaju solidarność — Trevize wyszczerzył zęby w uśmiechu i żaden mężczyzna nie zdradzi drugiego. Co więcej, jeśli go o to poprosi ten drugi, to chętnie pomoże. Wydaje mi się, że opiera się to na rozumowaniu: „Dzisiaj ja tobie, jutro ty mnie". Przypuszczam dodał nieco poważniej — że podobna solidarność panuje też wśród kobiet, ale ponieważ nie jestem kobietą, nigdy nie miałem okazji z czymś takim się spotkać.

Twarz Bliss przypominała chmurę gradową.

— To ma być żart? — spytała.

— Ależ skąd! Mówię zupełnie poważnie — odparł Trevize. — Nie twierdzę, że ten Kendray przepuścił nas tylko dlatego, żeby uchronić Janova przed gniewem jego żony. Być może moje wcześniejsze argumenty przemawiały do niego, a męska solidarność była po prostu tym, co przeważyło szalę na naszą korzyść.

— Przecież to straszne. Tym, co łączy i spaja społeczeństwo, są zasady. Czy można je łamać z jakiegoś błahego powodu?

— No — powiedział Trevize, przyjmując natychmiast postawę obronną — niektóre z tych zasad są same w sobie błahe. W czasach pokoju i rozkwitu wymiany handlowej, takich, jakie — dzięki Fundacji — mamy teraz, niewiele światów drobiazgowo reguluje zasady wchodzenia w należącą do nich przestrzeń i wychodzenia z niej. Z jakichś powodów należy do nich Comporellon… prawdopodobnie ma to jakiś związek z ich sprawami wewnętrznymi. Ale dlaczego my mamy cierpieć z tego powodu?

— To nie ma nic do rzeczy. Gdybyśmy przestrzegali tylko tych zasad, które sami uznajemy za słuszne i mądre, to nie ostałaby się żadna zasada, bo nie ma takiej, która by się wszystkim podobała. A kiedy mamy na względzie naszą osobistą korzyść, to — jak widzimy na tym przykładzie — zawsze znajdziemy jakiś powód, żeby uznać, że

zasada, która nam przeszkadza w osiągnięciu tej korzyści, jest niesłuszna i niemądra. A zatem to, co zaczyna się od sprytnego obejścia jakiejś zasady, kończy się ogólnym chaosem i nieszczęściem, które dotyka nawet spryciarza, co obszedł tę zasadę, ponieważ on też nie przetrwa upadku społeczności, w której żyje.

— Społeczeństwa nie upadają tak łatwo — rzekł na to Trevize. — Mówisz jako Gaja, a Gaja prawdopodobnie nie potrafi zrozumieć związku wolnych jednostek. Zasady, które w momencie ich ustanowienia były słuszne i mądre, mogą, kiedy zmienią się okoliczności, stać się niepotrzebnymi i nie przynoszącymi żadnych korzyści przeżytkami, ale nadal trwać siłą bezwładu, a wówczas ich złamanie jest nie tylko słuszne, ale także pożyteczne, gdyż zwraca uwagę na fakt, że są one niepotrzebne, a może nawet szkodliwe.

— Skoro tak, to każdy złodziej czy morderca może przekonywać, że przysłużył się ludzkości.

— Popadasz w skrajność. W tym superorganizmie, którym jest Gaja, panuje automatyczna zgoda na wszystkie zasady, które rządzą waszym społeczeństwem, i nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że mógłby je złamać. Równie dobrze można by powiedzieć, że Gaja wegetuje i powoli staje się skamieliną. Na pewno w wolnym związku jest pewien element nieporządku, ale jest to cena, którą trzeba zapłacić za zdolność do wprowadzania zmian i nowości… Ogólnie biorąc, nie jest to zbyt duża cena.

Bliss rzekła nieco podniesionym głosem:

— Jesteś w wielkim błędzie, jeśli uważasz, że Gaja wegetuje i zmienia się w skamielinę. Cały czas kontrolujemy nasze działania i poglądy. Nie są one przyjmowane bezmyślnie i nie trwają siłą bezwładu. Gaja opiera się na swoim doświadczeniu i na swoich przemyśleniach i stale uczy się. Dlatego zmienia się, jeśli jest to konieczne.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, to ta samokontrola i nauka muszą przebiegać bardzo powoli, gdyż na Gai nie ma niczego, co nie byłoby Gają. Natomiast u nas, w wolnym społeczeństwie, nawet jeśli prawie wszyscy w czymś się zgadzają, to zawsze jest przynajmniej kilku, którzy się nie zgadzają i niekiedy właśnie oni mogą mieć rację. A jeśli są przy tym wystarczająco inteligentni, jeśli mają dość zapału i są wystarczająco pewni swej słuszności, to w końcu ich racje zwyciężają, a oni sami stają się w przyszłości bohaterami. Taki był na przykład Hari Seldon, który stworzył psychohistorię, przeciwstawił swą myśl całemu Imperium Galaktycznemu i zwyciężył.

— Zwyciężał tylko do tej pory. Drugie Imperium, które zaprojektował, nigdy nie powstanie. Zamiast niego powstanie Galaxia.

— Na pewno? — spytał posępnie Trevize.

— To była twoja decyzja i choć teraz robisz, co możesz, żeby

mnie przekonać o wyższości izoli i ich wolności do zbrodni i głupoty, to jest coś w zakamarkach twego mózgu, co zmusiło cię, w chwili kiedy dokonywałeś wyboru, do przyznania racji mnie — nam — Gai.

— To, co kryje się w zakamarkach mego mózgu — odparł jeszcze posępniej Trevize — jest właśnie tym, czego szukam… Na początek tam — dodał, wskazując na ekran, na którym widać było wielkie, rozpościerające się aż po horyzont, miasto. Składało się z niskich budynków, tylko gdzieniegdzie przedzielonych jakimś wyższym gmachem. Otaczały je pokryte szronem pola.

Pelorat pokręcił głową.

— Niedobrze. Chciałem się z bliska przyjrzeć planecie, ale zaciekawiła mnie wasza dyskusja i przegapiłem odpowiednią chwilę.

— Nie przejmuj się, Janov — powiedział Trevize. — Będziesz mógł się dokładnie przyjrzeć, jak będziemy stąd odlatywać. Obiecuję, że nie odezwę się ani słowem, jeśli tylko zdołasz przekonać Bliss, żeby też nic nie mówiła.

„Odległa Gwiazda”, podążając za naprowadzającym ją na właściwy tor mikrofalowym sygnałem, podeszła do lądowania.

14

Kendray miał ponurą minę, kiedy powrócił na stację i przyglądał się oddalającej się „Odległej Gwieździe". Pod koniec służby był w dalszym ciągu wyraźnie przygnębiony.

Siadał właśnie do kolacji, kiedy zjawił się jeden z jego kolegów — wysoki kościsty mężczyzna o głęboko osadzonych oczach, rzadkich jasnych włosach i brwiach tak jasnych, że z daleka wydawało się, że ich w ogóle nie ma.

— Co się stało, Ken? — spytał.

Kendray skrzywił usta.

— Ten statek, który dopiero co przepuściłem, miał napęd grawitacyjny, Gatis.

— Ten o takim dziwnym kształcie i zerowej radioaktywności?

— Właśnie dlatego nie był radioaktywny. Nie używa żadnego paliwa. Czysta grawitacja.

Gatis skinął głową.

— Ten, na który mieliśmy uważać, tak?

— Tak.

— No i trafił się tobie. Szczęściarz z ciebie.

— Nie taki szczęściarz. Była na nim kobieta bez papierów… i nie zameldowałem o tym.

— Co?! Nawet nie mów mi o tym. Ani słowa. Nie chcę o tym wiedzieć. Jestem twoim kumplem, ale nie mam zamiaru dostać za współudział.

— Tym się akurat nie przejmuję. W każdym razie nie za bardzo. I tak musiałem przepuścić ten statek. Chcieli mieć grawitacyjny — ten albo inny. Wiesz o tym.

— Jasne, ale mogłeś przynajmniej zameldować o tej kobiecie.

— Nie chciałem. To nie była mężatka. Zabrali ją dla… dla rozrywki.

— A ilu facetów było na pokładzie?

— Dwóch.

— I zabrali ją dla… w tym celu. Muszą być z Terminusa.

— Zgadłeś.

— Na Terminusie robią, co chcą.

— No.

— Odrażające. I udało im się.

— Jeden z nich jest żonaty i nie chciał, żeby jego żona dowiedziała się o tym. Gdybym zameldował o tej kobiecie, to by się dowiedziała.

— Przecież ona jest chyba na Terminusie?

— Oczywiście, ale i tak by się dowiedziała.

— No to faktycznie mu się przysłużyłeś, jeśli jego stara się o tym dowie.

— Zgoda… ale to nie będzie moja wina.

— Dostaniesz za to, że o niej nie zameldowałeś. To, że chciałeś oszczędzić temu facetowi kłopotów, nie jest żadnym usprawiedliwieniem.

— A ty byś zameldował?

— Myślę, że bym musiał.

— Wcale byś nie musiał. Rząd chce mieć ten statek. Gdybym się upierał, że muszę o tym zameldować, to ci faceci mogliby zmienić zamiar i odlecieć na jakąś planetę, a rząd nie chciałby, żeby się tak stało.

— Ale czy ci uwierzą?

— Myślę, że tak… Ta kobieta była bardzo ładna. Wyobraź sobie taką kobietę, która zgadza się polecieć z dwoma facetami, i żonatych facetów, którzy nie boją się skorzystać z takiej okazji… To niezła pokusa.

— Myślę, że nie chciałbyś, żeby szefowa dowiedziała się o tym… albo żeby jej takie podejrzenie przyszło do głowy.

— A kto jej o tym powie? Ty? — rzekł wyzywająco Kendray.

— Daj spokój. Przecież mnie znasz. — Wyraz oburzenia szybko zniknął z twarzy Gatisa. — To, że przepuściłeś tych facetów — powiedział — nie wyjdzie im na dobre.

— Wiem.

— Tam na dole szybko zorientują się w sytuacji i nawet jeśli tobie się upiecze, to ima na pewno nie.

— Wiem — powtórzył Kendray — ale szkoda mi ich. To, co ich czeka z powodu tej kobiety, to pestka w porównaniu z tym, co ich czeka z powodu tego statku. Kapitan napomknął…

Kendray przerwał, więc Gatis zapytał z zainteresowaniem:

— O czym?

— Nieważne — odparł Kendray. — Gdyby się to wydało, to dostałbym za swoje.

— Nikomu nie powiem.

— Ja też nie. Ale szkoda mi tych facetów.

15

Każdy, kto był w przestrzeni i zna jej monotonię, dobrze wie, że prawdziwe podniecenie podróżą kosmiczną odczuwa się dopiero wtedy, kiedy statek ma lądować na obcej planecie. Za oknem błyskawicznie pojawiają się i nikną to skrawki ziemi, to znów wody, figury i linie geometryczne, które mogą przedstawiać pola i drogi, zieleń roślinności, szarość betonu, brąz i czerń gołej ziemi, biel śniegu. Jednak najbardziej emocjonujący jest widok miast, gdyż na każdym świecie mają one inną geometrię i inną architekturę.

Lądowanie w normalnym statku dostarcza dodatkowych wrażeń w momencie zetknięcia się pojazdu z ziemią i później, podczas jego ślizgu po pasie startowym. W przypadku „Odległej Gwiazdy" wyglądało to inaczej. Statek płynął w powietrzu, stopniowo tracąc szybkość dzięki zręcznemu manipulowaniu oporem powietrza i siłą ciężkości, aż w końcu zatrzymał się nad portem kosmicznym. Wiał porywisty wiatr, co stwarzało dodatkową komplikację. Po przygotowaniu jej na minimalną reakcję na przyciąganie grawitacyjne „Odległa Gwiazda" miała nie tylko nienormalnie niską wagę, ale również masę. Jeśli masa jej zbliżyłaby się za bardzo do zera, to wiatr mógłby ją zdmuchnąć. Dlatego trzeba było nieco zwiększyć reakcję na przyciąganie, włączając silniki rakietowe, których ciąg trzeba było następnie ostrożnie regulować, tak aby zrównoważyć siłę wiatru. Bez odpowiedniego komputera manewr ten byłby raczej niemożliwy.

Statek powoli opadał w dół, przesuwając się czego nie można było uniknąć — to w jedną, to w drugą stronę, aż w końcu osiadł łagodnie na przeznaczonym dla niego miejscu.

Kiedy Odległa Gwiazda" wylądowała, niebo miało bladoniebieski, przetykany bielą, kolor. Na płycie portu wiatr był nie mniej porywisty niż nad nim i chociaż jego podmuchy nie zagrażały już statkowi, Trevize zadrżał. Było po prostu bardzo zimno. Trevize uświadomił sobie od razu, że cała odzież, którą mieli na statku, była zupełnie nieodpowiednia na pogodę, która panowała na Comporellonie.

Natomiast Pelorat rozejrzał się z uznaniem i głęboko, z wyraźną przyjemnością, zaczerpnął powietrza, rozkoszując się, przynajmniej w pierwszej chwili, ukłuciem mrozu. Rozpiął nawet kurtkę, aby poczuć na piersi powiew wiatru. Wiedział, że za chwilę zapnie ją znowu i poprawi nawet szalik, ale na razie chciał poczuć, że wokół jest atmosfera. Na statku nigdy się tego nie czuło.

Bliss ciasno owinęła się w kurtkę i naciągnęła czapkę na uszy. Ręce schowała w rękawiczkach. Wyglądała jak obraz nieszczęścia i wydawało się, że zaraz się rozpłacze.

— To zły świat — mruknęła. — Nie lubi nas i dlatego nas tak

wita.

— Nic podobnego, Bliss — powiedział z przekonaniem Pelorat. — Jestem pewien, że miejscowi lubią ten świat i że on… no, tego… lubi ich, jeśli chcesz to ująć w ten sposób. Zaraz znajdziemy się w jakimś pomieszczeniu, a tam będzie ciepło.

Jak gdyby po namyśle okrył ją połą swej kurtki. Przytuliła się do niego.

Trevize starał się nie zwracać uwagi na temperaturę. Dostał od zarządu portu namagnetyzowaną kartę i zaraz sprawdził na komputerze kieszonkowym, czy są tam wszystkie niezbędne szczegóły numer pasa i stanowisko, nazwa statku i numer silnika, i tak dalej. Raz jeszcze sprawdził statek, żeby się upewnić, czy jest dobrze zamknięty i podjął wszelkie środki ostrożności, aby zabezpieczyć go przed niepożądanymi gośćmi (zbytecznie zresztą, gdyż — biorąc pod uwagę prawdopodobny poziom techniki comporellońskiej — statkowi nic nie groziło, a gdyby groziło, to i tak żadne odszkodowanie nie zrekompensowałoby jego utraty).

Trevize znalazł postój taksówek tam, gdzie powinien był być (wiele urządzeń w portach kosmicznych było znormalizowanych pod względem wyglądu, sposobu korzystania i umiejscowienia, co było zrozumiałe, zważywszy, że korzystała z nich wieloświatowa klientela).

Przywołał taksówkę. Kierowcy powiedział krótko: „Do miasta".

Taksówka miała diamagnetyczne płozy. Podjechała do nich i zatrzymała się, spychana nieco wiatrem, drgając lekko skutkiem wibracji spowodowanych niezbyt cichą pracą silnika. Miała ciemnoszary kolor, a na tylnych drzwiach emblemat. Taksówkarz był ubrany w ciemną kurtkę i białą futrzaną czapkę.

Pelorat, spostrzegłszy to, powiedział cicho:

— Wydaje się, że gustują tu w czerni i bieli.

— W samym mieście mogą być żywsze kolory powiedział Trevize.

Kierowca spytał przez mały mikrofon, być może po to, aby nie otwierać okna:

— Do miasta?

Mówił z lekkim zaśpiewem. Miało to pewien urok, a przy tym nietrudno było go zrozumieć, co powitali z ulgą na obcym świecie.

— Tak — odparł Trevize i otworzyły się tylne drzwi pojazdu.

Najpierw weszła Bliss, potem Pelorat, a na końcu Trevize. Drzwi same zamknęły się za nimi i owionęło ich ciepłe powietrze.

Bliss roztarła dłonie i z ulgą westchnęła.

Taksówka wolno ruszyła.

— Statek, którym przylecieliście, ma napęd grawitacyjny, tak? — spytał kierowca.

— Biorąc pod uwagę sposób, w jaki lądował, chyba nie ma pan co do tego wątpliwości? — odparł sucho Trevize.

— A więc jest z Terminusa? — pytał dalej taksówkarz.

— A zna pan inny świat, gdzie by mogli zbudować taki statek? — powiedział Trevize.

Kierowca umilkł, jakby przetrawiał odpowiedź, a tymczasem taksówka nabierała prędkości. W końcu spytał:

— Zawsze odpowiada pan pytaniem na pytanie?

Trevize nie mógł się powstrzymać.

— A dlaczego nie?

— W takim razie jak by pan odpowiedział, gdybym spytał, czy nazywa się pan Golan Trevize?

— Odpowiedziałbym: „Dlaczego pan pyta?”

Taksówka zatrzymała się przy wyjeździe z portu, a kierowca powiedział:

— Z ciekawości. Pytam ponownie: pan jest Golanem Trevize?

— A co to pana obchodzi? — odparł wrogo Trevize.

— Drogi przyjacielu — rzekł na to taksówkarz. — Nie ruszymy się stąd, dopóki nie odpowie pan na to pytanie. I jeśli za dwie sekundy nie usłyszę jasnej odpowiedzi — tak lub nie — to wyłączam ogrzewanie w kabinie pasażerskiej i potem możemy poczekać. Czy pan jest Golanem Trevize, radnym z Terminusa? Jeśli odpowie pan przecząco, to będzie pan musiał pokazać mi swoje papiery.

— Tak, jestem Golan Trevize — powiedział Trevize — i jako radny z Fundacji oczekuję traktowania należnego memu stanowisku. Jeśli mi pan w czymś uchybi, to wpakuje się pan w niezłe tarapaty. No i co teraz?

— Teraz możemy porozmawiać nieco swobodniej. — Taksówka znowu ruszyła. — Starannie dobieram pasażerów i spodziewałem się podwieźć tylko dwóch mężczyzn. Obecność tej kobiety była dla mnie niespodzianką, więc pomyślałem, że mogłem się pomylić. Ale skoro już was mam, to sami wyjaśnicie na miejscu, skąd się ona wzięła.

— Nie wie pan, do jakiego miejsca jedziemy.

— Tak się składa, że wiem. Jedziecie do Ministerstwa Komunikacji.

— To nie jest miejsce, gdzie chcę jechać.

— To nie ma absolutnie żadnego znaczenia, panie radny. Gdybym był taksówkarzem, to zawiózł bym pana, gdzie pan chce. Ponieważ nim nie jestem, zawiozę was tam, gdzie ja chcę.

— Przepraszam — rzekł Pelorat, pochylając się do przodu — ale pan wygląda na taksówkarza. Prowadzi pan taksówkę.

— Każdy może prowadzić taksówkę, ale nie każdy ma zezwolenie. I nie każdy samochód, który wygląda jak taksówka, jest taksówką.

— Skończmy tę zabawę — powiedział Trevize. — Kim pan jest i co pan wyrabia? Niech pan pamięta, że odpowie pan za to przed

Fundacją.

— Ja na pewno nie — odparł kierowca. — Może moi przełożeni. Jestem agentem comporellońskiej służby bezpieczeństwa. Mam rozkaz traktować pana z szacunkiem należnym panu z racji stanowiska, ale musi pan jechać tam, gdzie pana wiozę. I niech pan uważa na swoje reakcje, bo ten pojazd jest uzbrojony, a ja mam rozkaz bronić się w razie ataku.

16

Samochód, osiągnąwszy normalną dla taksówki szybkość, jechał dalej gładko i bez zatrzymywania się, a Trevize siedział w milczeniu, jak skamieniały. Wiedział bez patrzenia, że Pelorat spogląda co chwila na niego z wyrazem niepewności na twarzy, jakby pytał: „I co teraz zrobimy? No, powiedz".

Bliss, jak przekonał się zerknąwszy na nią, siedziała spokojnie, najwyraźniej wcale nie przejmując się sytuacją. No jasne, przecież była całym światem. Cała Gaja, choć odległa w przestrzeni, znajdowała się w jej ciele. W razie prawdziwego niebezpieczeństwa miała się czym bronić.

Ale o co tu chodziło?

Widocznie ten funkcjonariusz ze stacji granicznej przesłał zwykły sh~żbowy raport, nie wspominając w nim o Bliss, i raport ten wzbudził zainteresowanie służby bezpieczeństwa i przede wszystkim Ministerstwa Komunikacji. Dlaczego?

Czasy były pokojowe. Trevize nic nie wiedział o żadnym napięciu w stosunkach Terminusa z Comporellonem. W końcu sam był członkiem władz Fundacji…

Zaraz, przecież sam powiedział temu funkcjonariuszowi na stacji granicznej — nazywał się chyba Kendray — że przybywa tu, aby spotkać się w ważnej sprawie z rządem Comporellona. Powiedział to z naciskiem, chcąc skłonić Kendraya, aby ich przepuścił. Kendray musiał o tym wspomnieć w swoim raporcie i to właśnie wzbudziło zainteresowanie rządu.

Nie przewidział, a powinien był przewidzieć.

No i co teraz z tym jego rzekomym darem podejmowania słusznych decyzji? Czyżby zaczynał wierzyć, że jest — jak myślała albo tylko mówiła, że tak myśli, Gaja — czarną skrzynką:? Czyżby to nadmierna pewność siebie, oparta na przesądzie, wpędziła go w te tarapaty?

Jak mógł dać się wciągnąć w to szaleństwo? Czy nigdy się nie pomylił? Czy wiedział, jaka jutro będzie pogoda? Czy udało mu się kiedyś wygrać jakąś dużą sumę na loterii? Oczywiście, że nie.

A więc nie mylił się nigdy tylko wtedy, kiedy chodziło o wielkie, dopiero tworzące się zdarzenia? Skąd mógł to wiedzieć?

Mniejsza z tym! W końcu sam fakt, że stwierdził, iż ma do załatwienia sprawę państwowej wagi… nie, powiedział, że chodzi o bezpieczeństwo Fundacji…

No dobrze, więc sam fakt, że przybywa tu w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa Fundacji, i do tego w tajemnicy i bez uprzedzenia, na pewno obudził zainteresowanie jego osobą… No tak, ale przecież

dopóki nie dowiedzieliby się o co chodzi, działaliby z największą ostrożnością. Byliby ugrzecznieni i traktowaliby go jak wysokiego dygnitarza. Na pewno nie porwaliby go i nie uciekli się do gróźb.

A przecież to właśnie zrobili. Dlaczego? Co sprawiło, że poczuli się na tyle silni i potężni, żeby w taki sposób potraktować radnego z Terminusa?

Czyżby była to sprawka Ziemi? Czyżby ta siła, która tak skutecznie trzymała w tajemnicy miejsce położenia świata, z którego pochodziła ludzkość, że nawet potężni mentaliści z Drugiej Fundacji nie mieli o nim pojęcia, teraz chciała przerwać już w pierwszym stadium jego poszukiwania? Czyżby Ziemia była wszechwiedząca? Wszechmocna?

Potrząsnął głową. To prowadziło do paranoi. Czyżby chciał o wszystko obwiniać Ziemię? Czy każde niezrozumiałe zachowanie, każdy zakręt drogi, każda niespodziewana zmiana sytuacji miały być rezultatem ukrytych machinacji Ziemi? Gdyby zaczął tak myśleć, to byłoby to równoznaczne z jego porażką.

W tym momencie poczuł, że samochód zwalnia i od razu powrócił do rzeczywistości.

Uświadomił sobie, że ani razu, nawet przelotnie, nie spojrzał na miasto, przez które przejeżdżali. Rozejrzał się teraz, trochę nerwowo. Budynki były niskie, ale planeta była zimna — prawdopodobnie większa część każdego budynku znajdowała się pod ziemią. Nie zauważył nawet śladu jakiegoś żywszego koloru i wydało mu się to sprzeczne z naturą ludzką.

Tu i ówdzie widać było jakiegoś przechodnia, solidnie opatulonego. Prawdopodobnie ludzie, tak jak budynki, w większości tkwili pod ziemią.

Taksówka zatrzymała się przed niskim, długim budynkiem, usytuowanym w zagłębieniu, którego dna Trevize nie mógł dostrzec. Minęło kilka minut, ale dalej tam stali. Kierowca siedział bez ruchu. Jego potężna biała czapa prawie dotykała sufitu pojazdu.

Patrząc na to, Trevize zastanawiał się przez chwilę, jak kierowcy udaje się wchodzić i wychodzić z samochodu, nie strącając przy tym czapy, a potem powiedział, ze starannie kontrolowanym gniewem, którego należało się spodziewać od potraktowanego niewłaściwie wyniosłego dygnitarza:

— No, i co dalej, kierowco?

Comporellońska wersja błyszczącej przegrody utworzonej przez pole siłowe między kabiną kierowcy i kabiną pasażerską nie była bynajmniej prymitywna. Przepuszczała fale dźwiękowe, ale Trevize był pewien, że przedmioty materialne o dużej energii nie mogłyby przez nią przeniknąć.

— Ktoś po was przyjdzie. Niech pan usiądzie wygodniej i

spokojnie czeka — odpowiedział kierowca.

Zaledwie to powiedział, gdy z zagłębienia, w którym znajdował się budynek, wyłoniły się trzy głowy, a za nimi powoli i płynnie zaczęli się wyłaniać ich właściciele. Najwidoczniej korzystali z czegoś w rodzaju ruchomych schodów, ale z miejsca, gdzie siedział, Trevize nie mógł dostrzec żadnych detali tego urządzenia.

Kiedy podeszła do nich ta trójka, otworzyły się drzwi od kabiny pasażerskiej i do wnętrza wtargnęła fala zimna.

Trevize wysiadł, zapiąwszy kurtkę aż po szyj. Za nim wyszli jego towarzysze, Bliss z wyraźną niechęcią. Comporellianie wyglądali prawie karykaturalnie, gdyż ich ubrania — prawdopodobnie elektrycznie ogrzewane — wydymały się jak balony, zniekształcając ich sylwetki. Trevize stwierdził to z pogardliwą wyższością. Na Terminusie takie rzeczy były raczej niepotrzebne. Kiedy jeden jedyny raz, spędzając zimę na pobliskim Anakreonie, wypożyczył ogrzewaną kurtkę, przekonał się, że nagrzewa się ona bardzo powoli, tak że zanim zorientował się, że za bardzo się nagrzała, zdążył się już nieźle spocić.

Kiedy podeszli bliżej, Trevize zauważył z oburzeniem, że cala trójka była uzbrojona. Nawet nie starali się tego ukryć. Przeciwnie — każdy miał miotacz w kaburze przytroczonej do pasa na kurtce.

Jeden z nich podszedł do Trevizego, mruknął: „Pozwoli pan, panie radny” i bezceremonialnie rozpiął jego kurtkę, po czym szybko przesuwał dłońmi po plecach, piersiach, bokach i udach Trevizego. Potem obmacał kurtkę i potrząsnął nią. Trevize był tak zaskoczony, że kiedy zorientował się, że został szybko i dokładnie przeszukany, było już po wszystkim.

Pelorat, z opuszczoną w dół brodą i skrzywioną miną, znosił to samo upokorzenie ze strony drugiego Comporellianina.

Trzeci podszedł do Bliss, ale ta nie czekała, aż zacznie ją obmacywać. Ona przynajmniej jakoś zorientowała się, czego może się spodziewać, gdyż zrzuciła kurtkę i przez chwilę stała tam w swym cienkim ubraniu, wystawiona na lodowate podmuchy wiatru. Powiedziała tonem równie lodowatym jak ten wiatr:

— Widzi pan, że nie mam broni.

Rzeczywiście, każdy mógł to dostrzec. Comporelianin potrząsnął kurtką, jak gdyby chciał się zorientować po jej wadze, czy nie zawiera jakiejś broni — może faktycznie byłby w stanie to stwierdzić — i odszedł.

Bliss założyła kurtkę, ciasno się nią owijając i przez chwilę Trevize podziwiał jej zachowanie. Wiedział, jak źle znosi zimno, a mimo to, stojąc tam tylko w cienkiej bluzce i spodniach, nie tylko się nie skuliła, ale nawet nie zadrżała (potem pomyślał, że nie wiadomo, czy przypadkiem — w nagłej potrzebie — nie może uzyskać ciepła od

reszty Ciai).

Jeden z Comporellian skinął ręką i trójka przybyszów ruszyła za nim. Pozostali dwaj Comporellianie ustawili się z tyłu. Nieliczni przechodnie nie zwracali uwagi na ten pochód. Albo byli przyzwyczajeni do takich widoków, albo — co bardziej prawdopodobne — myśleli tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w jakimś wnętrzu.

Trevize zorientował się teraz, że to. co uważał za ruchome schody, było ruchomą rampą. Zwiozła ich ona w dół, po czym cała szóstka przeszła przez drzwi, niemal tak skomplikowane jak luk wejściowy statku kosmicznego, chociaż bez wątpienia urządzenie to miało zapobiegać wydostawaniu się na zewnątrz raczej ciepła niż powietrza.

I od razu po wejściu znaleźli się w wielkiej sali.

5. Walka o statek

17

W pierwszej chwili Trevize miał wrażenie, że znalazł się w dekoracjach do hiperdramatu, a konkretnie do historycznego romansu, którego akcja rozgrywa się w czasach Imperium. Był taki specjalny zestaw dekoracji, z paroma wymiennymi elementami (z tego, co wiedział Trevize, mógł istnieć tylko w jednym egzemplarzu, z którego korzystali wszyscy producenci), który przedstawiał potężne, zajmujące całą powierzchnię planety, miasto Trantor w szczycie rozkwitu.

Były tam wielkie przestrzenie, przez które przelewał się tłum pędzących dokądś przechodniów i drogi przeznaczone dla ruchu pędzących po nich małych pojazdów.

Trevize podniósł głowę, przekonany, że ujrzy taksówki powietrzne znikające w sklepionych, ciemnych tunelach, ale tego przynajmniej elementu brakowało w obecnej scenerii. Zresztą, kiedy minęło początkowe zdumienie, stwierdził, że sala była o wiele mniejsza od tych, jakich można się było spodziewać na Trantorze. Był to tylko jeden budynek, a nie część kompleksu rozciągającego się tysiące mil w każdym kierunku.

Kolory też były inne. Hiperfilmy zawsze przedstawiały Trantor jako niesamowicie barwny, wręcz pstrokaty świat, a ubiory jego mieszkańców, jeśli faktycznie tak wyglądały, były zupełnie niepraktyczne i niefunkcjonalne. W rzeczywistości jednak wszystkie te krzykliwe barwy, falbanki, koronki i fintyluszki miały znaczenie symboliczne i podkreślały dekadencję (w czasach Trevizego była to oficjalna opinia) Imperium, a szczególnie Trantora.

Jeśli istotnie między tymi zjawiskami istniała taka zależność, to Comporellon był zupełnym przeciwieństwem dekadencji, gdyż uboga gama kolorów, na którą Pelorat zwrócił uwagę w porcie, widoczna była również w tej sali.

Ściany były w różnych odcieniach szarości, sufit biały, a ubiory ludzi w czarnej, szarej i białej tonacji. Sporadycznie można było spostrzec osoby odziane w jednolitą czerń, częściej całe ubrane na szaro, ale ani jednej całej w bieli. Natomiast fasony ubrań były przeróżne, jak gdyby ludzie, pozbawieni możliwości swobodnego wyboru koloru, chcieli w ten sposób zaakcentować swój indywidualny gust.

Twarze były bez wyrazu albo ponure. Kobiety nosiły włosy krótko obcięte, mężczyźni dłuższe, ale zaczesane do tyłu i splecione w krótkie warkoczyki. Ludzie mijali się, nie spoglądając w ogóle na siebie. Każdy wydawał się zaaferowany, jak gdyby myślał tylko o tym, żeby załatwić jak najszybciej swoją sprawę, i o niczym więcej. Kobiety wyglądały prawie identycznie jak mężczyźni, jedynie długość włosów,

szerokość bioder i lekkie wypukłości na poziomie piersi świadczyły o ich płci.

Trevizego, Pelorata i Bliss wprowadzono do windy, która zwiozła ich pięć pięter w dół. Tam kazano im wysiąść i zaprowadzono ich przed drzwi z tabliczką, na której małe białe litery na czarnym tle układały się w napis „Muza Lizalor, Min. Kom."

Comporellianin, który szedł przodem, dotknął napisu, który po chwili zaświecił czerwonym światłem. Drzwi otworzyły się i weszli do środka.

Pokój był duży i raczej pusty. Być może wielkość pokoju, której nie ograniczało skąpe umeblowanie, miała świadczyć o władzy urzędującej w niej osoby.

Pod ścianą, naprzeciw drzwi, stało dwóch wartowników. Twarze mieli bez wyrazu, a oczy utkwione w przybyszów. Środek pokoju zajmowało potężne biurko. Za biurkiem siedział ktoś, przypuszczalnie Mitza Lizalor, o potężnym ciele, gładkiej twarzy i ciemnych oczach. Na blacie biurka spoczywały silne ręce o długich, kwadratowo zakończonych palcach.

MinKom (Minister Komunikacji, jak domyślił się Trevize) ubrany był w ciemnopopielaty żakiet o szerokich, oślepiająco białych klapach. Pod klapami biegły ukośnie, krzyżujące się na piersi dwa białe pasy. Trevize zauważył, że aczkolwiek żakiet skrojony był tak, aby zamaskować piersi, to białe X zwracało na nie uwagę.

Minister był bez wątpienia kobietą. Nawet jeśli pominąć jej wydatny biust, wskazywały na to krótko obcięte włosy i chociaż nie miała makijażu, rysy jej twarzy też dobitnie o tym świadczyły.

Również głos, głęboki kontralt, należał niewątpliwie do kobiety.

— Dzień dobry — powiedziała. — Nieczęsto mamy zaszczyt przyjmować tu gości z Terminusa… A także nie zapowiedziane przez stacje graniczne kobiety. — Przenosiła wzrok z jednego na drugiego, aż wreszcie zatrzymała spojrzenie na Trevizem, który stał sztywno wyprostowany, ze zmarszczonym czołem. — Jak również członków Rady.

— Jestem radnym z Fundacji — powiedział Trevize, starając się, aby jego głos zabrzmiał jak najsilniej. — Radny Golan Trevize w misji specjalnej.

— W misji specjalnej? — minister uniosła brwi.

— W misji specjalnej — powtórzył Trevize. Dlaczego zostaliśmy potraktowani jak przestępcy? Dlaczego zostaliśmy zatrzymani przez uzbrojonych agentów i przyprowadzeni tu jak więźniowie? Rada Fundacji nie będzie zadowolona, kiedy się o tym dowie. Mam nadzieję, że pani rozumie.

— A poza tym — powiedziała Bliss głosem, który w porównaniu z głosem pani minister zabrzmiał dość piskliwie — czy mamy tu tak stać

bez końca?

Minister przez dłuższą chwilę przypatrywała się chłodno Bliss, a potem podniosła rękę i powiedziała:

— Trzy krzesła! Natychmiast!

Otworzyły się drzwi i wbiegło truchcikiem, niosąc trzy krzesła, trzech Comporellian ubranych według miejscowej, ponurej mody.

— No — powiedziała minister z lodowatym uśmiechem — teraz lepiej?

Trevize bynajmniej tak nie uważał. Krzesła były bez poduszek, zimne w dotyku, o płaskim siedzeniu i oparciu, zupełnie nie dostosowane do kształtu ciała. — Dlaczego się tu znaleźliśmy? — spytał.

Minister zajrzała do papierów na biurku. — Wyjaśnię to; jak tylko sprawdzę pewne fakty. Wasz statek to „Odległa Gwiazda" z Terminusa. Zgadza się, panie radny?

— Tak.

Minister podniosła głowę znad papierów.

— Zwracając się do pana, panie radny, pamiętam o pana tytule. Może zechciałby pan w zamian pamiętać o moim?

— Czy wystarczy „pani minister"? A może jest jakiś specjalny zwrot?

— Nie ma żadnego specjalnego zwrotu.

— A więc odpowiedź na pani pytanie brzmi: „Tak, pani minister".

— Kapitanem statku jest Golan Trevize, obywatel Fundacji i członek Rady Terminusa… dokładniej — nowy radny. A pan nazywa się Trevize. Czy to wszystko zgadza się, panie radny?

— Tak, pani minister. A ponieważ jestem obywatelem Fundacji…

— Jeszcze nie skończyłam, panie radny. Niech pan poczeka ze swoimi protestami, aż skończę. Towarzyszy panu Janov Pelorat, uczony, historyk i obywatel Fundacji. To pan, nieprawdaż, profesorze Pelorat?

Pelorat nie mógł opanować lekkiego drgnięcia, kiedy minister bystro spojrzała na niego.

— Tak, sta… — zaczął, ale przerwał i poprawił się. — Tak jest, pani minister.

Minister splotła ciasno dłonie.

— W raporcie, który został mi doręczony, nie ma żadnej wzmianki o kobiecie. Czy ta kobieta należy do załogi statku?

— Tak, pani minister — odparł Trevize.

— A więc zwrócę się bezpośrednio do niej. Pani nazwisko?

— Zazwyczaj mówią do mnie Bliss — powiedziała Bliss, siedząc sztywno wyprostowana i mówiąc wyraźnie i spokojnie — chociaż moje pełne nazwisko jest dłuższe. Chce je pani znać całe, pani minister?

— Na razie wystarczy mi Bliss. Czy jest pani obywatelką Fundacji?

— Nie, pani minister.

— A więc jakiego świata jest pani obywatelką, Bliss?

— Nie mam dokumentów stwierdzających obywatelstwo jakiegokolwiek świata, pani minister.

— Nie ma pani żadnych papierów, Bliss? — Zrobiła jakiś znak na papierach leżących przed nią. Ten fakt został odnotowany. Co pani robi na pokładzie tego statku?

— Jestem jego pasażerką, pani minister.

— Czy radny Trevize albo profesor Pelorat chcieli zobaczyć pani papiery, zanim weszła pani na statek?

— Nie, pani minister.

— Czy poinformowała ich pani, że nie ma papierów?

— Nie, pani minister.

— A jaką funkcję spełnia pani na pokładzie tego statku, Bliss? Czy pani imię wskazuje na pani funkcję?

— Jestem pasażerką i nie mam żadnych innych funkcji — odparła dumnie Bliss.

— Dlaczego pani dręczy tę kobietę, pani minister? Czy złamała jakieś prawo?

Spojrzenie minister Lizalor przeniosło się z Bliss na Trevizego.

— Jest pan obcoświatowcem, panie radny, i nie zna pan naszych praw — powiedziała. — Mimo to jeśli znajdzie się pan tutaj, to pan też im podlega. Nie sprowadza pan waszych praw ze sobą. Jest to, jak sądzę, generalna zasada prawa galaktycznego.

— Oczywiście, pani minister, ale to nie wyjaśnia, które z waszych praw ona złamała.

— Panie radny, w całej Galaktyce obowiązuje zasada, że podróżny ze świata leżącego poza granicami przestrzeni należącej do świata, który akurat odwiedza, musi mieć przy sobie dokumenty stwierdzające jego tożsamość. Wiele światów, którym zależy na turystyce albo niezbyt zależy na porządku prawnym, nie bardzo dba o przestrzeganie tej zasady. Ale tu, na Comporellonie, dbamy o to. Jesteśmy światem prawa i surowo go przestrzegamy. Ta kobieta jest bezświatowcem i, jako taka, łamie nasze prawo.

— Nie miała w tym względzie wyboru — powiedział Trevize. — To ja prowadziłem ten statek i ja przywiozłem ją na Comporellon. Musiała lecieć z nami. A może sugeruje pani, pani minister, że powinna zażądać, żebyśmy ją wysadzili w szczerej przestrzeni?

— To znaczy tylko tyle, panie radny, że to pan złamał nasze prawo.

— Nie, pani minister. Nie jestem obcoświatowcem. Jestem obywatelem Fundacji, a Comporellon, wraz z podległymi mu

światami, jest państwem stowarzyszonym z Fundacją. Jako obywatel Fundacji, mam tu swobodny wstęp.

— Oczywiście, panie radny, ale pod warunkiem, że ma pan dokumenty stwierdzające, że jest pan naprawdę obywatelem Fundacji.

— Mam takie dokumenty, pani minister.

— Ale nawet będąc obywatelem, nie ma pan prawa łamać naszych praw, przywożąc ze sobą bezświatowca.

Trevize wahał się chwilę. Najwidoczniej ten Kendray nie dotrzymał słowa, więc nie było sensu chronić go.

— Nie zatrzymano nas na stacji granicznej powiedział — więc potraktowałem to jako pośrednią zgodę na zabranie ze sobą tej kobiety tutaj, pani minister.

— To prawda, panie radny, że was nie zatrzymano. Prawda też, że służby graniczne nie zameldowały o tej kobiecie i że ją przepuszczono. Podejrzewam jednak, że funkcjonariusze na stacji granicznej zdecydowali — i bardzo słusznie — że lepiej będzie sprowadzić wasz statek na naszą planetę niż martwić się, co począć z jakimś bezświatowcem. Było to, prawdę mówiąc, naruszenie przepisów i sprawa ta zostanie odpowiednio potraktowana, ale nie mam żadnych wątpliwości, że w tym akurat przypadku naruszenie przepisów zostanie usprawiedliwione. Mamy tu surowe prawo, panie radny, ale nasza surowość nie przekracza granic rozsądku.

— A więc — podchwycił natychmiast Trevize apeluję do pani rozsądku, pani minister, i proszę o mniejszą surowość w tej sprawie. Jeśli faktycznie nie otrzymała pani ze stacji granicznej informacji o tym, że na pokładzie naszego statku znajduje się osoba bezświatowa, to w chwili kiedy lądowaliśmy, nie miała pani pojęcia o tym, że łamiemy prawo. Mimo to jest zupełnie oczywiste, że była pani przygotowana na to, żeby jak tylko wylądujemy, zatrzymać nas i w istocie zrobiła to pani. Dlaczego, skoro nie miała pani żadnego powodu, aby przypuszczać, że zostało złamane jakieś wasze prawo?

Minister uśmiechnęła się.

— Rozumiem pana zdziwienie, panie radny. Otóż zapewniam pana, że fakt, czy wiedziałam coś czy nie o tym, że ma pan na pokładzie osobę bezświatową, nie miał absolutnie nic wspólnego z zatrzymaniem pana. Został pan przez nas zatrzymany w imieniu Fundacji, z którą — jak sam pan stwierdził — jesteśmy światem stowarzyszonym.

Trevize wytrzeszczył na nią oczy.

— Ależ to niemożliwe, pani minister! Gorzej nawet — to absurdalne.

Minister roześmiała się dźwięcznie.

— To ciekawe, że uważa pan to raczej za absurdalne niż niemożliwe. Zgadzam się z panem w tym względzie. Jednak, na pana

nieszczęście, nie jest to ani niemożliwe, ani absurdalne. Dlaczego niby miałoby to być absurdalne?

— Dlatego, że jestem członkiem rządu Fundacji wysłanym w misji specjalnej i jest zupełnie nie do pomyślenia, żeby chcieli mnie aresztować, a nawet żeby w ogóle mieli do tego prawo. Mam przecież immunitet poselski.

— No i proszę, pominął pan mój tytuł, ale jest pan głęboko poruszony i myślę, że w tej sytuacji można to panu wybaczyć. Wracając do rzeczy nie proszono mnie bynajmniej, żebym pana aresztowała. Kazałam pana zatrzymać tylko po to, żebym mogła zrobić to, o co mnie proszono, panie radny.

— To znaczy, co? — spytał Trevize, starając się zapanować nad emocjami w obliczu tej potężnej kobiety.

— To znaczy zarekwirować panu statek, panie radny, i zwrócić go Fundacji.

— Co takiego?

— Znowu zapomina pan o moim tytule, panie radny. To bardzo nieuprzejmie z pana strony i bynajmniej nie przemawia na pana korzyść. Przypuszczam, że ten statek nie jest pana własnością. Pan go zaprojektował, zbudował albo kupił?

— Oczywiście, że nie, pani minister. Został mi przydzielony przez rząd Fundacji.

— A więc przypuszczalnie rząd Fundacji ma prawo unieważnić swoją wcześniejszą decyzję, panie radny. Myślę, że to kosztowny statek.

Trevize nic nie odpowiedział.

— To statek o napędzie grawitacyjnym, panie radny — podjęła na nowo minister. — Nie może być ich zbyt wiele i Fundacja też na pewno ma zaledwie kilka. Może zdoła pan ich przekonać, żeby przydzielili panu inny, mniej kosztowny statek, który będzie odpowiedni dla pana misji… Tak czy inaczej musimy dostać ten statek, którym pan przyleciał.

— Niestety, pani minister, nie mogę go oddać. Nie wierzę, żeby Fundacja prosiła panią o to.

Minister uśmiechnęła się.

— Nie mnie osobiście. I nie tylko nasz rząd. Mamy powody, aby przypuszczać, że prośbę tę przekazano rządom wszystkich światów należących do Fundacji i stowarzyszonych z nią. Z tego wnoszę, że Fundacja nie zna pana planów i energicznie pana poszukuje. A z tego z kolei, że nie ma do spełnienia na Comporellonie żadnej misji zleconej panu przez Fundację, gdyż w takim przypadku jej rząd wiedziałby, gdzie się pan znajduje, i zwróciłby się wprost do nas. Krótko mówiąc, panie radny, kłamie pan.

— Chciałbym zobaczyć kopię prośby, którą otrzymaliście od

rządu Fundacji — powiedział z pewnym trudem Trevize. — Myślę, pani minister, że mam do tego prawo.

— Oczywiście. Jeśli rozpoczniemy w tej sprawie postępowanie prawne. Traktujemy procedurę prawną bardzo poważnie i mogę pana zapewnić, panie radny, że pana prawa zostaną uszanowane. Byłoby jednak lepiej i znacznie prościej, gdybyśmy doszli do porozumienia już teraz, bez rozgłosu i bez zwłoki, którą musi pociągnąć za sobą postępowanie prawne. Wolelibyśmy załatwić to nieoficjalnie. Jestem pewna, że wolałaby też Fundacja, która chyba nie życzy sobie, by cała Galaktyka dowiedziała się o zbiegłym radnym. Postawiłoby to Fundację w absurdalnej sytuacji, co nie tylko pana, ale i moim zdaniem byłoby gorsze, niż gdyby okazało się to niemożliwe.

Trevize znowu nic nie odpowiedział.

Minister odczekała chwilę, a potem podjęła na nowo z niewzruszonym spokojem:

— No, panie radny, tak czy inaczej, oficjalnie czy nieoficjalnie, chcemy dostać ten statek. To, czy poniesie pan karę za sprowadzenie tu ze sobą bezświatowca, czy nie, będzie zależało od tego, który sposób postępowania przyjmiemy. Jeśli będzie pan się domagał oficjalnej rozprawy, to będzie to dodatkowy punkt oskarżenia i w takim przypadku wszyscy poniesiecie karę, a zapewniam pana, że nie będzie to kara łagodna. Jeśli natomiast dojdziemy do porozumienia, to pańska pasażerka będzie mogła odlecieć statkiem handlowym, dokąd będzie chciała. Skoro już o tym mowa, to panowie, jeśli będziecie chcieli, możecie odlecieć razem z nią. Albo jeśli Fundacja będzie sobie tego życzyła, możemy wam dać któryś z naszych statków, w doskonałym stanie, pod warunkiem, oczywiście, że Fundacja da nam w zamian taki sam. Albo jeśli z jakichś powodów nie chcecie wracać na terytorium Fundacji, możemy wam udzielić azylu, a nawet, być może, nadać obywatelstwo comporellońskie. Jak pan widzi, może pan wiele zyskać, jeśli dojdziemy do porozumienia, ale jeśli będzie pan się upierał, żeby nadać sprawie bieg oficjalny, to nie będzie pan miał żadnej możliwości wyboru.

— Za daleko się pani zapędziła, pani minister. Składa pani obietnice, których nie będzie pani mogła dotrzymać. Nie możecie mi przyznać azylu, jeśli Fundacja żąda, abyście mnie jej wydali.

— Nigdy nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać, panie radny. Fundacja żąda tylko statku. Nie zgłaszają żadnego żądania ani co do pana ani kogokolwiek innego na statku. Interesuje ich tylko statek.

Trevize zerknął szybko na Bliss i spytał:

— Pani minister, czy pozwoli mi pani naradzić się szybko z profesorem Peloratem i panną Bliss?

— Oczywiście, panie radny. Ma pan na to piętnaście minut.

— Na osobności, pani minister.

— Zostaniecie zaprowadzeni do osobnego pokoju, panie radny. Nikt nie będzie wam przeszkadzał ani próbował podsłuchiwać waszej rozmowy. Ma pan na to moje słowo, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Niemniej jednak będziecie pilnowani, więc radzę nie robić głupstw i nie próbować ucieczki.

— Rozumiemy, pani minister.

— Spodziewam się, że kiedy wrócicie, wyrazi pan zgodę na moją propozycję. W przeciwnym razie wszczynamy postępowanie prawne, a to skończy się dla was znacznie gorzej. Rozumiemy się, panie radny?

— Rozumiemy się, pani minister — odparł Trevize powstrzymując gniew, gdyż wybuch nie przyniósłby mu nic dobrego.

18

Pokój był mały, ale dobrze oświetlony. Stała w nim kanapa i dwa krzesła i słychać było lekki szum pracującego wentylatora. Ogólnie biorąc, był bardziej przytulny niż ogromny i sterylny gabinet ministra.

Przyprowadził ich tam potężny i ponury strażnik, który przez całą drogę trzymał rękę koło kolby miotacza. Kiedy weszli, został na korytarzu i powiedział:

— Macie piętnaście minut.

Zaledwie to powiedział, gdy z głuchym trzaskiem zamknęły się drzwi.

— No cóż, mogę tylko mieć nadzieję, że nas nie podsłuchują — powiedział Trevize.

— Dała nam na to swoje słowo, Golan — rzekł Pelorat.

— Nie sądź innych po sobie, Janov. Mnie jej słowo nie wystarczy. Jeśli będzie chciała, złamie je bez wahania.

— To nieważne — powiedziała Bliss. — Mogę zabezpieczyć to miejsce przed podsłuchem.

— Masz urządzenie do ekranowania? — spytał Pelorat.

Bliss uśmiechnęła się szeroko, ukazując białe zęby.

— Umysł Gai jest sam urządzeniem do ekranowania, Pel. To niezwykły umysł.

— To, że jesteśmy tutaj — powiedział ze złością Trevize — zawdzięczamy tylko temu, że ten niezwykły umysł jest ograniczony.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Bliss.

— Kiedy skończyła się ta potrójna konfrontacja, wymazaliście mnie z myśli burmistrz Branno i tego Mówcy z Drugiej Fundacji, Gendibala. Oboje mieli nie myśleć już o mnie, chyba że przypadkiem i obojętnie. Miałem być zostawiony sam sobie.

— Musieliśmy to zrobić — powiedziała Bliss. Jesteś dla nas jedynym oparciem.

— Oczywiście, Golan Trevize — ten, który zawsze ma rację. Ale statku nie wymazaliście z ich myśli, prawda? Burmistrz Branno nie prosi o mnie, ja jej nie interesuję, ale o statek. O statku nie zapomniała.

Bliss zmarszczyła czoło.

— Pomyśl o tym — rzekł Trevize. — Gaja przyjęła milczące założenie, że ja i statek to jedno. Jeśli Branno nie będzie myślała o mnie, to tym samym nie będzie myślała o statku. Kłopot polega na tym, że Gaja nie ma pojęcia, co to jest indywidualność. Myślała o mnie i o statku jako o jednym organizmie i popełniła błąd.

— To zupełnie możliwe — powiedziała cicho Bliss.

— A zatem — rzekł Trevize stanowczo — to ty musisz naprawić

tę pomyłkę. Muszę mieć swój statek i komputer. Nic innego się do tego nie nadaje. Postaraj się, żebym zatrzymał statek. Potrafisz sterować umysłami.

— Tak, ale nie korzystamy z tej umiejętności niefrasobliwie. Skorzystaliśmy podczas tej potrójnej konfrontacji, ale wiesz ile czasu się do tego przygotowywaliśmy? Jak długo to obliczaliśmy? Jak długo rozważaliśmy wszystkie za i przeciw? Zajęło to bez przesady — wiele lat. Nie mogę tak po prostu podejść do jakiejś kobiety i dla czyjejś wygody przestroić jej umysł.

— Czy teraz nie jest czas…

— Gdybym zaczęła to robić — nie dała mu skończyć Bliss — to kiedy byśmy się zatrzymali? Mogłam wpłynąć na umysł tego agenta na stacji granicznej i od razu by nas przepuścił. Mogłam wpłynąć na umysł tego agenta w samochodzie i pozwoliłby nam spokojnie odejść.

— No więc, skoro sama o tym wspominasz, dlaczego tego nie zrobiłaś?

— Dlatego, że nie wiemy, dokąd by to nas zaprowadziło. Nie wiemy, czy nie byłoby jakichś efektów ubocznych, które mogłyby jeszcze pogorszyć naszą sytuację. Jeśli teraz przestawię umysł tej minister, to wpłynie to na jej stosunki z innymi, a ponieważ jest członkiem rządu tego świata, może przez to wpłynąć na stosunki międzygwiezdne. Dopóki nie zbadamy dokładnie tej sprawy, nie ośmielę się nawet tknąć jej umysłu.

— No to po co jesteś nam potrzebna?

— Może się zdarzyć, że twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Muszę cię chronić za wszelką cenę, nawet za cenę życia Pela czy mego. Na stacji granicznej nic nie zagrażało twojemu życiu. Teraz też nic nie zagraża. Musisz sam zatroszczyć się o swój statek. Przynajmniej do czasu, aż Gaja obliczy wszystkie możliwe konsekwencje jakiegoś działania w tej sprawie i podejmie odpowiednie kroki.

Trevize zamyślił się. W końcu powiedział.

— W takim razie muszę spróbować coś zrobić. Może mi się nie udać.

Drzwi rozsunęły się z takim samym hałasem, z jakim się zamknęły.

— Wychodźcie — powiedział strażnik.

Kiedy wychodzili, Pelorat spytał szeptem:

— Co zamierzasz zrobić, Golan?

Trevize pokręcił głową i również szeptem odparł:

— Nie bardzo wiem. Będę musiał improwizować.

19

Minister Lizalor siedziała nadal za biurkiem, kiedy wrócili do jej gabinetu. Na ich widok uśmiechnęła się ponuro.

— Spodziewam się, panie radny, że wrócił pan, aby mi powiedzieć, że zwraca pan ten statek Fundacji.

— Wróciłem — powiedział spokojnie Trevize aby omówić warunki.

— Nie ma tu nic do omawiania, panie radny. Proces, jeśli będzie pan się upierał, można wszcząć bardzo szybko i zakończyć jeszcze szybciej! Zapewniam pana, że nawet zupełnie bezstronny sędzia uzna pana winnym, gdyż fakt, że sprowadził pan tu osobę bezświatową jest oczywisty i nie podlega dyskusji. Po ogłoszeniu wyroku zabierzemy panu statek w całym majestacie pigwa, a cała wasza trójka zostanie surowo ukarana. Niech pan nas do tego nie zmusza, odwlekając swoją zgodę choćby o jeden dzień.

— Niemniej jednak, pani minister, jest co omawiać, ponieważ bez względu na to jak szybko nas osądzicie, nie możecie dostać tego statku bez mojej zgody. Każda próba wdarcia się siłą na jego pokład skończy się zniszczeniem nie tylko samego statku, ale także całego portu i wszystkich znajdujących się tam osób. To z pewnością rozwścieczy Fundację, więc nie ośmielicie się tego zrobić. Grożenie nam czy złe traktowanie byłoby na pewno sprzeczne z waszym prawem, a gdybyście z desperacji złamali wasze własne prawo i poddali nas torturom albo umieścili choćby na krótki czas w jakimś ciężkim więzieniu po to, aby wymóc na mnie oddanie statku, to Fundacja dowiedziałaby się o tym i byłaby jeszcze bardziej wściekła. Choćby nie wiem jak zależało im na tym statku, to nie mogą pozwolić, żeby gdzieś potraktowano źle obywateli Fundacji, gdyż stworzyłoby to niebezpieczny precedens… A więc omówimy warunki?

— To brednie — powiedziała minister, patrząc na niego ze złością. — Jeśli będzie trzeba, to wezwiemy tu samą Fundację. Oni będą wiedzieli, jak otworzyć swój statek, albo zmuszą pana, żeby pan go otworzył.

— Pominęła pani mój tytuł, pani minister, ale jest pani głęboko poruszona i myślę, że w tej sytuacji można to pani wybaczyć. Wie pani równie dobrze jak ja, że wezwanie Fundacji byłoby ostatnią rzeczą, którą by pani zrobiła, bo nie ma pani najmniejszego zamiaru oddawać im tego statku.

Uśmiech zniknął z twarzy pani minister.

— Co za bzdury pan opowiada, panie radny?

— Bzdury, których być może nie powinni słuchać inni. Pani minister, niech pani pozwoli memu przyjacielowi i tej kobiecie udać

się do jakiegoś dobrego hotelu i skorzystać z odpoczynku, którego tak bardzo potrzebują. Strażnicy też niech stąd wyjdą. Mogą zostać za drzwiami, a poza tym mogą pani zostawić miotacz. Nie jest pani drobną kobietką, i z miotaczem nie ma się pani czego obawiać z mojej strony. Jestem bez broni.

Minister pochyliła się ku niemu nad biurkiem.

— I bez miotacza nie mam się czego obawiać z pana strony.

Nie oglądając się za siebie, skinęła na jednego ze strażników. Podszedł natychmiast i stanął obok niej, stuknąwszy obcasami.

— Strażnik, zabrać ich — wskazała na Pelorata i na Bliss — do apartamentu numer S. Mają tam zostać. Zatroszczyć się, żeby mieli wszystko, co trzeba i dobrze ich pilnować. Jesteście odpowiedzialni za to, żeby ich dobrze traktowano i za ich pilnowanie.

Wstała i wbrew swemu niezłomnemu postanowieniu, aby zachować niewzruszony spokój, Trevize lekko drgnął. Była wysoka, mała przynajmniej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jak Trevize, a może nawet centymetr więcej. Była wąska w talii, a dwa białe pasy, krzyżujące się na jej piersi i biegnące dalej wzdłuż bioder, sprawiały wrażenie, że jest jeszcze wyższa niż w istocie. Był w jej masywnej postaci pewien wdzięk. Trevize pomyślał z przygnębieniem, że w jej stwierdzeniu, iż nie ma się czego obawiać z jego strony nie było żadnej przesady. W przypadku jakiejś szamotaniny mogłaby bez kłopotu przygwoździć jego ramię do maty.

— Proszę za mną, panie radny — powiedziała. — Jeśli ma pan zamiar dalej mówić takie bzdury, to im mniej osób będzie pana słyszało, tym lepiej będzie dla pana.

Ruszyła żwawo do przodu. Trevize poszedł za nią, czując się przytłoczony jej potężną sylwetką. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się czuć coś takiego w obecności kobiety.

Weszli do windy. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, powiedziała:

— Jesteśmy teraz sami, panie radny, ale jeśli wydaje się panu, że może pan mnie zmusić do czegoś siłą, to radzę o tym zapomnieć. — Zaśpiew w jej głosie stał się jeszcze bardziej wyraźny, gdy dodała, z wyraźnym rozbawieniem: — Wygląda pan na dosyć silnego mężczyznę, ale zapewniam pana, że jeśli będę do tego zmuszona, złamię panu bez trudu rękę albo kark. Nie jestem uzbrojona, ale nie potrzebuję żadnej broni.

Trevize podrapał się w policzek, spoglądając na nią taksującym wzrokiem.

— Pani minister, mogę się zmierzyć z każdym mężczyzną w mojej wadze, ale pani postanowiłem oddać walkę walkowerem. Wiem, kiedy nie mam szans.

— W porządku — odparła minister z zadowoloną miną.

— Dokąd jedziemy, pani minister?

— Na dół. Na sam dół. Ale niech to pana nie przeraża. W hiperdramie zostałby pan po wyjściu z windy wrzucony do lochu, ale na Comporellonie nie mamy lochów, tylko przyzwoite więzienia. Jedziemy do moich prywatnych apartamentów. Nie są one, co prawda, tak romantyczne jak lochy w złych czasach Imperium, ale za to bardziej wygodne.

Kiedy drzwi windy rozsunęły się i wyszli, Trevize oszacował, że są przynajmniej pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią planety.

20

Trevize rozejrzał się po apartamencie z nie ukrywanym zdumieniem.

— Nie podoba się panu moje mieszkanie, panie radny? — spytała cierpko minister.

— Skądże, pani minister! Jestem po prostu zaskoczony. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Niewiele zdołałem zobaczyć i usłyszeć, odkąd tu przybyłem, ale odniosłem wrażenie, że wasz świat jest raczej ascetyczny i unika niepotrzebnych luksusów.

— Faktycznie tak jest, panie radny. Nasze zasoby naturalne są ograniczone, a życie musi być surowe, gdyż taki jest tu klimat.

— No, ale to, pani minister… — Trevize zatoczył ręką łuk, pokazując pokój, gdzie po raz pierwszy na tym świecie zobaczył radośniejsze kolory i miękko wyścielane meble, gdzie ze ścian sączyło się łagodne światło, a pod stopami czuło się miękki i sprężysty dywan utworzony przez pole siłowe. — To z pewnością jest luksus.

— Unikamy, jak pan powiedział, panie radny, niepotrzebnego luksusu, luksusu na pokaz, luksusu, który jest marnotrawstwem. Ale to, co pan widzi tutaj, to luksus na użytek prywatny. Mam ciężką i bardzo odpowiedzialną pracę. Potrzebne jest mi miejsce, gdzie mogę, choćby na krótko, zapomnieć o trudach tej pracy.

— Czy wszyscy Comporellianie żyją tak, gdy nie widzą ich inni? — spytał Trevize.

— To zależy od wagi ich pracy i związanej z tym odpowiedzialności. Niewielu może sobie na to pozwolić, zasługuje na to i, dzięki naszemu kodeksowi moralnemu, chce tego.

— A pani, pani minister, może sobie na to pozwolić, zasługuje na to… i chce tego?

— Stanowisko łączy się z obowiązkami, ale i z przywilejami. A teraz niech pan usiądzie, panie radny, i powie mi o tych swoich urojeniach. — Usiadła na kanapie, której poduszki lekko ugięły się pod jej potężnym ciałem, i wskazała Trevizemu wyścielane krzesło stojące naprzeciw kanapy i niezbyt od niej oddalone.

Trevize usiadł.

— O urojeniach, pani minister? — spytał. Minister oparła się prawym łokciem o poduszkę, wyraźnie rozluźniona.

— W rozmowie prywatnej nie musimy zbyt rygorystycznie przestrzegać zasad formalnych. Może pan mi mówić „Lizalor”, a ja będę się do pana zwracała , Trevize”. Niech mi pan powie, co pan ma na myśli, i przeanalizujemy to.

Trevize założył nogę na nogę i usiadł wygodniej.

— Widzi pani, Lizalor, postawiła mnie pani przed wyborem: albo

oddam statek, albo zostanę postawiony przed sądem. I w jednym, i w drugim przypadku skończyłoby się na tym, że dostalibyście mój statek… Mimo to starała się pani usilnie przekonać mnie, żebym wybrał pierwsze rozwiązanie. Chce pani w zamian za mój statek ofiarować mi inny, w którym mogę z przyjaciółmi polecieć, gdzie będę chciał. Jeżeli będziemy chcieli, to możemy nawet zostać na Comporellonie i otrzymać wasze obywatelstwo. W sprawach mniejszej wagi zgodziła się pani dać mi piętnaście minut, abym mógł się naradzić ze swoimi przyjaciółmi. Zaprosiła mnie pani nawet do swoich prywatnych apartamentów, a moich przyjaciół odesłała do jakiejś, prawdopodobnie wygodnej, kwatery. Krótko mówiąc, Lizalor, stara się pani, i to usilnie, przekupić mnie, aby dostać statek bez procesu sądowego.

— Cóż to, Trevize, nie wierzy pan, że robię to z czysto ludzkich motywów?

— Nie.

— Ani że uważam, iż dobrowolne oddanie nam statku byłoby lepszym wyjściem niż rozprawa sądowa?

— Nie! Mam inne wytłumaczenie.

— Jakie?

— Rozprawa sądowa ma jeden istotny minus — jest wydarzeniem publicznym. Napomykała pani kilkakrotnie o waszym rygorystycznym przestrzeganiu prawa i podejrzewam, że byłoby wam trudno tak przeprowadzić proces, żeby jego przebieg nie został w pełni zarejestrowany. A gdyby wszystko znalazło się w aktach, to Fundacja dowiedziałaby się o tym i musielibyście zwrócić statek zaraz po zakończeniu rozprawy.

— Oczywiście — powiedziała Lizalor z obojętną miną. — Statek jest przecież własnością Fundacji.

— Ale — kontynuował Trevize — prywatna umowa ze mną nie musiałaby być odnotowywana w żadnych aktach. Dostalibyście statek po cichu i ponieważ Fundacja nic by o tym nie wiedziała, nie wiedziałaby nawet, że tu jesteśmy, moglibyście zatrzymać statek dla siebie. Jestem pewien, że o to właśnie wam chodzi.

— A dlaczego mielibyście to robić? — Lizalor w dalszym ciągu miała obojętną minę. — Przecież należymy do Konfederacji Fundacyjnej.

— Niezupełnie. Macie status świata stowarzyszonego. Na każdej mapie Galaktyki, na której światy członkowskie Fundacji zaznaczone są czerwonym kolorem, Comporellon i światy od niego zależne mają barwę bladoróżową.

— Nawet będąc światem stowarzyszonym współdziałalibyśmy z Fundacją.

— Czyżby? Może Comporellon nie marzy o całkowitej

niezależności, nawet o przywództwie? Jesteście światem o długiej historii. Prawie wszystkie światy utrzymują, że mają więcej lat niż naprawdę mają, ale Comporellon jest rzeczywiście starym światem.

Minister Lizalor pozwoliła sobie na chłodny uśmiech.

— Najstarszym, jeśli wierzyć naszym zapaleńcom.

— Czy nie było w waszych dziejach takiego okresu, kiedy Comporellon faktycznie przewodził jakiejś, stosunkowo niedużej grupie światów? Czy nie marzycie cały czas o odzyskaniu tej utraconej pozycji?

— Myśli pan, że marzymy o czymś tak nierealxiym? Powiedziałam, że to szaleństwo, zanim jeszcze wyłuszczył mi pan, co pan ma na myśli. Teraz, kiedy już wiem, co pan myśli, podtrzymuję tę opinię.

— Marzenia mogą być nierealne, ale to nie przeszkadza ich snuć. Terminus, który leży na samym skraju Galaktyki, który, ze swoją zaledwie pięćsetletnią historią, jest najmłodszym ze wszystkich światów, faktycznie rządzi Galaktyką. A dlaczego nie miałby nią rządzić Comporellon, co? — Trevize uśmiechnął się.

Lizalor była nadal poważna.

— Daje się nam do zrozumienia, że Terminus osiągnął tę pozycję dzięki Planowi Hariego Seldona.

— To jest argument natury psychologicznej i być może będzie on oddziaływał dopóty, dopóki ludzie będą w to wierzyć. Nie jest wykluczone, że rząd Comporellona już od dawna w to nie wierzy. Ale jest jeszcze argument natury technologicznej. Hegemonia Terminusa opiera się bez wątpienia na jego przewadze technologicznej. Statek o napędzie gra; witacyjnym, który tak bardzo chcecie mieć, jest i przykładem świadczącym o tej przewadze. Żaden 1 inny świat, poza Terminusem, nie dysponuje statkami grawitacyjnymi. Gdyby Comporellon zdobył taf ki statek i poznał szczegółowo jego budowę i zasady działania, to zrobiłby gigantyczny krok do przodu. Nie sądzę, żeby wam to wystarczyło do pokonania Terminusa i zajęcia jego miejsca w Galaktyce, ale wy możecie tak uważać.

— Nie mówi pan tego poważnie — powiedziała Lizalor. — Gdyby któryś rząd chciał, wbrew Fundacji, zatrzymać ten statek, to na pewno ściągnąłby na siebie jej gniew, a historia dostarcza licznych przykładów na to, że jej gniew pociąga za sobą opłakane skutki dla tego, przeciw komu się kieruje.

— Fundacja może się gniewać tylko wtedy, kiedy wie, że jest o co — powiedział Trevize.

— W takim razie, panie Trevize — zakładając, że pańska analiza sytuacji nie jest wytworem szaleństwa — czy nie byłoby z pożytkiem dla pana, gdyby oddał nam pan statek i zrobił na tym dobry interes? Dobrze byśmy panu zapłacili, gdybyśmy idę tu za pana

rozumowaniem — dostali ten statek po cichu.

— Moglibyście mieć gwarancję, że nie zawiadomiłbym o tym Fundacji?

— Oczywiście. Przecież to pan dokonałby transakcji.

— Mógłbym się tłumaczyć, że działałem pod przymusem.

— Owszem. Tylko, że pan sam wie doskonale, że burmistrz Branno nie uwierzyłaby panu… No to co, zrobimy interes?

Trevize potrząsnął głową.

— Nie, pani Lizalor. Statek jest mój i musi pozostać moim. Jak już mówiłem, wybuchnie i narobi strasznych zniszczeń, jeśli spróbujecie otworzyć go siłą. Przysięgam, że mówię prawdę. Niech się pani nie łudzi, że udaję.

— Ale pan sam może go otworzyć i zmienić instrukcje dla komputera.

— Bez wątpienia, ale nie zrobię tego.

Lizalor ciężko westchnęła.

— Dobrze pan wie, że możemy zmusić pana do zmiany stanowiska… jeśli nie bezpośrednio, to poprzez to, co możemy zrobić pana przyjacielowi, profesorowi Peloratowi albo tej młodej kobiecie.

— Tortury, pani minister? To tak wygląda wasze prawo?

— Nie, panie radny. Ale nie musimy uciekać się do tak brutalnych praktyk. Zawsze jeszcze pozostaje sonda psychiczna.

Po raz pierwszy od czasu wejścia do prywatnych apartamentów minister Lizalor, Trevize poczuł, że ciarki chodzą mu po plecach.

— Tego też nie możecie zrobić. Używanie sondy psychicznej dla celów innych niż medyczne jest zakazane w całej Galaktyce.

— Ale jeśli doprowadzi nas pan do ostateczności…

— Zaryzykuję to — powiedział spokojnie Trevize — bo nic wam z tego nie przyjdzie. Jestem tak zdecydowany zachować swój statek, że sonda psychiczna prędzej zniszczy mój mózg, niż zmusi mnie do oddania go wam. — To już był zwykły bluff i skóra ścierpła mu jeszcze bardziej. — I nawet gdybyście tak umiejętnie zaaplikowali mi sondę, że mój mózg nie zostałby uszkodzony, a ja rozbroiłbym ładunek wybuchowy, otworzył statek i przekazał go wam, to i tak nic by wam z tego nie przyszło. Komputer pokładowy jest jeszcze większym osiągnięciem techniki niż sam statek i został tak zaprojektowany — nie wiem, na czym to polega — że w pełni wydajnie może pracować tylko ze mną. Można powiedzieć, że jest to komputer tylko dla jednej osoby.

— Załóżmy wobec tego, że zachowałby pan swój statek i pozostał jego pilotem. Dowodziłby pan statkiem w naszej służbie, jako zasłużony obywatel Comporellona. Wysoka pensja, życie w luksusie. Również dla pana przyjaciół. Co pan na to?

— Nic z tego.

— No to co pan wobec tego proponuje? Żebyśmy po prostu pozwolili wam wsiąść na statek i odlecieć? Ostrzegam pana, że zanim byśmy wam na to pozwolili, moglibyśmy po prostu powiadomić Fundację, że tu jesteście i zostawić im tę sprawę.

— I stracić statek?

— Jeśli już musielibyśmy go stracić, to prawdo. podobnie raczej na rzecz Fundacji niż jakiegoś bezczelnego obcoświatowca.

— Wobec tego może mi pani pozwoli przedstawić moją własną propozycję kompromisowego wyjścia…

— Kompromisowego? Dobrze, posłucham. Niech pan mówi.

— Mam ważną misję do spełnienia — zaczął ostrożnie Trevize. — Zaczynałem ją przy wsparciu Fundacji. Teraz wygląda na to, że Fundacja wycofała swoje wsparcie, ale misja jest nadal ważna. Niech mnie wesprze Comporellon, a jeśli misja zakończy się sukcesem, to Comporellon na tym skorzysta.

Lizalor miała niezdecydowaną minę. — I nie zwróci pan statku Fundacji?

— Nigdy nie miałem zamiaru tego zrobić. Zresztą Fundacja nie szukałaby go tak rozpaczliwie, gdyby się spodziewali, że zwrócę go im bez problemów.

— To jeszcze nie znaczy, że odda go pan nam.

— Kiedy spełnię swoją misję, statek może mi już nie być potrzebny. W takim przypadku nie będę miał nic przeciwko temu, żeby przejął go Comporellon.

Patrzyli na siebie przez kilka chwil w milczeniu.

— Używa pan trybu warunkowego — powiedziała w końcu Lizalor. — „Może mi już nie być potrzebny”. To nam nie daje żadnej gwarancji.

— Mógłbym obiecywać różne rzeczy, ale czy dałoby to wam jakąś gwarancję? Fakt, że jestem ostrożny i uzależniam swoją obietnicę od okoliczności, dowodzi, że jestem przynajmniej szczery.

— To inteligentne postawienie sprawy — powiedziała Lizalor, kiwając z uznaniem głową. — Podoba mi się to. A więc co to za misja i w jaki sposób mógłby na niej skorzystać Comporellon?

— O nie — powiedział Trevize — teraz pani kolej. Wesprzecie mnie, jeśli wykażę, że moja misja jest ważna dla Comporellona?

Minister Lizalor podniosła się z kanapy.

— Jestem głodna, panie radny — powiedziała i nie mogę już dłużej rozmawiać o pustym żołądku. Zaraz przygotuję coś do jedzenia i picia… skromny posiłek. Potem będziemy mogli dokończyć tę sprawę.

Kiedy to mówiła, Trevizemu wydało się, że się oblizuje jak drapieżna kotka. Zacisnął usta z lekkim zażenowaniem.

21

Posiłek był może pożywny, ale na pewno nie był rozkoszą dla podniebienia. Główne danie składało się z gotowanej wołowiny w musztardowym sosie, na jakiejś liściastej jarzynie, której Trevize nie mógł zidentyfikować. Nie przypadł mu też do gustu jej gorzko-słony smak. Później dowiedział się, że był to jakiś gatunek wodorostów.

Po tym daniu przyszła kolej na owoce przypominające w smaku jabłka, a trochę brzoskwinie (nie było to takie złe) i gorący, ciemny napój, który był tak gorzki, że Trevize zostawił połowę i poprosił zamiast tego o trochę zimnej wody. Wszystkie porcje były małe, ale w takiej sytuacji Trevize nie miał nic przeciwko temu.

Jedli w typowo domowej atmosferze, bez żadnych służących. Minister Lizalor własnoręcznie podgrzewała i podawała dania i sama sprzątała ze stołu.

— Mam nadzieję, że smakowało panu — powiedziała, kiedy wyszli z jadalni.

— Owszem — odparł Trevize bez entuzjazmu.

Minister wróciła na swoje miejsce na kanapie.

— Wróćmy zatem do naszej wcześniejszej rozmowy — powiedziała. — Powiedział pan, że Comporellon może żywić niechęć do Fundacji z racji jej przewagi technologicznej i panowania nad Galaktyką. W. pewnym sensie to prawda, ale ten aspekt sytuacji interesuje tylko ludzi, którzy zajmują się polityką międzygwiezdną, a takich jest stosunkowo niewielu. Bardziej istotny jest tu fakt, że przeciętnego Comporellianina przeraża niemoralność Fundacji. Niemoralność pleni się na większości światów, ale nigdzie tak bujnie jak na Terminusie. Powiedziałabym, że nieprzyjazne nastawienie do Terminusa bierze się raczej stąd niż z bardziej abstrakcyjnych przyczyn.

— Niemoralność? — spytał ze zdziwieniem Trevize. — Fundacji można wiele zarzucić, ale musi pani przyznać, że swoją częścią Galaktyki rządzi rozsądnie i umiejętnie, i prowadzi sprawiedliwą politykę podatkową. Prawa jednostki są u nas, ogólnie biorąc, szanowane…

— Panie radny, ja mówię o moralności w dziedzinie stosunków męsko-damskich.

— W takim razie zupełnie pani nie rozumiem. Pod tym względem jesteśmy wyjątkowo moralnym społeczeństwem. Kobiety są dobrze reprezentowane we wszystkich sferach życia społecznego. Mamy burmistrza kobietę, a prawie połowa Rady składa się…

Przez twarz minister Lizalor przemknął wyraz zniecierpliwienia.

— Panie radny, kpi pan sobie ze mnie czy co? Chyba rozumie pan

co znaczy moralność w dziedzinie stosunków męsko-damskich. Czy małżeństwo jest na Terminusie traktowane jako sakrament czy nie?

— Co pani rozumie przez sakrament?

— Czy zawarcie związku małżeńskiego jest jakąś oficjalną ceremonią?

— Oczywiście, jeśli ludzie sobie tego życzą. Taka ceremonia upraszcza sprawy podatkowe i spadkowe.

— Ale można wziąć rozwód.

— Oczywiście. Na pewno byłoby seksualnie niemoralne zmuszać ludzi do życia ze sobą, kiedy…

— Nie ma żadnych ograniczeń narzuconych przez religię?

— Przez religię? Są u nas ludzie, którzy czerpią filozofię ze starożytnych kultów, ale co to ma wspólnego z małżeństwem?

— Panie radny, tu, na Comporellonie, wszystkie aspekty życia seksualnego są dokładnie kontrolowane. Nie ma mowy o życiu seksualnym poza małżeństwem. Zresztą nawet w małżeństwie podlega ono ograniczeniom. Jesteśmy bardzo zgorszeni tym, jak się traktuje te sprawy na innych światach, szczególnie na Terminusie, gdzie seks uważa się tylko za przyjemność i rozrywkę, każdy może się mu swobodnie oddawać kiedy, jak i z kim chce, bez żadnego szacunku dla wartości religijnych.

Trevize wzruszył ramionami.

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę reformować Galaktyki, ani nawet Terminusa… a poza tym, co to ma wspólnego z moim statkiem?

— Przedstawiam panu opinię publiczną w sprawie pańskiego statku, żeby zrozumiał pan, jak to ogranicza moje możliwości zawarcia z panem jakiegoś kompromisu. Nasze społeczeństwo byłoby wstrząśnięte, gdyby dowiedziało się, że zabrał pan na statek młodą i atrakcyjną kobietę, żeby dogodzić żądzom swoim i swojego kompana. Właśnie z troski o bezpieczeństwo całej waszej trójki nalegałam, żeby wybrał pan dobrowolne poddanie się zamiast procesu.

— Widzę, że wykorzystała pani obiad, aby obmyślić nowy sposób perswazji przez zastraszenie powiedział Trevize. — Mam się teraz obawiać samosądu.

— Ja tylko wskazuję na niebezpieczeństwo. Może pan zaprzeczy, że zabraliście tę kobietę na pokład tylko po to, żeby zaspokoić potrzeby erotyczne?

— Oczywiście, że zaprzeczę. Bliss jest przyjaciółką profesora Pelorata. Poza nią nie ma on żadnych kobiet. Może nie zgodziłaby się pani określić ich związku mianem małżeństwa, ale jestem przekonany, że zarówno Pelorat, jak i ta kobieta tak właśnie to traktują.

— Chce pan przez to powiedzieć, że pan nie jest z nią związany?

— Oczywiście. Za kogo mnie pani bierze?

— Nie wiem. Nie znam pana poglądów na moralność.

— W takim razie proszę przyjąć do wiadomości, że moje poglądy na moralność zabraniają mi używania rzeczy należących do mego przyjaciela i nagabywania jego przyjaciółek.

— Nie czuje pan nawet żadnej pokusy?

— Na pokusy nie mam żadnego wpływu, ale na pewno im się nie poddam.

— Na pewno. A może nie interesują pana kobiety?

— Co to, to nie. Interesują.

— A od jak dawna nie miał pan kobiety?

— Od miesięcy. Od czasu odlotu z Terminusa.

— Chyba nie jest pan z tego zadowolony.

— Oczywiście, że nie — odparł stanowczo Trevize — ale w tej sytuacji nie mam wyboru.

— Pewnie pana przyjaciel, Pelorat, zgodziłby się, żeby jego przyjaciółka ulżyła pana cierpieniom.

— Nie pokazuję mu, że cierpię, a zresztą nawet gdybym to pokazywał, to on i tak nie zgodziłby się na taki układ. Ani Bliss. Ja się jej nie podobam.

— Sprawdził pan to?

— Nie sprawdziłem. Nie czuję takiej potrzeby. Zresztą nie za bardzo ją lubię.

— Zdumiewające! Mężczyźni na pewno uważają, że jest atrakcyjna.

— Na pewno wygląda atrakcyjnie. Mimo to mnie ona nie pociąga. Przede wszystkim jest za młoda, pod pewnymi względami nawet dziecinna.

— A więc woli pan kobiety dojrzałe?

Trevize nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, czy nie kryje się w tym jakaś pułapka. W końcu powiedział ostrożnie:

— Jestem już w takim wieku, że cenię sobie niektóre dojrzałe kobiety. Ale co to ma wspólnego z moim statkiem?

— Niech pan zapomni na chwilę o statku — powiedziała Lizalor. — Mam czterdzieści sześć lat i nie jestem mężatką. Zawsze byłam za bardzo zajęta, żeby pomyśleć o małżeństwie.

— W takim wypadku musi pani, zgodnie z obowiązującymi u was zasadami, pozostać do końca życia dziewicą. To dlatego pytała mnie pani od jak dawna nie miałem kobiety? Szuka pani u mnie rady w tej kwestii?… No cóż, mogę powiedzieć tylko tyle, że seks to nie to samo, co jedzenie i picie. Można się bez niego obyć, choć to oczywiście przykre.

Minister Lizalor uśmiechnęła się i w jej oczach znowu pojawił się drapieżny błysk.

— Nie rozumie mnie pan, Trevize. Wysokie stanowisko daje pewne przywileje, a poza tym można zachować dyskrecję. Nie jestem

zupełną abstynentką w sprawach seksu. Niestety, nasi mężczyźni nie są dobrzy w tych sprawach. Rozumiem, że moralność jest dobrem absolutnym, ale napełnia naszych mężczyzn poczuciem winy, skutkiem czego stają się nieśmiali i niezaradni, nie kwapią się, żeby zacząć, za to szybko kończą i w ogóle są ofermami.

— Na to też nic nie mogę poradzić — powiedział bardzo ostrożnie Trevize.

— Czyżby chciał pan przez to powiedzieć, że to może być moja wina? Że nie jestem pociągająca?

Trevize podniósł dłoń w obronnym geście.

— Nie powiedziałem nic takiego.

— W takim razie jak pan by zareagował w takiej sytuacji? Pan, mężczyzna z przeżartego niemoralnością świata, mężczyzna, który musi mieć bogate doświadczenie erotyczne, który od kilku miesięcy zmuszony jest zachowywać całkowitą abstynencję w tych sprawach, mimo iż przez cały ten czas przebywa w towarzystwie młodej i atrakcyjnej kobiety. Jak by pan zareagował, znalazłszy się w towarzystwie takiej kobiety jak ja, kobiety dojrzałej, która podobno jest w pana typie?

— Zachowałbym się z szacunkiem należnym pani z racji stanowiska — odparł Trevize.

— Niech pan nie będzie głupcem! — powiedziała minister. Jej ręka powędrowała do prawego boku. Biały pas, który otaczał jej talię, zwisł luźno i odwinął się. Górna część jej czarnego stroju zaczęła się powoli zsuwać.

Trevize siedział jak skamieniały. To o to jej chodziło… Ciekawe od jak dawna. A może chciała w ten sposób osiągnąć to, czego nie udało się jej osiągnąć groźbami?

Żakiet opadł, a wraz z nim sztywny stanik. Minister siedziała naga od pasa w górę, z wyrazem dumnego lekceważenia na twarzy. Jej piersi pasowały do jej całej postaci — były masywne, jędrne i imponujące.

— No i co? — powiedziała.

— Wspaniałe! — odparł zupełnie szczerze Trevize.

— No i co pan teraz ma zamiar zrobić?

— A co nakazują w takiej sytuacji wasze zasady moralne, pani Lizalor?

— A jakie to ma znaczenie dla mężczyzny z Terminusa? Co nakazują w takiej sytuacji wasze zasady moralne?… No, szybciej. Mam zimne piersi i chcę je rozgrzać.

Trevize wstał i zaczął się rozbierać.

6. Natura Ziemi

22

Trevize czuł się prawie tak, jakby był po seansie narkotycznym. Zastanawiał się, ile czasu upłynęło.

Obok niego leżała Mitza Lizalor, minister komunikacji. Leżała na brzuchu, policzek miała na poduszce, usta otwarte. Wyraźnie pochrapywała. Trevize był zadowolony z tego, że śpi. Miał nadzieję, że kiedy się wreszcie obudzi, uświadomi sobie, że spała.

Jemu też bardzo chciało się spać, ale czuł, że nie powinien tego robić. Nie może pozwolić na to, aby po przebudzeniu Mitza Lizalor stwierdziła, że on też śpi. Musi zdać sobie sprawę, że podczas kiedy ona była tak wyżęta, że nie wiedziała już, co się koło niej dzieje, on trzymał się dzielnie. Na pewno spodziewała się po wychowanym w Fundacji rozpustniku takiej wytrzymałości, więc chciał, żeby nie rozczarowała się w tym względzie.

W pewnym sensie spełnił jej oczekiwania. Biorąc pod uwagę wzrost i siłę fizyczną Lizarol, jej pozycję na Comporellonie, pogardę, jaką żywiła do comporellońskich mężczyzn, dziwną mieszaninę odrazy i fascynacji, którą obudziły w niej opowieści (Trevize zastanawiał się, co właściwie jej naopowiadano) o erotycznych wyczynach dekadentów z Terminusa, domyślił się, że podświadomie pragnęła być zdominowana przez niego. Może nawet oczekiwała tego, aczkolwiek nie mogła otwarcie się do tego przyznać.

Postąpił zgodnie z tym przekonaniem i na szczęście okazało się, że miał rację. „Trevize, ten, który zawsze ma rację" — pomyślał kpiąco. Podobało się to Mitzie Lizalor, a jemu umożliwiło takie pokierowanie biegiem spraw, by ona znużyła się, a on pozostał względnie wypoczęty.

Nie przyszło to łatwo. Miała cudowne ciało (mówiła, że ma czterdzieści sześć lat, ale takiego ciała nie powstydziłaby się dwudziestopięcioletnia sportsmenka) i niesamowitą energię; energię, którą przewyższał tylko zapał, z jakim się jej pozbywała.

Gdyby można było trochę poskromić ten jej zapał i nauczyć ją umiaru, gdyby praktyka (tylko czy on przetrzymałby tę praktykę?) uświadomiła jej lepiej, jakie ma możliwości i, co ważniejsze, jakie możliwości ma on, to mogłoby być naprawdę przyjemnie…

Pochrapywanie nagle ustało i Lizalor poruszyła się. Trevize położył dłoń na jej ramieniu i pogładził je lekko. Otworzyła oczy. Trevize leżał oparty na łokciu i starał się, jak mógł, wyglądać na wypoczętego i pełnego wigoru.

— Cieszę się, że sobie pospałaś — powiedział. Potrzebowałaś odpoczynku.

Uśmiechnęła się do niego sennie i przez moment Trevize miał

wrażenie, że będzie chciała zacząć od nowa, ale tylko przekręciła się na plecy. Powiedziała miękkim i zadowolonym głosem:

— Nie myliłam się co do ciebie. Jesteś mistrzem seksu.

Trevize zrobił skromną minę.

— Muszę się bardziej hamować.

— Bzdury! Byłeś w sam raz. Bałam się, że cię wyeksploatowała ta młoda kobieta, ale zapewniałeś mnie, że między wami nic nie było. To prawda?

— Czy zachowywałem się jak ktoś w połowie zaspokojony?

— Nie, oczywiście, że nie — odparła, roześmiawszy się gromko.

— Dalej myślisz o sondzie psychicznej?

Znowu się roześmiała.

— Oszalałeś? Czy teraz chciałabym cię stracić?

— Jednak byłoby lepiej, żebyś na pewien czas mnie straciła…

— Co? — Zmarszczyła czoło.

— Gdybym został tu na stałe, kochana, to ile czasu trzeba by było, żeby ludzie zaczęli gadać? Ale gdybym kontynuował swoją misję, to byłoby zupełnie naturalne, że przylatywałbym tu co jakiś czas, aby złożyć raport i że przez pewien czas bylibyśmy ze sobą sam na sam, bo to ważna misja.

Zastanawiała się przez chwilę, drapiąc się leniwie po biodrze. Potem powiedziała:

— Myślę, że masz rację. Złości mnie taka perspektywa, ale myślę, że masz rację.

— I nie obawiaj się, że nie wrócę — powiedział Trevize. — Nie jestem takim idiotą, żebym mógł zapomnieć o tym, co mnie tu czeka.

Uśmiechnęła się do niego, pogłaskała go po policzku i spytała, zaglądając mu w oczy:

— Uważasz, że to było przyjemne, kochany?

— Bardziej niż przyjemne.

— Ale jesteś z Fundacji. Mężczyzna w pełni sił z samego Terminusa. Musisz znać przeróżne kobiety o przeróżnych zdolnościach i umiejętnościach…

— Nie spotkałem żadnej — żadnej — kobiety, która by cię przypominała choćby w małym stopniu — powiedział Trevize z przekonaniem, które zabrzmiało bardzo szczerze, jako że w końcu mówił szczerą prawdę.

— No, skoro tak mówisz — powiedziała z zadowoleniem Lizalor. — Mimo to trudno jest się pozbyć starych przyzwyczajeń i nie sądzę, żebym kiedykolwiek zawierzyła mężczyźnie na słowo, bez żadnych gwarancji. Ty i ten twój przyjaciel, Pelorat, będziecie mogli udać się w waszej misji jak tylko wyrażę na to zgodę, ale ta młoda kobieta zostanie tutaj. Będzie dobrze traktowana, nie obawiaj się, ale wolę ją zatrzymać. Przypuszczam, że profesor Pelorat będzie chciał się z nią

widywać i zadba o to, żebyście często wracali na Comporellon, nawet gdybyś tak się zapalił do swojej misji, że chciałbyś dłużej zostać w przestrzeni.

— Ale to niemożliwe, Mitza.

— Naprawdę? — W jej oczach pojawiła się podejrzliwość. — A dlaczego? Po co jest ci ona potrzebna?

— Nie dla zaspokojenia potrzeb erotycznych. Mówiłem ci to już. I nie kłamałem. Ona należy do Pelorata, a mnie zupełnie nie interesuje. Poza tym jestem pewien, że rozpadłaby się na kawałki, gdyby spróbowała wytrzymać to, przez co ty przeszłaś zwycięsko.

Lizalor omal się nie uśmiechnęła, ale opanowała się i spytała surowym tonem:

— No to co cię obchodzi, że ona zostanie na Comporellonie?

— Jej obecność jest nieodzowna dla powodzenia naszej misji. Dlatego musimy ją mieć ze sobą.

— No dobrze, a na czym polega ta wasza misja? Czas już, żebyś mi to wyjaśnił.

Trevize zawahał się, ale trwało to bardzo krótko. Musi powiedzieć prawdę. Nie przychodziło mu do głowy żadne kłamstwo, które byłoby równie skuteczne.

— Posłuchaj… — powiedział. — Comporellon to stary świat, może nawet jeden z najstarszych, ale na pewno nie najstarszy. To nie tutaj powstał rodzaj ludzki. Ludzie przybyli tu z jakiegoś innego świata, który zresztą też nie musiał być kolebką ludzkości. Być może na tamten świat przylecieli z jeszcze innego, jeszcze starszego świata. Jednak w którymś miejscu to cofanie się w przeszłość musi się skończyć, musimy dotrzeć do pierwszego świata, do kolebki ludzkości. Otóż ja poszukuję Ziemi.

W Mitzę Lizalor jakby piorun strzelił. Jej oczy rozszerzyły się, oddech stał się krótki i urywany, a całe ciało zesztywniało. Wyrzuciła ramiona w górę, krzyżując przy tym palec środkowy każdej dłoni z palcem wskazującym.

— Wymówiłeś tę nazwę — wykrztusiła.

23

Nie powiedziała nic więcej, nawet nie spojrzała na niego. Powoli opuściła ręce, zsunęła nogi z łóżka i usiadła tyłem do niego. Trevize leżał jak skamieniały.

Przypomniał sobie momentalnie, co mówił mu Munn Li Compor, kiedy stali w pustej sali centralnej informacji turystycznej na Sayshell. Pamiętał jego słowa tak dokładnie, jak gdyby zostały wypowiedziane wczoraj. „Są pod tym względem bardzo przesądni. Za każdym razem, kiedy pada to słowo, podnoszą w górę obie ręce ze skrzyżowanymi palcami środkowym i wskazującym, co ma odegnać nieszczęście." Tak mówił Compor o planecie, z której pochodzili jego przodkowie, a na której znajdował się teraz Trevize.

Niestety, przypomniał sobie o tym po fakcie.

— A co powinienem był powiedzieć, Mitza? spytał cicho.

Potrząsnęła tylko lekko głową, a potem podeszła do drzwi. Zamknęły się za nią i po chwili doszedł stamtąd szum lejącej się wody.

Nie pozostało mu nic innego, jak czekać. Leżał tak, nagi i skrępowany tą sytuacją, zastanawiając się czy ma z nią wejść pod prysznic, czy nie. W końcu doszedł do wniosku, że lepiej tego nie robić. Ale jak tylko nabrał pewności, że właściwie odmówiono mu prysznica, zapragnął znaleźć się pod nim.

W końcu Mitza Lizalor wyszła z łazienki i zaczęła w milczeniu zbierać ubranie.

— Nie masz nic przeciw temu, że skorzystam… — powiedział.

Nie odpowiedziała nic, więc wziął milczenie za znak zgody. Chciał przejść do łazienki energicznym, męskim krokiem, ale czuł się niepewnie, jak w czasach kiedy był małym chłopcem i matka, obrażona na niego za jakiś wybryk, zamiast go ukarać w jakiś inny sposób, przestawała się do niego odzywać.

Rozejrzał się po małej kabinie, która spełniała funkcje łazienki, ale nie było tam nic, oprócz gładkich, pustych ścian. Rozejrzał się jeszcze raz, uważniej, ale w dalszym ciągu nie mógł dostrzec żadnych kurków.

Otworzył drzwi, wysunął głowę i spytał:

— Słuchaj, w jaki sposób uruchamia się tu prysznic?

Odłożyła dezodorant (w każdym razie Trevize domyślił się, że taką funkcję spełnia ów przedmiot), podeszła do drzwi łazienki i w dalszym ciągu nie spoglądając nawet na niego, pokazała na coś palcem. Trevize spojrzał w tym kierunku i odkrył na ścianie okrągłą, różową plamkę, która była tak blada, jak gdyby projektant tego wnętrza nie chciał psuć bieli ścian dla czegoś tak nieistotnego jak przycisk uruchamiający urządzenie, któremu miało służyć owo

wnętrze.

Trevize wzruszył lekko ramionami, pochylił się i dotknął plamki. Prawdopodobnie było to właśnie to, co należało zrobić, gdyż po chwili ze wszystkich stron trysnęły cienkie, lecz silne strumyki wody. Z trudem łapiąc oddech w tym potopie, Trevize ponownie nacisnął plamkę i woda przestała lecieć.

Otworzył drzwi, wiedząc, że wygląda jeszcze żałośniej niż poprzednio, gdyż z trudem udało mu się wykrztusić przez szczękające zęby:

— Jak tu się odkręca gorącą wodę?

Tym razem Mitza spojrzała na niego i widocznie jego wygląd przełamał jej złość (czy strach, czy co to było za uczucie, które trzymało ją w swych szponach), gdyż parsknęła śmiechem.

— Jaką gorącą wodę? — spytała. — Myślisz, że marnujemy energię, żeby podgrzewać wodę do mycia? To zupełnie dobra woda, o temperaturze pokojowej. Czy można chcieć czegoś więcej? Ty terminuski mięczaku! Wracaj tam i myj się!

Trevize zawahał się, ale nie trwało to długo, gdyż było jasne, że nie ma w tej sprawie wyboru.

Dotknął niechętnie różowej plamki, ale tym razem przygotował się na lodowaty strumień. To ma być woda o temperaturze pokojowej? Stwierdził, że na skórze tworzy mu się piana mydlana, więc zaczął energicznie trzeć całe ciało. Przypuszczał, że jest to cykl wstępny, namydlania, który nie potrwa długo.

Potem przyszła kolej na cykl spłukiwania. „Aha, teraz ciepła woda…” — pomyślał. No, może nie ciepła, ale już nie tak zimna, a to wystarczyło, żeby — po gruntownym wychłodzeniu — poczuć ciepło. Potem, akurat w chwili kiedy chciał ponownie dotknąć plamki, aby wyłączyć prysznic i zastanawiał się, w jaki sposób Mitza Lizalor wyszła z łazienki sucha, skoro nie było tam ani ręcznika, ani żadnej jego namiastki, woda przestała lecieć. Zastąpił ją nagły podmuch powietrza, podmuch tak silny, że Trevize niechybnie upadłby pod jego naporem, gdyby nie fakt, że uderzyło w niego ze wszystkich stron równocześnie.

Powietrze było gorące, prawie za gorące. Trevize wiedział, że do ogrzania powietrza potrzeba było znacznie mniej energii niż do ogrzania wody. Pod wpływem tego powietrza woda szybko wyparowała z jego skóry i po kilku minutach Trevize mógł wyjść z łazienki tak suchy, jakby nigdy nie wchodził do wody.

Mitza Lizalor doszła już chyba całkowicie do siebie.

— Dobrze się czujesz? — spytała.

— Bardzo dobrze — odparł Trevize. Rzeczywiście, czuł się zdumiewająco odświeżony. — Po prostu nie spodziewałem się takiej temperatury. Nie uprzedziłaś mnie…

— Mięczak — powiedziała Lizalor, tym razem żartobliwie.

Skorzystał z jej dezodorantu i zaczął się ubierać, zdając sobie sprawę z faktu, że ona ma świeżą bieliznę, a on nie.

— Jak powinienem był nazwać… ten świat? spytał.

— Mówimy o nim „Najstarszy” — odparła.

— Skąd miałem wiedzieć, że wymawianie nazwy, której użyłem, jest u was zakazane? — spytał. Powiedziałaś mi o tym?

— A pytałeś o to?

— A skąd miałem wiedzieć, że trzeba o to spytać?

— Teraz już wiesz.

— Mogę zapomnieć.

— Lepiej nie zapominaj.

— A co to za różnica? — Trevize czuł, że poprawia mu się humor. — To tylko słowo, tylko dźwięk.

— Są słowa, których się nie wypowiada — powiedziała Lizalor ponuro. — Czy w każdej sytuacji wypowiadasz każde słowo, które znasz?

— Niektóre słowa są wulgarne, niektóre niewłaściwe, a niektóre mogą być w pewnych okolicznościach bolesne. A to, którego użyłem… do jakiej kategorii należy?

— To słowo jest poważne, smutne. Odnosi się do świata, z którego się wszyscy wywodzimy, ale którego już nie ma. To tragiczne, a my odczuwamy to szczególnie boleśnie, gdyż leżał blisko nas. Nie chcemy o nim w ogóle rozmawiać, a jeśli już musimy, to wolimy nie wymawiać jego nazwy.

— A to skrzyżowanie palców? Czy to w jakiś sposób uśmierza ten ból i smutek?

Lizalor zaczerwieniła się.

— To była zupełnie automatyczna reakcja i jestem zła na ciebie, że ją sprowokowałeś. Niektórzy ludzie wierzą, że to słowo, a nawet sama myśl o nim, sprowadza nieszczęście… i właśnie w ten sposób starają się je odwrócić.

— Ty też wierzysz, że skrzyżowanie palców odwraca nieszczęście?

— Nie… No, może w pewnym sensie wierzę. Czuję się niespokojna, jeśli tego nie zrobię. — Nie patrzyła na Trevizego. Potem, jak gdyby chciała jak najszybciej zmienić temat, spytała: — A dlaczego obecność tej czarnowłosej kobiety jest nieodzowna dla powodzenia tej twojej misji związanej z odnalezieniem tego… tego świata, o którym mówiłeś?

— Mów o nim „Najstarszy”. A może nie chciałabyś używać nawet tej nazwy?

— Nie chciałabym w ogóle o tym rozmawiać, ale zadałam ci pytanie.

— Jestem przekonany, że ludzie z jej świata są emigrantami z Najstarszego.

— Tak jak my — rzekła z dumą Lizalor.

— Ale oni zachowali pewne tradycje, które — jej zdaniem — są kluczem do zrozumienia Najstarszego. Najpierw jednak musimy go odnaleźć i przestudiować jego archiwa.

— Ona kłamie.

— Być może, ale musimy to sprawdzić.

— Jeśli masz ze sobą tę kobietę, z jej wątpliwą wiedzą, i jeśli chcesz dotrzeć do Najstarszego, to po co~ przyleciałeś na Comporellon?

— Aby dowiedzieć się, jakie jest położenie Najstarszego. Miałem kiedyś przyjaciela, który — podobnie jak ja — był obywatelem Fundacji. Jednak jego przodkowie pochodzili z Comporellona i zapewniał mnie, że na Comporellonie znają dość dobrze dzieje Najstarszego.

— Naprawdę tak mówił? A opowiedział ci coś o tych dziejach?

— Tak — odparł Trevize, ponownie mówiąc prawdę. — Mówił mi, że Najstarszy jest martwym światem, że jest skażony radioaktywnością. Nie wiedział, skąd się wzięła ta radioaktywność, ale przypuszczał, że może być ona skutkiem wybuchów jądrowych. Być może wojny nuklearnej.

— Nieprawda! — powiedziała gwałtownie Lizalor.

— Co „nieprawda”? Nieprawda, że była tam wojna czy nieprawda, że jest skażony radioaktywnością?

— Jest skażony, ale nie w wyniku wojny.

— No to w jaki sposób stał się radioaktywny? Nie mógł być taki od początku, bo inaczej nie powstałoby na nim życie. Nigdy nie mogłoby tam istnieć życie.

Lizalor miała taką minę, jak gdyby wahała się, czy ma coś powiedzieć czy nie. Stała wyprostowana i ciężko oddychała. W końcu rzekła:

— To była kara. Na tym świecie używano robotów. Wiesz, co to roboty?

— Tak.

— No więc mieli roboty i za to zostali ukarani. Zostały ukarane wszystkie światy, na których były roboty. Żaden z nich już nie istnieje.

— A kto ich ukarał, Mitza?

— Ten Który Karze. Siły historii. Nie wiem. Patrzyła w bok, unikając jego wzroku, wyraźnie speszona. Potem dodała cicho: — Spytaj innych.

— Chciałbym, ale kogo mam pytać? Czy są na Comporellonie jacyś ludzie, którzy zajmują się prehistorią?

— Są. Nie cieszą się wśród nas… wśród przeciętnych

Comporellian popularnością… ale Fundacja, wasza Fundacja domaga się respektowania, jak to nazywacie, wolności myśli.

— Moim zdaniem to nie jest takie złe, że się tego domaga — powiedział Trevize.

— Wszystko, co jest narzucone z zewnątrz, jest złe — powiedziała Lizalor.

Trevize wzruszył ramionami. Nie było sensu spierać się o to.

— Mój przyjaciel, profesor Pelorat — powiedział — też się w pewnym sensie zajmuje prehistorią. Jestem pewien, że chciałby poznać waszych specjalistów z tej dziedziny. Mogłabyś to załatwić, Mitza?

Skinęła głową.

— Jest taki historyk na naszym stołecznym uniwersytecie. Nie prowadzi zajęć ze studentami, ale może potrafiłby odpowiedzieć na interesujące was pytania. Nazywa się Vasil Deniador.

— Dlaczego nie prowadzi zajęć?

— Nie dlatego, że mu zabroniono. Po prostu sami studenci nie chcą wybierać tego przedmiotu.

— Przypuszczam — powiedział Trevize, starając się, żeby nie zabrzmiało to sarkastycznie — że studentów zachęca się, żeby go nie wybierali.

— A dlaczego mieliby go wybierać? To sceptyk. Jak widzisz, mamy i takich. Zawsze znajdują się jednostki, które myślą inaczej niż reszta i są tak bezczelne, iż uważają, że właśnie one mają rację, a cała reszta się myli.

— A może w pewnych przypadkach jest tak rzeczywiście?

— Nie! — powiedziała Lizalor tak stanowczym tonem, że było jasne, iż dalsza dyskusja na ten temat mija się z celem. — Ale mimo swojego sceptycyzmu będzie musiał powiedzieć wam dokładnie to, co wie każdy Comporellianin.

— To znaczy co?

— To, że jeśli szukacie Najstarszego, to nigdy go nie znajdziecie.

24

W przydzielonych im apartamentach Pelorat wysłuchał z nieruchomą twarzą Trevizego, a potem rzekł z zadumą:

— Vasil Deniador? Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek o nim słyszał, ale niewykluczone, że kiedy wrócimy na statek, znajdę w swojej bibliotece jakieś artykuły jego pióra.

— Na pewno nie słyszałeś o nim? Pomyśl dobrze! — rzekł Trevize.

— W tej chwili nie przypominam sobie, żebym o nim słyszał — powiedział ostrożnie Pelorat — ale w końcu, stary, są na pewno setki zasługujących na szacunek uczonych, o których nie słyszałem, a jeśli słyszałem, to nic nie pamiętam.

— W każdym razie nie może być wybitnym uczonym. W przeciwnym wypadku na pewno byś o nim słyszał.

— Dla przedstawicieli nauki o Ziemi… — zaczął Pelorat.

— Staraj się mówić „o Najstarszym", Janov. W przeciwnym razie skomplikuje to nam sprawy.

— Dla przedstawicieli nauki o Najstarszym poprawił się Pelorat — nie ma miejsca w galerii zasłużonych badaczy, więc wybitni uczeni, nawet z dziedziny prehistorii, niechętnie się nią zajmują. Albo, jeśli spojrzymy na to z drugiej strony, to nawet gdyby wśród znawców przedmiotu byli wybitni uczeni, to nie byliby na tyle znani, żeby zasłużyć sobie, w społeczeństwie nie interesującym się w ogóle tą dziedziną, na miano wybitnych… W każdym razie jestem pewien, że mnie nikt nie uważa za wybitnego uczonego.

— Ja cię za takiego uważam, Pel — powiedziała czule Bliss.

— Tak, ty na pewno — odparł Pelorat z lekkim uśmiechem — ale ty, kochanie, nie znasz się na tym.

Sądząc po zegarze, był już prawie wieczór i Trevize czuł, że wzbiera w nim irytacja, jak zawsze, kiedy Bliss i Pelorat zaczynali sobie prawić czułości.

— Spróbuję jutro załatwić spotkanie z tym Deniadorem — powiedział — ale jeśli on wie na ten temat tyle, co minister Lizalor, to nie będziemy po tym spotkaniu mądrzejsi, niż jesteśmy teraz.

— Może będzie nas mógł skierować do kogoś, kto będzie wiedział więcej — powiedział Pelorat.

— Wątpię. Stosunek tego świata do Ziemi… ale lepiej będzie, jeśli ja też przyzwyczaję się do mówienia o niej w sposób metaforyczny. A więc stosunek tego świata do Najstarszego jest głupi i zabobonny. — Odwrócił się. — Ale dajmy na razie temu spokój. Mamy za sobą ciężki dzień i powinniśmy pomyśleć o kolacji — jeśli zdołamy przełknąć specjały miejscowej kuchni — a potem o spaniu. Zorientowaliście się,

jak korzystać z prysznica?

— Byliśmy bardzo dobrze traktowani, stary powiedział Pelorat. — Otrzymaliśmy mnóstwo wskazówek, z których większość była zupełnie zbyteczna.

— Słuchaj, Trevize, a co ze statkiem? — spytała Bliss.

— Jak to co?

— Skonfiskują go?

— Nie. Nie sądzę.

— Aha. To miła wiadomość. A dlaczego się rozmyślili?

— Dlatego, że udało mi się nakłonić minister do zmiany decyzji.

— Zdumiewające — powiedział Pelorat. — Nie wydała mi się osobą, którą można łatwo nakłonić do zmiany decyzji.

— No, nie wiem — powiedziała Bliss. — Układ jej myśli wskazywał jasno, że poczuła słabość do Trevizego.

Trevize spojrzał na Bliss z nagłą irytacją.

— Zrobiłaś to, Bliss?

— To znaczy co?

— To znaczy manipulowałaś jej mózgiem?

— Nie manipulowałam. Ale kiedy spostrzegłam, że ona czuje do ciebie słabość, nie mogłam się powstrzymać i usunęłam pewne zahamowania. To był drobiazg. Te zahamowania mogły i tak zniknąć, a wydawało mi się, że to ważne, żeby była przepełniona życzliwością do ciebie.

— Życzliwością? To było więcej niż życzliwość! Zmiękła, owszem, ale dopiero po stosunku.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, stary, że… zaczął Pelorat.

— A niby dlaczego nie? — zaperzył się Trevize. — Nie jest już pierwszej młodości, ale dobrze zna tę sztukę. Nie jest początkująca, wierz mi. A ja nie będę się bawił w gentelmana i udawał, że nic między nami nie było. To był zresztą jej pomysł — dzięki igraniu Bliss z jej zahamowaniami — a ja nie mogłem odmówić, nawet gdyby taka myśl przyszła mi do głowy. A nie przyszła… Daj spokój, Janov, nie udawaj purytanina. To była pierwsza okazja od paru miesięcy. A wy… — tu machnął ręką w stronę Bliss.

— Słuchaj, Golan — powiedział z zakłopotaniem Pelorat — jeśli uważasz, że udaję purytanina, to jesteś w błędzie. Wierz mi, nie mam żadnych zastrzeżeń.

— Za to ona jest purytanką — powiedziała Bliss. — Chciałam tylko, żeby była nastawiona do ciebie życzliwie… Nie przypuszczałam, że wpadnie w erotyczny paroksyzm…

— Ale do tego właśnie doprowadziłaś, moja mała, wścibska Bliss. Być może Lizalor musi udawać purytankę w życiu publicznym, ale jeśli tak jest, to jest to tylko dorzucanie drew do ognia.

— A więc jeśli podrapiesz ją w to swędzące miejsce, to zdradzi

Fundację.

— I tak by ją zdradziła — powiedział Trevize. Chciała ten statek… — Przerwał i spytał szeptem: — Czy nie jesteśmy na podsłuchu?

— Nie! — powiedziała stanowczo Bliss.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie. Nie można w żaden bezprawny sposób poznać myśli Gai, tak żeby ona o tym nie wiedziała.

— Wobec tego mogę mówić dalej… Comporellon chce ten statek dla siebie. Byłby to cenny nabytek dla jego floty.

— Fundacja na pewno nie pozwoliłaby na to.

— Owszem, tylko że Comporellon nie ma najmniejszego zamiaru powiadomić jej o tym.

Bliss westchnęła:

— Oto, jacy jesteście wy, izole. Minister zamierza zdradzić Fundację dla Comporellona, a potem, w zamian za usługę seksualną, gotowa jest zdradzić również Comporellon… A Trevize gotów jest sprzedać swoje ciało, żeby ją do tego nakłonić. Co za anarchia w tej waszej Galaktyce! Co za chaos!

— Mylisz się, moja panno — powiedział chłodno Trevize.

— To, co mówię, to zdanie nie moje, ale Gai. Całej Gai.

— A więc mylisz się, Gajo. Nie sprzedaję swego ciała. Dałem je zupełnie za darmo i zrobiłem to chętnie. Podobało mi się to i nikt nie ucierpiał z tego powodu. A jeśli chodzi o konsekwencje, to — z mojego punktu widzenia — wyszło to nam na dobre. Co zaś do Comporellona, który chce tego statku dla swoich własnych celów, to kto ma rozstrzygnąć po czyjej stronie jest racja? To jest statek Fundacji, ale został mi przekazany po to, abym szukał Ziemi. A zatem, dopóki nie zakończę poszukiwań, statek należy do mnie i uważam, że Fundacja nie ma prawa jednostronnie wycofać się z umowy. Wracając do Comporellona… Nie cierpi dominacji Fundacji, więc marzy o niepodległości. Z ich punktu widzenia oszukanie Fundacji nie jest zdradą, lecz czynem patriotycznym. I kto może rozstrzygnąć po czyjej stronie jest racja?

— Właśnie. Kto może rozstrzygnąć po czyjej stronie jest racja? Jak można w takiej pogrążonej w anarchii Galaktyce odróżnić działania racjonalne od nieracjonalnych? Jak odróżnić dobro od zła, sprawiedliwość od przestępstwa, postępek słuszny od błędnego, pożyteczny od szkodliwego? I czym wytłumaczysz zdradę, której dopuściła się minister Lizalor wobec własnego rządu, pozwalając ci zatrzymać statek? Czyżby pragnęła osobistej niezależności od gnębiącego ją świata? Czy jest ona zdrajczynią czy może patriotką walczącą o swą jednoosobową sprawę?

— Prawdę mówiąc — odparł Trevize — wątpię, aby chciała mi

zostawić statek tylko dlatego, żeby mi się odwdzięczyć za przyjemność, którą jej sprawiłem. Przypuszczam, że zdecydowała się na to dopiero wtedy, kiedy jej powiedziałem, że szukam Najstarszego. Według niej na tym świecie ciąży przekleństwo i nasz statek, przez sam fakt, że szuka tego świata, też jest przeklęty. Zdaje mi się, że ona uważa, iż próbując zagarnąć nasz statek, ściągnęła przekleństwo na siebie i na swój świat i teraz prawdopodobnie myśli o tym z przerażeniem. Być może sądzi, że pozwalając nam odlecieć i zająć się swoimi sprawami, odwraca od Comporellona zły los i w ten sposób spełnia swój patriotyczny obowiązek.

— Wątpię w to, Trevize, ale jeśli jest tak, jak mówisz, to motywem tego czynu jest przesąd. Pochwalasz to?

— Ani nie pochwalam, ani nie potępiam. W braku wiedzy postępowaniem ludzkim zawsze kieruje przesąd. Fundacja wierzy w Plan Seldona, mimo że nikt w całej Federacji nie rozumie go, nie potrafi zinterpretować jego szczegółów ani przewidzieć niczego na jego podstawie. Stosujemy się do niego ślepo, bo kieruje nami wiara i niewiedza. No i czy to nie jest przesąd?

— Tak, to możliwe.

— Wy też nie jesteście lepsi. Wierzycie, że podjąłem właściwą decyzję, wyrokując, że Gaja powinna wchłonąć całą Galaktykę i przekształcić ją w jeden potężny organizm, ale nie wiecie ani dlaczego miałaby to być słuszna decyzja, ani czy będzie dla was bezpiecznie podporządkować się jej. Chcecie zastosować się do niej, bo kieruje wami wiara i niewiedza, co więcej, irytuje was, że próbuję znaleźć jakieś argumenty, które zastąpiłyby tę niewiedzę i sprawiły, że wiara stałaby się niepotrzebna. Czy to nie przesąd?

— Tu cię zagiął, Bliss — powiedział Pelorat.

— Nic podobnego — odparła Bliss. — Albo te poszukiwania skończą się kompletnym fiaskiem, albo znajdzie coś, co potwierdzi słuszność jego decyzji.

— A na poparcie tego przekonania — rzekł Trevize — macie tylko wiarę i niewiedzę. Innymi słowy, przesąd.

25

Vasil Deniador był niskim mężczyzną o drobnej budowie ciała. Miał dziwny zwyczaj spoglądania na rozmówcę bez podnoszenia głowy, co w połączeniu z uśmieszkami, które od czasu do czasu pojawiały się na jego twarzy, sprawiało wrażenie, iż kpi sobie z całego świata.

Jego gabinet był długi i wąski, zapełniony taśmami, wśród których zdawał się panować niesamowity bałagan, lecz bynajmniej nie dlatego, że były porozrzucane bezładnie, lecz że tkwiły w przegródkach tak nierówno jak rozchwiane zęby w szczęce. Każde z krzeseł, które wskazał gościom, pochodziło z innej parafii, a wszystkie nosiły ślady niedawnego i niedokładnego odkurzania.

— Janov Pelorat, Golan Trevize i Bliss… Przepraszam panią, ale nie powiedziano mi, jak się pani nazywa — powiedział Deniador.

— Zazwyczaj nazywają mnie po prostu Bliss odparła i usiadła.

— Właściwie ta wystarczy — powiedział Deniador, mrugając do niej. — Jest pani tak atrakcyjna, że można by pani wybaczyć, nawet gdyby nie posiadała pani w ogóle żadnego imienia ani nazwiska.

Teraz siedzieli już wszyscy. Deniador powiedział:

— Słyszałem o panu, profesorze Pelorat, chociaż nigdy nie prowadziliśmy ze sobą korespondencji. Jest pan Fundacjonistą, prawda? Z Terminusa?

— Tak, profesorze Deniador.

— A pan jest radnym, panie Trevize. Zdaje mi się, że słyszałem, jakoby został pan niedawno usunięty z Rady i skazany na wygnanie, chociaż nie orientuję się dlaczego.

— Nie zostałem usunięty. Nadal jestem członkiem Rady, chociaż nie wiem kiedy powrócę do swoich obowiązków. Nie zostałem też skazany na wygnanie. Dostałem do spełnienia pewną misję, w związku z którą chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

— Będę szczęśliwy, jeśli będę mógł w czymś panu pomóc — powiedział Deniador. — A ta rozkoszna dama? Ona również jest z Terminusa?

— Nie — odparł szybko Trevize. — Ona jest skądinąd.

— Ach tak! Dziwny świat ten skądinąd. Pochodzi stamtąd zupełnie niezwykły zbiór ludzi… Ale skoro panowie pochodzicie ze stolicy Fundacji, pani jest młoda i urodziwa, a Mitza Lizalor znana jest z tego, że żadnej z tych dwu kategorii osób nie darzy szczególną sympatią, to jak to się stało, że tak gorąco mi was poleca?

— Myślę, że robi to dlatego — powiedział Trevize — aby się nas jak naszybciej pozbyć. Widzi pan, im szybciej nam pan pomoże, tym szybciej odlecimy z Comporellona.

Deniador popatrzył na Trevizego z zainteresowaniem (ponownie uśmiechając się porozumiewawczo) i powiedział:

— Oczywiście taki pełen wigoru mężczyzna jak pan może wzbudzić jej sympatię, bez względu na swe pochodzenie. Gra rolę zimnej westalki całkiem dobrze, ale nie doskonale.

— Nic o tym nie wiem — powiedział zimno Trevize.

— I bardzo słusznie. Przynajmniej publicznie lepiej nie przyznawać się do tego. Ale ja jestem sceptykiem i nie wierzę w pozory. No dobrze, panie radny, cóż to za misja? Zobaczymy, czy będę mógł panu pomóc.

— W tej sprawie naszym rzecznikiem jest profesor Pelorat — rzekł Trevize.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Deniador. — Słucham, profesorze.

— Ujmując rzecz najprościej, profesorze Deniador — zaczął Pelorat — poświęciłem całe swoje dorosłe życie na dotarcie do jądra wiedzy na temat świata, na którym powstał rodzaj ludzki i w związku z tym zostałem wysłany ze swoim przyjacielem — chociaż, prawdę mówiąc, nie znaliśmy się jeszcze wówczas — Golanem Trevize, aby odnaleźć… ten, no… zdaje się, że nazywacie go Najstarszym.

— Najstarszym? — powtórzył Deniador. ‚Myślę, że chodzi panu o Ziemię.

Peloratowi opadła szczęka. Potem powiedział, zacinając się lekko:

— Miałem wrażenie… to znaczy dano mi do zrozumienia, że… nie można…

Spojrzał bezradnie na Trevizego.

— Minister Lizalor powiedziała mi, że tego słowa nie używa się na Comporellonie — przyszedł mu z pomocą Trevize.

— Chce pan powiedzieć, że zrobiła coś takiego? — Deniador wykrzywił usta, zmarszczył nos i wyrzucił energicznie ręce przed siebie, krzyżując palec serdeczny kościstej dłoni z palcem wskazującym.

— Tak — odparł Trevize. — Właśnie coś takiego.

Deniador opuścił ręce i roześmiał się.

— Bzdura, panowie! Robimy to z przyzwyczajenia. Może gdzieś, w jakichś dziurach zabitych deskami, traktują to poważnie, ale ogólnie rzecz biorąc, nikt się tym nie przejmuje. Nie znam takiego Comporellianina, który by nie powiedział „O żesz Ziemia”, kiedy się zezłości. To najczęściej używane przekleństwo.

— Przekleństwo? — spytał słabym głosem Pelorat.

— Albo wykrzyknik czy przerywnik, jeśli pan woli.

— Niemniej jednak — rzekł Trevize — minister Lizalor wydawała się wstrząśnięta, kiedy wymówiłem to słowo.

— No tak, to góralka.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, co powiedziałem. Mitza Lizalor pochodzi z Gór Środkowych. Wychowują tam dzieci w tak zwany stary, dobry sposób, co znaczy, że bez względu na to, jakie zdobędą wykształcenie, nie mogą się pozbyć tego nawyku krzyżowania palców.

— A więc na pana zupełnie nie działa to słowo, profesorze? — spytała Bliss.

— Zupełnie, droga pani. Jestem sceptykiem.

— Wiem, co znaczy słowo „sceptyk" w języku ogólnogalaktycznym — powiedział Trevize — ale w jakim znaczeniu pan go używa?

— W takim samym jak pan, panie radny. Przyjmuję tylko takie argumenty, do których przyjęcia zmuszają mnie względnie pewne dowody, przy czym, dopóki nie uzyskam na ich potwierdzenie dalszych dowodów, nie uważam ich za niepodważalne. Nie przysparza to nam popularności.

— Dlaczego? — spytał Trevize.

— Nigdzie nie cieszylibyśmy się popularnością. Czy jest jakiś świat, którego mieszkańcy nie woleliby wygodnych, przyjemnych i wyświechtanych, aczkolwiek nielogicznych wierzeń od nieprzyjemnej niepewności?… Niech pan pomyśli choćby o waszej wierze w Plan Seldona.

— No tak — odparł Trevize przyglądając się swym paznokciom. — Nie dalej jak wczoraj sam podałem ten przykład.

— Czy mogę wrócić do tematu? — spytał Pelorat. — Czy wiadomo o Ziemi coś takiego, co byłoby do przyjęcia dla sceptyka?

— Bardzo mało — odparł Deniador. — Możemy założyć, że jest jakaś jedna planeta, na której powstał rodzaj ludzki, gdyż jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by ten sam gatunek, którego przedstawiciele są tak podobni do siebie, jakby się wywodzili od tych samych przodków, mógł powstać na wielu, choćby tylko na dwóch, światach z osobna. Możemy przyjąć, że ta kolebka ludzkości nosi nazwę Ziemia. Panuje u nas przekonanie, że Ziemia leży w tej części Galaktyki, gdyż światy znajdujące się tutaj są niezwykle stare, a jest prawdopodobne, że pierwsze światy, które zostały skolonizowane przez ludzi, znajdowały się raczej bliżej niż dalej od Ziemi.

— A czy Ziemia, oprócz tego, że jest kolebką ludzkości, posiada jakieś inne specyficzne cechy? spytał szybko Pelorat.

— Ma pan na myśli coś konkretnego? — odparł .Deniador ze swym charakterystycznym uśmieszkiem.

— Myślę o jej satelicie, przez niektórych nazywanym Księżycem. To byłoby raczej niezwykłe, prawda?

— To podstawowe pytanie, profesorze Pelorat. Czyta pan w moich myślach.

— Nie powiedziałem, jaka mianowicie jego cecha byłaby niezwykła.

— Oczywiście jego rozmiary. Mam rację?… Widzę po pana minie, że tak. Wszystkie legendy na temat Ziemi mówią o wielkiej rozmaitości organizmów żyjących na niej i o jej wielkim satelicie, którego średnica ma jakoby od około trzech tysięcy do trzech i pół tysiąca kilometrów. Można się zgodzić na tę rozmaitość organizmów, gdyż byłby to naturalny wynik ewolucji biologicznej, jeśli to, co nam wiadomo o tym procesie, odpowiada prawdzie. Natomiast trudniej jest przyjąć informacje o tym olbrzymim satelicie. Żaden inny zamieszkany świat w Galaktyce nie ma takiego satelity. Duże satelity kojarzą się nieodmiennie z nie zamieszkanymi i nie nadającymi się do zamieszkania olbrzymami gazowymi. A zatem, jako sceptyk, wolę założyć, że Księżyc nie istnieje.

— Jeśli Ziemia jako jedyny świat jest kolebką milionów gatunków, to czy nie może jako jedyny świat posiadać olbrzymiego satelity? — spytał Pelorat. — Jeden wyjątek implikuje drugi.

Deniador uśmiechnął się.

— Nie rozumiem, w jaki sposób istnienie milionów gatunków na Ziemi mogłoby doprowadzić z niczego do powstania olbrzymiego satelity.

— A odwrotnie? Być może olbrzymi satelita mógł w jakiś sposób wpłynąć na powstanie tych milionów gatunków.

— Tego też nie rozumiem.

— A co z tą opowieścią o skażeniu Ziemi radioaktywnością? — spytał Trevize.

— Powszechnie się o tym mówi i powszechnie się w to wierzy.

— Ale przecież Ziemia nie mogła być radioaktywna od miliardów lat, skoro istniało na niej życie — rzekł Trevize. — Jak to się stało, że została skażona? Była tam wojna jądrowa?

— To najpowszechniejsza opinia, panie radny.

— Ze sposobu, w jaki pan to mówi, wnioskuję, że pan w to nie wierzy.

— Nie ma żadnych dowodów, że miała tam miejsce jakaś wojna. Powszechna opinia nie jest żadnym dowodem.

— No to co innego mogło się tam zdarzyć?

— Nie ma żadnych dowodów, że się w ogóle coś wydarzyło. Skażenie radioaktywne może być taką samą bajką jak ten olbrzymi satelita.

— A jaka jest ogólnie akceptowana wersja historii Ziemi? — spytał Pelorat. — W ciągu swej kariery zawodowej zebrałem pokaźną liczbę legend na temat pochodzenia człowieka. W wielu z nich występował świat zwany Ziemią lub jakoś podobnie. Niestety, poza luźną wzmianką o niejakim Benballym, który — jeśli wierzyć waszym

legendom mógł się wziąć znikąd, nie mam żadnych materiałów z Comporellona.

— To mnie wcale nie dziwi. Strzeżemy swoich legend i jestem zdumiony, że w ogóle pan coś znalazł, nawet jakieś wzmianki o Benballym. To kolejny przesąd.

— Ale pan nie jest przesądny, więc chyba nie obawia się pan rozmawiać z nami o tym?

— Nie — odparł Deniador, spoglądając spod oka na Pelorata. — Gdybym rozmawiał z wami o tym zupełnie otwarcie, to na pewno nie przysporzyłoby mi to popularności i sympatii, a być może okazałoby się nawet groźne dla mnie, ale wkrótce opuścicie Comporellon i spodziewam się, że nigdy nie będziecie powoływać się na mnie jako na źródło waszych informacji.

— Ręczymy za to słowem honoru — rzekł szybko Pelorat.

— A zatem przystąpmy do rzeczy. To, co rzekomo wydarzyło się na Ziemi, wygląda, po odrzuceniu tej całej fantastycznej otoczki mówiącej o działaniu sił nadprzyrodzonych, tak. Przez niezmiernie długi okres czasu Ziemia była jedynym światem, na którym żyli ludzie. Potem, mniej więcej dwadzieścia dwadzieścia pięć tysięcy lat temu, ludzie odkryli sposób pokonywania przestrzeni międzygwiezdnych za pomocą skoków przez nadprzestrzeń i skolonizowali jakąś grupę planet.

Koloniści na tych planetach korzystali z robotów, które zostały wynalezione na Ziemi jeszcze przed epoką lotów przez nadprzestrzeń i… ale wiecie, co to roboty?

— Tak — powiedział Trevize. — Już nieraz nas o to pytano. Wiemy, co to roboty.

— Koloniści, którzy stworzyli zrobotyzowaną w znacznym stopniu społeczność, bardzo rozwinęli technikę, opanowali metody osiągania niezwykłej długowieczności i w końcu zaczęli gardzić światem swoich przodków. Według bardziej dramatycznych wersji tej historii, zapanowali nad Ziemią i zaczęli uciskać jej mieszkańców.

W końcu Ziemia wysłała nową grupę kolonistów, wśród których używanie robotów było zabronione. Comporellon był jednym z pierwszych skolonizowanych przez nich światów. Nasi patrioci upierają się, że był nie jednym z pierwszych, lecz pierwszym, ale nie ma na to żadnych dowodów, które byłyby dla sceptyka do przyjęcia. Pierwsza grupa kolonistów wymarła i…

— Dlaczego wymarła, profesorze? — przerwał mu Trevize.

— Dlaczego? Nasi fantaści utrzymują, że zostali oni ukarani za swe występki przez Tego Który Karze, ale jakoś nikt nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego zwlekał On z tą karą tak długo. Ale nie ma potrzeby uciekać się do bajek. Można łatwo dowieść, że społeczeństwo, które jest całkowicie uzależnione od robotów, staje się

wygodne, rozleniwia się, a w końcu degeneruje, usychając i marniejąc z czystej nudy albo — ujmując to subtelniej — tracąc chęć do życia.

Druga fala kolonizatorów, ta bez robotów, rozprzestrzeniała się natomiast bez przeszkód i w końcu opanowała całą Galaktykę. Tymczasem jednak Ziemia stała się radioaktywna i powoli zniknęła z pola widzenia. Uważa się zazwyczaj, że powodem tego stały się roboty, których zaczęto używać również, za przykładem pierwszej fali kolonistów, na Ziemi.

Bliss, która słuchała tej opowieści z widocznym zniecierpliwieniem, powiedziała:

— Profesorze Deniador, bez względu na to, ile było fal kolonizatorów i czy jest tam radioaktywność czy nie, kluczowe pytanie jest bardzo proste, mianowicie: gdzie leży Ziemia? Jakie są jej współrzędne?

— Odpowiedź na to pytanie brzmi: nie wiem odparł Deniador. — Ale czas już na obiad. Mogę kazać przynieść go tutaj i będziemy sobie mogli dalej rozmawiać o Ziemi, tak długo, jak będziecie sobie tego życzyli.

— Nie wie pan? — powiedział Trevize, podnosząc głos ze zdumienia.

— O ile się orientuję, nikt tego nie wie.

— Ależ to niemożliwe.

— Panie radny — rzekł Deniador z lekkim westchnieniem — jeśli to, co odpowiada prawdzie, jest zdaniem pana niemożliwe, to pana sprawa, ale donikąd to pana nie zaprowadzi.

7. Odlot z Comporellona

26

Obiad składał się ze stosu miękkich gałek w różnych kolorach, wypełnionych różnym nadzieniem.

Deniador podniósł jakiś mały przedmiot, który w jego rękach rozdzielił się na dwie części i okazał się parą cienkich, przezroczystych rękawiczek. Nałożył je, a goście poszli za jego przykładem.

— Przepraszam, co jest wewnątrz tych kulek? spytała Bliss.

— Te różowe — powiedział Deniador — nadziewane są siekaną, ostro przyprawioną rybą. To u nas wielki przysmak. Te żółte są z nadzieniem z sera o bardzo łagodnym smaku. Zielone mają w środku mieszankę warzywną. Proszę jeść, póki gorące. Potem będzie ciasto migdałowe i napoje. Szczególnie polecam gorący jabłecznik. Mamy tu zimny klimat, więc zazwyczaj jadamy wszystko gorące, nawet desery.

— Dogadza pan sobie — zauważył Pelorat.

— Nic podobnego — odparł Deniador. — Po prostu dobrze podejmuję swoich gości. Ja sam jadam skromnie. Jak zapewne zauważyliście państwo, nie mam zbyt wiele ciała i nie potrzebuję obfitych posiłków.

Trevize ugryzł kawałek różowej gałki i przekonał się, że faktycznie zawiera ona rybę, z dużą ilością przypraw, które nadawały jej przyjemny smak, ale które, razem z tą rybą, będą prawdopodobnie leżały mu na żołądku przez resztę dnia, a może i przez część nocy.

Kiedy odjął od ust nadgryzioną gałkę, stwierdził, że ciasto zasklepiło się, zakrywając nadzienie. Nie było żadnej dziurki, przez którą mógłby wyciekać sok, więc przez chwilę zastanawiał się, po co używano rękawiczek. Było absolutnie niemożliwe, aby ktoś pobrudził sobie ręce przy jedzeniu, więc doszedł do wniosku, że chodziło tu o zachowanie higieny. Rękawiczki były zapewne używane, kiedy mycie rąk było niewygodne, i tak ustalił się w końcu zwyczaj używania ich nawet wtedy, kiedy miało się umyte ręce (Lizalor nie korzystała z rękawiczek podczas wczorajszego, wspólnego z nim posiłku, ale być może brało się to stąd, że była góralką).

— Czy nie jest niegrzecznie rozmawiać podczas obiadu o interesach? — spytał.

— Jest to sprzeczne z panującymi u nas zwyczajami, ale jesteście państwo moimi gośćmi, więc możemy nie krępować się naszymi zwyczajami. Jeśli chce pan rozmawiać o poważnych sprawach i sądzi, że nie zepsuje to panu przyjemności, jaką daje jedzenie, albo nie dba o to, to proszę bardzo.

— Dziękuję — powiedział Trevize. — Minister Lizalor dała mi do zrozumienia… nie, stwierdziła wprost, że sceptycy nie są zbyt popularni na tym świecie. Naprawdę tak jest?

Deniador zdawał się być w coraz lepszym nastroju.

— Oczywiście. Bylibyśmy bardzo urażeni, gdyby było inaczej. Widzi pan, Comporellon jest bardzo zawiedzionym w swych ambicjach światem. Chociaż nikt nie zna żadnych szczegółów z tamtych lat, panuje powszechne mniemanie, że tysiące lat temu, kiedy zamieszkana Galaktyka była jeszcze bardzo mała, przewodził jej Comporellon. Nigdy o tym nie zapomnieliśmy, a fakt, że w historycznie udokumentowanych dziejach nie sprawowaliśmy już tej roli, bardzo nas, to znaczy szeroką opinię, drażni i napełnia poczuciem niesprawiedliwości.

Ale cóż możemy zrobić? Kiedyś musieliśmy być lojalnym wasalem Imperium, a teraz musimy być lojalnym sojusznikiem Fundacji. A im bardziej zdajemy sobie sprawę z naszej podrzędnej roli, tym silniejsza staje się wiara w dawną, wspaniałą przeszłość.

Co, wobec tego, może zrobić Comporellon? W dawnych czasach nie mógł się przeciwstawić Imperium, a teraz nie może otwarcie przeciwstawić się Fundacji. W tej sytuacji kompensują sobie swoje kompleksy, atakując nas i nienawidząc, gdyż nie wierzymy w legendy i śmiejemy się z przesądów.

Mimo to nie cierpimy wielkich prześladowań. W naszych rękach jest technika i nauka na uniwersytetach. Ci spośród nas, którzy szczególnie otwarcie głoszą swoje poglądy, mają trudności z otrzymaniem zgody na prowadzenie zajęć ze studentami. Ja, na przykład, mam takie trudności, chociaż spotykam się po cichu ze studentami poza uniwersytetem. Niemniej jednak gdyby zupełnie usunięto nas z życia społecznego, to podupadłaby technika i nauka, a nasze uniwersytety straciłyby w całej Galaktyce poważanie. Przypuszczalnie ludzkość jest na tyle szalona, że perspektywa intelektualnego samobójstwa nie odwiodłaby naszych rodaków od wyładowania na nas swej nienawiści, ale na szczęście pomaga nam Fundacja. Dlatego, chociaż nieustannie się nas łaje, potępia i szydzi z nas, nikt nas nie śmie tknąć.

— Czy to właśnie to ogólne nastawienie waszego społeczeństwa powstrzymuje pana przed zdradzeniem nam położenia Ziemi? — spytał Trevize. Obawia się pan, że mimo wszystko ta niechęć do sceptyków może przybrać niebezpieczne rozmiary, jeśli posunie się pan zbyt daleko?

Deniador potrząsnął głową.

— Nie. Położenie Ziemi jest nieznane. Niczego przed wami nie ukrywam — ani ze strachu, ani z żadnej innej przyczyny.

— Niech pan posłucha — rzekł z naciskiem Trevize. — W tym sektorze Galaktyki jest ograniczona liczba planet, które posiadają cechy fizyczne kojarzące się z warunkami umożliwiającymi zasiedlenie ich. Prawie wszystkie z nich muszą nie tylko nadawać się

do zamieszkania, ale być również zamieszkane i dlatego dobrze wam znane. Czy byłoby tak trudno zbadać ten sektor i znaleźć planetę, która nadawałaby się do zamieszkania, gdyby nie fakt, że jest radioaktywna? Poza tym dodatkową wskazówką byłby ogromny satelita, towarzyszący takiej planecie. Z radioaktywnością i ogromnym satelitą Ziemia byłaby absolutnie wyjątkowa i łatwa do rozpoznania i nawet przy pobieżnym przeszukiwaniu sektora nie można by jej nie zauważyć. Mogłoby to zabrać trochę czasu, ale byłaby to jedyna trudność.

— Z punktu widzenia sceptyka — powiedział Deniador — radioaktywność Ziemi i jej ogromny satelita są oczywiście zwykłymi bajkami. Gdybyśmy ich szukali, to tak jak gdybyśmy szukali gruszek na wierzbie i poziomek w zimie.

— Być może, ale to nie powinno powstrzymywać Comporellona od podjęcia przynajmniej próby takich poszukiwań. Gdyby udało się wam znaleźć świat nadający się do zamieszkania, a przy tym posiadający ogromnego satelitę, to nadałoby to wszystkim waszym legendom pozór wiarygodności.

Deniador roześmiał się.

— Być może właśnie dlatego go nie szukamy. Gdybyśmy nic nie znaleźli albo gdyby okazało się, że Ziemia jest zupełnie inna niż ją przedstawiają nasze legendy, to stałoby się coś zupełnie przeciwnego. Wszystkie nasze legendy okazałyby się śmiechu warte. Comporellon za nic tego nie zaryzykuje.

Trevize milczał chwilę, a potem podjął na nowo z przekonaniem:

— Poza tym nawet jeśli pominąć te dwie unikalności — jeśli takie słowo istnieje w języku galaktycznym — to znaczy radioaktywność i ogromnego satelitę, to pozostaje jeszcze trzecia, która musi istnieć na mocy definicji i której potwierdzenia nie trzeba szukać w żadnych legendach. Na Ziemi musi istnieć albo bardzo zróżnicowane życie, albo jego szczątki, albo przynajmniej jakieś skamieliny świadczące o tym, że kiedyś takie życie tam istniało.

— Panie radny — rzekł na to Deniador — chociaż Comporellon nie wysłał nigdy żadnej ekspedycji, której celem byłoby odszukanie Ziemi, to mamy przecież możliwość podróżowania w przestrzeni i niekiedy otrzymujemy raporty od dowódców statków, które z jakiegoś powodu zboczyły z kursu. Jak pan zapewne wie, skoki przez nadprzestrzeń nie zawsze są precyzyjne. Otóż żaden z tych raportów nie wspominał o planecie, która miałaby właściwości podobne choć trochę do właściwości legendarnej Ziemi, ani o planecie o bogatej florze i faunie. Poza tym żaden statek nie wyląduje na planecie, która wygląda na nie zamieszkaną, po to, żeby załoga mogła szukać skamielin. Jeśli zatem przez wiele tysięcy lat nie zameldowano nam o niczym takim, to wierzę niezłomnie, że zlokalizowanie Ziemi jest

niemożliwe, gdyż nie można zlokalizować tego, czego nie ma.

— Przecież Ziemia musi gdzieś być — powiedział zawiedziony Trevize. — Jest gdzieś planeta, na której powstał rodzaj ludzki i wszystkie pokrewne gatunki. Jeśli nie w tym, to w jakimś innym sektorze Galaktyki.

— Być może — odparł z niezmąconym spokojem Deniador — ale dotychczas nigdzie jej nie znaleziono.

— Bo nikt jej naprawdę nie szukał.

— No, ale wy szukacie. Życzę wam powodzenia, ale nie dałbym złamanego kredyta za to, że się wam powiedzie.

— A czy nie czyniono żadnych prób ustalenia prawdopodobnego położenia Ziemi w sposób pośredni, to znaczy nie poprzez bezpośrednie poszukiwania? — spytał Trevize.

— Tak — odezwały się jednocześnie dwa głosy. Deniador, który był właścicielem jednego z nich, spytał Pelorata: — Myśli pan o projekcie Yariffa?

— Tak — odparł Pelorat.

— Może wobec tego wyjaśni pan panu radnemu, o co w nim chodziło? Myślę, że prędzej uwierzy panu niż mnie.

— Widzisz, Golan — zaczął Pelorat — w ostatnim okresie istnienia Imperium badanie problemu pochodzenia, jak to określano, stało się popularną rozrywką. Być może była to forma ucieczki od nieprzyjemnej rzeczywistości. Wiesz, że w tym czasie postępował proces rozkładu Imperium.

Wtedy to pewnemu liwijskiemu historykowi nazwiskiem Humbal Yariff przyszło do głowy, że bez względu na to, który świat był kolebką ludzkości, musiał on najpierw skolonizować światy znajdujące się w jego sąsiedztwie, a dopiero potem bardziej odległe. Mówiąc ogólnie: im dalej jakiś świat znajduje się od tego, na którym pojawiła się ludzkość, tym później został skolonizowany.

Załóżmy zatem, że dałoby się ustalić daty kolonizacji wszystkich zamieszkanych planet w Galaktyce, a następnie połączyć ze sobą liniami te światy, których wiek w przybliżeniu byłby taki sam. Otrzymalibyśmy wówczas coś w rodzaju sieci łączącej wszystkie światy skolonizowane dziesięć tysięcy lat temu, inną sieć tworzyłyby linie łączące światy o historii liczącej dwanaście tysięcy lat, jeszcze inną linie przeprowadzone między światami mającymi po piętnaście tysięcy lat, i tak dalej. Teoretycznie, każda taka sieć miałaby mniej więcej kulisty kształt i wszystkie byłyby mniej więcej koncentryczne. Sieci utworzone przez linie łączące starsze światy tworzyłyby kule o mniejszym promieniu niż te, które łączyłyby młodsze światy i gdyby udało się ustalić środki wszystkich tych kul, to znalazłyby się one we względnie małej części przestrzeni, w której oczywiście musiałaby leżeć planeta będąca kolebką ludzkości — Ziemia. — Pelorat ze

skupioną miną ilustrował swój wykład, kreśląc rękami w powietrzu kształty kul. — Rozumiesz to, Golan? — spytał.

— Tak — skinął głową Trevize. — Ale sądzę, że nic z tego nie wyszło.

— Teoretycznie rzecz biorąc, powinno było wyjść. Problem tylko w tym, że daty założenia poszczególnych światów były zupełnie nieprawdziwe. Każdy świat zawyżał swój wiek i nie było sposobu, żeby ustalić go precyzyjnie, a nie na podstawie legend.

— No a metoda obliczania wieku za pomocą badania poziomu węgla 14 w tkankach starych drzew? — spytała Bliss.

— Owszem, kochanie — odparł Pelorat — ale żeby użyć tej metody, trzeba by najpierw nakłonić do współpracy mieszkańców tych światów, a tego nigdy nie udało się zrobić. Żaden świat nie chciał, żeby się okazało, że jest młodszy niż utrzymuje, a Imperium miało ważniejsze sprawy na głowie niż zmuszanie ich siłą do współpracy.

Tak więc, ostatecznie, Yariff mógł się oprzeć w swych badaniach jedynie na światach, które miały najwyżej dwa tysiące lat, gdyż daty ich założenia zostały dokładnie i w sposób wiarygodny zapisane. Było ich w sumie niewiele, a linie łączące je utworzyły faktycznie kulę, tyle tylko że jej środek wypadał dość blisko Trantora, stolicy Imperium, gdyż właśnie stamtąd wyruszały ekspedycje mające na celu skolonizowanie tych niewielu światów.

Oczywiście, był to inny problem, z którym trzeba by było się uporać. Otóż Ziemia nie była jedynym światem, z którego wyruszały wyprawy na kolonizację innych planet. W miarę upływu czasu liczba światów kolonizujących Galaktykę zwiększała się, a Trantor w okresie szczytowego rozkwitu Imperium był największym organizatorem takich ekspedycji. W rezultacie jego ustaleń Yariffa, zresztą zupełnie niezasłużenie, wyśmiano i skończyła się jego kariera naukowa.

— Rozumiem, Janov — rzekł Trevize. — Profesorze Deniador, a więc nie ma pan nic, co dawałoby mi chociaż cień nadziei? A może zna pan jakiś inny świat, gdzie istnieje szansa uzyskania jakichś informacji na temat Ziemi?

Deniador zamyślił się.

— Hmm — powiedział w końcu z wahaniem. Jako sceptyk, muszę panu powiedzieć, że nie jestem pewien, czy Ziemia w ogóle istnieje albo czy kiedykolwiek istniała. Jednakże… — Znowu umilkł.

Po pewnej chwili Bliss powiedziała:

— Sądzę, profesorze, że myśli pan o czymś, co może okazać się ważne.

— Ważne? Wątpię — rzekł z lekkim uśmiechem. — Raczej zabawne. Ziemia nie jest jedyną planetą, której położenie jest zagadką. Nie wiadomo też, gdzie leżą światy założone przez pierwszą grupę kolonistów — Przestrzeńców, jak określają ich nasze legendy.

Niektórzy nazywają te planety światami Przestrzeńców, inni — Zakazanymi Światami. Teraz używa się raczej tej drugiej nazwy.

Jak głosi legenda, Przestrzeńcy byli długowieczni, przeciętnie żyli po kilkaset lat. Byli z tego powodu bardzo dumni i nie pozwalali naszym krótkowiecznym przodkom lądować na swoich światach. Potem ich pokonaliśmy i sytuacja się odwróciła. Nie chcieliśmy mieć z nimi nic wspólnego i zostawiliśmy ich samym sobie. Zabroniliśmy tam zawijać naszym statkom i prowadzić z nimi interesy. Stąd właśnie wzięła się nazwa Zakazane Światy. Byliśmy przekonani, jak głosi legenda, że Ten Który Karze zniszczy ich bez potrzeby naszego w tym udziału i najwidoczniej zrobił to. W każdym razie, o ile nam wiadomo, od tysiącleci nie pojawił się w Galaktyce żaden Przestrzeniec.

— Myśli pan, że ci Przestrzeńcy wiedzieliby coś o Ziemi? — spytał Trevize.

— Możliwe, gdyż ich światy były starsze od najstarszego z naszych. Oczywiście, gdyby żył jeszcze ktoś z nich, co jest zupełnie nieprawdopodobne.

— Nawet jeśli ich już nie ma, to są ich światy, a na nich mogą być jakieś wzmianki na temat Ziemi.

— Tylko czy znajdziecie te światy…

Trevize spojrzał na niego z irytacją.

— Chce pan powiedzieć, że klucz do zagadki Ziemi, której położenie jest nie znane, może znajdować się na światach Przestrzeńców, których położenie też jest nie znane?

Deniador wzruszył ramionami.

— Od dwudziestu tysięcy lat nie mamy z nimi żadnych kontaktów. Nie myślimy nawet o nich. Nic dziwnego, że — tak jak Ziemię — okryła ich mgła zapomnienia.

— Na ilu światach żyli Przestrzeńcy?

— Legendy mówią o pięćdziesięciu… podejrzanie okrągła liczba. Prawdopodobnie było ich o wiele mniej.

— I nie zna pan położenia nawet jednego z nich?

— Hmm, właśnie zastanawiam się, czy…

— Czy co?

— Ponieważ moim hobby, tak jak hobby profesora Pelorata, jest historia, czasami przeglądam stare dokumenty w poszukiwaniu czegoś o dawnych czasach, czegoś innego niż legendy. W ubiegłym roku natrafiłem na dziennik pokładowy starego statku, dziennik, który był prawie nie do odczytania. Pochodził jeszcze z tych czasów, kiedy nasz świat nie nazywał się Comporellonem. Ówczesna jego nazwa brzmiała Świat Baleya. Wydaje mi się, że jest to nazwa starsza nawet od nazwy Świat Benbally'ego, która przetrwała w naszych legendach.

— Opublikował pan to? — zapytał podekscytowany Pelorat.

— Nie — odparł Deniador. — Jak mawia stare porzekadło, nie

dam nurka, zanim się nie upewnię, czy w basenie jest woda. Otóż, widzi pan, w dzienniku tym znajduje się notatka, że kapitan tego statku wylądował na świecie Przestrzeńców i nawet zabrał ze sobą stamtąd jakąś kobietę.

— Ale przecież sam pan mówił, że Przestrzeńcy nie pozwalali obcym lądować u siebie — powiedziała Bliss.

— Otóż to. Właśnie dlatego nie opublikowałem tego materiału. Brzmi to zbyt nieprawdopodobnie. Zachowały się pewne niejasne opowieści, które zdają się mówić o Przestrzeńcach i ich konflikcie z kolonistami, naszymi przodkami… Takie opowieści, w różnych wersjach, istnieją nie tylko na Comporello nie, ale także na wielu innych światach w naszym sektorze. Różnią się one między sobą w wielu sprawach, ale w jednym są absolutnie zgodne — Przestrzeńcy i Koloniści nigdy nie mieszali się ze sobą. Nie było między nimi żadnych towarzyskich, nie mówiąc już o seksualnych, kontaktów, ale tego kapitana i tę kobietę najwidoczniej łączyła miłość. Jest to tak niewiarygodne, że nie widzę najmniejszej możliwości, aby historię tę uznano za prawdziwą. W najlepszym razie zostałaby potraktowana jako romans historyczny.

Trevize wyglądał na rozczarowanego.

— I to wszystko? — spytał.

— Nie, panie radny. Jest coś jeszcze. W tym, co zostało z dziennika pokładowego, natrafiłem na pewne liczby. Mogą to być, chociaż niekoniecznie, przestrzenne współrzędne jakiejś planety. Gdyby były to istotnie — a powtarzam, ponieważ każe mi tak mój honor sceptyka, że nie muszą — współrzędne, to w świetle tego, o czym mówi dziennik, musiałbym je uznać za współrzędne trzech Światów Przestrzeńców. Jeden z nich mógłby być tym, na którym wylądował ów kapitan i z którego odleciał ze swą ukochaną.

— A czy nie może być tak, że nawet jeśli ta opowieść została zmyślona, to współrzędne są prawdziwe? — spytał Trevize.

— Może — powiedział Deniador. — Dam wam te dane i możecie z nich korzystać, jak wam się podoba, ale być może zaprowadzą was one donikąd… Ale przyszła mi do głowy zabawna myśl — dodał i przez twarz przemknął mu jego zwykły uśmiech.

— Jaka? — spytał Trevize.

— A jeśli któryś z tych zbiorów współrzędnych odnosi się do Ziemi?

27

Jaskrawo pomarańczowe słońce Comporellona było większe niż słońce Terminusa, ale znajdowało się nisko na niebie i dawało niewiele ciepła. Wiatr, na szczęście niezbyt silny, muskał lodowatymi palcami policzki Trevizego.

Wzdrygnął się pomimo elektrycznie ogrzewanego skafandra, który dostał od Mitzy Lizalor. Stała właśnie koło niego.

— Musi być tu czasem ciepło, Mitza — powiedział.

Rzuciła krótkie spojrzenie na słońce. Stała tam, na pustej płycie portu kosmicznego, w lżejszej kurtce, niż miał Trevize, i wydawało się, że nic nie robi sobie z zimna.

— Mamy tu piękne lato — powiedziała. — Nie trwa długo, ale nasze rośliny jadalne są do tego przystosowane. Mamy tu starannie dobrane odmiany, które szybko rosną, korzystając z tego, że przez pewien czas jest dość słońca, i które nie są wrażliwe na mróz. Nasze zwierzęta domowe mają gęste futra, a wełna comporellońska jest przez wszystkich uważana za najlepszą w całej Galaktyce. Poza tym mamy sztuczne plantacje na orbicie wokół Comporellona, gdzie uprawiamy owoce tropikalne. Nawet eksportujemy puszkowane ananasy o znakomitym smaku. Większość z tych, którzy wiedzą, że nasz świat jest zimny, nie ma o tym pojęcia.

— Dziękuję ci, Mitza, za to, że przyszłaś nas pożegnać i że zgodziłaś się pomóc nam w tej misji powiedział Trevize. — Dla własnego spokoju muszę jednak spytać, czy nie będziesz w związku z tym miała jakichś poważnych kłopotów.

— Nie! — potrząsnęła dumnie głową. — Nie będę miała żadnych kłopotów. Przede wszystkim nikt nie będzie mnie przesłuchiwał. Kieruję resortem komunikacji, a to znaczy, że ja sama ustanawiam przepisy regulujące pracę tego i innych portów kosmicznych, stacji granicznych, zasady wpuszczania i odprawiania statków. W tych sprawach premier całkowicie polega na mnie i jest szczęśliwy, że nie musi się zajmować szczegółami… A zresztą, gdybym nawet była przesłuchiwana, to i tak musiałabym powiedzieć szczerą prawdę. Rząd pochwaliłby mnie za to, że nie przekazałam twojego statku Fundacji. Taka sama byłaby opinia ludu, gdyby względy bezpieczeństwa pozwoliły na opublikowanie tej informacji. Natomiast Fundacja o niczym się nie dowie.

— Rząd może być zadowolony, że Fundacja nie dostała statku, ale czy będzie zadowolony, że pozwoliłaś nam go stąd zabrać? — spytał Trevize.

Lizalor uśmiechnęła się.

— Jesteś porządnym człowiekiem, Golan. Walczyłeś

nieustępliwie, żeby zachować ten statek, a teraz, kiedy już go masz, martwisz się, czy nie będę miała z tego powodu kłopotów. — Wyciągnęła do niego rękę, jak gdyby nie mogła się oprzeć, by go pogładzić, ale zaraz, choć z widocznym trudem, opanowała tę pokusę. Powiedziała szorstko: — Nawet jeśli zakwestionują moją decyzję, to wystarczy, że powiem im, iż szukałeś i nadal szukasz Najstarszego, by pochwalili mnie, że dobrze postąpiłam, pozbywając się jak najszybciej ciebie razem z tym statkiem i całą resztą. Natychmiast też odprawią modły pokutne za to, że w ogóle pozwolono wam wylądować, chociaż w żaden sposób nie mogliśmy zgadnąć, jakie macie zamiary.

— Naprawdę obawiasz się, że moja obecność może sprowadzić nieszczęście na ciebie i na twój świat?

— Naprawdę — powiedziała beznamiętnym głosem Lizalor. Potem dodała cieplejszym tonem: Już sprowadziłeś na mnie nieszczęście, bo teraz, kiedy cię poznałam, comporellońscy mężczyźni będą mi się wydawali jeszcze bardziej oziębli niż przedtem. Będę usychać z tęsknoty. Ten Który Karze zadbał już o to.

Trevize chwilę się wahał, a potem powiedział:

— Nie mam zamiaru nakłaniać cię do zmiany poglądów w tej sprawie, ale nie chcę też, żebyś odczuwała bezpodstawny lęk. Musisz zrozumieć, że wiara w to, że sprowadzę na was nieszczęście, to tylko przesąd i zabobon.

— Przypuszczam, że powiedział ci to ten sceptyk.

— Nie musiał mi nic mówić. Wiem to i bez niego.

Lizalor starła dłonią szron, który zdążył osiąść na jej gęstych brwiach, i powiedziała:

— Wiem, że niektórzy uważają, że to przesąd. A jednak jest faktem, że Najstarszy przynosi nieszczęście. Mogliśmy się o tym przekonać już nieraz i żadne sprytne argumenty sceptyków nie przekreślą prawdy.

Wysunęła nagłym ruchem rękę.

— Żegnaj, Golan. Wsiadaj na statek i dołącz do swoich, zanim nasz zimny, choć przyjemny wiatr zmieni twoje wrażliwe ciało w sopel lodu.

— Żegnaj, Mitza. Mam nadzieję, że zobaczymy się, kiedy wrócę.

— Tak, obiecałeś, że wrócisz i próbuję w to uwierzyć. Łudzę się nawet myślą, że wylecę ci naprzeciw i spotkamy się w przestrzeni, aby nieszczęście spadło tylko na mnie, a nie na cały mój świat, ale… niestety, już nigdy nie wrócisz.

— Nic podobnego! Wrócę! Teraz, kiedy wiem, jaką możesz dać mi rozkosz, nie zrezygnuję z ciebie tak łatwo. — W tej chwili Trevize był święcie przekonany, że mówi szczerą prawdę.

— Nie wątpię w twoje romantyczne porywy, mój ty słodki Fundacjonisto, ale ci, którzy ośmielają się szukać Najstarszego, nigdy

nie wracają. Czuję to w głębi duszy.

Trevize starał się powstrzymać szczękanie zębami. Trząsł się z zimna i nie chciał, aby pomyślała, że trzęsie się ze strachu.

— To też przesąd — powiedział.

— Niestety — odparła — to też prawda.

28

Miło było znaleźć się znowu w sterowni „Odległej Gwiazdy”. To nic, że było tam ciasno. To nic, że otaczała go bezkresna przestrzeń. Ważne było, że czuł się tam jak w swoim własnym, ciepłym i przytulnym domu.

— Cieszę się, że w końcu znalazłeś się na pokładzie — powiedziała Bliss. — Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będziesz tam stał z panią minister.

— Niedługo — odparł Trevize. — Było zbyt zimno.

— Wydawało mi się — rzekła Bliss — że zastanawiałeś się, czy nie zostać z nią i nie odłożyć na później poszukiwania Ziemi. Nie chcę nawet minimalnie sondować twego umysłu, ale martwiłam się o ciebie i pokusa, którą odczuwałeś, objawiła mi się sama w całej okazałości.

— Masz rację — odparł Trevize. — Przynajmniej przez chwilę czułem taką pokusę. To niezwykła kobieta. Nigdy dotąd nie spotkałem takiej… Czy wzmocniłaś mój opór, Bliss?

— Mówiłam ci już wiele razy — powiedziała że nie wolno mi w żaden sposób ingerować w twój mózg. Przypuszczam, że pokonałeś pokusę, gdyż masz silnie rozwinięte poczucie obowiązku.

— Ja tak nie myślę. — Uśmiechnął się krzywo. — Moja decyzja nie była tak dramatyczna i nie wypływała z takich szlachetnych pobudek. Oparłem się tej pokusie po pierwsze dlatego, że było zimno, a po drugie dlatego, że nie trzeba by było dużo czasu, żeby mnie zupełnie wykończyła. Nie potrafiłbym dotrzymać jej kroku.

— Tak czy inaczej, jesteś już na statku — powiedział Pelorat. — Co najpierw zrobimy?

— Najpierw postaramy się jak najszybciej odlecieć od słońca Comporellona na taką odległość, żebyśmy mogli bezpiecznie wykonać skok.

— Myślisz, że mogą nas zatrzymać albo polecieć za nami?

— Nie, myślę, że minister Lizalor naprawdę pragnie, abyśmy się stąd jak najszybciej wynieśli i trzymali się z dala od Comporellona, żeby nie ściągnąć na jej świat zemsty Tego Który Karze. Zresztą…

— Co?

— Ona jest święcie przekonana, że nie minie nas kara. Jest zupełnie pewna, że nie wrócimy. Spieszę dodać, że mówiąc mi o tym, nie myślała bynajmniej o mojej niestałości, bo nie miała dotąd okazji, żeby wypróbować moją wierność. Chodzi o to, że — jej zdaniem — Ziemia wywiera tak fatalny wpływ, że każdy, kto jej szuka, ściąga na siebie zły los i musi zginąć.

— A ilu Comporellan szukało Ziemi i nie wróciło, że jest tego taka pewna? — spytała Bliss.

— Wątpię, czy kiedykolwiek jakiś Comporellianin wyruszył na taką wyprawę. Powiedziałem jej, że boją się Ziemi, bo wierzą w przesądy.

— A ty sam na pewno tak uważasz? Może udało się jej zachwiać twoją pewność?

— Wiem, że w tej formie, w jakiej je wyraża, jej obawy są przesądne, ale to wcale nie znaczy, że są bezpodstawne.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli wylądujemy na Ziemi, to zabije nas promieniowanie radioaktywne?

— Nie wierzę, że Ziemia jest radioaktywna. Wierzę za to, że broni się ona przed obcymi. Pamiętaj o tym, że z Biblioteki Trantorskiej zostały usunięte wszelkie wzmianki na temat Ziemi. Nie zapominaj też, że cudowna pamięć Gai, którą przechowuje cała planeta, łącznie z jej skalną skorupą i płynnym jądrem, nie sięga tak daleko, żebyście mogli powiedzieć cokolwiek o Ziemi.

Jeśli zatem Ziemia jest tak potężna, że potrafiła tego dokonać, to mogła też wpoić ludziom przekonanie, że jest radioaktywna, zapobiegając w ten sposób wszelkim próbom odnalezienia jej. Być może dlatego, że Comporellon leży dość blisko od niej i z tej przyczyny stanowi dla niej szczególne zagrożenie, postarała się jeszcze w inny sposób odwrócić od siebie zainteresowanie. Oto Deniador, który jest sceptykiem i uczonym, jest głęboko przekonany, że poszukiwanie Ziemi nie ma żadnego sensu… Właśnie dlatego uważam, że obawy Lizalor nie muszą być bezpodstawne. A skoro Ziemi tak bardzo zależy na ukryciu faktu swego istnienia, to czy nie jest możliwe, że prędzej nas zgładzi albo odkształci nasze umysły, niż pozwoli nam się odnaleźć?

Bliss zmarszczyła brwi i zaczęła:

— Gaja…

Trevize nie pozwolił jej skończyć.

— Tylko nie mów, że Gaja nas obroni. Skoro Ziemia potrafiła wymazać jej wczesne wspomnienia, to jest oczywiste, że w przypadku konfliktu między nią a Gają ona właśnie zwycięży.

— A skąd wiesz, że te wspomnienia zostały wymazane? — spytała chłodno Bliss. — Być może Gaja potrzebowała po prostu czasu, aby wykształcić pamięć ogólnoplanetarną i teraz możemy sięgnąć wstecz tylko do czasu zakończenia tego procesu. A zresztą, jeśli nawet te wspomnienia zostały wymazane, to jak możesz być pewien, że zrobiła to Ziemia?

— Nie wiem, czy zostały wymazane — odparł Trevize. — To tylko moje spekulacje.

— Jeśli Ziemia jest tak potężna — wtrącił raczej bojaźliwie Pelorat — i tak jej zależy na zachowaniu intymności, jeśli można to tak nazwać, to jaki sens jej szukać? Zdaje się, że uważasz, iż Ziemia

nie pozwoli nam osiągnąć naszego celu i zabije nas, jeśli będzie to jedyny sposób, żeby nas powstrzymać przed jego osiągnięciem. Czy w takim razie jest sens upierać się przy tych poszukiwaniach? Czy nie lepiej dać sobie z tym spokój?

— Przyznaję, że może się wydawać, że powinniśmy dać sobie z tym spokój, ale jestem głęboko przekonany, że Ziemia istnieje, że muszę ją znaleźć i że znajdę. A Gaja utrzymuje, że jeśli mam silne przekonanie tego rodzaju, to mam rację.

— Ale czy uda nam się przeżyć to odkrycie, stary?

— Być może — powiedział Trevize, starając się, by zabrzmiało to lekko — Ziemia też doceni mój dar nieomylności i zostawi mnie w spokoju. Ale i to właśnie chcę jasno powiedzieć — nie mogę mieć pewności, że wy dwoje też ocalejecie i to nie daje mi spokoju. Cały czas czułem o was niepokój, ale teraz to uczucie nasiliło się i wydaje mi się, że powinienem odstawić was na Gaję i sam zająć się swoim zadaniem. To nie wy, lecz ja doszedłem do wniosku, że muszę szukać Ziemi. To nie wy, lecz ja uważam, że jest to ważne. To mnie tam ciągnie, nie was. A zatem to ja, nie wy, powinienem podjąć to ryzyko. A więc pozwólcie, że dalej zajmę się tym sam… No, Janov?

Pelorat opuścił brodę, tak że jego twarz wydawała się jeszcze dłuższa, niż była w istocie.

— Nie przeczę, Golan że jestem podenerwowany — powiedział — ale byłoby mi wstyd zostawić cię samego. Straciłbym sam do siebie szacunek.

— A ty, Bliss?

— Gaja nie opuści cię, bez względu na to, co zrobisz. Jeśli Ziemia okaże się groźna, to Gaja będzie cię bronić przed nią tak, jak będzie mogła. A poza tym, jako Bliss, nie opuszczę Pela i jeśli on trzyma się ciebie, to ja będę się trzymała jego.

— A więc dobrze — odparł ponuro Trevize. Dałem wam szansę. Teraz lecimy dalej razem.

— Razem — powiedziała Bliss.

Pelorat uśmiechnął się niepewnie i ścisnął Trevizego za ramię.

— Razem. Zawsze razem.

29

— Spójrz na to, Pel — powiedziała Bliss. Zabawiała się obserwowaniem przestrzeni przez teleskop pokładowy, traktując to jako pewne urozmaicenie po studiach nad zbiorami legend o Ziemi z biblioteki Pelorata.

Pelorat podszedł do niej, objął ręką jej ramiona i spojrzał na ekran. W polu widzenia teleskopu znajdował się olbrzym gazowy systemu planetarnego Comporellona. Teleskop powiększył obraz, ukazując olbrzyma w całej okazałości.

Był on bladopomarańczowy, z jaśniejszymi pasami. Znajdował się w większej odległości od słońca niż statek i oglądany z ich pozycji na przedłużeniu osi poziomej planety, wydawał się prawie regularnym, świetlistym kołem.

— Piękny widok — stwierdził Pelorat.

— Środkowy pas ciągnie się aż za planetę, Pel.

Pelorat zmarszczył brwi i powiedział.

— Wiesz co, Bliss? Faktycznie tak to wygląda.

— Myślisz, że to złudzenie optyczne?

— Nie wiem, Bliss. W przestrzeni jestem takim samym nowicjuszem jak ty… Golan!

— O co chodzi? — zapytał niewyraźnie Trevize i wszedł do sterowni w nieco pomiętym ubraniu i rozczochrany, jakby dopiero co wyrwano go z drzemki, co zresztą faktycznie się stało.

— Proszę was, nie bawcie się przyrządami — powiedział z lekką irytacją.

— Patrzymy tylko przez teleskop — rzekł Pelorat. — Spójrz na to.

Trevize rzucił okiem i powiedział:

— To olbrzym gazowy. Z informacji, które dostałem, wynika, że nazywają tę planetę Gallią.

— Skąd możesz wiedzieć, że to właśnie ten, skoro tylko rzuciłeś na niego okiem?

— Po pierwsze — powiedział Trevize — biorąc pod uwagę naszą odległość od słońca, a także rozmiary i orbity poszczególnych planet, które dokładnie przestudiowałem wytyczając kurs naszego statku, łatwo wywnioskować, że skoro mogliście w tym momencie uzyskać takie powiększenie, to może to być tylko Gania. Po drugie, jest tam ten pierścień.

— Pierścień? — Bliss była wyraźnie zdezorientowana.

— Możecie stąd dostrzec tylko cienki, jasny pas, ponieważ widzimy go prawie dokładnie z boku. Ale możemy wznieść się wyżej, a stamtąd będziecie mieli lepszy widok. Chcecie?

— Nie chcę, żebyś musiał przeze mnie obliczać na nowo pozycję i

kurs — powiedział Pelorat.

— Tym się nie przejmuj, zrobi to za mnie komputer — mówiąc to usiadł przy komputerze i umieścił dłonie we wgłębieniach. Komputer, połączywszy się z jego mózgiem, zrobił resztę.

„Odległa Gwiazda" gwałtownie przyspieszyła nie musiał się przecież obawiać ani kłopotów z paliwem, ani działania siły ciężkości — i Trevize ponownie poczuł przypływ miłości dla tego doskonałego zespołu statku i komputera, który reagował na jego wydawane w myśli polecenia tak, jak gdyby był przedłużeniem jego samego, całkowicie posłusznym jego woli.

Nic dziwnego, że Fundacja chciała go mieć z powrotem, nic dziwnego, że Comporellon chciał go zagarnąć dla siebie. Dziwne było tylko to, że siła przesądu okazała się tak wielka, że zmusiła Comporellon do rezygnacji z wcześniejszych zamierzeń.

Odpowiednio uzbrojony, mógłby pokonać każdy inny statek, a nawet każdy zespół statków w Galaktyce — chyba żeby natknął się na inny statek tego samego typu. Oczywiście nie był odpowiednio uzbrojony. Przydzielając mu ten statek, burmistrz Branno zadbała przynajmniej o to, żeby dostał go bez broni.

Pelorat i Bliss patrzyli z przejęciem, jak Gallia powoli przechyla się w ich stronę. Ukazał się górny (nie wiedzieli czy północny czy południowy) biegun, wokół którego w strefie o kształcie koła coś się burzyło i kotłowało, natomiast dolny skrył się za równikiem planety.

W miarę jak się wznosili, piękny pomarańczowy krąg ścieśniał się coraz bardziej, przybierając kształt półksiężyca, gdyż wyłaniała się zacieniona strona planety. Jeszcze bardziej interesujące było to, że środkowy, jaśniejszy pas z prostego zrobił się zakrzywiony. To samo stało się z innymi pasami, na północ i na południe od niego, tyle że były jeszcze bardziej zakrzywione.

Teraz widać było zupełnie wyraźnie, że ów środkowy pas ciągnie się poza krawędzie planety, obejmując ją wąskim pierścieniem. Nie było mowy o złudzeniu, jego natura stała się oczywista. Był to pierścień materii okrążający planetę, chociaż nie widzieli go w całej okazałości.

— Myślę, że to wystarczy, żebyście wyrobili sobie zdanie o tym, co to jest — rzekł Trevize. Gdybyśmy okrążyli planetę, to przekonalibyście się na własne oczy, że otacza ją całą, nie stykając się w żadnym miejscu z jej powierzchnią. Chyba będziecie mogli zobaczyć, że nie jest to jeden, lecz kilka koncentrycznych pierścieni.

— Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że może istnieć coś takiego — powiedział Pelorat. — Jak utrzymuje się w przestrzeni?

— Tak samo, jak każdy satelita — odparł Trevize. — Pierścienie te składają się z drobnych cząstek, z których każda krąży wokół planety, a przy tym znajdują się tak blisko niej, że efekt przypływu nie

pozwala na połączenie się tych cząsteczek w jedno ciało.

Pelorat potrząsnął głową.

— To przerażające, stary, kiedy uświadamiam sobie, że całe życie poświęciłem nauce, a tak mało wiem o astronomii. Jak to możliwe?

— Ja natomiast nie wiem nic o mitach i legendach. Nikt nie jest w stanie opanować całej wiedzy… Rzecz w tym, że te pierścienie nie są niczym niezwykłym. Maje każdy gazowy olbrzym, chociażby w postaci jednej, cienkiej smugi pyłu. Tak się składa, że w planetarnej rodzinie słońca Terminusa nie ma prawdziwego olbrzyma gazowego, więc jeśli Terminusczyk nie jest podróżnikiem ani nie chodził na uniwersytecie na wykłady z astronomii, to może nic nie wiedzieć o takich pierścieniach. Tym, co jest niezwykłe w tym pierścieniu, jest fakt, że jest tak szeroki, że świeci i jest widoczny, co się rzadko zdarza. Wygląda to wspaniale. Musi mieć szerokość przynajmniej kilkuset kilometrów.

W tym momencie Pelorat nagle pstryknął palcami.

— To o to chodziło!

Bliss aż podskoczyła.

— Co się stało, Pel?

— Natrafiłem kiedyś na fragment bardzo starego poematu. Był pisany w jakiejś archaicznej odmianie galaktycznego i trudno go było zrozumieć, ale to był najlepszy dowód jego starożytnego pochodzenia… Chociaż nie powinienem narzekać na jego archaiczny język. Dzięki swojej pracy stałem się ekspertem w sprawach różnych odmian starogalaktycznego, co jest dostateczną nagrodą za mój trud, mimo że nie przydaje się to do niczego poza moją pracą… Ale o czym to ja mówiłem?

— O jakimś fragmencie starego poematu, Pel powiedziała Bliss.

— Dziękuję ci — odparł Pelorat i zwracając się do Trevizego powiedział: — Ona zawsze uważa na to, co mówię, żeby skierować mnie na właściwy tor, kiedy odbiegnę od tematu, co się zdarza bardzo często.

— Na tym między innymi polega twój urok powiedziała Bliss z uśmiechem.

— W każdym razie, ten fragment opisywał rzekomo układ planetarny, do którego należała Ziemia. Nie wiem, jaki był cel tego opisu, bo reszta poematu nie zachowała się, a przynajmniej nigdy nie udało mi się do niej dotrzeć. Przetrwał tylko ten kawałek, może ze względu na to, że dotyczył astronomii. No więc jest tam mowa o wspaniałym potrójnym pierścieniu otaczającym szóstą planetę układu, który był tak „szeroki a wielgi, iże świat ów kiej pokurcz przy nim się pokazował”. Widzicie, potrafię jeszcze go zacytować. Nie miałem pojęcia co to takiego — pierścień planety. Pamiętam, że wyobrażałem sobie trzy koła w rzędzie, po jednej stronie planety. Wydało mi się to

tak nonsensowne, że nawet nie zrobiłem dla siebie kopii. Teraz żałuję, że nie zbadałem tego bliżej. — Potrząsnął głową. Zajmować się mitologią w dzisiejszej Galaktyce to znaczy być skazanym na własne siły. W takiej sytuacji możesz zapomnieć o pożytkach płynących z badań.

— Chyba miałeś rację, Janov, że to zlekceważyłeś — powiedział Trevize. — Nie można brać dosłownie gadania poety.

— Ale to właśnie o to chodziło — powiedział Pelorat, wskazując na ekran. — To właśnie to opisywał ten fragment. Trzy szerokie, koncentryczne pierścienie, szersze niż sama planeta.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałem — rzekł Trevize. — Nie sądzę, żeby pierścienie mogły być tak szerokie. W porównaniu z planetą, którą otaczają, są zawsze bardzo wąskie.

— Ale nigdy nie słyszeliśmy też o zamieszkanej planecie, która miałaby ogromnego satelitę. Ani o planecie z radioaktywną powierzchnią. To jest trzecia unikalna cecha. Jeśli natrafimy na planetę, która — gdyby nie promieniowanie radioaktywne mogłaby być zamieszkana i która ma, oprócz tego, ogromnego satelitę, a w układzie, do którego należy, znajduje się też inna planeta z szerokim pierścieniem, to będziemy mieć pewność, że znaleźliśmy Ziemię.

Trevize uśmiechnął się.

— Zgadzam się, Janov. Jeśli stwierdzimy, że jakiś układ ma te trzy cechy, to na pewno będzie tam Ziemia.

— Jeśli… — powiedziała z westchnieniem Bliss.

30

Znajdowali się już poza głównymi światami układu planetarnego Comporellona, lecąc w kierunku jego skraju po linii przebiegającej między dwoma najbardziej oddalonymi od środka planetami, tak że w promieniu półtora miliarda kilometrów nie było żadnego ciała o znacznej masie. Przed nimi był tylko duży obłok pyłu kometarnego, który z punktu widzenia grawitacji nie miał żadnego znaczenia.

„Odległa Gwiazda" przyspieszyła i osiągnęła prędkość rzędu 0,1 c, równą jednej dziesiątej prędkości światła. Trevize dobrze wiedział, że — teoretycznie — statek mógł osiągnąć prędkość prawie równą prędkości światła, ale wiedział też, że praktycznie — 0,1 c była górną granicą, którą niebezpiecznie było przekraczać.

Przy prędkości równej 0,1 c można było ominąć każdy obiekt o dającej się oszacować masie, ale nie sposób było uniknąć zderzeń z niezliczonymi cząstkami pyłu kosmicznego, a tym bardziej z pojedynczymi atomami i cząsteczkami. Przy bardzo dużych prędkościach nawet tak małe obiekty mogły uszkodzić statek, powodując rysy i zadrapania na jego kadłubie. Przy prędkościach bliskich prędkości światła każdy atom, który uderzał w kadłub statku, miał własności cząstki promieniowania kosmicznego. Załoga statku, wystawiona na działanie takiego promieniowania, nie miała żadnych szans na przeżycie.

Mimo iż statek poruszał się z prędkością trzydziestu tysięcy kilometrów na sekundę, widoczne na ekranie gwiazdy nie zmieniały pozycji i wydawały się trwać w bezruchu.

Komputer przeszukiwał przestrzeń w znacznej odległości od statku, aby w porę wykryć obiekty o znacznej masie, które mogłyby znaleźć się na kursie i doprowadzić do kolizji. W takim przypadku, choć było to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, statek zboczyłby lekko, aby uniknąć zderzenia. Biorąc pod uwagę małe rozmiary obiektów, które ewentualnie mogłyby znaleźć się na drodze statku, szybkość, z jaką statek je omijał, i brak jakichkolwiek efektów działania siły ciężkości w wyniku zmiany kursu, nie sposób było stwierdzić, czy choć raz doszło do sytuacji, którą można by określić mianem bliskiego spotkania.

Z tego względu Trevize nie przejmował się takimi rzeczami, a nawet w ogóle nie zaprzątał sobie tym głowy. Całą uwagę skoncentrował na trzech zbiorach współrzędnych, które dostał od Deniadora, a szczególnie na zbiorze, który określał położenie najbliższego z tych obiektów.

— Coś nie w porządku z tymi liczbami? — spytał z niepokojem Pelorat.

— Jeszcze nie wiem — odparł Trevize. — Współrzędne same w sobie nie mają żadnej wartości. Trzeba znać punkt zerowy i reguły, według których zostały obliczone… to znaczy, mówiąc inaczej, kierunek, w którym oblicza się odległość, odpowiednik zenitu, i tak dalej.

— A w jaki sposób chcesz znaleźć to wszystko? — spytał Pelorat z tępą miną.

— Dostałem współrzędne Terminusa i paru innych miejsc, których położenie zostało określone względem Comporellona. Jeśli wprowadzę je do komputera, zrekonstruuje on zasady, przy których zastosowaniu współrzędne Terminusa i tych innych miejsc poprawnie określają ich rzeczywiste położenie. Na razie próbuję ułożyć sobie to wszystko w głowie, żeby odpowiednio zaprogramować komputer. Kiedy będziemy już znali zasady ustalania współrzędnych, to być może te liczby odnoszące się do położenia Zakazanych Światów nabiorą dla nas znaczenia.

— Tylko być może? — spytała Bliss.

— Obawiam się, że tak — odparł Trevize. — W końcu te współrzędne są dość stare. Przypuszczalnie zostały obliczone na Comporellonie, ale nie jest to pewne. A może zostały obliczone według innych zasad?

— To co wtedy?

— To wtedy mielibyśmy zupełnie bezwartościowe dane. Ale musimy się o tym przekonać.

Jego palce szybko biegały po lekko lśniących klawiszach komputera, wprowadzając odpowiednie informacje. Kiedy skończył, położył dłonie na wgłębieniach w pulpicie. Czekał. Tymczasem komputer zrekonstruował zasady przekazanych mu współrzędnych określających położenie znanych Trevizemu miejsc, a potem, po krótkiej przerwie, zinterpretował — zgodnie z tymi zasadami — liczby określające współrzędne najbliższego z Zakazanych Światów i w końcu zlokalizował ten świat na mapie Galaktyki znajdującej się w jego pamięci.

Na ekranie pojawił się obraz usianej gwiazdami przestrzeni. Potem obraz przekręcił się szybko, dostosowując się do ich pozycji. Kiedy znieruchomiał, komputer zaczął go powiększać. Za ramami ekranu znikały gwiazdy, ale oko nie mogło nadążyć za ich ruchem, tak był szybki. Migotanie uciekających z pola widzenia gwiazd zlewało się, tworząc roziskrzoną mgiełkę. W końcu na ekranie pozostał tylko fragment przestrzeni o wymiarach jedna dziesiąta na jedną dziesiątą parseka (pokazywał to wskaźnik umieszczony pod ekranem). Obraz nie zmienił się już. Tylko pół tuzina świetlistych punktów rozjaśniało ciemność ekranu.

— Który z nich jest tym Zakazanym Światem? — spytał cicho

Pelorat.

— Żaden — odparł Trevize. — Cztery z nich to czerwone karły, jeden — gwiazda zmieniająca się w karła i jeden biały karzeł. Żadnego z nich nie może obiegać zamieszkany świat.

— A na jakiej podstawie twierdzisz, że to czerwone karły, skoro tylko tyle widzisz?

— To, co tu widzimy, to nie są prawdziwe gwiazdy — rzekł Trevize. — Oglądamy fragment mapy Galaktyki znajdującej się w pamięci komputera. Każda gwiazda jest oznaczona. Nie widzicie tego i ja też nie mogę tego zobaczyć, ale dopóki mam kontakt z komputerem, otrzymuję znaczną ilość danych dotyczących każdej gwiazdy, na której skoncentruję uwagę.

— A więc te współrzędne są bezwartościowe powiedział z żalem Pelorat.

Trevize spojrzał na niego.

— Nie, Janov. Jeszcze nie skończyłem. Pozostaje jeszcze problem czasu. Współrzędne Zakazanych Światów pochodzą sprzed dwudziestu tysięcy lat. W tamtym czasie te światy i Comporellon krążyły wokół środka Galaktyki. Być może poruszają się one z różną szybkością i po orbitach o różnym odchyleniu i w różnym stopniu ekscentrycznych. Dlatego wraz z upływem czasu Comporellon i ten Zakazany Świat, który próbujemy teraz znaleźć, mogły się od siebie oddalić albo zbliżyć się do siebie. W ciągu tych dwudziestu tysięcy lat ten Zakazany Świat mógł się przesunąć o pół do pięciu parseków od miejsca, w którym się początkowo znajdował. Na pewno nie może się znajdować w tym kwadracie, bo jego bok ma zaledwie jedną dziesiątą parseka.

— Co wobec tego zrobimy?

— Polecimy komputerowi, żeby przesunął Galaktykę o dwadzieścia tysięcy lat wstecz względem Comporellona.

— On może to zrobić? — spytała Bliss z pewnym lękiem.

— No, nie samą Galaktykę, ale jej obraz w swojej pamięci.

— Będziemy widzieli jakieś zmiany na ekranie? — spytała Bliss.

— Zobaczysz — odparł Trevize.

Gwiazdy bardzo powoli przesunęły się. Z lewej strony pojawiła się nowa, niewidoczna przedtem, gwiazda. Pelorat wskazał na nią palcem i zawołał z przejęciem:

— Tam! Tam!

— Przykro mi, Janov — powiedział Trevize ale to też czerwony karzeł. Są bardzo pospolite. Przynajmniej trzy czwarte wszystkich gwiazd w Galaktyce to czerwone karły.

Obraz przestał się przesuwać.

— No i co? — spytała Bliss.

— To właśnie to — rzekł Trevize. — Tak wyglądała ta część

Galaktyki dwadzieścia tysięcy lat temu. W samym środku ekranu jest punkt, w którym powinien się znajdować ten Zakazany Świat, jeśli poruszał się przez cały czas z tą samą mniej więcej, przeciętną prędkością.

— Powinien się znajdować, ale się nie znajduje — powiedziała uszczypliwie Bliss.

— Faktycznie — przyznał Trevize ze stoickim niemal spokojem.

— Oj, to bardzo niedobrze, Golan — westchnął Pelorat.

— Zaczekaj, nie rozpaczaj. Nie spodziewałem się ujrzeć tam tej gwiazdy.

— Nie spodziewałeś się? — spytał Pelorat ze zdumieniem.

— Nie. Przecież powiedziałem wam, że to nie jest Galaktyka, tylko jej komputerowa mapa. Jeśli nie ma na niej jakiejś gwiazdy, to oczywiste, że nie możemy jej zobaczyć. Jeśli planeta, której szukamy, nazywa się Zakazany Świat i nosi tę nazwę od dwudziestu tysięcy lat, to jest prawdopodobne, że nie ma jej na mapie. I faktycznie nie ma, bo jej nie widzimy.

— Może nie widzimy jej dlatego, że w ogóle nie istnieje — powiedziała Bliss. — Może ta comporellińska legenda nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, a może współrzędne są niedobre.

— Masz rację. Niemniej teraz, kiedy komputer znalazł miejsce, w którym ta planeta powinna się była znajdować dwadzieścia tysięcy lat temu, można obliczyć współrzędne, które określają jej obecne położenie. Posługując się współrzędnymi z poprawką czasową, którą mogłem wnieść tylko w oparciu o mapę gwiezdną, możemy teraz spróbować znaleźć naszą planetę nie na mapie, ale w Galaktyce.

— Ale założyłeś, że ten Zakazany Świat poruszał się z pewną przeciętną prędkością — powiedziała Bliss. — A jeśli ta prędkość była inna? W takiej sytuacji te współrzędne będą nieprawdziwe.

— Owszem, ale opierając się na pewnej przeciętnej prędkości, otrzymaliśmy współrzędne, które na pewno są bliższe faktycznym współrzędnym niż te bez poprawki czasowej.

— Masz tylko taką nadzieję — powiedziała Bliss z powątpiewaniem.

— Właśnie — rzekł Trevize. — Mam taką nadzieję… A teraz popatrzmy na rzeczywisty obraz Galaktyki.

Bliss i Pelorat wpatrywali się z napięciem w ekran, podczas gdy Trevize (być może po to, aby zmniejszyć swoje własne napięcie i odwlec chwilę rozpoczęcia) mówił spokojnie, jak gdyby prowadził wykład:

— Obserwować rzeczywistą Galaktykę jest o wiele trudniej. Mapa komputerowa jest tworem sztucznym, z którego można wyeliminować rzeczy nieistotne, ale istniejące w rzeczywistości. Jeśli obraz przesłania mi jakaś mgławica, to mogę ją usunąć. Jeśli nie odpowiada

mi kąt widzenia, to mogę go zmienić. I tak dalej. Natomiast prawdziwą Galaktykę muszę przyjmować taką, jaka jest i jeśli chcę coś zmienić w obrazie, to muszę się dosłownie, fizycznie przenieść w przestrzeni, co oczywiście zabiera o wiele więcej czasu niż inne ustawienie mapy.

Kiedy to mówił, ekran ukazał chmurę gwiazd. Było ich tak wiele, że przypominały lśniącą górę pudru.

— To część Drogi Mlecznej, widziana pod dużym kątem. Chcę, oczywiście, zobaczyć to, co jest na pierwszym planie. Jeśli powiększę pierwszy plan, to, w porównaniu z nim, zniknie to, co jest w tyle. Miejsce, które określają współrzędne, znajduje się dość blisko Comporellona, tak że powinno mi się udać uzyskać powiększenie tej części odpowiadające obrazowi, który nam ukazała mapa. Teraz, jeśli zdołam przez odpowiedni czas utrzymać nerwy na wodzy, przekażę komputerowi konieczne polecenie. Start!

Chmura gwiazd powiększyła się, a więc pozornie zbliżyła, tak szybko, że tysiące gwiazd pomknęły na boki, a patrzący doznali wrażenia, że lecą w stronę ekranu i cała trójka instynktownie odsunęła się, chcąc uniknąć z nimi zderzenia.

Pojawił się poprzedni obraz, już nie tak ciemny jak na mapie, ale pół tuzina gwiazd znajdowało się na starych miejscach. Blisko środka widać jednak było inną gwiazdę, świecącą o wiele jaśniej niż pozostałe.

— Jest — szepnął z podziwem Pelorat.

— Może. Polecę komputerowi przeanalizować jej spectrum. — Nastąpiła dłuższa przerwa, po czym Trevize powiedział: — Klasa spektralna G-4, co znaczy, że jest nieco mniejsza i ciemniejsza niż słońce Terminusa, ale jaśniejsza od słońca Comporellona. Na komputerowej mapie Galaktyki nie powinno brakować żadnej gwiazdy klasy G. A ponieważ tej akurat brakuje, to fakt ten przemawia za tym, że może to być słońce, wokół którego krąży nasz Zakazany Świat.

— Czy istnieje możliwość, że wokół tej gwiazdy nie krąży żadna planeta nadająca się do zamieszkania? — spytała Bliss.

— Myślę, że tak. W takim przypadku spróbujemy odnaleźć pozostałe dwa Zakazane Światy.

— A jeśli i one okażą się fałszywym alarmem? — To spróbujemy czego innego.

— Na przykład czego?

— Sam chciałbym to wiedzieć — odparł ponuro Trevize.

8. Zakazany Świat

31

— Golan nic będzie ci przeszkadzało, jeśli będę się przyglądał? — spytał Pelorat.

— Nie, Janov, możesz się przyglądać — odparł Trevize.

— A jeśli będę się chciał o coś zapytać?

— Wal śmiało.

— Co teraz robisz?

Trevize oderwał wzrok od ekranu.

— Muszę zmierzyć na ekranie odległość każdej gwiazdy, która zdaje się leżeć niedaleko od Zakazanego Świata, aby obliczyć, w jakiej odległości od niego faktycznie się znajduje. Muszę się dowiedzieć, jak silne są pola grawitacyjne tych gwiazd, a do tego potrzebne mi są ich masy i odległość od tego świata. Nie znając mocy tych pól, nie można mieć pewności, że skok odbędzie się bez zakłóceń.

— A jak to obliczysz?

— Współrzędne każdej z tych gwiazd znajdują się w banku danych komputera. Można je przekształcić zgodnie z zasadami systemu comporellońskiego. Te z kolei można nieco skorygować, biorąc pod uwagę pozycję „Odległej Gwiazdy" względem słońca Comporellona. W ten sposób otrzymam odległość, w jakiej znajduje się każda z tych gwiazd. Na ekranie te czerwone karły zdają się być zupełnie blisko Zakazanego Świata, ale w rzeczywistości niektóre mogą leżeć znacznie dalej, a niektóre znacznie bliżej. Musimy ustalić ich położenie w przestrzeni trójwymiarowej, rozumiesz.

Pelorat skinął głową i powiedział:

— A masz już współrzędne Zakazanego Świata…

— Tak, ale to nic wystarczy. Potrzebne mi są odległości pozostałych gwiazd w granicach mniej więcej jednego procentu. Napięcie ich pól grawitacyjnych w sąsiedztwie Zakazanego Świata jest tak niewielkie, że mały błąd nie robi różnicy. Natomiast słońce, wokół którego krąży, czy może krążyć Zakazany Świat, ma niezwykle intensywne pole grawitacyjne w okolicach tej planety, więc jego odległość muszę zmierzyć jakiś tysiąc razy dokładniej niż odległość pozostałych gwiazd. Same współrzędne nie wystarczą.

— Co wobec tego zrobisz?

— Właśnie mierzę odległość Zakazanego Świata, a raczej jego gwiazdy, od trzech sąsiednich gwiazd, które świecą tak niewyraźnie, że trzeba je znacznie powiększyć, aby je zobaczyć. Przypuszczalnie wszystkie trzy znajdują się bardzo daleko od Zakazanego Świata. Możemy więc ustawić ekran tak, aby jedna z nich była w jego środku, i skoczyć o jedną dziesiątą parseka w kierunku prowadzącym pod kątem prostym do linii łączącej ją z Zakazanym Światem. Możemy to

zrobić bez obawy, nawet nie znając odległości tych stosunkowo daleko leżących gwiazd.

Gwiazda będąca dla nas punktem odniesienia będzie po skoku nadal widoczna pośrodku ekranu. Pozostałe dwie słabo świecące gwiazdy, jeśli są faktycznie bardzo daleko, również nie zmienią w dostrzegalny sposób swojej pozycji. Natomiast Zakazany Świat jest na tyle blisko, że przesunie się po paralaksie. Z wielkości tego przesunięcia będziemy mogli oszacować, w jakiej jest odległości. Jeśli będę chciał się dodatkowo upewnić i sprawdzić wynik, to wybiorę trzy inne gwiazdy i powtórzę ten numer.

— Ile czasu zajmie to wszystko?

— Niewiele. Całą ciężką pracę wykonuje komputer. Ja tylko mówię mu, co ma zrobić. To, że w ogóle zabiera nam to czas, bierze się stąd, że muszę potem sam przestudiować wyniki, aby upewnić się, że wyglądają jak trzeba i że nie popełniłem błędu w poleceniach, które wydałem komputerowi.

— To naprawdę zdumiewające — powiedział Pelorat. — Pomyśl tylko, ile komputer robi za nas.

— Myślę o tym cały czas.

— Co byś zrobił bez niego?

— A co bym zrobił bez statku o napędzie grawitacyjnym? Albo bez przeszkolenia astronautycznego? Albo bez dwudziestu tysięcy lat nieprzerwanego rozwoju techniki lotów w nadprzestrzeni? Faktem jest, że jestem tu teraz. Spróbuj sobie wyobrazić, co będzie za następne dwadzieścia tysięcy lat. Załóżmy, że żylibyśmy właśnie wtedy. Za jakie cuda techniki bylibyśmy wtedy wdzięczni naszym przodkom i współczesnym? A może za dwadzieścia tysięcy lat ludzkość nie będzie już istniała?

— Co to, to nie — żachnął się Pelorat. — Na pewno będzie istniała. Nawet jeśli nie staniemy się częścią Galaxii, to będziemy nadal mieli psychohistorię, która będzie nam wytyczała drogę.

Trevize obrócił się w fotelu, zdejmując ręce z pulpitu komputera.

— Niech zmierzy te odległości — powiedział — i sprawdzi obliczenia, nawet wielokrotnie. Nie ma pośpiechu. — Spojrzał kpiąco na Pelorata. — Psychohistoria! Wiesz, Janov, ten temat pojawił się dwa razy, kiedy byliśmy na Comporellonie, i za każdym razem wiara w psychohistorię została nazwana przesądem. Raz przeze mnie, a drugi raz przez Deniadora. No bo w końcu czy można ją określić inaczej niż jako przesąd żywiony przez mieszkańców Fundacji? Czy mamy na jej poparcie jakieś dowody, jakieś argumenty? No, sam powiedz, Janov. Ty się na tym powinieneś znać lepiej niż ja.

— Dlaczego uważasz, że nie ma na to żadnych dowodów? — spytał Pelorat. — W Krypcie Czasu wielokrotnie ukazywał się hologram Hariego Seldona, który przedstawiał wypadki tak, jak

rzeczywiście wyglądały. Nie mógłby za swego życia wiedzieć, jakie zajdą wydarzenia, gdyby nie przewidział ich za pomocą psychohistorii.

Trevize pokiwał głową.

— To brzmi przekonująco. Pomylił się, jeśli chodzi o czasy Muła, ale i tak brzmi to przekonująco. Niemniej za bardzo przypomina to magię. Każdy kuglarz zna jakieś sztuczki.

— Ale żaden kuglarz nie potrafi przewidzieć, co się stanie za kilkaset lat.

— Żaden kuglarz nie potrafiłby naprawdę zrobić tęgo, co udaje, że robi.

— Daj spokój, Golan. Nie mogę sobie wyobrazić żadnej sztuczki, za pomocą której mógłbym przewidzieć, co będzie za kilkaset lat.

— Tak jak nie możesz sobie wyobrazić sztuczki, za pomocą której magik może odczytać, co zostało zapisane na tabliczce umieszczonej w bezzałogowej stacji orbitalnej. A ja widziałem taki pokaz. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że Krypta Czasu, razem z hologramem Hariego Seldona, może być sztuczką wymyśloną przez rząd?

Pelorat zrobił minę, jakby ten pomysł dotknął go do żywego.

— Nie zrobiliby czegoś takiego — powiedział.

Trevize prychnął szyderczo.

— A zresztą zostaliby na tym przyłapani, gdyby spróbowali to zrobić — rzekł Pelorat.

— Wcale nie jestem tego taki pewien. Ale nie o to chodzi. Problem w tym, że nie mamy pojęcia, jak działa psychohistoria.

— Ja nie mam pojęcia, jak działa komputer, ale to nie zmienia faktu, że on działa.

— Dlatego, że są tacy, co wiedzą, jak działa. A co by było, gdyby nikt nie wiedział, jak działa? W takiej sytuacji bylibyśmy zupełnie bezradni, gdyby z jakiegoś powodu przestał działać. A gdyby psychohistoria nagle przestała działać…

— Druga Fundacja zna zasady działania psychohistorii.

— A skąd to wiesz, Janov?

— Tak się mówi.

— Mówić można wszystko… O, mamy już odległość do gwiazdy Zakazanego Świata. Mam nadzieję, że komputer obliczył ją bardzo dokładnie. Przeanalizujemy te liczby.

Patrzył na nie przez dłuższy czas, poruszając od czasu do czasu bezgłośnie ustami, jakby dokonywał w myśli jakichś obliczeń. W końcu oderwał od nich wzrok i spytał:

— Co robi Bliss?

— Śpi — odparł Pelorat, a potem dodał tonem usprawiedliwienia: — Ona potrzebuje snu, Golan. Pozostawanie częścią Gai w takiej odległości i utrzymywanie z nią kontaktu przez nadprzestrzeń jest dla

niej bardzo wyczerpujące.

— Tak myślę — powiedział Trevize i odwrócił się na powrót do komputera. Położył dłonie na pulpicie i mruknął: — Każę mu posuwać się małymi skokami i po każdym skoku sprawdzać wyliczenia. — Potem cofnął ręce i powiedział: — Pytałem poważnie, Janov. Co wiesz o psychohistorii?

Pelorat miał zaskoczoną minę.

— Nic. Bycie historykiem, którym w pewnym sensie jestem, to coś zupełnie innego niż bycie psychohistorykiem… Oczywiście znam obie podstawowe zasady, na których opiera się psychohistoria, ale każdy je zna.

— Nawet ja. Pierwsza zasada głosi, że populacja będąca obiektem zainteresowania psychohistorii musi być odpowiednio duża, aby wyliczenia statystyczne były prawomocne. Ale co to znaczy „odpowiednio duża"? Jak duża?

— Według ostatnich szacunków — rzekł Pelorat — w Galaktyce żyje około dziesięciu trylionów ludzi, a są to prawdopodobnie szacunki zaniżone. Na pewno jest to odpowiednio duża liczba.

— Skąd wiesz?

— Stąd, że psychohistoria działa, Golan. Choćbyś używał nie wiem jakich sofizmatów, to faktem jest, że działa.

— Natomiast druga zasada — powiedział Trevize — głosi, że ludzie nie mogą wiedzieć, że podlegają działaniu psychohistorii, gdyż wiedza ta zniekształciłaby ich reakcje… Ale sęk w tym, że wiedzą.

— Tylko o tym, że psychohistoria w ogóle istnieje, stary. To nie ma znaczenia. Druga zasada mówi, że ludzie nie mogą wiedzieć o tym, co przewiduje psychohistoria i faktycznie nic o tym nie wiedzą… z wyjątkiem Drugiej Fundacji, która — jak się uważa — zna te przewidywania, ale Druga Fundacja to szczególny przypadek.

— I cała psychohistoria została zbudowana na tych dwóch zasadach? Trudno w to uwierzyć.

— Nie tylko na tych dwóch zasadach — zaoponował Pelorat. — Oprócz tego jest jeszcze wyższa matematyka i skomplikowane metody statystyczne. Opowieść głosi — jeśli chcesz posłuchać tego, co zachowała tradycja — że Hari Seldon stworzył psychohistorię opierając się na kinetycznej teorii gazów. Atomy czy cząsteczki gazu poruszają się bezładnie, tak że nie znamy ani położenia, ani prędkości pojedynczej cząsteczki. Mimo to, posługując się statystyką, możemy bardzo precyzyjnie sformułować prawa rządzące zachowaniem wszystkich cząsteczek. Otóż Seldon chciał odkryć podobne prawa rządzące zachowaniem ludzkich społeczności, choćby nawet te prawa nie stosowały się do zachowań poszczególnych jednostek.

— Możliwe, ale ludzie to nie atomy.

— To prawda — odparł Pelorat. — Jednostka ludzka obdarzona

jest świadomością i jej zachowanie jest tak skomplikowane, że wydaje się, iż posiada ona wolną wolę. Jak Seldon sobie z tym poradził, nie mam najmniejszego pojęcia i jestem pewien, że nawet gdyby znalazł się ktoś, kto to wie, i próbował mi wyjaśnić, to i tak bym nie zrozumiał. Ale jest faktem, że Seldon sobie z tym poradził.

— I to wszystko zależy od tego, czy społeczeństwo będące przedmiotem tych zabiegów jest wystarczająco liczne i nic o nich nie wie. Nie wydaje ci się, że jest to zbyt krucha podstawa, aby zbudować na niej potężny gmach formuł matematycznych? Jeśli te dwa podstawowe wymogi nie zostaną dokładnie spełnione, to cała budowla runie.

— Ale skoro Plan nie runął…

— Albo jeśli te wymogi nie są nawet fałszywe ani nieodpowiednie, ale po prostu słabsze niż powinny być, to psychohistoria może nawet właściwie funkcjonować przez kilkaset lat, a potem, w przypadku jakiegoś szczególnego kryzysu, runąć… tak jak to miało miejsce, choć na krótko, w czasach Muła… A może jest jeszcze jakiś trzeci wymóg?

— Jaki trzeci wymóg? — spytał Pelorat, marszcząc czoło.

— Nie wiem — odparł Trevize. — Argument może wyglądać elegancko i wydawać się zupełnie logiczny, a mimo to opierać się na jakichś cichych założeniach. Może ten trzeci wymóg jest założeniem tak oczywistym, że nikt nawet nie myśli o jego wyraźnym sformułowaniu.

— Założenie, które jest tak oczywiste, jest zwykle wystarczająco prawdziwe. Inaczej nie byłoby tak oczywiste.

Trevize prychnął:

— Janov, gdybyś znał historię nauki tak dobrze, jak historię tradycyjną, to wiedziałbyś, jak błędne jest takie stanowisko… Ale widzę, że jesteśmy już w sąsiedztwie słońca, wokół którego krąży Zakazany Świat.

Faktycznie, pośrodku ekranu widniała jasna gwiazda — tak jasna, że ekran automatycznie ukazał jej światło przez filtr, a i tak było ono wystarczająco silne, aby w jego blasku zniknęły pozostałe gwiazdy.

32

Na pokładzie „Odległej Gwiazdy” urządzenia służące do utrzymania higieny osobistej były dość skromne, a zużycie wody utrzymywano na minimalnym poziomie, aby nie przeciążać aparatury uzdatniającej. Trevize wyraźnie zaznaczył to Bliss i Peloratowi.

Mimo to Bliss stale wyglądała świeżo, jej długie czarne włosy lśniły, a paznokcie błyszczały.

Weszła do sterowni, mówiąc:

— A, tu jesteście!

Trevize podniósł głowę i powiedział:

— Nie ma w tym nic zdumiewającego. Trudno sobie wyobrazić, żebyśmy opuścili statek, a wystarczyłyby półminutowe poszukiwania, żeby nas tu znaleźć, nawet gdybyś nie mogła odkryć naszej obecności swoim szóstym zmysłem.

— Dobrze wiesz — odparła Bliss — że była to tylko forma powitania i że nie należy tego rozumieć dosłownie. Gdzie jesteśmy?… Tylko mi nie odpowiadaj, że w sterowni.

— Jesteśmy, kochanie — odparł Pelorat, wyciągając do niej rękę — na skraju systemu planetarnego, do którego należy najbliższy z tych trzech Zakazanych Światów.

Podeszła do niego i stanęła obok, kładąc mu rękę na ramieniu. Pelorat objął ją w pasie.

— Nie jest taki zakazany — powiedziała. — Nic nas dotąd nie zatrzymało.

— Jest zakazany — rzekł na to Trevize — tylko dlatego, że Comporellon i inne światy założone przez drugą falę osadników samorzutnie uznały światy założone przez osadników pierwszej fali, Przestrzeńców, za zakazane. Jeśli my nie czujemy się związani tym zakazem, to co nas może zatrzymać?

— Także Przestrzeńcy, jeśli jeszcze jacyś żyją, mogli samorzutnie uznać światy osadników drugiej fali za zakazane. To, że nas nic nie powstrzymuje przed wtargnięciem do nich, nie znaczy, że oni nie będą mieli nic przeciwko temu.

— Tak — odparł Trevize. — Jeśli istnieją. Na razie nie wiemy nawet, czy istnieje jakaś planeta, na której mogliby żyć. Na razie widzimy tylko zwykłe olbrzymy gazowe. Dwa, i to nieszczególnie duże.

— Ale to nie znaczy, że Światy Przestrzeńców nie istnieją — wtrącił szybko Pelorat. — Każdy nadający się do zamieszkania świat znajduje się dużo bliżej słońca, jest dużo mniejszy i, w blasku swego słońca, trudny do wykrycia z takiej odległości. Będziemy musieli zrobić mikroskok w środek tego układu, żeby móc wykryć ten świat.

— Był wyraźnie dumny, że mówi jak doświadczony kosmonauta.

— W takim razie — spytała Bliss — dlaczego nie lecimy tam?

— Jeszcze nie teraz — odparł Trevize. — Dałem komputerowi polecenie, żeby sprawdził w granicach swych możliwości, czy nie ma tu jakichś śladów sztucznych konstrukcji. Będziemy lecieli do środka układu etapami — jeśli będzie trzeba, to rozbijemy ten lot nawet na tuzin etapów — sprawdzając dokładnie otoczenie po przebyciu każdego odcinka. Nie chcę wpaść w pułapkę, jak wtedy, kiedy zbliżyliśmy się do Gai. Pamiętasz, Janov?

— W takie pułapki mógłbym wpadać codziennie. Dzięki tej, którą zastawiła Gaja, mam Bliss — powiedział Pelorat i spojrzał na nią z miłością.

— Masz nadzieję, że co dzień spotkasz nową Bliss? — zaśmiał się Trevize.

Pelorat żachnął się, wyraźnie urażony, a Bliss powiedziała z lekką irytacją:

— Ale możesz, stary — czy jak tam cię nazywa Pel — lecieć nieco szybciej. Dopóki jestem z tobą, nie grozi ci, że wpadniesz w pułapkę.

— Taka jest potęga Gai?

— W wykrywaniu innych umysłów? Oczywiście.

— Jesteś pewna, Bliss, że masz dosyć siły? Zdaje się, że musisz trochę pospać, żeby odzyskać siły, które pochłania podtrzymywanie kontaktu z Gają. Na ile mogę polegać na twych, ograniczonych, zdaje się, w takiej odległości od Gai, zdolnościach?

Bliss zarumieniła się.

— Ten kontakt jest wystarczająco silny.

— Nie obrażaj się — rzekł Trevize. — Po prostu pytam… Nie uważasz, że jest to minus bycia Gają? Ja nie jestem Gają. Jestem niezależną, samodzielną i pełną jednostką. To znaczy, że mogę odlecieć tak daleko, jak chcę od swojego świata i od swoich ziomków i pozostać sobą, Golanem Trevize. W każdej odległości od nich zachowuję swoje zdolności i umiejętności w całej pełni. Gdybym znalazł się sam w przestrzeni, wiele parseków od najbliższego człowieka, i gdybym z jakiegoś powodu nie mógł w żaden sposób z nikim się skontaktować ani nawet zobaczyć choćby jednej gwiazdy na niebie, to i tak byłbym i pozostałbym Golanem Trevize. Być może nie zdołałbym przetrwać i musiałbym umrzeć, ale umarłbym jako Golan Trevize.

— Będąc sam w przestrzeni, z dala od innych, nie mógłbyś przywołać na pomoc swoich towarzyszy, nie mógłbyś liczyć na ich umiejętności i wiedzę. Jako samotna, odizolowana od innych jednostka byłbyś o wiele słabszy niż gdybyś był elementem zintegrowanego społeczeństwa. Wiesz o tym — powiedziała Bliss.

— Niemniej jednak byłaby to słabość innego rodzaju niż twoja —

odparł Trevize. — Więź między tobą i Gają jest o wiele silniejsza niż między mną a moim społeczeństwem. Ta więź utrzymuje się w nadprzestrzeni i potrzeba dla jej podtrzymania energii, w wyniku czego ledwie dyszysz, psychicznie i umysłowo, i czujesz się o wiele słabsza niż ja z dala od społeczeństwa, do którego należę.

Twarz Bliss stężała i przez chwilę Bliss nie wyglądała młodo, a raczej wydawała się wieczna, jakby była bardziej Gają niż Bliss, jak gdyby samym wyglądem chciała zadać kłam stwierdzeniu Trevizego.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, Golanie Trevize, który jesteś, byłeś i będziesz sobą, który być może nie będziesz niczym mniejszym, ale też na pewno niczym większym, nawet jeśli jest tak, to czy sądzisz, że można mieć coś za nic? Czy nie lepiej jest być istotą ciepłokrwistą, taką jak ty, niż zimnokrwistym stworzeniem, takim jak ryba czy co tam jeszcze?

— Żółwie są zimnokrwiste — wtrącił Pelorat. Na Terminusie ich nie ma, ale są na pewnych planetach. Mają skorupy, poruszają się bardzo wolno, ale żyją bardzo długo.

— No dobrze, więc czy nie lepiej jest być człowiekiem niż żółwiem i poruszać się raczej szybko niż wolno? Czy nie lepiej podtrzymywać czynności pochłaniające wiele energii, mieć szybko napinające się mięśnie, szybko reagujące włókna nerwowe, zdolny do intensywnego wysiłku mózg niż pełzać powoli, powoli odbierać wrażenia zmysłowe i w znikomym stopniu uświadamiać sobie to, co nas otacza?

— Oczywiście, że lepiej — powiedział Trevize ale co z tego?

— Co? Czyżbyś nie wiedział, że musisz płacić za to, że jesteś istotą ciepłokrwistą? Aby podtrzymać temperaturę swego ciała na poziomie wyższym od temperatury otoczenia, musisz wydawać o wiele więcej energii niż żółw. Musisz niemal bez przerwy jeść, aby dostarczać swemu organizmowi energii równie szybko, jak ją traci. Umarłbyś z braku pożywienia o wiele szybciej niż żółw. Ale czy chciałbyś żyć dłużej, za to wolniej, i być żółwiem? Czy raczej płacić tę cenę i być szybko poruszającą się, szybko odbierającą wrażenia i myślącą istotą?

— Czy to właściwa analogia, Bliss?

— Nie, ponieważ sytuacja Gai jest o wiele lepsza. Kiedy jesteśmy blisko ze sobą, nie wydatkujemy dużych ilości energii. To ma miejsce tylko wtedy, kiedy jakaś część Gai znajduje się w nadprzestrzennej odległości od reszty… I pamiętaj, że to, za czym się opowiedziałeś, nie ma być po prostu większą Gają, większym jednym światem. Opowiedziałeś się za Galaxią, za wielkim zespołem światów. W każdym miejscu Galaxii będziesz jej częścią, będziesz otoczony innymi częściami organizmu, który będzie obejmował każdy atom przestrzeni międzygwiezdnej i czarną dziurę w centrum. Wówczas trzeba będzie

niewielkich ilości energii, aby pozostać całością. Żadna część nie będzie zbytnio odległa od innych. To za tym się opowiedziałeś. Czy możesz mieć jeszcze jakieś wątpliwości, że podjąłeś słuszną decyzję?

Trevize pochylił głowę i zamyślił się. Wreszcie wyprostował się i powiedział:

— Być może mój wybór był słuszny, ale muszę mieć pewność. To najważniejsza decyzja w dziejach ludzkości, więc nie wystarczy mi, że może jest słuszna. Muszę wiedzieć na pewno, że jest słuszna.

— A czego ci jeszcze trzeba, żeby się upewnić, po tym, co powiedziałam?

— Nie wiem, ale znajdę to na Ziemi. — Powiedział to z absolutnym przekonaniem.

— Golan widać już tę gwiazdę jako krąg — powiedział Pelorat.

Komputer, zajęty swoimi sprawami i nie przejmujący się w najmniejszym stopniu nawet najbardziej żywą dyskusją prowadzoną obok niego, zbliżał się etapami do gwiazdy i dotarł w końcu na odległość, na którą nastawił go Trevize.

W dalszym ciągu byli dość daleko od poziomu planetarnego, więc ekran podzielił się na trzy części, żeby mogli ujrzeć trzy małe planety znajdujące się w środkowej części układu.

Najbardziej oddalona od nich miała temperaturę powierzchni, w której woda mogła występować w stanie ciekłym, i atmosferę tlenową. Trevize poczekał, aż komputer obliczy jej orbitę. Już pierwsze, przybliżone obliczenia wypadły zadowalająco, ale Trevize polecił komputerowi, aby prowadził je dalej, gdyż im dłużej trwała obserwacja ruchu planety, tym dokładniej można było obliczyć elementy jej ruchu orbitalnego.

— W polu widzenia mamy planetę nadającą się do zamieszkania — powiedział cicho Trevize. Jest bardzo prawdopodobne, że panują tam odpowiednie warunki do tego.

— Ach! — Pelorat miał tak zachwyconą minę, jak pozwalała na to jego nieruchoma z natury twarz.

— Obawiam się jednak — dodał Trevize — że nie ma ona ogromnego satelity. Zresztą na razie komputer nie odkrył tam żadnego satelity. A więc nie jest to Ziemia. W każdym razie ten widok nie zgadza się z jej tradycyjnym opisem.

— Nie przejmuj się tym, Golan — powiedział Pelorat. — Kiedy okazało się, że żaden z olbrzymów gazowych nie jest otoczony niezwykłym pierścieniem, nie liczyłem na to, że znajdziemy tu Ziemię.

— No dobrze — rzekł Trevize. — Teraz sprawdzimy, jakie istnieją tam formy życia. Ponieważ planeta ma atmosferę tlenową, możemy być absolutnie pewni, że istnieje na niej życie roślinne, ale…

— Zwierzęce też — przerwała mu nagle Bliss. I to w dużej ilości.

— Co? — rzekł Trevize, zwracając się ku niej.

— Wyczuwam je. Z tej odległości dość słabo, ale nie ma wątpliwości, że ta planeta nie tylko nadaje się do zamieszkania, ale jest zamieszkana.

33

„Odległa Gwiazda” krążyła po orbicie biegunowej wokół Zakazanego Świata, w odległości na tyle dużej, że jeden obieg trwał nieco ponad sześć dni. Widać było, że Trevizemu nie spieszy się zejść z orbity.

— Ponieważ planeta jest zamieszkana — wyjaśniał powody, dla których zwlekał z lądowaniem — i ponieważ, według Deniadora, zamieszkiwali ją kiedyś ludzie, którzy dysponowali wysoko rozwiniętą techniką i wywodzili się z pierwszej fali osadników, tak zwanych Przestrzeńców, to może nadal mają wysoko rozwiniętą technikę i nie bardzo lubią nas, potomków osadników drugiej fali, którzy ich zastąpili. Chciałbym, żeby się nam pokazali i żebyśmy się czegoś o nich dowiedzieli, zanim zaryzykuję lądowanie.

— Może nie wiedzą, że tu jesteśmy — powiedział Pelorat.

— My wiedzielibyśmy, gdyby sytuacja była odwrotna. Muszę zatem założyć, że jeśli istnieją, to będą próbowali się z nami skontaktować. Może nawet zechcą wylecieć nam naprzeciw i złapać nas.

— Ale jeśli będą chcieli nas złapać i mają wysoko rozwiniętą technikę, to może się nam nie udać…

— Nie wierzę w to — przerwał mu Trevize. Postęp w technice niekoniecznie musi się dokonywać we wszystkich dziedzinach równocześnie. W pewnych dziedzinach mogli nas wyprzedzić, ale jest oczywiste, że nie dotyczy to podróży międzygwiezdnych. To nie oni, lecz my skolonizowaliśmy Galaktykę i nie słyszałem, żeby w okresie istnienia Imperium opuścili swoje światy albo żeby w ogóle zrobili coś, co świadczyłoby o ich istnieniu. A jeśli nie rozwijali podróży w przestrzeni, to w jaki sposób mogliby dokonać jakiegoś poważniejszego postępu w astronautyce? To z kolei świadczy, że jest niemożliwe, aby dysponowali czymś takim, jak statki o napędzie grawitacyjnym. Nie jesteśmy uzbrojeni, ale nawet gdyby wysłali przeciw nam statek wojenny, to i tak nas nie złapią… Nie będziemy bezradni.

— Może dokonali postępu w mentalistyce. Być może Muł był Przestrzeńcem…

Trevize wzruszył z irytacją ramionami.

— Muł nie mógł pochodzić z każdego miejsca. Gajanie twierdzą, że był Gajaninem, tyle że nienormalnym. Uważa się też, że był przypadkowo powstałym gdzieś mutantem.

— Snuto również domysły — powiedział Pelorat — których oczywiście nie przyjmowano poważnie, że był mechanizmem. Robotem, mówiąc innymi słowy, chociaż nie określano go tym

słowem.

— Jeśli jest tam coś, co może być groźne dla naszych umysłów, to unieszkodliwienie tego będzie zadaniem Bliss. Ona może… A propos, śpi teraz?

— Śpi — odparł Pelorat — ale poruszyła się, kiedy wychodziłem z kabiny.

— Poruszyła się, tak? No, jeśli się coś zacznie dziać, to będzie musiała się raz dwa przebudzić. Zajmiesz się tym, Janov.

— Tak, Golan — rzekł cicho Pelorat.

Trevize skierował uwagę na komputer.

— Niepokoi mnie tylko jedna rzecz — stacje graniczne. Normalnie są one niezbitym świadectwem tego, że planeta, wokół której są rozmieszczone, jest zamieszkana przez ludzi dysponujących dość wysoką techniką. Ale te tutaj…

— Coś z nimi nie tak?

— Parę rzeczy. Przede wszystkim są bardzo archaiczne. Mogą mieć wiele tysięcy lat. Po drugie, nie wysyłają żadnego promieniowania, oprócz termicznego.

— A co to jest?

— Promieniowanie termiczne jest wysyłane przez każdy obiekt, który jest cieplejszy od otoczenia. To szerokie pasmo, układające się w pewien określony wzór, w zależności od temperatury danego obiektu. Właśnie dlatego te stacje graniczne wysyłają takie promieniowanie. Jeśli na tych stacjach znajdują się jakieś pracujące urządzenia, to musi z nich przenikać w przestrzeń promieniowanie nietermiczne, niestochastyczne. Skoro jednak nie stwierdzamy takiego promieniowania, to możemy przyjąć, że albo stacje te są opuszczone, może nawet od tysięcy lat, albo — jeśli są na nich ludzie — dysponują odpowiednią, zaawansowaną techniką, która uniemożliwia przedostawanie się tego promieniowania na zewnątrz.

— Może ta planeta ma wysoko rozwiniętą cywilizację — powiedział Pelorat — a stacje są opuszczone dlatego, że jej mieszkańcy przestali się po prostu martwić, że ktoś tu może przylecieć.

— Może… A może to po prostu jakaś pułapka.

Weszła Bliss. Trevize, spostrzegłszy ją kątem oka, mruknął zrzędliwie:

— Tak, tu jesteśmy.

— Widzę — odparła Bliss — i wciąż na tej samej orbicie. Tyle potrafię spostrzec.

— Golan jest ostrożny, kochanie — pospieszył z wyjaśnieniem Pelorat. — Stacje graniczne wyglądają na opuszczone i nie wiemy, jak to rozumieć.

— Nie ma się czym przejmować — powiedziała obojętnym tonem

Bliss. — Na planecie, wokół której krążymy, nie ma żadnych dostrzegalnych znaków istnienia stworzeń inteligentnych.

Trevize obrzucił ją zdumionym wzrokiem.

— O czym ty mówisz? Powiedziałaś…

— Powiedziałam, że na tej planecie istnieje życie zwierzęce, i jest tak faktycznie, ale gdzie jest powiedziane, że życie zwierzęce koniecznie implikuje istnienie istot inteligentnych?

— Dlaczego o tym nie powiedziałaś od razu, jak tylko odkryłaś oznaki życia zwierzęcego?

— Dlatego, że z tamtej odległości nie mogłam tego stwierdzić. Mogłam jedynie stwierdzić ponad wszelką wątpliwość symptomy działania zwierzęcego układu nerwowego, ale przy tak słabym natężeniu nie potrafiłabym odróżnić motyla od człowieka.

— A teraz?

— Teraz jesteśmy o wiele bliżej. Pewnie myśleliście, że śpię, ale nie spałam, a w każdym razie bardzo krótko. Wsłuchiwałam się, choć to nieodpowiednie słowo, ale nie wiem, jak inaczej wam to wytłumaczyć, z natężeniem w odgłosy planety, aby odkryć jakiś ślad procesów umysłowych na tyle złożonych, by mogły świadczyć o istnieniu tam istot inteligentnych.

— I nie ma żadnych?

— Przypuszczam — odparła Bliss teraz już ostrożniej — że jeśli nie wykryłam nic z tej odległości, to nie może tam żyć więcej jak parę tysięcy ludzi. Jeśli podejdziemy jeszcze bliżej, to będę to mogła określić bardziej precyzyjnie.

— No cóż, to zmienia postać rzeczy — powiedział z pewnym zmieszaniem Trevize.

— Tak myślę — powiedziała Bliss. Wyglądała na lekko śpiącą i przez to skłonną do irytacji. — Możesz teraz dać spokój z tym swoim analizowaniem promieniowania, wyciąganiem wniosków i przypuszczeń i tą całą resztą. Moje zmysły dostarczają lepszych i pewniejszych informacji. Może teraz zrozumiesz, co mam na myśli, mówiąc, że lepiej jest być Gajaninem niż izolem.

Trevize nie odpowiedział od razu. Widać było, że stara się pohamować złość. Wreszcie powiedział z lodowatą uprzejmością:

— Jestem ci niezmiernie wdzięczny za tę informację. Mimo to musisz wiedzieć, że — używając analogii — perspektywa wyostrzenia mego węchu nie byłaby dla mnie wystarczającym motywem, żeby wyrzec się człowieczeństwa i stać się posokowcem.

34

Teraz, kiedy przeszli już przez warstwę chmur i lecieli wolno przez atmosferę, mogli się przyjrzeć Zakazanemu Światu. Sprawiał dziwne wrażenie jakby był nadgryziony przez mole.

Jak można się było spodziewać, obszary wokół biegunów pokryte były lodem, ale dość małe. Łańcuchy górskie składały się z nagich skał, wśród których tu i ówdzie widać było lodowce, ale one też nie były zbyt duże. Widać też było niewielkie, rozrzucone po całej powierzchni, obszary pustynne.

Ale mimo to planeta była zupełnie ładna. Miała duże kontynenty o bogatej linii brzegowej, obfitującej w długie plaże i liczne zatoki. Lądy pokrywały duże połacie lasów tropikalnych i umiarkowanych, otoczonych sawannami i łąkami, lecz wszystko to wyglądało z góry jak tkanina nadgryziona przez mole. Było zupełnie oczywiste, że cały ten świat niszczeje. Pośród lasów świeciły gołe miejsca, a całe partie łąk były zrudziałe.

— Jakaś choroba roślin? — rzekł ze zdumieniem Pelorat.

— Nie — odparła wolno Bliss. — Coś znacznie gorszego, a przy tym nieprzemijającego.

— Widziałem już wiele światów — powiedział Trevize — ale coś takiego spotykam po raz pierwszy.

— Ja widziałam niewiele światów — rzekła na to Bliss — ale przemawia przeze mnie cała Gaja i myślę, że tak wygląda świat, z którego zniknęli ludzie.

— Dlaczego? — spytał Trevize.

— Pomyśl tylko… — powiedziała cierpko Bliss. — Na żadnym zamieszkanym świecie nie istnieje równowaga ekologiczna w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Taka równowaga musiała pierwotnie istnieć na Ziemi, bo jeśli była ona światem, na którym powstała ludzkość, to musiało minąć dużo czasu, zanim pojawili się ludzie czy jakikolwiek inny gatunek zdolny do stworzenia rozwiniętej techniki i sposobów przekształcania środowiska. W takim przypadku musiała tam istnieć naturalna, oczywiście stale zmieniająca się, równowaga. Jednakże na innych zamieszkanych światach ludzie starannie tworzyli swoje otoczenie, wprowadzając tam rośliny i zwierzęta. W stworzonym przez nich systemie ekologicznym nie może być równowagi, gdyż składa się na niego tylko bardzo ograniczona liczba gatunków — tych, które ludzie wprowadzili celowo, gdyż chcieli je mieć, i tych, których nie chcieli wprowadzać, ale nie potrafili się przed tym ustrzec…

— Wiesz, co mi to przypomina? — wtrącił się nagle Pelorat. — Przepraszam, Bliss, że ci przerwałem, ale to tak pasuje do tego, co

mówisz, że muszę to zaraz powiedzieć, bo potem zapomnę. Natrafiłem kiedyś na taki stary mit o stworzeniu świata, mit, który mówi, że na jakiejś planecie zostało stworzone życie i że były tam tylko takie gatunki, które dostarczały ludziom pożytku albo przyjemności. Otóż pierwsi ludzie zrobili coś głupiego mniejsza z tym co, bo te stare mity są przeważnie symboliczne i wychodzą zupełne bzdury, jeśli bierze się je dosłownie — i ziemia na tej planecie została przeklęta. „Ciernie i osty rodzić ci będzie" — tak się to przekłada, choć o wiele lepiej brzmiało ono w archaicznym galaktycznym, w którym zostało zapisane. Problem jednak w tym, czy to naprawdę było przekleństwo? Rzeczy niechciane i nielubiane przez ludzi, takie jak ciernie i osty, mogą być potrzebne do zachowania równowagi ekologicznej.

Bliss uśmiechnęła się.

— To naprawdę zdumiewające, Pel, jak wszystko kojarzy ci się zaraz z jakąś legendą i jak pouczające są czasami te legendy. Tworząc swoje otoczenie na jakimś świecie, ludzie pomijają te ciernie i osty, bez względu na to, co one w danym przypadku znaczą, a potem muszą dbać o to, żeby to wszystko funkcjonowało. Taki świat nie jest samowystarczalnym organizmem, jak Gaja. Jest raczej różnorodnym zbiorem izoli, ale ten zbiór nie jest aż tak różnorodny, żeby równowaga ekologiczna mogła utrzymać się stale. Jeśli z takiego świata znikają ludzie i zaczyna brakować ich sterujących tymi procesami rąk, to cały układ zaczyna się rozpadać. Planeta wraca do stanu wyjściowego.

— Jeśli tak się rzeczywiście dzieje — rzekł sceptycznie Trevize — to jest to proces powolny. Na tym świecie nie ma ludzi może od dwudziestu tysięcy lat, a mimo to większa jego część wydaje się nadal kwitnąć.

— Z pewnością zależy to od tego — powiedziała Bliss — jak starannie zadbano na początku o stworzenie równowagi ekologicznej. Jeśli początkowo równowaga ta jest dość dobra, to może się utrzymać przez długi czas po zniknięciu ludzi. W końcu dwadzieścia tysięcy lat to co prawda długi okres w historii ludzkości, ale w porównaniu z życiem planety to zaledwie jeden dzień.

— Przypuszczam — powiedział Pelorat, przyglądając się uważnie planecie — że jeśli ten świat ulega degeneracji, to na pewno nie ma tu ludzi.

— Nadal nie wyczuwam żadnej aktywności mózgowej na poziomie ludzkim i skłonna jestem przypuszczać, że na tej planecie nie ma ludzi. Odbieram nieustanny szum i brzęczenie, charakterystyczne dla niższych poziomów świadomości, które są jednak na tyle wysokie, że mogą odpowiadać poziomowi świadomości ptaków i ssaków. Mimo wszystko nie jestem pewna, czy proces dezintegracji jest tak zaawansowany, żeby świadczył niezbicie, iż nie ma tu ludzi. Planeta

może ulegać degeneracji nawet wtedy, kiedy żyją na niej ludzie, jeśli ich społeczność jest nienormalna i nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważne jest zachowanie równowagi ekologicznej.

— Takie społeczeństwo na pewno szybko uległoby zagładzie — powiedział Pelorat. — Nie wyobrażam sobie, żeby ludzie nie mogli zrozumieć, jak ważne jest zachowanie czynników, które umożliwiają im przetrwanie.

— Nie podzielam twojej wiary w rozsądek ludzi, Pel — rzekła Bliss. — Wydaje mi się zupełnie możliwe, że w społeczności planetarnej składającej się tylko z izoli partykularne interesy mogą przesłonić interes ogółu.

— Podzielam zdanie Pelorata — powiedział Trevize — że to jest nie do pomyślenia. Zresztą sam fakt, że istnieje około miliona światów zamieszkanych przez ludzi i żaden z nich nie zniszczał w wyniku jakichś procesów dezintegracyjnych, świadczy o tym, że twoje obawy, Bliss, mogą być przesadne.

Statek przeleciał znad półkuli, na której panował dzień, nad półkulę pogrążoną w ciemności. Najpierw ogarnął ich pogłębiający się z każdą chwilą półmrok, a potem zapanowała zupełna ciemność, przerywana tylko światełkami gwiazd w miejscach, gdzie nieba nie przesłaniały chmury.

Utrzymywali jednakową wysokość, mierząc dokładnie ciśnienie atmosferyczne i intensywność przyciągania planety. Była to wysokość zbyt duża, aby mogli wpaść na jakiś wystający masyw górski, gdyż planeta znajdowała się w stadium, kiedy ruchy górotwórcze należały już od dawna do przeszłości. Mimo to komputer na wszelki wypadek badał drogę, wysuwając przed siebie palce mikrofal.

Trevize popatrzył na otaczający ich aksamitny mrok i powiedział z zadumą:

— Dla mnie najbardziej przekonującym dowodem na to, że ta planeta jest opuszczona, jest brak świateł na jej pogrążonej w cieniu stronie. Żadne społeczeństwo dysponujące techniką nie zniosłoby ciemności… Jak tylko znajdziemy się nad oświetloną stroną, zejdziemy niżej.

— Po co? — spytał Pelorat. — Tam nic nie ma.

— Kto powiedział, że tam nic nie ma?

— Bliss. I ty.

— Nie, Janov. Ja powiedziałem tylko tyle, że nie ma tu żadnego promieniowania wysyłanego przez urządzenia techniczne, a Bliss, że nie ma ani śladu procesów myślowych charakterystycznych dla istot ludzkich, a to nie znaczy, że nie ma tam nic. Nawet jeśli nie ma ludzi, to na pewno są jakieś pozostałości po nich. Poszukuję informacji, Janov, a szczątki urządzeń mogą mi ich dostarczyć.

— Po dwudziestu tysiącach lat? — spytał z powątpiewaniem

Pelorat. — Myślisz, że coś mogło przetrwać do naszych czasów? Nie znajdziesz ani filmów, ani druków. Metal zżarła rdza, drewno zbutwiało, tworzywa sztuczne rozpadły się. Nawet kamienie zmurszały i rozsypały się.

— Niekoniecznie po dwudziestu tysiącach lat odparł spokojnie Trevize. — Podałem tę datę dlatego, że według legend comporellońskich był to w owym czasie kwitnący świat, a więc najwyżej tyle czasu mogło minąć od chwili, kiedy opustoszał. Ale przecież jego mieszkańcy mogli wymrzeć albo odlecieć stąd zaledwie tysiąc lat temu.

Zbliżyli się do granicy strefy, gdzie panowała noc. Ogarnął ich brzask poranka i niemal natychmiast potem znaleźli się w pełnym świetle dnia.

„Odległa Gwiazda" zniżyła się i zwolniła. Teraz dostrzegali już szczegóły powierzchni planety. Małe wysepki ciągnące się wzdłuż linii kontynentu stały się dobrze widoczne. Większość z nich pokrywała zieleń roślin.

— Moim zdaniem — powiedział Trevize — powinniśmy szczególnie dokładnie zbadać te zniszczone tereny. Wydaje mi się, że równowaga ekologiczna została w największym stopniu zachwiana tam, gdzie znajdowały się największe skupiska ludności. To tam mógł się zacząć proces degradacji życia na planecie. Co o tym myślisz, Bliss?

— To możliwe. W każdym razie, skoro nic nie wiemy, możemy zacząć od miejsc, w których najłatwiej się rozejrzeć. Lasy na pewno pochłonęły większość śladów bytności ludzi, a więc szukanie ich tam byłoby tylko stratą czasu.

— Przyszło mi do głowy — powiedział Pelorat — że dany świat może w końcu ustalić równowagę ekologiczną nawet z tym, co ma, że mogą tam powstać nowe gatunki, a obszary zniszczone mogą zostać na nowo zasiedlone.

— Być może, Pel — rzekła Bliss. — To zależy przede wszystkim od tego, jak bardzo została zachwiana równowaga. A poza tym taki świat potrzebowałby o wiele więcej czasu niż dwadzieścia tysięcy lat, żeby w drodze ewolucji osiągnąć nową równowagę ekologiczną. Trzeba by na to milionów lat.

„Odległa Gwiazda" zaczęła powoli opadać na pas ziemi o szerokości pięciuset kilometrów, porośnięty kępami wrzosu i jałowca, wśród których tu i ówdzie wznosiła się grupa drzew.

— Co o tym myślisz? — spytał nagle Trevize, wskazując na coś palcem. Statek zatrzymał się nad ziemią. Słychać było cichy, lecz stały pomruk silników grawitacyjnych, które weszły na wysokie obroty, neutralizując prawie całkowicie pole grawitacyjne planety.

W miejscu, na które wskazywał Trevize, niewiele było widać.

Wznosiły się tam osypujące się kopce ziemi, pokryte rzadką trawą.

— Niczego mi to nie przypomina — powiedział Pelorat.

— Te wzniesienia mają regularne kształty. Równoległe linie proste, a można też dostrzec inne, mniej wyraźne, skierowane ku tamtym pod kątem prostym. Widzisz? O tu! Nie znajdziesz nic takiego w żadnych naturalnie ukształtowanych pagórkach. To są resztki budowli wzniesionych przez człowieka. Widać zarysy fundamentów i ścian tak wyraźnie, jak gdyby nadal tu stały.

— Załóżmy, że jest, jak mówisz — powiedział Pelorat. — Ale to ruiny. Gdybyśmy chcieli prowadzić badania archeologiczne, to musielibyśmy kopać i kopać. Archeologom zajęłoby to wiele lat, gdyby chcieli to zrobić właściwie…

— Owszem, ale my nie mamy na to czasu. To mogą być ruiny jakiegoś starożytnego miasta. Może jakieś budynki jeszcze tam stoją. Polecimy wzdłuż tych linii i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą.

Na skraju tego obszaru, gdzie drzewa rosły trochę gęściej, natknęli się na stojące jeszcze, przynajmniej częściowo, mury.

— Dobry początek — powiedział Trevize. — Lądujemy.

9. Wataha

35

„Odległa Gwiazda” wylądowała u podnóża małego wzniesienia, które na tle płaskiego raczej krajobrazu wydawało się wzgórzem. Trevize niemal bez zastanowienia zdecydował, że lepiej będzie umieścić statek w takim miejscu, w którym nie będzie widoczny z odległości wielu mil z każdej strony.

— Temperatura na zewnątrz wynosi dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza, wiatr wieje z zachodu, z szybkością około jedenastu kilometrów na godzinę, zachmurzenie umiarkowane — powiedział. Komputer nie wie zbyt wiele o ogólnej cyrkulacji powietrza, więc nie jest w stanie przewidzieć, jaka będzie pogoda. Ponieważ jednak wilgotność powietrza wynosi około czterdziestu procent, nie powinno padać. Ogólnie biorąc, wydaje się, że wybraliśmy odpowiednią szerokość albo porę roku. Po Comporellonie to prawdziwa przyjemność.

— Przypuszczam — rzekł Pelorat — że w miarę postępującej degradacji planety pogoda będzie coraz bardziej surowa.

— Jestem tego pewna — powiedziała Bliss.

— Możesz być pewna, jeśli chcesz — rzekł na to Trevize. — Nie będę się przejmował tym, co będzie za ileś tam tysięcy lat. Na razie jest to zupełnie przyjemna planeta i na pewno będzie taka jeszcze długo po naszej śmierci.

Mówiąc to, zapinał szeroki pas okalający biodra.

— Co to jest? — spytała ostrym tonem Bliss.

— Stare przyzwyczajenie z armii — powiedział Trevize. — Nie mam zamiaru wychodzić na nie znaną planetę bez broni.

— Naprawdę chcesz zabrać ze sobą broń?

— Oczywiście. Z prawej strony — klepnął kaburę, w której tkwił masywny przedmiot o szerokiej lufie — mam miotacz, z lewej — wskazał na pistolet o wąskiej lufie bez żadnego otworu — bicz neuronowy.

— Dwa narzędzia do mordowania — rzekła Bliss z niesmakiem.

— Tylko jedno. Miotacz zabija, ale bicz nie. Po prostu działa na zakończenia bólowe nerwów czuciowych i sprawia taki ból, że — podobno — osoba tym potraktowana wolałaby umrzeć niż to znosić. Na szczęście nie znalazłem się nigdy z drugiej strony tego bicza.

— Po co je bierzesz?

— Powiedziałem już. To wrogi świat.

— Trevize, to jest opuszczony świat.

— Tak? Co prawda wygląda na to, że nie ma tu społeczeństwa dysponującego techniką, ale kto wie, czy nie spotkamy jakiejś prymitywnej, postindustrialnej społeczności. Może nie mają nic oprócz

maczug i kamieni, ale tym też można zabić.

Bliss była wyraźnie zirytowana, ale starała się mówić spokojnie:

— Nie wyczuwam tu żadnych procesów psychicznych typowych dla ludzi, Trevize. To wyklucza istnienie jakiejkolwiek prymitywnej społeczności, postindustrialnej czy innej.

— Więc nie będę musiał używać broni — odparł Trevize. — W takim wypadku nie masz się czym martwić. Zresztą, co ci przeszkadza, że biorę ją ze sobą? Niosąc ją, będę trochę cięższy, a ponieważ przyciąganie tej planety równa się dziewięćdziesięciu jeden procentom siły przyciągania Terminusa, nie będzie mnie to męczyło… Słuchaj, statek nie ma co prawda broni pokładowej, ale jest nieźle wyposażony w broń ręczną. Proponuję, żebyście wy dwoje także…

— Nie — ucięła Bliss. — Nie zrobię absolutnie nic, co mogłoby się łączyć z zabijaniem… czy z zadawaniem bólu.

— Tu nie chodzi o zabijanie, ale o uniknięcie bycia zabitym, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Potrafię się obronić w inny sposób.

— A ty, Janov?

Pelorat zawahał się.

— Na Comporellonie nie mieliśmy broni — powiedział.

— Daj spokój, Janov, Comporellon to był świat stowarzyszony z Fundacją, żadna niewiadoma. Poza tym natychmiast po lądowaniu aresztowano nas. Gdybyśmy mieli przy sobie broń, to by ją nam odebrano. No więc jak — chcesz miotacz?

Pelorat potrząsnął głową.

— Ja nigdy nie byłem w armii, stary. Nie mam pojęcia jak używać broni i w razie niebezpieczeństwa nie zdołałbym z niej w porę skorzystać. Wziąłbym nogi za pas i… i zostałbym zabity.

— Nie zostaniesz zabity, Pel — powiedziała z przekonaniem Bliss. — Chroni cię Gaja. Tego pozującego na bohatera też.

— To bardzo dobrze — powiedział Trevize. Nie mam nic przeciwko temu, żeby mnie chroniono, ale nie pozuję na bohatera. Wolę się podwójnie zabezpieczyć. Będę naprawdę rad, jeśli nie będę musiał sięgnąć po broń. Mówię szczerze. Mimo to wolę ją mieć pod ręką.

Poklepał z zadowoleniem obie kabury i powiedział:

— No to wyjdźmy na ten świat. Może od tysięcy lat nie stanęła tu stopa człowieka.

36

— Mam takie uczucie — powiedział Pelorat jak gdyby było już późno, ale słońce jest tak wysoko, że chyba nie ma jeszcze południa.

— Przypuszczam — powiedział Trevize, spoglądając na spokojny krajobraz — że to uczucie bierze się stąd, iż słońce tutaj ma pomarańczowy odcień, przez co wygląda jak przed zachodem. Jeśli pozostaniemy tu aż do zachodu i będzie odpowiedni układ chmur, to przekonasz się, że słońce ma wtedy bardziej czerwony kolor niż u nas, na Terminusie. Nie wiem, czy będzie to dla ciebie widok piękny czy przygnębiający… Zresztą na Comporellonie jest prawdopodobnie jeszcze bardziej czerwone, tyle że prawie cały czas znajdowaliśmy się tam w budynkach, więc nie widzieliśmy tego.

Obrócił się wolno, rozglądając się na wszystkie strony. Oprócz owego niezwykłego światła, którego odmienność rejestrował zresztą niemal podświadomie, unosił się, przynajmniej w miejscu, w którym się znajdowali, dziwny zapach. Przypominał stęchliznę, ale nie był odrażający.

Rosnące w pobliżu drzewa wydawały się bardzo stare. Były średniej wysokości, o poskręcanych konarach i lekko pochylonych pniach, ale nie mógł się zorientować, czy rzeczywiście rosły tak, pochylając się pod wpływem wiatrów wiejących z przeciwnej strony, czy było to złudzenie spowodowane szczególnym odbarwieniem ziemi. Nie wiedział też, czy to widok tych drzew czy coś bardziej nieuchwytnego wytwarzało nastrój zagrożenia.

— Co masz zamiar robić, Trevize? — spytała Bliss. — Na pewno nie przyszliśmy tu po to, żeby podziwiać widoki.

— Prawdę mówiąc — odparł Trevize — chyba na tym powinna teraz polegać moja rola. Proponuję, żeby Janov zbadał to miejsce. Tam są jakieś ruiny, a on najlepiej potrafi ocenić wartość napisów, jeśli jakieś znajdzie. Myślę, że zdoła je odczytać, bo ja nie mam pojęcia o starożytnym galaktycznym. Przypuszczam, Bliss, że będziesz chciała z nim pójść, żeby go chronić. Ja natomiast zostanę tutaj, jako ubezpieczenie.

— Przed czym? Przed jaskiniowcami z kamieniami i maczugami?

— Może. — W tym momencie z jego ust zniknął uśmiech. — To dziwne, Bliss, ale czuję się tu trochę nieswojo. Nie wiem dlaczego.

— Chodźmy, Bliss — powiedział Pelorat. — Całe życie zbierałem starożytne opowieści, nie wychylając nosa z domu, więc nigdy nie miałem w ręku żadnych starodawnych dokumentów. Może uda mi się coś znaleźć…

Trevize patrzył, jak odchodzili. Pelorat maszerował raźnym krokiem w stronę ruin, cały czas perorując, a Bliss dreptała u jego

boku.

Trevize słuchał bez zainteresowania, a kiedy głos Pelorata ucichł w oddali, odwrócił się i na powrót zaczął przyglądać się okolicy. Co mogło wzbudzić jego niepokój?

Prawdę mówiąc, nigdy nie postawił stopy na nie zamieszkanym świecie, ale wiele z nich oglądał z przestrzeni. Zazwyczaj były to małe planety, za małe na to, aby posiadać wodę i powietrze, ale wykorzystywano je jako punkty zborne podczas manewrów floty wojennej (za jego życia i przez dobre sto lat przed jego narodzeniem nie było żadnej wojny, ale manewry odbywały się regularnie) lub jako prowizoryczne punkty napraw podczas symulowanych nagłych awarii. Statki, na których latał, krążyły w takich razach wokół tych planet, a nawet lądowały na nich, ale on jakoś nigdy nie miał czasu ani okazji, żeby zejść na ich powierzchnię.

Może to uczucie brało się stąd, że teraz po raz pierwszy naprawdę stanął na pustym świecie? Może czułby to samo, gdyby w studenckich czasach stanął na jednym z tych małych, pozbawionych powietrza światów?

Potrząsnął głową. Nie, to nie wprawiłoby go w niepokój. Był tego pewien. Miałby na sobie skafander, jak tyle razy, kiedy znalazł się na zewnątrz statku w przestrzeni. Oswoił się z takimi sytuacjami i kontakt ze skalną powierzchnią niczego by nie zmienił. Na pewno!

No, oczywiście — teraz nie miał skafandra.

Stał na świecie, który nadawał się do zamieszkania i pozornie był równie przyjemny jak Terminus… o wiele przyjemniejszy niż Comporellon. Czuł podmuch wiatru na twarzy, ciepłe promienie słońca na plecach, w uszach rozbrzmiewał brzęk owadów. Wszystko było takie swojskie, tyle że nie było tu ludzi… w każdym razie, już nie było ludzi.

Czyżby to było właśnie to? Czy toto sprawiało, że czuł się tak dziwnie? Ta świadomość, że znajduje się na świecie, który nie jest po prostu nie zamieszkany, ale opuszczony?

Nigdy jeszcze nie był na opuszczonym świecie, nigdy o takim nie słyszał, ba — nigdy nawet nie przypuszczał, że taki świat może istnieć. Wszystkie światy, o których wiedział, były stale zamieszkane od czasu, kiedy je skolonizowano.

Spojrzał na niebo. Opuścili ten świat tylko ludzie. Wszystko inne zostało. W polu widzenia pojawił się jakiś ptak. Wydawał się bardziej naturalny niż jasnoniebieskie niebo pokryte zwiastującymi dobrą pogodę, zabarwionymi na pomarańczowo, obłokami. (Był pewien, że po kilku dniach spędzonych tutaj przyzwyczaiłby się do tego dziwnego koloru i niebo wraz z obłokami wydawałoby mu się zupełnie normalne.)

Słyszał dobiegający z koron drzew śpiew ptaków i cichsze głosy

wydawane przez owady. Bliss wspominała wcześniej o motylach i faktycznie były tu w zadziwiających ilościach i wielu barwnych odmianach.

Od czasu do czasu z kęp traw okalających drzewa dobiegał jakiś szelest, ale nie mógł dostrzec, co go powoduje.

To nie te oznaki bujnie rozwijającego się życia obudziły w nim obawy. Jak powiedziała Bliss, na światach ukształtowanych przez ludzi nie było od początku żadnych niebezpiecznych dla człowieka zwierząt. Bajki, których słuchał i które oglądał w dzieciństwie, opowieści przygodowe, które pochłaniał będąc nastolatkiem, opierały się bez wyjątku na legendach, które musiały mieć początek w mitach powstałych na Ziemi. Holowizyjne filmy pełne były potworów — lwów, jednorożców, smoków, wielorybów, brontozaurów, niedźwiedzi. Były ich setki, nawet nie pamiętał ich nazw. Niektóre na pewno były stworzeniami mitycznymi, może nawet wszystkie. Były też mniejsze stworzenia, które gryzły i żądliły, a nawet rośliny, których strach było dotknąć, ale wszystko to była fikcja. Słyszał kiedyś, że podobno pierwotne pszczoły potrafiły użądlić, ale prawdziwe, nie wymyślone pszczoły nie przedstawiały absolutnie żadnego niebezpieczeństwa.

Obrócił się w prawo i powoli przeszedł kawałek skrajem pagórka. Porastała go wysoka i soczysta, ale rzadka, rosnącą kępkami trawa. Podszedł do drzew, które również rosły w kępach.

Ziewnął. Nie działo się nic szczególnego, więc zastanawiał się, czy nie wrócić na statek i nie uciąć sobie drzemki. Po chwili odrzucił tę myśl. Musiał zostać na straży.

Może powinien zachowywać się jak wartownik na służbie — maszerować w rytm raz — dwa, raz — dwa, robić zwroty z trzaśnięciem obcasami i wymachiwać paradną pałką elektryczną (była to broń, której nie używano już od trzech stuleci, ale z powodów, których nikt nie potrafił wyjaśnić, była niezbędna przy pełnieniu tego rodzaju służby).

Uśmiechnął się na tę myśl, a potem pomyślał, że może powinien dołączyć do Pelorata i Bliss w ruinach. Ale po co? Co by im z tego przyszło?

Może udałoby mu się odkryć coś, co przeoczył Pelorat? Nie, na to będzie dosyć czasu po ich powrocie. Jeśli jest tam coś, co można bez trudu odkryć, to niech Pelorat ma tę przyjemność. A może oboje znaleźli się w tarapatach? Nie, to niedorzeczność. W jakich tarapatach?

A poza tym gdyby tak się stało, to by go zawołali.

Przystanął i słuchał. Nic nie było słychać.

W końcu powróciła uparta myśl o służbie wartowniczej i ni z tego, ni z owego stwierdził, że maszeruje, podnosząc wysoko nogi i

stawiając je energicznie na powrót, podczas gdy jego ręce wykonują skomplikowane ewolucje z nie istniejącą pałką elektryczną. Potem zrobił elegancki zwrot przez lewe ramię i ponownie spojrzał na (dość teraz odległy) statek.

A kiedy to zrobił, zamarł. Powrócił do rzeczywistości.

Nie był sam.

Do tej pory nie widział, poza owadami i nielicznymi ptakami, żadnej żywej istoty. Nie widział ani nie słyszał, żeby coś się zbliżało, a jednak między nim a statkiem stało jakieś zwierzę.

Był tak zaskoczony jego niespodziewanym pojawieniem się, że w pierwszej chwili nie wiedział, co to jest. Dopiero po pewnym czasie rozpoznał to zwierzę.

Był to pies.

Trevize nie był psiarzem. Nigdy nie miał psa i nie odczuwał nagłego przypływu sympatii na widok osobnika tego gatunku. Teraz też nie czuł nic takiego. Pomyślał z pewną irytacją, że nie ma takiego świata, na którym to stworzenie nie towarzyszyłoby człowiekowi. Była nieskończona ilość ich ras i Trevize miał wrażenie, że każdy świat ma przynajmniej jedną swoją własną rasę. Jednak wszystkie rasy miały jedną cechę wspólną — bez względu na to, czy hodowano je dla zabawy, czy na pokaz, czy dla wykonywania jakiejś użytecznej pracy, wszystkie zostały tak ukształtowane, że kochały człowieka i ufały mu.

Trevize nigdy nie zachwycał się tą miłością i ufnością. Żył kiedyś z kobietą, która miała psa. Ów pies, tolerowany przez Trevizego ze względu na tę kobietę, zapałał do niego przemożnym uczuciem, chodził za nim, właził mu na kolana (a ważył pięćdziesiąt funtów), kiedy Trevize odpoczywał, brudził jego ubranie śliną i kłakami sierści, a kiedy Trevize i jego właścicielka chcieli się oddać uciechom erotycznym, siadał za drzwiami i wył przejmująco.

Od tamtej pory Trevize nabrał przekonania, że z jakichś, znanych tylko psom powodów, jest niezmiennym obiektem psiej adoracji.

Dlatego też, kiedy minęło początkowe zaskoczenie, przyjrzał się psu bez obawy. Był to duży okaz, o smukłej sylwetce i długich nogach. Przyglądał się Trevizemu bez żadnych oznak adoracji. Miał otwarty pysk, co być może miało w intencji psa być powitalnym uśmiechem, ale zęby w tym pysku były duże i wyglądały groźnie, więc Trevize pomyślał, że czułby się lepiej, gdyby go tam nie było.

Nagle zrozumiał, że ten pies nigdy nie widział człowieka, że nie widziały żadnej ludzkiej istoty niezliczone pokolenia jego psich przodków. Być może nagły widok człowieka zaskoczył psa w takim samym stopniu, w jakim widok psa zaskoczył jego. Trevize przynajmniej szybko zorientował się, że ma przed sobą psa, ale pies nie miał takiej możliwości. Był nadal zaskoczony i być może zaniepokojony.

Z pewnością nie byłoby bezpiecznie zostawiać tak duże zwierzę, z tak dużymi zębami, w takim stanie. Trevize uświadomił sobie, że trzeba natychmiast nawiązać z nim przyjaźń.

Bardzo wolno (oczywiście, bez żadnych nagłych ruchów) podszedł do psa. Wyciągnął rękę, aby pies mógł ją powąchać i zaczął do niego przemawiać łagodnym głosem. Właściwie cała przemowa ograniczała się do słów „dobry piesek", które Trevize powtarzał z coraz większym zakłopotaniem.

Pies, mając wzrok utkwiony w Trevizego, cofnął się o krok czy dwa, jakby mu nie ufał, i ściągnął górną wargę, ukazując kły w całej okazałości. Z jego gardła wydobywało się głuche warczenie. Chociaż Trevize nigdy nie widział psa zachowującego się w taki sposób, to było dla niego oczywiste, że nie jest to nic innego jak groźba.

W tej sytuacji Trevize zatrzymał się i zamarł w bezruchu. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch z jednej strony i powoli odwrócił w tym kierunku głowę. Zbliżały się jeszcze dwa psy, a oba wyglądały równie groźnie jak pierwszy.

Groźnie? Ten przymiotnik uświadomił mu, w jakiej znalazł się sytuacji.

Zabiło mu nagle serce. Miał odciętą drogę do statku. Nie mógł uciekać gdzie popadnie, bo psy na swych długich nogach dopadłyby go po paru metrach. Gdyby został na miejscu i skorzystał z miotacza, to zabiłby jednego, a pozostałe dwa już byłyby na nim. W oddali widział inne, zbliżające się psy. Czyżby porozumiewały się ze sobą w jakiś sposób? Może polowały gromadnie?

Powoli zaczął się przesuwać w lewo, gdzie na razie nie było jeszcze psów. Powoli. Powoli.

Psy przesuwały się razem z nim. Był pewien, że nie zaatakowały go jeszcze tylko dlatego, że nigdy przedtem nie widziały takiego zwierzęcia i jego zapach był dla nich obcy. Nie miały utrwalonego wzorca postępowania w takiej sytuacji.

Gdyby zaczął biec, to oczywiście znalazłyby się w znanej sobie sytuacji. Wiedziałyby, co robić, gdyby zwierzę rozmiarów Trevizego okazało strach i zaczęło uciekać. One też puściłyby się pędem. I byłyby szybsze.

Trevize przesuwał się w stronę drzewa. Pragnął się na nie wspiąć. Tam by go nie dopadły. Psy również się przesuwały. Podchodziły coraz bliżej, lekko warcząc. Wszystkie miały wzrok utkwiony w niego. Dołączyły do nich jeszcze dwa, a zbliżały się już następne. Kiedy znajdzie się już dość blisko drzewa, będzie musiał puścić się biegiem. Nie mógł ani zwlekać za długo, ani za szybko skoczyć. I jedno, i drugie mogło skończyć się fatalnie.

Teraz!

Prawdopodobnie pobił swój rekord w biegu, a i tak niewiele

brakowało, żeby nie dotarł do drzewa. Poczuł, że na obcasie jednego buta zamknęły się psie szczęki i zanim zęby zsunęły się z twardego ceramidu, pies zdążył go przytrzymać.

Nie miał wprawy w chodzeniu po drzewach. Nie wspinał się na nie od kiedy skończył dziesięć lat, a i przedtem, jak pamiętał, nie celował w tym. Jednak to akurat drzewo miało trochę pochylony pień, a konary były powyginane i sękate i można było znaleźć oparcie dla rąk. Poza tym poganiał go strach, a w takich przypadkach można dokonać czynów, na które by się nigdy nie zdobyło w normalnej sytuacji.

Zatrzymał się, kiedy był dobre dziesięć metrów nad ziemią. Siedział w rozwidleniu konarów. W tej chwili nie czuł nawet, że otarł rękę i że kapie z niej krew. U podnóża drzewa siedziało pięć psów, patrząc w górę z wywieszonymi językami i cierpliwie czekając.

Co teraz?

37

Trevize nie był w nastroju, aby spokojnie i logicznie przemyśleć sytuację, w której się znalazł. Przez głowę przemykały mu chaotyczne myśli, które gdyby je uporządkował — wyglądałyby mniej więcej tak.

Bliss utrzymywała, że kształtując oblicze jakiegoś świata, ludzie tworzyli system, w którym brak było równowagi ekologicznej i który można było uchronić od rozkładu tylko ciągłą i mozolną pracą. Na przykład osadnicy nigdy nie sprowadzali ze sobą dużych drapieżników. Na przenoszenie się z nimi małych nie mogli nic poradzić. W ten sposób na nowych światach znalazły się różne insekty, pasożyty, a nawet ryjówki i małe ptaki drapieżne.

Natomiast jeśli chodzi o te wszystkie groźne zwierzęta znane z legend i niejasnych opisów literackich — tygrysy, szare niedźwiedzie, krokodyle, orki… Kto chciałby je przenosić ze świata na świat, nawet gdyby miało to jakiś sens. Ale czy miałoby to w ogóle sens?

W wyniku tego jedynymi dużymi drapieżnikami byli ludzie, i to oni właśnie musieli redukować liczebność tych roślin i zwierząt, które — pozostawione same sobie — nadmiernie by się rozpleniły i zagroziły samemu swemu istnieniu.

Ale jeśli z jakiegoś powodu zniknęli z jakiegoś świata ludzie, to rolę drapieżników musiały przejąć inne zwierzęta. Największymi drapieżnikami tolerowanymi, oswojonymi i karmionymi przez ludzi były psy i koty.

A jeśli zabraknie tych, którzy je karmili? Wtedy muszą same zdobywać pożywienie — dla własnego przetrwania i dla przetrwania tych, którymi się żywią, a których populacje muszą być utrzymywane na jednakowym poziomie, gdyż zbytnie zagęszczenie doprowadziłoby do szkód o wiele większych od tych, które wyrządzają drapieżniki.

A więc w takiej sytuacji psy muszą się mnożyć. Psy dużych ras polują na osłabione czy chore duże przeżuwacze, małych — na ptaki i gryzonie. Koty polują nocą, psy podczas dnia, koty pojedynczo, psy w zgrajach.

Być może w wyniku ewolucji dojdzie w końcu do powstania nowych gatunków, które zajmą nisze ekologiczne. Może niektóre psy wykształcą organy pozwalające im żyć w morzu i żywić się rybami, a niektóre koty organy pozwalające im chwytać bardziej niezdarne ptaki w powietrzu, a nie tylko na ziemi?

Wszystkie te myśli przemykały Trevizemu przez głowę, gdy starał się opanować i spokojnie zastanowić, co ma dalej robić.

Liczba psów cały czas rosła. Naliczył już dwadzieścia trzy wokół drzewa, a wciąż przybywały nowe. Jak duża była ta wataha? A zresztą, co to miało za znaczenie? I tak było ich już dużo.

Wyjął miotacz z kabury, ale chłodny metal jego kolby nie dawał mu tego poczucia bezpieczeństwa, którego tak pragnął. Kiedy ostatnio wkładał do miotacza baterię? Ile razy mógł wypalić? Na pewno nie dwadzieścia trzy.

A co z Peloratem i Bliss? Jeśli się pokażą, to czy psy nie rzucą się na nich? Czy byli bezpieczni nawet nie pokazując się? Jeśli psy wyczują dwoje ludzi w ruinach, to co je powstrzyma przed zaatakowaniem ich? Na pewno nie było tam żadnych drzwi, za którymi mogliby się schronić.

Czy Bliss może je powstrzymać albo nawet zmusić do ucieczki? Czy może przez nadprzestrzeń skoncentrować tyle energii, ile będzie potrzeba? Jak długo będzie mogła ją zachować?

Czy zatem ma wołać o pomoc? Czy przybiegną tu, jeśli zacznie krzyczeć i czy psy uciekną przed spojrzeniem Bliss? (Czy byłoby to spojrzenie czy może po prostu jakieś działanie czysto psychiczne, niedostrzegalne dla ludzi nie posiadających takich zdolności?) A może, jeśli się pojawią, to zostaną rozszarpani na kawałki na jego oczach, a on będzie mógł się tylko bezradnie temu przyglądać ze swego względnie bezpiecznego miejsca na drzewie?

Nie, będzie jednak musiał użyć miotacza. Gdyby udało mu się zabić jednego psa i odstraszyć resztę choć na chwilę, to mógłby zleźć z drzewa, zawołać Pelorata i Bliss, zabić jeszcze jednego psa, gdyby chciały wrócić, a potem wszyscy troje popędziliby na statek.

Nastawił intensywność promienia mikrofalowego na trzy czwarte. To powinno wystarczyć do zabicia psa i narobić huku. Huk odstraszy psy, a on zaoszczędzi energię.

Wycelował starannie w psa w środku zgrai, który wydawał się (przynajmniej w wyobraźni Trevizego) bardziej zły niż reszta — może tylko dlatego, że siedział spokojniej niż inne i przez to wydawał się z zimną krwią czekać na swoją ofiarę. Pies patrzył teraz prosto na miotacz, jak gdyby drwił z tego, co może zrobić Trevize.

Trevize uświadomił sobie w tym momencie, że nigdy nie wypalił z miotacza do człowieka ani nie widział, by zrobił to ktoś inny. Na treningach strzelali do manekinów zrobionych ze skóry i tworzywa sztucznego i wypełnionych wodą. Po strzale woda natychmiast podgrzewała się do punktu wrzenia i manekin z hukiem rozrywał się na strzępy.

Ale kto w czasie pokoju strzelałby do człowieka? I kto stawiłby opór, widząc wymierzony w siebie miotacz, i wymusił w ten sposób jego użycie? Tylko tu, na tym patologicznym po zniknięciu ludzi świecie…

Trevize uświadomił sobie, że słońce przesłoniła chmura — była to ta dziwna zdolność mózgu do spostrzegania rzeczy nie mających żadnego związku z tym, co naprawdę ważne — i w tym momencie

wypalił.

Na linii łączącej wylot miotacza z psem zamigotało lekko powietrze — była to tylko iskierka, która szybko znikła i gdyby nie fakt, że słońce było akurat schowane za chmurą, mogłaby w ogóle umknąć uwagi.

Pies musiał odczuć początkową falę gorąca, bo zrobił lekki ruch, jak gdyby chciał podskoczyć, ale zaraz, jak tylko jego krew i płyn komórkowy zmieniły się w parę, eksplodował.

Wybuchowi, wbrew oczekiwaniom Trevizego, nie towarzyszył potężny huk, gdyż skóra psa nie była tak mocna jak powłoki manekinów, na których ćwiczył w armii. Mimo to eksplozja rozrzuciła skrwawione strzępy skóry i kości i Trevize poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

Psy odskoczyły, niektóre obrzucone ciepłymi jeszcze szczątkami ciała towarzysza. Trwało to jednak tylko chwilę. Stłoczyły się i zaczęły kotłować, starając się zjeść jak najwięcej z tego, co nadarzyła okazja. Trevize czuł, że robi mu się jeszcze bardziej niedobrze. Nie odstraszył ich, karmił je. W tej sytuacji nigdy się stąd nie oddalą. Co więcej, zapach świeżej krwi mógł zwabić więcej psów i może inne, mniejsze drapieżniki.

Dotarło do niego wołanie:

— Trevize! Go…

Spojrzał w tamtym kierunku. Z ruin wyłonili się Bliss i Pelorat. Bliss zatrzymała się i rozłożyła ręce, aby powstrzymać Pelorata. Patrzyła na psy. Sytuacja była jasna i oczywista. Nie musiała o nic pytać.

Trevize krzyknął:

— Próbowałem odgonić je, nie wciągając w to ciebie i Pelorata. Możesz je powstrzymać?

— Z trudem — powiedziała Bliss normalnym tonem, tak że Trevize zaledwie zdołał ją usłyszeć, chociaż ustało warczenie psów, jak gdyby ktoś nakrył je pochłaniającą dźwięki płachtą.

— Jest ich zbyt dużo — powiedziała Bliss — a poza tym nie znam wzoru działania ich neuronów. Na Gai nie ma żadnych dzikich zwierząt.

— Ani na Terminusie. Ani na żadnym cywilizowanym świecie — krzyknął Trevize. — Zastrzelę, ile będę mógł, a ty spróbuj powstrzymać resztę. Z mniejszą liczbą będziesz miała mniej problemów.

— Nie. Zabijanie ich przywabi tylko nowe… Zostań za mną, Pel. W żaden sposób nie możesz mnie osłonić… Trevize, ta twoja druga broń!

— Bicz neuronowy?

— Tak. To powoduje ból. Tylko daj małą moc. Małą!

— Boisz się, żebym ich nie zranił? — krzyknął ze złością Trevize. — Czy teraz pora na zastanawianie się nad świętością życia?

— Chodzi o życie Pela. I moje. Rób, jak powiedziałam. Mała moc i mierz tylko w jednego. Nie zdołam ich już dłużej powstrzymać.

Psy wyniosły się spod drzewa i otoczyły Bliss i Pelorata, którzy stali, opierając się plecami o rozsypujący się mur. Te, które znajdowały się najbliżej nich, próbowały niepewnie podejść jeszcze bliżej, skomląc cicho, jakby chciały odgadnąć, co je trzyma, skoro niczego nie mogą wywąchać ani zobaczyć. Niektóre starały się bezskutecznie wskoczyć na mur i zaatakować od tyłu.

Trevize nastawił drżącą dłonią bicz na małą moc. Bicz neuronowy zużywał o wiele mniej energii niż miotacz i jeden ładunek zasilający wystarczał na setki uderzeń, ale Trevize nie pamiętał, tak jak w przypadku miotacza, kiedy ostatnio zmieniał ładunek na nowy.

Nie musiał dokładnie celować. Przecież oszczędzanie energii nie było tu tak ważne, jak w przypadku miotacza, mógł przeciągnąć nim po całej sforze. Była to tradycyjna metoda powstrzymywania tłumu, kiedy pojawiały się oznaki świadczące, że może się on stać groźny.

Poszedł jednak za wskazówką Bliss. Wycelował w jednego psa i nacisnął spust. Pies przewrócił się na grzbiet, z podkurczonymi łapami i zaczął przenikliwie skowyczeć.

Pozostałe psy odsunęły się od niego, kładąc uszy po sobie. Potem odwróciły się i skowycząc jak ten, którego Trevize smagnął biczem, zaczęły uciekać, najpierw powoli, potem coraz prędzej, a wreszcie całym pędem. Ten, który leżał, podniósł się z trudem i zawodząc i kulejąc z bólu, pobiegł za resztą. Skowyt zamarł w oddali. Bliss powiedziała:

— Lepiej chodźmy na statek. One tu wrócą. Jeśli nie te, to inne.

Trevize miał wrażenie, że jeszcze nigdy nie otwierał tak szybko wejścia do statku. I może nigdy nie będzie się już z tym tak spieszył.

38

Zapadła noc, zanim Trevize doszedł do w miarę normalnego stanu. Kawałek syntetycznej skóry na otartej dłoni uśmierzył ból fizyczny, ale ból psychiczny nie mijał tak szybko.

Nie chodziło tu o samo wystawienie się na niebezpieczeństwo. Zareagował na nie jak każdy przeciętnie odważny człowiek. Chodziło o tę zupełnie niespodziewaną stronę, z której się pojawiło. O to, że czuł się ośmieszony. Ładnie by wyglądał, gdyby ludzie dowiedzieli się, że zgraja warczących psów zapędziła go na drzewo. Nie byłby chyba w gorszej sytuacji, gdyby to nie psy, ale rozzłoszczone kanarki zmusiły go do ucieczki.

Przez wiele godzin nasłuchiwał, czy psy nie ponowią ataku, czy nie usłyszy ich wycia i drapania pazurami o kadłub statku.

Pelorat, dla odmiany, wydawał się zupełnie spokojny.

— Nie miałem, stary, absolutnie żadnych wątpliwości, że Bliss sobie z tym poradzi, ale muszę przyznać, że umiesz doskonale posługiwać się bronią.

Trevize wzruszył ramionami. Nie był w nastroju do rozmowy na ten temat.

Pelorat trzymał w ręku swoją bibliotekę — płytę kompaktową, na której zostały zapisane wyniki jego kilkudziesięcioletniej pracy nad mitami i legendami. Szybko schronił się z nią w swej sypialni, gdzie miał mały czytnik.

Wydawał się zupełnie zadowolony z siebie. Trevize zauważył to, ale nie miał ochoty o nic pytać. Będzie miał na to czas, kiedy jego umysł nie będzie tak pochłonięty psami.

Kiedy zostali sami, Bliss powiedziała niepewnie, jakby badając, czy Trevize ma ochotę na rozmowę:

— Przypuszczam, że cię zaskoczyły.

— Całkowicie — odparł ponuro Trevize. — Kto by pomyślał, że na widok psa — psa! — będę uciekał, w obawie o życie.

— Po dwudziestu tysiącach lat bez ludzi to już nie są psy, jakie znamy. Teraz są tu na pewno głównymi dużymi drapieżnikami.

Trevize skinął głową.

— Zrozumiałem to, kiedy siedziałem na drzewie w charakterze głównej potencjalnej ofiary. Miałaś rację, mówiąc o braku równowagi ekologicznej.

— Owszem, z ludzkiego punktu widzenia, ale biorąc pod uwagę to, jak świetnie te psy wydają się dbać o swoje sprawy, zastanawiam się, czy przypadkiem to Pel nie miał racji, wysuwając przypuszczenie, że przyroda sama potrafi zadbać o równowagę i że ta względnie niewielka liczba gatunków, które zostały sprowadzone na jakiś świat

może dać początek odmianom, które zapełnią nisze ekologiczne.

— To dziwne — rzekł Trevize. — Mnie to też przyszło do głowy.

— O ile, oczywiście, brak równowagi nie jest tak duży, że proces dochodzenia do niej musiałby trwać zbyt długo. W takiej sytuacji, zanim zapanowałaby równowaga, na planecie mogłyby powstać warunki uniemożliwiające istnienie życia.

Trevize mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi. Bliss spojrzała na niego z zastanowieniem.

— Co cię skłoniło, żeby zabrać ze sobą broń? spytała.

— Na niewiele mi się ona przydała — odparł Trevize. — To twoja umiejętność…

— Niezupełnie — przerwała mu Bliss. — Potrzebna była twoja broń. W tak nagłej potrzebie, mając tylko nadprzestrzenny kontakt z resztą Gai i znajdując się wobec tylu umysłów o tak nieznanej strukturze, nie zdołałabym nic zrobić bez twojego bicza neuronowego.

— Miotacz nie zdał się na nic. Próbowałem z niego skorzystać.

— Strzał z miotacza powoduje, że pies po prostu znika. Reszta może być zaskoczona, ale nie przestraszona.

— Było jeszcze gorzej — powiedział Trevize. Zżarły szczątki. W ten sposób przekupiłem je, żeby zostały.

— No tak, taki mógł być tego skutek. Natomiast z biczem neutronowym sprawa przedstawia się inaczej. Bicz powoduje ból, a pies czujący ból wydaje dźwięki natychmiast rozpoznawane przez inne psy, które na zasadzie odruchu warunkowego same zaczynają się bać. A kiedy już odczuły strach, to wystarczyło, że trochę podrażniłam ich mózgi i uciekły.

— Zgoda, ale ty zorientowałaś się, że w tym przypadku bicz był skuteczniejszą bronią. Ja nie.

— Jestem przyzwyczajona do zajmowania się umysłami, a ty nie. Dlatego nalegałam, żebyś użył małej mocy i mierzył tylko w jednego psa. Nie chciałam dopuścić do tego, żeby ból był tak silny, by uśmiercić psa, bo wtedy nie wydałby żadnego głosu. Z drugiej strony nie chciałam, żeby działanie bicza było rozproszone między wiele psów, bo wtedy kilka by tylko lekko zaskomlało. Chciałam, żeby jeden pies poczuł odpowiednio silny ból.

— I stało się, jak chciałaś, Bliss — rzekł Trevize. — Podziałało znakomicie. Jestem ci winien wdzięczność.

— Zazdrościsz mi — odparła Bliss z zamyśleniem — bo wydaje ci się, że się ośmieszyłeś. Ale, powtarzam, bez twojej broni nie mogłabym nic zrobić. Intryguje mnie, co cię skłoniło, żeby zabrać ze sobą broń, mimo że cię zapewniłam, że na tym świecie nie ma ludzi. Zresztą nadal jestem pewna, że jest tak, jak mówiłam. A więc jak to było? Przewidziałeś to spotkanie z psami?

— Nie. Na pewno nie. Przynajmniej nie świadomie. Chociaż

normalnie nie noszę broni. Kiedy byliśmy na Comporellonie, nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zabrać ze sobą broń… Ale nie dam sobie wmówić, że to była jakaś magia. To niemożliwe. Myślę, że kiedy zaczęliśmy rozmawiać o braku równowagi ekologicznej, to zupełnie podświadomie wyobraziłem sobie, że w sytuacji kiedy zabrakło ludzi, pewne zwierzęta stały się groźne. To jest zupełnie oczywiste po fakcie, ale być może miałem takie przeczucie przed faktem. I to wszystko.

— Nie zbywaj tego tak łatwo — powiedziała Bliss. — Ja też brałam udział w tej rozmowie o braku równowagi ekologicznej, a jednak nie miałam takiego przeczucia. To właśnie ten twój dar przeczuwania zdarzeń tak ceni Gaja. Rozumiem też, że musi to być dla ciebie irytujące — posiadać dar przewidywania czy przeczuwania, którego zasady ani istoty nie możesz dociec, podejmować decyzje będąc przekonanym o ich słuszności, ale nie mając ani nie znając argumentów przemawiających za ich podjęciem.

— Na Terminusie mówi się na to „robić coś na nos".

— Na Gai mówimy „wiedzieć bez myślenia". Nie lubisz wiedzieć bez myślenia, prawda?

— Tak, denerwuje mnie to. Nie lubię kierować się przeczuciami. Przypuszczam, że nie ma przeczucia bez powodu, ale fakt, że nie znam powodu jakiegoś przeczucia sprawia, że czuję się, jakbym nie panował nad swoim własnym umysłem, jakbym cierpiał na jakąś łagodną formę szaleństwa.

— Kiedy podjąłeś decyzję na korzyść Gai i Galaxii, opierałeś się na takim przeczuciu, a teraz szukasz powodu tego przeczucia.

— Mówiłem już to z dziesięć razy.

— A ja nie przyjmowałam tego wyjaśnienia. Przepraszam. Przyrzekam, że więcej się to nie powtórzy. Ale mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał, jeśli będę przytaczała argumenty na korzyść Gai.

— Nie — odparł Trevize — jeśli ty zgodzisz się, że mogę ich nie przyjąć.

— A więc, czy nie wydaje ci się, że ten Nieznany Świat wraca do stanu dzikości i może nawet w końcu zapanują tu warunki uniemożliwiające w ogóle istnienie życia, tylko dlatego, że zabrakło tu jednego gatunku, gatunku istot inteligentnych, które potrafiłyby pokierować biegiem spraw? Gdyby ten świat był Gają albo, lepiej jeszcze, częścią Galaxii, coś takiego nie mogłoby się zdarzyć. Istniałby nadal umysł kierujący biegiem spraw. Byłaby nim Galaxia. Wówczas, bez względu na to, co doprowadziło do zachwiania równowagi ekologicznej, przyroda dążyłaby do jej odzyskania.

— To znaczy, że psy przestałyby zdobywać pożywienie?

— Oczywiście, że nie. Musiałyby jeść, tak samo jak ludzie, ale zdobywanie pożywienia byłoby podporządkowane celowi nadrzędnemu, utrzymywaniu równowagi ekologicznej, a nie, jak

teraz, wynikało z przypadkowego układu okoliczności.

— Być może dla psa — powiedział Trevize utrata wolności nie ma żadnego znaczenia, ale dla człowieka wolność znaczy zbyt wiele… A gdyby ludzkość w ogóle przestała istnieć, gdyby znikła nie tylko z tej planety czy nawet z wielu planet, ale w ogóle z Galaktyki? Gdyby w Galaxii zabrakło w ogóle istot ludzkich? Co wtedy? Czy nadal istniałby umysł kierujący wszystkim? Czy pozostałe istoty i materia nieożywiona potrafiłyby stworzyć wspólny umysł, który sprostałby temu zadaniu?

Bliss zawahała się.

— Taka sytuacja — powiedziała w końcu — nigdy się nie zdarzyła. I nie jest prawdopodobne, aby zdarzyła się kiedykolwiek w przyszłości.

— Ale czy nie jest dla ciebie oczywiste — nie dawał za wygraną Trevize — że umysł ludzki różni się jakościowo od wszystkich innych umysłów i że gdyby go zabrakło, ta cała reszta razem wzięta nie mogłaby go zastąpić? A zatem, czy nie jest tak, że ludzie są wyjątkowymi istotami i że powinni być traktowani jako takie? Nie powinno się ich stapiać w jeden organizm, nie mówiąc już o łączeniu ze zwierzętami czy materią nieożywioną.

— Podjąłeś decyzję na korzyść Galaxii.

— Z powodu, którego nie potrafię zrozumieć.

— Może tym powodem była podświadoma obawa o skutki zachwiania równowagi ekologicznej? Może podświadomie zdałeś sobie sprawę z faktu, że każdy świat w Galaktyce znajduje się na krawędzi i że w każdej chwili może stracić równowagę i tylko Galaxia jest w stanie zapobiec katastrofie w rodzaju tej, która zdarzyła się na tym świecie, nie mówiąc już o wojnach i nieudolnym zarządzaniu?

— Nie. W chwili, kiedy podejmowałem decyzję, nie myślałem o zachwianej równowadze ekologicznej.

— A skąd masz taką pewność?

— Stąd, że chociaż w danej chwili nie wiem, co mnie skłania do takiego, a nie innego zachowania, to kiedy już po fakcie ktoś zaproponuje mi jakieś wyjaśnienie, od razu wiem, czy moje przeczucie właśnie tego dotyczyło… I tak wydaje mi się, że przeczucie mówiło mi, iż na tym świecie możemy natknąć się na groźne zwierzęta.

— Gdyby nie połączenie naszych zdolności, twojego daru przewidywania i mojej umiejętności wpływania na mózgi — powiedziała poważnie Bliss te groźne zwierzęta mogłyby nas uśmiercić. A więc zostańmy przyjaciółhni.

Trevize skinął głową.

— Jeśli tego chcesz…

W jego głosie czuć było jednak pewien chłód, więc Bliss uniosła w górę brwi, ale akurat w tym momencie wpadł Pelorat, kiwając głową

tak energicznie, jakby chciał ją zrzucić z szyi.

— Myślę, że mamy to — powiedział.

39

Ogólnie rzecz biorąc, Trevize nie wierzył w łatwe zwycięstwa, ale taka już jest natura ludzka, że wbrew racjonalnym argumentom wierzy się w to, w co pragnie się uwierzyć. A więc Trevize poczuł nagle suchość w gardle, ale przemógł się i spytał:

— Położenie Ziemi? Odkryłeś to, Janov?

Pelorat gapił się na niego przez chwilę, a potem powiedział, wyraźnie zgaszony:

— Hmm, niezupełnie… To znaczy, zupełnie coś innego. Zapomniałem o tym, Golan. Odkryłem w ruinach coś innego. Myślę, że to nie jest takie ważne.

Trevize wziął głęboki oddech i powiedział:

— Nie szkodzi, Janov. Każde odkrycie jest ważne. Co chciałeś nam powiedzieć?

— Hmm — odparł Pelorat. — Prawie nic nie przetrwało do naszych czasów. Rozumiesz, po dwudziestu tysiącach lat deszcz i wiatr robią swoje. Poza tym roślinność też wywiera wpływ, a zwierzęta… Mniejsza z tym. Chodzi o to, że „prawie nic" nie znaczy to samo, co „nic". Tam, gdzie są te ruiny, musiał stać jakiś budynek użyteczności publicznej, bo znalazłem przewrócony blok kamienny czy betonowy z wyrytym na nim napisem. Napis był bardzo niewyraźny, ale zrobiłem jego zdjęcie jednym z tych aparatów; które mamy na statku, takim z wbudowanym wzmacniaczem komputerowym… Nie spytałem cię, Golan, czy mogę go wziąć, ale to było dla mnie ważne, więc…

Trevize machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

— Mów dalej!

— Udało mi się odczytać kawałek tego napisu. Jest bardzo stary. Ale chociaż mam wprawę w odczytywaniu archaicznych zapisów i chociaż korzystałem z tego wzmacniacza komputerowego, mogłem odcyfrować tylko jeden fragment. W tym miejscu litery były większe i trochę wyraźniejsze. Być może zostały głębiej wyryte dlatego, że układają się w nazwę tego świata. Ten fragment brzmi „Planeta Aurora", więc przypuszczam, że świat, na którym się znajdujemy, nazywa się, a raczej nazywał, Aurora.

— Musiał mieć jakąś nazwę — zauważył ironicznie Trevize.

— Owszem, ale raczej rzadko się zdarza, żeby nazwy wybierano przypadkowo. Przejrzałem dokładnie swoją bibliotekę i znalazłem dwie stare legendy, pochodzące z dwu różnych, znacznie oddalonych od siebie światów, co przemawia za tym, że powstały niezależnie od siebie… Ale mniejsza z tym. Otóż w obu tych legendach Aurora jest nazwą świtu. Można przypuszczać, że Aurom rzeczywiście znaczyła „świt" w którymś z języków pregalaktycznych.

Tak się składa, że wyrazu używanego na określenie świtu czy poranka często używa się jako nazwy dla stacji kosmicznej czy innej budowy, która jest pierwsza w swym rodzaju. A zatem, jeśli w jakimś języku ten świat został nazwany świtem, to może być również pierwszym światem w swoim rodzaju.

— Czyżbyś sugerował, że ta planeta to Ziemia, a Aurom jest jej drugą nazwą, nadaną jej dlatego, że tu był „świt" życia i ludzkości? — spytał Trevize.

— Nie wyciągałbym tak daleko idących wniosków — odparł Pelorat.

— W końcu nie ma tu ani radioaktywności, ani olbrzymiego satelity, ani gazowego olbrzyma z potężnymi pierścieniami — powiedział, nieco zgryźliwie, Trevize.

— Właśnie. Ale Deniador, zdaje się, uważał, że ten świat był jednym z tych, które zostały założone przez pierwszą falę kolonistów, przez Przestrzeńców. Jeśli tak faktycznie było, to jego nazwa, Aurora, mogłaby świadczyć, że był pierwszym z założonych przez nich światów. Być może znajdujemy się teraz na najstarszym, nie licząc Ziemi, świecie w Galaktyce. Czy to nie podniecające?

— W każdym razie interesujące, Janov, ale czy można aż tyle wywnioskować z samej nazwy Aurora?

— To jeszcze nie wszystko — odparł z ożywieniem Pelorat. — Na ile mogłem to sprawdzić w swoich materiałach, nie ma obecnie w Galaktyce żadnego świata o tej nazwie. Jestem pewien, że twój komputer zweryfikuje moją opinię. Jak już mówiłem, jest wiele różnych światów i innych obiektów, których nazwy znaczą „świt", ale nie ma wśród tych nazw słowa „Aurora".

— A dlaczego miałoby tam być to słowo? Jeśli jest pochodzenia pregalaktycznego, to jest mało prawdopodobne, żeby było znane.

— Ale nazwy pozostają nawet wtedy, kiedy ich znaczenie ulega zapomnieniu. Jeśli był to pierwszy skolonizowany świat, to być może był przez pewien czas najważniejszym światem w Galaktyce. W takiej sytuacji można by się spodziewać, że były też inne światy, założone później, nazywające się Nowa Aurora, Aurom Mniejsza czy jakoś tak. A więc inne…

— Może nie był to pierwszy skolonizowany świat — przerwał mu Trevize. — Może nigdy nie miał wielkiego znaczenia.

— Moim zdaniem można dać znacznie lepsze wyjaśnienie tego faktu, stary.

— Jakie?

— Jeśli — jak mówił Deniador — po pierwszej fali kolonistów ruszyła druga, która założyła wszystkie obecnie zamieszkane światy, to jest bardzo prawdopodobne, że w stosunkach między nimi panowała wrogość. W takiej sytuacji koloniści z drugiej fali,

zakładając światy, które teraz istnieją, nie nadawaliby im nazw, które nosiły założone przez tych z pierwszej fali. W ten sposób z faktu, że nazwa „Aurom” nigdy się już nie powtórzyła, możemy wyciągnąć wniosek, że rzeczywiście były dwie fale kolonistów i że ten świat został założony przez ludzi z pierwszej fali.

Trevize uśmiechnął się.

— No, teraz mam już pewne pojęcie o tym, jak wy, mitologowie, pracujecie. Tworzycie wspaniałą budowlę, która być może nie ma fundamentów. Legendy mówią, że kolonistom pierwszej fali towarzyszyły liczne roboty i że to właśnie stało się przyczyną ich zagłady. A więc gdyby udało się nam znaleźć na tym świecie choćby jednego robota, to byłbym skłonny przyjąć twoją hipotezę, ale nie spodziewam się, aby po dwudziestu ty…

Pelorat, który robił takie miny, jakby chciał coś powiedzieć i nie mógł, wreszcie odzyskał głos:

— Jak to, więc nie mówiłem ci o tym, Golan?… No tak, oczywiście nie. Jestem tak przejęty, że mówię bez składu. Tam był robot.

40

Trevize potarł dłonią czoło, jakby poczuł nagły ból głowy.

— Robot? Tam był robot?

— Tak — odparł Pelorat, akcentując to energicznym kiwnięciem głową.

— Skąd wiesz, że to był robot?

— No jak to skąd? Po prostu robot. Czy mógłbym nie rozpoznać robota?

— A widziałeś przedtem jakiegoś?

— Nie, ale to był metalowy obiekt, który wyglądał jak człowiek. Miał głowę, ręce, nogi, tułów. Mówię „metalowy", ale faktycznie była to prawie sama rdza i kiedy do niego podszedłem, to chyba wibracja spowodowana moimi krokami uszkodziła go jeszcze bardziej, bo jak wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć…

— Dlaczego chciałeś go dotknąć?

— Myślę, że dlatego, że nie wierzyłem własnym oczom. Była to zupełnie odruchowa reakcja. Więc jak tylko go dotknąłem, rozsypał się. Ale…

— Co?

— Zanim to się stało, wydało mi się, że w jego oczach pojawił się lekki blask i wydał taki dźwięk, jakby chciał coś powiedzieć.

— To znaczy, że on nadal działał?

— Troszeczkę, Golan. A potem się rozsypał.

Trevize odwrócił się do Bliss.

— Potwierdzasz to wszystko, Bliss?

— To był robot — powiedziała Bliss.

— I nadal działał?

— Zanim się rozsypał, zdołałam uchwycić słaby ślad aktywności neuronowej — odparła Bliss.

— A skąd tam się mogła wziąć aktywność neuronowi? Przecież robot nie posiada mózgu, składającego się z żywych komórek.

— Myślę, że ma komputerowy odpowiednik mózgu i że potrafiłabym to wykryć.

— Czy mentalność, którą wykryłeś, była specyficzna raczej dla robota niż dla człowieka?

Bliss ściągnęła usta i powiedziała:

— Ten impuls był zbyt słaby, abym mogła powiedzieć coś poza tym, że w ogóle był.

Trevize popatrzył na Bliss, potem na Pelorata i rzekł z rozdrażnieniem:

— To wszystko zmienia.

10. Roboty

41

Podczas obiadu Trevize zdawał się być zatopiony w myślach, a Bliss skupiła całą uwagę na jedzeniu. Pelorat, który jako jedyny miał ochotę do rozmowy, stwierdził, że jeśli świat, na którym się znajdowali, jest Aurorą i jeśli był on pierwszym światem założonym przez osadników z Ziemi, to powinien się znajdować blisko niej.

— Może warto by było przeszukać sąsiednie systemy gwiezdne — powiedział. — Oznaczałoby to sprawdzenie najwyżej paruset gwiazd.

Trevize mruknął w odpowiedzi, że szukanie na chybił trafił to ostateczność i że nawet jeśli znajdzie Ziemię, to chce uzyskać na jej temat jak najwięcej informacji, zanim zdecyduje się wylądować. Nie powiedział nic więcej, więc Pelorat zamilkł zgaszony.

Po obiedzie Trevize w dalszym ciągu nie zdradzał ochoty do rozmowy, więc Pelorat postanowił wyciągnąć coś z niego.

— Zostajemy tu, Golan? — spytał.

— Przynajmniej na noc — powiedział Trevize. Muszę wszystko przemyśleć.

— Czy to bezpieczne?

— Jeśli nie ma tu nic groźniejszego niż psy odparł Trevize — to w statku jesteśmy zupełnie bezpieczni.

— A ile czasu zajęłby nam start, gdyby okazało się, że jest tu coś groźniejszego od psów?

— Postawiłem komputer w stan pogotowia. Myślę, że udałoby się nam wystartować w czasie jednej-dwóch minut. Zresztą jeśli zdarzy się coś niespodziewanego, to komputer natychmiast nas zaalarmuje, więc proponuję, żebyśmy się wszyscy trochę przespali. Jutro rano podejmę decyzję co do naszego następnego ruchu.

„Łatwo powiedzieć” — pomyślał Trevize, kiedy zapadła ciemność. Leżał zwinięty w kłębek na podłodze sterowni. Nie było to zbyt wygodne, ale był pewien, że w tej sytuacji w łóżku też nie zasnąłby szybciej i nie spałby lepiej, a w sterowni mógł przynajmniej przystąpić natychmiast do działania, gdyby komputer wszczął alarm.

W tym momencie usłyszał odgłos kroków i odruchowo usiadł, uderzając głową o kant pulpitu nie tak mocno, żeby zranić się, ale wystarczająco silnie, aby skrzywić się z bólu. Pomalował bolące miejsce.

— Janov? — spytał stłumionym głosem, wycierając łzy, które ból wycisnął mu z oczu.

— Nie. Bliss.

Trevize zaczął macać ręką pulpit, aby uzyskać przynajmniej częściowy kontakt z komputerem i łagodne światło ukazało Bliss w jasnoróżowym szlafroku.

— O co chodzi? — spytał Trevize.

— Zajrzałam do twojej sypialni, ale cię tam nie było. Nie miałam jednak wątpliwości, że czuję twoje fale mózgowe, więc poszłam w kierunku, skąd dochodziły. Było jasne, że nie śpisz, więc weszłam.

— Dobrze, ale czego chcesz?

Usiadła przy ścianie i podciągnęła kolana pod brodę.

— Nie bój się — powiedziała. — Nie planuję zamachu na resztki twego dziewictwa.

— No myślę — odparł drwiąco Trevize. — Dlaczego nie śpisz? Potrzebujesz snu bardziej niż ja.

— Wierz mi — powiedziała cicho — że ta historia z psami bardzo mnie wyczerpała.

— Wierzę ci.

— Ale musiałam porozmawiać z tobą bez Pela.

— O czym?

— Kiedy opowiedział ci o tym robocie, powiedziałeś, że to wszystko zmienia. Co miałeś na myśli?

— Nie wiesz? Mamy trzy zestawy współrzędnych, dla trzech Zakazanych Światów. Chcę odwiedzić wszystkie trzy, aby dowiedzieć się jak najwięcej o Ziemi, zanim spróbuję ją odnaleźć.

Przysunął się do niej bliżej, żeby mogli mówić jeszcze ciszej, ale nagle szybko się odsunął.

— Słuchaj, nie chciałbym, żeby nas tu znalazł Janov — powiedział. — Nie wiem, co by sobie pomyślał.

— Nie przyjdzie tutaj. Śpi teraz. Trochę wzmocniłam jego sen. Jeśli zacznie się wiercić, to zaraz będę o tym wiedziała… Możesz mówić dalej. Chcesz zatem odwiedzić wszystkie te światy. Ale co się zmieniło?

— Początkowo nie miałem zamiaru niepotrzebnie tracić czasu na jakimkolwiek świecie. Skoro ten świat, Aurora, jest od dwudziestu tysięcy lat bezludny, to jest wątpliwe, aby zachowały się tu jakieś wartościowe informacje. Nie chcę łazić tu całymi tygodniami czy miesiącami, walcząc z psami, kotami, bykami czy innymi zwierzętami, które mogły zdziczeć i stać się niebezpieczne, w nadziei, że wśród tych ruin znajdę może jakiś strzęp informacji. Być może na którymś z pozostałych Zakazanych Światów, a może nawet na obu, żyją jeszcze ludzie i są nietknięte biblioteki. A więc chciałem odlecieć stąd jak najszybciej. Może bylibyśmy już w przestrzeni i spalibyśmy sobie spokojnie.

— Ale?

— Ale jeśli na tym świecie znajdują się jeszcze funkcjonujące roboty, to może moglibyśmy od nich uzyskać jakieś informacje. Byłoby bezpieczniej zająć się robotami niż ludźmi, bo z tego, co słyszałem, muszą one stosować się do ludzkich poleceń i nie mogą

skrzywdzić żadnej ludzkiej istoty.

— A więc zmieniłeś zamiary i chcesz tu jeszcze trochę zostać, aby poszukać robotów.

— Nie, Bliss, nie chcę. Wydaje mi się, że żaden robot nie może bez konserwacji przetrwać dwudziestu tysięcy lat… No, ale skoro widziałaś tu robota, w którym tliła się jeszcze iskierka energii, to jest oczywiste, że nie mogę polegać na swoich zdrowo rozsądkowych sądach o robotach. Nie mogę pozwolić, żeby kierowała mną niewiedza. Może roboty są bardziej odporne niż mi się wydawało, a może potrafią się same konserwować.

— Posłuchaj mnie — powiedziała Bliss — i, proszę, zachowaj to w sekrecie.

— W sekrecie? — spytał Trevize, podnosząc ze zdziwienia brwi. — Przed kim?

— Ćśś! Oczywiście przed Pelem. Słuchaj, nie musisz zmieniać swego planu. Miałeś rację. Na tym świecie nie ma już funkcjonujących robotów. Niczego nie wykryłam.

— Wykryłaś tego jednego, a jeśli jest ten jeden…

— Wcale go nie wykryłam. On nie funkcjonował, i to od dawna.

— Ale powiedziałaś…

— Wiem, co powiedziałam. Pelowi wydawało się, że widzi ruch i słyszy głos. Ale on jest marzycielem. Całe życie poświęcił na zbieranie danych, ale w ten sposób trudno zyskać sławę w nauce. On bardzo chce dokonać jakiegoś ważnego odkrycia. Odkrycie słowa „Aurora" było niezbitym faktem i uszczęśliwiło go bardziej, niż sobie wyobrażasz. Pragnął znaleźć coś więcej.

— Chcesz powiedzieć, że tak bardzo pragnął dokonać odkrycia, że sam sobie wmówił, że robot, którego znalazł, jest nadal sprawny?

— Znalazł kawał zardzewiałego żelastwa, w którym nie było więcej świadomości niż w skale, o którą był oparty.

— Ale potwierdziłaś jego opowieść.

— Nie mogłam obrabować go z jego odkrycia. On znaczy dla mnie tak wiele.

Trevize patrzył na nią przez dobrą minutę, a potem powiedział:

— Możesz mi wyjaśnić, dlaczego on znaczy dla ciebie tak wiele? Chcę wiedzieć. Naprawdę chcę to wiedzieć. Dla ciebie jest on na pewno starszym mężczyzną, w którym nie ma nic romantycznego. Jest izolem, a ty pogardzasz izolami. Jesteś młoda i ładna i na pewno są takie elementy Gai, które mają ciała młodych i przystojnych mężczyzn. Z nimi mogłabyś mieć związki fizyczne, które, potęgowane przez Gaję, wzniosłyby cię na szczyty rozkoszy. Co takiego widzisz w Janovie?

Bliss spojrzała poważnie na Trevizego.

— A ty go nie kochasz? — spytała.

Trevize wzruszył ramionami.

— Lubię go. Myślę, że jeśli pozbawić to podtekstu erotycznego, to możesz powiedzieć nawet, że go kocham.

— Znasz go od niedawna. A więc dlaczego go kochasz, na swój nieerotyczny sposób?

Trevize uśmiechnął się bezwiednie.

— To naprawdę dziwny facet. Jestem święcie przekonany, że nigdy nawet nie pomyślał o sobie. Polecono mu lecieć ze mną, więc poleciał. Bez żadnego sprzeciwu. Chciał, żebyśmy polecieli na Trantor, ale kiedy powiedziałem, że chcę lecieć na Gaję, nie protestował. Teraz udał się ze mną na poszukiwanie Ziemi, chociaż wie, że to niebezpieczne. Jestem zupełnie pewien, że gdyby musiał za mnie czy za kogokolwiek innego oddać życie, to zrobiłby to. I to bez żalu.

— A ty oddałbyś życie za niego?

— Być może, gdybym nie miał czasu do namysłu. Gdybym miał czas, żeby to przemyśleć, to zawahałbym się i mógłbym stchórzyć. Nie jestem taki dobry, jak on. I właśnie dlatego odczuwam silną potrzebę chronienia go i dbania o jego dobro. Nie chcę, żeby Galaktyka nauczyła go, że nie warto być dobrym. Rozumiesz? A szczególnie muszę go chronić przed tobą. Nie mogę znieść myśli, że pewnego dnia rzucisz go dla jakiejś błahej przyjemności.

— Przypuszczałam, że myślisz coś takiego. Nie uważasz, że widzę w nim to samo, co ty, a nawet więcej, bo mogę kontaktować się bezpośrednio z jego umysłem? Czy zachowuję się tak, jakbym chciała go zranić? Czy potwierdziłabym te jego urojenia, że widział funkcjonującego robota, gdybym nie wiedziała, że w przeciwnym razie sprawię mu przykrość i nie chciała tego uniknąć? Jestem przyzwyczajona do tego, co nazywasz dobrocią, gdyż każdy element Gai jest gotów poświęcić się dla dobra całości. Nie znamy i nie potrafimy zrozumieć innych motywów. Ale też, postępując w ten sposób, nic nie tracimy, gdyż każdy element jest całością, choć myślę, że nie jesteś w stanie tego pojąć. Z Pelem sprawa wygląda inaczej.

Bliss nie patrzyła na Trevizego. Wyglądała tak, jakby mówiła sama do siebie.

— On jest izolem. Jest bezinteresowny nie dlatego, że jest elementem większej całości. Jest bezinteresowny i niesamolubny dlatego, że taki już jest. Rozumiesz, co mam na myśli? Ma wszystko do stracenia, chociaż nie ma nic do zyskania, a jednak jest, jaki jest. Zawstydza mnie, gdyż ja jestem taka, nie bojąc się, że coś stracę, a on jest, jaki jest, nie mając nadziei, że coś przez to zyska. — Znowu spojrzała na Trevizego. Miała poważną minę. Rozumiesz teraz, o ile więcej wiem o nim niż ty? I nadal myślisz, że mogłabym go skrzywdzić?

— Bliss — rzekł Trevize — powiedziałaś dzisiaj: „Zostańmy

przyjaciółmi”, a ja na to odparłem: „Jeśli tego chcesz”. Nie było to zbyt uprzejme z mojej strony, ale pomyślałem o tym, co możesz zrobić Janovowi. Teraz moja kolej. Zostańmy przyjaciółmi, Bliss. Możesz dalej przytaczać argumenty na korzyść Galaxii, a ja mogę ich nie przyjmować, ale mimo tego możemy być przyjaciółmi. — Wyciągnął do niej rękę.

— Oczywiście — powiedziała i uścisnęła mocno jego dłoń.

42

Trevize uśmiechnął się w duchu. Kiedy siedział przy komputerze starając się zlokalizować gwiazdę (jeśli w ogóle była tam jakaś gwiazda), której położenie określały współrzędne z pierwszego zestawu, i Pelorat i Bliss bacznie się temu przyglądali, i zasypywali go pytaniami. Teraz byli w swojej kabinie i spali, a w każdym razie odpoczywali, zostawiwszy mu całe to zadanie.

W pewnym sensie pochlebiało mu to, bo zdawało się świadczyć o tym, że zaakceptowali fakt, iż on doskonale wie, co robi, i nie potrzebuje żadnej kontroli, pomocy ani zachęty. Skoro już o tym mowa, to Trevize przekonał się doświadczalnie, że powinien bardziej polegać na komputerze i że urządzenie to nie potrzebuje żadnej kontroli, a w każdym razie potrzebuje jej o wiele mniej.

Pojawiła się inna gwiazda, bardzo jasna i nie oznaczona na mapie Galaktyki. Była nawet jaśniejsza od gwiazdy, wokół której krążyła Aurom, co czyniło jeszcze bardziej zastanawiającym fakt, że nie było 0 niej żadnych informacji w banku danych komputera.

Trevizego zdumiewały osobliwe cechy zachowanych przez tradycję przekazów ze starożytności. Całe wieki mogły się nałożyć na siebie albo osunąć się w zapomnienie. Mogła zaginąć pamięć o całych cywlizacjach, ale zdarzało się, że z tej masy faktów zostawał szczegół czy dwa i tradycja przekazywała je w absolutnie nie zmienionym kształcie, tak jak te zbiory współrzędnych.

Podzielił się kiedyś tym spostrzeżeniem z Peloratem, na co Pelorat natychmiast odparł, że to właśnie czyni badania nad mitami i legendami tak pociągającymi. „Cały dowcip w tym — powiedział Pelorat — żeby zdecydować, które elementy danej legendy przedstawiają wiernie rzeczywistość, a więc odpowiadają prawdzie. Nie jest to bynajmniej łatwe. Różni mitologowie wybierają różne elementy tej samej legendy, kierując się zazwyczaj tym, czy pasują one do ich interpretacji."

W każdym razie gwiazda ta znajdowała się akurat tam, gdzie powinna być. A jeśli rzeczywiście tam będzie, to Trevize będzie skłonny uwierzyć, że i reszta legendy, mówiąca o tym, że było w sumie pięćdziesiąt Zakazanych Światów, jest również (mimo iż liczba ta była podejrzanie okrągła) prawdziwa, i zacznie się zastanawiać, gdzie może leżeć pozostałych czterdzieści siedem.

Wkrótce komputer odkrył, krążący wokół gwiazdy, nadający się do zamieszkania świat, Zakazany Świat, ale w tej chwili nie zaskoczyło to już ani odrobinę Trevizego. Był absolutnie pewien, że ten świat tam będzie. Skierował „Odległą Gwiazdę" na orbitę wokół planety i zmniejszył prędkość.

Warstwa chmur była na tyle rzadka, że można było dość dobrze zobaczyć z przestrzeni powierzchnię planety. Tak jak na prawie wszystkich zamieszkanych światach, tak i na tym świecie znajdowały się duże zbiorniki wodne. Widać było nie przedzielony żadnymi lądami ocean w strefie tropikalnej i dwa oceany w strefach biegunowych. W jednej ze stref umiarkowanych rozciągał się wijący się kontynent, o zatokach z każdej strony, powodując, że tu i ówdzie ląd zwężał się do przesmyku. W drugiej strefie umiarkowanej ląd rozdzielał się na trzy duże części, z których każda była szersza w przekroju północno-południowym niż kontynent na drugiej półkuli.

Trevize żałował, że nie zna się na klimatologii na tyle, by z tego, co widzi, móc wywnioskować, jakie panują tam pory roku i temperatury. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie polecić komputerowi, aby rozwiązał ten problem, ale sprawa klimatu nie była najważniejsza.

O wiele ważniejsze było to, że i tym razem komputer nie odkrył promieniowania, które mogłoby pochodzić z urządzeń technicznych. Dzięki teleskopowi przekonał się, że przynajmniej ta planeta nie evyglądała jak nadgryziona przez mole i że nie było na niej śladu pustyni. Przesuwający się w dole ląd był w różnych odcieniach zieleni, ale nie widać było żadnych znaków miast po stronie oświetlonej ani świateł po stronie zacienionej.

Czyżby i na tej planecie istniały różne formy życia, z wyjątkiem człowieka?

Zastukał do drzwi sypialni Pelorata.

— Bliss! — powiedział stłumionym głosem i zastukał jeszcze raz.

Zza drzwi dobiegł szelest i głos Bliss:

— Słucham.

— Możesz wyjść? Potrzebuję twojej pomocy.

— Zaczekaj chwilę, niech się trochę ogarnę, żeby jakoś wyglądać.

Kiedy wreszcie wyszła, Trevize stwierdził, że nie wygląda gorzej niż zazwyczaj. Był trochę zły, że kazała mu czekać, bo było mu wszystko jedno, jak wygląda. Ale teraz byli przyjaciółmi, więc stłumił złość.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — spytała z uśmiechem.

Trevize machnął ręką w stronę ekranu.

— Jak widzisz, przelatujemy właśnie nad powierzchnią świata, który wygląda na zupełnie zdrowy. Część lądowa pokryta jest bujną roślinnością. Niestety, nie widać ani świateł po stronie, gdzie jest teraz noc, ani nie czuje się żadnego promieniowania. Skup się, proszę, posłuchaj uważnie i powiedz mi, czy są tam jakieś zwierzęta. Wydawało mi się, że w pewnym miejscu widzę stado pasących się zwierząt, ale nie byłem pewien. Może mnie też zdarzyło się ujrzeć to, co bardzo chciałem zobaczyć.

Bliss „słuchała”. W każdym razie na jej twarzy widać było wyraz dziwnego napięcia.

— O tak — powiedziała — istnieje tu bogata fauna.

— Ssaki?

— Na pewno.

— A ludzie?

Teraz wyglądało na to, że skoncentrowała się jeszcze bardziej. Minęło dobrych parę minut, zanim się odprężyła.

— Trudno powiedzieć. Parę razy zdawało mi się, że odkryłam tchnienie inteligencji wystarczająco dużej, aby można ją wziąć za ludzką. Ale było to tak słabe i występowało tak sporadycznie, że może ja też wyczułam to, co bardzo chciałam wyczuć. Widzisz…

Przerwała i pogrążyła się w myślach. Trevize ponaglił ją:

— No?

— Problem w tym, że zdaje mi się, iż wykryłam coś innego. Jest to coś, z czym się dotąd nie spotkałam, ale myślę, że to nie może być nic innego jak…

Jej twarz ściągnęła się. Zaczęła ponownie „nashachiwać”, jeszcze intensywniej niż poprzednio.

— No i…? — spytał Trevize.

Odprężyła się. — Myślę, że nie może to być nic innego jak roboty.

— Roboty!

— Tak, a jeśli wykryłam je, to z pewnością byłabym też w stanie wykryć ludzi. Ale nie wykryłam.

— Roboty! — powtórzył Trevize, marszcząc czoło.

— Tak. I jeśli się nie mylę, to w dużej liczbie.

43

Pelorat powiedział „Roboty!” dokładnie takim samym tonem jak Trevize, kiedy mu o nich oznajmił. Potem uśmiechnął się lekko.

— Miałeś rację, Golan a ja byłem w błędzie, wątpiąc w słuszność twojej decyzji.

— Nie przypominam sobie, Janov, żebyś wątpił w słuszność mojej decyzji.

— Och, stary, nie uważałem za właściwe, żeby ująć to w słowach. Ale myślałem w głębi duszy, że było błędem odlatywać z Aurory, kiedy była szansa, że możemy wypytać jakiegoś robota, który przetrwał do naszych czasów. Teraz jednak jest jasne, że wiedziałeś, iż tutaj będzie większa liczba robotów.

— Nic podobnego, Janov. Nie wiedziałem. Po prostu zaryzykowałem. Bliss powiada, że ich pola myślowe zdają się wskazywać, że funkcjonują bez zarzutu, a mnie się z kolei zdaje, że nie mogłyby tak funkcjonować, gdyby nie było tu ludzi dbających o ich stan techniczny. Jednak Bliss nie może wykryć tu obecności żadnych ludzi, więc szukamy dalej.

Pelorat popatrzył z zadumą na ekran.

— To wszystko to chyba las, prawda?

— Przeważnie. Ale są tam też gołe przestrzenie. Może to łąki. Problem w tym, że nie widzę miast ani świateł po przeciwnej stronie. Nie ma też żadnego promieniowania, oprócz cieplnego.

— A więc nie ma tu ludzi?

— Sam jestem ciekaw. Bliss jest w kuchni i próbuje się skoncentrować. Wybrałem, oczywiście arbitralnie, jeden południk jako zerowy, co znaczy, że komputer sporządził mapę planety, na której można ustalić długość i szerokość geograficzną. Bliss ma specjalne urządzenie z guzikiem, który naciska za każdym razem, kiedy natrafi na coś, co wydaje się niezwykłą koncentracją mózgowej aktywności robotów — myślę, że w odniesieniu do robotów nie można użyć terminu „aktywność neuronowi” lub na jakiś ślad ludzkiej myśli. Urządzenie to jest podłączone do komputera, dzięki czemu komputer nanosi natychmiast odpowiedni punkt na mapę. Potem każemy mu wybrać któryś z tych punktów i znaleźć odpowiednie miejsce do lądowania.

Pelorat zrobił zakłopotaną minę.

— Czy to rozsądne zostawiać wybór komputerowi? — spytał.

— A dlaczego nie? To bardzo kompetentny komputer. Poza tym jeśli nie wie się samemu, na jakiej podstawie dokonać takiego wyboru, to nie zaszkodzi wziąć przynajmniej pod rozwagę wyboru dokonanego przez komputer.

Twarz Pelorata rozjaśniła się.

— Coś w tym jest, Golan — powiedział. — Niektóre z najstarszych legend zawierają opowieści o tym, że ludzie dokonywali wyboru rzucając sześciokątne kostki na ziemię.

— Tak? I co to daje?

— Na każdym boku takiej kostki była zapisana pewna decyzja… no tak… zaraz, nie… a może… no mniejsza z tym… i tak dalej. Uważano, że ten bok, który po wylądowaniu kostki na ziemi znalazł się na górze, zawiera radę, zgodnie z którą należy postąpić. Był też inny sposób. Na tarczę zawierającą otwory, w których wypisane były różne decyzje, rzucano kulkę i podejmowano decyzję wypisaną nad otworem, w którym zatrzymała się ta kulka. Niektórzy mitologowie twierdzą, że były to raczej gry hazardowe niż loterie, ale moim zdaniem to jedno i to samo.

— W pewnym sensie — rzekł Trevize — my też podejmujemy taką grę wybierając miejsce lądowania.

Bliss wyszła z kuchni akurat w porę, żeby usłyszeć ostatnie zdanie.

— Nie podejmiemy żadnej gry — powiedziała. — Wiele razy nacisnęłam guzik z napisem „Być może”, aż w końcu, raz, guzik z napisem „Tak”. I właśnie tam wylądujemy.

— A co spowodowało, że nacisnęłaś ten z „Tak”? — spytał Trevize.

— Uchwyciłam „powiew” ludzkiej myśli. Z pewnością. Nie ma mowy o pomyłce.

44

Było po deszczu, gdyż trawa była mokra. Niebo pokryte było chmurami, które jednak zaczynały się rozchodzić.

„Odległa Gwiazda" miękko wylądowała w pobliżu kępy drzew. „„Na wypadek, gdyby okazało się, że są tu zdziczałe psy" — pomyślał Trevize pół żartem, pół serio). Teren wokół statku wyglądał na łąkę, a kiedy schodzili do lądowania, a więc znajdowali się na wysokości, z której można było ogarnąć spojrzeniem większy obszar, Trevizemu wydało się, że widzi sady i pola uprawne, a także — tym razem nie było wątpliwości — pasące się zwierzęta.

Nigdzie nie widać było jednak żadnych budynków. W całym krajobrazie nie było nic sztucznego, z wyjątkiem regularnych rzędów drzew w owych sadach i prostych linii wyznaczających granice pól, które na pewno nie były dziełem natury w większym stopniu niż na przykład stacja mikrofalowa.

Czy jednak mogło to być dziełem samych robotów? Czy nie kryli się za tym ludzie?

Trevize spokojnie zakładał pas z bronią. Tym razem dokładnie sprawdził zarówno miotacz, jak i bicz neuronowy i upewnił się, że broń ma komplet ładunków. W pewnym momencie pochwycił spojrzenie Bliss i przerwał zapinanie pasa.

— Załóż go — powiedziała. — Nie sądzę, żebyś miał okazję zrobić użytek z broni, ale tak samo myślałam za pierwszym razem, prawda?

— A ty nie chcesz wziąć ze sobą broni, Janov? — spytał Trevize.

Pelorat potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Mając przy sobie ciebie z bronią fizyczną i Bliss z bronią psychiczną, czuję się zupełnie bezpieczny. Może to wygląda na tchórzostwo, że kryję się za wami, ale nie wstydzę się tego. Przeciwnie — cieszę się, że w żadnym przypadku nie będę musiał użyć siły.

— Rozumiem — odparł Trevize. — Tylko nie chodź nigdzie sam. Jeśli my się rozdzielimy, to pójdziesz z jednym z nas i pod żadnym pozorem, choćby cię nawet rozsadzała ciekawość, nie możesz się oddalać.

— Nie martw się o niego — powiedziała Bliss. — Będę miała na niego oko.

Trevize pierwszy zszedł na powierzchnię. Po deszczu wiał orzeźwiający, nieco chłodny wiatr, ale Trevize powitał to z zadowoleniem. Przed deszczem było prawdopodobnie bardzo parno.

Ze zdziwieniem wciągnął nosem powietrze. Zapach planety był rozkoszny. Wiedział, że każda planeta ma swój własny, specyficzny zapach, który dla przybysza z innego świata jest zawsze dziwny i

zazwyczaj nieprzyjemny, może po prostu dlatego, że obcy i dziwny. Czyżby obcy zapach mógł też być przyjemny? A może wszystko to brało się stąd, że wylądowali tu zaraz po deszczu, w dodatku w odpowiedniej porze roku, bez względu na to, jaka akurat była to pora…

— Chodźcie — powiedział. — Jest tu zupełnie przyjemnie.

Pelorat zszedł do niego i rzekł:

— „Przyjemnie" to odpowiednie słowo. Myślisz, że zawsze jest tu taki zapach?

— To nieważne. Po godzinie i tak przyzwyczailibyśmy się do panującego tu zapachu. Nasze komórki węchowe byłyby nim już tak przesycone, że nie czulibyśmy nic.

— Szkoda.

— Trawa jest mokra — powiedziała Bliss, z odcieniem niezadowolenia w głosie.

— No to co? Przecież na Gai też pada! — powiedział Trevize i akurat w tej chwili przez chmury przebił się promień słońca. Wyglądało na to, że niedługo rozpogodzi się zupełnie.

— Owszem — odparła Bliss — ale wiemy, kiedy będzie deszcz i możemy się na to przygotować.

— To niedobrze — rzekł Trevize. — Dużo przez to tracicie. Niespodzianki dostarczają dużo emocji.

— Masz rację — zgodziła się Bliss. — Postaram się przestać zachowywać jak prowincjuszka.

Pelorat rozejrzał się wokół i powiedział rozczarowanym głosem:

— Zdaje się, że nic tu nie ma.

— Tylko zdaje się — powiedziała Bliss. — Zbliżają się do nas, ale zasłania ich to wzniesienie. Wskazała ręką. — Myślisz, że powinniśmy wyjść im naprzeciw? — spytała Trevizego.

Trevize potrząsnął głową.

— Nie. Przelecieliśmy wiele parseków, żeby się z nimi spotkać. Oni też mogą przejść kawałek. Zaczekamy tutaj.

Na razie nie widzieli nic. Tylko Bliss wyczuwała, że się zbliżają. W końcu na szczycie wzniesienia ukazała się jakaś postać, a potem druga i trzecia.

— Myślę, że na razie to wszyscy — powiedziała Bliss.

Trevize przyglądał się z zaciekawieniem. Chociaż nigdy przedtem nie widział robota, nie miał nawet cienia wątpliwości, że to, co widzi, to roboty. Miały ludzkie, lecz schematyczne kształty, aczkolwiek nie było wcale oczywiste, że wykonane są z metalu. Ich powierzchnia była matowa, co stwarzało złudzenie, że jest pokryta jakimś miękkim tworzywem, przypominającym plusz.

Ale czy to było rzeczywiście złudzenie? Poczuł nagle nieprzepartą ochotę, aby dotknąć któregoś z nich. Jeśli ta planeta była naprawdę

Zakazanym Światem i jeśli nigdy nie lądowały na niej statki kosmiczne — a musiała to być prawda, gdyż słońca, wokół którego krążyła, nie było na żadnej mapie Galaktyki — to „Odległa Gwiazda" i ludzie, którzy na niej tu przybyli, musiała być czymś, z czym te roboty nigdy się jeszcze nie spotkały. A jednak reagowały tak pewnie, jak gdyby niejeden raz znalazły się w takiej sytuacji.

— Tutaj możemy otrzymać informacje, których nie znajdziemy w żadnym innym miejscu Galaktyki — powiedział cicho. — Moglibyśmy zapytać ich o położenie Ziemi względem tego świata. Jeśli je znają, to je nam podadzą. Kto wie od jak dawna one funkcjonują. Może znają te dane z własnego doświadczenia? Pomyślcie o tym.

— Ale też — powiedziała Bliss — mogły zostać wykonane zupełnie niedawno. W takiej sytuacji mogą nic nie wiedzieć.

— Albo może wiedzą, ale nam nie powiedzą dodał Pelorat.

— Myślę — powiedział Trevize — że jeśli nie otrzymały polecenia, żeby nic nam nie mówić, to nie mogą nic nie powiedzieć, ale dlaczego ktoś miałby im wydawać takie polecenie, skoro nikt tu nie spodziewał się naszego przybycia?

Roboty zatrzymały się trzy metry przed nimi. Stały nieruchomo, nic nie mówiąc.

Trevize, z ręką na kolbie miotacza, nie odwracając wzroku od robotów spytał Bliss:

— Potrafisz stwierdzić, czy są nastawione wrogo? — Musisz wziąć pod uwagę fakt, że nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z takimi umysłami, ale nie wykrywam niczego, co świadczyłoby o ich wrogim stosunku.

Trevize zdjął rękę z kolby, ale trzymał ją w pobliżu. Podniósł lewą rękę, spodem dłoni zwróconą w kierunku robotów, mając nadzieję, że zostanie to zrozumiane jak znak pokoju, i powiedział powoli:

— Pozdrawiam was. Przybyliśmy tu w pokojowych zamiarach.

Środkowy robot kiwnął niezdarnie głową, co optymista mógłby również uznać za gest pokoju i odpowiedział na jego słowa.

Trevizemu opadła szczęka. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że można nie móc się porozumieć w tak podstawowych sprawach. Jednakże to, co mówił robot, w niczym nie przypominało języka ogólnogalaktycznego. Trevize nie zrozumiał ani słowa.

45

Zaskoczenie Pelorata było równie wielkie jak Trevizego, ale dość przyjemne.

— Czy to nie dziwne? — powiedział.

Trevize obrócił się do niego i odparł cierpko:

— Nie dziwne, ale głupie. Plecie coś bez sensu.

— Wcale nie. To galaktyczny, tyle że bardzo stary. Rozpoznałem parę słów. Pewnie zrozumiałbym wszystko bez problemu, gdybym miał to na piśmie. Przeszkadza mi to, że nie znam wymowy.

— No to co on powiedział?

— Myślę, że powiedział, że cię nie rozumie.

— Nie wiem, co powiedział — wtrąciła się Bliss — ale wyczuwam u niego wyraźne zakłopotanie, a to pasuje do tego, co mówi Pel. Oczywiście, jeśli moja analiza emocji robota jest poprawna albo jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak emocje robota.

Pelorat zwrócił się do robotów. Mówił powoli i z wyraźnym trudem, ale gdy skończył, wszystkie roboty, jak na komendę, skinęły głowami.

— Co im powiedziałeś? — spytał Trevize.

— Powiedziałem, że trudno mi mówić, ale że spróbuję, tylko muszą trochę poczekać. O rany, stary, to niesamowicie ciekawe.

— Niesamowicie irytujące — mruknął Trevize.

— Widzisz, na każdej zamieszkanej planecie język galaktyczny rozwija się w nieco inny sposób, tak że w tej chwili istnieje z milion dialektów, czasami prawie niezrozumiałych. Na szczęście jest ogólnogalaktyczny, który łączy te wszystkie odmiany. Jeśli ten świat trwał w izolacji przez dwadzieścia tysięcy lat, to dialekt tutejszy powinien stać się językiem całkowicie odmiennym od tego, którego używa reszta Galaktyki. To, że tak się nie stało, jest pewnie skutkiem faktu, że panujący tu system społeczny opiera się na robotach, które rozumieją tylko polecenia wydawane w języku, w którym zostały zaprogramowane. Zamiast więc przeprogramowywać roboty zachowano język w nie zmienionym stanie i w rezultacie mamy tu teraz do czynienia z jakąś bardzo archaiczną formą galaktycznego.

— Oto przykład — powiedział Trevize — świadczący o tym, że zrobotyzowane społeczeństwo ulega stagnacji i zaczyna się degenerować.

— Ależ, kochany — zaprotestował Pelorat — to, że język pozostaje względnie niezmienny, wcale nie musi świadczyć o degeneracji. Ma to swoje dobre strony. Nawet po upływie tysięcy lat teksty dokumentów są zrozumiałe, dzięki czemu zapiski historyczne są bardziej szanowane i chronione. Tymczasem w pozostałych częściach

Galaktyki nawet język edyktów imperatorów z czasów Hariego Seldona zaczyna być niezrozumiały.

— A znasz ten archaiczny galaktyczny?

— „Znasz” to za dużo powiedziane, Golan. Po prostu badając starożytne mity i legendy, zacząłem się w nim orientować. Słownictwo nie tak bardzo różni się od naszego, ale odmiana wyrazów jest inna. Poza tym są tam zwroty idiomatyczne, które dawno wyszły z użycia, no i, jak już mówiłem, całkowicie zmieniła się wymowa. Mogę być tłumaczem, ale raczej kiepskim.

Trevize głęboko westchnął.

— Lepsze to niż nic. Bierz się do roboty, Janov.

Pelorat odwrócił się do robotów, czekał chwilę, a potem obejrzał się na Trevizego.

— Co mam im powiedzieć? — spytał.

— To samo, co zawsze. Zapytaj, gdzie jest Ziemia.

Pelorat mówił wolno, robiąc po każdym słowie przerwę i zawzięcie gestykulując.

Roboty popatrzyły po sobie, wymieniając między sobą jakieś dźwięki. Potem środkowy odezwał się do Pelorata, który w odpowiedzi rozłożył szeroko ręce, jak gdyby rozciągał gumę. Robot przemówił ponownie, starannie oddzielając słowa, tak jak poprzednio Pelorat.

— Nie jestem pewien — rzekł w końcu Pelorat do Trevizego — cry one rozumieją, o co mi chodzi. Zdaje mi się, że one myślą, że pytam o jakieś miejsce na tej planecie i mówią, że nic nie wiedzą o miejscu, które nazywałoby się Ziemią.

— Powiedziały jak nazywa się ta planeta?

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to nazywają ją Solarią.

— Natknąłeś się kiedy na tę nazwę w tych swoich legendach?

— Nie… tak jak nigdy nie natknąłem się na nazwę Aurora.

— No to spytaj je, czy na niebie, wśród gwiazd, jest jakieś miejsce o nazwie Ziemia. Wskaż na niebo.

Pelorat zamienił kilka zdań z robotami. Odwrócił się do Trevizego i powiedział:

— Udało mi się z nich wydobyć tylko tyle, że na niebie nie ma żadnych miejsc.

— Spytaj, ile mają lat — powiedziała Bliss — a raczej, od jak dawna pracują.

— Nie wiem, jak powiedzieć „pracują” — rzekł Pelorat, potrząsając głową: — Zresztą nie jestem pewien nawet tego, czy potrafię powiedzieć „ile lat”. Nie jestem zbyt dobrym tłumaczem.

— Postaraj się zrobić, co możesz, Pel — powiedziała Bliss.

Po dłuższej wymianie słów Pelorat rzekł:

— Pracują od dwudziestu sześciu lat.

— Od dwudziestu sześciu lat — mruknął zdegustowany Trevize. — Są niedużo starsze od ciebie, Bliss.

— Tak się składa… — zaczęła w nagłym przypływie dumy Bliss.

— Tak, wiem. Jesteś Gają i masz wiele tysięcy lat… W każdym razie te roboty nie wiedzą nic o Ziemi z własnego doświadczenia, a w ich pamięci nie ma żadnych informacji oprócz tych, które są niezbędne do ich sprawnego działania. W związku z tym nie wiedzą nic o astronomii.

— Gdzieś tutaj mogą być pierwsze roboty — powiedział Pelorat.

— Wątpię — odparł Trevize — ale spytaj o to, jeśli potrafisz znaleźć odpowiednie słowa.

Tym razem Pelorat rozmawiał z robotami dosyć długo, a kiedy skończył, na jego czerwonej z wysiłku twarzy malował się wyraz przygnębienia.

— Golan — powiedział — nie rozumiem nawet połowy z tego, co mi próbują powiedzieć, ale wychwyciłem z tego tyle, że starsze roboty używane są do prac fizycznych i w ogóle nic nie wiedzą. Gdyby ten robot był człowiekiem, to przysiągłbym, że mówi o nich z pogardą. Te trzy roboty są, jak mi powiedziały, robotami domowymi i nie pozwala im się zestarzeć, zanim się ich nie zastąpi nowymi. One są tymi, które rzeczywiście wiedzą coś o świecie. To ich sformułowanie, nie moje.

— Nie wiedzą zbyt dużo — jęknął Trevize. Przynajmniej o tym, co my chcemy wiedzieć.

— Teraz żałuję — powiedział Pelorat — że tak pospiesznie odlecieliśmy z Aurory. Gdybyśmy znaleźli tam jakiegoś funkcjonującego robota, a na pewno byśmy znaleźli, bo w tym pierwszym, na którego się natknąłem, tliła się jeszcze iskierka życia, to wiedziałby coś o Ziemi z własnego doświadczenia.

— Jeśli jego pamięć byłaby nienaruszona rzekł Trevize. — Zresztą zawsze możemy tam wrócić i jeśli zajdzie taka potrzeba, to wrócimy, bez względu na psy… Ale jeśli te roboty nie mają nawet trzydziestu lat, to musi być tu ktoś, kto je wytwarza i myślę, że ten ktoś jest człowiekiem. — Odwrócił się do Bliss. — Jesteś pewna, że nie wyczułaś tu obecności…

Bliss uciszyła go, wyciągając w górę rękę. Na jej twarzy widać było napięcie.

— Właśnie nadchodzi — powiedziała cicho. Trevize zwrócił wzrok w stronę wzgórza. Mignęła za nim, a potem ukazała się na jego szczycie i zaczęła ku nim schodzić postać, która niewątpliwie należała do rodzaju ludzkiego. Kiedy się zbliżyła, spostrzegł, że ma bladą cerę i długie, jasne włosy, odstające nieco z boków głowy. Miała poważną, ale z wyglądu dość młodą twarz. Gołe ręce i nogi nie były zbyt umięśnione.

Roboty rozstąpiły się i przybysz stanął między nimi. Potem

przemówił czystym, miłym głosem. Choć używał archaicznych słów, zrozumieli go bez kłopotu. Mówił językiem ogólnogalaktycznym.

— Bądźcie pozdrowieni, przybysze z przestrzeni — powiedział. — Czego chcecie od moich robotów?

Trevize nie popisał się. Spytał niemądrze:

— Mówisz językiem galaktycznym?

Solarianin odparł z cierpkim uśmiechem:

— A dlaczego nie? Nie jestem niemy.

— A one? — Trevize wskazał na roboty.

— To roboty. Mówią naszym językiem. Ale ja jestem Solarianinem i docierają do mnie przez nadprzestrzeń rozmowy prowadzone przez inne światy, więc tak jak moi przodkowie nauczyłem się po waszemu. Przodkowie pozostawili mi opisy tego języka, ale stale słyszę nowe słowa i wyrażenia, które ciągle się zmieniają, zupełnie jakbyście wy, Koloniści, potrafili opanowywać światy, ale nie mogli opanować języka. Dlaczego tak cię dziwi, że rozumiem wasz język?

— Przepraszam — powiedział Trevize. — Nie powinno mnie to dziwić, ale po rozmowie z tymi robotami nie myślałem, że usłyszę na tym świecie język ogólnogalaktyczny.

Przyjrzał się uważnie Solarianinowi. Był on ubrany w cienką, luźną, białą szatę z dużymi otworami na ramiona. Z przodu widniało długie rozcięcie, ukazujące nagą klatkę piersiową i przepaskę na biodrach. Lekkie sandały dopełniały jego ubioru.

Trevize stwierdził z zaskoczeniem, że nie potrafi powiedzieć, czy ma przed sobą mężczyznę czy kobietę. Klatka piersiowa była bez wątpienia męska, ale zupełnie pozbawiona zarostu, a pod cienką przepaską nie można było dostrzec żadnej wypukłości.

Odwrócił się do Bliss i rzekł cicho:

— To też może być robot, ale bardzo podobny do człowieka…

Bliss odpowiedziała, prawie nie poruszając ustami:

— Umysł należy do człowieka, nie do robota.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — powiedział Solarianin. — Wybaczam to i kładę na karb twojego zaskoczenia. Ale pytam raz jeszcze i tym razem muszę otrzymać odpowiedź. Czego chcecie od moich robotów?

— Jesteśmy podróżnikami i potrzebujemy informacji, dzięki którym moglibyśmy dotrzeć do celu — powiedział Trevize. — Próbowaliśmy uzyskać je od twoich robotów, ale one nic nie wiedzą na interesujący nas temat.

— A jakie to informacje? Może ja mógłbym wam pomóc.

— Chcemy wiedzieć, gdzie znajduje się Ziemia. Czy mógłbyś nam to powiedzieć?

Solarianin uniósł brwi w górę.

— Myślę, że pierwszym obiektem waszego zainteresowania

powinienem być ja. I chociaż nie zapytałeś mnie o to, powiem wam, kim jestem. Nazywam się Sarton Bander, a ziemia, na której stoicie, należy do mnie i rozciąga się we wszystkie strony, jak daleko sięgnąć okiem. Nie mogę powiedzieć, żebyście byli tu mile widziani, gdyż przybywając tu pogwałciliście prawo. Jesteście pierwszymi od wielu tysięcy lat Kolonistami, którzy zjawili się na Solarii, i jak się okazuje, przylecieliście tu tylko po to, żeby dowiedzieć się, jak dostać się na inny świat. W dawnych czasach zostalibyście zniszczeni wraz ze swoim statkiem, jak tylko pojawilibyście się w polu widzenia.

— Takie potraktowanie ludzi, którzy nie żywią i nie przejawiają żadnych złych zamiarów, byłoby barbarzyństwem — powiedział Trevize.

— Zgadzam się, ale już samo pojawienie się członków zaborczego społeczeństwa na świecie zamieszkanym przez nieszkodliwych i żyjących według starych i stałych zasad ludzi kryje w sobie potencjalne niebezpieczeństwo. Kiedyś obawialiśmy się tego niebezpieczeństwa, więc gotowi byliśmy zabić każdego obcego w chwili, kiedy się tu pojawił. Teraz jednak nie mamy już żadnych powodów do obaw, więc, jak widzicie, jesteśmy skłonni do rozmowy.

— Jestem bardzo wdzięczny za informacje, których udzielił nam pan z własnej woli, ale nie odpowiedział pan na moje pytanie. Powtórzę je więc. Czy mógłby nam pan powiedzieć, gdzie leży Ziemia?

Solarianin skrzywił twarz ze wstrętem.

— Jeśli koniecznie musisz zwracając się do mnie używać jakiejś formy, to mów mi po prostu Bander — powiedział. — Nie zwracaj się do mnie żadnym słowem, które wskazuje na rodzaj. Nie jestem ani mężczyzną, ani kobietą. Jestem całością.

Trevize skinął głową („miałem rację” — pomyślał).

— Jak sobie życzysz, Bander. A zatem, gdzie leży Ziemia?

— Myślę, że mówiąc „Ziemia”, masz na myśli świat, na którym powstał rodzaj ludzki i te wszystkie gatunki roślin i zwierząt — tu zatoczył ręką łuk, jak gdyby chciał ukazać wszystko, co ich otacza.

— Tak.

— Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Gdybym wiedział albo mógł się dowiedzieć, to i tak na nic by się to wam nie przydało, bo Ziemia, jako świat, nie istnieje już… Ach — rozpostarł ręce — słońce miło przygrzewa. Nigdy nie wychodzę na powierzchnię, kiedy nie ma słońca, a w ogóle bywam tu niezbyt często. Ponieważ słońce było skryte za chmurami, wysłałem roboty, aby was powitały. Ja wyszedłem dopiero wtedy, kiedy niebo stało się czyste.

— A dlaczego Ziemia nie istnieje już jako świat? — spytał Trevize, z uporem wracając do tematu i przygotowując się raz jeszcze do usłyszenia opowieści o skażeniu radioaktywnym.

Jednak Bander zignorował jego pytanie, a raczej zbył je beztroskim:

— To długa historia. Powiedziałeś, że przybyliście tu bez złych zamiarów.

— Zgadza się.

— To dlaczego masz przy sobie broń?

— Na wszelki wypadek. Nie wiedziałem, na co możemy się natknąć.

— To nieważne. Ta twoja śmieszna broń nie jest dla mnie niebezpieczna. Ale jestem ciekaw, co to jest. Słyszałem oczywiście dużo o waszej broni i o waszej barbarzyńskiej historii, która zdaje się zależeć zupełnie od broni. Mimo to nigdy nie widziałem żadnej broni. Możesz mi pokazać swoją?

Trevize cofnął się o krok.

— Obawiam się, że nie, Bander. Bander zrobił rozbawioną minę.

— Pytałem tylko przez grzeczność. Wcale nie muszę cię o to prosić.

Wyciągnął rękę i z kabury na prawym udzie Trevizego wysunął się miotacz, a z kabury na lewym — bicz neuronowy. Trevize chciał je chwycić, ale nie mógł ruszyć ręką. Miał uczucie, jak gdyby obie ręce krępowały mu jakieś elastyczne, lecz mocne więzy. Pelorat i Bliss zrobili ruch, jakby chcieli zrobić krok do przodu, ale widać było, że oni też nie mogą nic zrobić.

— Nie próbujcie mi przeszkadzać — powiedział Bander. — Nie jesteście w stanie. — Miotacz i bicz przefrunęły do jego rąk. Obejrzał je uważnie. — To tutaj — powiedział wskazując na miotacz — jest, zdaje się, źródłem promieniowania mikrofalowego, które wytwarza wysoką temperaturę, doprowadzając tym samym do eksplozji każde ciało zawierające ciecz. Ta druga rzecz jest bardziej skomplikowana i muszę przyznać, że trudno mi na pierwszy rzut oka stwierdzić, jakie jest jej działanie. Ale skoro nie macie złych zamiarów, to nie potrzebujecie broni. Mogę usunąć z ładunków zawartą w nich energię, i zrobię to. W ten sposób unieszkodliwiłem tę broń, chyba żebyś chciał użyć którejś z tych rzeczy jako maczugi, ale niezbyt by się nadawały do tego celu.

Puścił broń i zarówno miotacz, jak i bicz pofrunęły z powrotem ku Trevizemu i wśliznęły się do kabur.

Trevize, czując, że więzy opadły, wyciągnął miotacz, ale nie było po co tego robić. Spust wisiał luźno i było zupełnie jasne, że ładunek został całkowicie pozbawiony energii. Dokładnie to samo było z biczem neuronowym. Spojrzał na Bandera, który rzekł z uśmiechem.

— Jesteś zupełnie bezbronny. Jeśli zajdzie potrzeba, mogę równie łatwo zniszczyć twój statek i oczywiście ciebie też.

11. W podziemiu

47

Trevizemu zamarła krew w żyłach. Starając się oddychać normalnie, spojrzał kątem oka na Bliss. Obejmowała opiekuńczym gestem Pelorata, ale wydawała się zupełnie spokojna. Uśmiechała się lekko i nieznacznie skinęła głową.

Trevize odwrócił się z powrotem do Bandera. Z zachowania Bliss wywnioskował, że jest pewna siebie, więc mając nadzieję, że zinterpretował jej gest właściwie, spytał ponuro:

— Jak to zrobiłeś, Bander?

Bander, będący najwidoczniej w znakomitym humorze, uśmiechnął się.

— Powiedzcie mi, naiwni obcoświatowcy, wierzycie w czary? Albo w magię?

— Nie, naiwny Solarianinie, nie wierzymy — odciął się Trevize.

Bliss pociągnęła Trevizego za rękaw i szepnęła: — Nie drażnij go. Jest niebezpieczny.

— Sam widzę — powiedział Trevize, z trudem starając się nie podnieść głosu. — Zrób coś.

Bliss odparła ledwie słyszalnym szeptem:

— Jeszcze nie teraz. Będzie mniej groźny, jeśli będzie czuł się pewnie i bezpiecznie.

Bander nie zwracał uwagi na szepty, które wymieniali obcoświatowcy. Odwrócił się i odszedł niedbale. Roboty rozsunęły się, aby go przepuścić. Obejrzał się i przywołał ich, kiwając leniwie palcem.

— Chodźcie. Idźcie za mną. Wszyscy. Opowiem wam coś, co może was nie zainteresuje, ale co interesuje mnie. — Poszedł spacerowym krokiem, nie oglądając się więcej.

Trevize stał przez chwilę nieruchomo, nie wiedząc co począć w tej sytuacji. Jednak Bliss ruszyła za Banderem, pociągając za sobą Pelorata. W końcu Trevize dołączył do nich. Nie miał wyboru — mógł albo pójść za nimi, albo zostać sam z robotami.

— Gdyby Bander był łaskaw opowiedzieć nam tę historię, która może nas nie zainteresować… — powiedziała swobodnym tonem Bliss.

Bander odwrócił się i spojrzał uważnie na Bliss, jak gdyby dopiero teraz naprawdę ją spostrzegł.

— Jesteś półczłowiekiem rodzaju żeńskiego — powiedział — prawda? Mniejszą połową?

— Drobniejszą połową, Bander.

— Ci dwaj są wobec tego półludźmi rodzaju męskiego?

— Tak.

— Masz już dziecko, kobieto?

— Mam na imię Bliss, Bander. Nie mam jeszcze dziecka. To jest Trevize, a to Pel.

— A który z tych mężczyzn będzie ci towarzyszył, kiedy przyjdzie twój czas? A może obaj? Czy żaden z nich?

— Będzie mi towarzyszył Pel. Bander przeniósł wzrok na Pelorata.

— Widzę, że masz białe włosy — powiedział.

— Tak — odparł Pelorat.

— Zawsze miały taki kolor?

— Nie, Bander, stały się takie z wiekiem.

— A ile masz lat?

— Pięćdziesiąt dwa, Bander — odparł Pelorat i pospiesznie dodał:

— To są standardowe galaktyczne lata.

Bander nie przestał iść („ku odległej rezydencji" pomyślał Trevize), ale zwolnił kroku.

— Nie wiem jak długi jest standardowy rok galaktyczny — powiedział — ale na pewno nie bardzo różni się od naszego roku. A ile będziesz miał lat, kiedy umrzesz, Pel?

— Nie wiem. Może będę żył jeszcze ze trzydzieści lat.

— A więc osiemdziesiąt dwa. Krótkowieczni i podzieleni na połowy. Niewiarygodne, a jednak moi odlegli przodkowie byli tacy jak wy i żyli na Ziemi… Ale część z nich opuściła Ziemię, aby wokół innych gwiazd założyć nowe, cudowne, dobrze zorganizowane światy. Wiele światów.

— Nie tak wiele — rzekł głośno Trevize. — Pięćdziesiąt.

Bander obrzucił Trevizego wyniosłym spojrzeniem. Było w nim już mniej dobrego humoru.

— Trevize. Tak się nazywasz — powiedział.

— Moje pełne nazwisko brzmi Golan Trevize. Powiedziałem, że było pięćdziesiąt światów Przestrzeńców. Naszych światów są miliony.

— A więc znacie tę historię, którą chcę wam opowiedzieć? — spytał miękko Bander.

— Jeśli sprowadza się ona do tego, że było pięćdziesiąt światów Przestrzeńców, to znamy ją.

— U nas liczą się nie tylko liczby, mizerny półczłowieku — powiedział Bander. — Liczy się także jakość. Naszych światów było tylko pięćdziesiąt, ale wszystkie wasze światy nie mogą się równać z żadnym z nich. A Solaria była pięćdziesiątym, a więc najlepszym. Solaria w takim samym stopniu przewyższała pozostałe światy Przestrzeńców, w jakim one przewyższały Ziemię. Tylko tu, na Solarii, wiedzieliśmy, jak powinno się żyć. Nie tłoczyliśmy się w stadach, jak działo się na Ziemi i na innych światach, nawet na pozostałych światach Przestrzeńców. Żyliśmy osobno, mając do pomocy roboty,

oglądając się wzajemnie na ekranach tak często, jak mieliśmy na to ochotę, ale bardzo rzadko spotykając się osobiście. Upłynęło wiele lat od czasu, kiedy spoglądałem na ludzi tak, jak teraz spoglądam na was, ale w końcu jesteście tylko półludźmi i dlatego wasza obecność nie krępuje mojej wolności bardziej niż obecność krowy czy robota.

Ale my też byliśmy kiedyś półludźmi. Mimo tego, że udoskonaliliśmy naszą. wolność, mimo tego, że staliśmy się wyłącznymi panami nieprzebranych rzesz robotów i żyliśmy w samotności, nasza wolność nigdy nie była absolutna. Po to, żeby wyprodukować potomstwo, potrzebne były dwie osoby. Oczywiście można było połączyć plemniki i jajeczka poza ciałem i doprowadzić do zapłodnienia, a potem do rozwoju embrionu w sztucznych, zautomatyzowanych warunkach. Można było powierzyć dziecko opiece odpowiednich robotów. To wszystko można było zrobić, ale półludzie za nic nie wyrzekliby się przyjemności towarzyszącej zapłodnieniu biologicznemu. W konsekwencji tego mogłoby się zrodzić perwersyjne przywiązanie uczuciowe i skończyłaby się wolność. Rozumiecie teraz, że trzeba to było zmienić?

— Nie, Bander, gdyż nie oceniamy wolności według waszych kryteriów — odparł Trevize.

— To dlatego, że nie wiecie, co to wolność. Nie znacie innego życia niż stadne i nie znacie innego sposobu na życie niż poddawać się, nawet w najdrobniejszych sprawach, woli innych albo, co jest równie złe, walczyć ustawicznie o to, aby poddać innych waszej woli. Gdzie tu miejsce na wolność? Wolność jest pustym słowem, jeśli nie można żyć, jak się chce. Dokładnie tak, jak się chce!

Potem nadszedł czas, kiedy Ziemianie wyroili się na nowo, kiedy całe ich tłumy zaczęły kłębić się w przestrzeni. Inni Przestrzeńcy, którzy co prawda nie wiedli tak stadnego życia, ale jednak żyli studnie, choć w mniejszym stopniu niż Ziemianie, próbowali z nimi rywalizować. My, Solarianie — nie. Przewidzieliśmy, że to się źle skończy. Zeszliśmy do podziemi i zerwaliśmy wszystkie kontakty z resztą Galaktyki. Byliśmy zdecydowani za wszelką cenę zostać sobą. Skonstruowaliśmy odpowiednie roboty i broń, która miała bronić dostępu do naszej pozornie pustej planety. Wywiązały się z tego znakomicie. Wszystkie statki, które tu przybywały, były niszczone i w końcu przestali tu przylatywać. Uznano naszą planetę za opuszczoną i zapomniano o niej, tak jak się tego spodziewaliśmy.

A tymczasem pracowaliśmy pod ziemią nad rozwiązaniem naszych problemów. Ostrożnie zmienialiśmy nasze geny. Spotykały nas niepowodzenia, ale mieliśmy też sukcesy i korzystaliśmy z tych sukcesów. Zajęło to nam wiele setek lat, ale ostatecznie staliśmy się kompletnymi ludźmi, łącząc w jednym ciele pierwiastek męski i żeński, doświadczając do woli całej przyjemności i wytwarzając, kiedy

mieliśmy chęć, zapłodnione jajeczka, które dalej rozwijały się pod fachową opieką robotów.

— Hermafrodyci — powiedział Pelorat.

— Tak to się nazywa w waszym języku? — spytał obojętnym tonem Bander. — Nigdy nie słyszałem tego słowa.

— Hermafrodytyzm kładzie kres dalszej ewolucji — powiedział Trevize. — Każde dziecko jest genetycznym duplikatem swego hermafrodytycznego rodzica.

— Daj spokój — powiedział Bander. — Traktujecie ewolucję jako proces opierający się na przypadku. My możemy programować nasze dzieci według naszych życzeń. Możemy zmieniać i dostosowywać geny, i czasami to robimy… Ale jesteśmy już na miejscu. Wejdźmy. Robi się późno. Słońce grzeje już słabiej i będzie nam przyjemniej wewnątrz.

Przeszli przez drzwi, które nie miały żadnych zamków, ale które otworzyły się przed nimi i zamknęły, kiedy weszli. W środku nie było żadnych okien, ale kiedy znaleźli się w przepastnym pomieszczeniu, ściany zabłysły żywym światłem. Podłoga wydawała się goła, ale była miękka i sprężysta. W każdym z czterech rogów pokoju stał nieruchomy robot.

— Ta ściana — powiedział Bander, wskazując na ścianę naprzeciw drzwi, która wydawała się nie różnić niczym od pozostałych — jest moim ekranem. Otwiera się na nim przede mną cały świat, ale to w najmniejszym stopniu nie ogranicza mojej wolności, bo nie można mnie zmusić do korzystania z niego.

— Ani ty nie możesz zmusić innej osoby, żeby skontaktowała się z tobą przez ten ekran, kiedy ty tego chcesz, a ona nie — powiedział Trevize.

— Zmusić? — rzekł Bander wyniosłym tonem.

— Niech inni robią, co im się podoba, bylebym tylko ja też mógł robić to, co mnie się podoba.

W pokoju było jedno krzesło, naprzeciw ekranu, i Bander usiadł na nim.

Trevize rozejrzał się, jakby oczekiwał, że naraz z podłogi wyskoczą inne krzesła.

— Możemy usiąść? — spytał.

— Jeśli chcecie — odparł Bander.

Bliss usiadła z uśmiechem na podłodze. Pelorat obok niej. Trevize uparcie stał nadal.

— Powiedz mi, Bander, ilu ludzi żyje na tej planecie? — spytała Bliss.

— Mów o nas „Solarianie”, półczłowieku Bliss. Słowo „człowiek” jest skalane przez fakt, że określają się tym mianem półludzie. Moglibyśmy mówić o sobie „całoludzie”, ale to brzmi niezgrabnie.

Solarianie to odpowiedni termin.

— A więc ilu Solarian żyje na tej planecie?

— Nie jestem pewien. Nie liczymy się. Może tysiąc dwustu.

— Tylko tysiąc dwustu na tym całym świecie?

— Aż tysiąc dwustu. Znowu bierzecie pod uwagę liczby, a my jakość… Nie rozumiecie też, na czym polega wolność. Jeśliby istniał choć jeden Solarianin, który podawałby w wątpliwość moją absolutną władzę nad jakąkolwiek częścią mojej ziemi, nad jakimkolwiek robotem, istotą żywą czy przedmiotem, to moja wolność byłaby ograniczona. Ponieważ istnieją inni Solarianie, trzeba tak, jak to tylko możliwe, usunąć niebezpieczeństwo ograniczenia indywidualnej wolności poprzez takie rozmieszczenie wszystkich, że kontakty osobiste właściwie nie istnieją. Solaria może pomieścić tysiąc dwustu Solarian w warunkach zbliżonych do idealnych. Gdyby było nas więcej, wolność byłaby tak ograniczona, że nie dałoby się tego znieść.

— To znaczy, że liczba dzieci musi być tak ograniczona, żeby tylko wyrównać naturalne straty spowodowane śmiercią — rzekł nagle Pelorat.

— Oczywiście. Musi tak być na każdym świecie o stabilnej liczbie ludności… może nawet na waszym.

— A ponieważ umiera tu prawdopodobnie mało ludzi, musi też być mało dzieci.

— Istotnie.

Pelorat pokiwał głową i zamilkł.

— Interesuje mnie, jak sprawiłeś, że moja broń sama poszybowała do twoich rąk — powiedział Trevize. — Nie wyjaśniłeś tego.

— Jako wyjaśnienie zaproponowałem wam czary lub magię. Nie przyjmujesz takiego wyjaśnienia?

— Oczywiście, że nie. Za kogo mnie bierzesz?

— A uwierzysz w gromadzenie i zachowanie energii i w konieczny wzrost entropii?

— W to tak. Ale nie uwierzę, żebyście, nawet w ciągu dwudziestu tysięcy lat, potrafili zmienić te prawa albo zmodyfikować je choćby o jeden mikrometr.

— I nie zrobiliśmy tego, mizerny półczłowieku. Ale pomyśl tylko. Na zewnątrz świeci słońce. — Tu znowu zatoczył z elegancją ręką, jak gdyby wskazywał na słońce świecące wokół jego posiadłości. Ale jest też cień. W słońcu jest cieplej niż w cieniu, więc ciepło automatycznie przepływa z obszaru nasłonecznionego na obszar zacieniony.

— Mówisz mi to, o czym doskonale wiem rzekł Trevize.

— Ale może znasz to tak dobrze, że w ogóle nie myślisz o tym. A w nocy powierzchnia Solarii jest cieplejsza niż powierzchnia przedmiotów znajdujących się poza jej atmosferą, a więc ciepło przepływa automatycznie z powierzchni planety w przestrzeń.

— O tym też wiem.

— Natomiast tak dniem, jak i nocą wnętrze planety jest cieplejsze niż jej powierzchnia. Dlatego ciepło przepływa automatycznie z wnętrza na powierzchnię. Przypuszczam, że wiesz i o tym.

— I co z tego wszystkiego, Bander?

— Przepływ ciepła z miejsc cieplejszych do zimniejszych, który — na mocy drugiego prawa termodynamiki — zawsze następuje w takiej sytuacji, może być wykorzystany do wykonania pracy.

— Owszem, w teorii. W praktyce natomiast promienie słoneczne są rozproszone, ciepło powierzchni planety jeszcze bardziej, a stopień, w jakim ciepło przenika na zewnątrz z wnętrza planety sprawia, że jest ono nawet bardziej rozproszone niż to, które jest na powierzchni. Ilość ciepła, które mogłoby być użyte do pracy, nie wystarczyłaby chyba nawet do podniesienia kamyka.

— To zależy od urządzenia, którego używa się do tego celu — powiedział Bander. — Urządzenie, którego my używamy, było doskonalone przez tysiące lat, a jest to po prostu cząstka mózgu każdego z nas. — Odgarnął włosy z obu stron głowy, ukazując czaszkę za uszami. Obrócił głowę w jedną i drugą stronę, aby mogli lepiej zobaczyć. Za każdym uchem miał wypukły guz wielkości jednej trzeciej kurzego jaja. — Ta część mojego mózgu, część, której wy nie macie, jest tym, co różni Solarian od was.

48

Trevize spoglądał od czasu do czasu na Bliss, której uwaga zdawała się całkowicie skupiona na Banderze. Był pewien, że wie, co się dzieje.

Bander, wbrew swemu peanowi na cześć wolności, nie mógł się oprzeć tej zupełnie dla niego wyjątkowej okazji. Nie mógł rozmawiać z robotami jak z istotami na tym samym poziomie intelektualnym, a z pewnością już nie mógł znaleźć słuchaczy wśród zwierząt. Rozmowa z innymi Solarianami byłaby dla niego rzeczą nieprzyjemną — każda wymiana zdań z ziomkami była wymuszona koniecznością, nigdy nie zawiązywała się spontanicznie.

Natomiast jeśli chodzi o Trevizego, Bliss i Pelorata, to mogli być, co prawda, dla Bandera półludźmi i mógł uważać, że nie są większym zagrożeniem dla jego wolności niż robot czy kozioł, ale intelektualnie byli mu równi (lub prawie równi) i rozmowa z nimi była dla niego niezwykłym luksusem, na jaki nigdy jeszcze nie miał okazji pozwolić sobie.

„Nic dziwnego zatem — myślał Trevize — że pozwala sobie na taką słabość.” A Bliss (tego Trevize był zupełnie pewien) zachęca go do tego, stymulując delikatnie jego umysł, by zrobił to, co i tak bardzo chciał zrobić.

Prawdopodobnie Bliss zakładała, że jeśli Bander się rozgada, to może udzielić im jakiejś użytecznej informacji na temat Ziemi. Według Trevizego było to rozsądne założenie, a więc nawet gdyby nie interesował go temat rozmowy, to i tak próbowałby ją nadal ciągnąć.

— A jak działają te płaty mózgowe? — spytał.

— To przetworniki energii — powiedział Bander. — Uruchamia je przepływ ciepła. Wtedy zamieniają ciepło na energię mechaniczną.

— Nie mogę w to uwierzyć. Taki przepływ ciepła jest za mały.

— Mizerny półczłowiecze, ty po prostu nie myślisz. Gdyby Solarian było wielu i każdy z nich próbował skorzystać z tego przepływu ciepła, to wówczas, owszem, jego ilość byłaby za mała. Ale ja mam ponad czterdzieści tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi, która należy wyłącznie do mnie. Mogę zbierać ciepło z takiej części tej ziemi, jak mi się podoba, i nikt nie będzie miał o to pretensji. A więc mam taką jego ilość, jaka jest mi potrzebna i wystarczająca. Rozumiesz?

— Czy to takie proste zbierać ciepło z tak dużego obszaru? Sama czynność gromadzenia go pochłania dużo energii.

— Być może, ale ja nie zdaję sobie z tego sprawy. Moje przetworniki nieustannie gromadzą ciepło, tak że kiedy trzeba wykonać jakąś pracę, to zostaje wykonana. Kiedy wyciągnąłem twoją

broń, to pewna porcja ogrzanej słońcem atmosfery oddała część nadmiernego ciepła pewnej porcji zacienionego obszaru, a zatem użyłem w tym celu energii słonecznej. Tyle że zamiast korzystać przy tym z jakiegoś mechanicznego czy elektronicznego urządzenia, użyłem urządzenia neuronowego. — Dotknął lekko jednego z guzów. — Działa szybko, sprawnie, stale — i bez wysiłku z mojej strony.

— Niewiarygodne — mruknął Pelorat.

— Nic podobnego — rzekł Bander. — Pomyślcie o subtelnym działaniu oczu i uszu, o tym jak zamieniają małe ilości fotonów i drgań powietrza w informacje. Wydawałoby się to wam niewiarygodne, gdybyście nigdy się z tym nie zetknęli. Przetworniki mózgowe wcale nie są bardziej niewiarygodne i nie wydawałyby się wam takie, gdyby nie fakt, że spotkaliście się z tym po raz pierwszy.

— Co robicie za pomocą tych waszych stale działających przetworników? — spytał Trevize.

— Kierujemy naszym światem — odparł Bander. — Każdy robot w tej posiadłości otrzymuje energię ode mnie, a raczej czerpie ją z naturalnego przepływu ciepła. Kiedy robot naciska kontakt albo ścina drzewo, czerpie energię z przetwarzania, które ma miejsce w mózgu — w moim mózgu.

— A jeśli śpisz?

— Proces przetwarzania odbywa się ciągle, bez względu na to czy czuwam, czy śpię, mizerny półczłowiecze — powiedział Bander. — Czy przestajesz oddychać, kiedy śpisz? Czy twoje serce przestaje wtedy bić? W nocy moje roboty pracują kosztem lekkiego ochłodzenia wnętrza Solarii. W skali globalnej to ochłodzenie jest tak niewielkie, że nie można go nawet zmierzyć. Jest nas tu tysiąc dwustu, a więc energia, którą zużywamy, nie skróci życia naszemu słońcu ani nie wyczerpie ciepła wnętrza naszej planety.

— Czy przyszło ci kiedy do głowy, że możesz tego używać jako broni?

Bander spojrzał na Trevizego tak, jakby go nie rozumiał.

— Zdaje mi się — powiedział — że chcesz przez to powiedzieć, że Solaria mogłaby wystąpić przeciw innym światom z bronią energetyczną działającą na zasadzie tego przetwarzania ciepła, tak? A po co? Nawet gdybyśmy mogli zniszczyć ich broń opartą na innych rodzajach energii, co jest więcej niż pewne, to co by nam to dało? Panowanie nad innymi światami? A po co nam inne światy, skoro mamy swój własny, idealny świat? Czemu mielibyśmy chcieć władzy nad półludźmi? Po to, żeby zmusić ich do pracy dla nas? Mamy roboty, które nadają się do tego celu o wiele lepiej niż półludzie. Mamy wszystko. Nie chcemy niczego, oprócz tego, żeby zostawiono nas samym sobie. Zresztą posłuchajcie… opowiem wam inną historię.

— Słuchamy — powiedział Trevize.

— Dwadzieścia tysięcy lat temu, kiedy półludzie z Ziemi zaczęli mrowić się w przestrzeni, pozostałe światy Przestrzeńców zdecydowały się przeciwstawić kolonizacji idącej z Ziemi. Uderzyli na Ziemię.

— Na Ziemię — powtórzył Trevize, starając się ukryć zadowolenie z faktu, że temat ten jednak w końcu wypłynął.

— Tak, w samo centrum tej kolonizacji. Było to poniekąd rozsądne posunięcie. Jeśli chce się kogoś zabić, to nie uderza się w palec czy w piętę, ale w serce. A więc nasi pobratymcy, Przestrzeńcy, którzy w sferze uczuć nie tak bardzo różnili się od ludzi, zdołali pokryć radioaktywną pożogą powierzchnię Ziemi, w wyniku czego stała się ona w znacznej części niezdatna do zamieszkania.

— Ach, więc to tak było! — powiedział Pelorat, zwijając dłoń w pięść i machając nią szybko, jak gdyby przybijał gwóźdź. — Wiedziałem, że nie mogło to być zjawisko naturalne. Jak to zrobili?

— Nie wiem, jak to zrobili — powiedział obojętnie Bander — ale w każdym razie nie wyszło to Przestrzeńcom na dobre. To właśnie morał tej historii. Koloniści nadal podbijali przestrzeń, natomiast Przestrzeńcy wymarli. Próbowali rywalizować i zniknęli. My, Solarianie, wycofaliśmy się i nie podjęliśmy rywalizacji, dzięki czemu jesteśmy tu nadal.

— Tak samo, jak Koloniści — zauważył chłodno Trevize.

— Owszem, ale oni nie będą trwali wiecznie. Ci, co się tak roją i tłoczą, muszą współzawodniczyć ze sobą, muszą walczyć i w końcu muszą zginąć. Może to trwać dziesiątki tysięcy lat, ale my możemy poczekać. A kiedy to nastąpi, wtedy my, Solarianie, kompletni, samotni, wolni, będziemy mieli całą Galaktykę dla siebie. Możemy wtedy, oprócz naszego świata, korzystać — albo nie — z każdego świata, z jakiego będziemy chcieli.

— Ale ta sprawa Ziemi… — powiedział Pelorat, strzelając niecierpliwie palcami. — Czy to, co nam powiedziałeś, to legenda czy historia?

— A co za różnica, półczłowiecze? — spytał Bander. — Cała historia, w większym czy mniejszym stopniu, jest legendą.

— Ale co mówią wasze kroniki? Czy mógłbym zobaczyć wasze zapiski na ten temat?… Zrozum, proszę, że mity, legendy i historia starożytna to moja dziedzina. Jestem naukowcem zajmującym się takimi sprawami, a szczególnie tymi, które związane są z Ziemią.

— Ja tylko powtarzam to, co słyszałem — powiedział Bander. — Nie ma żadnych zapisków na ten temat. Nasze zapiski dotyczą wyłącznie spraw Solarii, a innymi światami zajmują się tylko o tyle, o ile wtykały one nos w te sprawy.

— Ziemia na pewno wtykała nos w te sprawy zauważył Pelorat.

— Być może, ale jeśli tak było, to działo się to bardzo dawno

temu, a Ziemia była dla nas najbardziej odpychającym ze wszystkich światów. Jestem pewien, że jeśli mieliśmy jakieś wzmianki na temat Ziemi, to zostały one zniszczone z czystego wstrętu do niej.

Trevize zazgrzytał zębami ze złości.

— Przez was? — spytał.

Bander spojrzał na Trevizego.

— Nie ma tu nikogo innego, kto mógłby je zniszczyć — powiedział.

Pelorat nie dawał się zbić z tematu.

— Masz coś jeszcze, co dotyczy Ziemi? Bander zamyślił się.

— Kiedy byłem młody — rzekł po chwili — słyszałem od pewnego robota opowieść o Ziemianinie, który kiedyś odwiedził Solarię i o solariańskiej kobiecie, która z nim odleciała i została potem ważną osobistością w Galaktyce. Jednak, moim zdaniem, była to opowieść zmyślona.

Pelorat zagryzł wargę.

— Jesteś pewien?

— A czy można być czegoś pewnym w tych sprawach? — odparł Bander. — Niemniej jest nieprawdopodobne, żeby jakiś Ziemianin ośmielił się przylecieć na Solarię albo żeby Solaria pozwoliła na coś takiego. A jeszcze bardziej nieprawdopodobne, żeby tutejsza kobieta — byliśmy wtedy co prawda półludźmi, ale mimo to — z własnej woli opuściła ten świat… Ale zostawmy to. Pokażę wam mój dom.

— Twój dom? — spytała Bliss, rozglądając się dokoła. — Czyżbyśmy nie byli w twoim domu?

— Oczywiście, że nie — odparł Bander. — To przedpokój. Sala widzeń. Tutaj, kiedy muszę, spotykam się z innymi Solarianami. Ich obrazy ukazują się na tej ścianie albo, trójwymiarowo, w przestrzeni przed tą ścianą. Dlatego ten pokój jest pomieszczeniem publicznym a nie częścią mego domu. Chodźcie ze mną.

Poszedł przodem, nie sprawdzając, czy idą za nim, ale cztery roboty opuściły swoje miejsca w rogach pokoju i Trevize wiedział, że jeśli on i jego towarzysze nie pójdą za Banderem z własnej woli, to roboty pomogą im to zrobić.

Bliss i Pelorat podnieśli się z podłogi. Trevize szepnął cicho do Bliss:

— Postarałaś się, żeby mówił?

Bliss ścisnęła jego dłoń i kiwnęła głową.

— Mimo to — powiedziała z nutą niepokoju w głosie — chciałabym wiedzieć, jakie ma zamiary.

49

Szli za Banderem. Roboty trzymały się w przyzwoitej odległości, ale sama ich obecność była ostrzeżeniem.

Posuwali się jakimś korytarzem. Trevize mruczał z przygnębieniem:

— Nie ma na tej planecie niczego, co by nam pomogło znaleźć Ziemię. Jestem tego pewien. Jeszcze jedna wariacja na temat radioaktywności. Wzruszył ramionami. — Będziemy musieli skorzystać z trzeciego zestawu współrzędnych.

Otworzyły się przed nimi drzwi i ukazał się mały pokój.

— Chodźcie, półludzie — powiedział Bander. Pokażę wam, jak żyjemy.

— On czerpie dziecinną przyjemność z pokazywania nam swoich wspaniałości — szepnął Trevize. — Mam ochotę go usadzić.

— Nie chcesz chyba współzawodniczyć z nim w dziecinadzie — powiedziała Bliss.

Bander wpuścił ich przodem. Wszedł też jeden z robotów. Bander odprawił gestem dłoni pozostałe roboty i też wszedł. Drzwi zamknęły się za nim.

— To winda — powiedział Pelorat z radością odkrywcy.

— Tak — potwierdził Bander. — Kiedy już raz zeszliśmy pod ziemię, to na dobrą sprawę nigdy już stąd nie wyszliśmy. Zresztą nie chcemy tego, aczkolwiek lubię czasami poczuć promienie słoneczne na ciele. Ale nie lubię chmur ani nocy na powietrzu. Ma się wtedy wrażenie, jak gdyby było się pod ziemią, choć naprawdę nie jest się tam, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. To jest w pewnym sensie dysonans poznawczy. Uważam, że to niemiłe uczucie.

— Ziemia zbudowana pod ziemią — powiedział Pelorat. — Nazywali swoje miasta Jaskiniami ze Stali. Trantor też, w czasach Imperium, znajdował się właściwie pod ziemią, tyle że był bardziej rozbudowany… A teraz to samo robi Comporellon. Kiedy się o tym pomyśli, to wygląda to na wspólne wszystkim dążenie.

— Półludzie tłoczący się pod ziemią i my, żyjący pod ziemią we wspaniałej izolacji, to dwie zupełnie różne rzeczy — powiedział Bander.

— Na Terminusie — rzekł Trevize — domy mieszkalne znajdują się na powierzchni.

— I są wystawione na działanie pogody — powiedział Bander. — Prymityw.

Po wejściu do windy odczuli początkowo spadek grawitacji, co zdradziło Peloratowi charakter tego urządzenia, ale potem nie czuli w ogóle, że winda się porusza. Trevize właśnie zastanawiał się, jak

daleko w głąb ziemi prowadzi ten szyb, kiedy poczuł wzrost grawitacji i drzwi otworzyły się.

Ich oczom ukazał się duży, wyszukanie umeblowany pokój. Było w nim przyćmione światło, choć nie mogli dostrzec jego źródła. Wydawało się, że świeci samo powietrze.

Bander wyciągnął palec i w miejscu, które wskazał, światło stało się nieco jaśniejsze. Wskazał inne miejsce i wszystko powtórzyło się. Położył lewą rękę na krótkim, grubym drążku, który znajdował się po lewej stronie drzwi, a prawą ręką zatoczył łuk i cały pokój wypełnił się intensywnym światłem, zupełnie jakby był skąpany w promieniach słońca, chociaż nie towarzyszyło temu uczucie ciepła.

Trevize skrzywił się i powiedział półgłosem:

— Ten człowiek to szarlatan.

— Nie „ten człowiek", ale „Solarianin" — rzekł ostro Bander. — Nie wiem, co znaczy słowo „szarlatan", ale sądząc z tonu, jakim je wypowiedziałeś, jest obraźliwe.

— Oznacza ono kogoś — odparł Trevize — kto zwodzi ludzi swymi rzekomymi umiejętnościami, kto wywołuje takie efekty, aby to, co robi, wydawało się bardziej imponujące, niż jest w istocie.

— Przyznaję, że lubię teatralne efekty — powiedział Bander — ale to, co wam pokazałem, nie jest żadną sztuczką. To autentyczne. — Poklepał drążek, na którym spoczywała jego lewa dłoń. — To jest pręt przewodzący ciepło, który sięga parę kilometrów w głąb ziemi. Takie same pręty znajdują się w innych, odpowiednich do tego miejscach na terenie mojej posiadłości. Wiem, że na innych posiadłościach też są takie pręty. Zwiększają one dawki ciepła, które wędruje z niższych warstw planety ku powierzchni i ułatwiają jego zamianę na pracę. Nie muszę czynić żadnych gestów, aby uzyskać światło, ale tworzy to atmosferę pewnej teatralności, a może — jak to określiłeś — nieautentyczności, a ja to lubię.

— Często masz okazję cieszyć się wykonywaniem takich teatralnych gestów? — spytała Bliss.

— Nie — odparł Bander, potrząsając głową. Na moich robotach nie wywiera to żadnego wrażenia. Na innych Solarianach też by nie wywarło. Ta niezwykła szansa spotkania półludzi i pokazania im tego jest bardzo… zabawna.

— Kiedy tu weszliśmy, światło było przyćmione — powiedział Pelorat. — Cały czas jest takie?

— Tak, to słaby pobór mocy… taki sam jak dla utrzymania robotów w ruchu. Na mojej posiadłości stale wre praca, ale nie na wszystkich częściach w tym samym czasie. Te, które akurat nie pracują, znajdują się na jałowym poborze mocy.

— I cały czas dostarczasz energii dla tej całej rozległej posiadłości?

— Energii dostarcza słońce i jądro planety. Ja ją tylko przekazuję. Poza tym nie cała posiadłość nastawiona jest na produkcję. Znaczną jej część utrzymuję w stanie pierwotnym, z bogatą szatą roślinną i światem zwierząt, po pierwsze dlatego, że chroni to moje granice, a po drugie, że ma to dla mnie walor estetyczny. W rzeczywistości pola uprawne i fabryki zajmują mało miejsca. Służą one tylko zaspokajaniu moich potrzeb oraz dostarczają pewnych rzeczy na wymianę z innymi. Mam na przykład roboty, które w razie potrzeby potrafią produkować i instalować pręty przewodzące ciepło. Wielu Solarian korzysta z tych usług.

— A jak duży jest twój dom? — spytał Trevize. Musiało to być właściwe pytanie, gdyż Bander rozpromienił się.

— Bardzo duży — powiedział. — Myślę, że jeden z największych na planecie. Rozciąga się na przestrzeni wielu kilometrów. Dba o niego tyle samo robotów, ile pracuje na tych wszystkich tysiącach kilometrów kwadratowych powierzchni.

— Na pewno nie korzystasz z całego domu powiedział Pelorat.

— Zupełnie możliwe, że są tu pokoje, w których nigdy nie byłem, ale co z tego? — odparł Bander. — Roboty utrzymują porządek i czystość we wszystkich pomieszczeniach, wszystkie są dobrze wentylowane. Ale chodźmy dalej.

Wyszli przez inne drzwi, niż weszli, i znaleźli się w innym korytarzu. Znajdował się tam mały, odkryty pojazd, który poruszał się po szynach.

Bander nakazał im ruchem ręki, aby wsiedli. Nie było dosyć miejsca dla nich czworga i robota, ale Pelorat i Bliss ścisnęli się, aby zmieścił się Trevize. Bander siadł wygodnie z przodu, mając u boku robota, i pojazd ruszył bez uruchamiania żadnych dźwigni czy wciskania guzików. Wystarczyło, że Bander od czasu do czasu lekko poruszył dłonią.

— To jest oczywiście robot w kształcie pojazdu — powiedział Bander tonem obojętnego wyjaśnienia.

Jechali powoli, przejeżdżając przez liczne drzwi, które otwierały się przed nimi i zamykały zaraz po przejeździe. Każde drzwi miały inną dekorację i nie można się było doszukać w tym żadnego stylu czy porządku, zupełnie jakby roboty otrzymały polecenie, by przypadkowo dobierać różne kombinacje.

Zarówno przed, jak i za nimi korytarz pogrążony był w mroku, ale w każdym jego miejscu, gdy tylko się tam znaleźli, pojawiało się jasne, podobne do słonecznego, lecz zimne światło. Podobnie działo się w pokojach, przez które przejeżdżali. Za każdym razem Bander majestatycznie podnosił dłoń.

Podróż zdawała się nie mieć końca. Od czasu do czasu skręcali pod kątem, który świadczył o tym, że podziemna siedziba rozciągała

się w dwóch wymiarach. („Nie, w trzech” — pomyślał Trevize, kiedy w pewnej chwili zaczęli zjeżdżać po łagodnej pochyłości.)

Wszędzie, gdzie się zjawili, spotykali roboty, dziesiątki, setki robotów, zajętych niespieszną pracą, której celu Trevize nie mógł odgadnąć. Minęli otwarte drzwi, prowadzące do dużej sali, w której siedziały, pochylone nad biurkami, rzędy robotów.

— Co one robią, Bander? — spytał Pelorat.

— To księgowość — odparł Bander. — Sporządzają dane statystyczne, rachunki, zestawienia i inne takie rzeczy, o które — z czego bardzo się cieszę — nie muszę się sam kłopotać. Tu się nie próżnuje. Około jednej czwartej ziemi uprawnej zajmują sady. Jedną dziesiątą stanowią pola, ale moją chlubą są sady. Mam najlepsze owoce na tym świecie, i to wiele rodzajów i odmian. Brzoskwinia Bandera to jest brzoskwinia na tym świecie! Jest tak dobra, że inni prawie nie próbują hodować brzoskwiń. Mam dwadzieścia siedem odmian jabłek i… i tak dalej. Roboty mogłyby udzielić wam pełnej informacji.

— A co robisz z tymi owocami? — spytał Trevize. — Przecież nie możesz ich sam wszystkich zjeść.

— Nawet by mi to do głowy nie przyszło. Nie przepadam za owocami. Wymieniam je z innymi posiadłościami.

— Za co?

— Głównie za kopaliny. Na mojej posiadłości praktycznie nie ma kopalin. Poza tym uzyskuję za nie wszystko, co mi potrzebne dla zachowania równowagi ekologicznej. Mam tu bardzo wiele gatunków roślin i zwierząt.

— Przypuszczam, że tym wszystkim zajmują się roboty — powiedział Trevize.

— Tak. I to bardzo dobrze.

— I to wszystko dla jednego Solarianina.

— Wszystko dla posiadłości i jej wymagań ekologicznych. Tak się składa, że jestem jedynym Solarianinem, który — kiedy ma na to ochotę — odwiedza różne części tej posiadłości, ale to część składowa mojej absolutnej wolności.

— Myślę — powiedział Pelorat — że inni… inni Solarianie także dbają o zachowanie równowagi ekologicznej i posiadają w swych posiadłościach tereny bagienne, górzyste albo nadmorskie.

— Myślę, że tak — rzekł Bander. — Zajmujemy się takimi sprawami na konferencjach, których zwołania wymagają niekiedy sprawy naszego świata.

— A jak często się spotykacie? — spytał Trevize. Jechali właśnie wąskim korytarzem, po którego bokach nie było żadnych pomieszczeń. Trevize domyślił się, że musi on prowadzić przez warstwy, które uniemożliwiają budowę szerszych pomieszczeń, i jest

łącznikiem między dwoma skrzydłami siedziby, które mogą się znacznie bardziej rozszerzać.

— Za często. Rzadko zdarza się miesiąc, żebym nie musiał poświęcić nieco czasu na uczestniczenie w jakimś zebraniu organizowanym przez jeden z komitetów, których jestem członkiem. Jednak, choć nie ma na mojej posiadłości gór ani bagien, moje sady, stawy rybne i ogrody botaniczne są najlepsze na tym świecie.

— Ale, stary… to znaczy Bander… przypuszczam, że nigdy nie opuściłeś swojej posiadłości i nie widziałeś posiadłości innych… — powiedział Pelorat.

— Oczywiście, że nie — powiedział Bander z oburzeniem.

— Powiedziałem, że tak właśnie przypuszczam — rzekł pojednawczo Pelorat. — Ale skąd w takim razie masz pewność, nigdy nie zbadawszy ani nawet nie widziawszy posiadłości innych, że twoje są najlepsze?

— Stąd — odparł Bander — że wynika to z zapotrzebowania na moje produkty w wymianie między posiadłościami.

— A co z artykułami przemysłowymi? — spytał Trevize.

— Są tu posiadłości, na których wytwarza się narzędzia i maszyny. Jak już powiedziałem, na mojej posiadłości robi się pręty przewodzące ciepło, ale są to dość proste urządzenia.

— A roboty?

— Produkuje się je tu i ówdzie. W przeszłości Solaria zawsze wiodła prym w Galaktyce w projektowaniu i wykonywaniu robotów. Nasze roboty były wyjątkowo inteligentne i skomplikowane.

— Przypuszczam, że teraz też — powiedział Trevize, starając się, żeby zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie.

— Dzisiaj? — rzekł Bander. — A czy jest dzisiaj z kim współzawodniczyć? Dzisiaj roboty wytwarza się tylko na Solarii. Jeśli właściwie rozumiem to, co dociera do mnie na hiperfalach, to na waszych światach nie robi się ich.

— A na innych światach Przestrzeńców?

— Mówiłem wam już. One już nie istnieją.

— Wszystkie?

— Nie sądzę, żeby gdzieś poza Solarią żył jeszcze choćby jeden Przestrzeniec.

— A więc nie ma nikogo, kto zna położenie Ziemi?

— Dlaczego każdy z was chce znać położenie Ziemi?

— Ja chcę je znać — wtrącił Pelorat. — To moja dziedzina badań.

— Wobec tego — powiedział Bander — będziesz musiał sobie znaleźć inną dziedzinę. Nie wiem nic o położeniu Ziemi i nigdy nie słyszałem o kimś, kto by je znał. Zresztą nic mnie to nie obchodzi.

Pojazd zatrzymał się i Trevize przez chwilę myślał, że Bander poczuł się obrażony. Zatrzymał się jednak gładko, a Bander,

wysiadając z wozu i pokazując im, że mają zrobić to samo, wyglądał na równie zadowolonego jak przedtem.

Światło w pomieszczeniu, do którego potem weszli, było przyciemnione i niewiele rozjaśniło się nawet po geście Bandera. Prowadził z niego boczny korytarz, po którego obu stronach mieściły się małe pokoiki. W każdym z nich stała jedna lub dwie bogato zdobione wazy. Obok niektórych z nich znajdowały się przedmioty, które przypominały projekty filmowe.

— Co to jest, Bander? — spytał Trevize.

— Pośmiertne komnaty przodków, Trevize powiedział Bander.

Pelorat rozejrzał się z zaciekawieniem.

— Przypuszczam, że są tu pogrzebane prochy twoich przodków, prawda?

— Jeśli „pogrzebany” — powiedział Bander znaczy „zakopany w ziemi”, to niezupełnie masz rację. Jesteśmy, co prawda, pod ziemią, ale to moja siedziba, a ich prochy znajdują się tutaj tak samo, jak my w tej chwili. W naszym języku mówimy, że prochy są „zadomowione”.

Trevize rozejrzał się wokół.

— To wszystko twoi przodkowie? — spytał. Ilu ich jest tutaj?

— Prawie stu — odparł Bander, nawet nie starając się ukryć rozpierającej go dumy. — Dokładnie — dziewięćdziesięciu czterech. Oczywiście ci najstarsi nie są prawdziwymi Solarianami w obecnym znaczeniu tego słowa. Byli półludźmi, mężczyznami i kobietami. Ci półprzodkowie zostali umieszczeni przez swych bezpośrednich następców w urnach znajdujących się w sąsiednich salach. Oczywiście nie chodzę tam. Byłoby to wstydodajne. W każdym razie my to tak nazywamy. Nie wiem, czy macie jakiś termin na wyrażenie tego uczucia. Może nie.

— A te filmy? — spytała Bliss. — To chyba projektory filmowe?

— To ich dzienniki i pamiętniki — odparł Bander. — Ich zdjęcia w ulubionych miejscach posiadłości. Znaczy to, że nie ze wszystkim umarli. Coś z nich zostało tu i moja wolność polega między innymi na tym, że kiedy przyjdzie mi ochota, mogę sobie obejrzeć kawałek tego czy innego filmu.

— Ale nie tych — wstydodajnych.

Bander uciekł spojrzeniem w bok.

— Nie — powiedział — ale w końcu wszyscy mieliśmy takich przodków. To wspólna skaza.

— Wspólna? A więc inni Solarianie też mają takie komnaty przodków? — spytał Trevize.

— O tak, mają je wszyscy, ale moje są najlepsze, najlepiej wykonane i najlepiej zachowane.

— A czy masz już taką komnatę dla siebie?

— Oczywiście. Jest już od dawna gotowa. Zrobienie jej było moim pierwszym obowiązkiem, kiedy odziedziczyłem tę posiadłość. A kiedy, mówiąc poetycznie, rozsypię się w proch, pierwszym obowiązkiem mojego następcy, tak jak moim, będzie wykonanie własnej komnaty pośmiertnej.

— A masz jakiegoś następcę?

— Będę miał, kiedy przyjdzie na to czas. Mam jeszcze przed sobą dużo życia. Kiedy będę musiał odejść, znajdzie się tu mój następca,

który będzie na tyle dojrzały, aby korzystać z tej posiadłości i będzie miał już na tyle rozwinięte odpowiednie płaty mózgowe, aby móc przetwarzać energię.

— Przypuszczam, że będzie to twój potomek?

— Tak.

— A jeśli stanie się coś nieprzewidzianego? spytał Trevize. — Myślę, że wypadki zdarzają się nawet na Solarii. Co się stanie, jeśli jakiś Solarianin rozsypie się przedwcześnie w proch, a nie będzie miał naturalnego następcy, a w każdym razie następcy, który będzie na tyle dojrzały, aby korzystać z tej posiadłości?

— W moim rodzie był tylko jeden taki przypadek. Ale jeśli już coś takiego się zdarzy, to trzeba pamiętać, że są inni, którzy czekają na spadek na inne posiadłości. Niektórzy z nich są już w takim wieku, że mogliby je przejąć, ale ich rodzice są jeszcze na tyle młodzi, że mogą spłodzić innych dziedziców i żyć, dopóki ci drudzy nie dojrzeją na tyle, by móc zająć ich miejsce. Otóż któryś z tych młodostarych następców, jak ich nazywamy, zostałby wyznaczony na właściciela mojej posiadłości.

— A kto się tym zajmuje?

— Mamy radę zarządzającą, do której należy między innymi wyznaczanie następcy w przypadku przedwczesnej śmierci któregoś z nas. Oczywiście wszystko to załatwia się za pośrednictwem holowizji.

— Ale pomyśl tylko… — odezwał się Pelorat. Jeśli Solarianie nigdy się ze sobą nie stykają, to skąd mogą wiedzieć, że któryś z nich niespodzianie — albo nawet spodziewanie — obrócił się w proch?

— Kiedy ktoś z nas umiera — odparł Bander ustaje dopływ energii do wszystkich urządzeń znajdujących się w jego posiadłości. Jeśli natychmiast nie przejmie jego miejsca potomek, to w końcu wszyscy spostrzegają tę nienormalną sytuację i natychmiast zostają podjęte środki zaradcze. Zapewniam was, że nasz system społeczny funkcjonuje bezbłędnie.

— Czy można zobaczyć któryś z tych filmów? spytał Trevize.

Bander zamarł ze zgrozy. W końcu powiedział:

— Usprawiedliwia cię tylko twoja ignorancja. To, co powiedziałeś, jest chamskie i wulgarne.

— Przepraszam — rzekł Trevize. — Nie chcę, żebyś uważał mnie za natręta, ale — jak ci już wyjaśniliśmy — bardzo interesujemy się wszystkim, co ma związek z Ziemią. Przyszło mi do głowy, że najstarsze z tych filmów mogą pochodzić z czasów, zanim Ziemia stała się radioaktywna. Być może wspomina się tam o niej. Może są tam jakieś szczegóły. Naprawdę nie chcemy być niegrzeczni, ale czy nie ma żadnej możliwości, żebyśmy mogli obejrzeć te filmy? Może mógłby to zrobić robot i przekazać nam interesujące nas informacje, jeśli znajdzie tam jakieś? Jeśli rozumiesz, co nami kieruje, to rozumiesz

też, że postaramy się uszanować twoje uczucia. Może pozwolisz nam więc obejrzeć te filmy?

— Sądzę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, że coraz bardziej mnie obrażasz. Możemy jednak skończyć z tym od razu, gdyż nie ma tu żadnych filmów pokazujących moich półludzkich przodków — powiedział Bander lodowatym tonem.

— Żadnych? — w głosie Trevizego czuć było wyraźne przygnębienie.

— Kiedyś były. Ale nawet wy możecie sobie wyobrazić, co pokazywały. Dwoje półludzi okazujących wzajemne zainteresowanie sobą, a nawet — tu Bander odchrząknął i powiedział z trudem — kopulujących. Oczywiście wszystkie te filmy z półludźmi zostały zniszczone już wiele pokoleń temu.

— A filmy u innych Solarian?

— Też zostały zniszczone. Wszystkie.

— Jesteś pewien?

— Byłoby szaleństwem nie zniszczyć ich.

— Może niektórzy Solarianie okazali się szaleni, sentymentalni albo po prostu nie myśleli o tym. Sądzę, że nie masz nic przeciwko temu, żeby wskazać nam drogę do sąsiednich posiadłości?

Bander spojrzał z zaskoczeniem na Trevizego.

— Myślisz, że inni będą tak tolerancyjni, jak ja?

— A dlaczego mieliby nie być?

— Przekonasz się, że nie będą.

— Trudno. Musimy zaryzykować.

— Nie. Nic z tego. Posłuchajcie, co wam powiem.

Bander miał chmurną minę, a za nim stały roboty.

— O co chodzi, Bander? — spytał Trevize z niepokojem.

— Miło mi było porozmawiać z wami i poobserwować was — dziwne stworzenia. Było to dla mnie zupełnie wyjątkowe przeżycie i podobało mi się to, ale nie mogę tego utrwalić w moim pamiętniku ani na filmie.

— Dlaczego?

— Rozmowa z wami, słuchanie was, sprowadzenie was do mojej rezydencji, pokazanie wam pośmiertnych komnat moich przodków to haniebne czyny.

— Nie jesteśmy Solarianami. Znaczymy dla ciebie tyle, co te roboty, prawda?

— Sam sobie tak to tłumaczę i usprawiedliwiam się przed sobą w ten sposób, ale może nie usprawiedliwiłoby mnie to w oczach innych.

— A co cię to obchodzi? Jesteś przecież absolutnie wolny i możesz robić wszystko, co ci się podoba, nieprawdaż?

— Niestety, nawet u nas nie ma absolutnej wolności. Gdybym był jedynym Solarianinem na tej planecie, to mógłbym dokonywać nawet

haniebnych czynów. Ale żyją tu też inni Solarianie i z tego powodu, mimo iż moja wolność jest bliska ideału, ideałem jednak nie jest. Żyje tu tysiąc dwustu Solarian, którzy gardziliby mną, gdyby się o tym dowiedzieli.

— Nie muszą się dowiedzieć.

— To prawda. Cały czas zdawałem sobie z tego sprawę. Cały czas, kiedy zabawiałem się z wami, pamiętałem o tym. Inni absolutnie nie mogą się o was dowiedzieć.

— Jeśli znaczy to, że w wyniku naszych odwiedzin w innych posiadłościach, gdzie chcemy poszukać wiadomości o Ziemi, obawiasz się komplikacji — rzekł Pelorat — to oczywiście nie wspomnimy ani słowem o tym, że byliśmy tutaj. To zrozumiałe.

Bander potrząsnął głową.

— Już i tak za dużo zaryzykowałem. Oczywiście nic o tym nikomu nie powiem. Moje roboty też nie powiedzą, a nawet polecę im, żeby w ogóle wymazały to z pamięci. Wasz statek zostanie przeniesiony pod ziemię i zbadany w celu uzyskania maksimum informacji…

— Chwileczkę — rzekł Trevize. — Myślisz, że możemy tu czekać, aż zbadasz nasz statek? To niemożliwe.

— Wcale nie niemożliwe, bo nie będziecie tu mieli nic do gadania. Przykro mi. Chciałbym porozmawiać z wami dłużej o wielu różnych sprawach, ale widzę, że sytuacja staje się coraz groźniejsza.

— A skądże! — wykrzyknął Trevize.

— Niestety, tak, mizerny półczłowiecze. Obawiam się, że nadszedł czas, abym zrobił to, co moi przodkowie zrobiliby od razu. Muszę was zabić.

12. Na powierzchnię!

51

Trevize szybko odwrócił głowę i spojrzał na Bliss. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć, ale wzrok utkwiony był w Bandera, jak gdyby poza nim nie istniało nic więcej.

W szeroko otwartych oczach Pelorata malowało się zdumienie i niedowierzanie.

Nie wiedząc, co może zrobić Bliss, Trevize starał się zwalczyć ogarniającą go rozpacz (nie tyle na myśl o rychłej śmierci, ile dlatego, że będzie musiał umrzeć nie dowiedziawszy się, gdzie leży Ziemia i dlaczego wybrał Gaję jako model dalszego rozwoju ludzkości).

Starając się, aby głos jego zabrzmiał naturalnie i wyraźnie, powiedział:

— Przekonaliśmy się, Bander, że z natury jesteś dobry i szlachetny. Nie rozgniewało cię nasze wtargnięcie na twój świat. Byłeś nawet tak miły, że oprowadziłeś nas po swojej posiadłości i rezydencji i zaspokoiłeś naszą ciekawość, odpowiadając na liczne pytania. Myślę, że bardziej pasowałoby do ciebie, gdybyś pozwolił nam odlecieć. Nikt nie musi się dowiedzieć o naszym pobycie na tym świecie, a my nie mamy żadnego powodu, żeby tu kiedykolwiek wrócić. Przylecieliśmy tu w niewinnych zamiarach, poszukując tylko informacji.

— Rzeczywiście jest tak, jak mówisz — powiedział lekkim tonem Bander — i dotychczas darowałem wam życie. Ale wasz los był przypieczętowany już w chwili, kiedy weszliście w naszą atmosferę. Mogłem — i powinienem był — zabić was natychmiast po nawiązaniu z wami kontaktu. Potem powinienem był wydać odpowiedniemu robotowi polecenie przeprowadzenia sekcji waszych zwłok w celu uzyskania informacji o budowie ciała obcoświatowców.

Nie zrobiłem tego. Dałem się ponieść ciekawości i swemu niefrasobliwemu usposobieniu, ale dość już tego. Nie mogę tego dłużej przeciągać. Właściwie już i tak naraziłem na szwank bezpieczeństwo Solarii, bo gdybym przez chwilową słabość dał się przekonać i pozwolił wam odlecieć, to wkrótce zjawiliby się tu inni tacy jak wy, choćbyście nie wiem jak przysięgali, że do tego nie dojdzie.

Ale mogę zrobić dla was przynajmniej tyle, że śmierć, którą wam zadam, będzie bezbolesna. Po prostu podniosę temperaturę waszych mózgów i przestaną działać. Nie odczujecie żadnego bólu. Po prostu ustanie wasze życie. Po sekcji i zbadaniu waszych ciał zmienię je w jednym błysku w popiół i będzie po wszystkim.

— Jeśli już musimy umrzeć — rzekł Trevize to nie mam zamiaru protestować przeciwko szybkiej i bezbolesnej śmierci, ale dlaczego musimy umrzeć, skoro nie popełniliśmy żadnego przestępstwa?

— Sam wasz przylot tutaj był przestępstwem.

— Trudno to uzasadnić racjonalnie, skoro nie wiedzieliśmy i nie mogliśmy wiedzieć, że jest to przestępstwem.

— Społeczeństwo ustala, co jest przestępstwem. To, co dla was może być irracjonalne i arbitralne, nie musi być takie dla nas, a to jest nasz świat i mamy pełne prawo orzec, że w takiej i takiej sprawie postąpiliście źle i zasługujecie na śmierć.

Bander uśmiechnął się, jakby prowadzili miłą, towarzyską rozmowę, i ciągnął dalej:

— Zresztą nie masz prawa uskarżać się, że cię źle potraktowałem, bo sam nie jesteś lepszy. Masz miotacz, który wysyła wiązkę mikrofal wytwarzających wysoką, śmiercionośną temperaturę. Używając go, robisz dokładnie to samo, co ja zamierzam zrobić, ale jestem pewien, że śmierć zadana miotaczem jest o wiele bardziej bolesna i okrutna. Gdybym nie pozbawił go ładunku energii i był tak głupi, żeby dać ci wystarczającą swobodę ruchów, byś mógł go wyciągnąć z kabury, to nie zawahałbyś się ani chwili, żeby go teraz użyć przeciw mnie.

Trevize, bojąc się nawet zerknąć na Bliss, aby nie zwrócić na nią uwagi Bandera, powiedział z rozpaczą:

— Proszę cię, żebyś się ulitował nad nami i nie robił tego.

— Przede wszystkim muszę się ulitować nad sobą i nad moim światem — powiedział Bander, robiąc nagle ponurą minę — i dlatego musicie umrzeć.

Podniósł rękę i natychmiast Trevizego ogarnął mrok.

52

Przez chwilę Trevize czuł duszącą go ciemność. Czy to śmierć? — pomyślał z niepokojem.

W tej samej chwili, jak gdyby myśl ta zbudziła echo, usłyszał wypowiedziane szeptem: — Czy to śmierć? — Rozpoznał głos Pelorata. Spróbował sam szepnąć i stwierdził, że mu się to udało.

— Po co pytasz? — rzekł z uczuciem wielkiej ulgi. — Już sam fakt, że możesz pytać, świadczy, że to nie jest śmierć.

— Według starych legend istnieje życie po śmierci.

— Bzdury — mruknął Trevize. — Bliss. Bliss, jesteś tutaj? — spytał.

Nie było odpowiedzi.

I znowu Pelorat powtórzył jak echo:

— Bliss, Bliss. Co się stało, Golan?

— Bander musi być martwy. W tej sytuacji nie może zapewnić dopływu energii do swej posiadłości. Zgasło światło.

— Ale jak… Chcesz powiedzieć, że to dzieło Bliss?

— Tak przypuszczam. Mam nadzieję, że jej się nic nie stało.

Zaczął pełzać na czworakach w absolutnych ciemnościach panujących w podziemnej siedzibie Bandera (jeśli nie liczyć okazyjnego, niedostrzegalnego błysku radioaktywnego atomu rozpadającego się w którejś ze ścian).

W końcu jego ręka trafiła na jakiś ciepły i miękki kształt. Przesunął dłonią wzdłuż tego czegoś i rozpoznał dotykiem nogę. Była za mała, aby należeć do Bandera. Chwycił ją.

— Bliss, to ty? — Noga odepchnęła go. Bliss… Powiedz coś! — rzekł.

— Żyję — usłyszał wyraźnie zniekształcony głos Bliss.

— Ale dobrze się czujesz? — spytał.

— Nie. — W tej samej chwili zapaliło się światło, choć świeciło słabo. Ściany to przygasały, to rozjaśniały się.

Zobaczyli Bandera leżącego z rozrzuconymi bezwładnie rękami i nogami. Obok niego, trzymając go za głowę, siedziała Bliss. Spojrzała na nich.

— Nie żyje — powiedziała i po policzkach popłynęły jej łzy.

Trevize zgłupiał na ten widok.

— Dlaczego płaczesz? — spytał.

— A jak mam nie płakać, skoro zabiłam żywą, myślącą istotę? Nie miałam takiego zamiaru.

Trevize nachylił się ku niej, chcąc jej pomóc wstać, ale odtrąciła go.

Teraz z kolei ukląkł przy niej Pelorat. Powiedział łagodnie:

— Bliss, nie przywrócisz mu przecież życia. Powiedz nam, co się stało.

Pozwoliła, aby ją podniósł i powiedziała martwym głosem:

— Gaja potrafi robić to samo, co potrafił Bander. Może korzystać z faktu, że energia we wszechświecie rozmieszczona jest nierównomiernie i przekształcać ją w pracę, posługując się siłą swego umysłu.

— Wiedziałem o tym — powiedział Trevize. Chciał ją pocieszyć, ale zupełnie nie wiedział, jak to zrobić. — Dobrze pamiętam nasze spotkanie w przestrzeni, kiedy schwytałaś… a raczej kiedy Gaja przechwyciła nasz statek. Pomyślałem o tym, kiedy Bander, zabrawszy mi broń, nie pozwolił mi się ruszyć. Ciebie też wtedy trzymał, ale byłem pewien, że gdybyś zechciała, to uwolniłabyś się.

— Nie. Nie dałabym rady. Kiedy ja-my-Gaja trzymaliśmy wasz statek — powiedziała ze smutkiem — to ja i Gaja stanowiliśmy naprawdę jedność. Teraz jesteśmy rozdzieleni nadprzestrzenią, co osłabia moje-nasze-Gai zdolności. Poza tym Gaja robi wszystko tylko dzięki sile połączonych mózgów, którym brakuje takich przekaźników energii, jakie miał ten Solarianin. Nie potrafimy korzystać z energii tak zręcznie i bez wysiłku, a jednocześnie tak efektywnie, jak on potrafił… Widzisz, że nie mogę sprawić, aby światło było jaśniejsze. Nie wiem nawet, przez ile czasu będę mogła utrzymać choćby taki mdły blask. W końcu zmęczę się, a Bander dostarczał mocy całej swej wielkiej posiadłości, i to nawet wtedy, kiedy spał.

— Ale powstrzymałaś go — powiedział Trevize. — Tylko dlatego, że nie podejrzewał, że mam takie zdolności — powiedziała Bliss — i że niczym nie zdradziłam się, że je posiadam. Ponieważ nie podejrzewał mnie o to, nie zwracał na mnie w ogóle uwagi. Skoncentrował całą swoją uwagą na tobie, ponieważ tylko ty miałeś broń… i tym razem okazało się, że dobrze zrobiłeś, biorąc ją ze sobą.:. Musiałam czekać, aż zdarzy się okazja, żeby go unieruchomić jednym, niespodziewanym ciosem. Kiedy był już o włos od zabicia ciebie, kiedy cały jego umysł zajęty był tobą, wtedy wreszcie mogłam uderzyć.

— I udało ci się to znakomicie.

— Jak możesz mówić takie okrutne rzeczy? Chciałam go tylko powstrzymać. Chciałam tylko zablokować te jego przekaźniki. Byłby zaskoczony, kiedy by nagle stwierdził, że nie może nas zabić, a za to gaśnie światło. Wtedy wzmocniłabym swój chwyt, uśpiła go na dłuższy czas i odblokowała przekaźniki. W takiej sytuacji dostarczałby nadal energii dla swej rezydencji, paliłyby się światła, moglibyśmy więc wydostać się na powierzchnię, wsiąść na statek i odlecieć. Miałam nadzieję, że uda mi się wszystko tak załatwić, by Bander, obudziwszy się, zapomniał o wszystkim, co się zdarzyło od momentu,

kiedy nas zobaczył. Gaja nie chce zabijać, żeby osiągnąć to, co można osiągnąć bez zabijania.

— Co się zepsuło w tym planie, Bliss? — spytał łagodnie Pelorat.

— Nigdy przedtem nie zetknęłam się z czymś takim, jak te przekaźniki energii Bandera, i nie miałam czasu, aby się nimi zająć i poznać ich działanie. Po prostu wykonałam szybko ten manewr blokujący i, jak się okazało, zrobiłam to niewłaściwie. Zablokowałam nie wejście, ale wyjście energii. Co prawda zawsze płyną do tych przekaźników duże ilości energii, ale normalnie mózg broni się przed zbyt dużą jej ilością, oddając ją równie szybko, jak napływa. Kiedy jednak zablokowałam wyjście, natychmiast zgromadziła się tam zbyt duża ilość energii i w ułamku sekundy temperatura wewnątrz mózgu podniosła się do takiej wysokości, że białko, z którego był zbudowany, uległo denaturacji i Bander padł trupem. Zgasło światło, więc natychmiast usunęłam blokadę, ale, oczywiście, było już za późno.

— Nie przypuszczam, żebyś mogła zrobić coś innego niż to, co zrobiłaś, kochanie — powiedział Pelorat.

— Co to za pociecha, skoro go zabiłam.

— On sam chciał nas właśnie zabić — rzekł Trevize.

— To był powód, żeby go powstrzymać, a nie, żeby go zabijać.

Trevize zamilkł. Nie chciał okazać zniecierpliwienia, aby nie urazić albo jeszcze bardziej nie zasmucić Bliss, która była przecież ich jedyną obroną na tym nadzwyczaj wrogim świecie.

— Bliss — powiedział po chwili wahania — czas już przestać myśleć o jego śmierci i zastanowić się, co dalej. Ponieważ Bander nie żyje, praktycznie ustał dopływ energii do jego posiadłości. Wcześniej czy później, prawdopodobnie dosyć szybko, zauważą to inni Solarianie. Będą musieli sprawdzić, co się stało. Nie przypuszczam, żebyś potrafiła odeprzeć zmasowany atak kilku z nich. Poza tym, jak sama powiedziałaś, nie będziesz w stanie podtrzymywać długo nawet tego ograniczonego dopływu energii. Dlatego musimy bezzwłocznie wydobyć się na powierzchnię i dostać do statku.

— Ale jak to mamy zrobić, Golan? — spytał Pelorat. — Przebyliśmy wiele kilometrów krętymi korytarzami. Zdaje mi się, że jest tu istny labirynt pomieszczeń i ja osobiście nie mam najmniejszego pojęcia, którędy można wydostać się na powierzchnię. Zawsze miałem słabą orientację.

Trevize rozejrzał się i uświadomił sobie, że Pelorat ma rację.

— Przypuszczam — powiedział — że jest tu wiele otworów prowadzących na powierzchnię i nie musimy szukać tego, którym się tu dostaliśmy.

— Ale nie wiemy, gdzie są te otwory. Jak je odnajdziemy?

Trevize odwrócił się do Bliss.

— Możesz wykryć coś, co pomogłoby nam wydostać się stąd? —

spytał.

— Wszystkie roboty na terenie posiadłości przestały funkcjonować — powiedziała Bliss. — Wyczuwam słabe odgłosy życia ponad naszymi głowami, ale są to stworzenia nieinteligentne i mówi mi to tylko to, co i tak wiemy — że powierzchnia jest nad nami.

— No cóż — powiedział Trevize — nie pozostaje nam nic innego, jak poszukać jakiegoś wyjścia.

— Na chybił trafił — powiedział z przerażeniem Pelorat. — Nigdy się to nam nie uda.

— Może się uda, Janov — rzekł Trevize. — Jeśli będziemy szukali, to jest szansa, chociażby minimalna, że znajdziemy. Natomiast jeśli zostaniemy tu, to na pewno się nam nie uda. Trzeciego wyjścia nie ma. Lepsza minimalna szansa niż żadna.

— Zaczekajcie — powiedziała Bliss. — Coś wyczuwam.

— Co? — spytał Trevize.

— Umysł.

— Inteligentny?

— Tak, choć, jak mi się zdaje, w ograniczonym stopniu. Ale to, co wyczuwam najwyraźniej, to coś zupełnie innego.

— Co? — spytał Trevize, znowu starając się opanować zniecierpliwienie.

— Strach! Ogromny strach! — powiedziała szeptem Bliss.

53

Trevize rozejrzał się ponuro. Wiedział, którędy weszli, ale nie miał żadnych złudzeń, że uda mu się odnaleźć całą drogę, którą tu przybyli. W końcu prawie nie zwracał uwagi na zakręty. Kto by się spodziewał, że będą musieli sami szukać drogi powrotnej, do tego w słabym, migoczącym świetle?

— Jak myślisz, Bliss, uda ci się uruchomić ten pojazd? — spytał.

— Tego jestem pewna, ale to nie znaczy, że potracę go prowadzić.

— Zdaje mi się — powiedział Pelorat — że Bander kierował nim myślą. Nie zauważyłem, żeby czegoś dotykał.

— Tak, Pel, myślą — odparła spokojnie Bliss ale jak? Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że za pomocą jakichś dźwigni czy sterów. Jeśli nie wiem, jak się posługiwać takimi urządzeniami, to niewiele mi to da, prawda?

— Ale możesz spróbować — powiedział Trevize. — Jeśli spróbuję, to będę musiała włożyć w to cały umysł, a w takim przypadku wątpię, czy będę w stanie utrzymać tu światło. Pojazd na nic się nam nie zda w ciemnościach, nawet jeśli zorientuję się, jak go prowadzić.

— Wobec tego musimy iść pieszo?

— Obawiam się, że tak.

Trevize przyjrzał się badawczo głębokim, ponurym ciemnościom, które rozciągały się za otaczającym ich wąskim kręgiem przyćmionego światła. Nic nie widział, nic nie słyszał.

— Dalej czujesz obecność tego przestraszonego umysłu? — spytał.

— Tak.

— Możesz się zorientować, gdzie to jest? Możesz tam trafić?

— Zmysł, którym to czuję, odbiera wrażenia w linii prostej. Nie przeszkadzają mu normalne przedmioty materialne, ta fala nie odbija się, ani nie załamuje, jak fala dźwiękowa czy świetlna. Dlatego jestem pewna, że ten umysł znajduje się tam. Wskazała jakieś miejsce w ledwie widocznej w mroku ścianie i dodała: — Ale przez ścianę nie przejdziemy. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko pójść korytarzem i postarać się znaleźć jakąś drogę do tego miejsca. Będę wiedziała, czy dobrze idziemy, bo w miarę jak będziemy się zbliżali, będę czuć coraz intensywniej obecność tego umysłu. Krótko mówiąc, będziemy musieli zagrać w „ciepło — zimno".

— No to w drogę.

Pelorat nie ruszył się.

— Zaczekaj, Golan — powiedział. — Na pewno chcesz znaleźć to coś? Jeśli jest wystraszone, to może się okazać, że my też będziemy mieli powód do strachu.

Trevize niecierpliwie potrząsnął głową.

— Nie mamy wyboru, Janov. To jest istota inteligentna, bez względu na to, czy się boi, czy nie. Może zechce wyprowadzić nas na powierzchnię.

— I zostawimy tu tak Bandera? — spytał Pelorat z niepokojem.

Trevize ujął go za łokieć.

— Chodź, Janov. W tej sprawie też nie mamy wyboru. W końcu jakiś Solarianin ożywi to miejsce i jakiś robot znajdzie ciało i zajmie się nim… Mam nadzieję, że do tego czasu będziemy już daleko stąd.

Trevize puścił Bliss przodem. Wokół niej światło było najsilniejsze. Idąc, zatrzymywała się w każdych drzwiach, przy każdym rozwidleniu korytarza, starając się zorientować, z której strony dochodzi wyczuwany przez nią strach. Czasami przechodziła przez jakieś drzwi albo zapuszczała się w jakieś odgałęzienia korytarza po to tylko, aby wrócić i spróbować innej drogi. Trevize przyglądał się temu bezradnie.

Za każdym jednak razem Bliss ruszała w końcu pewnie w jakimś kierunku, a światło poruszało się przed nią. Trevizemu wydawało się, że jest teraz jaśniejsze — może dlatego, że jego wzrok przywykł do półmroku, a może dlatego, że Bliss uczyła się powoli jak najskuteczniej kontrolować przekazywanie energii. W pewnej chwili, kiedy przechodzili obok jednego z metalowych prętów sterczących z podłogi, położyła na nim rękę i światło wyraźnie się rozjaśniło. Kiwnęła głową, jak gdyby była z siebie zadowolona.

Nie natknęli się na nic, co by już widzieli. Wydawało się pewne, że idą inną drogą niż ta, którą przywiózł ich Bander.

Trevize wypatrywał korytarzy prowadzących stromo do góry, poszukując w ich sklepieniach jakichś oznak świadczących, że mogą tam być włazy. Nie znalazł nic takiego i ta przestraszona istota pozostała ich jedyną szansą na wydostanie się z podziemi.

Wokół panowała cisza, w której słychać było tylko ich kroki, ciemność, którą rozjaśniało tylko światło w ich bezpośredniej bliskości i martwota, w której byli jedynymi żywymi istotami. Od czasu do czasu natykali się na robota stojącego lub siedzącego w bezruchu. Raz weszli na robota, który leżał na boku, z rękami i nogami zamarłymi w jakichś dziwnych pozycjach. „W chwili kiedy ustał dopływ energii — pomyślał Trevize — musiał stracić równowagę i upadł. Bander, nawet żywy, nie miał wpływu na działanie grawitacji. Może roboty stoją teraz lub leżą bez ruchu na całej rozległej posiadłości Bandera? Na pewno zostanie to szybko zauważone na granicach z innymi posiadłościami.”

„A może nie — pomyślał nagle. — Solarianie wiedzieliby, kiedy ktoś z nich starzałby się i był bliski śmierci. W takim przypadku cały świat czekałby na oznaki wskazujące, że zmarł. Ale Bander zmarł

nagle, w kwiecie wieku. Kto mógł się tego spodziewać? Kto czekałby na unieruchomienie robotów?”

„Jednak nie — Trevize odrzucił tę optymistyczną wersję, gdyż mogła ona tylko napełnić go zbytnią pewnością siebie, co byłoby niebezpieczne. — Solarianie na pewno zauważyliby od razu, że na posiadłości Bandera ustała wszelka praca, i natychmiast przystąpiliby do działania. Wszyscy oni byli za bardzo zainteresowani sprawą dziedziczenia posiadłości, żeby przejść nad czymś takim do porządku dziennego.”

— Wentylacja nie działa — mruknął z niezadowoleniem Pelorat. — Takie miejsce pod ziemią musi być wentylowane i Bander dostarczał aparaturze niezbędnej energii. Teraz przestała działać.

— To jest bez znaczenia, Janov — powiedział Trevize. — W tym pustym podziemiu jest tyle powietrza, że wystarczyłoby go nam na parę lat.

— Ale jesteśmy tu zamknięci. To przykre uczucie.

— Daj spokój, Janov, chyba nie ogarnia cię klaustrofobia?… Bliss, zbliżyliśmy się choć trochę do tego miejsca?

— Już niedaleko — odpowiedziała. — Czuję to teraz o wiele silniej i mogę dokładniej określić miejsce, z którego to dochodzi.

Rzeczywiście, szła o wiele pewniej, mniej wahając się na skrzyżowaniach i rozwidleniach.

— Tam! Tam! — powiedziała raptem. — Teraz czuję to bardzo silnie.

— Teraz nawet ja słyszę — powiedział oschle Trevize.

Przystanęli i odruchowo wstrzymali oddech. Słyszeli ciche, spazmatyczne łkanie.

Weszli do dużego pokoju i kiedy zapaliło się światło, przekonali się, że — w odróżnieniu od wszystkich pomieszczeń, które dotychczas widzieli — był on bogato i kolorowo umeblowany.

Pośrodku pokoju stał lekko pochylony robot z rękami wyciągniętymi w — wydawało się — niemal czułym geście, choć, oczywiście, był absolutnie nieruchomy.

Za robotem dostrzegli jakiś ruch. Spoglądało na nich stamtąd okrągłe z przerażenia oko i stamtąd też docierał nadal, chwytający za serce płacz.

Trevize błyskawicznie skoczył, minął robota i w tej samej chwili z drugiej strony robota wybiegła z wrzaskiem niewielka postać. Potknęła się i upadła. Leżąc, zakryła oczy i zaczęła na oślep machać nogami, jakby chciała się obronić przed niebezpieczeństwem, ale nie wiedziała, z której przyjdzie strony. Cały czas rozpaczliwie wrzeszczała.

— To dziecko! — powiedziała zupełnie niepotrzebnie Bliss.

54

Trevize cofnął się zaskoczony. Co tu robi dziecko? Bander był taki dumny ze swej samotności, tak się nią chwalił.

Pelorat, mniej skłonny do posługiwania się logiką w dziwnej sytuacji, znalazł rozwiązanie od razu:

— Podejrzewam, że to następca Bandera.

— To dziecko Bandera — zgodziła się Bliss ale myślę, że jest za młode, aby zostać jego następcą. Solarianie będą musieli sobie znaleźć innego następcę.

Patrzyła łagodnie na dziecko i pod wpływem jej hipnotyzującego, choć nie natarczywego wzroku dziecko z wolna zaczęło się uspokajać. Otworzyło oczy i spojrzało na Bliss. Ucichło i tylko od czasu do czasu z jego piersi wydobywał się urywany szloch.

Bliss przemówiła do niego. Mówiła spokojnie i łagodnie, urywanymi słowami, które same w sobie nie miały żadnego sensu, ale chciała głosem wzmocnić swe uspokajające działanie myślowe. Było to zupełnie tak, jak gdyby gładziła mózg dziecka i doprowadzała do ładu jego potargane emocje.

Powoli, nie odrywając oczu od Bliss, dziecko podniosło się. Stało chwilę, kołysząc się niepewnie, a potem rzuciło się ku zamarłemu w dziwnej pozie robotowi. Objęło ramionami jego masywną nogę, jak gdyby kontakt z robotem dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

— Zdaje mi się — powiedział Trevize — że ten robot jest jego niańką czy opiekunem. Podejrzewam, że żaden Solarianin nie może zajmować się innym, nawet jeśli jest to jego dziecko.

— A ja podejrzewam, że to dziecko jest hermafrodytą — rzekł Pelorat.

— Na pewno — stwierdził Trevize.

Bliss, wciąż całkowicie zajęta dzieckiem, zbliżyła się do niego powoli, z na pół wyciągniętymi rękami, zwróconymi ku niej spodami dłoni, jakby chciała pokazać, że nie chce go schwytać. Dziecko uciszyło się już zupełnie i przyglądało się Bliss, przywierając jeszcze mocniej do nogi robota.

— No, dziecko — powiedziała Bliss — nie bój się… jest ci ciepło… wygodnie… nic ci nie grozi…

Zatrzymała się i nie oglądając się, powiedziała cicho:

— Pel, przemów do niego w jego języku. Powiedz mu, że jesteśmy robotami i przyszliśmy tu zająć się nim, bo zabrakło prądu.

— Robotami! — powtórzył wstrząśnięty Pelorat.

— Musimy się przedstawić jako roboty. Ono nie boi się robotów, za to nigdy nie widziało człowieka. Może nawet nie wie, że istnieją ludzie.

— Nie wiem, czy potrafię to powiedzieć — rzekł Pelorat. — Nie znam starożytnej nazwy robotów.

— No to powiedz po prostu „robot", Pel. Jeśli to nie odniesie skutku, to powiedz „żelazny przedmiot" czy coś takiego. Powiedz to, co zdołasz.

Powoli, robiąc długie przerwy, Pelorat powiedział coś dziecku. Spojrzało na niego, marszcząc czoło, jakby starało się zrozumieć, co mówi.

— Skoro już do niego mówisz, to możesz od razu zapytać się, jak się stąd wydostać — powiedział Trevize.

— Nie — rzekła Bliss. — Jeszcze nie teraz. Najpierw trzeba zdobyć zaufanie, a dopiero potem pytać o informacje.

Dziecko, patrząc teraz na Pelorata, przestało się już tak kurczowo trzymać nogi robota i powiedziało coś wysokim, muzykalnym głosem.

— Mówi zbyt szybko, żebym mógł zrozumieć rzekł z zatroskaniem Pelorat.

— Poproś, żeby to powtórzyło wolniej — poradziła Bliss. — Robię, co mogę, żeby je uspokoić i pozbawić lęku.

Pelorat, wysłuchawszy jeszcze raz dziecka, powiedział:

— Zdaje mi się, że pyta, co zatrzymało Jemby'ego. Jemby to musi być ten robot.

— Upewnij się, Pel.

Pelorat zwrócił się jeszcze raz do dziecka, wysłuchał go i rzekł:

— Tak, Jemby to ten robot. Dziecko nazywa się Fallom.

— Świetnie! — Bliss uśmiechnęła się do dziecka promiennie i wskazując na nie palcem powiedziała: — Fallom. Dobry Fallom. Dzielny Fallom. — Potem położyła dłoń na piersi i rzekła: — Bliss.

Dziecko odpowiedziało jej uśmiechem. Wyglądało uroczo, kiedy się uśmiechało.

— Bliss — powtórzyło, lekko przeciągając „s".

— Słuchaj, Bliss — powiedział Trevize — gdyby udało ci się uruchomić tego robota, Jemby'ego, to może on mógłby nam powiedzieć to, czego chcemy się dowiedzieć. Pelorat może z nim porozmawiać równie łatwo, jak z dzieckiem.

— To byłby błąd — odparła Bliss. — Podstawowym zadaniem tego robota jest chronić dziecko. Gdybym go uruchomiła i gdyby nagle zdał sobie sprawę z naszej obecności, z obecności ludzi, to mógłby nas natychmiast zaatakować. Nie może tu być żadnych obcych ludzi. Gdybym w związku z tym musiała go na powrót unieruchomić, to nie udzieliłby nam żadnej informacji, a dziecko, widząc, że robot, którego uważa na pewno za rodzica, został unieruchomiony po raz drugi… Nie, nie zrobię tego.

— Ale mówiono nam — wtrącił nieśmiało Pelorat — że roboty nie mogą wyrządzić ludziom krzywdy.

— Owszem — odparła Bliss — ale nie wiemy, jakie roboty skonstruowali ci Solarianie. A zresztą nawet gdyby ten robot był tak zaprogramowany, że nie mógłby ludziom zrobić krzywdy, to musiałby wybierać między dzieckiem a trzema obiektami, których być może nie zidentyfikowałby nawet jako ludzi, a tylko jako niepożądanych intruzów. Naturalnie wybrałby dziecko i zaatakował nas.

Znowu odwróciła się do dziecka.

— Fallom — powiedziała — Bliss. — Potem, wskazując palcem po kolei na Pelorata i Trevizego, rzekła: — Pel… Trev.

— Pel. Trev — powtórzyło posłusznie dziecko.

Podeszła do niego bliżej i wolno wyciągnęła ku niemu ręce. Popatrzyło na nią i cofnęło się o krok.

— Uspokój się, Fallom — powiedziała. — Dobry Fallom. Chodź tu, Fallom. Dotknij mnie.

Dziecko podeszło do niej i Bliss westchnęła z ulgą

— Dobrze, Fallom.

Dotknęła nagiego ramienia dziecka, gdyż jak jego rodzic miało na sobie tylko długą, rozciętą na przodzie szatę i przepaskę na biodrach. Zrobiła to bardzo delikatnie. Potem cofnęła rękę, poczekała chwilę i znowu dotknęła go. Pogładziła jego ramię.

Pod wpływem silnego, uspokajającego działania Bliss dziecko na pół przymknęło powieki.

Bliss powoli, łagodnie, zaledwie dotykając skóry, pogładziła jego ramię, kark i uszy, a potem włożyła dłoń pod długie brązowe włosy i pogłaskała go za uszami.

Zabrała rękę i powiedziała:

— Przekaźniki ma jeszcze małe. Ma jeszcze niezupełnie rozwinięte kości czaszki. Jest tam twarda warstwa skóry, która z czasem wybrzuszy się i po pełnym rozwinięciu się przekaźników przekształci w chroniącą je kość… Znaczy to, że teraz nie potrafi ono zarządzać posiadłością ani nawet uruchomić swojego osobistego robota… Zapytaj je, ile ma lat, Pel.

Po krótkiej wymianie słów Pelorat rzekł:

— Jeśli dobrze zrozumiałem, czternaście.

— Wygląda raczej na jedenaście — powiedział Trevize.

— Długość roku na tym świecie może nie odpowiadać ściśle długości standardowego roku galaktycznego — rzekła Bliss. — Poza tym Przestrzeńcy żyją podobno dłużej i jeśli Solarianie są pod tym względem tacy sami jak inni Przestrzeńcy, to mogą też mieć dłuższe poszczególne okresy rozwoju. W końcu nie można sugerować się latami.

— Dosyć już tej antropologii — powiedział Trevize z niecierpliwym cmoknięciem. — Musimy dostać się na powierzchnię i być może tracimy niepotrzebnie czas, zajmując się tym dzieckiem.

Może nie zna drogi na powierzchnię. Może nigdy tam nie było.

— Pel! — powiedziała Bliss.

Pelorat wiedział, o co jej chodzi, i wdał się w najdłuższą swą rozmowę z Fallomem. Kiedy skończył, powiedział:

— Ono wie, co to słońce. Mówi, że widziało je. Myślę, że widziało też drzewa. Zachowywało się tak, jakby nie bardzo wiedziało, co znaczy to słowo… a przynajmniej słowo, którego ja użyłem.

— Dobrze, Janov — rzekł Trevize — ale przejdź do rzeczy.

— Powiedziałem mu, że gdyby wyprowadził nas na powierzchnię, to może udałoby się nam uruchomić jego robota. Prawdę mówiąc, powiedziałem, że go uruchomimy. Myślisz, że możemy to zrobić?

— Potem będziemy się o to martwić — odparł Trevize. — Powiedział, że nas tam zaprowadzi?

— Tak. Widzisz, myślałem, że jeśli mu obiecam, że uruchomimy tego robota, to tym chętniej zaprowadzi nas na górę. Myślę, że ryzykujemy, że go rozczarujemy…

— Chodź — powiedział Trevize. — Idziemy. Cała ta dyskusja stanie się akademicka, jeśli złapią nas pod ziemią.

Pelorat powiedział coś dziecku, które zaczęło biec, ale zatrzymało się i spojrzało na Bliss. Bliss wyciągnęła do niego rękę i poszli razem.

— Jestem nowym robotem — powiedziała, uśmiechając się lekko.

— Wydaje się, że jest z tego dość zadowolony powiedział Trevize, wskazując na Falloma.

Fallom szedł podskakując i Trevize przez chwilę zastanawiał się, czy cieszy się tylko dlatego, że Bliss o to zadbała, czy może także dlatego, że ma trzy nowe roboty i wyjdzie na powierzchnię albo że będzie miał z powrotem swego Jemby'ego. Zresztą dopóki dziecko było z nimi, nie miało to znaczenia.

Fallom szedł przed siebie bez wahania. Tam, gdzie korytarz się rozwidlał, nie zastanawiał się ani chwili, którą wybrać drogę. Czy rzeczywiście znał tak dobrze drogę, czy — jak to dziecku — było mu obojętne, którędy pójdzie? Czyżby traktował to tylko jako zabawę, nie zmierzając do żadnego konkretnego miejsca?

Jednak z faktu, że szło mu się teraz ciężej, Trevize wywnioskował, że idą pod górę, a dziecko, pochylając się z przejęciem do przodu, bez przerwy na coś wskazywało i szczebiotało.

Trevize spojrzał na Pelorata, który chrząknął i powiedział:

— Zdaje mi się, że to, co on mówi, znaczy „drzwi".

— Mam nadzieję, że ci się dobrze zdaje — mruknął Trevize.

Fallom wybiegł przed nich. Wskazał na kawałek posadzki, który był ciemniejszy niż reszta. Stanął na nim, podskoczył kilka razy, a potem odwrócił się do nich z wyraźnym strachem i zaczął coś szybko mówić.

— Będę musiała dostarczyć energii — powiedziała Bliss z

grymasem. — Zaczyna mnie to już wyczerpywać.

Poczerwieniała na twarzy z wysiłku. Światło przygasło, ale akurat naprzeciw Falloma otworzyły się drzwi. Dziecko roześmiało się dźwięcznym sopranem i wybiegło z podziemi. Za nim wyszli Pelorat i Trevize. Bliss wyszła ostatnia i obejrzała się. Światło wewnątrz pociemniało i drzwi zatrzasnęły się. Wtedy zatrzymała się, aby zaczerpnąć tchu. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

— No to — powiedział Pelorat — jesteśmy na górze. Gdzie jest statek?

Zapadał zmrok, ale było jeszcze zupełnie jasno.

— Zdaje mi się, że w tamtym kierunku — mruknął Trevize.

— Mnie się też tak zdaje — powiedziała Bliss. Chodźmy. — Wyciągnęła rękę do Falloma.

Nie słychać było nic prócz szumu wiatru i głosów zwierząt. W pewnej chwili minęli robota stojącego nieruchomo obok drzewa i trzymającego jakiś przedmiot o nie znanym przeznaczeniu.

Pelorat zrobił z ciekawości krok w jego stronę, ale Trevize powstrzymał go:

— To nie nasza sprawa, Janov. Idziemy.

Minęli innego robota, w większej odległości. Ten dla odmiany leżał.

— Myślę — powiedział Trevize — że teren w promieniu paru kilometrów zagracony jest robotami. — A zaraz potem dodał triumfalnie: — Aha, jest statek.

Przyspieszyli kroku, a potem nagle się zatrzymali. Fallom aż zapiszczał z emocji. Na ziemi obok statku stało coś, co okazało się pojazdem powietrznym o prymitywnej konstrukcji, ze śmigłami, które wyglądały na pożerające mnóstwo energii, choć kruche. Obok niego, między małą grupką obcoświatowców a ich statkiem stało czterech ludzi.

— Za późno — powiedział Trevize. — Zmarnowaliśmy za dużo czasu. Co teraz?

— Czterech Solarian? — rzekł z niedowierzaniem Pelorat. — To niemożliwe. Na pewno nie zgodziliby się na tak bliski wzajemny kontakt. Myślisz, że to obrazy holograficzne?

— Są najzupełniej materialni — powiedziała Bliss. — Jestem tego pewna. Ale to nie są Solarianie. Nie można nie rozpoznać tych umysłów. To roboty.

55

— No, cóż — powiedział Trevize znużonym głosem. — Naprzód! — Ruszył powoli w stronę statku. Za nim pozostali.

Pelorat spytał, z trudem chwytając powietrze:

— Co chcesz zrobić?

— Jeśli to roboty, to muszą słuchać rozkazów. Roboty czekały na nich nieruchomo. Trevize przyjrzał im się dokładnie, kiedy podeszli bliżej.

Tak, to muszą być roboty. Ich twarze, choć wyglądały jak normalne, ludzkie z krwi i kości, były dziwnie nieruchome i bez wyrazu. Wszystkie roboty ubrane były w mundury, które nie ukazywały nawet centymetra skóry. Nawet na rękach miały cienkie, nieprzejrzyste rękawice.

Trevize machnął ręką w sposób, który dawał niedwuznacznie do zrozumienia, że mają się usunąć z drogi.

Roboty nie poruszyły się.

Trevize rzekł cicho do Pelorata:

— Wyraź to słowami, Janov. Mów stanowczo. Pelorat chrząknął, a potem, mówiąc niezwykłym u niego basem, rzekł coś powoli, powtarzając jednocześnie poprzedni gest Trevizego. Na to jeden z robotów, który był chyba trochę wyższy od pozostałych, odrzekł coś zimnym i ostrym tonem.

Pelorat odwrócił się do Trevizego.

— Zdaje się, że powiedział, że jesteśmy obcoświatowcami.

— Powiedz mu, że jesteśmy ludźmi i że musi nas słuchać.

— Rozumiem, co mówisz, obcoświatowcu odezwał się nagle robot w dziwnie brzmiącym, ale zrozumiałym języku. — Mówię po galaktycznemu. Jesteśmy strażnikami.

— A więc słyszałeś, że jesteśmy ludźmi i że z tego powodu musisz słuchać naszych poleceń.

— Jesteśmy tak zaprogramowani, żeby słuchać tylko poleceń Władców. Nie jesteście Władcami ani Solarianami. Władca .Bander nie odpowiedział w zwykłej porze na nasz sygnał, więc przylecieliśmy, żeby zbadać na miejscu, co się stało. To nasz obowiązek. Znaleźliśmy statek kosmiczny niesolariańskiej produkcji, kilku obcoświatowców i unieruchomione wszystkie roboty Bandera. Gdzie jest Władca Bander?

Trevize wzruszył ramionami i powiedział wolno i wyraźnie:

— Nie wiemy, o czym mówisz. Nasz komputer pokładowy źle działa. Znaleźliśmy się, wbrew naszym zamiarom, w pobliżu tej dziwnej planety. Wylądowaliśmy, aby dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Znaleźliśmy wszystkie roboty unieruchomione. Nie wiemy, co mogło się tu zdarzyć.

— To nie jest wiarygodne. Jeśli wszystkie roboty w całej posiadłości są unieruchomione i brak energii, to Władca Bander musi być martwy. Przypuszczenie, że przypadkowo zmarł akurat wtedy, kiedy wylądowaliście, jest nielogiczne. Musi między tymi zdarzeniami istnieć jakiś związek przyczynowy.

— Ale przecież nie brak tu energii — powiedział Trevize bez jasno sprecyzowanego zamiaru, raczej po to, żeby zagmatwać sprawę i dowieść, że on, obcy, nie rozumie, o co chodzi, a więc jest niewinny. — Wy nie jesteście unieruchomieni.

— My jesteśmy strażnikami — odparł robot. Nie należymy do żadnego władcy. Należymy do całego świata. Nie uzyskujemy energii od Władców mamy zasilanie jądrowe. Pytam raz jeszcze — gdzie jest Władca Bander?

Trevize spojrzał na towarzyszy. Pelorat miał zaniepokojoną minę, Bliss mocno zaciśnięte usta, ale była spokojna. Fallom drżał, lecz Bliss dotknęła jego ramienia i trochę się uspokoił. Zniknęła też z jego twarzy przerażona mina.

— Pytam po raz ostatni — rzekł robot — gdzie jest władca Bander?

— Nie wiem — odparł ponuro Trevize.

Robot skinął i dwa pozostałe szybko odeszły.

— Moi koledzy przeszukają rezydencję — powiedział. — Na razie zostaniecie zatrzymani do wyjaśnienia. Daj mi te przedmioty, które masz przy boku.

Trevize cofnął się o krok.

— Nie są niebezpieczne — powiedział.

— Nie ruszaj się. Nie pytam o ich charakter, czy są niebezpieczne, czy nie. Proszę o nie.

— Nie dam.

Robot zrobił krok w jego stronę i wyciągnął rękę tak szybko, że zanim Trevize zorientował się, co się dzieje, trzymał ją już na jego ramieniu. Uścisk ręki robota był tak silny, że Trevize osunął się na kolana.

— Te przedmioty — powiedział robot i wyciągnął drugą rękę.

— Nie dam — wykrztusił Trevize.

Bliss skoczyła do przodu, wyjęła miotacz z kabury, zanim Trevize, tkwiący w uchwycie robota jak w imadle, zdołał coś zrobić, aby jej przeszkodzić, i podała go robotowi.

— Proszę — powiedziała — i jeśli dasz mi jeszcze chwilę, dam ci drugi. Oto on. A teraz puść mojego towarzysza.

Robot, trzymając broń, cofnął się o krok i Trevize wolno podniósł się na nogi, pocierając lewe ramię. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Fallom załkał i Pelorat machinalnie wziął go na ręce i przycisnął do siebie.

— Dlaczego usiłujesz z nim walczyć? — szepnęła ze złością Bliss do Trevizego. — Może cię zabić jednym palcem.

Trevize jęknął i rzekł przez zaciśnięte zęby:

— A dlaczego nim nie pokierujesz?

— Próbuję. Ale trzeba na to czasu. Jego mózg jest ciasny i dokładnie zaprogramowany i nie ma tam miejsca na manipulacje. Muszę go przeanalizować. Graj na zwłokę.

— Nie analizuj jego mózgu, tylko go zniszcz powiedział prawie niedosłyszalnie Trevize.

Bliss rzuciła szybkie spojrzenie na robota. Badał dokładnie broń, podczas gdy czwarty robot, który z nim został, obserwował obcoświatowców. Żadnego z nich zdawało się nie interesować, co szepcą między sobą Bliss i Trevize.

— Nie — powiedziała Bliss. — Dosyć już zabijania. Na pierwszym świecie zabiliśmy psa, a drugiego zraniliśmy. Co się stało na tym świecie, dobrze wiesz. — Tu raz jeszcze zerknęła szybko na roboty. — Gaja nie niszczy niepotrzebnie życia ani inteligencji. Potrzebuję czasu, aby załatwić to pokojowo.

Cofnęła się i z napięciem zaczęła wpatrywać się w roboty.

— To jest broń — powiedział w końcu robot.

— Nie — odparł Trevize.

— Tak — powiedziała Bliss — ale niesprawna. Jest pozbawiona energii.

— Naprawdę? Po co wam broń, która jest pozbawiona energii? — Robot ujął kolbę w dłoń i położył palec na spuście. — Tak się to uruchamia?

— Tak — powiedziała Bliss. — Jeśli zwiększysz nacisk, to ją uruchomisz, kiedy jest sprawna, ale teraz nie ma energii.

— Na pewno? — spytał robot. Wymierzył w Trevizego. — Dalej utrzymujesz, że jeśli to teraz uruchomię, to nie będzie działać?

— Tak — powiedziała Bliss.

Trevize stał jak skamieniały, niezdolny wymówić ani słowa. Sprawdził miotacz, kiedy Bander mu go zwrócił i wiedział, że jest absolutnie bezużyteczny, ale robot trzymał w ręku bicz neuronowy. Bicza Trevize nie sprawdził. Jeśli zawierał on jeszcze choć odrobinę energii, to wystarczyłoby to do pobudzenia nerwów bólowych, a w porównaniu z tym, co Trevize poczułby wtedy, stalowy uścisk robota byłby pieszczotą.

Kiedy był w Akademii Floty Wojennej, musiał doświadczyć, jak wszyscy kadeci, na własnej skórze, jak działa bicz. Było to tylko lekkie smagnięcie, ale wystarczyło, aby się przekonać, co to za straszna broń. Trevize nie miał ochoty przekonać się o tym raz jeszcze.

Robot nacisnął spust i Trevize aż się skurczył, ale nic się nie stało. Bicz też był dokładnie pozbawiony energii.

Robot popatrzył na Trevizego, a potem odrzucił miotacz i bicz na bok.

— Jak to się stało, że zostały pozbawione energii? — spytał. — Jeśli nie nadają się do użytku, to po co je nosisz?

— Przyzwyczaiłem się — powiedział Trevize — i noszę je nawet wtedy, kiedy są pozbawione energii. Bez nich czułbym się nieswojo.

— To nie ma sensu — rzekł robot. — Jesteście wszyscy aresztowani. Zostaniecie poddani przesłuchaniu, a potem, jeśli władcy tak zadecydują, zdezaktywowani. Jak otwiera się ten statek? Musimy go przeszukać.

— Na nic się to wam nie przyda — powiedział Trevize. — Nie zrozumiecie jego działania.

— Jeśli my nie zrozumiemy, to zrozumieją władcy.

— Oni też nie zrozumieją.

— No to wyjaśnisz to tak, żeby zrozumieli.

— Nie wyjaśnię.

— Wobec tego zostaniesz zdezaktywowany.

— Zdezaktywowanie mnie niczego nie wyjaśni, a poza tym myślę, że zostanę zdezaktywowany nawet, jeśli to wyjaśnię.

— Jeszcze trochę — mruknęła Bliss. — Zaczynam się orientować w działaniu jego mózgu.

Robot nie zwracał uwagi na Bliss („Postarała się o to?" — pomyślał Trevize. Gorąco pragnął, żeby tak było).

Patrząc tylko na Trevizego robot powiedział:

— Jeśli będziecie robili trudności, to częściowo pozbawimy cię aktywności. Uszkodzimy cię i wtedy powiesz nam wszystko, co będziemy chcieli wiedzieć.

Pelorat krzyknął nagle zduszonym głosem:

— Zaczekaj. Nie możecie tego zrobić! Strażniku, nie możesz tego zrobić!

— Dostałem szczegółowe instrukcje — powiedział spokojnie robot. — Mogę to zrobić. Oczywiście uszkodzę go tylko w takim stopniu, w jakim będzie to konieczne dla uzyskania informacji.

— Nie możesz tego zrobić. Absolutnie! Jestem obcoświatowcem, tak jak moi towarzysze. Ale to dziecko — Pelorat spojrzał na Falloma, którego dalej trzymał na rękach — jest Solarianinem. Powie wam, co macie robić, i będziecie musieli go posłuchać.

Fallom spojrzał na Pelorata pustym wzrokiem.

Bliss gwałtownie potrząsnęła głową, ale Pelorat patrzył na nią nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

Robot zerknął tylko na Falloma i powiedział:

— To dziecko nie ma nic do gadania. Nie ma przetworników.

— Jego przetworniki nie są jeszcze zupełnie ukształtowane — powiedział Pelorat, z trudem łapiąc powietrze — ale z czasem się

rozwiną. To Solarianin.

— Bez całkowicie rozwiniętych przetworników nie jest Solarianinem. Nie muszę słuchać jego poleceń ani chronić go przed niebezpieczeństwem.

— Ale to dziecko władcy Bandera.

— Tak? A skąd o tym wiesz?

Pelorat zająknął się, jak zwykle, kiedy był zbyt przejęty:

— A ja… jakie inne dziecko mogłoby znajdować się na tej posiadłości?

— Skąd wiesz, że nie jest ich tu tuzin?

— A widziałeś inne?

— Tutaj ja zadaję pytania.

W tej chwili drugi robot dotknął ramienia tego, który ich przesłuchiwał. Oba roboty, które zostały wysłane dla przeszukania rezydencji, wracały szybkim, choć trochę nierównym biegiem.

Po chwili podbiegły do nich i jeden z nich powiedział coś po solariańsku, na co wszystkie cztery jakby się zachwiały. Skurczyły się i wyglądały jak gumowe kukły, z których uchodzi powietrze.

— Znalazły Bandera — powiedział Pelorat, ale Trevize gestem ręki nakazał mu milczenie.

Główny robot odwrócił się powoli i powiedział zacinającym głosem:

— Władca Bander nie żyje. Z tego, co przed chwilą ktoś z was powiedział, wynika, że wiedzieliście o tym. Jak to się stało?

— A skąd mogę to wiedzieć? — odparł Trevize wyzywająco.

— Wiedzieliście, że nie żyje. Wiedzieliście, że go tam znajdziemy. Skąd moglibyście to wiedzieć, gdybyście nie byli tam… gdybyście to nie wy go zabili? — Jego wymowa zaczęła się z wolna poprawiać. Widocznie powoli dochodził do siebie po szoku.

— Jak moglibyśmy go zabić? — spytał Trevize. — Mając przetworniki, mógł nas zabić w jednej chwili.

— Skąd wiesz, jakie jest działanie tych przetworników?

— Sam o tym niedawno wspomniałeś.

— Wspomniałem tylko o przetwornikach, ale nie powiedziałem ani słowa o ich działaniu.

— Dowiedzieliśmy się o tym ze snu.

— Trudno w to uwierzyć.

— W to, że spowodowaliśmy śmierć Władcy Bandera też — powiedział Trevize.

— W każdym razie — dodał Pelorat — jeśli Władca Bander nie żyje, to właścicielem posiadłości jest teraz Władca Fallom i jego musicie słuchać.

— Wyjaśniłem już — powiedział robot — że dziecko z niewykształconymi przetwornikami nie jest Solarianinem. W związku

z tym nie może być następcą. Jak tylko przekażemy tę smutną wiadomość, zostanie wyznaczony inny następca, w odpowiednim do tego wieku.

— A co z Władcą Fallomem?

— Nie ma żadnego Władcy Falloma. Jest tylko dziecko, a mamy nadmiar dzieci. Zostanie zniszczone.

— Nie waż się tego robić! — rzekła ostro Bliss. — To dziecko!

— To nie ja będę musiał się tym zająć i na pewno nie ja wydam tę decyzję — powiedział robot. O tym decydują Władcy. Dobrze jednak wiem, jakie zapadają decyzje w czasach, kiedy jest tu nadmiar dzieci.

— Nie! Powiedziałam — nie!

— To będzie bezbolesne… Nadlatuje drugi statek. Musimy pójść do byłej rezydencji Bandera i zwołać holowizyjne posiedzenie Rady, która wybierze następcę i zadecyduje, co dalej robić z wami… Oddaj mi dziecko.

Bliss chwyciła na pół śpiącego Falloma z rąk Pelorata. Przyciskając go mocno do siebie i pochylając się nieco do tyłu, aby zachować równowagę, powiedziała:

— Nie dotykaj tego dziecka!

Robot ponownie wyrzucił szybko ramię do przodu i postąpił o krok, chcąc jej odebrać Falloma. Bliss zrobiła unik, zanim robot zdołał go dosięgnąć, ale robot mimo to pochylił się do przodu, jakby Bliss stała dalej w tym samym miejscu i runął sztywno na ziemię. Pozostałe roboty stały nieruchomo, patrząc martwo przed siebie.

W oczach Bliss pojawiły się łzy. Powiedziała z wściekłością:

— Już prawie miałam właściwą metodę, żeby nimi pokierować, ale nie dał mi na to czasu. Nie miałam wyjścia — musiałam uderzyć i teraz wszystkie są na zawsze unieszkodliwione… Biegnijmy na statek, zanim wyląduje ten drugi pojazd. Nie jestem teraz w stanie stawić czoła nowym robotom.

13. Z dala od Solarii

56

Odlot nastąpił błyskawicznie. Trevize pozbierał swą bezużyteczną broń, otworzył luk wejściowy i wskoczyli do środka. Dopiero kiedy się unieśli, spostrzegł, że zabrali z sobą Falloma.

Prawdopodobnie nie udałoby im się uciec, gdyby nie fakt, że — w porównaniu z nimi — Solariapie niezbyt dobrze radzili sobie z poruszaniem się w powietrzu. Statek solaryjski potrzebował bardzo dużo czasu, żeby wylądować, natomiast komputerowi „Odległej Gwiazdy" wystarczył ułamek sekundy, aby wznieść statek pionowo w górę.

Wprawdzie uniezależnienie od oddziaływania siły grawitacji, a więc też bezwładności, powodowało, że nie odczuwali ujemnych skutków przyspieszenia, które normalnie towarzyszyły takiemu szybkiemu startowi, ale nie usuwało skutków oporu powietrza. Temperatura zewnętrznej warstwy pokrywy kadłuba wzrosła w o wiele szybszym tempie niż dopuszczał to regulamin obowiązujący we flocie (i instrukcja obsługi statku).

Kiedy nabierali wysokości, zauważyli, że wylądował drugi statek solaryjski i zbliża się jeszcze kilka innych. Trevize zaczął się zastanawiać z iloma robotami mogłaby sobie poradzić Bliss i po namyśle doszedł do wniosku, że gdyby pozostali na powierzchni planety kwadrans dłużej, to byłoby po nich.

Gdy znaleźli się już w przestrzeni (a przynajmniej w miejscu, gdzie były już tylko rzadkie pasemka egzosfery), Trevize skierował statek nad zacienioną stronę planety. W ciemnościach „Odległa Gwiazda" mogła szybciej ostygnąć i kontynuować wznoszenie się, oblatując powoli planetę.

Pelorat wyszedł z kabiny, którą zajmował z Bliss.

— Dziecko śpi normalnie — powiedział. — Pokazaliśmy mu, jak się korzysta z toalety i zrozumiało to od razu.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Na pewno korzystało z podobnych urządzeń w rezydencji.

— Nie widziałem tam takich urządzeń, a rozglądałem się za nimi — powiedział z powagą Pelorat. — Na szczęście dla mnie zdążyliśmy w porę wrócić na statek.

— Nie tylko dla ciebie. Ale dlaczego zabraliście ze sobą to dziecko?

Pelorat wzruszył ramionami i powiedział tonem usprawiedliwienia:

— Bliss nie chciała go zostawić. To jakby forma zadośćuczynienia za to, że zabiła Bandera. Ocaliła życie jego dziecku. Nie mogła znieść…

— Wiem — uciął Trevize.

— To dziecko jest dziwnie zbudowane — rzekł Pelorat.

— Skoro jest hermafrodytą, to musi być dziwnie zbudowane.

— Ma jądra, wiesz?

— Nie przypuszczam, żeby mógł się bez nich obyć.

— I coś, czego nie mogę określić inaczej jak małą pochwą.

Trevize skrzywił się ze wstrętem.

— To obrzydliwe — powiedział.

— Nic podobnego, Golan — zaoponował Pelorat. — Jego organizm jest dostosowany do jego potrzeb. Rodzi zapłodnioną komórkę jajową czy też maleńkiego embriona, który rozwija się potem w warunkach laboratoryjnych, chyba pod opieką robotów.

— A co się stanie, jeśli załamie się ten ich system oparty na robotach? Jeśli zdarzy się coś takiego, to nie będą już mogli dochować się potomstwa.

— Każdy świat znalazłby się w opałach, gdyby zupełnie załamała się jego struktura społeczna.

— Nie znaczy to, że opłakiwałbym Solarian.

— No cóż, przyznaję, że ten świat nie wydaje się zbytnio pociągający… dla nas oczywiście. Ale tylko jego mieszkańcy i ich system społeczny nie są w naszym typie, stary. Zabierz ludzi i roboty i będziesz miał świat, który…

— Może spotkać taki los, jak Aurorę — wpadł mu w słowo Trevize. — A jak się czuje Bliss?

— Myślę, że kiepsko. Teraz śpi. Ma za sobą bardzo ciężki dzień, Golan.

— Ja też nie bardzo się ubawiłem.

Trevize zamknął oczy i pomyślał, że jemu też przydałoby się trochę snu. Postanowił, że prześpi się, jak tylko będzie pewien, że Solarianie nie dysponują statkami kosmicznymi. Jak na razie komputer nie wykrył żadnego sztucznego ciała w przestrzeni.

Pomyślał z goryczą o dwóch planetach Przestrzeńców, które do tej pory poznali. Na jednej znaleźli nieprzyjazne, zdziczałe psy, na drugiej nieprzyjaznych hermafrodytów, a na żadnej z nich najmniejszej nawet wzmianki o położeniu Ziemi. Jedyną zdobyczą, którą uzyskali w wyniku tych dwu wizyt, był Fallom.

Otworzył oczy. Pelorat nadal siedział z drugiej strony komputera, przyglądając mu się poważnie.

— Powinniśmy byli zostawić to dziecko na Solarii — rzekł z nagłym przekonaniem Trevize.

— Przecież oni zabiliby to biedactwo — powiedział Pelorat.

— Nawet gdyby tak się miało stać, tam jest jego miejsce. Należy do tamtego społeczeństwa. Ponieść śmierć dlatego, że jest się zbytecznym to rzecz normalna w społeczeństwie, w którym się

urodził.

— Ależ kochany, to co mówisz, jest okrutne.

— Nie okrutne, ale racjonalne. Nie wiemy, jak się z nim obchodzić, w związku z czym, będąc z nami, może cierpieć jeszcze bardziej i w końcu i tak umrze. Co on je?

— Myślę, że to samo, co my. Skoro już o tym mówisz, to co my będziemy jeść? Dużo mamy zapasów?

— Dużo. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że mamy dodatkowego pasażera.

Pelorat nie wydawał się zbytnio zachwycony tą odpowiedzią.

— Ta dieta jest bardzo monotonna — powiedział. — Trzeba było coś wziąć na Comporellonie… chociaż nie uważam, żeby mieli wspaniałą kuchnię.

— Nie mogliśmy. Jak pamiętasz, odlecieliśmy stamtąd raczej w pośpiechu, tak samo jak z Aurory i z Solarii… Ale co nam przeszkadza taka monotonia? Pozbawia to nas, co prawda, pewnej przyjemności, ale trzyma przy życiu.

— Czy moglibyśmy zrobić świeże zapasy, gdybyśmy musieli?

— W każdej chwili, Janov. Dla tego, kto ma do dyspozycji statek o napędzie grawitacyjnym, Galaktyka jest mała. Za parę dni moglibyśmy być w dowolnym miejscu. Problem tylko w tym, że pół Galaktyki szuka naszego statku. Przez pewien czas wolę się trzymać na uboczu.

— Co chcesz teraz zrobić, Golan?

— Został nam jeszcze jeden świat. Pelorat pokręcił głową.

— Sądząc po pierwszych dwóch, nie spodziewam się znaleźć wiele na trzecim.

— W tej chwili ja też się nie spodziewam, ale jak tylko trochę się prześpię, dam komputerowi polecenie, aby obrał kurs na trzeci świat.

57

Trevize spał znacznie dłużej, niż zaplanował, ale nie miało to praktycznie żadnego znaczenia. Na statku nie istniał ani dzień, ani noc, a ustalony w przybliżeniu dobowy rytm zajęć nigdy nie był dokładnie przestrzegany. Pory dnia wypadały w różnych godzinach, w zależności od tego, co robili, i nierzadko zdarzało się i Trevizemu, i Peloratowi, a już szczególnie Bliss, być nieco na bakier z ich naturalnymi rytmami snu i jedzenia.

Trevize zastanawiał się nawet, zeskrobując z siebie mydliny (ze względu na potrzebę oszczędnego korzystania z wody wskazane było raczej zeskrobywać niż spłukiwać mydliny), czy nie przespać się jeszcze godzinkę lub dwie, kiedy odwróciwszy się, stanął nagle twarzą w twarz z równie gołym jak on sam Fallomem.

W pierwszym odruchu odskoczył do tyłu, co biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary łazienki musiało się skończyć uderzeniem w coś twardego. Jęknął.

Fallom patrzył na niego z zainteresowaniem. Wskazał palcem na jego penis i powiedział coś. Trevize nie zrozumiał z tego ani słowa, ale całe zachowanie dziecka zdawało się zdradzać niedowierzanie. Trevize, nie widząc innego wyjścia, zasłonił dłońmi przyrodzenie.

Wtedy Fallom powiedział swym wysokim głosem:

— Pozdrawiam.

Trevize był nieco zaskoczony niespodziewanym przejściem Falloma na ogólnogalaktyczny, ale sposób, w jaki Fallom wymówił to słowo, wskazywał, że niedawno się go nauczył.

— Bliss… — ciągnął dalej Fallom, z trudem znajdując słowa — mówi… że… ty… mnie… umyjesz.

— Tak? — rzekł na to Trevize. Położył rękę na ramieniu Falloma. — Ty… zostań… tutaj — powiedział równie wolno jak on. — Wskazał palcem na podłogę i Fallom spojrzał oczywiście natychmiast w tym kierunku. Widać było, że absolutnie nie rozumie, co mówi Trevize.

— Nie ruszaj się — powiedział Trevize, ujmując go mocno za ręce i przyciskając do jego tułowia, jakby chciał zobrazować gestem, o co mu chodzi. Szybko wytarł się, włożył slipy i spodnie. Potem wyszedł z łazienki i ryknął:

— Bliss!

Na statku trudno było znaleźć się dalej niż cztery metry od innej osoby, więc Bliss natychmiast ukazała się w drzwiach swej kabiny.

— Wołałeś mnie — spytała z uśmiechem — czy może był to łagodny szum wiatru wśród traw?

— Nie sil się na dowcipy. Co to jest? — spytał, wskazując kciukiem do tyłu.

Bliss spojrzała w tamtą stronę i powiedziała:

— Wygląda zupełnie jak ten młody Solarianin, którego wczoraj zabraliśmy na pokład.

— Ty go zabrałaś. Dlaczego chcesz, żebym go umył?

— Myślałam, że chciałbyś to zrobić. To bardzo bystre dziecko. Szybko uczy się ogólnogalaktycznego. Nie zapomina tego, co mu się wyjaśni. Oczywiście, pomagam mu zapamiętać.

— Naturalnie.

— Tak. Dbam o to, żeby był spokojny. Postarałam się, żeby znajdował się w stanie oszołomienia podczas tych przykrych wydarzeń na planecie, a potem, kiedy znaleźliśmy się już na statku, żeby zasnął. Staram się też odwieść trochę jego myśli od tego robota, Jemby'ego, którego najwidoczniej bardzo kochał.

— I przypuszczam, że przestaje odczuwać jego brak.

— Mam nadzieję. Jest młody, więc łatwo się dostosowuje, a ja pomagam mu w tym na tyle, na ile mogę bez obawy wyrządzenia jakiejś krzywdy wpłynąć na jego umysł. Mam zamiar nauczyć go ogólnogalaktycznego.

— A więc ty go umyj. Zrozumiano?

Bliss wzruszyła ramionami.

— Zrobię to, jeśli na to nalegasz, ale chciałabym, aby był w przyjacielskich stosunkach z każdym z nas. Byłoby dobrze, gdyby każde z nas trojga pełniło funkcje rodzicielskie. Chyba możesz się do tego włączyć.

— Nie do tego stopnia. A kiedy skończysz go myć, usuń go. Chcę z tobą pomówić.

— Co to znaczy „usuń go"? — spytała Bliss nieprzyjaźnie.

— To nie znaczy, żebyś go wyrzucała przez luk.

Zaprowadź go do swojej kabiny. Posadź go w rogu. Chcę z tobą pomówić.

— Będę do twoich usług — powiedziała zimno.

Popatrzył za nią, tłumiąc złość, a potem wszedł do sterowni i włączył ekran.

Solaria widniała na nim jako ciemny krąg, obrzeżony cienkim pasmem światła z lewej strony. Trevize położył dłonie na pulpicie, aby nawiązać kontakt z komputerem i od razu poczuł, że opuszcza go złość. Musiał być spokojny, aby mieć dobry kontakt z komputerem i z biegiem czasu wytworzył się w nim odruch warunkowy łączący dotknięcie pulpitu komputera ze spokojem.

Wokół statku, nawet tuż przy powierzchni planety, nie widać było żadnych sztucznych obiektów. Solarianie (albo, co najbardziej prawdopodobne, ich roboty) nie mogli lub nie chcieli lecieć za nimi.

„To dobrze" — pomyślał. W takiej sytuacji mógłby wyjść poza zacienioną stronę planety. Gdyby w dalszym ciągu oddalał się od niej,

to i tak cień zniknąłby, jak tylko Solaria stałaby się mniejsza od znajdującego się znacznie dalej, ale o wiele od niej większego słońca.

Nastawił komputer na wyprowadzenie statku z płaszczyzny toru planety, gdyż znajdując się poza nią mogli bezpieczniej przyspieszyć. W takiej sytuacji znajdą się szybciej w rejonie, gdzie zakrzywienie przestrzeni będzie wystarczająco małe, aby mogli bez obaw wykonać skok.

Potem, jak często zwykł czynić przy takich okazjach, zaczął przyglądać się gwiazdom. Wydawały się nieruchome i niezmienne. Było w tym widoku coś prawie hipnotyzującego. Wielka odległość sprawiała, że nie widać było turbulencji, żadnych oznak gwałtownych procesów zachodzących w ich wnętrzu. Wyglądały jak świetlne punkciki.

Któryś z tych punkcików mógł być słońcem Ziemi — słońcem, w którego promieniach narodziło się życie, którego dobroczynny wpływ umożliwił powstanie rodzaju ludzkiego.

Skoro światy Przestrzeńców krążyły wokół jasnych słońc, które były ważnymi członkami gwiezdnej rodziny, a mimo to nie zostały naniesione na mapę Galaktyki znajdującą się w komputerze, to z pewnością to samo mogło spotkać słońce Ziemi.

A może, z powodu jakiegoś starożytnego układu, na mocy którego światy Przestrzeńców miały być pozostawione samym sobie, na mapie nie znalazły się tylko słońca, wokół których krążyły te światy? Czyżby słońce Ziemi znajdowało się na mapie Galaktyki, ale nie różniło się od milionów gwiazd, które były podobne do słońc, lecz wokół których nie krążyły żadne nadające się do zamieszkania planety?

W końcu w Galaktyce było jakieś trzydzieści miliardów słońcopodobnych gwiazd, z których jedna na tysiąc miała w swoim układzie planety nadające się do zamieszkania. W promieniu kilkuset parseków od jego obecnej pozycji mogło znajdować się tysiąc takich planet. Czyżby miał sprawdzać słońcopodobne gwiazdy jedną po drugiej?

A może słońce, którego szuka, nie leży w ogóle w tym rejonie Galaktyki? Ile innych rejonów Galaktyki było przekonanych, że słońce Ziemi znajduje się w ich sąsiedztwie, że właśnie ich rejony zostały najpierw skolonizowane?

Potrzebował informacji, a na razie nie miał żadnych.

Bardzo wątpił, czy nawet szczegółowe badania ruin na Aurorze przyniosłyby jakieś informacje na temat położenia Ziemi. Jeszcze bardziej wątpił, by udało im się skłonić Solarian do udzielenia jakiejś informacji na ten temat.

A poza tym, jeśli zniknęły wszelkie dane dotyczące Ziemi z wielkiej Biblioteki Trantorskiej, jeśli nie zachowało się nic na temat Ziemi w zbiorowej pamięci Gai, to było mało prawdopodobne, aby

przeoczono jakiekolwiek informacje na ten temat, które mogłyby się znajdować na zagubionych światach Przestrzeńców.

A gdyby przez czysty przypadek znalazł słońce Ziemi, a potem samą Ziemię, to czy coś nie zadbałoby o to, żeby nie zdał sobie sprawy z tego faktu'.' Czy ochrona Ziemi była doskonała? Czy jej postanowienie pozostania w ukryciu było tak silne, że nie sposób było się mu przeciwstawić?

A w ogóle czego szukał?

Czy Ziemi? Czy jakiegoś błędu w Planie Seldona, który — jak myślał (bez sprecyzowanego powodu) — można by odkryć na Ziemi?

Plan Seldona działał już od pięciu stuleci i (jak mówiono) miał w końcu doprowadzić ludzkość do bezpiecznej przystani w postaci Drugiego Imperium Galaktycznego, potężniejszego, szlachetniejszego niż Pierwsze, takiego, w którym ludzie czuliby się bardziej wolni — a jednak on, Trevize, wystąpił przeciw niemu i opowiedział się za Galaxią.

Galaxia miałaby być jednym wielkim organizmem, podczas gdy Drugie Imperium Galaktyczne, aczkolwiek wielkie obszarem i bogate różnorodnością, byłoby tylko związkiem pojedynczych organizmów, mikroskopijnych w porównaniu z nim samym. Drugie Imperium Galaktyczne byłoby jeszcze jednym przykładem tego rodzaju związków indywiduów, jakie ludzkość tworzyła od czasu, kiedy zaczęła być ludzkością. Drugie Imperium Galaktyczne mogłoby być największym i najlepszym związkiem tego typu, ale pozostawałoby nadal związkiem tego właśnie typu.

Jeśli Galaxia, związek zupełnie innego typu, miałaby być lepsza niż Drugie Imperium Galaktyczne, to w Planie musiałby tkwić jakiś błąd, coś, co uszło uwagi samego wielkiego Hariego Seldona.

Ale jeśli było to coś, czego nie zauważył Seldon, to jak on, Trevize, miałby naprawić ten błąd? Nie był matematykiem, nie wiedział nic, absolutnie nic o szczegółach Planu, co więcej — nie zrozumiałby nic z tego, nawet gdyby mu je wyjaśniono.

Znał tylko założenia, na których opierał się Plan — że musi być duża liczba ludzi i że nie mogą nic wiedzieć o wnioskach, do których się dochodzi. Pierwsze założenie, biorąc pod uwagę ogromną liczbę ludzi w Galaktyce, było oczywiście prawdziwe, a drugie też musiało być prawdziwe, skoro szczegóły Planu znali tylko członkowie Drugiej Fundacji i trzymali je tylko dla siebie.

Pozostało więc tylko jakieś dodatkowe, nieznane założenie, które było tak oczywiste, że nie tylko nie wspomniano, ale nawet nie myślano o nim… ale właśnie ono mogło być fałszywe. Założenie, które — jeśli było fałszywe — zmieniało główny wniosek i zwieńczenie Planu, czyniąc Galaxię lepszym modelem docelowym niż Imperium.

Ale jeśli to założenie było tak oczywiste i zrozumiałe, że nie

zostało nigdy nawet wyraźnie sformułowane, to czy mogło być fałszywe? A jeśli nikt nigdy nawet o nim nie wspomniał, nawet nie pomyślał, to skąd on, Trevize, mógł wiedzieć, że istnieje ono rzeczywiście albo domyśleć się, czego dotyczy, nawet gdyby odgadł, że istnieje?

Czy — jak utrzymywała Gaja — był on naprawdę człowiekiem o bezbłędnej intuicji? Czy naprawdę wiedział, co trzeba zrobić nawet wtedy, kiedy nie wiedział, dlaczego to coś robi?

Teraz odwiedzał po kolei wszystkie światy Przestrzeńców, o których wiedział… Czy właśnie to trzeba było zrobić? Czy odpowiedź znajdowała się na tych światach? A przynajmniej początek odpowiedzi?

Czy na Aurorze było coś oprócz ruin i zdziczałych psów? (A być może i innych groźnych stworzeń. Na przykład szalejących byków, szczurów o ogromnych rozmiarach czy podkradających się cicho, zielonookich kotów?) Solaria była wprawdzie nadal kwitnącą planetą, ale czy było na niej coś oprócz robotów i przekazujących energię ludzi? Czy któryś z tych światów miał coś wspólnego z Planem Seldona? Chyba że krył tajemnicę położenia Ziemi…

A jeśli krył tę tajemnicę, to co Ziemia miała wspólnego z Planem Seldona? A może to wszystko było szaleństwem? Może zbyt poważnie wziął to fantastyczne gadanie o swojej nieomylności?

Ogarnęło go przytłaczające uczucie wstydu. Było ono tak dojmujące i tak mu ciążyło, że ledwie mógł oddychać. Popatrzył na odległe, obojętne gwiazdy i pomyślał: „Muszę być największym głupcem w Galaktyce”.

58

Głos Bliss wyrwał go z rozmyślań:

— No, chciałeś ze mną pomówić… Co się stało? — zaniepokoiła się nagle.

Trevize podniósł wzrok. Przez chwilę nie mógł się otrząsnąć z nastroju przygnębienia. Popatrzył na nią i powiedział:

— Nie, nie, nic się nie stało. Po prostu… zamyśliłem się. W końcu od czasu do czasu myślę. Wiedział, że Bliss potrafi odczytać jego uczucia i czuł się z tego powodu nieswojo. Miał tylko jej słowo, że powstrzymuje się przed przenikaniem jego myśli.

Jednak wydawało się, że przyjęła jego wyjaśnienie.

— Pelorat jest z Fallomem — powiedziała. Uczy go zwrotów ogólnogalaktycznych. Dziecko zdaje się jeść bez zastrzeżeń to samo co my… Ale o czym chciałeś ze mną pomówić?

— Nie tutaj — odparł Trevize. — W tej chwili nie jestem potrzebny komputerowi. Jeśli zechcesz przejść do mojej kabiny, to możesz usiąść na łóżku — jest posłane — a ja usiądę na krześle. Albo odwrotnie, jeśli wolisz.

— To nieważne. — Przeszli do kabiny Trevizego. Przyjrzała mu się bacznie. — Nie wyglądasz już na wściekłego.

— Czytasz w moich myślach?

— Nic podobnego. Czytam w twojej twarzy.

— Nie jestem wściekły. Czasami tracę opanowanie, ale to nie jest jeszcze równoznaczne z wściekłością. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, to muszę ci zadać parę pytań.

Bliss usiadła, sztywno wyprostowana, na łóżku. Na jej szerokiej twarzy i w ciemnobrązowych oczach malowała się powaga. Włosy miała starannie ułożone, a dłonie trzymała splecione na brzuchu. Czuć od niej było lekki zapach perfum.

Trevize uśmiechnął się.

— Wyszykowałaś się. Podejrzewam, że myślisz, że nie będę wrzeszczał na młodą i piękną dziewczynę.

— Możesz sobie krzyczeć i wrzeszczeć, ile ci się podoba, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. Nie chcę tylko, żebyś wrzeszczał i krzyczał na Falloma.

— Nie chcę tego robić. Zresztą nie chcę też krzyczeć na ciebie. Przecież postanowiliśmy zostać przyjaciółmi, prawda?

— Gaja nigdy nie żywiła do ciebie innych uczuć niż przyjaźń.

— Nie mówię o Gai. Wiem, że jesteś częścią Gai i że jesteś Gają. Mimo to jest w tobie jakaś cząstka, która przynajmniej w pewien sposób jest indywidualną osobą ludzką. Mówię to do tej osoby. Mówię do kogoś, kto się nazywa Bliss, pomijając w ogóle — a przynajmniej o

tyle, o ile to możliwe Gaję. Postanowiliśmy zostać przyjaciółmi; prawda, Bliss?

— Tak.

— Wobec tego dlaczego nie rozprawiłaś się z robotami na Solarii zaraz po opuszczeniu przez nas rezydencji? Zostałem upokorzony i fizycznie zraniony, a jednak nic nie zrobiłaś. Chociaż w każdej chwili mogły się pojawić dalsze roboty i zmusić nas do poddania się, nie zrobiłaś nic.

Bliss popatrzyła na niego poważnie i powiedziała takim tonem, jakby chciała raczej wyjaśnić swoje zachowanie niż bronić go:

— To nieprawda, że nic nie robiłam. Analizowałam mózgi robotów, starając się zorientować, w jaki sposób mogę zapanować nad nimi.

— Wiem, że to robiłaś. Przynajmniej tak mówiłaś. Ja po prostu nie rozumiem, po co to robiłaś. Dlaczego starałaś się zapanować nad ich mózgami, skoro mogłaś bez trudu zniszczyć je, co w końcu i tak zrobiłaś?

— Myślisz, że to łatwo zniszczyć istotę myślącą? Trevize wykrzywił usta z niesmakiem.

— Daj spokój, Bliss — powiedział. — Istotę myślącą? To był tylko robot.

— Tylko robot? — w jej głosie zabrzmiała nuta złości. — Stale ten sam argument. Tylko. Tylko! Dlaczego ten Solarianin, Bander, miałby się wahać, czy nas zabić? Byliśmy tylko ludźmi bez przetworników. Dlaczego mielibyśmy mieć skrupuły, zostawiając tam Falloma na pewną śmierć? To był tylko Solarianin, do tego niedojrzały. Jeśli zaczniesz wykluczać tych, których chcesz się pozbyć, mówiąc, że to tylko to albo tylko tamto, to będziesz mógł zniszczyć, kogo tylko zechcesz. Zawsze znajdzie się jakaś kategoria, w której będziesz mógł ich umieścić.

— Nie sprowadzaj zupełnie uzasadnionej uwagi do absurdalnej postaci — powiedział Trevize. Robot to tylko robot. Nie możesz temu zaprzeczyć. To nie jest istota ludzka. Nie jest istotą myślącą w takim samym sensie jak my. To tylko maszyna stwarzająca pozory, że myśli.

— Łatwo ci mówić, bo nic o tym nie wiesz odparła Bliss. — Ja jestem Gają. Owszem, jestem też i Bliss, ale jestem Gają. Jestem światem, dla którego każdy jego atom jest cenny i ma znaczenie, a każda struktura złożona z atomów jest jeszcze cenniejsza i ma jeszcze większe znaczenie. Ja-my-Gaja nie zniszczymy lekką ręką takiej struktury, choć chętnie rozwiniemy ją w coś bardziej złożonego, jeśli to tylko nie przyniesie szkody całości.

Najwyższa forma struktury złożonej z atomów, jaką znamy, wytwarza inteligencję, a tę możemy zniszczyć tylko w najwyższej potrzebie. To, czy jest to inteligencja mechaniczna czy biochemiczna,

nie ma wielkiego znaczenia. Prawdę mówiąc, roboty-strażnicy reprezentowali rodzaj inteligencji, z jakim ja-my-Gaja nigdy wcześniej się nie zetknęliśmy. Cudownie było analizować ją. Zniszczyć — nie do pomyślenia, chyba że w przypadku najwyższej konieczności.

— Zagrożone były — rzekł cierpko Trevize trzy jeszcze wyższe formy inteligencji: twoja, Pelorata, istoty ludzkiej, którą kochasz, i, jeśli ci nie przeszkadza, że ją wymienię, moja.

— Cztery! Stale zapominasz o Fallomie… Nie były zagrożone. Tak to oceniłam. Pomyśl tylko… Załóżmy, że znalazłbyś się przed obrazem, wielkim dziełem sztuki, którego istnienie oznaczałoby dla ciebie śmierć. Wystarczyłoby, żebyś wziął szeroki pędzel, wiadro farby i raz — dwa zamalował ten obraz, żeby go zniszczyć i być bezpiecznym. Ale załóżmy, że gdybyś dokładnie przestudiował ten obraz i dodał tu jedno pociągnięcie, tam jedną plamkę, a w innym miejscu wyskrobał jakiś szczegół, i tak dalej, to zmieniłbyś ten obraz na tyle, żeby uniknąć śmierci, ale nie na tyle, żeby przestał on być arcydziełem. Naturalnie, tych zmian trzeba by było dokonać bardzo starannie i ostrożnie. Zajęłoby to więcej czasu, ale na pewno, gdybyś miał czas, postarałbyś się ocalić nie tylko swoje życie, ale także ten obraz.

— Być może — powiedział Trevize. — Ale ostatecznie i tak nieodwracalnie zniszczyłaś ten obraz. Chlasnęłaś szerokim pędzlem i zamazałaś wszystkie te cudowne pociągnięcia i subtelności rysunku i koloru. A zrobiłaś to, jak tylko znalazł się w niebezpieczeństwie ten mały hermafrodyta, gdy tymczasem niebezpieczeństwo, które groziło i nam, i tobie wcale cię nie poruszyło.

— Nam, obcoświatowcom, nic bezpośrednio nie zagrażało, natomiast jemu — w moim przekonaniu — tak. Musiałam dokonać wyboru między robotami a Fallomem i nie mając czasu do stracenia, wybrałam Falloma.

— Czy naprawdę było tak, Bliss? Szybka kalkulacja, porównanie jednego mózgu z innym, szybka ocena większej złożoności i większej wartości któregoś z nich?

— Tak.

— A jeśli ci powiem — rzekł Trevize — że chodziło po prostu o to, że stało przed tobą dziecko, któremu groziła śmierć? Ogarnęły cię instynktowne uczucia macierzyńskie i uratowałaś je, podczas gdy wcześniej, kiedy niebezpieczeństwo zagrażało trzem osobom dorosłym, nic, tylko chłodno kalkulowałaś.

Bliss lekko poczerwieniała.

— Może było w tym coś z tego, co mówisz, ale nie wyglądało to tak, jak przedstawiasz. Kryła się też za tym pewna racjonalna myśl.

— Ciekawe jaka. Gdybyś myślała wtedy racjonalnie, to wiedziałabyś, że to dziecko ma spotkać taki los, jaki spotyka inne

podobne mu w społeczeństwie, do którego należy. Kto wie, ile dzieci uśmiercono, aby utrzymać liczbę ludności na poziomie, który Solarianie uważają za optymalny?

— Jest jeszcze coś, Trevize. To dziecko zostałoby zabite dlatego, że jest zbyt młode, aby zostać dziedzicem, a to z kolei jest następstwem faktu, że jego rodzic zmarł przedwcześnie, że ja go zabiłam.

— Mając do wyboru — zabić czy zostać zabitą.

— To nieważne. Zabiłam jego rodzica. Nie mogłam stać bezczynnie i pozwolić na to, żeby to dziecko zostało zgładzone w następstwie tego, co zrobiłam… Poza tym ma ono mózg, z jakim Gaja jeszcze się nie spotkała, mózg, który warto zbadać.

— Mózg dziecka.

— Nie pozostanie na zawsze dzieckiem. Za jakiś czas rozwiną się przetworniki po obu stronach jego mózgu. Dają one Solarianom możliwości, z którymi nie może równać się nawet cała Gaja. Podtrzymanie światła kilku lamp i uruchomienie urządzenia otwierającego drzwi zupełnie mnie wyczerpało. Tymczasem Bander zapewniał dopływ energii do całej posiadłości, która była rozleglejsza, bardziej złożona niż miasto, które widzieliśmy na Comporellonie, a robił to nawet wtedy, kiedy spał.

— A więc uważasz to dziecko za ważny obiekt badań nad mózgiem — powiedział Trevize.

— W pewnym sensie.

— Ja tak nie uważam. Czuję, że zabierając je na pokład statku, stworzyliśmy niebezpieczną sytuację. Bardzo niebezpieczną.

— W jakim sensie? Z moją pomocą doskonale się przystosuje. Jest bardzo inteligentne i już wykazuje pewne oznaki przywiązania do nas. Będzie jadło to, co my, poleci tam, gdzie my, a ja-my-Gaja zdobędziemy nieocenioną wiedzę badając jego mózg.

— A jeśli spłodzi potomstwo? Nie potrzebuje partnera ani partnerki. Samo jest dla siebie partnerem i partnerką.

— Upłynie wiele czasu, zanim osiągnie wiek, w którym będzie mogło wydać potomstwo. Przestrzeńcy żyli po kilkaset lat, a Solarianie nie mieli ochoty zwiększać swojej liczebności. Prawdopodobnie mają wrodzoną skłonność do opóźnionej reprodukcji. Fallom jeszcze przez długi czas nie będzie miał dzieci.

— Skąd to wiesz?

— Nie wiem tego. Po prostu myślę logicznie.

— A ja ci mówię, że Fallom okaże się groźny.

— Nie wiesz tego. I nie myślisz logicznie.

— Czuję to, Bliss… W tej chwili. A to ty, nie ja, twierdzisz, że mam bezbłędną intuicję.

Bliss zmarszczyła czoło. Miała niewyraźną minę.

59

Pelorat stanął w drzwiach do sterowni i niepewnie zajrzał do środka. Wyglądało to, jakby się zastanawiał, czy Trevize jest bardzo zajęty, czy nie.

Trevize trzymał dłonie na pulpicie, jak zawsze, kiedy zespalał się w jedno z komputerem, a oczy miał utkwione w ekran. Pelorat doszedł więc do wniosku, że jest zajęty i czekał cierpliwie, starając się wie przeszkadzać.

W końcu Trevize spojrzał na niego. Wydawało się, że nie w pełni zdaje sobie sprawę z jego obecności. Miał trochę nieobecny wzrok, jak gdyby będąc zespolony z komputerem, patrzył, myślał, a nawet żył inaczej niż normalnie.

Skinął jednak wolno głową w stronę Pelorata, jakby jego widok, torując sobie z trudem drogę do nerwów wzrokowych, dotarł w końcu do nich. Po chwili uniósł dłonie znad pulpitu, uśmiechnął się i był znowu sobą.

— Boję się, że ci przeszkadzam, Golan — powiedział przepraszająco Pelorat.

— Niespecjalnie, Janov. Właśnie sprawdzałem, czy jesteśmy gotowi do skoku. Prawie jesteśmy, ale myślę, że na wszelki wypadek poczekamy jeszcze parę godzin.

— Czy przypadek… albo szczęście… ma z tym coś wspólnego?

— To tylko taki zwrot — powiedział z uśmiechem Trevize — ale teoretycznie czynniki przypadkowe wpływają na to… Z czym przychodzisz?

— Mogę usiąść?

— Oczywiście, ale chodźmy lepiej do mojej kabiny. Jak się ma Bliss?

— Bardzo dobrze. — Chrząknął. — Znowu śpi. Rozumiesz, potrzebuje dużo snu.

— Doskonale rozumiem. To ta nadprzestrzenna rozłąka.

— Właśnie.

— A Fallom? — Trevize wyciągnął się na łóżku, zostawiając krzesło Peloratowi.

— Czyta te książki, które twój komputer wydrukował dla mnie. I podania ludowe. Oczywiście, rozumie bardzo mało po ogólnogalaktycznemu, ale sprawia wrażenie, że podoba mu się sam dźwięk tych słów. On… stale używam w odniesieniu do niego zaimka męskiego. Jak myślisz, skąd się to bierze?

Trevize wzruszył ramionami:

— Może dlatego, że sam jesteś mężczyzną.

— Może. Wiesz, jest nadzwyczaj inteligentny.

— Na pewno.

Pelorat zawahał się.

— Wydaje mi się, że nie bardzo go lubisz — powiedział po chwili.

— Personalnie nie mam nic przeciwko niemu. Nigdy nie miałem dzieci i, ogólnie biorąc, nie zachwycam się nimi specjalnie. Ty, zdaje się, masz dzieci.

— Syna… Z przyjemnością wspominam czasy, kiedy był małym chłopcem. Może właśnie dlatego używam rodzaju męskiego mówiąc o Fallomie. Czuję się, jakbym był młodszy o jakieś ćwierć wieku.

— Nie mam nic przeciwko temu, że go lubisz, Janov.

— Ty też byś go polubił, gdybyś dał mu szansę. — Jestem tego pewien, Janov, i może kiedyś dam mu taką szansę.

Pelorat znowu się zawahał.

— Wiem też, że musi cię męczyć ciągłe spieranie się z Bliss.

— Prawdę mówiąc, Janov, nie sądzę, żebyśmy się wiele spierali. Jesteśmy w dość dobrych stosunkach. Parę dni temu porozmawialiśmy sobie nawet rzeczowo, bez krzyku, bez wzajemnego obwiniania się, o tym, że nie spieszyła się z unieruchomieniem tych robotów. W końcu parę razy ocaliła nam życie, więc nie mogę się jej chyba odpłacić inaczej niż proponując przyjaźń, prawda?

— Tak, dostrzegam to, ale mówiąc o spieraniu się, nie miałem na myśli kłótni. Chodzi mi o te ciągłe utarczki, co jest lepsze — Galaxia czy jednostka.

— Ach, o to! Przypuszczam, że to będzie trwać… ale w kulturalnej formie.

— Nie obrazisz się, jeśli w tej dyskusji wezmę jej stronę?

— Nie, Janov. Optujesz za Galaxią niezależnie od wszystkiego czy po prostu dlatego, że czujesz się szczęśliwy, kiedy zgadzasz się z Bliss?

— Niezależnie od wszystkiego. Mówię szczerze. Myślę, że przyszłość to Galaxia. Ty sam ją wybrałeś i jestem coraz bardziej przekonany, że był to słuszny wybór.

— Dlatego, że był to mój wybór? To żaden argument. Bez względu na to, co twierdzi Gaja, mogłem być w błędzie. Tak więc nie dawaj się przekonać Bliss na tej podstawie.

— Nie sądzę, że się pomyliłeś. Ukazała mi to Solaria, nie Gaja.

— Jak?

— Hmm, zacznijmy od tego, że i ty, i ja jesteśmy izolami.

— To jej określenie, Janov. Wolę myśleć o nas jako o jednostkach.

— To tylko różnica terminologiczna, stary. Możesz to sobie nazywać, jak chcesz, ale nie zmienia to faktu, że jesteśmy uwięzieni każdy w swoim ciele, każdy ze swoimi myślami i myślimy przede wszystkim o sobie. Pierwszym prawem naszej natury jest samoobrona, nawet jeśli oznacza to wyrządzenie krzywdy komuś innemu.

— Znane są przypadki ludzi, którzy oddali życie za innych.

— To rzadkie zjawisko. O wiele więcej znanych jest przypadków ludzi, którzy dla swojego kaprysu poświęcili życie innych.

— A co to ma wspólnego z Solarią?

— No jak to, tam widać, czym mogą się stać izole — albo jednostki, jeśli wolisz to określenie. Solarianie ledwie znoszą fakt, że muszą swój świat dzielić z innymi. Życie w kompletnej izolacji jest dla nich równoznaczne z doskonałą wolnością. Nie pragną nawet mieć potomstwa, przeciwnie — zabijają własne dzieci, jeśli jest ich za dużo. Otaczają się robotami, którym dostarczają energii, tak że kiedy umrą, umierają symbolicznie wraz z nimi ich całe posiadłości. Czy to jest godne podziwu, Golan? Czy pod względem dobrych obyczajów, łagodności, dobroci i wzajemnej troski mogą się równać z Gają? Bliss w ogóle nie rozmawiała ze mną o tym. To moje własne odczucia.

— Takie odczucia pasują do ciebie, Janov — powiedział Trevize. — Podzielam je. Też uważam, że społeczeństwo solariańskie jest okropne, ale przecież nie zawsze takie było. Pochodzą pośrednio od Ziemian, a bezpośrednio od Przestrzeńców, którzy prowadzili o wiele normalniejsze życie. Z jakiegoś powodu Solarianie wybrali drogę prowadzącą do skrajności, ale nie można osądzać całości na podstawie skrajnych przypadków. Czy spośród milionów zamieszkanych światów Galaktyki znasz choćby jeden, który by teraz, czy w przeszłości, zamieszkiwało społeczeństwo choćby trochę przypominające Solarian? A czy nawet na Solarii rozwinęłoby się takie społeczeństwo, gdyby nie było tam rzesz robotów? Czy jest w ogóle do pomyślenia, aby społeczeństwo skadające się z jednostek osiągnęło tak okropne stadium jak Solarianie, gdyby nie dysponowało robotami?

Pelorat skrzywił się nieco.

— We wszystkim szukasz dziury, Golan… a w każdym razie zdaje się, że nigdy nie przestaniesz bronić tego typu Galaktyki, przeciwko któremu sam się opowiedziałeś.

— Nie wywrócę tego wszystkiego do góry nogami. Jest jakieś racjonalne uzasadnienie wyższości Galaxii i kiedy je znajdę, poddam się. A raczej, jeśli je znajdę.

— Myślisz, że możesz nie znaleźć? Trevize wzruszył ramionami.

— A skąd mogę wiedzieć? Wiesz, dlaczego zwlekam z wykonaniem skoku? Dlaczego przełożyłem go o parę godzin i jestem o krok od tego, żeby poczekać jeszcze nawet parę dni?

— Powiedziałeś, że wtedy manewr ten będzie bardziej bezpieczny.

— Tak, faktycznie tak powiedziałem, ale już teraz moglibyśmy go wykonać bez obawy. Naprawdę boję się tego, że te światy Przestrzeńców, których współrzędne znamy, zawiodą nasze nadzieje. Mamy współrzędne tylko trzech światów. Do tej pory odwiedziliśmy dwa z nich, za każdym razem o włos unikając śmierci, a dotąd nie

uzyskaliśmy nic na temat położenia, a nawet istnienia Ziemi. Teraz stoję przed trzecią i ostatnią szansą. Co będzie, jeśli i teraz się zawiedziemy?

Pelorat westchnął.

— Wiesz — powiedział — są takie stare podania — jedno z nich znajduje się akurat wśród tych, które dałem Fallomowi do ćwiczenia języka — w których bohater może wypowiedzieć trzy życzenia. Tylko trzy. Wydaje się, że ta liczba miała jakieś znaczenie, może dlatego, że jest to pierwsza liczba nieparzysta, a więc rozstrzygająca. No wiesz, na ogólną liczbę trzy, dwa jest większością i wygrywa… W tych podaniach chodzi o to, że te życzenia na nic się nie przydają. Nikt nigdy nie wyraża właściwego życzenia, co — jak zawsze podejrzewałem — jest wyrazem mądrości starożytnych i sprowadza się do przekonania, że na zaspokojenie swoich potrzeb trzeba zapracować, a nie… — przerwał nagle, zmieszany. — Przepraszam, stary, ale zawracam ci głowę. Zawsze się rozgaduję, kiedy dosiądę swojego konika.

— To, co mówisz, Janov, jest zawsze dla mnie ciekawe. Chcę dostrzec analogię między tym, co powiedziałeś, a tym, co robimy. Dano nam szansę spełnienia trzech życzeń, wyraziliśmy dwa i nic nam z tego nie przyszło. Teraz zostało nam już tylko jedno. Jestem prawie pewien, że i teraz nam się nie uda. Właśnie dlatego odkładam ten skok jak najdłużej.

— A co zrobisz, jeśli znowu ci się nie uda? Wrócisz na Gaję? Czy na Terminusa?

— O nie — odparł Trevize, potrząsając płową. — Musimy kontynuować poszukiwania… Zebym tylko wiedział jak.

14. Martwa planeta

60

Trevize był przygnębiony. Żaden z tych kilku sukcesów, które odniósł od czasu rozpoczęcia poszukiwań, nie był decydujący. Wszystkie były czasowym odsuwaniem porażki.

Teraz odłożył skok ku trzeciemu ze światów Przestrzeńców, dopóki nie podzielił się swym niepokojem z innymi. Kiedy w końcu zdecydował, że musi polecić komputerowi przeprowadzić statek przez nadprzestrzeń, Pelorat stał z poważną miną w drzwiach sterowni, a zza jego plec9w wyglądała Bliss. Był tam nawet Fallom, wlepiając w niego oczy jak sowa i mocno trzymając Bliss za rękę.

Trevize podniósł głowę znad komputera, spojrzał na nich i powiedział raczej szorstko: — Zupełnie jak rodzina! — Ale przemawiało przez niego zdenerwowanie.

Polecił komputerowi, aby wynurzył statek w przestrzeni w większej odległości od gwiazdy, niż było to niezbędnie konieczne. Wmawiał sobie, że robi tak dlatego, że wizyty na dwóch pierwszych światach Przestrzeńców nauczyły go ostrożności, ale sam w to nie wierzył. Wiedział, że w głębi duszy ma nadzieję, iż wynurzy się z nadprzestrzeni w takiej odległości od gwiazdy, by nie mieć pewności, czy krąży wokół niej, czy nie, jakaś zamieszkana planeta. Zyskałby w ten sposób kilka dni, zanimby się o tym przekonał i, być może, musiał stanąć w obliczu porażki.

Tak więc teraz, bacznie obserwowany przez „rodzinę", wziął głęboki oddech, wstrzymał na chwilę powietrze, a potem wypuścił je ze świstem, dając komputerowi ostatnie instrukcje.

Gwiazdy na moment znikły z ekranu, a kiedy pojawiły się ponownie, ekran wydawał się nieco pusty, gdyż w rejonie, w którym się znaleźli, gwiazdy były rzadziej rozrzucone. Prawie w środku ekranu widniała jasno świecąca gwiazda.

Trevize uśmiechnął się szeroko, gdyż był to pewien sukces. W końcu trzeci zestaw współrzędnych mógł być błędny i mogło tam nie być żadnej gwiazdy typu G. Rzucił okiem na stojącą w drzwiach trójkę i powiedział:

— To jest właśnie to. Gwiazda numer trzy. — Jesteś pewien? — spytała cicho Bliss.

— Spójrz! — powiedział Trevize. — Przełączę ekran na obraz tego rejonu z komputerowej mapy galaktycznej i jeśli ta gwiazda zniknie, to będzie to znaczyć, że nie ma jej na mapie, a więc jest tą, której szukamy.

Komputer wykonał jego polecenie i gwiazda natychmiast zniknęła, nawet nie ciemniejąc przedtem. Zupełnie jakby nigdy jej nie było, ale reszta pola gwiezdnego pozostała bez zmiany.

— Mamy ją — rzekł Trevize.

Mimo to skierował ku niej „Odległą Gwiazdę” z szybkością o połowę mniejszą, niż mógł rozwinąć w tych warunkach. Nadal pozostawała do wyjaśnienia kwestia, czy wokół gwiazdy krąży jakaś zamieszkana planeta czy nie i Trevize bynajmniej nie palił się, aby ją szybko rozstrzygnąć. Nawet po upływie trzech dni, kiedy już znacznie zbliżyli się do gwiazdy, nie można było nic powiedzieć o tym, czy jest tam taka planeta, czy też nie.

No, może niezupełnie nic. Wokół gwiazdy krążył olbrzym gazowy. Był od niej bardzo daleko i po oświetlonej stronie promieniował bardzo bladym, żółtym światłem, które — widziane z miejsca, gdzie się znajdowali — miało kształt szerokiego półksiężyca.

Trevizemu nie podobał się jego wygląd, ale starał się nie pokazywać tego po sobie i mówił tak rzeczowo, jak gdyby czytał z przewodnika:

— Jest tam duży olbrzym gazowy. Dość okazały. Ma parę cienkich pierścieni i dwa sporych rozmiarów satelity, które można dostrzec w tej chwili.

— Olbrzymy gazowe znajdują się w większości systemów gwiezdnych, prawda? — spytała Bliss.

— Tak, ale ten jest wyjątkowo duży. Sądząc z odległości jego satelitów i ich okresów obrotu, jego masa jest prawie dwa tysiące razy większa niż masa planety nadającej się do zamieszkania.

— A co to za różnica? — spytała Bliss. — Olbrzymy gazowe to olbrzymy gazowe i nie jest ważne, jakie mają rozmiary, prawda? Zawsze znajdują się w dużej odległości od gwiazdy, wokół której krążą, i ze względu na tę odległość i ich rozmiar żaden z nich nie nadaje się do zamieszkania. Takiej planety musimy szukać bliżej gwiazdy.

Trevize zawahał się przez chwilę, a potem zdecydował się przedstawić fakty.

— Chodzi o to — powiedział — że olbrzymy gazowe przyciągają do siebie wszystko, co znajduje się w pewnej odległości od nich i zostawiają tę część przestrzeni pustą. Materia, której nie wchłoną, zbija się razem i tworzy dość duże ciała, które formują ich układy satelitarne. Uniemożliwiają one zbijanie się materii w inne ciała nawet w dużej odległości od siebie, tak, że im większy jest dany olbrzym gazowy, tym większe prawdopodobieństwo, że jest jedyną względnie dużą planetą w danym systemie gwiezdnym. W takiej sytuacji układ składa się tylko z olbrzyma gazowego i asteroid.

— Chcesz powiedzieć, że nie ma tu żadnej planety, która nadawałaby się do zamieszkania?

— Im większy olbrzym, tym mniejsza szansa, że jest w pobliżu taka planeta, a ten ma taką masę, że właściwie jest karłem.

— Możemy go zobaczyć? — spytał Pelorat.

Cała trójka spojrzała na ekran (Fallom był w kabinie Bliss, zajęty książkami).

Komputer powiększył obraz, tak że w końcu cały ekran wypełnił półksiężyc. W pewnej odległości od środka sierp ten przecięty był cienką linią — cieniem pierścienia, który był widoczny w małej odległości od powierzchni planety jako błyszczący pas, zakrzywiony w stronę zacienionej półkuli i w pewnym miejscu sam niknący w cieniu.

— Oś obrotu planety jest nachylona o trzydzieści pięć stopni do płaszczyzny, po której krąży wokół gwiazdy — powiedział Trevize — a pierścienie znajdują się oczywiście w płaszczyźnie równikowej, tak że światło gwiazdy pada na planetę od spodu, w tym punkcie jej orbity, przez co pierścienie rzucają cień znacznie powyżej równika.

Pelorat przyglądał się ze skupieniem.

— Cienkie są te pierścienie — powiedział.

— Prawdę mówiąc, raczej szersze, niż się przeciętnie spotyka — rzekł Trevize.

— Według legendy, pierścienie wokół olbrzyma gazowego w układzie planetarnym, do którego należy Ziemia, są o wiele szersze, jaśniejsze i bardziej skomplikowane niż te tutaj — powiedział Pelorat. — Faktycznie, w porównaniu z nimi, sam olbrzym wygląda jak karzeł.

— Nie dziwi mnie to — odparł Trevize. — Myślisz, że kiedy jakaś opowieść jest przekazywana przez tysiące lat z ust do ust, to staje się coraz uboższa?

— To jest piękne — powiedziała Bliss. — Jeśli patrzy się na ten sierp, to wydaje się, że kręci się on i wije.

— To burze atmosferyczne — rzekł Trevize. Można to zobaczyć wyraźniej, jeśli wybierze się odpowiednią długość fali światła. Spróbujmy. — Położył dłonie na pulpicie i polecił komputerowi wybrać ze spectrum falę o odpowiedniej długości.

Łagodnie świecący sierp rozgorzał nagle istną orgią barw, które zmieniały się tak szybko, że nieomal oślepli, próbując uchwycić te zmiany. W końcu przybrał na stałe kolor czerwono-pomarańczowy. Na jego powierzchni widać było teraz wyraźne spirale, stale zwijające się i rozwijające.

— Niewiarygodne — mruknął Pelorat.

— Wspaniałe — powiedziała Bliss.

„Zupełnie wiarygodne — pomyślał gorzko Trevize — i na pewno nie wspaniałe". Ani Bliss, ani Pelorat, porwani pięknem tego widoku, nie pomyśleli o tym, że planeta, którą tak podziwiają, zmniejsza jego szanse na wyjaśnienie tajemnicy, która go intrygowała. Ale niby dlaczego mieliby się tym martwić? Oboje byli zadowoleni z decyzji Trevizego i uważali ją za słuszną, a towarzyszyli mu w tym poszukiwaniu pewności bez żadnych emocji. Nie było sensu ganić ich

za to.

— Ta strona — powiedział — wydaje się ciemna, ale gdyby nasze oczy mogły odbierać fale z zakresu trochę niższego niż próg widzialności, to zobaczylibyśmy, że jest koloru głębokiej czerwieni. Ta planeta wysyła w przestrzeń duże ilości promieniowania podczerwonego, gdyż ma na tyle dużą masę, że jest prawie rozpalona do czerwoności. To coś więcej niż olbrzym gazowy, to prawie gwiazda!

Odczekał chwilę i powiedział:

— Zostawmy już tę planetę i poszukajmy takiej, która nadaje się do zamieszkania, jeśli w ogóle jest tu taka.

— Może jest — powiedział Pelorat z uśmiechem. — Nie poddawaj się, stary.

— Nie poddaję się — powiedział Trevize z przekonaniem. — Tworzenie się planet to proces zbyt skomplikowany, aby obowiązywały tu ścisłe i stałe reguły. Mówimy tylko o stopniu prawdopodobieństwa. Przy takim potworze w przestrzeni jak ten ów stopień jest minimalny, ale większy od zera.

— Dlaczego nie spojrzysz na to w inny sposób? — powiedziała Bliss. — Skoro każdy z dwu pierwszych zestawów danych naprowadził cię na świat Przestrzeńców, to trzeci, dzięki któremu już znaleźliśmy odpowiednią gwiazdę, powinien również naprowadzić cię na planetę nadającą się do zamieszkania. Dlaczego zatem mówisz o takim czy innym stopniu prawdopodobieństwa?

— Mam szczerą nadzieję, że masz rację — odparł Trevize, wcale nie czując się podniesiony na duchu. — Teraz zejdziemy z poziomu tej planety i podlecimy bliżej gwiazdy.

Komputer zajął się tym niemal w tej samej chwili, w której Trevize zakomunikował swój zamiar. Usiadł wygodniej w fotelu pilota i pomyślał, że jedynym minusem kierowania statkiem grawitacyjnym z tak doskonałym komputerem jest fakt, że nigdy — nigdy — nie będzie się już pilotem w prawdziwym sensie tego słowa.

Czy zgodziłby się znowu sam przeprowadzać niezbędne obliczenia? Czy zgodziłby się znowu zasiąść za sterami statku, w którym musiałby brać pod uwagę wielkość przyspieszenia i ograniczać prędkość do rozsądnych granic? Najpewniej, gdyby do tego doszło, zapomniałby się i zwiększył szybkość, tak że w końcu wszystkie osoby znajdujące się na pokładzie zostałyby rzucone na ścianę i zmiażdżone działaniem siły ciężkości.

A zatem będzie już zawsze pilotował tylko ten statek, albo inny tego samego typu, jeśli w ogóle zdecyduje się kiedykolwiek na taką chociażby zamianę.

Ponieważ nie chciał myśleć o tym, czy w układzie gwiazdy znajduje się zamieszkana planeta czy nie, zaczął się zastanawiać,

dlaczego polecił, aby statek przeleciał nad planetą, a nie pod nią. Jeśli z jakiegoś konkretnego powodu nie trzeba lecieć akurat pod planetą, to każdy pilot prawie zawsze wybierze lot nad nią. Dlaczego?

A właściwie jaki sens zastanawiać się nad tym, czy lecieć górą czy dołem? W symetrii przestrzeni była to zwykła konwencja.

Tak czy inaczej, zawsze brał pod uwagę kierunek, w którym obserwowana planeta wirowała wokół swej osi i obracała się wokół swej gwiazdy. Kiedy oba kierunki były przeciwne kierunkowi wskazówek zegara, to wyciągnięta w górę ręka wskazywała północ, natomiast pod stopami było południe. I tak było w całej Galaktyce — góra zawsze obrazowała północ, a dół — południe.

Była to czysta konwencja, której początki ginęły w mrokach przeszłości, a jednak trzymano się jej niewolniczo. Jeśli ktoś oglądał mapę znanego sobie rejonu, na której południe znajdowało się u góry, to nie rozpoznawał znanych miejsc. Trzeba było odwrócić mapę, aby ją odczytać. Przy pozostałych warunkach nie zmienionych, leciało się na północ, a więc „do góry".

Trevizemu przypomniała się historia bitwy, którą trzysta lat wcześniej stoczył generał Imperium, Bel Riose. W krytycznym momencie pchnął swoją flotyllę pod planetą, koło której toczyła się bitwa, i zaskoczył flotyllę przeciwnika. Zarzucano mu potem, że ten manewr był nie fair. Oczywiście zarzucali mu to ci, którzy przegrali bitwę.

Tak silnie utrwalona i tak stara konwencja musiała się wywodzić z Ziemi… i to nagle zwróciło z powrotem myśli Trevizego ku problemowi zamieszkanej planety.

Pelorat i Bliss w dalszym ciągu przyglądali się olbrzymowi gazowemu, który właśnie wykonywał powoli salto w tył. Oświetlona część jego powierzchni zwiększyła się, a ponieważ Trevize utrzymał spectrum w długości fal pomarańczowo-czerwonych, widok falowania i wirów spowodowanych burzami był jeszcze bardziej niezwykły i hipnotyzujący.

Wszedł na to Fallom i Bliss zdecydowała, że powinien się on przespać, a i ona utnie sobie drzemkę. Trevize rzekł do Pelorata, który pozostał w sterowni:

— Muszę się oddalić od tego olbrzyma, Janov. Chcę, żeby komputer skoncentrował się na poszukiwaniu oddziaływania grawitacyjnego odpowiednich rozmiarów.

— Oczywiście, stary — odparł Pelorat.

Ale sprawa była bardziej skomplikowana, niż to powiedział Peloratowi. Oddziaływanie grawitacyjne, którego miał poszukiwać komputer, musiało mieć nie tylko odpowiednie rozmiary, ale też powinno się znajdować w odpowiedniej odległości. Minie jeszcze kilka dni, zanim zdobędzie pewność.

61

Trevize wszedł do swojej kabiny z poważną, niemal ponurą miną i zamarł w progu. Czekała na niego Bliss. Obok niej stał Fallom, w swej szacie i przepasce na biodrach, które jeszcze pachniały świeżym praniem i prasowaniem. W swym zwykłym ubraniu wyglądał o wiele lepiej niż w jednej ze skróconych koszul nocnych Bliss.

— Nie chciałam ci przeszkadzać przy komputerze — powiedziała Bliss — ale teraz posłuchaj… No dalej, Fallom.

— Witam cię, opiekunie Trevize — zaczął Fallom swym wysokim, melodyjnym głosem. — To dla mnie wielka przyjemność, że do… towarzyszę ci w tej podróży przez przestrzeń. Cieszę się też, że moi przyjaciele, Bliss i Pel, są dla mnie tacy dobrzy.

Skończył i uśmiechnął się promiennie. Trevize raz jeszcze zadał sobie w duchu pytanie: „Czy mam myśleć o tym jako o chłopcu czy o dziewczynce, czy o jednym i drugim naraz, czy o żadnym?"

Skinął głową i powiedział:

— Bardzo dobrze zapamiętane. I prawie bezbłędna wymowa.

— Wcale nie zapamiętane — rzekła ciepło Bliss. — Fallom sam to ułożył i zapytał, czy może to tobie powiedzieć. Dopóki tego nie usłyszałam, nawet nie wiedziałam, co to ma być.

Trevize uśmiechnął się z przymusem.

— No, w takim przypadku naprawdę świetnie. — Zauważył, że Bliss stara się jak może unikać zaimków, mówiąc o Fallomie.

Bliss odwróciła się do Falloma i powiedziała:

— Mówiłam ci, że spodoba się to. Trevizemu… A teraz idź do Pela i, jeśli chcesz, możesz sobie poczytać.

Fallom wybiegł z kabiny, a Bliss powiedziała:

— To zdumiewające, jak szybko Fallom uczy się galaktycznego. Solarianie muszą mieć szczególne zdolności do nauki języków. Pomyśl tylko — Bander nauczył się mówić po ogólnogalaktycznemu, słuchając tylko rozmów przekazywanych przez nadprzestrzeń. Ich mózgi muszą być oryginalne nie tylko ze względu na to, że przetwarzają energię.

Trevize mruknął coś.

— Nie mów mi, że nadal nie lubisz Falloma powiedziała Bliss.

— Ani lubię, ani nie lubię. To stworzenie po prostu wprawia mnie w zakłopotanie. Przede wszystkim to okropne uczucie — mieć do czynienia z hermafrodytą.

— Daj spokój, Trevize — powiedziała Bliss. To śmieszne. Fallom jest żywym stworzeniem, które doskonale przystosowuje się do nowych warunków. Pomyśl, jak odrażającymi musimy się wydawać my — mężczyźni i kobiety — społeczności hermafrodytów. Każde z nas jest tylko połową całości i po to, żeby się rozmnażać, musimy od

czasu do czasu wchodzić ze sobą w niezgrabne związki.

— Nie podoba ci się to, Bliss?

— Nie udawaj, że mnie nie rozumiesz. Próbuję spojrzeć na nas z punktu widzenia hermafrodytów. Dla nich musi to być w najwyższym stopniu odrażające, ale dla nas jest to naturalne. Fallom wydaje ci się odrażający, ale jest to zaściankowy punkt widzenia.

— Słowo daję — powiedział Trevize — to irytujące, żeby nie wiedzieć, jakiego zaimka używać w odniesieniu do tego stworzenia. To zastanawianie się nad wyborem zaimka utrudnia rozmowę, a nawet samo myślenie o nim.

— Ale to nie jest wina tego stworzenia, lecz naszego języka — powiedziała Bliss. — Żaden ludzki język nic został stworzony z myślą o hermafrodytach. I cieszę się, że poruszyłeś tę sprawę, bo sama o tym myślałam. Używanie w stosunku do hermafrodyty zaimka „to", jak proponował Bander, nie jest żadnym wyjściem z sytuacji. Zaimek ten stosuje się do przedmiotów, które nie mają nic wspólnego z płcią. Nie ma z kolei żadnego zaimka, który odnosiłby się do osób dwupłciowych. Może zatem wybralibyśmy arbitralnie któryś z istniejących zaimków? Ja myślę o Fallom jak o dziewczynce. Po pierwsze ona ma wysoki głos, a po drugie może rodzić dzieci, co jest główną cechą kobiety. Pelorat już się zgodził, więc może ty też się zgodzisz? Niech to będzie „ona".

Trevize wzruszył ramionami.

— Dobrze. Co prawda ona ma jądra, ale zgoda. Bliss westchnęła.

— Masz denerwujący zwyczaj kpienia ze wszystkiego, ale usprawiedliwia cię to, że żyjesz teraz w napięciu. Proszę tylko, żebyś używał w stosunku do niej zaimka rodzaju żeńskiego.

— Załatwione. — Trevize zawahał się, ale nie mógł zwalczyć pokusy, aby powiedzieć: — Wydaje mi się, że z każdym dniem coraz bardziej traktujesz Fallom jak zastępcze dziecko. Czy to dlatego, że chcesz mieć własne, ale uważasz, że Janov nie może ci go dać?

Bliss otworzyła szeroko oczy.

— On nie jest ze mną po to, żeby mi dać dziecko. Myślisz, że traktuję go instrumentalnie, żeby tylko zaspokoić swoją zachciankę? W każdym razie nie nadeszła jeszcze pora, żebym mogła mieć dziecko. Kiedy nadejdzie, to będzie to musiało być dziecko gajańskie, a Pel nie może mi go dać.

— Chcesz powiedzieć, że będziesz musiała go zostawić?

— Skądże. To będzie tylko czasowa rozłąka. A zresztą mogę nawet zostać sztucznie zapłodniona.

— Przypuszczam, że będziesz mogła mieć dziecko dopiero wówczas, kiedy Gaja zdecyduje, że jest ono potrzebne, kiedy powstanie luka stworzona przez śmierć jakiegoś, już istniejącego, fragmentu Gai.

— Ujmujesz to bezdusznie, ale jesteś bliski prawdy. Gaja musi zachować odpowiednie proporcje między swymi częściami.

— Tak jak Solarianie.

Bliss zacisnęła usta, a jej twarz lekko pobladła.

— Nic podobnego — powiedziała. — Solarianie płodzą więcej dzieci, niż potrzebują, i zabijają nadprogramowe. My natomiast rodzimy tyle, ile nam potrzeba, i nigdy nie musimy nikogo zabijać… to zupełnie tak samo jak z twoim naskórkiem — zewnętrzne warstwy obumierają i są zastępowane przez nowe, w których nie ma ani jednej komórki więcej niż w starych.

— Rozumiem, co masz na myśli — powiedział Trevize. — Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że liczysz się z uczuciami Janova.

— W związku z ewentualnym dzieckiem ze mną? Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. I nie będziemy.

— Nie, nie o to mi chodzi… Jesteś coraz bardziej zajęta Fallom. Janov może czuć się odtrącony.

— Nie jest odtrącony, a poza tym zajmuje się nią tak samo jak ja. Ona jeszcze bardziej wiąże nas ze sobą. A może to ty czujesz się odtrącony?

— Ja? — Trevize był autentycznie zdumiony.

— Tak, ty. Nie rozumiem izoli, tak samo jak oni nie rozumieją Gai, ale mam wrażenie, że.lubisz być centrum zainteresowania i możesz się czuć nieco zepchnięty na bok przez Fallom.

— To idiotyczne.

— Nie bardziej niż twoje podejrzenie, że zaniedbuję Janova.

— Wobec tego zawrzyjmy rozejm i dajmy temu spokój. Postaram się traktować Fallom jak dziewczynkę i nie będę się zbytnio martwił tym, że nie liczysz się z uczuciami Janova.

Bliss uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Wobec tego wszystko w porządku. Trevize odwrócił się, ale Bliss powiedziała:

— Zaczekaj!

Obejrzał się i spytał nieco zmęczonym głosem:

— Tak?

— Jest dla mnie zupełnie jasne, że jesteś przygnębiony. Nie mam zamiaru sondować twego umysłu, ale może sam zechcesz mi powiedzieć, co się stało. Wczoraj mówiłeś, że jest w tym układzie odpowiednia planeta, i wydawałeś się zupełnie zadowolony… Mam nadzieję, że taka planeta jest tu faktycznie. Chyba się nie okazało, że to pomyłka, co?

— Jest tu odpowiednia planeta. To nie pomyłka — odparł Trevize.

— Ma odpowiednią wielkość?

Trevize skinął głową.

— Skoro jest odpowiednia, to ma odpowiednią wielkość — powiedział. — I jest też w odpowiedniej odległości od gwiazdy.

— No to co ci nie pasuje wobec tego?

— Jesteśmy już na tyle blisko od niej, że możemy zrobić analizę atmosfery. Okazuje się, że nie bardzo jest co analizować.

— Nie ma atmosfery?

— Nie bardzo jest co analizować. Ta planeta nie ma odpowiednich warunków, aby mogło na niej istnieć życie, a co więcej, nie ma w tym układzie żadnej innej planety, która by choć w najmniejszym stopniu nadawała się do zamieszkania. Trzecia próba dała wynik zerowy.

62

Pelorat wyraźnie nie chciał przeszkadzać pogrążonemu w niewesołych rozmyślaniach Trevizemu. Stał z poważną miną w drzwiach sterowni, najwidoczniej mając nadzieję, że Trevize sam zacznie rozmowę.

Trevize jednak nie odzywał się. Jeśli milczenie można nazwać upartym, to jego na pewno było takie.

W końcu Pelorat nie mógł już dłużej wytrzymać tej ciszy i zapytał, raczej nieśmiało:

— Co robimy?

Trevize podniósł wzrok, patrzył przez chwilę na Pelorata, a potem odwrócił się tyłem i powiedział:

— Koncentrujemy uwagę na tej planecie.

— Ale skoro nie ma atmosfery…

— To komputer twierdzi, że nie ma tam atmosfery. Dotychczas zawsze mówił mi to, co chciałem usłyszeć, więc przyjmowałem to bez zastrzeżeń. Teraz jednak powiedział mi coś, czego nie chcę słyszeć, więc mam zamiar to sprawdzić. Jeśli ten komputer może się w ogóle kiedykolwiek pomylić, to chciałbym, żeby to było właśnie teraz.

— Myślisz, że się pomylił?

— Nie.

— A przychodzi ci do głowy coś, co mogłoby spowodować, żeby się pomylił?

— Nie.

— No to czym się przejmujesz?

Trevize obrócił się z krzesłem, aby w końcu spojrzeć Peloratowi w oczy. Z jego twarzy widać było, że jest bliski rozpaczy. Powiedział:

— Czy nie rozumiesz, Janov, że nie mogę myśleć o niczym innym? Wyciągnęliśmy dwa puste losy, a teraz okazuje się, że trzeci jest też pusty. Co mam teraz zrobi? Latać od świata do świata i pytać: „Przepraszam, gdzie jest Ziemia”? Ziemia dokładnie zatarła wszystkie ślady. Nigdzie nie zostawiła nawet najdrobniejszej wskazówki. Zaczynam myśleć, że postara się o to, żebyśmy nie potrafili znaleźć żadnej wskazówki, nawet jeśli gdzieś jeszcze jakaś została.

Pelorat pokiwał głową i rzekł:

— Ja też już zaczynam tak myśleć. Nie masz nic przeciw temu, że porozmawiam z tobą o tym? Wiem, że jesteś przygnębiony, więc jeśli nie masz ochoty do rozmów i wolisz, żebym cię zostawił w spokoju, to powiedz.

— Mów śmiało — powiedział Trevize z westchnieniem przypominającym jęk. — Czy mam coś lepszego do roboty niż słuchać?

— Nie brzmi to zbyt zachęcająco — odparł Pelorat — ale może rozmowa dobrze nam zrobi. Jeśli stwierdzisz w jakimś momencie, że nie możesz już słuchać, to przerwij mi… Wydaje mi się, Golan że Ziemia nie musi uciekać się tylko do biernego oporu przed odkryciem jej. Nie musi ograniczać się do wymazywania wzmianek na swój temat. Czy nie mogła też rozpowszechnić fałszywych informacji i w ten sposób bardziej aktywnie zatroszczyć się o to, żeby pozostać w ukryciu?

— Co masz na myśli?

— Hmm, w wielu miejscach słyszeliśmy, że jest skażona radioaktywnością. Być może chodzi tu o to, żeby zniechęcić wszystkich do prób zlokalizowania jej. Gdyby naprawdę była skażona, to byłaby całkowicie niedostępna. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie moglibyśmy nawet postawić na niej stopy. Nawet roboty, gdybyśmy je mieli, mogłyby nie oprzeć się zgubnemu wpływowi promieniowania. W takiej sytuacji czego ktoś miałby tam szukać? A jeśli nie jest skażona, to taka forma znakomicie chroni jej mieszkańców przed ciekawością innych, chyba że ktoś trafiłby tam przez przypadek, a na taką okoliczność mogą mieć przygotowane inne sposoby maskowania się.

Trevize uśmiechnął się blado.

— To dziwne, Janov, ale mnie to samo przyszło do głowy — powiedział. — Przyszło mi nawet na myśl, że ten niewiarygodny, ogromny satelita został wymyślony i celowo umieszczony w legendach. A jeśli chodzi o tego gazowego olbrzyma z monstrualnym systemem pierścieni, to jego istnienie jest tak samo nieprawdopodobne i tak samo wzmianki o nim mogły zostać celowo umieszczone w legendach. Być może to wszystko zostało spreparowane po to, byśmy szukali czegoś, czego nie ma i nawet znalazłszy się w systemie, w którym leży Ziemia, i zobaczywszy ją, nie poświęcili jej uwagi, gdyż w rzeczywistości nie ma ona ogromnego satelity, ani kuzyna otoczonego potrójnym pierścieniem, ani radioaktywnej powłoki. W takiej sytuacji nie podejrzewalibyśmy nawet, że właśnie na nią patrzymy… Obawiam się, że może być nawet gorzej.

Pelorat zrobił zgnębioną minę.

— Czy może być jeszcze gorzej?

— Oczywiście — kiedy nagle, w środku nocy, umysł ulega zamroczeniu i zaczyna przemierzać rozległą krainę rojeń w poszukiwaniu czegoś, co może pogłębić rozpacz. A jeśli Ziemia opanowała umiejętność krycia się do perfekcji? Jeśli potrafi zamroczyć nasze umysły? Jeśli może sprawić, że przelecimy obok niej i nie zauważymy ani jej ogromnego satelity, ani tego odległego, otoczonego pierścieniami olbrzyma gazowego? A może już się tak

stało? Może przelecieliśmy obok niej?

— Ale jeśli wierzysz, że jest tak, jak mówisz, to czego my jeszcze…

— Nie mówię, że w to wierzę. Mówię o tym, co mi przychodzi do głowy. Będziemy szukać dalej.

Pelorat zawahał się, a potem powiedział:

— Jak długo, Golan? W pewnym momencie będziemy jednak musieli się poddać.

— Nigdy! — odparł gwałtownie Trevize. Nawet jeśli będę musiał poświęcić resztę życia na latanie od planety do planety, rozglądanie się i wypytywanie wszystkich o Ziemię. Jeśli będziecie mieli dość, to w każdej chwili mogę odstawić ciebie, Bliss, a nawet Fallom na Gaję i dalej szukać sam.

— No nie. Wiesz dobrze, że cię nie zostawię samego. Bliss też tego nie zrobi. Jeśli będziemy musieli, to będziemy razem z tobą skakać z planety na planetę. Pytam tylko: po co?

— Po to, że muszę znaleźć Ziemię i że ją znajdę. Nie wiem jak, ale na pewno znajdę… Słuchaj, teraz próbuję znaleźć miejsce, z którego mógłbym zbadać oświetloną stronę planety nie zbliżając się za bardzo do słońca, więc daj mi na chwilę spokój.

Pelorat zamilkł, ale nie wyszedł ze sterowni. Przyglądał się, jak Trevize bada na ekranie obraz planety, której większa część skąpana była w blasku słońca. Pelorat nie dostrzegł tam niczego szczególnego, ale wiedział, że Trevize, połączony z komputerem, widzi lepiej niż on.

— Jest tam lekka mgiełka — szepnął Trevize.

— A więc musi być atmosfera — nie wytrzymał Pelorat.

— Ale niekoniecznie gęsta. Nie na tyle gęsta, żeby mogło tam istnieć życie, ale wystarczająco gęsta, żeby mógł tworzyć się lekki wiatr podnoszący obłoczki pyłu. To dobrze znana właściwość planet o rzadkiej atmosferze. Na biegunach mogą znajdować się nawet niewielkie czapki lodu. Trochę zamarzniętej wody, rozumiesz. Ten świat jest zbyt ciepły na to, żeby mógł się na nim znajdować dwutlenek węgla w stanie stałym… Będę musiał przełączyć na obraz radarowy, a to łatwiej zrobić po zacienionej stronie.

— Naprawdę?

— Tak. Powinienem był to zrobić na samym początku, ale w przypadku prawie zupełnie pozbawionej powietrza, a więc i chmur, planety zupełnie naturalne jest, że chce się ją obejrzeć w świetle widzialnym.

Trevize umilkł i przez dłuższy czas nie odrywał wzroku od ekranu, na którym pojawiły się postrzępione obrazy odbitych fal radarowych, tworząc abstrakcyjne przedstawienie planety przypominające dzieło sztuki w stylu cleoniańskim. W końcu Trevize rzekł z emfazą: — Nooo… — i na powrót zamilkł.

Pelorat czekał, aż Trevize powie coś więcej, ale kiedy cisza zaczęła się przedłużać, spytał:

— Do czego się odnosiło to „Nooo”?

Trevize spojrzał na niego i rzekł:

— Nie widzę żadnych kraterów.

— Żadnych kraterów? To dobrze?

— Zupełnie się tego nie spodziewałem — odparł Trevize. Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To bardzo dobrze. Może nawet wspaniale.

63

Fallom tkwiła z nosem przyciśniętym do szyby, przez którą widać było mały fragment wszechświata w takim kształcie, w jakim ukazywał się nie uzbrojonemu w teleskop oku.

Bliss, która próbowała wcześniej wyjaśnić jej to wszystko, westchnęła i powiedziała cicho do Pelorata: — Nie wiem, ile ona z tego rozumie, Pel. Dla niej wszechświat ograniczał się do rezydencji jej rodzica i tego kawałka posiadłości, na której się ona znajdowała. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek była na dworze w nocy albo żeby widziała kiedyś gwiazdy.

— Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę. Dopóki nie poznała tylu słów, żeby chociaż częściowo mnie zrozumieć, bałam się jej to pokazać… Jakie to szczęście, że mogłeś z nią rozmawiać w jej języku.

— Kłopot w tym, że nie znam go zbyt dobrze powiedział przepraszającym tonem Pelorat. — A wszechświat jest dość trudno ogarnąć myślą, jeśli ktoś zetknie się z nim niespodziewanie. Fallom powiedziała mi, że jeśli te światełka są naprawdę ogromnymi światami, z których każdy jest taki jak Solaria — oczywiście w istocie są dużo większe — to nie mogą wisieć w próżni. Jej zdaniem, powinny pospadać.

— Na podstawie swojej wiedzy ma rację. Zadaje rozsądne pytania i powoli wszystko zrozumie. Przynajmniej jest ciekawa i nie boi się.

— Rzecz w tym, Bliss, że ja też jestem ciekaw. Popatrz tylko, jak zmienił się Golan kiedy odkrył, że na tym świecie nie ma kraterów. Nie mam najmniejszego pojęcia, co to za różnica, czy są czy nie. A ty?

— Ja też nie. Ale on wie o wiele więcej o planetologii niż my. Możemy tylko przypuszczać, że wie, co robi.

— Chciałbym to wiedzieć, a nie przypuszczać.

— No to go zapytaj.

Pelorat skrzywił się.

— Zawsze się boję, że się mu naprzykrzam. Jestem pewien, że on uważa, iż powinienem wiedzieć to wszystko bez pytania.

— Jesteś niemądry, Pel. On nie ma żadnych zahamowań i bez wahania pyta cię o wszystkie szczegóły legend i mitów galaktycznych, które — jego zdaniem — mogą mu się do czegoś przydać. Zawsze chętnie mu je wyjaśniasz, więc dlaczego on nie miałby wyjaśnić tego, co ciebie interesuje? Idź i spytaj go. Jeśli go to zirytuje, to będzie miał okazję, żeby poćwiczyć opanowanie i cnoty towarzyskie, a to mu tylko dobrze zrobi.

— Pójdziesz ze mną?

— Nie, oczywiście, że nie. Chcę zostać z Fallom i postarać się,

żeby wyrobiła sobie jakieś pojęcie o wszechświecie. Zdążysz mi to wyjaśnić potem, kiedy powie ci już, o co chodzi.

64

Pelorat wszedł nieśmiało do sterowni. Zauważył z zadowoleniem, że Trevize pogwizduje coś pod nosem i jest najwyraźniej w dobrym humorze.

— Golan — powiedział tak przyjaźnie, jak tylko potrafił.

Trevize podniósł głowę.

— Janov! Zawsze wchodzisz tu na palcach, jakbyś się obawiał, że prawo zabrania mi przeszkadzać. Zamknij drzwi i usiądź. Siadaj! Popatrz tylko na to!

Wskazał palcem na planetę widoczną na ekranie i powiedział:

— Znalazłem nie więcej niż dwa-trzy kratery, i to zupełnie małe.

— Czy to nie wszystko jedno, Golan czy są dwa czy więcej?

— Wszystko jedno? Oczywiście, że nie. Jak w ogóle możesz o to pytać?

Pelorat rozłożył bezradnie ręce.

— To wszystko to dla mnie czarna magia. Na uniwersytecie studiowałem historię. Chodziłem też na zajęcia z socjologii i psychologii, a także języków obcych i literatury, głównie starożytnej, a pracę dyplomową pisałem z mitologii. Nigdy nie zetknąłem się bliżej z planetologią ani innymi działami fizyki.

— To żadna zbrodnia, Janov. Wolę, że wiesz to, co wiesz. Twoja znajomość języków starożytnych i mitologii bardzo się nam przydała. Wiesz o tym. A jeśli wyniknie jakaś sprawa związana z planetologią, to ja się tym zajmę. — Widzisz, Janov — mówił dalej — planety powstają poprzez zbijanie się w jedną bryłę mniejszych przedmiotów. Ostatnie z nich tworzą, w wyniku zderzenia z tą bryłą, kratery na jej powierzchni. To znaczy potencjalnie. Jeśli dana planeta jest na tyle duża, że jest olbrzymem gazowym, to pod warstwą atmosfery wszystko jest w stanie płynnym, a więc te ostatnie zderzenia nie zostawiają na jej powierzchni żadnych śladów. Natomiast na twardej, lodowej czy skalistej powierzchni mniejszych planet zostają ślady w postaci kraterów. Ślady te są widoczne tak długo, aż pojawi się jakiś czynnik, który je usunie.

Otóż są trzy rodzaje takich czynników. Po pierwsze, pod warstwą lodu może kryć się ocean. W takim przypadku każdy obiekt, który zderzy się z planetą, przebije tę wierzchnią warstwę i zanurzy się w oceanie, rozbryzgując wodę. Po jego zatonięciu woda na powrót zamarza i, jeśli można tak powiedzieć, rana zabliźnia się. Taka planeta, czy satelita, musi być bardzo zimna i nie mogłaby się nadawać do zamieszkania.

Po drugie, jeśli planeta ma aktywne wulkany, to stały wyciek lawy lub opad popiołów powoduje, że znikają wszelkie kratery

powstałe w wyniku jej zderzeń z innymi ciałami. Taka planeta, czy satelita, również nie nadają się do zamieszkania.

I w ten sposób dochodzimy do trzeciego rodzaju, to jest do światów nadających się do zamieszkania. Taki świat może mieć czapy lodowe wokół biegunów, ale większa część oceanów nie może być zamarznięta. Mogą na nim być czynne wulkany, ale rzadko rozrzucone. Taki świat ani nie zabliźnia swoich ran, ani nie zasypuje kraterów popiołem. Działa tam jednak erozja. Wiatr i woda powodują erozję kraterów, a jeśli istnieje tam życie, to jego wpływ ma podobne skutki. Rozumiesz?

Pelorat zastanawiał się chwilę i w końcu powiedział:

— Zupełnie cię nie rozumiem. Ta planeta, do której się właśnie zbliżamy…

— Jutro na niej wylądujemy — rzekł radośnie Trevize.

— Ta planeta nie ma żadnych oceanów.

— Tylko cienkie czapy lodowe wokół biegunów.

— Ani atmosfery.

— Tylko jedną setną tej atmosfery, jaką ma Terminus.

— Ani nie ma na niej życia.

— Nie odkryłem żadnych jego śladów.

— Co zatem mogło spowodować erozję kraterów?

— Ocean, atmosfera i życie — odparł Trevize. Słuchaj, gdyby ta planeta nie miała od samego początku ani wody, ani powietrza, to wszystkie kratery, które powstały w wyniku zderzeń z innymi ciałami, nadal by tam istniały. Cała powierzchnia byłaby nimi usiana. Brak kraterów dowodzi, że nie zawsze była pozbawiona wody i powietrza, a może nawet w niezbyt odległej przeszłości miała i ocean, i porządną atmosferę. Poza tym widać na jej powierzchni rozległe — wgłębienia, które kiedyś musiały być morzami i oceanami, nie mówiąc już o tym, że można dostrzec wyraźne ślady koryt wyschniętych rzek. Widzisz więc, że musiała tam działać erozja i że działanie to ustało tak niedawno, że nie zdążyło się nawet utworzyć więcej kraterów.

Pelorat rzekł z powątpiewaniem:

— Wprawdzie nie jestem planetologiem, ale wydaje mi się, że jeśli jakaś planeta jest tak duża, że nawet przez miliardy lat, być może, jest w stanie utrzymać gęstą atmosferę, to nie może jej ni z tego, ni z owego stracić, prawda?

— Nie powiedziałbym — odparł Trevize. — Ale zanim zniknęła atmosfera, niewątpliwie istniało tu życie, może nawet żyli ludzie. Osobiście przypuszczam, że — jak prawie wszystkie zamieszkane światy w Galaktyce — był to świat ukształtowany przez ludzi. Kłopot w tym, że nie wiemy ani tego, jakie panowały tu warunki, zanim przybyli ludzie, ani co tu zmieniono, żeby ludziom żyło się wygodniej, ani z jakich przyczyn przestało tu istnieć życie. Być może zdarzyła się

tu jakaś katastrofa, która zniszczyła atmosferę i położyła kres życiu. A może panowała tu jakaś nierównowaga, której skutki udawało się ludziom, dopóki tu żyli, neutralizować, a która doprowadziła do zniknięcia atmosfery, kiedy się stąd wynieśli. Kiedy wylądujemy, może znajdziemy na to odpowiedź, a może nie. To nie jest ważne.

— Tak samo chyba nie jest ważne, czy żyli tu ludzie, skoro teraz ich tu nie ma. Czy to nie wszystko jedno, czy ta planeta jest nie zamieszkana od samego początku czy dopiero od jakiegoś czasu?

— Jeśli jest nie zamieszkana dopiero od jakiegoś czasu, to są na niej ruiny po osiedlach tych, którzy ją kiedyś zamieszkiwali.

— Na Aurorze były ruiny…

— Owszem, ale na Aurorze padają deszcze i śniegi, zamarza i odmarza woda i ziemia, wieje wiatr, zmienia się temperatura. I te wszystkie czynniki działają od dwudziestu tysięcy lat. Poza tym nie zapominaj, że istnieje tam życie. Być może ludzi nie ma tam już od dawna, ale istnieją inne formy życia. Ruiny, tak jak kratery, ulegają erozji. Nawet szybciej niż kratery. To, co pozostało po dwudziestu tysiącach lat, nie na wiele by się nam przydało… Natomiast na tej planecie od dwudziestu tysięcy lat, może krócej, nie było ani deszczów, ani burz, ani wiatru. Zgoda, były zmiany temperatury, ale nic poza tym. Ruiny będą w dobrym stanie.

— Jeśli są tam w ogóle jakieś ruiny — mruknął z powątpiewaniem Pelorat. — Być może nigdy nie istniało tam życie, a w każdym razie nie było ludzi, a rozkład atmosfery został spowodowany czymś, z czym ludzie nie mieli nic wspólnego.

— Nie, nie — rzekł szybko Trevize. — Nie udawaj przede mną pesymisty, bo to się na nic nie zda. Nawet z tej odległości dostrzegłem szczątki jakiegoś miasta… Tak więc jutro lądujemy.

65

— Fallom jest przekonana, że zamierzamy zawieźć ją z powrotem do Jemby'ego, tego robota rzekła zmartwionym głosem Bliss.

— Mhmm — mruknął Trevize, studiując umykającą do tyłu powierzchnię świata, nad którym dryfowali. Potem, jak gdyby dotarł do niego wreszcie sens słów Bliss, podniósł głowę znad ekranu. — No cóż, to był jedyny rodzic, jakiego znała, prawda?

— Tak, oczywiście, ale ona myśli, że wracamy na Solarię.

— Czy ten świat wygląda jak Solaria?

— A skąd ona ma to wiedzieć?

— Powiedz jej, że to nie jest Solaria. Słuchaj, dam ci parę książkofilmów naukowo-informacyjnych z ilustracjami. Pokażesz jej zbliżenia paru różnych zamieszkanych światów i wyjaśnisz, że takich światów są miliony. Będziesz miała na to dużo czasu. Nie wiem, jak długo Janov i ja będziemy pozostawać poza statkiem, kiedy znajdziemy już odpowiednie miejsce i wylądujemy.

— Ty i Janov?

— Tak. Fallom nie może iść z nami, nawet gdybym tego chciał, choć musiałbym najpierw zwariować, żeby tego chcieć. Tu potrzebny jest skafander kosmiczny, Bliss. Powietrze jest zbyt rzadkie, aby można było nim oddychać. A nie mamy skafandra, który by na nią pasował. A zatem zostaniesz z nią na statku.

— Dlaczego ja?

Trevize uśmiechnął się niewesoło.

— Przyznaję — powiedział — że czułbym się bezpieczniej, gdybyś była z nami, ale nie mogę zostawić Fallom samej na statku. Może zupełnie niechcący coś uszkodzić. Muszę wziąć ze sobą Janova, bo może będzie potrafił odczytać archaiczne napisy, które możemy tu znaleźć. Myślę, że też ci na tym zależy.

Bliss miała niezdecydowaną minę.

— Słuchaj — rzekł Trevize. — Chciałaś zabrać ze sobą Fallom, chociaż ja byłem przeciwny. Jestem przekonany, że będziemy z nią mieli same kłopoty. Jej obecność na statku stwarza pewne ograniczenia i będziesz musiała do tego przywyknąć. Ona zostaje, więc ty też musisz zostać. Nie ma innego wyjścia.

Bliss westchnęła.

— Myślę, że tak.

— Dobrze. Gdzie jest Janov?

— Jest z Fallom.

— Dobrze. Idź i zajmij się nią. Chcę z nim pomówić.

Trevize nadal badał powierzchnię planety, kiedy wszedł Pelorat, oznajmiając chrząkaniem swoją obecność.

— Stało się coś, Golan? — spytał.

— Nic strasznego, Janov. Po prostu nie mam pewności. To szczególny świat. Nie wiem, co się tu wydarzyło. Sądząc z rozmiarów zagłębień, które po nich pozostały, tutejsze morza musiały być duże, ale płytkie. O ile mogę się zorientować z tego, co zostało, przeprowadzano tu odsalanie wody… albo morza nie były zbyt słone. Jeśli nie były bardzo słone, to tłumaczyłoby to brak warstwy soli na dnie tych wgłębień. Albo też, kiedy zniknął ocean, zniknęła też zawarta w jego wodach sól, co wygląda mi na rezultat ludzkiej działalności.

— Wybacz mi moją ignorancję w tych sprawach, Golan — powiedział niepewnie Pelorat — ale czy to ma jakiś związek z tym, czego tu szukamy?

— Myślę, że nie, ale dręczy mnie ciekawość. Gdybym wiedział, w jaki sposób ukształtowano ten świat, stwarzając dogodne warunki dla ludzi, i jaki był, zanim go zmieniono, to być może pojąłbym, co się tu wydarzyło, kiedy został porzucony… czy może tuż przedtem. A gdybyśmy wiedzieli, co się wydarzyło, to być może uchroniłoby to nas przed przykrymi niespodziankami.

— Jakimi niespodziankami? Przecież ten świat jest martwy, prawda?

— Raczej tak. Jest tu bardzo mało wody, rzadka, uniemożliwiająca oddychanie atmosfera, a Bliss nie wykrywa żadnych śladów aktywności mózgowej.

— Myślę, że to przesądza sprawę.

— Brak aktywności mózgowej niekoniecznie implikuje brak życia.

— Ale na pewno implikuje brak groźnych jego form.

— Nie wiem… Ale nie w tej sprawie chciałem się ciebie poradzić. Są tu dwa miasta, których zbadanie może wystarczy nam na początek. Zdaje się, że świetnie zachowane. Zresztą wszystkie miasta są tu w dobrym stanie. To, co zniszczyło powietrze i oceany, miasta zostawiło nietknięte. W każdym razie te dwa są szczególnie duże. W większym z nich jest chyba jednak mało pustej przestrzeni. Na dalekich przedmieściach są porty kosmiczne, ale w samym mieście nie ma nic. Mniejsze ma trochę pustej przestrzeni, a więc łatwiej będzie wylądować w jego centrum, co prawda nie na oficjalnym lądowisku, ale komu to może teraz przeszkadzać?

Pelorat skrzywił się.

— Czyżbyś chciał, Golan żebym to ja podjął decyzję? — spytał.

— Nie, decyzję podejmę ja. Chcę tylko wiedzieć, co o tym sądzisz.

— Nie wiem, co są warte moje sądy w tej sprawie, ale rozległe miasto jest prawdopodobnie ośrodkiem handlowym lub przemysłowym. Natomiast mniejsze miasto, z większą ilością wolnej przestrzeni, może być centrum administracyjnym. To, czego nam

trzeba, to właśnie centrum administracyjne. Są tam jakieś monumentalne budowle?

— Co rozumiesz przez monumentalne budowle?

Pelorat uśmiechnął się, ściągając swoim zwyczajem lekko wargi.

— Trudno powiedzieć. Na każdym świecie i w każdej epoce panuje inna moda. Ale przypuszczam, że takie budowle zawsze są ogromne, niepotrzebne i kosztowne… Jak to miejsce, w którym byliśmy na Comporellonie.

Teraz uśmiechnął się Trevize.

— Trudno powiedzieć, patrząc prosto z góry, a kiedy spojrzę z boku, to wszystko mi się miesza. Dlaczego wolisz centrum administracyjne?

— Bo tam możemy znaleźć muzeum, bibliotekę, archiwa, uniwersytet, i tak dalej.

— W porządku. Wobec tego lądujemy w tym mniejszym. Może coś znajdziemy. Dwa razy się nam nie powiodło, może uda się tym razem.

— Do trzech razy sztuka.

Trevize uniósł brwi.

— Skąd wziąłeś ten zwrot?

— To stare powiedzenie. Natrafiłem na nie w legendzie. Myślę, że oznacza ono sukces za trzecim razem.

— To brzmi zachęcająco — rzekł Trevize. — A więc dobrze — do trzech razy sztuka, Janov.

15. Mech

66

Trevize wyglądał groteskowo w swoim skafandrze kosmicznym. Jedynym, co pozostało na zewnątrz, były kabury — nie te, które zazwyczaj nosił na biodrach, ale inne, bardziej masywne, które były częścią skafandra. Ostrożnie włożył miotacz w kaburę po prawej stronie, a bicz neuronowy w kaburę po lewej. Naładował je na nowo i tym razem — pomyślał ponuro — nic mu ich już nie odbierze.

Bliss uśmiechnęła się.

— Masz zamiar nosić broń nawet na tym pozbawionym powietrza świecie czy… Przepraszam! Nie będę kwestionowała twoich postanowień.

— To dobrze — rzekł Trevize i obrócił się do Pelorata, aby pomóc mu założyć hełm.

Pelorat, który nigdy przedtem nie miał na sobie skafandra kosmicznego, spytał żałośnie:

— Czy ja naprawdę będę mógł w tym oddychać, Golan?

— Na pewno — odparł Trevize.

Bliss, trzymając rękę na ramieniu Fallom, przyglądała się, jak dokręcają ostatnie śruby. Solarianka przyglądała się postaciom w skafandrach z wyraźną trwogą. Cała drżała, więc Bliss przycisnęła ją do siebie opiekuńczym gestem.

Otworzył się właz prowadzący do komory powietrznej przed lukiem i Trevize z Peloratem weszli do niej, machając na pożegnanie zniekształconymi przez skafander rękami. Właz zamknął się. Otworzyły się drzwi luku i wyszli na powierzchnię martwego świata.

Świtało. Niebo było oczywiście jasne, lekko purpurowe, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Na horyzoncie, zza którego miało się ukazać, widać było lekką mgiełkę.

— Jest zimno — powiedział Pelorat.

— Czujesz zimno? — spytał ze zdziwieniem Trevize. Skafandry miały dobrą izolację i jeśli czasami stwarzały jakieś problemy z temperaturą, to dotyczyły one raczej niemożności pozbycia się ciepła wydzielanego przez ciało.

— Nie, skądże — odparł Pelorat — ale popatrz tylko… — Jego głos, przekazywany drogą radiową, brzmiał zupełnie czysto. Wskazywał na coś palcem.

W purpurowym świetle świtu widać było, że kruszący się kamienny fronton budynku, do którego się zbliżali, pokryty jest szronem.

— W takiej rzadkiej atmosferze — powiedział Trevize — nocą jest zimniej, a w dzień cieplej, niżbyś się spodziewał. Teraz mamy akurat najzimniejszą porę dnia i minie parę godzin, zanim zrobi się za

gorąco, żebyśmy mogli wytrzymać na słońcu.

W tym momencie, jak gdyby słowa Trevizego były kabalistycznym zaklęciem, zza horyzontu wyjrzało słońce.

— Nie patrz na nie — powiedział Trevize tonem towarzyskiej rozmowy. — Szybka w hełmie odbija światło i nie przepuszcza promieni ultrafioletowych, ale i tak może to się skończyć źle dla oczu.

Odwrócił się tyłem do słońca. Jego długi cień padł na ścianę budynku. Pod wpływem słońca szron znikał w oczach. Ściana pociemniała od wilgoci, ale i to zniknęło po paru minutach.

— Tu, na dole — powiedział Trevize — te budynki nie wyglądają tak dobrze jak z góry. Mają popękane i nadkruszone ściany. Myślę, że jest to skutek zmian temperatury. Woda w nocy zamarza, w dzień rozmarza, i tak na okrągło, może już od dwudziestu tysięcy lat.

— Nad wejściem są wyryte jakieś litery — rzekł Pelorat — ale kamień jest tak zwietrzały, że trudno je odczytać.

— Ale możesz coś z tego zrozumieć?

— To jakaś instytucja finansowa. W każdym razie udało mi się odcyfrować słowo „bank".

— A co to takiego?

— Budynek, w którym trzymano, wymieniano, sprzedawano, inwestowano rzeczy wartościowe jeśli to jest to, co myślę.

— Cały budynek przeznaczony do tego? Bez komputerów?

— Zupełnie bez komputerów.

Trevize wzruszył ramionami. Nie uważał, żeby szczegóły historii starożytnej były szczególnie pociągające.

Ruszyli naprzód, przyspieszając kroku i coraz mniej czasu poświęcając poszczególnym budynkom. Cisza, martwa cisza, była zupełnie przygnębiająca. Trwający od tysięcy lat rozkład uczynił z tego miejsca szkielet miasta.

Znajdowali się w strefie umiarkowanej, ale Trevizemu wydawało się, że czuje na plecach palące promienie słońca.

Pelorat, który szedł o jakieś sto metrów w prawo, powiedział nagle:

— Spójrz na to!

Jego głos zabrzmiał w uszach Trevizego niczym dzwon.

— Nie krzycz, Janov — powiedział. — Słyszę dobrze nawet twój szept, choćbyś był ode mnie nie wiem jak daleko. Co to jest?

Pelorat, ściszając z miejsca głos, powiedział:

— Ten budynek to „Gmach Światów". Tak przynajmniej, jak mi się wydaje, głosi napis na nim.

Trevize podszedł do Pelorata. Przed nim wyrastała trzykondygnacyjna budowla o nieregularnej linii dachu, przerywanej bryłami kamienia, które wyglądały na rozsypujące się rzeźby.

— Jesteś pewien? — spytał Trevize.

— Przekonamy się, jeśli wejdziemy do środka. Wspięli się po schodach składających się z pięciu niskich, szerokich stopni i przeszli przez zaplanowany z wyraźnym brakiem troski o oszczędzanie przestrzeni placyk. W rzadkim powietrzu metalowe podeszwy ich butów wydawały ledwie słyszalne dźwięki.

— Teraz rozumiem, co miałeś na myśli mówiąc „ogromne, niepotrzebne i kosztowne" — mruknął Trevize.

Weszli do szerokiej i wysokiej sali. Przez duże okna wpadało słońce, oświetlając te części, na które padał jego blask, zbyt jaskrawo, natomiast inne pozostawiając w półmroku. W rzadkiej atmosferze światło rozpraszało się w niewielkim stopniu.

Pośrodku sali stał, wykonany z czegoś, co przypominało syntetyczny kamień, posąg przedstawiający człowieka nadnaturalnej wielkości. Jedno ramię rzeźby odpadło. Drugie było pęknięte przy barku i Trevize czuł, że gdyby je silniej klepnął, to podzieliłoby los pierwszego. Cofnął się nieco, jak gdyby w obawie, że zbytnie zbliżenie się do posągu mogłoby sprowokować go do aktu wandalizmu.

— Ciekawe, kto to jest — powiedział. — Nigdzie nie ma żadnych oznaczeń. Przypuszczam, że dla tych, którzy go tu postawili, jego sława była tak oczywista, że nie przyszło im nawet do głowy, żeby go jakoś oznaczyć, ale teraz… — Przestraszył się, że zaczyna go ogarniać filozoficzna zaduma i odwrócił się od posągu.

Pelorat stał z głową zadartą do góry. Trevize poszedł wzrokiem za jego spojrzeniem. W górnej części ściany były wyryte jakieś napisy, których nie potrafił odczytać.

— To zachwycające — rzekł Pelorat. — Mają może nawet dwadzieścia tysięcy lat, a mimo to tu, gdzie są nieco osłonięte przed słońcem i wilgocią, są nadal czytelne.

— Nie dla mnie — powiedział Trevize.

— To stare pismo, do tego ozdobne. Popatrzmy tylko… raz… siedem… raz… dwa… — Jego głos przeszedł w niewyraźne mamrotanie. Po chwili powiedział już normalnym głosem: — Zapisano tu pięćdziesiąt nazw. Przypuszcza się, że było pięćdziesiąt światów Przestrzeńców, a to jest „Gmach Światów". Myślę, że są to ich nazwy, prawdopodobnie podane według kolejności ich założenia. Aurora jest na pierwszym miejscu, Solaria na ostatnim. Zwróć uwagę, że są zapisane w siedmiu kolumnach. W pierwszych sześciu jest po siedem nazw, w ostatniej osiem. Wygląda to tak, jakby zaplanowali układ siedem na siedem, a potem dodali Solarię. Moim zdaniem, stary, ta lista pochodzi z czasów przed założeniem Solarii.

— A która jest nazwą tej planety? Możesz to powiedzieć?

— Zwróć uwagę na to — odparł Pelorat — że piąta od góry w trzeciej kolumnie, a dziewiętnasta licząc od początku, zapisana jest większymi literami niż pozostałe. Autorzy tego spisu byli, wydaje się,

dość egocentryczni i dumni z faktu, że tu mieszkają. Poza tym…

— Jak brzmi ta nazwa?

— Jeśli ją dobrze odczytuję, Melpomenia. Jest mi zupełnie nie znana.

— Czy może to być inna nazwa Ziemi?

Pelorat potrząsnął energicznie głową, ale oczywiście ruchu tego nie było widać poprzez hełm.

— W starych legendach Ziemię określa się dziesiątkami różnych nazw. Jak wiesz, jedną z nich jest Gaja. Inne to Terra, Erda, i tak dalej. Wszystkie są krótkie. Nie znam ani jednej, która byłaby długa albo przypominała skrót od nazwy Melpomenia.

— A zatem stoimy na Melpomenii, ale nie jest to Ziemia.

— Nie. A poza tym — jak zacząłem mówić, ale mi przerwałeś — jeszcze lepszą wskazówką niż te duże litery są współrzędne Melpomenii — 0, 0, 0, — które, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mogą się odnosić tylko do ojczystej planety twórcy tych napisów.

— Współrzędne? — Trevize osłupiał ze zdziwienia. — Ta lista podaje również współrzędne?

— Przy każdej nazwie są trzy liczby. Przypuszczam, że to współrzędne, no bo co innego?

Trevize nic nie odpowiedział. Otworzył kieszonkę na prawym udzie i wyjął mały aparat połączony z kieszenią przewodem. Przyłożył go do oczu i starannie nastawił na napisy na ścianie, z trudem wykonując palcami w rękawicach to, co normalnie zajęłoby mu chwilę czasu.

— Kamera? — spytał niepotrzebnie Pelorat.

— Wprowadzę obraz bezpośrednio do komputera — odparł Trevize.

Zrobił kilka ujęć pod różnym kątem, a potem powiedział:

— Zaczekaj! Muszę się dostać wyżej. Pomóż mi, Janov.

Pelorat złożył ręce w koszyk, ale Trevize potrząsnął głową.

— Nie utrzymasz mnie w ten sposób — powiedział. — Stań na czworakach.

Pelorat mozolnie przyjął tę pozycję, a Trevize, równie mozolnie, wcisnął na powrót aparat do kieszeni, stanął Peloratowi na ramionach, a potem wspiął się na cokół pomnika. Nacisnął mocno rzeźbę, sprawdzając, czy się nie chwieje, a potem postawił stopę na ugiętym kolanie posągu i opierając się na nim, chwycił za bark, od którego odpadła ręka. Drugą stopę postawił na jakiejś nierówności na piersi posągu i w końcu, sapiąc z wysiłku, zdołał się podciągnąć i usiadł na jego barku. Dla dawnych mieszkańców planety byłoby to zapewne świętokradztwo, więc choć od dawna już nie było ich wśród żywych, Trevize, zdając sobie sprawę ze swego czynu, starał się za bardzo nie

naciskać na posąg.

— Spadniesz i coś sobie zrobisz — zawołał Pelorat ostrzegawczo.

— Nie spadnę i nic sobie nie zrobię, ale za to ty możesz mnie ogłuszyć — odparł Trevize, wyjął aparat i raz jeszcze nastawił obiektyw na napisy. Zrobił jeszcze kilka zdjęć, schował aparat i ostrożnie zaczął się opuszczać, dopóki nie dotknął na powrót stopą postumentu. Wtedy zeskoczył na ziemię i wstrząs, który tym spowodował, zadał najwyraźniej ostatni cios posągowi, gdyż drugie ramię odpadło i rozsypało się na kawałki u stóp pomnika. Spadając, nie wydało praktycznie żadnego dźwięku.

Trevize zamarł i w pierwszym odruchu chciał się gdzieś schować, zanim nadejdzie strażnik i schwyci go. „To zadziwiające — pomyślał potem — jak łatwo w takiej sytuacji, stłukłszy przypadkowo coś, co wydaje się cenne, przeżywa się na nowo uczucia znane z dzieciństwa. Takie uczucia, choć trwają krótko, wbijają się głęboko w pamięć."

Głos Pelorata, jak przystało na kogoś, kto nie tylko był świadkiem, ale też po części sprawcą aktu wandalizmu, brzmiał głucho:

— Nic… nic się nie stało, Golan. I tak samo by niedługo odpadło.

Podszedł do szczątków ramienia leżących na cokole i na podłodze obok niego jak gdyby miał zamiar zademonstrować, że mówi prawdę, podniósł jeden z większych kawałków i zaraz powiedział:

— Golan chodź tutaj.

Kiedy podszedł do niego Trevize, Pelorat, wskazując na kawałek kamienia, który najwyraźniej był częścią ramienia przylegającą bezpośrednio do barku, spytał:

— Co to jest?

Trevize przyjrzał się uważnie. Była tam jakaś kosmata, bladozielona kępka. Trevize potarł ją delikatnie palcem. Dała się bez trudu zeskrobać.

— Bardzo przypomina mech — powiedział.

— Forma życia bez świadomości, o której wcześniej mówiłeś?

— Nie jestem zupełnie pewien, w jakim stopniu bez świadomości. Przypuszczam, że Bliss upierałaby się, że to też ma świadomość… ale dla niej ten kamień również byłby obdarzony świadomością.

— Myślisz, że to właśnie ten mech rozkłada kamień? — spytał Pelorat.

— Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że się do tego przyczynia — odparł Trevize. — Na tym świecie jest dużo słońca i trochę wody. Połowa tutejszej skąpej atmosfery to para wodna. Reszta to azot i obojętne gazy. Poza tym śladowe ilości dwutlenku węgla, które skłaniają do przypuszczenia, że nie ma tu życia roślinnego… ale może poziom dwutlenku jest niski, ponieważ prawie cały dwutlenek jest wchłaniany przez zewnętrzną warstwę kamieni. Otóż jeśli w tej

skale są jakieś węglany, to być może mech rozkłada ją wydzielając jakiś kwas i pochłaniając wytworzony dzięki temu dwutlenek węgla. To może być dominująca forma życia, które jeszcze przetrwało na tej planecie.

— Fascynujące — stwierdził Pelorat.

— Niewątpliwie — rzekł Trevize — ale tylko do pewnego stopnia. O wiele bardziej interesujące są współrzędne światów Przestrzeńców, ale tym, czego nam faktycznie trzeba, są współrzędne Ziemi. Jeśli nie ma ich tutaj, to mogą być w jakimś innym miejscu tego budynku… albo w innym budynku. Chodźmy, Janov.

— Ale wiesz… — zaczął Pelorat.

— Nie, nie — przerwał mu niecierpliwie Trevize. — Porozmawiamy później. Musimy zobaczyć, co jeszcze, jeśli w ogóle coś, jest dla nas w tym budynku. Robi się coraz cieplej. — Spojrzał na mały termometr na grzbiecie lewej rękawicy. — Chodź, Janov.

Szli przez dalsze sale, starając się stąpać delikatnie, nie dlatego, że czynili hałas albo że ktoś mógł ich usłyszeć, ale że nie chcieli powodować zbytnich drgań podłogi, aby nie wyrządzić dalszych zniszczeń. Wznieśli nieco kurzu, który jednak szybko opadł w rzadkim powietrzu. Zostały na zakurzonej podłodze ślady ich stóp.

Od czasu do czasu któryś z nich wskazywał na rosnący w ciemnych kątach mech. Fakt, że istniało tu życie, aczkolwiek bardzo ubogie, podniósł ich nieco na duchu, gdyż uczucie spacerowania po martwym świecie, szczególnie takim, gdzie na każdym kroku widać było dzieła ludzkich rąk świadczące o tym, że kiedyś, dawno temu, kwitło tu bujne życie, było nieprzyjemne.

W końcu Pelorat powiedział:

— Myślę, że tu musiała być biblioteka.

Trevize rozejrzał się z zaciekawieniem. Wokół stały półki, a kiedy przyjrzał się uważniej, to, co początkowo wziął za zwykły ornament, okazało się książkofilmami. Wziął ostrożnie jeden z nich do ręki. Były grube i nieporęczne i dopiero wtedy zorientował się, że są to kasety. Pomanipulował niezręcznie palcami w grubych rękawicach przy tej, którą trzymał w ręku i udało mu się ją otworzyć. W środku ujrzał kilka dysków. One również były grube i wydawały się kruche, ale nie sprawdzał, czy takie są w istocie.

— Niewiarygodnie prymitywne — powiedział.

— Mają tysiące lat — odparł Pelorat usprawiedliwiającym tonem, jak gdyby bronił dawnych Melpomeńczyków przed pomówieniem o zacofanie techniczne.

Trevize wskazał palcem na grzbiet filmu, gdzie widniały pełne zawijasów, ozdobne litery, których używali starożytni.

— Czy to tytuł? — spytał. — Co tu jest napisane?

Pelorat obejrzał napis.

— Nie jestem pewien, stary. Sądzę, że są to fachowe terminy mikrobiologiczne, których nie zrozumiałbym, nawet gdyby były napisane w ogólnogalaktycznym.

— Prawdopodobnie — powiedział markotnie Trevize. — I prawdopodobnie nic by nam to nie dało, nawet gdybyśmy potrafili to odczytać. Nie interesują nas drobnoustroje… Wyświadcz mi przysługę, Janov. Przejrzyj parę z tych książek i zobacz, czy nie ma wśród nich jakiejś z interesującym tytułem. Ja tymczasem obejrzę te czytniki.

— To czytniki? — spytał z zaciekawieniem Pelorat. Były to przysadziste, graniaste urządzenia z ustawionymi ukośnie ekranami u góry i wklęsłym zagłębieniem, które mogło służyć jako oparcie dla łokcia lub miejsce na położenie elektronotatnika, jeśli Melpomeńczycy mieli coś takiego.

— Jeśli to jest biblioteka, to muszą być tu jakieś czytniki, a to urządzenie wygląda jak czytnik.

Starł delikatnie kurz z ekranu, stwierdzając z ulgą, że bez względu na to, z czego był on wykonany, nie skruszył się pod jego dotykiem. Wcisnął delikatnie kilka przycisków, ale bez rezultatu. Wypróbował inny czytnik, a potem jeszcze jeden, z tym samym, negatywnym, skutkiem.

Nie był zaskoczony. Nawet jeśli te urządzenia, stojąc przez dwadzieścia tysięcy lat w rzadkiej atmosferze i będąc odporne na działanie pary wodnej, były nadal sprawne, to pozostawał jeszcze problem dopływu energii. Zgromadzona gdzieś energia zawsze znajdowała jakieś ujście, choćby nie wiadomo jak starano się ją uwięzić. Był to jeszcze jeden aspekt wszechogarniającego, niemożliwego do ominięcia drugiego prawa termodynamiki.

Pelorat stanął za nim.

— Golan…

— Słucham.

— Mam tu taki film…

— Jakiego rodzaju?

— Myślę, że jest to historia podróży kosmicznych.

— Doskonale… ale nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli nie uda mi się uruchomić tego czytnika. — Zacisnął pięści z irytacji.

— Moglibyśmy zabrać ten film na statek.

— Nie wiem, w jaki sposób przystosować do tego nasz czytnik. Nie pasowałby, a nasz system skaningowy na pewno nie nadaje się do współpracy z tym urządzeniem.

— A czy to wszystko jest naprawdę koniecznie potrzebne, Golan? Jeśli…

— Jest koniecznie potrzebne, Janov. Teraz mi nie przeszkadzaj. Zastanawiam się, co robić. Mogę spróbować dostarczyć energię do czytnika. Może tylko tego mu brakuje.

— A skąd tu weźmiesz energię?

— Stąd… — powiedział Trevize wyciągając broń. Popatrzył na nią, a potem włożył miotacz z powrotem do kabury. Otworzył bicz neuronowy i sprawdził poziom energii. Był maksymalny.

Trevize położył się plackiem na podłodze, sięgnął ręką za czytnik (cały czas zakładał, że to jest właśnie czytnik) i spróbował go popchnąć do przodu. Czytnik przesunął się nieco i Trevize zaczął dokładnie oglądać miejsce, na którym stał przedtem.

„Jeden z tych kabli musiał doprowadzać energię — pomyślał — i na pewno był to ten, który wychodzi ze ściany". Nie widać jednak było gniazdka wtykowego ani innego połączenia. (Jak tu się zajmować nieznaną starożytną kulturą, kiedy nie można się zorientować w najprostszych, uważanych za oczywiste sprawach?)

Pociągnął lekko za kabel. Nie ustąpił, więc pociągnął mocniej. Obrócił go w jedną stronę, potem w drugą. Nacisnął ścianę koło kabla i kabel koło ściany. Obejrzał tak dokładnie, jak tylko mógł, tył czytnika, ale tam też nic nie znalazł.

Oparł dłoń o podłogę, aby się podnieść i, kiedy się wyprostował, kabel wyszedł ze ściany. Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób to się stało. Kabel nie wyglądał na przerwany. Jego koniec był zupełnie gładki, podobnie jak otwór w ścianie, w którym przedtem tkwił.

— Golan czy mogę… — zaczął cicho Pelorat.

Trevize machnął stanowczo ręką.

— Nie teraz, Janov! Proszę cię.

Dostrzegł nagle zieloną substancję w fałdach lewej rękawicy. Musiał zgarnąć i rozgnieść trochę mchu za czytnikiem. Rękawica była w tym miejscu lekko wilgotna, ale natychmiast wyschła i zielonkawa plama zbrązowiała.

Przeniósł wzrok z powrotem na kabel i zbadał dokładnie koniec wyciągnięty ze ściany. Z całą pewnością były tam dwie małe dziurki. Mogły w nie wejść druciki.

Ponownie usiadł na podłodze i otworzył komorę zasilania bicza neuronowego. Ostrożnie zdepolaryzował i odłączył jeden z drucików. Potem powoli i delikatnie włożył go w dziurkę w kablu i wepchnął do oporu. Kiedy chciał go lekko wyciągnąć, drucik tkwił mocno, jakby go coś trzymało. W pierwszej chwili chciał go wyrwać siłą, ale powstrzymał się. Zdepolaryzował drugi drucik i włożył go w drugi otwór. Można było założyć, że to powinno zamknąć obwód i dostarczyć czytnikowi mocy.

— Janov — powiedział — zajmowałeś się różnymi książkofilmami. Zobacz, czy uda ci się jakoś umieścić ten film w czytniku.

— Czy to naprawdę ko…

— Janov, proszę cię, przestań zadawać zbędne pytania. Mamy mało czasu. Nie chcę czekać do późnej nocy, aż w tym budynku ochłodzi się na tyle, że będziemy mogli wrócić…

— To musi się wkładać tutaj — powiedział Pelorat — ale…

— Dobrze — przerwał mu Trevize. — Jeśli jest to historia lotów kosmicznych, to musi się zaczynać od Ziemi, ponieważ właśnie tam wynaleziono metodę tych lotów. Zobaczmy teraz, czy to urządzenie działa.

Pelorat nieco nerwowo włożył film do otworu, który wyraźnie służył do tego celu, a potem zaczął badać oznaczenia poszczególnych przycisków, aby zorientować się, jak uruchomić urządzenie.

Czekając, aż Pelorat upora się z czytnikiem, Trevize mówił cicho, po części dlatego, aby zmniejszyć trzymające go napięcie:

— Przypuszczam, że na tym świecie też muszą być tu i ówdzie roboty, według wszelkich pozorów w dobrym stanie, prawie lśniące w tym bliskim próżni otoczeniu. Kłopot w tym, że źródło ich zasilania już dawno przestało istnieć i nawet gdyby udało się je na powrót naładować energią, to co z ich mózgami? Musiały się zepsuć, a nawet jeśli się nie zepsuły, to co one mogą wiedzieć o Ziemi? Co one…

Pelorat przerwał ten monolog: — Czytnik działa, stary. Spójrz.

W przyćmionym świetle widać było, jak ekran czytnika zaczyna migotać. Obraz był słaby, ale Trevize zwiększył moc i ekran rozjaśnił się. Rzadkie powietrze sprawiało, że sala, poza miejscami, gdzie przenikały promienie słońca, była stosunkowo ciemna i na tym tle ekran wydawał się jeszcze jaśniejszy.

Ekran cały czas migotał, a od czasu do czasu przesuwały się po nim jakieś cienie.

— Trzeba go wyregulować — rzekł Trevize.

— Wiem — odparł Pelorat — ale nie mogę zrobić nic więcej. Pewnie sam film jest już zniszczony.

Teraz na ekranie zaczęły się szybko pojawiać i niknąć ciemne plamy, a niekiedy widać było coś, co przypominało niewyraźną karykaturę pisma. W pewnym momencie obraz nabrał ostrości, ale potem na powrót ekran zamglił się.

— Cofnij to, Janov, i zatrzymaj — powiedział Trevize.

Pelorat spróbował raz jeszcze. Przewinął taśmę do tyłu, potem puścił znowu i w odpowiedniej chwili zatrzymał.

Trevize próbował odczytać napisy, ale nic nie zrozumiał, więc dał spokój i spytał zawiedzionym głosem:

— Potrafisz to odczytać, Janov?

— Niezupełnie — odparł Pelorat, zezując na ekran. — To jest o Aurorze. Tyle mogę powiedzieć. Myślę, że chodzi tu o pierwszą ekspedycję nadprzestrzenną — „pierwszy strumień”, jak to określa film.

Puścił film dalej i ekran na powrót pokrył się rozmazanymi plamami. W końcu powiedział:

— Wszystkie fragmenty, które udało mi się jako tako zrozumieć odnoszą się do światów Przestrzeńców, Golan. Nie ma absolutnie nic o Ziemi.

— Oczywiście — rzekł gorzko Trevize. — Na tym świecie też wszystko zostało wymazane, jak na Trantorze. Wyłącz to.

— Ale to nie ma znaczenia… — zaczął Pelorat, wyłączając czytnik.

— Bo możemy spróbować poszukać w innych bibliotekach? Tam też wszystko będzie wymazane. Czy wiesz… — Rzucił okiem na Pelorata i przerwał nagle. Patrzył na niego z mieszaniną przerażenia i wstrętu. — Co się stało z twoim wizjerem? — spytał.

67

Pelorat machinalnie podniósł rękę do wizjem, a potem cofnął ją i obejrzał.

— Co to jest? — powiedział zaskoczony. Potem spojrzał na Trevizego i rzekł dość piskliwym głosem:

— Z twoim wizjerem też dzieje się coś dziwnego, Golan.

Trevize automatycznie rozejrzał się za lustrem. Nie było żadnego, a nawet gdyby było, to i tak potrzebne byłoby jakieś światło.

— Chodźmy do światła, dobrze? — mruknął do Pelorata.

Na pół ciągnąc go, a na pół popychając, podprowadził Pelorata pod promienie słońca wpadające przez najbliższe okno. Mimo izolowanego skafandra czuł na plecach bijące od nich ciepło.

— Zamknij oczy, Janov, i obróć twarz w stronę słońca — powiedział.

Od razu wyjaśniło się, co się stało z wizjerem. W miejscach, gdzie szkło wizjera stykało się z metalizowaną tkaniną skafandra, rósł bujnie mech. Cały wizjer obramowany był zielonym aksamitem i Trevize wiedział, że jego własny wygląda tak samo.

Przeciągnął palcem po wizjerze Pelorata. Trochę mchu odpadło, zostawiając na szkle zielone plamy. Kiedy patrzył na błyszczący w słońcu mech, wydało mu się, że sztywnieje i schnie. Przeciągnął jeszcze raz po nim palcem i tym razem mech pokruszył się i odpadł. Zmieniał kolor na brązowy. Trąc mocno szkło, usunął mech z krawędzi wizjera Pelorata.

— Teraz zrób to samo z moim — powiedział. Potem spytał:

— Jest już czysty? W porządku, twój też… Chodźmy. Myślę, że nie mamy tu już nic do roboty.

W opuszczonym mieście prażyło niemiłosiernie słońce. Kamienne budowle lśniły oślepiająco w jego blasku. Trevize mrużył oczy, patrząc na nie i starał się iść ocienioną stroną ulic. Zatrzymał się przed budynkiem, w którego ścianie widniało pęknięcie na tyle szerokie, że mógł w nie włożyć mały palec. Pogrzebał w szczelinie palcem, wyjął go, obejrzał, mruknął „mech", podszedł do miejsca, gdzie kończył się cień i wystawił na chwilę palec na słońce.

— Kluczem do całej sprawy jest dwutlenek węgla — powiedział. — Mech rośnie wszędzie, gdzie może znaleźć dwutlenek węgla — w rozpadających się skałach, wszędzie. Widzisz, jesteśmy dobrym źródłem dwutlenku, prawdopodobnie bogatszym od wszystkich innych źródeł znajdujących się na tej prawie martwej planecie. Przypuszczam, że niewielkie ilości tego gazu przedostają się przez miejsca spojenia naszych wizjerów.

— I dlatego wyrasta tam mech.

— Tak.

Powrotna droga do statku wydawała się dłuższa niż do miasta i było im oczywiście bardziej gorąco niż o świcie. Kiedy wreszcie dotarli do statku, okazało się, że stoi on nadal w cieniu. To przynajmniej Trevize obliczył prawidłowo.

— Spójrz! — powiedział Pelorat.

Trevize widział i bez tego. Luk wejściowy był obramowany zielonym mchem.

— Przeciek gazu? — spytał Pelorat.

— Oczywiście. Jestem pewien, że przedostają się minimalne ilości, ale ten mech jest najlepszym wskaźnikiem śladowych ilości dwutlenku węgla, z jakim się kiedykolwiek spotkałem. Jego zarodki muszą się znajdować wszędzie na tej planecie i jeśli natrafią gdzieś na choćby kilka cząsteczek dwutlenku węgla, zaraz rozwijają się. — Nastawił radio na długość fal radiostacji statku i powiedział: — Bliss, słyszysz mnie?

Głos Bliss zabrzmiał w uszach i Trevizego, i Pelorata:

— Tak. Jesteście gotowi do wejścia? Poszczęściło się wam?

— Jesteśmy już przy statku — odparł Trevize ale nie otwieraj luku. Otworzymy go z zewnątrz. Powtarzam — nie otwieraj luku.

— Dlaczego?

— Bliss, zrób, o co proszę, dobrze? Porozmawiamy potem.

Wyjął miotacz i uważnie nastawił jego płomień na minimum. Potem popatrzył na niego niepewnie. Nigdy nie używał go na minimalnej mocy. Rozejrzał się wokół. Nigdzie nie było nic wystarczająco kruchego, aby mógł go wypróbować.

Zdesperowany, skierował jego wylot na skaliste zbocze, w którego cieniu spoczywała „Odległa Gwiazda". Skała nie rozżarzyła się. Automatycznie dotknął palcem miejsca, w które wypalił. Czy jest ciepłe? Trudno było wyczuć przez izolowaną rękawicę. Znowu się zawahał, a potem pomyślał, że kadłub statku na pewno będzie, przynajmniej w pewnym przedziale wielkości, równie odporny jak skała. Skierował miotacz na skraj luku i wstrzymując oddech, nacisnął na moment spust.

W tej samej chwili zbrązowiał pasek mchu długości kilku centymetrów. Machnął dłonią i nawet wzbudzony w ten sposób ruch rzadkiego powietrza wystarczył, aby szczątki mchu rozsypały się w proch i spadły.

— Działa? — spytał z niepokojem Pelorat.

— Działa — odparł Trevize. — Nastawiłem miotacz na mały płomień.

Przeciągnął miotaczem wzdłuż całej krawędzi luku i zieleń momentalnie zniknęła. Uderzył w jego pokrywę, aby spowodować drgania, pod wpływem których odpadły pozostałe tam jeszcze szczątki

i na ziemię posypał się brązowy proch. Składał się z tak drobnych pyłków, że nawet w tym rzadkim powietrzu nie opadł od razu, lecz osiadał powoli, podtrzymywany wyciekającymi przez spoiny luku wątłymi strużkami gazu.

— Myślę, że teraz możemy otworzyć — powiedział Trevize i wciskając odpowiednie guziki ręcznego urządzenia sterującego, wybrał kombinację fal radiowych, która uruchamiała od wewnątrz mechanizm otwierający. Luk otworzył się tylko do połowy i Trevize rzekł: — Nie guzdraj się, Janov, wskakuj do środka… Nie czekaj na schody. Właź!

Trevize wsunął się za nim i omiótł miotaczem framugę luku. Omiótł też schody, kiedy się wysunęły. Potem dał sygnał do zamknięcia luku i wodził miotaczem po całym otworze, dopóki pokrywa całkowicie się nie zamknęła.

— Jesteśmy już w luku, Bliss — powiedział Trevize do mikrofonu. Zostaniemy tu jeszcze parę minut. W dalszym ciągu nic nie rób.

— Co się stało? — odezwał się głos Bliss. — Powiedz choć jednym słowem. Wszystko w porządku? Jak się czuje Pel?

— Jestem tu, Bliss — powiedział Pelorat — i czuję się świetnie. Nie ma się czym martwić.

— Skoro tak mówisz, Pel, ale będziecie musieli to później wyjaśnić. Myślę, że wiecie o tym.

— Obiecuję, że wyjaśnimy — rzekł Trevize i włączył światło. Spojrzeli z Peloratem na siebie.

— Wypompowujemy całe powietrze, które dostało się tu z zewnątrz — powiedział Trevize — więc poczekamy, aż tu się oczyści.

— A co z powietrzem, które jest na statku? Wpuścimy je tu?

— Jeszcze nie teraz. Tak samo jak ty chciałbym już się pozbyć skafandra, ale chcę mieć pewność, że pozbyliśmy się wszystkich zarodków, które się tu z nami dostały.

Przy niezbyt jasnym oświetleniu panującym w luku Trevize skierował miotacz na wewnętrzną krawędź pokrywy włazu i metodycznie wodził nim wzdłuż podłogi, sufitu oraz ścian.

— Teraz ty, Janov.

Pelorat poruszył się niespokojnie, więc Trevize powiedział:

— Najwyżej poczujesz ciepło. Nie powinno się stać nic gorszego. Jeśli zacznie ci być nieprzyjemnie, to powiedz.

Skierował niewidzialny strumień energii na wizjer. Szczególną uwagę poświęcił jego oprawie i miejscom, gdzie łączyła się ona z hełmem, a potem zajął się resztą skafandra.

— Podnieś ręce, Janov — mruknął. Potem: Połóż mi rękę na ramieniu i podnieś stopę… muszę oczyścić podeszwy… a teraz drugą… Nie jest ci za ciepło?

— Nie powiem, żebym czuł miły chłodek.

— No, dobrze, teraz ty daj mi posmakować tego lekarstwa. Przejedź tym po mnie.

— Nigdy nie miałem w ręku miotacza.

— Musisz to zrobić. Chwyć go tak, o, a kciukiem naciśnij ten mały guziczek i trzymaj mocno kolbę. Dobrze… Teraz przejedź wylotem po moim wizjerze. Prowadź go stałym ruchem, nie trzymając za długo w jednym miejscu. Teraz reszta hełmu, a potem policzki i szyja.

Kierował ruchami Pelorata, a kiedy został już przypalony ze wszystkich stron, w rezultacie czego niemiłosiernie się spocił, wziął z powrotem miotacz i spojrzał na wskaźnik poziomu energii.

— Zużyliśmy więcej niż połowę — powiedział i na nowo zaczął metodycznie omiatać cały luk, dopóki nie zużył całego ładunku. Podczas tej operacji rozgrzał się sam miotacz. Trevize wsunął go do kabury i dopiero wtedy dał sygnał otwarcia drzwi do wnętrza statku. Z ulgą powitał syk powietrza wsączającego się do luku. W chłodnym powietrzu nadmiar ciepła szybko wypromieniuje za skafandra. Być może była to tylko wyobraźnia, ale od razu poczuł miły chłód. Wyobraźnia czy nie, ale to też powitał z ulgą.

— Ściągnij skafander, Janov, i zostaw go tutaj, w luku — powiedział.

— Jeśli nie masz nic przeciw temu — rzekł Pelorat — to przede wszystkim chciałbym wziąć prysznic.

— Nie przede wszystkim. Podejrzewam, że przede wszystkim, zanim zdążysz nawet opróżnić pęcherz, będziesz musiał porozmawiać z Bliss.

Bliss oczywiście czekała na nich z wyrazem niepokoju na twarzy. Zza niej, trzymając ją mocno za lewą rękę, wyglądała Fahom.

— Co się stało? — spytała surowo Bliss. — Co się tu dzieje?

— Bronimy się przed infekcją — powiedział szorstko Trevize — więc zaraz włączę promieniowanie ultrafioletowe. Wyciągnij ciemne okulary. Tylko, proszę, nie zwlekaj.

W ultrafioletowym świetle, zmieszanym z normalnym, sączącym się ze ścian, Trevize zaczął ściągać z siebie mokre od potu ubranie, starannie wywracając je na drugą stronę i z powrotem.

— To tylko środek ostrożności — powiedział. Zrób to samo, Janov… Aha, Bliss, muszę się rozebrać do naga. Jeśli cię to krępuje, to przejdź do drugiej kabiny.

— Wcale mnie to nie krępuje — powiedziała Bliss. — Dobrze wiem, jak wygląda mężczyzna i na pewno nie zobaczę tu nic nowego… Przed jaką infekcją?

— Przed takim małym czymś — rzekł Trevize celowo obojętnym tonem — co, pozostawione samo sobie, mogłoby bardzo zaszkodzić całej ludzkości.

68

Mieli już to wszystko poza sobą. Światło ultrafioletowe zrobiło swoje. Oficjalnie, zgodnie z długimi i skomplikowanymi filmami zawierającymi instrukcje i informacje, które znajdowały się na „Odległej Gwieździe", kiedy Trevize wsiadł na Terminusie na jej pokład, było ono przeznaczone specjalnie do dezynfekcji. Trevize podejrzewał jednak, że zawsze istniała pokusa — czasami jej ulegał — aby wykorzystać je dla nabrania opalenizny na światach, gdzie opalenizna była modna. Tak czy inaczej światło miało działanie dezynfekujące bez względu na to, w jakim celu się z niego korzystało.

Statek wzniósł się. Trevize skierował go tak blisko słońca Melpomenii, jak tylko mógł nie narażając ich na upieczenie się, po czym okręcił go kilkakrotnie wzdłuż osi pionowej i wykonał kilka zwrotów, aby zyskać pewność, że cały jego kadłub został dokładnie oczyszczony promieniami ultrafioletowymi.

Na koniec przynieśli skafandry, które zostawili w luku, i badali je dopóty, dopóki Trevize nie stwierdził, że są w porządku.

— I to wszystko z powodu mchu — powiedziała Bliss. — Tak przynajmniej to nazwałeś, Trevize. Mech, prawda?

— Nazywam to tak — odparł Trevize — bo to mi przypomina mech. Ale nie jestem botanikiem. Mogę powiedzieć tylko tyle, że jest intensywnie zielony i prawdopodobnie potrzeba mu do życia bardzo niewiele energii świetlnej.

— Dlaczego bardzo niewiele?

— Jest bardzo wrażliwy na promienie ultrafioletowe i nie może się rozwijać, a nawet przetrwać, w pełnym świetle. Jego zarodki znajdują się wszędzie. Rośnie w jakichś zakamarkach, w szczelinach posągów, w kątach pomieszczeń, czerpiąc energię z rozproszonych fotonów światła wszędzie tam, gdzie znajduje się jakieś źródło dwutlenku węgla.

— Uważasz, jak rozumiem, że jest groźny — powiedziała Bliss.

— Może się takim stać. Gdyby jakieś zarodki przyczepiły się do nas, kiedy tu wchodziliśmy albo wleciały z nami, to znalazłyby tu znakomite oświetlenie bez szkodliwego dla nich ultrafioletu. Miałyby dosyć wody i niewyczerpane źródło dwutlenku węgla.

— Tylko trzy setne procenta naszej atmosfery rzekła Bliss.

— Dla nich to bardzo dużo… a poza tym cztery procenty wydychanego przez nas powietrza. A jeśliby zaczęły się rozwijać w naszych nozdrzach i na skórze? Albo rozłożyły i zepsuły naszą żywność? Albo wytworzyły jakieś toksyny, które by nas zabiły? Nawet gdybyśmy je prawie wszystkie zniszczyli, to wystarczyłoby, żebyśmy zawlekli kilka na jakiś świat, by się tam rozmnożyły, a stamtąd zostały

przeniesione na inne światy.

Bliss potrząsnęła głową.

— Inne organizmy niekoniecznie są groźne tylko dlatego, że są inne. Zbyt łatwo zabijasz.

— To mówi Gaja — rzekł Trevize.

— Oczywiście, ale mam nadzieję, że mimo to ma to sens. Ten mech przystosował się do warunków panujących na tym świecie. Tak jak korzysta z małych ilości światła, ale duże go zabijają, tak też dwutlenek węgla w dużych ilościach mógłby się okazać dla niego zabójczy, choć w małych jest niezbędny. Może nie mógłby przetrwać na innym świecie niż Melpomenia.

— Chciałabyś, żebym zaryzykował i sprawdził to? — spytał Trevize z irytacją.

Bliss wzruszyła ramionami.

— No dobrze. Nie irytuj się. Rozumien twój punkt widzenia. Jako izol, nie miałeś prawdopodobnie innego wyboru.

Trevize miał już coś odpowiedzieć, ale wtrąciła się Fallom, mówiąc coś w swoim języku.

— Co ona mówi? — spytał Trevize Pelorata.

— Ona mówi, że… — zaczął Pelorat, ale przerwała mu sama Fallom, jak gdyby przypomniała sobie, że nie rozumieją jej języka: — Czy tam, gdzie byliście, był Jemby?

Wymówiła to wszystko bardzo starannie. Bliss promieniała.

— Czy nie mówi dobrze po ogólnogalaktycznemu? — powiedziała. — I nauczyła się tego w tak krótkim czasie.

— Namieszam jej w głowie, jeśli spróbuję to wyjaśnić — rzekł cicho Trevize. — Spróbuj sama, Bliss. Powiedz, że nie znaleźliśmy żadnych robotów na tej planecie.

— Ja to jej wyjaśnię — odezwał się Pelorat. Chodź, Fallom. — Objął ją ramieniem. — Chodźmy do naszego pokoju. Dam ci coś do czytania.

— Książkę? O Jembym?

— Niezupełnie… — Zniknęli za drzwiami.

— Wiesz — powiedział Trevize, patrząc z rozdrażnieniem za nimi — tracimy czas, zabawiając się w niańki.

— Tracimy czas? Czy to w jakiś sposób utrudnia ci poszukiwanie Ziemi? W żaden. Natomiast bawiąc się w niańki nawiązujemy kontakt, uśmierzamy lęk, dajemy miłość. Czy to wszystko nie znaczy dla ciebie nic?

— To znowu mówi Gaja.

— Tak — odparła Bliss. — Wobec tego porozmawiajmy o konkretach. Byliśmy na trzech światach Przestrzeńców i nic nie uzyskaliśmy.

Trevize skinął głową.

— Szczera prawda.

— A właściwie okazało się, że każdy z nich jest w jakimś sensie groźny, prawda? Na Aurorze spotkaliśmy zdziczałe psy, na Solarii dziwnych i niebezpiecznych ludzi, na Melpomenii niebezpieczny mech. Jak z tego widać, kiedy jakiś świat jest pozostawiony samemu sobie, to — bez względu na to, czy żyją na nim ludzie czy nie — staje się niebezpieczny dla międzygwiezdnej społeczności.

— Nie możesz tego traktować jako ogólną zasadę.

— Trzy przypadki na trzy — to robi wrażenie.

— No a jakie wrażenie robi to na tobie, Bliss?

— Powiem ci. Tylko, proszę, posłuchaj mnie bez uprzedzeń. Jeśli w Galaktyce znajdują się miliony pozostających ze sobą we wzajemnych stosunkach światów, jak faktycznie jest, i jeśli każdy z nich składa się wyłącznie z izoli, co faktycznie ma miejsce, to na każdym z tych światów dominującą siłą są ludzie. Mogą oni poddawać swojej woli inne formy życia, materię nieożywioną, a nawet siebie nawzajem. A zatem Galaktyka jest bardzo prymitywną i źle funkcjonującą formą Galaxii. Początkiem prawdziwej unii. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem, co próbujesz powiedzieć… ale to nie znaczy, że mam zamiar przyznać ci rację, kiedy już skończysz tę przemowę.

— Tylko mnie wysłuchaj. Przyznasz mi rację czy nie — to twoja sprawa, ale posłuchaj. Jedynym sposobem na to, żeby Galaktyka funkcjonowała, jest Protogalaxia, a im mniej proto-, a bardziej galaxia, tym lepiej. Próbą stworzenia Protogalaxii było Imperium Galaktyczne, ale kiedy upadło, wszystko zaczęło szybko zmieniać się na gorsze. Wtedy pojawiła się, wciąż przybierająca na sile, tendencja, aby zrealizować pomysł Protogalaxii. Próbą w tym kierunku jest Federacja Fundacyjna. Imperium Muła było inną taką próbą. Taką też próbą jest imperium, które planuje ustanowić Druga Fundacja. Ale nawet gdyby nigdy nie było takich imperiów czy konfederacji, nawet gdyby cała Galaktyka była pogrążona w zamęcie, to i tak każdy świat oddziaływałby, choćby nawet wrogo, na każdy inny. Byłby to pewien rodzaj związku, i to jeszcze nie najgorszy. — A jaki wobec tego byłby najgorszy?

— Znasz na to odpowiedź. Widziałeś. Jeśli zamieszkany przez ludzi świat zrywa wszystkie związki z innymi, jeśli staje się izolem w prawdziwym sensie tego słowa, to zaczyna go toczyć choroba.

— Rak?

— Tak. Czy Solaria nie jest takim przypadkiem? Jest wrogo nastawiona do wszystkich innych światów. Sam widziałeś. A jeśli ludzie zupełnie znikają, to upada wszelki porządek. Zaczyna się walka każdego z każdym, co mogłeś stwierdzić na przykładzie tych psów, albo wszystko redukuje się do jakiejś żywiołowej siły, tak jak z tym

mchem. Przypuszczam, że rozumiesz, iż im bliżej Galaxii, tym lepsze społeczeństwo. Dlaczego zatem poprzestawać na jakimś szczeblu pośrednim?

Przez chwilę Trevize przyglądał się Bliss w milczeniu. Potem powiedział:

— Myślę o tym. Ale skąd to założenie, że dawkowanie to proces jednokierunkowy, że jeśli dobre jest trochę, to więcej jest lepsze, a najlepsze wszystko? Czy nie zwróciłaś mi sama uwagi na to, że jest zupełnie możliwe, iż ten mech przystosował się do niewielkich ilości dwutlenku węgla i duża jego dawka mogłaby być dla niego zabójcza? Lepiej jest mieć dwa metry wzrostu niż metr, ale lepiej dwa niż trzy. Mysz, która zostałaby powiększona do rozmiarów słonia, wcale nie miałaby lepiej. Nie wyżyłaby. Tak samo jak słoń zredukowany do rozmiarów myszy. Każda rzecz, tak samo gwiazda, jak i atom, ma swoją naturalną, optymalną wielkość i odnosi się to też do organizmów i społeczeństw. Nie twierdzę, że stare Imperium Galaktyczne było idealne i dostrzegam wady Konfederacji Fundacyjnej, ale nie mam też zamiaru twierdzić, że skoro zupełna izolacja jest zła, to zupełne zespolenie jest dobre. Obie skrajności mogą być jednakowo straszne, a staromodne Imperium Galaktyczne, choć niedoskonałe, jest być może najlepszym rozwiązaniem, na jakie nas stać. Bliss potrząsnęła głową.

— Ciekawa jestem, czy sam wierzysz w to, co mówisz. Masz zamiar dowodzić, że wirus i istota nadludzka są jednakowo złe i że najlepsze jest coś pośredniego, takiego jak pleśń?

— Nie. Ale mógłbym dowodzić, że wirus i istota nadludzka są jednakowo złe i że najlepsze jest coś pośredniego, takiego jak normalny człowiek. Nie ma się jednak o co spierać. Znajdę rozwiązanie, kiedy znajdę Ziemię. Na Melpomenii znaleźliśmy współrzędne pozostałych czterdziestu siedmiu światów Przestrzeńców.

— I chcesz wszystkie oblecieć?

— Wszystkie, jeśli będę musiał.

— Narażając się na każdym na jakieś niebezpieczeństwo.

— Tak, jeśli to mnie doprowadzi do Ziemi.

Z kabiny, w której zniknął z Fallom, wyłonił się Pelorat. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaskoczyła go gwałtowna wymiana zdań między Bliss i Trevizem. Słuchał ich, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

— Ile czasu by to zabrało? — spytała Bliss.

— Tyle, ile zabierze — odparł Trevize — a to, c7vgo nam potrzeba, możemy znaleźć już na następnym.

— Albo na żadnym.

— Tego nie będziemy wiedzieli, dopóki nie sprawdzimy.

W końcu udało się Peloratowi wtrącić słowo:

— Ale po co mamy szukać, Golan? Mamy już odpowiedź.

Trevize machnął w jego stronę ze zniecierpliwieniem, ale zatrzymał rękę w pół ruchu, odwrócił głowę i rzekł tępo:

— Co?

— Powiedziałem, że mamy już odpowiedź. Przynajmniej z pięć razy próbowałem ci to powiedzieć na Melpomenii, ale byłeś tak pochłonięty tym, co robisz…

— Jaką odpowiedź? O czym ty mówisz?

— O Ziemi. Myślę, że wiem, gdzie leży Ziemia.

16. Centrum Światów

69

Trevize patrzył przez chwilę na Pelorata z wyraźną irytacją. Potem spytał:

— Czy widziałeś coś, czego ja nie widziałem i o czym mi nie powiedziałeś?

— Nie — odparł łagodnie Pelorat. — Widziałeś to i, jak już mówiłem, próbowałem ci o tym powiedzieć, ale nie chciałeś mnie słuchać.

— No to spróbuj jeszcze raz.

— Nie znęcaj się nad nim, Trevize — powiedziała Bliss.

— Nie znęcam się. Pytam o informację. A ty go nie rozpieszczaj.

— Proszę, posłuchajcie mnie, zamiast słuchać jedno drugiego — powiedział Pelorat. — Pamiętasz, Golan, jak rozmawialiśmy o dawnych próbach odkrycia miejsca, z którego pochodzi gatunek ludzki? O projekcie Yariffa? No wiesz, o tych próbach ustalenia czasu kolonizacji różnych planet, opartych na założeniach, że wszystkie planety zostały skolonizowane przez ekspedycje wyruszające z kolebki ludzkości równomiernie we wszystkich kierunkach. Postępując odwrotnie, od później do wcześniej założonych światów, mielibyśmy w końcu dojść do punktu wyjścia, gdzie przecinałyby się linie prowadzące ze wszystkich stron.

Trevize kiwnął niecierpliwie głową.

— Pamiętam tyle, że nic z tego nie wyszło, gdyż daty założenia poszczególnych światów były nieprawdziwe.

— Zgadza się, stary. Ale światy, którymi zajmował się Yariff, zostały założone przez drugą falę kolonizatorów. W tym czasie podróże nadprzestrzenne były już dość popularne i kolonizacja musiała odbywać się nieregularnie. Przeskakiwanie dużych odległości było bardzo proste i kolonizacja niekoniecznie musiała postępować symetrycznie we wszystkich kierunkach. To zsumowało się z problemem niewiarygodnych dat.

Ale pomyśl, Golan o światach Przestrzeńców. One zostały założone przez pierwszą falę osadników. Metoda podróży przez nadprzestrzeń nie była wtedy jeszcze doskonała i na pewno było mniej skakania, a może wcale. Kiedy podczas drugiej fali ekspansji zostały założone, być może bezładnie, miliony światów, to podczas pierwszej skolonizowano, prawdopodobnie według pewnego porządku, tylko pięćdziesiąt. Podczas kiedy druga fala osadników potrzebowała dwudziestu tysięcy lat, aby założyć te miliony światów, to pierwsza założyła swoje w ciągu kilkuset lat, a więc — w porównaniu z drugą — prawie w jednej chwili. Tych pierwszych pięćdziesiąt światów powinno być rozmieszczonych z grubsza symetrycznie wokół świata

pierwotnego.

Mamy współrzędne tych światów. Sfotografowałeś je, pamiętasz, siedząc na tym posągu. To coś czy ktoś, kto niszczy informacje dotyczące Ziemi, albo przeoczyło te współrzędne, albo nie pomyślało, że mogą nam one dostarczyć potrzebnych danych. Musisz tylko skorygować te współrzędne, biorąc pod uwagę ruchy gwiazd w ciągu ostatnich dwudziestu tysięcy lat, a potem znaleźć centrum tej kuli. Wypadnie ono blisko słońca Ziemi, a przynajmniej tego miejsca, w którym znajdowało się dwadzieścia tysięcy lat temu.

Trevize otworzył z wrażenia usta, słuchając tej przemowy, i minęło dobrych kilka minut po jej zakończeniu, zanim je zamknął.

— Dlaczego ja nie pomyślałem o tym? — powiedział.

— Próbowałem ci to powiedzieć jeszcze na Melpomenii.

— Jestem pewien, że próbowałeś. Janov, przepraszam, że cię nie chciałem słuchać. Faktem jest, że nie przyszło mi do głowy, iż… — przerwał z zakłopotaną miną.

Pelorat zachichotał cicho.

— Iż mogę mieć coś ważnego do powiedzenia. Myślę, że normalnie jest tak faktycznie, ale tym razem, rozumiesz, było to coś z mojej działki. Jestem pewien, że ogólnie biorąc, byłbyś zupełnie usprawiedliwiony nie chcąc mnie słuchać.

— Nic podobnego — rzekł Trevize. — Nie jest tak, Janov. Czuję się jak głupiec i w pełni zasługuję na to, żeby się tak czuć. Raz jeszcze przepraszam… a teraz muszę iść do komputera.

Wszedł z Peloratem do sterowni. Pelorat, jak zwykle, patrzył z mieszaniną podziwu i niedowierzania, jak Trevize kładzie ręce na pulpicie i stapia się z komputerem niemal w jeden organizm.

— Muszę przyjąć parę założeń, Janov — powiedział Trevize z nieobecnym wyrazem twarzy, który przyjmował zawsze podczas pracy z komputerem. — Muszę założyć, że pierwsza liczba wyraża odległość w parsekach, a pozostałe dwie kąty w radianach, przy czym pierwsza z nich odnosi się, żeby się tak wyrazić, do kierunku góra-dół, a druga prawo-lewo. Dalej muszę założyć, że plus i minus są używane w miarach tych kątów zgodnie z obowiązującymi nadal regułami i że punkt zero — zero zero określa położenie słońca Melpomenii.

— To brzmi zupełnie rozsądnie — rzekł Pelorat. — Tak myślisz? Jest sześć możliwych sposobów uporządkowania liczb, cztery możliwe sposoby uporządkowania znaków, odległości mogą być podane w latach świetlnych, a nie w parsekach, kąty w stopniach, zamiast w radianach. To już daje dziewięćdziesiąt sześć różnych kombinacji. Do tego trzeba dodać, że jeśli odległości podane są w latach świetlnych, to trzeba znać długość roku przyjętego w tych obliczeniach. Dodaj do tego fakt, że nie wiem, co przyjęto za podstawę obliczenia kątów… przypuszczam, że w jednym przypadku równik Melpomenii, ale jaki

był ich południk zerowy?

Pelorat zmarszczył czoło.

— Z tego, co mówisz, wynika, że to beznadziejna sprawa.

— Nie beznadziejna. W tym wykazie są umieszczone Aurora i Solaria, a wiem, gdzie one się znajdują. Wezmę ich współrzędne i zobaczę, czy uda mi się je prawidłowo zlokalizować. Jeśli wypadną w niewłaściwym miejscu, to będę korygował współrzędne, dopóki nie uzyskam ich prawdziwego położenia. Dzięki temu dowiem się, które z moich założeń dotyczących kryteriów ustalania tych współrzędnych były błędne. A kiedy poprawię założenia, będę mógł poszukać środka tej sfery.

— Jeśli jest tyle możliwości zmian, to czy nie utrudni ci to decyzji, co najpierw robić?

— Co? — rzekł Trevize, pochłonięty obliczeniami. Kiedy Pelorat powtórzył pytanie, odparł: — No cóż, jest szansa, że te współrzędne zostały podane zgodnie z obowiązującymi w całej Galaktyce kryteriami, a nastawienie na nieznany południk zerowy nie jest trudnym zadaniem. Te systemy lokalizowania punktów w przestrzeni zostały wypracowane dawno temu i większość astronomów uważa, że pochodzą z czasów jeszcze sprzed wprowadzenia podróży międzygwiezdnych. Ludzie są w wielu sprawach bardzo konserwatywni i prawie nigdy nie zmieniają konwencji numerycznych, kiedy już do nich przywykli. Myślę, że nawet zaczynają je błędnie poczytywać za prawa natury… Co zresztą jest uzasadnione, bo gdyby każdy świat miał swoje własne konwencje dotyczące miar, które przy tym zmieniałyby się co stulecie, to jestem święcie przekonany, że ustałby wszelki postęp naukowy. Mówiąc to, najwyraźniej pochłonięty był swą pracą, gdyż wolno i z przerwami cedził słowa. W końcu mruknął: — A teraz cicho.

Siedział przez kilka minut ze zmarszczonym czołem i skupioną miną, aż wreszcie wyprostował się w krześle i głęboko zaczerpnął powietrza. Powiedział cicho:

— Konwencje pasują. Zlokalizowałem Aurorę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości… Widzisz?

Pelorat popatrzył na pole gwiezdne, z jedną jaśniejszą gwiazdą bliżej środka ekranu i spytał:

— Jesteś tego pewien?

— Moja opinia się nie liczy — odparł Trevize. To komputer jest pewien. W końcu byliśmy na Aurorze. Mamy jej dane — średnicę, masę, jasność, temperaturę, szczegóły jej spektrum, nie mówiąc już nic o układzie sąsiednich gwiazd. Komputer twierdzi, że to jest Aurora.

— Wobec tego myślę, że musimy mu uwierzyć na słowo.

— Musimy, wierz mi. Pozwól teraz, że przestawię ekran, żeby komputer mógł się zabrać do roboty. Ma pięćdziesiąt zestawów

danych i każdym będzie musiał zająć się osobno.

Mówiąc to, Trevize manipulował ekranem. Normalnie komputer pracował w czterech wymiarach czasoprzestrzeni, ale ludzie, sprawdzając to na ekranie, rzadko potrzebowali więcej niż dwu wymiarów. Teraz jednak ekran wydawał się tworzyć ciemną przestrzeń tak samo głęboką, jak długą i szeroką. Trevize wygasił prawie zupełnie światła w sterowni, aby lepiej widzieć blask gwiazd.

— Zaraz się zacznie — szepnął.

Chwilę potem na ekranie pojawiła się gwiazda, potem inna, a potem jeszcze inna. Obraz przesuwał się nieco za każdym razem, tak aby na ekranie mogły się pomieścić wszystkie gwiazdy. Wyglądało to tak, jakby przestrzeń cofała się, dając coraz rozleglejszą panoramę. Trzeba do tego dodać przesunięcia obrazu to w górę, to w dół, w lewo lub prawo…

Ostatecznie na ekranie znalazło się pięćdziesiąt gwiazd, zawieszonych w trójwymiarowej przestrzeni.

— Spodziewałem się pięknego, kulistego układu — powiedział Trevize — a tymczasem wygląda to jak szkielet śnieżnej kuli, którą zbyt pośpiesznie ulepiono ze zbyt twardego i sypkiego śniegu.

— Czy to znaczy, że wszystko na nic?

— Wprowadza to pewną dodatkową trudność, ale myślę, że nic na to nie można poradzić. Już same gwiazdy nie są w przestrzeni rozmieszczone równomiernie, a tym bardziej planety nadające się do zamieszkania, a zatem muszą być pewne nierówności w układzie nowo zasiedlanych planet. Komputer przesunie każdy z tych punkcików w miejsce, w którym teraz znajduje się odpowiadający mu świat, biorąc pod uwagę jego prawdopodobne ruchy w okresie ostatnich dwudziestu tysięcy lat ale nie powinno to wymagać zbyt wielkich poprawek — a potem dopasuje do nich „najlepszy kształt kulisty”. Innymi słowy, znajdzie powierzchnię sferyczną, od której poszczególne punkty będzie dzieliła najmniejsza odległość. Potem znajdziemy środek tej kuli. Ziemia powinna leżeć dość blisko środka. Taką przynajmniej możemy mieć nadzieję… Nie zajmie to dużo czasu.

70

I rzeczywiście nie zajęło. Trevize, który przecież przywykł do tego, że komputer dokonuje cudów, nie posiadał się ze zdziwienia, że trwało to tak krótko.

Polecił komputerowi, aby — kiedy ustali współrzędne środka „najlepszej kuli" — dał o tym znać miękkim, wibrującym sygnałem dźwiękowym. Nie było to właściwie niczym uzasadnione, ale miło byłoby usłyszeć ten właśnie dźwięk i dowiedzieć się, że poszukiwania dobiegły końca.

Już po kilku minutach rozległ się dźwięk przypominający głos lekko uderzonego gongu. Narastał coraz bardziej, aż prawie fizycznie zaczęli odczuwać wibrowanie powietrza, a potem powoli zamarł.

Niemal natychmiast ukazała się w drzwiach Bliss.

— Co to było? — spytała, spoglądając na nich rozszerzonymi z emocji oczami. — Alarm?

— Nic podobnego — odparł Trevize.

— Być może udało się nam ustalić położenie Ziemi — pospieszył z wyjaśnieniami Pelorat. — Ten dźwięk to był sygnał komputera zawiadamiający nas o tym.

— Mogliście mnie ostrzec — powiedziała i weszła do sterowni.

— Przepraszam, Bliss — rzekł Trevize. — Nie przypuszczałem, że ten sygnał będzie aż tak głośny.

Za Bliss do pokoju wsunęła się Fallom.

— Co to był za dźwięk, Bliss? — spytała.

— Widzę, że ona też jest ciekawa — powiedział Trevize. Wyprostował się w krześle. Czuł się wyczerpany. Teraz trzeba było skonfrontować ustalenia komputera z rzeczywistością, skoncentrować się na współrzędnych wyznaczających środek przestrzeni, w której znajdowały się światy Przestrzeńców i sprawdzić, czy jest tam rzeczywiście jakaś gwiazda typu G. I tym razem zwlekał z podjęciem oczywistych kroków, nie czując się na siłach poddać hipotetyczne rozwiązanie rozstrzygającej próbie.

— Owszem — odparła Bliss. — Co w tym dziwnego? Jest tak samo istotą ludzką, jak my.

— Jej rodzic byłby odmiennego zdania — rzekł z roztargnieniem Trevize. — Martwi mnie to dziecko. To zły omen.

— A na jakiej podstawie tak twierdzisz? — żachnęła się Bliss. Trevize rozłożył ręce.

— Czuję to.

Bliss obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem i odwróciła się do Fallom.

— Próbujemy zlokalizować Ziemię, Fallom powiedziała.

— A co to jest Ziemia?

— Świat, ale szczególny. Pochodzili stamtąd nasi przodkowie. Wiesz, co znaczy słowo „przodkowie”, Fallom?

— Czy to znaczy…? — Ostatnie słowo nie było ogólnogalaktyczne.

— To starożytna nazwa przodków, Bliss — wyjaśnił Pelorat. — Bliższy temu jest nasz termin „pradziadowie”.

— Znakomicie — powiedziała Bliss, uśmiechając się promiennie. — Ziemia jest światem, z którego wywodzili się nasi pradziadowie, Fallom. Twoi i moi, Pelorata i Trevizego.

— Twoi, Bliss… i moi. — Na twarzy Fallom widać było wielkie zdziwienie. — Oboje?

— Była tylko jedna grupa pradziadów — powiedziała Bliss. — My wszyscy mieliśmy tych samych pradziadów.

— Wygląda mi na to, że to dziecko doskonale wie, że jest odmienne od nas — odezwał się Trevize.

— Nie mów tak — powiedziała do niego cicho Bliss. — Trzeba w niej wyrobić przekonanie, że nie jest odmienna. Przynajmniej zasadniczo.

— Myślę, że hermafrodytyzm to rzecz raczej zasadnicza.

— Mówię o mózgu.

— Przetworniki to też rzecz zasadnicza.

— Daj spokój, nie szukaj dziury w całym. Bez względu na szczegóły, ona jest istotą inteligentną, i to istotą ludzką.

Obróciła się do Fallom, podnosząc głos do normalnego tonu:

— Pomyśl o tym spokojnie, Fallom, i zastanów się, co to dla ciebie znaczy. Mieliśmy tych samych pradziadów. Wszyscy ludzie na wszystkich — wielu, wielu — światach mieli tych samych przodków, a ci przodkowie żyli pierwotnie na świecie zwanym Ziemią. To znaczy, że wszyscy jesteśmy spokrewnieni, prawda?… A teraz wracaj do naszej kabiny i przemyśl to.

Obrzuciwszy zamyślonym spojrzeniem Trevizego, Fallom odwróciła się i wybiegła, popędzona czułym klapsem wymierzonym jej przez Bliss.

Bliss zwróciła się do Trevizego:

— Trevize, obiecaj mi, proszę, że powstrzymasz się w jej obecności od wygłaszania komentarzy, które mogłyby nasunąć jej podejrzenie, że jest inna niż my.

— Obiecuję — odparł Trevize. — Nie chcę utrudniać ani odwracać procesu jej edukacji, ale niestety — ona jest inna niż my.

— Pod pewnymi względami. Tak samo jak ja czy Pel jesteśmy inni niż ty.

— Nie bądź naiwna, Bliss. W jej przypadku różnice są o wiele większe.

— Trochę większe. Bardziej ważne są podobieństwa. I ona, i jej ziomkowie staną się pewnego dnia częściami Galaxii, i to bardzo pożytecznymi częściami. Jestem tego pewna.

— W porządku. Nie będę się spierał. — Z wyraźną niechęcią odwrócił się do komputera. — A tymczasem obawiam się, że będę musiał sprawdzić hipotetyczne położenie Ziemi w rzeczywistej przestrzeni.

— Obawiasz się?

— No a jeśli — Trevize uniósł ramiona w, jak mu się wydawało, półkomicznym ruchu — okaże się, że w tym miejscu nie ma żadnej odpowiedniej gwiazdy?

— No to nie ma i już — powiedziała Bliss.

— Zastanawiam się, czy jest sens sprawdzać to w tej chwili. I tak jeszcze przez parę dni nie będziemy mogli wykonać skoku.

— A tymczasem ty będziesz cierpiał męki, analizując różne możliwości. Sprawdź to teraz. Czekanie niczego nie zmieni.

Trevize siedział przez chwilę z zaciśniętymi ustami, a potem powiedział:

— Masz rację. A więc do dzieła!

Położył dłonie na pulpicie i ekran pociemniał.

— Wobec tego wychodzę — powiedziała Bliss. — Będziesz się denerwował, jeśli tu zostanę. Wyszła, machnąwszy na pożegnanie ręką.

— Rzecz w tym — mruknął Trevize — że musimy najpierw sprawdzić mapę Galaktyki, która jest w pamięci komputera, i nawet jeśli słońce Ziemi znajduje się w miejscu, które obliczył komputer, to nie powinno go być na mapie. Ale wtedy…

Zamilkł ze zdumienia, kiedy na ekranie rozbłysły gwiazdy. Było ich dość dużo, ale światło miały przyćmione. Tylko tu i ówdzie widać było jakiś jaśniej świecący punkt. Jednak zupełnie blisko środka ekranu widniała gwiazda wyraźnie jaśniejsza od całej reszty.

— Mamy ją — krzyknął triumfalnie Pelorat. Stary, mamy ją. Zobacz, jaka jasna.

— Każda gwiazda, która znalazłaby się w punkcie przecięcia współrzędnych, byłaby jasna — powiedział Trevize, wyraźnie starając się zapanować nad sobą, aby nie cieszyć się przedwcześnie. — W końcu znajduje się tylko o parsek od punktu, w którym zbiegają się współrzędne. Niemniej nie jest to na pewno ani czerwony karzeł, ani czerwony olbrzym, ani gorąca niebiesko-biała. Poczekajmy na informacje, komputer sprawdza w banku danych.

Przez kilka sekund panowało milczenie. Potem Trevize powiedział:

— Klasa widmowa G-2: — Po krótkiej chwili dodał: — Średnica 1,4 miliona kilometrów, masa 1,02 razy większa od masy słońca

Terminusa, temperatura powierzchni 6 000 w skali bezwzględnej, obrót wokół osi — powolny, poniżej trzydziestu dni, brak niezwykłej aktywności czy nieregularności.

— Czy to nie są typowe cechy gwiazd, w których systemach można znaleźć planety nadające się do zamieszkania? — spytał Pelorat.

— Owszem, typowe — skinął głową Trevize. A więc takie, jakie spodziewaliśmy się znaleźć u słońca Ziemi. Jeśli właśnie tam powstało życie, to słońce Ziemi powinno być modelowym przykładem takiej gwiazdy.

— A więc jest duża szansa, że wokół tej gwiazdy krąży zamieszkana planeta.

— Nie musimy spekulować na ten temat — powiedział Trevize, który zdawał się być całkowicie zaskoczony takim obrotem spraw.

— Na mapie Galaktyki jest ono oznaczone jako słońce, w którego układzie znajduje się planeta nadająca się do zamieszkania… ale ze znakiem zapytania.

Entuzjazm Pelorata wzrósł jeszcze bardziej.

— Tego właśnie powinniśmy się spodziewać, Golan. Jest tam planeta, na której istnieje życie, ale próby ukrycia tego faktu sprawiły, że dotyczące jej dane są mgliste i twórcy tej mapy, z której korzysta komputer, nie byli pewni jak jest naprawdę.

— Nie — powiedział Trevize. — To nie jest to, czego powinniśmy się spodziewać, i to mnie martwi. Powinniśmy się spodziewać znacznie mniej. Biorąc pod uwagę skuteczność, z jaką zostały wszędzie wymazane dane dotyczące Ziemi, należało oczekiwać, że twórcy tej mapy nie będą w ogóle wiedzieli, że w tym układzie istnieje życie, nie mówiąc już o ludziach. Nie powinni wiedzieć nawet tego, że istnieje słońce Ziemi. Na tej mapie nie ma światów Przestrzeńców. Dlaczego więc miałoby na niej być słońce Ziemi?

— No, ale tak czy inaczej jest na niej. Czy jest sens spierać się o to? Czy są tam jeszcze jakieś inne informacje o tej gwieździe?

— Nazwa.

— Aha. Jaka? — Alfa.

Pelorat przez chwilę milczał, a potem krzyknął radośnie:

— To jest to, stary! To ostateczny dowód. Zauważ tylko, co ona znaczy.

— To ona coś znaczy? — rzekł Trevize. — Dla mnie to tylko nazwa, i do tego dziwna. Nie brzmi po galaktycznemu.

— Bo to nie jest ogólnogalaktyczny. To jest jakiś prehistoryczny ziemiański język, ten sam, do którego należy słowo Gaja, nazwa planety, z której pochodzi Bliss.

— Co wobec tego znaczy „Alfa”?

— Alfa jest pierwszą literą alfabetu tego starożytnego języka. To

jedna z najlepiej poświadczonych informacji, jakie o nim mamy. W czasach starożytnych używano czasami tej litery dla oznaczenia pierwszej rzeczy z jakiegoś zbioru. Nazwa „Alfa” implikuje, że jest to pierwsze słońce. A czy pierwszym słońcem nie było to, wokół którego obracała się pierwsza planeta, na której żyli ludzie — Ziemia?

— Jesteś tego pewien?

— Absolutnie — rzekł Pelorat.

— Czy w starych legendach — jesteś w końcu mitologiem — słońce Ziemi ma jakieś niezwykłe cechy?

— Nie, skąd? Na mocy definicji musi to być typowe słońce, a cechy, które podał nam komputer, są też — myślę — typowe. Tak?

— Przypuszczam, że słońce Ziemi jest pojedynczą gwiazdą?

— Ależ oczywiście! — powiedział Pelorat. — O ile wiem, wszystkie zamieszkane światy znajdują się w układach pojedynczych gwiazd.

— Tak też sam bym myślał — rzekł na to Trevize. — Problem w tym, że gwiazda widoczna pośrodku ekranu jest podwójna, nie pojedyncza. Jaśniejsza z tych dwóch jest istotnie typowa. To ta, której dane podał nam komputer. Jednakże wokół tej gwiazdy krąży inna gwiazda o okresie obrotu wynoszącym z grubsza osiemdziesiąt lat i masie równej czterem piątym masy tej jaśniejszej. Nieuzbrojonym okiem nie jesteśmy w stanie stwierdzić, że są tam dwie gwiazdy, ale gdybym powiększył obraz, to na pewno byśmy to zobaczyli.

— Jesteś tego pewien, Golan? — spytał zupełnie zaskoczony Pelorat.

— Tak podaje komputer. A jeśli patrzymy na gwiazdę podwójną, to nie jest to słońce Ziemi. Nie może być to słońce Ziemi.

71

Trevize przerwał kontakt z komputerem i zapaliły się światła.

Bliss najwidoczniej wzięła to za znak świadczący, że może wrócić, więc weszła do sterowni, z Fallom depczącą jej po piętach.

— No i jakie rezultaty? — spytała.

— Niezbyt zachęcające — rzekł bezbarwnym głosem Trevize. — W miejscu, gdzie spodziewałem się znaleźć słońce Ziemi, jest gwiazda podwójna. Słońce Ziemi jest gwiazdą pojedynczą, a więc to nie jest ta gwiazda.

— I co teraz, Golan? — rzekł Pelorat.

Trevize wzruszył ramionami.

— Tak naprawdę nie spodziewałem się znaleźć Ziemi w środku tej kuli. Nawet Przestrzeńcy nie mogli zakładać swoich światów w takim porządku, że utworzyłyby one w przestrzeni dokładnie kulistą formę. Aurora, najstarszy ze światów Przestrzeńców, mogła też wysłać swoich kolonistów, a oni mogli zniekształcić tę formę. Poza tym być może słońce Ziemi nie poruszało się z prędkością równą przeciętnej prędkości światów Przestrzeńców.

— A zatem słońce Ziemi może się znajdować wszędzie. To chcesz powiedzieć? — rzekł Pelorat.

— Nie. Wcale nie wszędzie. Te wszystkie możliwe błędy nie mogą jednak prowadzić nas na manowce. Słońce Ziemi musi leżeć gdzieś w pobliżu tych współrzędnych. Gwiazda, którą odkryliśmy prawie dokładnie w miejscu przecięcia się tych współrzędnych, musi być sąsiadem słońca Ziemi z wyjątkiem tego, że jest gwiazdą podwójną — ale tak widocznie jest w tym przypadku.

— Ale przecież w takim razie znaleźlibyśmy słońce Ziemi na mapie, prawda? To znaczy, w pobliżu Alfy.

— Nie, bo jestem pewien, że słońca Ziemi nie ma na tej mapie. To właśnie wzbudziło moje podejrzenia, kiedy wykryliśmy Alfę. Bez względu na to, jak bardzo przypomina słońce Ziemi, sam fakt, że jest uwzględnione na mapie, nasunął mi podejrzenie, że to nie jest to, czego szukamy.

— No dobrze — powiedziała Bliss. — Dlaczego wobec tego nie skoncentrować się na tych współrzędnych w prawdziwej przestrzeni, a nie w komputerowym modelu? Jeśli okaże się, że blisko środka jest jakaś jasna gwiazda, której nie ma na mapie znajdującej się w pamięci komputera, a która ma takie cechy jak Alfa, ale jest pojedyncza, to czy nie będzie to mogło być słońce Ziemi?

Trevize westchnął.

— Gdyby się okazało, że tak jest, to gotów byłbym postawić połowę mojego skromnego majątku na to, że wokół tej gwiazdy krąży

planeta Ziemia… Ale boję się to sprawdzić.

— Bo nie chcesz się zawieść?

Trevize skinął głową.

— Ale dajcie mi chwilę, żebym mógł złapać oddech — powiedział — i zmuszę się do tego.

Podczas gdy cała trójka spoglądała na siebie, do pulpitu komputera podeszła Fallom i popatrzyła z zaciekawieniem na widoczne na nim ślady dłoni. Wyciągnęła rękę, chcąc ich dotknąć, ale Trevize powstrzymał ją gwałtownym ruchem i powiedział ostro:

— Nie wolno dotykać, Fallom.

Fallom zrobiła przestraszoną minę i uciekła pod opiekę przyjaznego ramienia Bliss.

— Musimy się z tym zmierzyć, Golan — powiedział Pelorat. — A co będzie, jeśli nic nie znajdziesz w rzeczywistej przestrzeni?

— Wtedy będę musiał wrócić do pierwotnego planu i odwiedzić po kolei czterdzieści siedem światów Przestrzeńców.

— A jeśli i to nic nie przyniesie?

Trevize z irytacją potrząsnął głową, jak gdyby chciał odrzucić taką myśl. Patrząc w dół na swoje kolana, powiedział:

— Wtedy będę musiał pomyśleć o czymś innym. — A jeśli w ogóle nie ma żadnego świata pradziadów?

Na dźwięk tego wysokiego głosu Trevize gwałtownie podniósł głowę.

— Kto to powiedział? — spytał.

Było to zbyteczne pytanie. Niedowierzanie szybko minęło. Wiedział, kto pytał.

— Ja — rzekła Fallom.

Trevize spojrzał na nią, marszcząc lekko brwi.

— Rozumiesz, o czym mówiliśmy?

— Szukacie świata pradziadów, ale jeszcze go nie znaleźliście — odpowiedziała Fallom. — Może nie ma takiego świata.

— Nie, Fallom — powiedział poważnie Trevize. — Zadano sobie wiele trudu, aby ukryć jego istnienie. Jeśli zadaje się sobie tyle trudu, żeby coś ukryć, to znaczy, że jest coś do ukrycia. Rozumiesz, co mówię?

— Tak — odparła Fallom. — Nie pozwalasz mi dotykać tych rąk na stole. Skoro nie pozwalasz mi tego robić, to znaczy, że byłoby ciekawe dotknąć ich.

— Ale nie dla ciebie, Fallom… Bliss, tworzysz potwora, który zniszczy nas wszystkich. Nie pozwalaj jej tu nigdy wchodzić, jeśli nie będzie mnie przy pulpicie. I nawet wtedy pomyśl dwa razy, zanim to zrobisz, dobrze?

Ten mały incydent sprawił jednak, że opuściło go niezdecydowanie. Powiedział:

— Lepiej zabiorę się do pracy. Jeśli będę tak tu siedział, zastanawiając się, co robić, to to małe straszydło przejmie dowództwo statku.

Światło przygasło, a Bliss rzekła szeptem:

— Obiecałeś mi, pamiętaj. Nie nazywaj jej, kiedy słucha, potworem ani straszydłem.

— No to miej ją na oku i naucz ją dobrego zachowania. Powiedz jej, że dzieci nie powinno się nigdy słyszeć i rzadko oglądać.

Bliss zmarszczyła czoło.

— Twój stosunek do dzieci jest po prostu przerażający.

— Być może, ale nie czas teraz o tym rozmawiać. Potem powiedział głosem, w którym można było wyczuć zarówno ulgę, jak i zadowolenie:

— Znowu mamy Alfę. Tym razem w rzeczywistej przestrzeni… A na lewo od niej, trochę do góry, jest inna, tak samo jasna gwiazda, której nie ma na mapie. To słońce Ziemi. Założę się o cały swój majątek.

— I tak nie weźmiemy ani części twojego majątku, jeżeli przegrasz, więc dlaczego nie załatwić tej sprawy od razu? — powiedziała Bliss. — Lećmy tam, jak tylko będziemy gotowi do skoku.

— O nie — potrząsnął głową Trevize. — Tym razem nie powstrzymuje mnie ani niezdecydowanie, ani strach. Jestem tylko ostrożny. Odwiedziliśmy trzy nieznane światy i trzy razy spotkaliśmy się z jakimś niespodziewanym niebezpieczeństwem. Co więcej, każdy z tych światów musieliśmy opuszczać w pośpiechu. Tym razem sprawa ma dla nas znaczenie kluczowe i nie mam zamiaru grać w ciemno, a w każdym razie zrobię, co mogę, aby zajrzeć w karty. Na razie znamy tylko niejasne opowieści o radioaktywności na Ziemi, a to za mało. Ale na szczęście, czego nikt nie mógł przewidzieć, o kilka parseków od Ziemi znajduje się planeta, na której żyją ludzie…

— Czy możemy powiedzieć na pewno, że w układzie Alfy znajduje się planeta zamieszkana przez ludzi? — wpadł mu w słowo Pelorat. — Powiedziałeś, że komputer postawił przy niej znak zapytania.

— Tak czy inaczej — odparł Trevize — warto spróbować. Dlaczego nie mielibyśmy przyjrzeć się jej? Jeśli faktycznie żyją tam ludzie, to przekonamy się, czy wiedzą coś o Ziemi. W końcu dla nich Ziemia nie jest legendarną planetą, lecz sąsiednim światem, dobrze widocznym na niebie.

— To niezły pomysł — powiedziała Bliss. Przyszło mi na myśl, że jeśli Alfa jest zamieszkana, a jej mieszkańcy nie są typowymi izolami, to mogą być przyjaźnie nastawieni do innych i być może uda nam się dostać tam trochę przyzwoitego jedzenia.

— I spotkać miłych ludzi — rzekł Trevize. Nie zapominaj o tym. A co ty na to, Janov?

— Decyzja należy do ciebie, stary. Polecę tam, gdzie ty.

— Znajdziemy Jemby'ego? — spytała nagle Fallom.

— Poszukamy go, Fallom — rzekła szybko Bliss, zanim Trevize zdążył coś odpowiedzieć.

— A więc postanowione — zakończył Trevize. — Lecimy na Alfę.

73

— Dwie duże gwiazdy — powiedziała Fallom, wskazując na ekran.

— Zgadza się — rzekł Trevize. — Dwie… Bliss, miej ją na oku. Nie chcę, żeby tu czegoś dotykała.

— Fascynują ją maszyny — powiedziała Bliss.

— Tak, wiem o tym — odparł Trevize — ale mnie nie fascynuje jej fascynacja… Chociaż, prawdę mówiąc, widok dwóch gwiazd jaśniejących na ekranie w tym samym czasie fascynuje mnie tak samo jak ją.

Obie gwiazdy były już na tyle jasne, że niedługo powinny się ukazać ich tarcze. Ekran automatycznie przeszedł na gęstszy filtr, który zatrzymywał promieniowanie ciężkie i zmniejszał jasność światła, aby nie doszło do uszkodzenia siatkówki u patrzących. W konsekwencji tego pojawiło się na ekranie kilka innych gwiazd, których światło było dotąd przyćmione blaskiem bijącym od podwójnej.

— Chodzi o to — dodał Trevize — że nigdy jeszcze nie znalazłem się tak blisko podwójnej gwiazdy.

— Nigdy? — spytał Pelorat ze zdziwieniem w głosie. — Jak to możliwe?

Trevize roześmiał się.

— Byłem w wielu miejscach, Janov, ale nie jestem takim galaktycznym włóczęgą, za jakiego mnie uważasz.

— Dopóki cię nie poznałem, Golan — powiedział Pelorat — nigdy nie byłem w przestrzeni, ale zawsze myślałem, że jeśli ktoś już się na to zdobył…

— To był wszędzie — dokończył Trevize. Wiem. To zupełnie naturalne. Cały kłopot z tymi, którzy nie wychylili nigdy nosa poza swą planetę, polega na tym, że choć niby wiedzą, jak jest w istocie, nie potrafią sobie po prostu wyobrazić ogromu Galaktyki. Moglibyśmy podróżować przez całe życie, a i tak nie zdołalibyśmy zwiedzić nawet jej połowy. Poza tym nikt nigdy nie latał do gwiazd podwójnych.

— Dlaczego? — spytała Bliss, marszcząc czoło. — W porównaniu z wciąż podróżującymi izolami, my, na Gai wiemy mało o astronomii, ale mam wrażenie, że gwiazdy podwójne nie są takie rzadkie.

— Owszem, nie są — odparł Trevize. — Faktycznie jest ich więcej niż gwiazd pojedynczych. Jednak tworzenie się dwu gwiazd w ścisłym wzajemnym związku zniekształca normalny proces powstawania planet. Gwiazdy podwójne mają mniej materiału planetarnego niż pojedyncze. Planety, które się wokół nich formują, często mają względnie niestałe orbity i bardzo rzadko zdarza się, aby panowały na

nich warunki umożliwiające istnienie życia.

Myślę, że dawni odkrywcy badali z bliska wiele gwiazd podwójnych, ale z czasem, mając na uwadze potrzeby osadnictwa, skoncentrowali swą uwagę na pojedynczych. No a kiedy cała Galaktyka została gęsto zaludniona, to oczywiście loty ograniczyły się praktycznie do handlu i komunikacji między zamieszkanymi światami krążącymi wokół gwiazd pojedynczych. Przypuszczam, że w okresach zbrojeń czasami zakładano bazy wojskowe na małych, normalnie nie zamieszkanych światach krążących wokół jednej z pary gwiazd, która akurat miała ważne strategiczne położenie, ale kiedy udoskonalono metody lotu przez nadprzestrzeń, bazy te stały się niepotrzebne.

— To zadziwiające, o ilu rzeczach nic nie wiem — rzekł z zawstydzeniem Pelorat.

Trevize uśmiechnął się.

— Nie bierz tego tak poważnie, Janov. Kiedy byłem we flocie, musieliśmy wysłuchiwać w nieskończoność wykładów o przestarzałych metodach taktyki wojennej, których nikt nigdy nie planował ani nie zamierzał stosować, a które nam wciskano na zasadzie przyzwyczajenia. Teraz odklepałem kawałek starej lekcji. Pomyśl lepiej o tym, jak dużo wiesz o mitologii, folklorze i starożytnych językach, o tych wszystkich sprawach, o których ja nie mam pojęcia, a w których, oprócz ciebie, orientuje się zaledwie parę osób.

— No ale te dwie gwiazdy tworzą gwiazdę podwójną, a mimo to wokół jednej z nich krąży zamieszkana planeta — powiedziała Bliss.

— Mamy nadzieję, że jest zamieszkana, Bliss poprawił ją Trevize, a potem powiedział: — Zawsze zdarzają się wyjątki. W tym konkretnym przypadku jest to wyjątek z oficjalnym znakiem zapytania, co czyni całą sprawę jeszcze bardziej zagadkową… Nie, Fallom, te gałki nie są do zabawy… Słuchaj, Bliss, albo załóż jej kajdanki, albo zabierz ją stąd.

— Niczego tu nie zepsuje — ujęła się za nią Bliss, ale przyciągnęła małą do siebie. — Jeśli tak cię interesuje ta planeta, to dlaczego jeszcze tam nie jesteśmy?

— Przede wszystkim — odparł Trevize — jestem na tyle normalnym człowiekeim, żeby interesować się, jak ta gwiazda wygląda z bliska. Poza tym jestem na tyle normalny, żeby być ostrożnym. Jak już wcześniej mówiłem, od czasu odlotu z Gai nie zdarzyło się nic takiego, co by nie upewniło mnie, że należy mieć się na baczności.

— Golan która z tych gwiazd to Alfa? — spytał Pelorat.

— Nie martw się, nie zabłądzimy, Janov. Komputer dokładnie wie, która z nich jest Alfą, a zresztą my też wiemy. To ta. Jest bardziej gorąca. Ma bardziej żółty kolor, bo jest większa. Natomiast ta z prawej

ma lekko pomarańczowy odcień, podobnie jak słońce Aurory, jeśli pamiętasz. Widzisz?

— Tak, teraz, kiedy zwróciłeś mi na nią uwagę. — Dobrze… Jaka jest druga litera alfabetu tego starożytnego języka, o którym mówiłeś?

Pelorat myślał przez chwilę, a potem powiedział:

— Beta.

— A więc nazwijmy tę pomarańczową Beta, a tę białożółtą Alfa. Kierujemy się właśnie ku Alfie.

17. Nowa Ziemia

Cztery planety — mruknął Trevize. — Wszystkie małe, jakiś ogon asteroid. Żadnego olbrzyma gazowego.

— To niedobrze? — spytał Pelorat.

— Niezupełnie. Tego należało się spodziewać. Gwiazdy tworzące gwiazdę podwójną, które krążą wokół siebie w niewielkiej odległości, mogą nie mieć żadnych planet. Planety mogą krążyć wokół centrum grawitacji ich obu, ale jest bardzo mało prawdopodobne, żeby nadawały się do zamieszkania. Są zbyt daleko.

Z drugiej strony, jeśli gwiazdy są od siebie dostatecznie oddalone, to zarówno wokół jednej, jak i wokół drugiej mogą krążyć planety i to, jeśli znajdują się one dość blisko którejś z tych gwiazd, po stałych orbitach. Średnia odległość między tymi gwiazdami wynosi, według banku danych komputera, trzy i pół miliarda kilometrów i nawet w periastronie, kiedy najbardziej zbliżają się do siebie, nie jest mniejsza niż 1,7 miliarda kilometrów. Planeta krążąca wokół którejś z tych gwiazd w odległości mniejszej niż dwieście milionów kilometrów miałaby stabilną orbitę, ale nie może być tam planety o większej orbicie. Znaczy to, że nie ma tam żadnego olbrzyma gazowego, gdyż musiałby on być znacznie bardziej oddalony od gwiazdy, ale co to za różnica? Olbrzymy gazowe i tak nie mają odpowiednich warunków, aby mogło na nich istnieć życie.

— Ale może istnieć na którejś z tych czterech planet.

— Faktycznie życie możliwe jest tylko na drugiej z nich. Przede wszystkim tylko ona jest na tyle duża, że może mieć atmosferę.

Zbliżali się szybko do tej planety i przez dwa dni jej obraz na ekranie znacznie się powiększył. Na początku rósł powoli i majestatycznie, a potem, kiedy nie pojawił się żaden statek, aby ich przechwycić, w stale rosnącym tempie.

„Odległa Gwiazda” poruszała się szybko po orbicie znajdującej się tysiąc kilometrów ponad pokrywą chmur, kiedy Trevize rzucił ponuro:

— Teraz rozumiem, dlaczego w banku danych komputera po informacji, że jest zamieszkana, stoi znak zapytania. Nie ma tu ani śladu radiacji — ani światła po stronie pogrążonej w cieniu, ani fal radiowych po żadnej stronie.

— Warstwa chmur wydaje się bardzo gruba rzekł Pelorat.

— To nie powinno mieć wpływu na fale radiowe. Spoglądali na planetę wirującą pod nimi, spowitą białymi chmurami, poprzez przerwy, w których przeświturywała niebieskawo woda, wskazując, że jest tam ocean.

— Warstwa chmur jest za gruba, jak na zamieszkany świat — powiedział Trevize. — Pewnie jest on raczej posępny… Co mnie

jednak najbardziej niepokoi — dodał po chwili — to fakt, że nie powitała nas żadna stacja orbitalna.

— Tak jak na Comporellonie? — spytał Pelorat.

— Tak jak na każdym zamieszkanym świecie. Musielibyśmy się zatrzymać dla sprawdzenia papierów, ładunku, czasu postoju i tak dalej.

— Może z jakiejś przyczyny przegapiliśmy takie wezwanie.

— Komputer odebrałby to na każdej fali, jakiej mogliby użyć. A poza tym cały czas sami wysyłamy sygnały, a mimo to nie ma żadnej odpowiedzi. Zejście poniżej pułapu chmur bez skomunikowania się ze stacją wejściową jest pogwałceniem zasad obowiązujących w przestrzeni, ale zdaję się, że nie mamy innego wyboru.

„Odległa Gwiazda" zwolniła i odpowiednio do tego wzmocniła antygrawitację, aby utrzymać wysokość. Ponownie znalazła się w promieniach słońca i jeszcze bardziej zwolniła. Trevize, we współpracy z komputerem, znalazł odpowiednio dużą dziurę w chmurach. Statek dał nurka i przeszedł przez nią. Pod nimi falował ocean, najwidoczniej pod wpływem lekkiej bryzy.

Przelecieli przez oświetlony słońcem skrawek i znaleźli się pod warstwą chmur. Bezmiar wód pod nimi przybrał ciemnoszary kolor, a temperatura wyraźnie spadła.

Fallom, patrząc na ekran, zaczęła coś mówić w swoim bogatym w spółgłoski języku, a potem przeszła na galaktyczny. Jej głos drżał.

— Co jest pod nami?

— To ocean — powiedziała Bliss uspokajającym tonem. — Ocean to bardzo duża masa wody.

— A dlaczego ona nie wysycha?

Bliss spojrzała na Trevizego, który powiedział:

— Jest jej za dużo, aby mogła wyschnąć.

Fallom powiedziała zduszonym głosem:

— Ja nie chcę tej wody. Odlećmy stąd. — W tym momencie zapiszczała, bo „Odległa Gwiazda" przechodziła właśnie przez pas chmur burzowych i ekran przybrał mleczną barwę, z ciemniejszymi śladami kropel deszczu.

Światła w sterowni przygasły, a statkiem zaczęło rzucać.

Trevize podniósł głowę ze zdumieniem i krzyknął:

— Bliss, ta twoja Fallom jest już tak duża, że może przetwarzać! Próbuje wpłynąć na stery energią elektryczną. Powstrzymaj ją!

Bliss objęła Fallom ramionami i przytuliła mocno do siebie.

— Już dobrze, Fallom, już dobrze — powiedziała. — Nie ma się czego bać. To jest po prostu inny świat, i tyle. Jest takich wiele.

Fallom uspokoiła się trochę, ale nadal drżała.

— To dziecko nigdy nie widziało oceanu i z tego, co wiem, być może nigdy nie zetknęło się z mgłą ani deszczem — powiedziała Bliss

do Trevizego. Czy nie możesz się odnosić do niej życzliwie?

— Nie, jeśli nie przestanie manipulować przyrządami. Ona zagraża nam wszystkim. Zabierz ją do swojej kabiny i uspokój.

Bliss skinęła lekko głową.

— Pójdę z tobą, Bliss — powiedział Pelorat.

— Nie, nie, Pel. Zostań tutaj. Ja uspokoję Fallom, a ty postaraj się uspokoić Trevizego — powiedziała i wyszła.

— Nie trzeba mnie uspokajać — powiedział Trevize do Pelorata. — Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą, ale przecież nie możemy pozwolić, żeby jakieś dziecko bawiło się sterami, co?

— Oczywiście — powiedział Pelorat — ale to zaskoczyło Bliss. Ona potrafi panować nad Fallom, która zresztą i tak zachowuje się nadspodziewanie dobrze jak na dziecko oderwane od domu i od swojego… hmm… robota i rzucone w wir wypadków, których nie rozumie.

— Wiem o tym. Ale pamiętaj, że to nie ja chciałem, żeby leciała z nami. To był pomysł Bliss.

— Zgoda, ale gdybyśmy jej nie zabrali, to zostałaby zabita.

— No tak… Później przeproszę Bliss. Dziecko też.

Ale nadal miał chmurną minę, więc Pelorat spytał łagodnym głosem:

— Trapi cię coś jeszcze, stary?

— Ten ocean — odparł Trevize. Już dawno wydostali się z burzy, ale niebo nadal pokrywały chmury.

— Coś z nim nie tak?

— Jest za duży. To wszystko.

Po minie Pelorata widać było, że nie rozumie, jakie to ma znaczenie, więc Trevize dorzucił:

— W ogóle nie ma tu lądu. Nigdzie nic nie widać. Atmosfera jest absolutnie normalna, tlen i azot w odpowiednich proporcjach, a więc ta planeta musiała zostać sztucznie ukształtowana i musi tu istnieć życie roślinne, gdyż w przeciwnym wypadku tlen nie utrzymałby się na takim poziomie. W stanie naturalnym taka atmosfera nie występuje nigdzie, przypuszczalnie z wyjątkiem Ziemi, gdzie sama jakoś powstała, choć nie wiadomo jak. Ale z kolei na sztucznie ukształtowanych planetach dość dużą powierzchnię zajmują lądy — od jednej piątej do jednej trzeciej ogólnej powierzchni planety. Nigdy mniej. A zatem jak to możliwe, żeby ta planeta została sztucznie ukształtowana i nie miała żadnych lądów?

— Ta planeta jest częścią systemu gwiazdy podwójnej, więc może jest nietypowa — powiedział Pelorat. — Może wcale nie została sztucznie ukształtowana, lecz wytworzyła atmosferę w warunkach, których nie ma na planetach krążących wokół gwiazd pojedynczych. Może, tak jak na Ziemi, rozwinęło się tu życie bez żadnej ingerencji z

zewnątrz i może istnieje tylko w morzu?

— Nawet gdyby tak było — odparł Trevize to żadna pociecha. Organizmy żyjące w morzu nie mogą stworzyć techniki. Technika zawsze opiera się na ogniu, a w morzu nie może być ognia. Planeta, na której istnieje życie, ale nie ma techniki, nie jest tym, czego szukamy.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale po prostu rozważam różne możliwości. W końcu, o ile nam wiadomo, technika została stworzona tylko w jednym miejscu — na Ziemi. Na inne planety przenieśli ją osadnicy. Nie można mówić, że technika jest taka czy inna, skoro znany jest tylko jeden przypadek jej stworzenia.

— Po to, żeby poruszać się w morzu, trzeba mieć linie opływowe. Organizmy żyjące w nim nie mogą mieć nieregularnych kształtów ani takich przydatków, jak ręce.

— Kałamarnice mają macki.

— Możemy sobie oczywiście różnie spekulować — rzekł Trevize — ale jeśli myślisz, że gdzieś w Galaktyce mogłyby powstać inteligentne kałamarnicopodobne istoty, które stworzyłyby technikę nie opierającą się na ogniu, to — moim zdaniem — zakładasz istnienie czegoś, co jest zupełnie nieprawdopodobne.

— Twoim zdaniem — odparł Pelorat.

Trevize wybuchnął nagle śmiechem.

— No dobrze, Janov. Widzę, że spierasz się ze mną o drobiazgi, żeby mi odpłacić za to, że się szorstko odezwałem do Bliss, ale dobrze robisz. Obiecuję ci, że jeśli nie znajdziemy żadnego lądu, to przebadamy tak dokładnie, jak się da, morze, żeby sprawdzić, czy nie ma tam tych twoich inteligentnych kałamarnic.

Kiedy to mówił, statek znowu zanurzył się w ciemności po ocienionej stronie planety i ekran zabarwił się na czarno.

Pelorat drgnął.

— Zastanawiam się, czy to nie jest niebezpieczne — powiedział.

— Co?

— Lecieć w takich ciemnościach. Możemy zmylić kierunek, wpaść do oceanu i będzie po nas.

— To zupełnie niemożliwe, Janov! Naprawdę. Komputer prowadzi statek wzdłuż linii wyznaczonej przez siłę grawitacji. Mówiąc inaczej, utrzymuje statek na poziomie o tym samym natężeniu siły grawitacji, co znaczy, że lecimy cały czas niemal na tej samej wysokości nad poziomem morza.

— A jaka to wysokość?

— Około pięć kilometrów.

— To mnie nie bardzo uspokaja, Golan. Czy nie wleci na jakąś górę, której w tej ciemności nie możemy zobaczyć?

— My nie możemy, ale radar może, a komputer poprowadziłby

statek albo obok góry, albo ponad nią.

— No a co będzie, jeśli natrafimy na płaski ląd? Nie zauważymy go w ciemności.

— Zauważymy, Janov. Fale radarowe odbite od wody są zupełnie inne niż odbite od lądu. Powierzchnia wody jest prawie płaska, ale lądu zawsze nierówna. Z tego powodu fale odbijają się od lądu bardziej bezładnie niż od wody. Komputer z miejsca zauważy różnicę i da mi znać, jak tylko pojawi się jakiś ląd. Nawet w pogodny słoneczny dzień komputer wykryłby ląd prędzej niż ja.

Umilkli. Po kilku godzinach znaleźli się znowu na oświetlonej półkuli. Pod nimi monotonnie kołysał się ocean, przesłonięty tu i ówdzie pasmami chmur burzowych. Podczas przechodzenia przez jedno z takich pasm wiatr zepchnął „Odległą Gwiazdę" z kursu. Komputer, jak wyjaśnił Peloratowi Trevize, nie stawiał oporu, aby nie dopuścić do niepotrzebnej straty energii i zminimalizować możliwość uszkodzenia statku. Kiedy minęli niespokojny rejon, komputer naprowadził statek z powrotem na kurs.

— Prawdopodobnie trafiliśmy na skraj huraganu — powiedział Trevize.

— Słuchaj, stary — rzekł Pelorat — cały czas lecimy albo z zachodu na wschód, albo ze wschodu na zachód. Badamy tylko strefę równikową i nic więcej.

— To byłoby idiotyczne, prawda? — odparł Trevize. — Faktycznie robimy wielki łuk z północnego zachodu na południowy wschód. W ten sposób przelatujemy i nad obrzeżami tropikalnymi, i nad oboma strefami umiarkowanymi, a z każdym kolejnym okrążeniem, dzięki obrotowi planety wokół swojej osi, przesuwamy się na zachód. W ten sposób oblecimy stopniowo cały ten świat. Ponieważ do tej pory nie natrafiliśmy na ląd, szanse znalezienia odpowiednio dużego kontynentu wynoszą, według komputera, jeden do dziesięciu, a odpowiednio dużej wyspy trochę mniej niż jeden do pięciu, i zmniejszają się z każdym okrążeniem.

— Wiesz, co bym zrobił na twoim miejscu? rzekł Pelorat, kiedy z powrotem znaleźli się nad pogrążoną w ciemnościach półkulą. — Zatrzymałbym się z dala od planety i przeczesał radarem całą półkulę leżącą przede mną. Chmury temu nie przeszkadzają, prawda?

— A potem przeleciał na drugą stronę i zrobił to samo z drugą półkulą. Albo poczekał, aż planeta się obróci. Łatwo mówić po fakcie, Janov. Kto mógł się spodziewać, że zbliżymy się do nadającej się do zamieszkania planety i nie zatrzymamy się na stacji wejściowej, żeby nam przydzielono ścieżkę lotu? Kto mógł się spodziewać, że schodząc poniżej warstwy chmur bez zatrzymywania się przy stacji wejściowej nie znajdziemy się zaraz nad lądem? Nadające się do zamieszkania planety to… ląd!

— Ale na pewno nie na całej powierzchni.

— Nie o tym mówię — rzekł z podnieceniem Trevize. — Mówię, że znaleźliśmy ląd! Cicho. Starając się ukryć podniecenie, co mu się nie udało, Trevize położył wolno ręce na pulpicie i zespolił się w jedno z komputerem.

— To wyspa — powiedział. — Ma około dwustu pięćdziesięciu kilometrów długości i mniej więcej sześćdziesiąt pięć kilometrów szerokości. Jakieś piętnaście tysięcy kilometrów kwadratowych czy coś koło tego. Niezbyt duża, ale nie taka mała. W każdym razie większa niż punkt na mapie. Zaczekaj… Światło w sterowni pociemniało i zgasło.

— Co robimy? — spytał Pelorat, automatycznie zniżając głos do szeptu, jak gdyby ciemność była czymś kruchym, czego nie wolno rozbić.

— Czekamy, aż wzrok zaadaptuje się do ciemności. Wisimy teraz nad wyspą. Patrz pilnie. Widzisz coś?

— Nie… No, może małe świetlne punkciki. Nie jestem pewien.

— Ja też to widzę. Skierujemy na nie teleskop. Rzeczywiście było to światło. Dobrze widoczne, nieregularnie rozmieszczone plamki światła.

— A więc jest zamieszkana — rzekł Trevize. Być może jest to jedyna zamieszkana część planety.

— Co teraz zrobimy?

— Poczekamy do dnia. Mamy parę godzin, żeby odpocząć.

— Czy oni nie mogą nas zaatakować?

— Czym? Oprócz światła widzialnego i podczerwieni, nie wykryłem żadnego promieniowania. Wyspa jest zamieszkana, a jej mieszkańcy są niewątpliwie istotami inteligentnymi. Mają technikę, ale najwidoczniej w stadium preelektronicznym, a więc nie sądzę, aby było się czym martwić. Gdybym się mylił, to komputer zawczasu mnie ostrzeże.

— A kiedy nastanie dzień?

— To wtedy oczywiście wylądujemy.

75

Zeszli niżej, kiedy tylko przez dziurę w pokrywie chmur przedarły się pierwsze promienie słońca, oświetlając pokrytą świeżą zielenią część wyspy. W głębi lądu widać było pasmo niskich, łagodnych wzgórz ciągnących się aż po różowawy horyzont.

Kiedy zniżyli się jeszcze bardziej, dostrzegli rozrzucone tu i ówdzie zagajniki i sady, ale większą część powierzchni zajmowały pola uprawne. Bezpośrednio pod statkiem, na południowo-wschodnim krańcu wyspy, rozciągała się połyskująca srebrzyście plaża, obramowana od strony lądu przerywaną linią głazów, za którymi widać było pas trawy. Gdzieniegdzie dostrzec było można samotny dom, ale ani śladu miasta.

Na koniec zauważyli, niewyraźną sieć dróg, wzdłuż których ciągnęły się rzadkie zabudowania. Potem, w zimnym powietrzu poranka, spostrzegli w oddali jakiś pojazd powietrzny. Był tak daleko, że tylko sposób, w jaki się poruszał, świadczył o tym, że jest to maszyna, a nie ptak. Był to pierwszy niewątpliwy znak istot inteligentnych w akcji, jaki dostrzegli na planecie.

— To może być pojazd automatyczny, jeśli potrafią zbudować taki bez użycia elektroniki — powiedział Trevize.

— Całkiem możliwe — rzekła Bliss. — Wydaje mi się, że gdyby za jego sterami siedział człowiek, to skierowałby się w naszą stronę. Musimy stanowić niezwykły widok — statek schodzący do lądowania bez użycia silników hamujących, wyrzucających strumienie ognia.

— To byłby dziwny widok dla mieszkańców każdej planety — powiedział w zamyśleniu Trevize. Na pewno nie ma zbyt wielu światów, które by oglądały grawitacyjny statek kosmiczny… Ta plaża nadawałaby się znakomicie na lądowisko, ale może wieje wiatr, a nie chcę, żeby statek zalały fale. Wyląduję na tym pasie trawy za kamieniami.

— Przy lądowaniu statek grawitacyjny przynajmniej nie spali ziemi, która może być czyjąś prywatną własnością — powiedział Pelorat.

Statek osiadł miękko na czterech nogach, które powoli wysunęły się z kadłuba podczas ostatniej fazy lądowania. Zagłębiły się one nieco w ziemię pod ciężarem, który na nich spoczywał.

— Ale obawiam się, że jednak zostawimy ślady — rzekł Pelorat.

— Przynajmniej jest tu zrównoważony klimat powiedziała Bliss, niezbyt jednak zachwyconym głosem. — Powiedziałabym nawet, że jest tu ciepło.

Na trawie stała, przyglądając się lądowaniu bez żadnych oznak strachu czy zdziwienia, jakaś kobieta. Na jej twarzy malowała się

tylko wielka ciekawość.

Jej ubiór był bardzo skąpy, co potwierdzało ocenę klimatu wydaną przez Bliss. Miała na stopach sandały, które wydawały się zrobione z płótna, i spódnicę w kwiaty na biodrach. Nogi i tułów od pasa w górę były gołe.

Miała czarne, sięgające pasa, bardzo lśniące włosy, jasnobrązową skórę i wąskie oczy.

Trevize rozejrzał się i stwierdził, że w pobliżu nie ma żadnych innych osób. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Jest wczesny ranek, więc większość mieszkańców musi być jeszcze w domach, może nawet śpią. Ale i tak nie powiedziałbym, że ten obszar jest gęsto zaludniony.

Odwrócił się do Bliss i Pelorata i rzekł:

— Wyjdę i porozmawiam z tą kobietą, jeśli mówi jakimś zrozumiałym językiem. Wy…

— Myślę, że wszyscy możemy wyjść — powiedziała stanowczo Bliss. — Ta kobieta wygląda zupełnie niegroźnie, a ja chcę rozprostować nogi, odetchnąć świeżym powietrzem i może rozejrzeć się za czymś do jedzenia. Poza tym chcę, żeby Fallom znowu poczuła, że jest na planecie i myślę, że Pel chciałby dokładniej przepytać tę kobietę.

— Kto? Ja? — powiedział Pelorat, rumieniąc się lekko. — Nic podobnego, Bliss, ale w naszej grupce ja jestem specjalistą od języków.

Trevize wzruszył ramionami.

— Dobrze już, chodźcie wszyscy. Ale chociaż wygląda ona niegroźnie, wolę wziąć ze sobą broń. — Wątpię — powiedziała Bliss — abyś miał wielką ochotę użyć jej przeciw tej młodej osóbce.

Trevize uśmiechnął się.

— Ładna, co?

Pierwszy wyszedł Trevize, za nim Bliss, prowadząc za rękę Fallom, która ostrożnie schodziła za nią po schodach, a na końcu Pelorat.

Czarnowłosa dziewczyna nadal przyglądała się z ciekawością. Nie cofnęła się nawet o cal.

— No to spróbujmy — mruknął Trevize. Odsunął ręce od broni i powiedział: — Pozdrawiam cię. Dziewczyna zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem rzekła:

— Bądź pozdrowiony. Takoż i towarzysze twoi.

— Cudownie! — krzyknął radośnie Pelorat. Ona mówi klasycznym galaktycznym, a do tego z dobrym akcentem.

— Ja też ją rozumiem — rzekł Trevize, kręcąc dłonią na znak, że jednak niedokładnie. — Mam nadzieję, że ona rozumie, co ja mówię.

— Przylecieliśmy tu przez przestrzeń — powiedział, uśmiechając się i przybierając przyjazny wyraz twarzy. — Jesteśmy z innego

świata.

— To dobrze — odparła dziewczyna czystym sopranem. — Azali statek wasz przybywa z Imperium?

— Przylecieliśmy z odległej gwiazdy, a statek też nazywa się „Odległa Gwiazda”.

Dziewczyna spojrzała na napis na kadłubie.

— Czy to jest to, co napis ten rzecze? Jeśli tak i jeśli pierwszą literą jest „F”, to racz zauważyć, panie, iż jest ona napisana na opak.

Trevize miał już zaprzeczyć, ale Pelorat, nie posiadając się z radości, powiedział:

— Ona ma rację. Około dwa tysiące lat temu litera F odwróciła się. Cóż to za wspaniała okazja, żeby przestudiować szczegółowo klasyczny galaktyczny, i to jako żywy język!

Trevize uważnie przyjrzał się dziewczynie. Miała nieco ponad półtora metra wzrostu i małe, choć kształtne piersi. Nie wyglądały jednak na nierozwinięte. Brodawki były duże i otoczone ciemnymi obwódkami, choć może było to skutkiem brązowej karnacji jej skóry.

— Nazywam się Golan Trevize — powiedział. To mój przyjaciel, Janov Pelorat. Ta kobieta to Bliss, a dziecko ma na imię Fallom.

— Azali to zwyczaj wasz, na owej odległej gwieździe, że mężczyźni mają podwójne imiona? Ja jestem Hiroko, córka Hiroko.

— A pani ojciec? — spytał nagle Pelorat.

Hiroko odparła obojętnym wzruszeniem ramion.

— Matka powiada, iż zwie się Smoal, ale to nie ma znaczenia. Nie znam go.

— A gdzie są inni? — spytał Trevize. — Wygląda na to, że jest pani jedyną osobą, która wyszła nas powitać.

— Wielu mężczyzn jest w morzu, wiele kobiet w polu — odparła Hiroko. — Ja odpoczywam od dwóch dni, a zatem mam szczęście być przytomną przy tym wielkim wydarzeniu. Lecz ludzie są ciekawi, a statek będzie widoczny nawet z daleka. Wkrótce przybędą tu inni.

— Dużo ich jest na tej wyspie?

— Więcej niż dwakroć dziesięć i pięć tysięcy odparła Hiroko z wyraźną dumą.

— A są tu inne wyspy?

— Inne wyspy, panie? — Hiroko wydawała się tak zaskoczona, że Trevize nie pytał dalej. Było jasne, że jest to jedyne zamieszkane miejsce na całej planecie.

— Jak nazywacie wasz świat? — spytał.

— Alfa, dobry panie. Nauczono nas, że pełną nazwą jest Alfa Centauri, jeśli mówi wam to więcej, ale my zwiemy ją po prostu Alfą. Spójrzcie, jak piękny jest ten świat.

— Istotnie — przyznał Trevize. — Przynajmniej ta jego część w tej chwili. — Spojrzał na błękitne niebo, po którym leniwie

przesuwały się nieliczne obłoczki. — Jest miły, słoneczny dzień, Hiroko, ale przypuszczam, że takich dni jest tu niewiele.

Hiroko zesztywniała.

— Tyle, ile sobie życzymy, panie. Kiedy potrzebny nam deszcz, napływają chmury, ale zazwyczaj wolimy oglądać czyste niebo nad głową. Kiedy łodzie są w morzu, dobrze jest mieć pogodne niebo i słaby wiatr.

— A zatem potraficie regulować pogodę?

— Gdybyśmy tego nie potrafili, zbutwielibyśmy z wilgoci, panie.

— A jak to robicie?

— Nie będąc inżynierem, nie mogę o tym nic rzec.

— A jak brzmi nazwa tej wyspy, na której mieszka twój lud, pani? — spytał Trevize, łapiąc się na tym, że sam zaczyna mówić ozdobnym stylem, charakterystycznym dla klasycznego galaktycznego.

— Tę niebiańską wyspę wśród bezmiaru wód zwiemy Nową Ziemią — odparła Hiroko.

Trevize i Pelorat spojrzeli na siebie ze zdumieniem i radością.

Nie zdążyli podjąć tego wątku. Zaczęli nadchodzić inni mieszkańcy wyspy. Zebrało się kilkadziesiąt osób. „To muszą być ci — pomyślał Trevize którzy nie łowią ani nie pracują w polu". Większość przyszło pieszo, choć zauważył także dwa stare i niezgrabne samochody.

Było oczywiste, że nie dysponują wysoko rozwiniętą techniką, ale jednak potrafili regulować pogodę.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że nie wszystkie dziedziny techniki muszą się rozwijać jednocześnie, że brak osiągnięć w pewnych dziedzinach nie wyklucza postępu w innych, ale z pewnością ten przykład nierównomiernego rozwoju był niezwykły.

Z tych, którzy przyglądali się statkowi, przynajmniej połowę stanowili starsi mężczyźni i kobiety, było również troje czy czworo dzieci. Wśród pozostałych więcej było kobiet niż mężczyzn. Nikt nie okazywał najmniejszego śladu lęku czy niepewności.

Trevize spytał cicho Bliss:

— Wpływasz na nich? Wydają się tacy… pogodni.

— Nawet w najmniejszym stopniu nie wpływam na nich — odparła. — Jeśli nie muszę, nigdy nawet nie tykam niczyjego mózgu. Jestem teraz zajęta Fallom.

Choć dla kogoś, kto przywykł do widoku tłumów gapiów na każdym normalnym świecie w Galaktyce, tubylców była tylko garstka, to dla Fallom, dla której nawet trójka dorosłych na pokładzie „Odległej Gwiazdy" była czymś niezwykłym, było to wielkie zbiegowisko. Oddychała gwałtownie, mając na pół przymknięte oczy. Wydawało się, że jest w szoku.

Bliss gładziła ją delikatnie po głowie, przemawiając do niej uspokajającym głosem. Trevize był pewien, że pomaga sobie, przestrajając ostrożnie włókna jej mózgu.

Fallom zaczerpnęła nagle głośno powietrza, jakby miała wybuchnąć płaczem, i ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Podniosła wzrok i spojrzała prawie normalnie na otaczających ich ludzi, po czym schowała szybko głowę pod ramię Bliss.

Bliss objęła ją opiekuńczym gestem, przytulając od czasu do czasu mocniej do siebie, jakby chciała ją w ten sposób zapewnić, że jest obok i czuwa.

Pelorat wydawał się wstrząśnięty. Przenosił wzrok z jednego Alfianina na drugiego, a potem powiedział:

— Zobacz, Golan jak oni różnią się między sobą.

Trevize również to zauważył. Tubylcy mieli różne kolory skóry i włosów. Był tam nawet jeden ogniście rudy, o niebieskich oczach i

piegowatej skórze. Przynajmniej troje spośród dorosłych było tak niskich jak Hiroko, a jedno czy dwoje wyższych od Trevizego. Część osób obu płci miała oczy o takim kształcie jak Hiroko i Trevize przypomniał sobie, że takie oczy były charakterystyczne dla mieszkańców rojnych, zajmujących się handlem planet w sektorze Fili, choć osobiście nigdy tam nie był.

Wszyscy Alfianie byli nadzy od pasa w górę, a wszystkie kobiety wydawały się mieć małe piersi. Była to najbardziej powszechna cecha, jaką Trevize zdołał zauważyć.

— Panno Hiroko — odezwała się nagle Bliss to dziecko nie jest przyzwyczajone do podróży kosmicznych i za wiele jest tu dla niego obcych rzeczy. Czy moglibyśmy gdzieś usiąść i coś zjeść i wypić?

Po minie Hiroko widać było, że nie bardzo rozumie, czego chce Bliss, więc Pelorat powtórzył to, używając kunsztownych zwrotów z okresu średniego Imperium.

Hiroko podniosła rękę do ust i osunęła się z wdziękiem na kolana.

— Wybacz mi, czcigodna pani — powiedziała żem nie pomyślała o potrzebach tego dziecięcia ni waszych. Za bardzo przejęłam się niezwykłością tego wydarzenia. Czy raczysz, pani… czy raczycie przyjąć naszą gościnę i udać się do refektarza na ranny posiłek? Czy dozwolicie, byśmy poszli z wami i usłużyli wam?

— To miło z pani strony — powiedziała Bliss. Mówiła wolno, starannie wymawiając słowa w nadziei, że zostanie łatwiej zrozumiana. — Byłoby jednak lepiej, gdybyśmy poszli tam tylko z panią, gdyż to dziecko nie jest przyzwyczajone do przebywania w towarzystwie tak wielu ludzi.

Hiroko podniosła się.

— Stanie się wedle twej woli, pani.

Poszła niespiesznie przodem. Pozostali Alfianie podeszli bliżej. Szczególnie wydawała się ich interesować odzież przybyszów. Trevize zdjął swą lekką kurtkę i podał ją mężczyźnie, który przysunął się do niego i dotknął jej palcem z pytającym wyrazem twarzy.

— Proszę — powiedział — niech pan to sobie obejrzy, ale proszę zwrócić. — Potem rzekł do Hiroko: — Panno Hiroko, proszę dopilnować, żeby to do mnie wróciło.

Skinęła poważnie głową.

— Z całą pewnością zostanie ci zwrócone, czcigodny panie.

Trevize uśmiechnął się i poszedł dalej. W lekkich powiewach ciepłego wiatru czuł się o wiele lepiej bez kurtki.

Nie zauważył, żeby któryś z otaczających go tubylców miał broń. Co więcej, nikt nie wydawał się w najmniejszym stopniu zaniepokojony widokiem jego broni. Nawet ich nie interesowała. Być może w ogóle nie zdawali sobie sprawy, że przedmioty dyndające mu u pasa to broń. Z tego, co widzieli do tej pory, Alfa mogła być

światem, który nie znał gwałtu ani przemocy.

Jedna z towarzyszących im kobiet wysforowała się do przodu, aby znaleźć się bliżej Bliss, obejrzała dokładnie jej bluzkę i spytała:

— Azali masz piersi, czcigodna pani? — a potem, jakby nie mogła się doczekać odpowiedzi, dotknęła lekko dłonią jej piersi.

Bliss uśmiechnęła się i powiedziała:

— Jak widzisz, pani, mam. Może nie są tak kształtne, jak twoje, ale nie dlatego je ukrywam. Na moim świecie nie przystoi chodzić z gołymi piersiami.

— Jak myślisz, dobrze sobie radzę z klasycznym galaktycznym? — spytała szeptem Pelorata.

— Powiedziałaś to znakomicie — pochwalił ją Pelorat.

Refektarz mieścił się w dużej sali. Znajdowały się tam długie stoły, do których z obu stron przymocowane były ławy. Najwidoczniej Alfianie wspólnie spożywali posiłki.

Trevize poczuł wyrzuty sumienia. Prośba Bliss o możliwość spożycia śniadania w odosobnieniu spowodowała, że w całej tej dużej sali było teraz tylko pięć osób, a Alfianie zostali za drzwiami. Część z nich stanęła jednak za oknami (które były zwykłymi, pozbawionymi nawet szyb otworami w murach), prawdopodobnie po to, aby zachowując podyktowany szacunkiem dla życzenia gości dystans, przyjrzeć się jednak, jak jedzą.

Bezwiednie pomyślał o tym, co by było, gdyby akurat zaczął padać deszcz. Na pewno padało tu tylko wtedy, kiedy było to potrzebne, a opady z pewnością nie były zbyt gwałtowne i kończyły się z chwilą, gdy ziemia wchłonęła dostateczną ilość wody. Poza tym Alfianie wiedzieliby, że zanosi się na deszcz i zdążyliby się przygotować na jego nadejście.

Okno, naprzeciw którego siedział, wychodziło na morze. Wydało mu się, że hen, na horyzoncie, dostrzega pas chmur podobnych do tych, które jeszcze niedawno pokrywały całe niebo, z wyjątkiem niewielkiej połaci nad tą rajską wyspą.

Regulacja pogody miała niezaprzeczalne zalety.

Cicho stąpając, weszła młoda kobieta i wniosła potrawy. Nie pytała ich, co chcą zjeść, po prostu postawiła wszystko na stole. Przed każdym z nich stanęła szklanka mleka, większa szklanka z sokiem z winogron i jeszcze większa z wodą. Każde z nich dostało talerzyk z dwoma gotowanymi jajami i kilkoma kawałkami białego sera, a także większy talerz z rybą z rusztu, pieczonymi ziemniakami i zieloną sałatą.

Bliss spojrzała z konsternacją na górę jedzenia piętrzącą się przed nią. Wyraźnie nie wiedziała, od czego zacząć. Fallom nie miała takich problemów. Wypiła chciwie sok i zaczęła z apetytem pałaszować rybę i ziemniaki. Zamierzała się do tego zabrać palcami, ale Bliss podała jej

dużą łyżkę z ząbkami, która mogła służyć także jako widelec.

Pelorat uśmiechnął się z zadowoleniem i natychmiast rzucił się na jajka.

Trevize powiedział:

— No, wreszcie przypomnę sobie, jak smakują prawdziwe jajka — i poszedł za jego przykładem.

Hiroko, która patrzyła z zadowoleniem jak jedzą (bo nawet Bliss w końcu zdecydowała się zacząć), zapominając o własnym śniadaniu, spytała w końcu:

— Dobre?

— Dobre — odparł Trevize z pełnymi ustami. Jak widać, na tej wyspie nie brakuje jedzenia… A może przez grzeczność dajecie nam więcej, niż powinniście?

Hiroko słuchała uważnie i widocznie zrozumiała, co mówi, gdyż odpowiedziała:

— Nie, nie, czcigodny panie. Nasza ziemia jest szczodra, a morze nawet bardziej. Kaczki dają nam jaja, a kozy ser i mleko. Mamy zboża. A nade wszystko mamy morze, a w nim niezliczone rodzaje ryb w niezmierzonych ilościach. Choćby całe Imperium żywiło się przy naszych stołach, nie zdołałoby zjeść wszystkich ryb z naszego morza.

Trevize uśmiechnął się dyskretnie. Młoda Alfianka nie miała najmniejszego pojęcia o rozmiarach Galaktyki.

— Nazywacie tę wyspę Nową Ziemią — powiedział. — Gdzie zatem może się znajdować Stara Ziemia?

Hiroko spojrzała na niego z zakłopotaniem.

— Stara Ziemia, powiadasz, panie? Wybacz mi, proszę, lecz nie pojmuję, o co pytasz.

— Zanim powstała Nowa Ziemia — rzekł Trevize — wasz lud musiał żyć gdzie indziej. Skąd tu przybyliście?

— Nic mi o tym nie wiadomo, czcigodny panie — odparła poważnie. — Mieszkam tu całe swoje życie, jako i moja matka, i babka, jako ich babki i prababki. Nie wiem nic zgoła o żadnej innej ziemi.

— Ale mówicie o tej wyspie jako o Nowej Ziemi — argumentował łagodnie Trevize. — Dlaczego tak ją nazywacie?

— Dlatego, czcigodny panie — odparła mu równie łagodnie — że tak się zowie, od kiedy sięgnąć pamięcią.

— Ale jest to N o w a Ziemia, a więc Ziemia późniejsza. Musi być zatem jakaś S t a r a Ziemia, wcześniejsza, na pamiątkę której ta została nazwana nową. Każdego ranka zaczyna się nowy dzień, co implikuje, że musiał być też stary dzień. Nie rozumie pani, że nie mogło być inaczej?

— Nie, czcigodny panie. Wiem tylko, jak zowie się ta oto ziemia. Nie wiem o żadnej innej, ani nie potrafię pojąć twego rozumowania,

które przypomina jako żywo to, co zwie się tu stawianiem sprawy na głowie. Nie mówię tego, żeby cię urazić, panie.

Trevize potrząsnął głową i poddał się.

Trevize nachylił się do Pelorata i powiedział:

— Gdziekolwiek byśmy polecieli, cokolwiek byśmy zrobili, i tak niczego się nie dowiemy.

— Wiemy, gdzie jest Ziemia, więc czy to takie ważne? — odparł Pelorat, zaledwie poruszając wargami.

— Ale chcę się czegoś o niej dowiedzieć.

— Ta dziewczyna jest bardzo młoda. Trudno oczekiwać, żeby była skarbnicą wiedzy.

Trevize myślał chwilę, a potem skinął głową.

— Masz rację, Janov. — Potem zwrócił się do Hiroko: — Panno Hiroko, nie spytała pani, po co tu przylecieliśmy.

Hiroko spuściła oczy i powiedziała:

— Byłoby nieprzystojnie, czcigodny panie, pytać o to, zanimeście się pożywili i wypoczęli.

— Ale już prawie skończyliśmy jeść, a ponieważ niedawno wypoczywaliśmy, powiem pani, co nas tu sprowadza. Mój przyjaciel, profesor Pelorat, jest badaczem, uczonym człowiekiem. Zajmuje się mitologią. Wie pani, co to znaczy?

— Nie wiem, czcigodny panie.

— Bada stare opowieści na różnych światach. Takie opowieści zwane są mitami lub legendami, i to nimi właśnie interesuje się profesor Pelorat. Czy są na Nowej Ziemi uczeni ludzie, którzy znają jakieś stare opowieści?

Hiroko zamyśliła się, marszcząc czoło. W końcu powiedziała:

— Ja nie wyznaję się na tych sprawach. Mamy tu atoli starca, który uwielbia rozprawiać o dawnych czasach. Nie wiem, skąd on zna to wszystko. Podobno sam zmyślił te opowieści albo usłyszał od takich, co je zmyślili. Może to jest właśnie to, co chciałby usłyszeć twój uczony towarzysz, panie, ale nie chciałabym go zwieść. Myślę — rozejrzała się, jakby nie chciała, żeby ktoś to podsłuchał — że choć wielu chętnie go słucha, ten stary plecie brednie.

Trevize skinął głową.

— Interesują nas właśnie takie brednie. Czy mogłaby pani zaprowadzić mego przyjaciela do tego starca…

— Zowią go Monolee.

— A więc do Monolee. Myśli pani, że Monolee będzie chciał mówić z moim przyjacielem?

— On? Czy będzie chciał mówić? — rzekła drwiącym tonem Hiroko. — Raczej mógłbyś spytać, czy będzie chciał przestać gadać. To tylko mężczyzna i jeśli się mu pozwoli, to będzie gadał przez dwa tygodnie bez przerwy. Nie chciałabym cię urazić, czcigodny panie.

— Nie czuję się urażony. Czy mogłaby pani zaprowadzić go tam teraz?

— Ktoś może to zrobić w każdej chwili. Starzec jest zawsze w domu i zawsze chętnie wita słuchaczy.

— I może jakaś starsza kobieta zechciałaby przyjść i posiedzieć trochę z panią Bliss — powiedział Trevize. — Ona musi zajmować się dzieckiem i nie bardzo może gdzieś chodzić. Bardzo by się ucieszyła z towarzystwa, bo kobiety, jak pani wie, lubią…

— Plotkować? — rzekła Hiroko ze szczerym zdziwieniem. — No cóż, luboć mężczyźni tak powiadają, tom spostrzegła, że to oni mielą językami po próżnicy. Niech no tylko wrócą z morza, zaraz zaczynają się przechwałki. Jeden prześciga drugiego, opowiadając niestworzone rzeczy o swoich połowach. Nikt ich nie słucha, nikt im nie wierzy, ale mają to za nic. Ale ja też już za dużo gadam. Dość tego… Sprowadzę tu przyjaciółkę mojej matki, którą widzę przez okno, iżby została z panią Bliss i z dzieckiem, a jeszcze poproszę ją, żeby wprzódy zawiodła czcigodnego profesora do starego Monolee. Jeśli twój przyjaciel, panie, będzie słuchał równie chętnie, jak Monolee opowiada, to nie uda ci się go stamtąd wyciągnąć nigdy w życiu. Pozwól, panie, że się na chwilę oddalę.

Kiedy wyszła, Trevize rzekł do Pelorata:

— Słuchaj, postaraj się wyciągnąć od tego starca, ile się da, a ty, Bliss, zobacz, czego się można dowiedzieć od tej kobiety, która tu z tobą zostanie. Interesuje nas wszystko, co dotyczy Ziemi.

— A ty? — spytała Bliss. — Czym ty się zajmiesz?

— Ja zostanę z Hiroko i postaram się znaleźć inne źródło informacji.

Bliss uśmiechnęła się.

— Aha, ja mam się zająć jakąś staruszką, Pel tym starcem, a ty się poświęcisz i zajmiesz się tą kusząco rozebraną dziewczyną. Zdaje się, że to właściwy podział zadań.

— W tej sytuacji, Bliss, właściwy.

— Ale przypuszczam, że cię specjalnie nie martwi, że taki nam przypadł podział ról, co?

— Nie. Dlaczego miałoby mnie to martwić?

— No właśnie — dlaczego?

Wróciła Hiroko i usiadła na ławie.

— Wszystko załatwione. Czcigodny profesor Pelorat zostanie zaprowadzony do Monolee, a czcigodna pani Bliss będzie miała towarzystwo. Czy zatem, czcigodny panie Trevize, raczysz mi uczynić tę łaskę i porozmawiać jeszcze ze mną, może nawet o tej Starej Ziemi, o której…

— Pleciesz? — rzekł Trevize.

— Nie — roześmiała się Hiroko. — Ale słusznie czynisz, panie,

drwiąc ze mnie. Zaiste nieuprzejmie postąpiłam, odpowiadając na twoje w tej sprawie pytanie. Rada bym zmazać tę swoją przewinę.

Trevize obrócił się do Pelorata.

— Rada bym? — spytał.

— Chciałabym — wyjaśnił Pelorat.

— Panno Hiroko — rzekł Trevize — nie poczytałem tego za nieuprzejmość, ale jeśli ci to poprawi samopoczucie, to chętnie porozmawiam z tobą.

— Miło mi to usłyszeć. Dziękuję, panie — powiedziała Hiroko, podnosząc się z miejsca.

Trevize też wstał.

— Bliss — powiedział. — Upewnij się, czy Janovowi nic nie zagraża.

— Zostaw to mnie. A jeśli chodzi o ciebie, to masz swoją… — wskazała brodą kabury u jego pasa.

— Nie sądzę, żeby mi były potrzebne — rzekł z zakłopotaniem Trevize.

Wyszedł za Hiroko z sali. Słońce stało już wyżej na niebie i było jeszcze cieplej. Jak każdy świat, tak też i ten miał swój specyficzny zapach. Trevize zapamiętał, że na Comporellonie zapach ten był mdły, na Aurorze stęchły i dość przyjemny na Solarii. (Na Melpomenii byli w skafandrach, nie czuli więc nic z wyjątkiem zapachu własnego ciała.) Za każdym razem, gdy komórki węchowe nosa przystosowały się do nowej woni, przestawało się już po kilku godzinach odbierać zapach nowej planety jako obcy.

Tu, na Alfie, w rozgrzanym powietrzu unosiła się przyjemna woń ziół i traw i Trevize zmartwił się nieco, że niedługo przestanie ją czuć.

Zbliżyli się do małego domku, który wydawał się zbudowany z jasnoróżowego gipsu.

— Oto i mój dom — powiedziała Hiroko. Należał do młodszej siostry mojej matki.

Weszła do środka i skinęła na Trevizego, aby wszedł za nią. Drzwi były otwarte, a raczej — jak pomyślał Trevize przechodząc przez nie — nie było tam w ogóle drzwi.

— Co robicie, kiedy pada? — spytał.

— Jesteśmy przygotowani. Będzie padać za dwa dni, przez trzy godziny przed świtem, kiedy jest najchłodniej i woda najlepiej wsiąka w ziemię. Wtedy zaciągnę tę kotarę, która jest ciężka i nie przepuszcza wody.

Mówiąc to zaciągnęła zasłonę, wykonaną z jakiegoś mocnego, podobnego do brezentu materiału.

— Zostawię ją tak — powiedziała. — Wtedy wszyscy będą wiedzieli, że jesteśmy w środku, ale nie można mi przeszkadzać, bo śpię albo jestem zajęta ważnymi sprawami.

— Nie jest to zbyt solidne zabezpieczenie.

— A to dlaczego? Spójrz, panie, wejście jest zasłonięte.

— Ale każdy może odsunąć zasłonę.

— Wbrew woli właściciela domu? — Hiroko była wstrząśnięta. — Czy na twoim świecie, panie, robi się takie rzeczy? Byłoby to barbarzyństwem.

Trevize wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Tylko pytałem.

Zaprowadziła go do drugiej izby i poprosiła, aby usiadł na wyścielanym krześle. Małe rozmiary i pustawe wnętrza dwu izb domku Hiroko wywołały u Trevizego uczucie bliskie klaustrofobii, ale wydawało się, że był on urządzony z myślą prawie wyłącznie o odosobnieniu i wypoczynku. Otwory okienne były małe i umieszczone tuż pod sufitem, ale wzdłuż ścian znajdowały się płytki z matowego szkła, które odbijały światło, czyniąc wnętrze jaśniejszym. W podłodze znajdowały się szczeliny, przez które przedostawało się orzeźwiające, chłodne powietrze. Trevize nie dostrzegł ani śladu sztucznego oświetlenia i przez chwilę zastanawiał się, czy Alfianie nie muszą aby wstawać z pierwszymi promieniami słońca i kłaść się o zachodzie.

Miał już o to zapytać, ale pierwsza odezwała się Hiroko.

— Czy pani Bliss jest twoją damą, panie? — spytała.

— To znaczy, czy jest moją partnerką seksualną? — spytał ostrożnie Trevize.

Hiroko poczerwieniała.

— Błagam, miej, panie, wzgląd na obyczajność w rozmowie, ale istotnie mam na myśli zabawy przyjemne.

— W takim razie — nie. Ona jest damą mego uczonego przyjaciela.

— Ale ty, panie, jesteś młodszy, tedy też i lepszy.

— Dziękuję za taką opinię, ale nie jest to opinia Bliss. Ona woli ode mnie profesora Pelorata.

— To mnie zaiste zdumiewa. A on nie chce się dzielić jej względami?

— Nie pytałem go o to, ale jestem pewien, że nie chce. Ja też zresztą nie chciałbym tego.

Hiroko pokiwała domyślnie głową.

— Wiem. To przez jej zadek.

— Zadek?

— Wiesz, panie. Przez to — mówiąc to, klepnęła się w pośladek.

— Ach, o to chodzi! Rozumiem. Bliss jest dość obszerna w biodrach — zrobił okrągły ruch rękami i mrugnął porozumiewawczo.

Hiroko roześmiała się.

— Jednak wielu mężczyzn lubi obfitość tego rodzaju.

— Nie mogę w to uwierzyć. Chcieć w nadmiarze tego, co dobre w

umiarkowaniu — toż to coś w rodzaju żarłoctwa. Czyżbyś wolał, panie, abym miała potężne i obwisłe piersi, sięgające kolan? Widziałam takie, gwoli prawdy, ale nie zauważyłam, żeby mężczyźni się nimi zachwycali. Te biedne kobiety, które dotknęła taka przypadłość, muszą kryć przed wzrokiem innych swe monstrualne kształty… tak, jak pani Bliss.

— Ja też nie lubię przerostów, ale jestem pewien, że Bliss nie ukrywa swoich piersi dlatego, że im czegoś brakuje, albo że mają czegoś za dużo.

— A zatem nie razi cię mój widok, panie?

— Musiałbym być szalony. Jesteś bardzo ładna, panno.

— A co robisz, panie, dla rozrywki na swoim statku, kiedy tak latasz ze świata na świat, a pani Bliss nie jest dla ciebie?

— Nic, Hiroko. Nie mogę nic robić. Czasami myślę o takich rozrywkach, i nie jest mi wówczas przyjemnie, ale ci, którzy przebywają w przestrzeni, dobrze wiedzą, że niekiedy trzeba się bez nich obejść. Wynagradzamy to sobie przy innych okazjach.

— Jeśli to nie jest przyjemne, to jak można by temu zaradzić?

— Odkąd pani podjęła ten temat, jest mi jeszcze bardziej nieprzyjemnie. Nie sądzę, żeby było w dobrym tonie sugerować, jak można by temu zaradzić.

— Czy byłoby niegrzecznie, gdybym podsunęła pewien pomysł?

— To całkowicie zależy od tego, jaki by to był pomysł.

— Żebyśmy się zabawili razem.

— To po to sprowadziłaś mnie tutaj, Hiroko?

— Tak — odparła Hiroko z uśmiechem. — To mój obowiązek jako gospodyni, a poza tym moje pragnienie.

— Jeśli tak, to muszę przyznać, że jest to również moje pragnienie. Prawdę mówiąc, bardzo chciałbym sprawić ci tę przyjemność.

18. Festiwal muzyczny

Obiad zjedli w tej samej sali, w której jedli śniadanie. Tym razem był w niej tłum Alfian, którzy miło przyjęli Trevizego i Pelorata. Bliss i Fallom siedziały osobno, w małym aneksie.

Podano różne dania z ryb oraz zupę, w której pływały kawałki mięsa, prawdopodobnie z koźlęcia. Na stole leżały bochny chleba, stało masło i dżem. Potem podano sałatkę warzywną w ogromnych ilościach. Nie było widać żadnego deseru, choć wokół stołu gęsto krążyły ogromne dzbany soków owocowych. Trevize i Pelorat jedli niewiele, będąc po obfitym śniadaniu, ale pozostali nie żałowali sobie.

— Jak im się udaje utrzymać linię? — zdziwił się cicho Pelorat.

Trevize wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie dużo pracują fizycznie.

Było to najwyraźniej społeczeństwo, w którym nie obowiązywały dobre maniery przy stole. W sali było gwarno, słychać było śmiechy, krzyki i walenie w stół najwidoczniej niełamliwymi kubkami. Kobiety były tak samo głośne jak mężczyźni, tyle że bardziej piskliwe.

Pelorat skrzywił się, ale Trevize, który teraz (przynajmniej chwilowo) nie odczuwał nic z tych przykrości, na które skarżył się Hiroko, był zrelaksowany i w dobrym humorze.

— Prawdę mówiąc, ma to dobre strony — powiedział. — Ci ludzie zdają się cieszyć życiem i nie mają żadnych zmartwień. Pogoda jest taka, jak im się podoba, żywności nadzwyczajna obfitość. Żyją nieustannie w złotym wieku.

Musiał krzyczeć, aby Pelorat go usłyszał. Pelorat odpowiedział mu w ten sam sposób:

— Ale taki tu hałas!

— Są do tego przyzwyczajeni.

— Nie pojmuję, jak oni mogą się nawzajem zrozumieć w takiej wrzawie.

W każdym razie oni obaj pogubili się w tym zupełnie. Dziwna wymowa i składnia języka alfiańskiego sprawiały, że w tym hałasie nawet Pelorat nie mógł zrozumieć ani słowa. Czuli się obaj, jak gdyby znaleźli się wśród przestraszonych zwierząt w zoo.

Dopiero po obiedzie spotkali się ponownie z Bliss w małym domku, który dla Trevizego nie różnił się prawie niczym od domku Hiroko, a który przydzielono im na czas pobytu na planecie. Fallom, niezwykle — według słów Bliss — szczęśliwa, że może być sama, była w drugim pokoju i starała się zasnąć.

Pelorat popatrzył na otwór wejściowy i rzekł niepewnie:

— Bardzo mało tu prywatności. Możemy rozmawiać swobodnie?

— Zapewniam cię — odparł Trevize — że kiedy zasuniemy tę

brezentową kotarę, nikt nam nie przeszkodzi. Na mocy panujących tu zwyczajów ten brezent jest barierą nie do przekroczenia.

Pelorat zerknął na umieszczone wysoko, niczym nie przesłonięte otwory okienne.

— Mogą nas podsłuchiwać.

— Nie musimy krzyczeć. Alfianie nie będą podshzchiwać. Nawet kiedy jedliśmy śniadanie, stali za oknami w odpowiedniej, podyktowanej szacunkiem odległości.

Bliss uśmiechnęła się.

— Przez ten czas, który spędziłeś z piękną Hiroko, tak dużo się dowiedziałeś o zwyczajach alfiańskich i nabrałeś takiej wiary w okazywane przez nich poszanowanie życia prywatnego. Co się stało?

— Jeśli dostrzegasz w moim mózgu jakąś zmianę na lepsze i potrafisz odgadnąć przyczynę tego odparł Trevize — to mogę cię tylko prosić, żebyś zostawiła mój mózg w spokoju.

— Wiesz bardzo dobrze, że Gaja w żadnym wypadku, z wyjątkiem niebezpieczeństwa zagrażającego twemu życiu, nie tknie twego mózgu i wiesz, dlaczego nie może tego zrobić. Nie jestem jednak umysłowo tępa. Potrafię na kilometr wyczuć, co się stało. Zawsze tak postępujesz w czasie podróży przez przestrzeń, ty erotomanie?

— Erotomanie? Daj spokój, Bliss. Dwa razy podczas całej podróży. Dwa razy!

— Byliśmy tylko na dwóch światach, na których żyły normalne kobiety. A więc wypada dwa na dwa, a warto dodać, że na każdym z tych światów spędziliśmy tylko parę godzin.

— Doskonale wiesz, że na Comporellonie nie miałem wyboru.

— To brzmi wiarygodnie. Pamiętam, jak ona wyglądała — Bliss wybuchnęła śmiechem. Po chwili opanowała się i ciągnęła dalej: — Ale nie przypuszczam, żeby Hiroko unieruchomiła cię stalowym uściskiem albo zaciągnęła cię, drżącego ze strachu, do łóżka.

— Oczywiście, że nie. Miałem na to ochotę. Ale niemniej jednak to była jej propozycja.

— Stale ci się coś takiego zdarza, Golari? — spytał Pelorat, z lekką nutą zazdrości w głosie.

— Oczywiście, Pel. Nie może być inaczej — powiedziała Bliss. — Kobiety lecą do niego jak ćmy do lampy.

— Chciałbym, żeby tak było — rzekł Trevize ale nie jest. Zresztą cieszę się, że tak nie jest mam co innego do roboty. Nie zmienia to jednak faktu, że tym razem rzeczywiście nie można mi się było oprzeć. W końcu jesteśmy pierwszymi ludźmi z innego świata, których Hiroko, a pewnie i wszyscy inni tu widzieli. Z jej luźnych uwag wywnioskowałem, że podniecała ją myśl, iż — anatomicznie czy technicznie — mogę się różnić od Alfian. Obawiam się, że się

zawiodła.

— Oho! — rzekła Bliss. — A ty?

— Ja nie — odparł Trevize. — Byłem na wielu światach i mam trochę doświadczenia. Przekonałem się, że i ludzie, i seks wszędzie są tacy sami. Jeśli istnieją jakieś zauważalne różnice, to są one jednocześnie błahe i niemiłe. Te perfumy, które zdarzyło mi się wąchać! Pamiętam też pewną młodą damę, która po prostu nie mogła bez głośnej muzyki, a ta muzyka składała się z niesamowitych pisków. Tak więc, kiedy włączała muzykę, to z kolei ja nie mogłem. Wierzcie mi — lubię, kiedy jest to w tym samym, starym stylu.

— Skoro mowa o muzyce — powiedziała Bliss — to po kolacji jesteśmy zaproszeni na koncert. Zdaje się, że to będzie uroczysta ceremonia, specjalnie na naszą cześć. Jak się zorientowałam, Alfianie są bardzo dumni ze swojej muzyki.

Trevize skrzywił się.

— To, że są dumni, wcale nie sprawi, że ich muzyka będzie lepiej brzmiała w naszych uszach.

— Pozwól mi skończyć — powiedziała Bliss. Z tego, co usłyszałam, wynika, że doskonale grają na starożytnych instrumentach. Przy tej okazji może uda się nam dowiedzieć czegoś o Ziemi.

Trevize uniósł brwi do góry.

— Interesująca myśl. Ale to mi przypomina, że oboje mieliście postarać się zdobyć jakieś informacje. Janov, widziałeś się z tym Monolee, o którym mówiła Hiroko?

— Tak — odparł Pelorat. — Spędziłem z nim trzy godziny. Hiroko nic nie przesadziła. Był to jeden monolog z jego strony, a kiedy zbierałem się na obiad, złapał mnie za rękę i nie chciał puścić, dopóki nie obiecałem, że wrócę, jak tylko będę mógł, żeby go jeszcze posłuchać.

— Powiedział ci coś ciekawego?

— On też, jak wszyscy inni, upierali się, że cała Ziemia jest skażona zabójczym promieniowaniem radioaktywnym. Powiedział też, że ich przodkowie byli ostatnimi, którzy opuścili Ziemię i że gdyby te go nie zrobili, to wszyscy zginęliby… Mówił to z takim przekonaniem, że nie sposób było mu nie uwierzyć. Golan jestem przekonany, że Ziemia jest martwa i że nasze poszukiwania są bezcelowe.

79

Trevize wyprostował się w krześle i zmierzył wzrokiem Pelorata, który siedział na wąskim łóżku. Bliss podniosła się z miejsca i spoglądała to na jednego, to na drugiego.

W końcu Trevize powiedział:

— Pozwól, Janov, że to ja będę osądzał, czy nasze poszukiwania są bezcelowe. Powiedz mi lepiej, co ci ten stary gaduła naopowiadał… oczywiście, w skrócie.

— Robiłem notatki z tego, co mówił. Uwiarygodniało to moją rolę uczonego, ale nie muszę się do nich odwoływać. Ten jego monolog to był prawdziwy strumień świadomości. Wszystko, co mówił, przypominało mu o czymś innym, ale rzecz jasna — przez całe życie starałem się systematyzować informacje poszukując rzeczy ważnych i istotnych dla mnie, tak że w końcu umiejętność przedstawiania w skondensowanej formie nawet bardzo długich i bezładnych opowieści stała się moją drugą naturą…

Trevize przerwał mu, mówiąc łagodnie:

— Do rzeczy, Janov, do rzeczy.

Pelorat chrząknął z zakłopotaniem.

— Tak, oczywiście, stary. Postaram się przedstawić to chronologicznie i w pewnym porządku. A zatem Ziemia była kolebką ludzkości i milionów gatunków roślin i zwierząt. Było tak przez niezmierzony czas, aż do wynalezienia sposobu podróży przez nadprzestrzeń. Wtedy to założono światy Przestrzeńców. Oderwały się one od Ziemi, wykształciły swą własną kulturę i zaczęły pogardzać macierzystą planetą i gnębić jej mieszkańców.

Trwało to kilkaset lat, po czym Ziemi udało się odzyskać wolność, chociaż Monolee nie wyjaśnił dokładnie, w jaki sposób, a ja nie śmiałem pytać, nawet gdybym zdołał mu przerwać, bo to by mu tylko dało okazję do nowych dygresji. Wspomniał o jakimś bohaterze nazwiskiem Elijah Baley, ale to, co o nim mówił, było tak typowe dla pewnych legend, w których wszystkie osiągnięcia wielu pokoleń przypisuje się jednej osobie, że nie warto było starać się…

— W porządku, Pel, rozumiemy to — przerwała mu Bliss.

Pelorat znowu umilkł i zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział:

— Oczywiście. Przepraszam. Ziemia zapoczątkowała drugą falę osadnictwa, zakładając wiele nowych światów, ale na zupełnie inną modłę. Ta nowa fala kolonizatorów okazała się bardziej energiczna niż pierwsza, wyprzedziła Przestrzeńców, pobiła i przetrwała ich, a w końcu założyła Imperium Galaktyczne. Podczas wojen osadników z Przestrzeńcami… nie, nie wojen… Monolee starannie unikał tego

słowa, używając terminu „konflikt”… a więc wtedy Ziemia stała się radioaktywna.

— To śmieszne, Janov — powiedział, wyraźnie zawiedziony, Trevize. — W jaki sposób jakiś świat może się stać radioaktywny? Każdy świat, od chwili jego powstania, jest w takim czy innym, ale w sumie niewielkim stopniu radioaktywny, lecz ten stopień powoli się zmniejsza. Żaden świat nie staje się radioaktywny.

Pelorat wzruszył ramionami.

— Powtarzam tylko to, co usłyszałem. A on opowiedział mi tylko to, co sam usłyszał od kogoś innego, kto z kolei usłyszał to od innego, i tak dalej. To ludowa wersja historii, powtarzana z pokolenia na pokolenie, kto wie jak zniekształcona i ubarwiona przez rzesze tych, którzy przekazywali ją sobie z ust do ust.

— Rozumiem, ale czy nie ma tu jakichś książek, dokumentów, w których historia została utrwalona w czasach starożytnych i które dzięki temu mogłyby być jej wierniejszym zapisem niż te opowieści?

— Wyobraź sobie, że udało mi się zadać mu to pytanie, ale odpowiedź jest przecząca. Powiedział, że kiedyś mieli takie książki, ale że zaginęły dawno temu, a poza tym było w nich właśnie to, co mi opowiadał.

— Tak, tyle że nieźle przekręcone. Wciąż ta sama historia. Na każdym świecie, na którym się znajdziemy, okazuje się, że materiały dotyczące Ziemi w ten czy inny sposób zaginęły… No dobrze, a skąd jego zdaniem wzięła się na Ziemi radioaktywność? Powiedział coś?

— Nic konkretnego. Dowiedziałem się tylko tyle, że to sprawka Przestrzeńców, ale zdaje mi się, że dla Ziemian Przestrzeńcy byli czymś w rodzaju demonów odpowiedzialnych za wszystkie nieszczęścia. Radioaktywność…

Przerwał mu czysty głos:

— Bliss, czy ja jestem Przestrzeńcem?

W wąskich drzwiach prowadzących do drugiej izby stała Fallom, z potarganymi włosami, w koszuli nocnej (dopasowanej do pełniejszego ciała Bliss), która zsunęła się jej z jednego ramienia, ukazując nierozwiniętą pierś.

— Martwimy się, czy nas nikt nie podsłuchuje z zewnątrz, a zapomnieliśmy o tym, kogo mamy wewnątrz — powiedziała Bliss. — Dlaczego tak mówisz, Fallom? — podniosła się i zbliżyła do niej.

— Nie mam ani tego, co oni — Fallom wskazała Trevizego i Pelorata — ani tego, co ty, Bliss. Jestem inna. Czy to dlatego, że jestem Przestrzeńcem?

— Jesteś Przestrzeńcem — powiedziała łagodnie Bliss — ale małe różnice nie są ważne. Wracaj do łóżka.

Fallom odwróciła się posłusznie, jak zawsze wtedy, kiedy Bliss tego chciała, ale zanim wyszła, spytała:

— A czy jestem demonem? Co to jest demon?

— Zaczekajcie na mnie chwilę — powiedziała Bliss. — Zaraz wracam.

Po pięciu minutach była z powrotem. Potrząsnęła głową.

— Będzie spała, dopóki jej nie obudzę. Chyba powinnam to była zrobić wcześniej, ale ingerencja w czyjś mózg jest usprawiedliwiona tylko w razie nagłej potrzeby… Nie mogę pozwolić, żeby zastanawiała się nad tym, czym jej ciało różni się od naszych — dodała tonem usprawiedliwienia.

— Kiedyś i tak będzie się musiała dowiedzieć, że jest hermafrodytą — powiedział Pelorat.

— Kiedyś tak, ale nie teraz. Opowiadaj dalej, Pel.

— Właśnie — rzekł Trevize. — Zanim nam coś innego nie przeszkodzi.

— No więc Ziemia, a przynajmniej jej skorupa, stała się radioaktywna. W owym czasie Ziemia była gęsto zaludniona, a największe skupiska ludzi znajdowały się w wielkich miastach, które w przeważającej części zbudowane były pod ziemią…

— No, to na pewno nie było tak — przerwał mu Trevize. — To lokalny patriotyzm każe gloryfikować przeszłość i mówić o złotym wieku tej czy innej planety. A szczegóły zostały zaczerpnięte z historii Trantora, jego złotego wieku, kiedy był stolicą imperium obejmującego całą Galaktykę.

Pelorat chwilę milczał, a potem powiedział:

— Słuchaj, Golan nie ucz mnie abecadła mojego zawodu. My, mitolodzy, doskonale wiemy, że mity i legendy zawierają różne zapożyczenia, pouczenia moralne, odniesienia do cyklicznego charakteru zjawiska przyrody i setki innych elementów zniekształcających ich pierwotne przesłanie i staramy się oddzielić to wszystko i dotrzeć do jądra, do tego ziarna prawdy. Zresztą tych samych technik trzeba używać w przypadku najbardziej nawet rzeczowych relacji historycznych, bo nikt nigdy nie pisze obiektywnej prawdy — jeśli w ogóle coś takiego jak prawda obiektywna może istnieć. Teraz na przykład przekazuję wam mniej więcej to, co powiedział mi Monolee, ale przypuszczam, że mimo usilnych starań też zniekształcam to w pewien sposób.

— No już dobrze, Janov — rzekł Trevize. Mów dalej. Nie chciałem cię obrazić.

— I nie czuję się obrażony. W miarę jak radioaktywność rosła, te wielkie miasta — zakładając, że faktycznie istniały — obumierały i rozpadały się, aż w końcu z licznej ludności Ziemi zostały tylko niedobitki, które szukały schronienia w rejonach, gdzie stopień promieniowania był stosunkowo niski. Liczba ludności utrzymywała się na stałym poziomie, dzięki rygorystycznemu przestrzeganiu

kontroli urodzin i eutanazji wszystkich, którzy ukończyli sześćdziesiąt lat.

— To straszne — wzdrygnęła się Bliss.

— Bez wątpienia — zgodził się Pelorat — ale według Monolee tak właśnie było. I może to być prawda, gdyż z pewnością nie przynosi to Ziemianom chluby, a jest mało prawdopodobne, żeby wymyślili coś tak niepochlebnego dla siebie. Ziemianie, wcześniej prześladowani przez Przestrzeńców, stali się wtedy obiektem prześladowań ze strony Imperium, choć tu akurat, litując się nad swym losem, Ziemianie mogli przesadzić. Znany jest przypadek…

— Dobrze, dobrze, Janov. Opowiesz o tym innym razem. Teraz, proszę, wracaj do sprawy Ziemi. — Przepraszam. Imperium, w przypływie łaskawości, zgodziło się usunąć skażoną ziemię i zastąpić ją sprowadzoną z innych światów. Nie trzeba chyba mówić, że było to bardzo pracochłonne i kosztowne zadanie i Imperium szybko zniechęciło się do tego, szczególnie że (jeśli się trafnie domyślam) zbiegło się to w czasie z upadkiem Kandara V, po którym Imperium miało ważniejsze sprawy niż ratowanie Ziemi.

Tymczasem poziom radioaktywności stale się zwiększał, a liczba ludności spadała, aż w końcu Imperium, w kolejnym przypływie łaskawości, zaofiarowało się przetransportować resztkę mieszkańców Ziemi na nowy świat… krótko mówiąc, na ten właśnie świat.

Zdaje się, że wcześniej jakaś ekspedycja wprowadziła do oceanu pewne organizmy, tak że kiedy opracowano plan ewakuacji Ziemian, na Alfie istniała już atmosfera tlenowa i były bogate zasoby pożywienia. Przy tym żaden inny świat Imperium Galaktycznego nie spoglądał łakomie na Alfę, gdyż ludzie żywią jakąś antypatię do planet krążących wokół podwójnych gwiazd. Myślę, że bierze się to stąd, że w układach tych gwiazd jest tak mało odpowiednich planet, że nie zasiedla się nawet tych, które akurat nadają się do tego, przypuszczając, że z nimi też jest coś nie w porządku. To powszechny sposób myślenia. Dobrze znany jest na przykład przypadek…

— Później opowiesz o tym dobrze znanym przypadku, Janov — przerwał mu Trevize. — Wracaj do sprawy ewakuacji.

— Pozostało tylko — Pelorat mówił teraz trochę szybciej — przygotować jakiś ląd. Znaleziono miejsce, gdzie ocean był najpłytszy, przerzucono tam ziemię z głębszych partii i tak stworzono tę wyspę, Nową Ziemię. Potem dodano tam korale i zasadzono rośliny lądowe, aby system korzeni utrzymał glebę. I tym razem Imperium postawiło sobie wielkie zadanie. Może początkowo projektowano założenie całych kontynentów, ale kiedy utworzono tę wyspę, zapał Imperium ostygł.

To, co zostało z ludności Ziemi, sprowadzono tutaj. Imperium zabrało swój sprzęt i ludzi i przestało się interesować Alfą. Ziemianie

znaleźli się w kompletnej izolacji.

— Kompletnej? — spytał Trevize. — Czyżby Monolee powiedział ci, że aż do naszego przylotu nie zjawił się tu nigdy nikt z innej planety?

— Prawie kompletnej — powiedział Pelorat. Myślę, że nie ma tu po co przylatywać, nawet jeśli nie brać pod uwagę tej przesądnej niechęci do gwiazd podwójnych. Raz na jakiś czas może tu zawitać jakiś statek, tak jak nasz, ale w końcu odlatuje. I tyle.

— Pytałeś Monolee, gdzie leży Ziemia? — spytał Trevize.

— Oczywiście. Nie wie.

— Jak może tyle wiedzieć o historii Ziemi i nie wiedzieć, gdzie się ona znajduje?

— Spytałem go nawet konkretnie, Golan czy ta gwiazda, która znajduje się około parseka od Alfy może być słońcem, wokół którego krąży Ziemia. Nie wiedział, co to parsek, więc wyjaśniłem mu, że w astronomii to niewielka odległość. Odparł na to, że bez względu na to, czy wielka czy niewielka, nie wie, gdzie leży Ziemia i nie zna nikogo, kto by o tym wiedział, a poza tym, jego zdaniem, nie powinno się jej szukać. Powiedział, że powinno się ją zostawić w spokoju, niech sobie krąży bez końca w przestrzeni.

— Zgadzasz się z nim? — spytał Trevize.

Pelorat potrząsnął ze smutkiem głową.

— Niezupełnie. Ale powiedział, że jeśli radioaktywność dalej wzrastała w takim tempie, to krótko po ewakuacji Ziemia musiała w ogóle przestać się nadawać do zamieszkania i teraz musi płonąć tak intensywnie, że nikt się do niej nawet nie może zbliżyć.

— Bzdura — rzekł stanowczo Trevize. — Planeta nie może się stać radioaktywna, a nawet gdyby się stała, to poziom radioaktywności nie może ustawicznie rosnąć. Radioaktywność może tylko zmniejszać się.

— Ale Monolee jest o tym święcie przekonany. Wszyscy ludzie na różnych światach, z którymi o tym rozmawialiśmy, zgadzają się w tym punkcie, że Ziemia jest radioaktywna. Na pewno nie ma sensu tam lecieć.

80

Trevize wziął głęboki oddech, a potem powiedział, starannie panując nad głosem:

— Bzdura, Janov. To nieprawda.

— Nie możesz, stary, wierzyć, że coś jest takie, a nie inne tylko dlatego, że chcesz, żeby było takie, a nie inne — odparł Pelorat.

— To, co chcę, nie ma tu nic do rzeczy. Na każdym świecie stwierdzaliśmy, że zostały usunięte wszystkie wzmianki na temat Ziemi. Dlaczego miałby je ktoś usuwać, gdyby nie było czego ukrywać, gdyby Ziemia była martwym, skażonym radioaktywnością światem, do którego nie można się nawet zbliżyć?

— Nie wiem, Golan.

— Owszem, wiesz. Kiedy zbliżaliśmy się do Melpomenii, sam powiedziałeś, że być może radioaktywność jest tylko jedną stroną monety. Powiedzmy, że niszczysz wszelkie zapiski, aby usunąć konkretne informacje i wymyślasz opowieść o radioaktywności, aby stworzyć informacje mylące. I jedno, i drugie może skutecznie zniechęcić każdego do podejmowania jakichkolwiek prób znalezienia Ziemi, a nam nie wolno dać się zniechęcić.

— Uważasz, zdaje się, że ta sąsiednia gwiazda może być słońcem Ziemi — powiedziała Bliss. Po co zatem roztrząsać problem radioaktywności? Jakie to ma znaczenie? Czy nie lepiej po prostu tam polecieć i sprawdzić, czy to faktycznie Ziemia, a jeśli tak, to przekonać się na miejscu, czy jest, czy nie jest radioaktywna?

— Nie lepiej, dlatego, że ci na Ziemi muszą dysponować jakąś niezwykłą siłą i wolałbym dowiedzieć się czegoś o nich i o ich świecie, zanim się tam zbliżę. Na razie, ponieważ w dalszym ciągu nie wiem nic o Ziemi, taki krok byłby niebezpieczny. Myślę, że powinienem zostawić was na Alfie i sam polecieć na Ziemię. Wystarczy, że zaryzykuję swoje życie.

— Nie, Golan — rzekł stanowczo Pelorat. Bliss i dziecko mogą tutaj zostać i poczekać, ale ja muszę lecieć z tobą. Zacząłem szukać Ziemi, kiedy ciebie nie było jeszcze na świecie i teraz, kiedy cel jest tak bliski, nie mogę — bez względu na to, jakie by mi groziło niebezpieczeństwo — wycofać się z tego.

— Bliss i dziecko nie będą tu czekać — powiedziała Bliss. — Jestem Gają, a Gaja potrafi obronić nas wszystkich nawet przed Ziemią.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — rzekł ponuro Trevize — ale Gaja jakoś nie potrafiła zapobiec usunięciu ze swej pamięci dawnych wspomnień o Ziemi.

— To stało się we wczesnym okresie istnienia Gai, kiedy nie była

ona jeszcze dobrze zorganizowana. Teraz sprawy wyglądają inaczej.

— Mam nadzieję, że jest tak, jak mówisz… A może jesteś taka pewna, bo udało ci się dzisiaj uzyskać jakieś informacje o Ziemi? Prosiłem cię, żebyś porozmawiała z jakimiś starszymi kobietami.

— I porozmawiałam.

— I czego się dowiedziałaś?

— O Ziemi — niczego. W tym względzie w ich umysłach jest zupełna pustka.

— Ach tak.

— Ale dowiedziałam się, że mają bardzo rozwiniętą biotechnologię.

— Czyżby?

— Mimo tego, że kiedy zaczynali, na tej małej wysepce było niewiele gatunków, udało im się wyhodować i wypróbować niezliczone gatunki roślin i zwierząt i stworzyć tu trwałą równowagę ekologiczną. Wyhodowali nowe odmiany organizmów wodnych, które żyły w oceanie, kiedy przybyli tu parę tysięcy lat temu, o większych wartościach odżywczych i lepszym smaku. To właśnie dzięki ich biotechnologii ten świat stał się istnym rogiem obfitości. Mają też pewne plany wobec samych siebie.

— Jakiego rodzaju?

— Doskonale wiedzą, że w obecnych warunkach, żyjąc na tym niewielkim, jedynym na tym świecie skrawku lądu, nie mogą zwiększyć swego obszaru posiadania, więc myślą o przekształceniu się w organizmy ziemnowodne.

— W co?

— W organizmy ziemnowodne. Chcą wykształcić u siebie skrzela. Oprócz płuc. Chcą móc spędzać dłuższe okresy pod wodą, znaleźć płytsze miejsca i wybudować tam osiedla. Moja informatorka opowiadała o tym z wielkim zapałem i przejęciem, ale przyznała, że choć zajmują się tym problemem już od kilkuset lat, nie udało im się na razie dużo osiągnąć.

— Są więc dwie dziedziny — rzekł Trevize — w których mogą być lepsi od nas — regulacja pogody i biotechnologia. Ciekaw jestem, jakimi też dysponują technologiami.

— Musielibyśmy znaleźć specjalistów — powiedziała Bliss — a ci być może nie chcieliby o tym rozmawiać.

— Nie jest to nasze najważniejsze zadanie tutaj — rzekł Trevize — ale na pewno Fundacja mogłaby się czegoś nauczyć na tym miniaturowym świecie.

— Dosyć dobrze radzimy sobie na Terminusie z regulacją pogody — zauważył Pelorat.

— Regulacja pogody działa dość dobrze na wielu światach — odparł Trevize — ale w każdym przypadku jest to regulacja w skali

całego świata. Natomiast Alfianie regulują pogodę na małym kawałku swego świata, a więc muszą dysponować technikami, jakich my nie znamy… Masz coś jeszcze, Bliss?

— Zaproszenie. Zdaje się, że ci ludzie bardzo lubią świętować i robią to, kiedy mają wolny czas i nie muszą zajmować się rolnictwem i łowieniem ryb. Dzisiaj, po kolacji, odbędzie się festiwal muzyczny. Mówiłam wam już o tym. Natomiast jutro, w dzień, będzie festiwal na plaży. Zdaje się, że wszyscy mieszkańcy wyspy, którzy będą mogli oderwać się od swoich prac polowych, wylegną na brzeg oceanu rozkoszować się słońcem i wodą, gdyż pojutrze ma padać. Rankiem, tuż przed deszczem, mają powrócić łodzie rybackie, a wieczorem odbędzie się zbiorowa degustacja tego, co złowili.

Pelorat jęknął:

— I teraz posiłki są wystarczająco obfite. Jak będzie wyglądała ta degustacja?

— Jeśli dobrze zrozumiałam, to ważna będzie nie obfitość, ale różnorodność potraw. W każdym razie wszyscy czworo jesteśmy zaproszeni na te wszystkie uroczystości, szczególnie na dzisiejszy festiwal muzyczny.

— Gra na antycznych instrumentach? — spytał Trevize.

— Tak.

— A nawiasem mówiąc — co to za instrumenty? Prymitywne komputery?

— Nie, nie. O to właśnie chodzi, że nie. To w ogóle nie jest muzyka elektroniczna, lecz mechaniczna. Opisywali mi ją. Skrobią struny, dmą w rury, uderzają w jakieś pudła.

— Mam nadzieję, że zmyślasz? — rzekł z przerażeniem Trevize.

— Nic podobnego. Zrozumiałam też, że twoja Hiroko będzie dęła w jedną z tych rur… zapomniałam jej nazwy… więc powinieneś postarać się to znieść.

— Jeśli o mnie chodzi — rzekł Pelorat — to bardzo chcę tam pójść. Bardzo mało wiem o prymitywnej muzyce, więc chciałbym jej posłuchać.

— Ona nie jest „moją Hiroko” — powiedział chłodno Trevize. — Ale jak myślisz, czy to są takie instrumenty, jakich używano kiedyś na Ziemi?

— Tak zrozumiałam — odparła Bliss. — W każdym razie ta Alfianka mówiła, że zostały wynalezione na długo przed przybyciem tu ich przodków.

— W takim razie — rzekł Trevize — może warto posłuchać tego skrobania, dmuchania i bębnienia. Może w ten sposób dowiemy się czegoś o Ziemi.

81

Dziwna rzecz, ale osobą, która najbardziej ucieszyła się perspektywą wzięcia udziału w wieczorze muzycznym była Fallom. Wykąpała się razem z Bliss w małej przybudówce, która służyła za toaletę. Była tam gorąca i zimna (a raczej ciepła i chłodna) woda bieżąca, umywalka i sedes. Pomieszczenie było bardzo schludne i czyste, a w promieniach popołudniowego słońca było tam jasno i przyjemnie.

Fallom, jak zwykle, zainteresowała się piersiami Bliss, która (teraz, kiedy Fallom rozumiała po galaktycznemu) zmuszona była wyjaśnić, że tak właśnie wyglądają ludzie na jej świecie, na co Fallom nieuchronnie spytała: — Dlaczego? — a Bliss, zdecydowawszy po namyśle, że nie ma na to pytanie sensownej odpowiedzi, zamknęła dyskusję krótkim: — Dlatego!

Kiedy skończyły kąpiel, Bliss pomogła Fallom włożyć bieliznę dostarczoną im przez Alfian i rozszyfrowała sposób, za pomocą którego można było na to włożyć spódnicę. Pomyślała, że od pasa w górę Fallom może pozostać, alfiańskim zwyczajem, naga. Sama jednak, włożywszy dolne części alfiańskiego przyodziewku (dość ciasne, jak na jej biodra), włożyła też swą bluzkę. Nie było powodu, by krępować się pokazać piersi, szczególnie jeśli — tak jak jej — były kształtne i nieduże, w społeczeństwie, w którym pokazywały je wszystkie kobiety, ale…

Kiedy zwolniły łazienkę, weszli tam obaj mężczyźni. Trevize mruknął tylko, zgodnie z odwiecznym męskim zwyczajem, coś na temat czasu, jaki kobietom zabiera przygotowanie się do wyjścia.

Bliss okręciła Fallom, aby sprawdzić jak na jej chłopięcych biodrach i pośladkach leży spódnica.

— To bardzo ładna spódnica, Fallom — powiedziała. — Podoba ci się?

Fallom spojrzała w lustro i odparła:

— Tak. Ale czy nie będzie mi zimno bez niczego? — dodała, przesuwając ręką po gołych piersiach.

— Nie sądzę, Fallom. Na tym świecie jest zupełnie ciepło.

— Ale ty masz coś na sobie.

— Tak. Tak się chodzi na moim świecie. Teraz posłuchaj, Fallom. Podczas kolacji i później będzie z nami wielu Alfian. Jak myślisz, zniesiesz to?

Fallom zrobiła przygnębioną minę, więc Bliss pospieszyła z pocieszeniem.

— Będę siedziała z twojej prawej strony i trzymała cię za rękę. Z drugiej strony będzie siedział Pel, a naprzeciw ciebie, po drugiej

stronie stołu, usiądzie Trevize. Nie pozwolimy nikomu odzywać się do ciebie, a ty sama też nie będziesz musiała do nikogo mówić.

— Spróbuję, Bliss — pisnęła wysokim głosem Fallom.

— A potem — powiedziała Bliss — Alfianie zagrają dla nas na swój specjalny sposób. Będziemy słuchać muzyki. Wiesz, co to muzyka? — Zanuciła jakąś melodię, starając się jak najlepiej naśladować organy elektroniczne.

Fallom rozpromieniła się.

— Chodzi ci o… — Ostatnie słowo wypowiedziała w swoim języku i zaczęła coś śpiewać.

Bliss otworzyła szeroko oczy. Była to piękna, choć nieco dziwna i obfitująca w trele melodia.

— Tak. To muzyka — powiedziała. Fallom rzekła z ożywieniem:

— Jemby cały czas robił… — zawahała się chwilę, a potem zdecydowała się użyć galaktycznego słowa — muzykę. Na… Tu znowu powiedziała coś w swoim języku.

— Na felecie? — powtórzyła niepewnie Bliss.

Fallom roześmiała się:

— Nie na felecie, na…

Teraz, kiedy Fallom powiedziała oba słowa jedno po drugim, Bliss dostrzegła różnicę w wymowie, ale straciła nadzieję, że potrafi powtórzyć solariańską nazwę instrumentu.

— A jak to wygląda? — spytała.

Ograniczony zasób słów galaktycznych, którym dysponowała Fallom, nie wystarczał do dokładnego opisu instrumentu, a gesty, którymi pomagała sobie Fallom, też nie wytworzyły w umyśle Bliss żadnego wyraźnego kształtu.

— Jemby pokazał mi, jak grać na… — powiedziała z dumą Fallom. — Poruszałam palcami dokładnie tak jak on, ale powiedział, że niedługo nie będę musiała ich używać.

Oczy Fallom błyszczały, a myśl o przyjemnościach, które ją czekają, pomogła jej dotrwać do końca wystawnej kolacji i znieść zarówno tłum ludzi, jak ich śmiechy i cały hałas wokół. Tylko raz, kiedy ktoś niechcący wywrócił półmisek i tuż obok nich podniósł się wrzask, Fallom zrobiła przestraszoną minę, ale Bliss natychmiast mocno ją objęła.

— Zastanawiam się, czy nie dałoby się załatwić, żebyśmy jadali osobno — mruknęła Bliss do Pelorata. — W przeciwnym razie będziemy musieli stąd odlecieć. Mało, że muszę jeść te wszystkie białka zwierzęce, to do tego nie mogę tego robić w spokoju.

— To tylko podniecenie — odparł Pelorat, który zniósłby wszystko, co mieściło się w granicach rozsądku, a odpowiadało jego wyobrażeniu o pierwotnych zwyczajach i wierzeniach.

A potem kolacja się skończyła i obwieszczono, że wkrótce

rozpocznie się festiwal.

82

Sala, w której miał się odbyć festiwal, była prawie tak duża jak sala jadalna. Stały w niej w rzędach składane (dość niewygodne, jak się przekonał Trevize) krzesła dla około stu pięćdziesięciu osób. Posadzono ich, jako gości honorowych, w pierwszym rzędzie, a niektórzy z Alfian wyrażali się z uznaniem o ich strojach.

Obaj panowie byli od pasa w górę nadzy. Trevize napinał mięśnie brzucha, kiedy sobie o tym przypominał, i od czasu do czasu spoglądał z zadowoleniem na swą owłosioną klatkę piersiową. Pelorat, całkowicie pochłonięty obserwowaniem tego, co się dzieje wokół, nie zwracał uwagi na swój wygląd. Zerkano ukradkiem ze zdziwieniem na bluzkę Bliss, ale nikt nic nie powiedział na ten temat.

Trevize zauważył, że sala była wypełniona tylko w połowie a większość publiczności stanowiły kobiety, prawdopodobnie dlatego, że wielu mężczyzn było na morzu.

Pelorat trącił łokciem Trevizego i powiedział:

— Mają elektryczność.

Trevize spojrzał na rurki umieszczone pionowo na ścianach i na inne, na suficie. Lśniły łagodnym światłem.

— To fluorescencja — powiedział. — Dość prymitywna.

— Zgoda, ale spełnia swoją rolę. Mamy to w naszym domku i w przybudówce, ale myślałem, że to tylko dekoracja. Jeśli uda nam się odkryć sposób, w jaki się je uruchamia, to nie będziemy musieli siedzieć po ciemku.

— Mogli nam o tym powiedzieć — powiedziała z irytacją Bliss.

— Myśleli, że wiemy — rzekł Pelorat. — Że każdy to wie.

Zza zasłony za sceną wyszły cztery kobiety i usiadły przed widownią. Każda trzymała instrument wykonany z lakierowanego drewna. Wszystkie instrumenty miały podobne kształty, które jednak trudno było opisać. Różniły się przede wszystkim wielkością. Jeden był zupełnie mały, dwa nieco, a czwarty dużo większy. Każda z kobiet trzymała w drugiej dłoni długi pręt.

Publiczność przywitała je lekkimi gwizdami, na co wszystkie skłoniły się. Każda z nich miała piersi przepasane kawałkiem gazy, jak gdyby w obawie, by nie przeszkadzały w czasie gry.

Trevize zinterpretował gwizdy jako znak aprobaty albo zadowolenia i uznał, że będzie grzecznie, jeśli przyłączy do nich swój własny. Na to Fallom dodała swój, który jednak był raczej trelem niż gwizdem i dopiero Bliss uciszyła ją, gdyż ludzie zaczynali się już na nich oglądać.

Trzy z kobiet na scenie umieściły, bez żadnego przygotowania, swoje instrumenty jednym końcem pod brodą, natomiast czwarty

pozostał na ziemi, między nogami trzymającej go kobiety. Wszystkie zaczęły przeciągać prętami w poprzek ciągnących się prawie przez całą długość każdego z instrumentów strun, przebierając jednocześnie szybko palcami po ich zakończeniach.

A więc to było to „skrobanie", którego spodziewał się Trevize, ale w niczym nie przypominało żadnego skrobania. Przeciwnie, były to miłe, melodyjne dźwięki, które — choć każdy instrument brzmiał nieco inaczej niż pozostałe — układały się w harmonijną całość.

Muzyce tej brakowało nieskończonej złożoności charakteryzującej muzykę elektroniczną („prawdziwą muzykę" — jak mimowiednie pomyślał Trevize). Wydawała się też dość jednostajna, ale w miarę upływu czasu, kiedy jego słuch przyzwyczaił się do tego dziwnego systemu dźwięków, zaczął dostrzegać w niej pewne subtelne różnice. Wymagało to dużej koncentracji uwagi i było męczące, więc zatęsknił do matematycznej precyzji i czystości dźwięku głośnej, „prawdziwej" muzyki. Przyszło mu jednak do głowy, że gdyby przez dłuży czas słuchał muzyki wykonywanej na tych prostych, drewnianych instrumentach, to pewnie polubiłby ją.

Hiroko wystąpiła dopiero po trzech kwadransach. Od razu spostrzegła Trevizego, siedzącego w pierwszym rzędzie, i uśmiechnęła się do niego. Całą duszą przyłączył się do powitalnych gwizdów widowni. Wyglądała ślicznie w długiej, wykwintnej spódnicy i z wielkim kwiatem we włosach. W przeciwieństwie do występującej przed nią czwórki, piersi miała odkryte, zapewne dlatego, że nie było obawy, aby przeszkadzało jej to w grze.

Jej instrument okazał się długą na około dwie trzecie metra i grubą na jakieś dwa centymetry rurką z ciemnego drzewa. Podniosła go do ust i zaczęła dmuchać w otwór znajdujący się przy jednym z końców instrumentu, przebierając jednocześnie palcami po metalowych klawiszach umieszczonych na jego wierzchniej stronie. Popłynęły cienkie, słodkie, wibrujące tony.

Na pierwszy dźwięk Fallom chwyciła Bliss za ramię i powiedziała:

— Bliss, to jest… — a ostatnie słowo znowu zabrzmiało w uszach Bliss jak „felet".

Bliss potrząsnęła głową, na co Fallom powiedziała, tym razem ciszej:

— Na pewno.

Ludzie zaczęli spoglądać na Fallom. Bliss zakryła jej ręką usta, pochyliła się nad nią i z naciskiem mruknęła:

— Cicho!

Fallom nie próbowała już nic mówić i słuchała gry, ale jej palce poruszały się nerwowo, jak gdyby naciskała klawisze.

Jako ostatni wystąpił starszy mężczyzna ze żłobkowanym instrumentem o szerokich bokach, zawieszonym na pasach

przerzuconych przez ramiona. Trzymając każdy bok jedną ręką, rozciągał i ściskał ten instrument, przy czym jego prawa dłoń wciskała po kilka czarnych i białych listewek ułożonych poziomo na tym boku.

Dźwięk tego instrumentu wydał się Trevizemu prawie barbarzyński i szczególnie przykry, jak szczekanie psów na Aurorze, ale nie dlatego, żeby w czymś je przypominał, lecz dlatego, że budził podobne doznania. Bliss wyglądała tak, jakby za chwilę miała zasłonić rękami uszy, a Pelorat słuchał ze zmarszczoną twarzą. Tylko Fallom zdawała się zadowolona, gdyż lekko przytupywała nogą i Trevize stwierdził, ku swemu zdziwieniu, że w muzyce tej jest pewien rytm, któremu odpowiada przytupywanie Fallom.

Wreszcie występ dobiegł końca i zerwała się prawdziwa burza gwizdów, w której wyraźnie słychać też było przenikliwy głos Fallom.

Potem publiczność wstała z miejsc i potworzyły się małe grupki rozprawiających głośno i z ożywieniem, jak chyba zawsze przy okazji publicznych zgromadzeń, Alfian. Muzycy, którzy brali udział w koncercie, stali w pobliżu sceny i rozmawiali z osobami, które podchodziły do nich, aby pogratulować im występu.

Fallom wymknęła się Bliss i podbiegła do Hiroko.

— Hiroko! — krzyknęła, chwytając szybko powietrze. — Pokaż mi ten…

— Co, kochanie? — spytała Hiroko.

— To, na czym grałaś.

— Ach to! — roześmiała się Hiroko. — To flet, mała.

— Mogę to zobaczyć?

— Dobrze. — Hiroko otworzyła futerał i wyjęła instrument. Był rozłożony na trzy części, ale Hiroko szybko go złożyła i przyłożyła ustnik do warg Fallom. — Dmuchnij tu.

— Wiem, wiem — odparła szybko Fallom i wyciągnęła rękę.

Hiroko automatycznie cofnęła ręce i podniosła flet do góry.

— Dmuchnij, dziecko, ale nie dotykaj.

Fallom zrobiła zawiedzioną minę.

— Mogę popatrzyć? Nie będę dotykać.

— Oczywiście, kochanie.

Znowu wyciągnęła ku niej flet i Fallom utkwiła w nim pałający wzrok.

Nagle światła lekko pociemniały i rozległ się niepewny i drżący dźwięk fletu.

Hiroko ze zdziwienia mało nie upuściła fletu, a Fallom krzyknęła radośnie:

— Udało się! Udało się! Jemby mówił, że kiedyś mi się uda.

— Czy to ty zrobiłaś? — spytała Hiroko.

— Tak, ja. Ja.

— Jak to zrobiłaś, dziecko?

Bliss, czerwona z zakłopotania, powiedziała:

— Przepraszam, Hiroko. Zaraz ją stąd zabiorę.

— Nie — odparła Hiroko. — Chcę, żeby to zrobiła jeszcze raz.

Podeszło kilkoro Alfian, przyglądając się z zaciekawieniem. Fallom zmarszczyła brwi, jakby koncentrowała uwagę. Światła znowu przygasły, tym razem bardziej niż poprzednio, i znowu rozległ się głos fletu, ale już pewny i czysty. Potem klawisze zaczęły się same poruszać i popłynęły różne tony.

— Jest trochę inny niż… — powiedziała Fallom, trochę zdyszana, jak gdyby to nie strumień powietrza, lecz jej dech wydobywał dźwięki z fletu.

— Na pewno czerpie energię z prądu, który zasila te lampy — powiedział Pelorat do Trevizego. Fallom zamknęła oczy. Dźwięk był teraz łagodniejszy i wyraźnie kontrolowany. Flet grał sam. Klawiszy nie poruszały palce, lecz energia przetwarzana i przekazywana przez wciąż jeszcze nie w pełni rozwinięte guzy mózgu Fallom. Tony, które początkowo zdawały się niemal niezharmonizowane, ułożyły się w melodię i wszyscy zebrali się wokół Hiroko i Fallom. Hiroko trzymała delikatnie kciukami i palcami wskazującymi końce fletu, a Fallom sterowała z zamkniętymi oczami strumieniem powietrza i ruchem klawiszy.

— To jest utwór, który grałam — szepnęła Hiroko.

— Pamiętam go — powiedziała Fallom, skinąwszy lekko głową, starając się nie osłabiać koncentracji.

— Nie pomyliłaś ani jednej nuty — rzekła Hiroko, kiedy Fallom skończyła.

— Ale to nie było dobrze, Hiroko. Nie zagrałaś tego dobrze.

— Fallom! To niegrzecznie — skarciła ją Bliss. — Nie wolno…

— Proszę jej pozwolić to powiedzieć — powiedziała z naciskiem Hiroko. — Dlaczego nie zagrałam dobrze?

— Bo ja zagrałabym to inaczej.

— No to pokaż, jak ty byś to zrobiła.

Znowu zabrzmiał flet, ale tym razem melodia była bardziej skomplikowana, gdyż klawisze poruszały się szybciej i w bardziej zawiłych kombinacjach niż poprzednio. Muzyka była nie tylko bardziej złożona, ale też miała większy ładunek uczuciowy i bardziej poruszała. Hiroko zamarła, a w całej sali nie słychać było najlżejszego szmeru.

Cisza trwała, nawet kiedy Fallom już skończyła. Wreszcie Hiroko odetchnęła głęboko i powiedziała: — Grałaś już to kiedyś?

— Nie — odparła Fallom. — Przedtem mogłam używać tylko palców, a palcami nie potrafiłabym tak zagrać. — Potem dodała bez cienia zarozumiałości: — Nikt by tak nie potrafił.

— Możesz jeszcze coś zagrać?

— Mogę coś wymyślić.

— To znaczy… zaimprowizować?

Fallom zmarszczyła się słysząc nieznane słowo i spojrzała na Bliss. Bliss skinęła głową i Fallom powiedziała:

— Tak.

— A więc zagraj, proszę — rzekła Hiroko. Fallom pomyślała chwilę, a potem wolno zaczęła. Były to proste tony, a melodia, którą tworzyły, raczej niewyraźna. Światła to przygasały, to płonęły żywiej, w zależności od przypływu i odpływu energii. Nikt nie zwracał na to uwagi, gdyż wydawało się, że jest to raczej skutkiem niż przyczyną muzyki, jak gdyby jakiś elektryczny duch słuchał poleceń fal dźwiękowych.

Potem ta sama kombinacja tonów powtórzyła się, ale głośniej, potem jeszcze raz, ale w bardziej rozbudowanej postaci, potem na temat zaczęły nakładać się wariacje, a całość stała się tak przejmująca, że słuchacze ledwie mogli oddychać. Na koniec fala dźwięków runęła o wiele szybciej, niż się wzniosła, a słuchacze poczuli się, jakby nagle spadli na ziemię, choć wciąż jeszcze trwało w nich uczucie wznoszenia się.

Potem nastąpiło istne pandemonium i nawet Trevize, który przywykł do zupełnie innego rodzaju muzyki, pomyślał ze smutkiem: „Nigdy już tego nie usłyszę”.

Kiedy w końcu Alfianie, acz niechętnie, uciszyli się, Hiroko wyciągnęła flet w stronę Fallom.

— Weź go, Fallom, jest twój — powiedziała. Fallom skwapliwie wyciągnęła rękę, ale Bliss powstrzymała ją, mówiąc:

— Nie możemy tego przyjąć, Hiroko. To zbyt cenny instrument.

— Mam jeszcze jeden, Bliss. Nie tak dobry, jak ten, ale tak powinno być. Ten instrument należy do tego, kto potrafi na nim grać najlepiej. Nigdy jeszcze nie słyszałam takiej muzyki i byłoby niegodziwością z mojej strony, gdybym zatrzymała instrument, którego wszystkich możliwości nie potrafię wykorzystać. Gdybym to ja wiedziała, jak można na nim grać, wcale go nie dotykając!

Fallom wzięła flet z jej rąk i z wyrazem wielkiego zadowolenia przycisnęła go do piersi.

83

Obie izby ich domku były dobrze oświetlone lampami fluoroscencyjnymi. W łazience była trzecia lampa. Ich światło było mdłe i niewygodnie było przy nim czytać, ale przynajmniej w pomieszczeniach nie było ciemno.

Ociągali się jednak z wejściem do środka. Niebo było pełne gwiazd, co dla mieszkańca Terminusa, skąd prawie w ogóle nie było widać żadnych gwiazd, a Galaktyka wydawała się nikłą mgiełką, było zawsze fascynującym widokiem.

Hiroko, obawiając się, aby nie zbłądzili w ciemnościach, odprowadziła ich pod sam próg. Przez całą drogę trzymała Fallom za rękę, a i potem, zapaliwszy lampy w domku, została jeszcze z nimi na dworze, wciąż trzymając się dziecka.

Bliss spróbowała wyperswadować jej jeszcze raz, gdyż było widać, że Hiroko targają sprzeczne uczucia:

— Naprawdę, Hiroko, nie możemy wziąć tego fletu.

— Nie, on musi należeć do Fallom — odparła Hiroko, ale nadal była rozstrojona.

Trevize patrzył na niebo. Noc była naprawdę ciemna. Nie rozświetlało jej ani słabe światło dobiegające z ich domku, ani — tym bardziej — nikłe jak iskierki światła z dalej położonych budynków.

— Hiroko, widzisz tę gwiazdę, która świeci tak jasno? Jak się nazywa? — spytał.

Hiroko zerknęła na niebo i odparła bez specjalnego zainteresowania:

— To Towarzyszka.

— Skąd ta nazwa?

— Co osiem lat okrąża nasze słońce. O tej porze roku jest gwiazdą wieczorną. Nie można jej ujrzeć w dzień, kiedy jest nad horyzontem.

„Dobrze — pomyślał Trevize. — Nie jest kompletną ignorantką w dziedzinie astronomii". A głośno powiedział:

— Wiesz o tym, że Alfa ma jeszcze jedną towarzyszkę, ale o wiele bardziej oddaloną niż ta? Jest bardzo mała, słabo świeci i można ją zobaczyć tylko przez teleskop. (Sam jej nie widział, bo nie zadał sobie trudu, żeby ją znaleźć, ale wiadomość o niej znajdowała się w banku danych komputera).

— Uczono nas o tym w szkole — odparła obojętnie.

— A co powiesz o tej? Widzisz te sześć gwiazd w zygzakowatej linii?

— To Kasjopea — powiedziała Hiroko.

— Co? — rzekł zaskoczony Trevize. — Która?

— Wszystkie. Ten cały zygzak. To Kasjopea.

— Dlaczego się tak nazywa?

— Brak mi takiej wiedzy. Nie wiem nic o astronomii.

— A widzisz najniższą z tych gwiazd tworzących zygzak, tę, która jest jaśniejsza od pozostałych? Co to jest?

— Gwiazda. Nie znam jej nazwy.

— Ale oprócz tych dwóch gwiazd — towarzyszek, ona jest najbliżej Alfy. Oddalona jest tylko o parsek.

— Tak powiadasz? — rzekła Hiroko. — Nie wiem.

— A może to jest ta gwiazda, wokół której krąży Ziemia?

Hiroko spojrzała na nią z nikłym zainteresowaniem.

— Nie wiem. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś o tym mówił.

— Myślisz, że to nie może być ta gwiazda?

— Skądże mam wiedzieć? Nikt nie wie, gdzie może być Ziemia. Teraz mu… muszę już iść. Jutro przed festiwalem na plaży jest moja zmiana na polu. Zobaczymy się wszyscy na plaży, zaraz po obiedzie. Tak?

— Oczywiście, Hiroko.

Odwróciła się nagle i, prawie biegnąc, zniknęła w ciemnościach. Trevize popatrzył za nią, a potem wszedł za resztą do słabo oświetlonego domku.

— Jesteś w stanie stwierdzić, Bliss, czy ona kłamała, mówiąc o Ziemi? — spytał.

Bliss potrząsnęła głową.

— Nie sądzę, żeby kłamała. Znajduje się w wielkim napięciu. Zauważyłam to dopiero po koncercie. Istniało ono, zanim jeszcze zaczęłeś z nią rozmawiać o gwiazdach.

— Czyżby zatem z powodu tego fletu?

— Może. Nie potrafię powiedzieć. — Obróciła się do Fallom. — Słuchaj, Fallom, chcę, żebyś poszła do swojego pokoju. Kiedy będziesz gotowa do spania, idź do łazienki, zrób siusiu, umyj ręce, twarz i zęby.

— Chciałabym pograć na flecie, Bliss.

— Ale tylko trochę i bardzo cicho. Rozumiesz, Fallom? I będziesz musiała skończyć, kiedy ci powiem.

— Tak, Bliss.

Zostali w trójkę, Bliss na jedynym krześle, a Pelorat i Trevize na swoich łóżkach.

— Czy jest jakiś sens zostawać dłużej na tej planecie? — spytała Bliss.

Trevize wzruszył ramionami.

— Nie zdążyliśmy jeszcze poruszyć sprawy Ziemi w związku z tymi starożytnymi instrumentami, a być może moglibyśmy się w ten sposób czegoś dowiedzieć. Może też opłaca się poczekać na powrót rybaków. Oni mogą wiedzieć coś, czego nie wiedzą ci, co zostają w domach.

— Bardzo w to wątpię — powiedziała Bliss. Czy aby tym, co cię tu trzyma, nie są czarne oczy Hiroko?

— Nie rozumiem, Bliss — odparł z irytacją Trevize. — Co cię obchodzą moje sprawy? Dlaczego rościsz sobie prawo do wyrokowania o mojej moralności?

— Nie chodzi o twoją moralność. Chodzi o naszą ekspedycję. Chcesz znaleźć Ziemię, abyś mógł ostatecznie zdecydować, czy masz rację przedkładając Galaxię nad światy izoli. Ja też chcę, żebyś to wreszcie rozstrzygnął. Mówisz, że po to, żeby to zrobić, musisz lecieć na Ziemię, i wydajesz się przeświadczony, że Ziemia krąży wokół tej jasnej gwiazdy. A więc lećmy tam. Przyznaję, że byłoby dobrze uzyskać przedtem jakieś informacje o niej, ale jest dla mnie jasne, że tutaj ich nie zdobędziemy. Nie chcę tu dłużej siedzieć tylko dlatego, że podoba ci się Hiroko.

— Może polecimy — powiedział Trevize. — Daj mi pomyśleć. I zapewniam cię, że Hiroko nie będzie miała żadnego wpływu na moją decyzję.

— Czuję, że powinniśmy polecieć w kierunku Ziemi, choćby po to, żeby się przekonać, czy jest radioaktywna czy nie — rzekł Pelorat. — Nie widzę sensu zostawać tu dłużej.

— Czy aby na pewno nie popychają cię tam ciemne oczy Bliss? — spytał kpiącym tonem Trevize. Prawie zaraz dodał: — Nie, cofam to, Janov. To dziecinne. Niemniej jednak, zupełnie niezależnie od Hiroko, ten świat jest uroczy i muszę powiedzieć, że w innej sytuacji kusiłoby mnie, żeby tu zostać jak najdłużej… Nie uważasz, Bliss, że Alfa obala twoją teorię o izolach?

— W jaki sposób? — spytała Bliss.

— Utrzymujesz, że każdy, naprawdę odizolowany od reszty Galaktyki świat musi stać się niebezpieczny i wrogi.

— Nawet Comporellon — powiedziała Bliss spokojnie — który raczej stroni od uczestnictwa w głównym prądzie życia Galaktyki, mimo że w teorii jest światem stowarzyszonym z Federacją Fundacyjną.

— Ale nie Alfa. Ten świat jest całkowicie odizolowany, ale nie możesz się chyba uskarżać na brak życzliwości i gościnności z ich strony? Karmią nas, dają nam ubranie i schronienie, urządzają festiwale na naszą cześć i namawiają, żebyśmy zostali z nimi dłużej. Co im można zarzucić?

— Najwyraźniej nic. Hiroko oddaje ci nawet swoje ciało.

— Bliss, co się tak do tego przyczepiłaś? — rzekł ze złością Trevize. — Nie oddała mi swego ciała. Oddaliśmy się sobie nawzajem. Był to akt obopólny i dla obojga z nas przyjemny. Zresztą ty sama nie wahasz się oddać swego ciała, jeśli ci to odpowiada.

— Proszę cię, Bliss, daj spokój — powiedział Pelorat. — Golan ma

całkowitą rację. Nie możemy się wtrącać do jego prywatnych spraw.

— Dopóki nie dotyczą one nas — powiedziała z uporem Bliss.

— Nie dotyczą was — powiedział Trevize. Daję ci słowo, że odlecimy stąd. Postaramy się uzyskać jeszcze jakieś informacje, ale to nie potrwa długo.

— Nie ufam izolom — powiedziała Bliss — nawet jeśli niosą dary.

Trevize rozłożył ręce.

— A więc wyciągnij wniosek, a potem tak nagnij materiał dowodowy, żeby go uzasadniał. Zupełnie jak…

— Nie mów tego — powiedziała ostrzegawczo Bliss. — Nie jestem kobietą. Jestem Gają. To nie ja, lecz Gaja czuje niepokój.

— Nie ma powodu do… — W tym momencie ktoś lekko zaskrobał w drzwi. Trevize zamarł. Co to? — spytał cicho.

Bliss wzruszyła ramionami.

— Otwórz drzwi i zobacz. Przecież sam nas przekonywałeś, że to przyjazny świat i nic nam nie grozi.

Trevize jednak wahał się, co robić, dopóki zza drzwi nie odezwał się cichy głos:

— Otwórzcie. To ja!

Był to głos Hiroko. Trevize pchnął drzwi.

Hiroko szybko weszła do środka. Miała mokre policzki.

— Zamknij drzwi — wykrztusiła.

— Co się stało? — spytała Bliss.

Hiroko złapała kurczowo Trevizego za rękę.

— Nie mogłam siedzieć i czekać. Starałam się, ale nie mogłam tego znieść. Uciekaj stąd! Wszyscy uciekajcie! Weźcie stąd szybko to dziecko. Zabierajcie statek i uciekajcie z Alfy, dopóki jest ciemno.

— Ale dlaczego? — spytał Trevize.

— Ponieważ w przeciwnym razie umrzesz, a z tobą cała reszta.

84

Przez dłuższą chwilę patrzyli na nią w osłupieniu. W końcu Trevize spytał:

— Chcesz powiedzieć, że twoi ziomkowie zabiją nas?

— Już jesteś na drodze ku śmierci — powiedziała Hiroko. Po policzkach spływały jej łzy. — A z tobą twoi towarzysze… Dawno temu nasi uczeni stworzyli wirusa, który dla nas nie jest groźny, ale zabija przybyszów z innych światów. My jesteśmy uodpornieni na jego działanie. — Potrząsnęła z rozpaczą ramieniem Trevizego. — Zostałeś zarażony.

— Jak?

— Kiedy dawaliśmy sobie przyjemność. Jest tylko jeden sposób.

— Ale czuję się zupełnie dobrze.

— Na razie wirus jest uśpiony. Przebudzi się, kiedy wróci flota rybacka. Zgodnie z naszym prawem, muszą o tym postanowić wszyscy — nawet mężczyźni. Na pewno wszyscy postanowią, że musicie umrzeć i dlatego trzymamy was tu, aż do powrotu floty. Odlećcie teraz, póki jest ciemno i nikt nic nie podejrzewa.

— Dlaczego to robicie? — spytała ostro Bliss.

— Dla naszego bezpieczeństwa. Jest nas mało, a mamy dużo. Nie chcemy, żeby niepokoili nas przybysze z innych światów. Jeśli ktoś tu przybędzie, a potem opowie, jak żyjemy, przylecą inni, a zatem kiedy pojawia się u nas jakiś statek, musimy mieć pewność, że już nie odleci.

— Wobec tego dlaczego nas przed tym przestrzegasz? — spytał Trevize.

— Nie pytaj o powód… Nie, powiem wam, skoro znowu to słyszę. Słuchajcie…

Z sąsiedniej izby dobiegał miły dźwięk fletu.

— Nie mogę znieść myśli, że ta muzyka zginie, bo dziecko też będzie musiało umrzeć.

— Czy to właśnie dlatego dałaś Fallom swój flet? — spytał srogim głosem Trevize. — Dlatego, że wiedziałaś, iż po śmierci dziecka wróci do ciebie?

Hiroko zrobiła przerażoną minę.

— Nie, nie przyszło mi to do głowy. A kiedy, po pewnym czasie, uprzytomniłam to sobie, wiedziałam, że nie mogę do tego dopuścić. Uciekajcie, zabierzcie dziecko, a z nim flet, żebym go już nigdy nie widziała. W przestrzeni będziecie bezpieczni, a uśpiony wirus, który teraz znajduje się w tym ciele, po pewnym czasie zginie. W zamian proszę, byście nigdy nie opowiadali o tym świecie, by nikt inny nie dowiedział się o nim.

— Nie będziemy o nim opowiadać — rzekł Trevize.

Hiroko spojrzała na niego. Powiedziała cicho:

— Czy mogę cię jeszcze raz pocałować, zanim odlecicie?

— Nie — odparł Trevize. — Już raz zostałem zarażony i wystarczy. — A potem dodał już mniej szorstko: — Nie płacz. Ludzie zaczną cię pytać, dlaczego płaczesz, a ty nie będziesz im mogła powiedzieć… Mając na względzie twoje obecne starania, aby nas uratować, wybaczam ci to, co mi zrobiłaś.

Hiroko wyprostowała się, otarła starannie wierzchem dłoni policzki, zaczerpnęła głęboko powietrza, powiedziała: — Dziękuję ci za to — i szybko wyszła.

— Zostawimy światło zapalone i odczekamy jeszcze trochę, a potem uciekamy — powiedział Trevize. — Bliss, powiedz Fallom, żeby przestała grać. Pamiętaj oczywiście o tym, żeby zabrać ten flet… A potem szybko na statek, jeśli uda nam się odnaleźć drogę w tych ciemnościach.

— Ja ją odnajdę — powiedziała Bliss. — Na pokładzie zostało moje ubranie, a ono też — choć tylko w niewielkim stopniu — jest częścią Gai. Gaja zawsze bez trudu odnajdzie Gaję. — Zniknęła w drugiej izbie, aby przygotować Fallom do wyjścia.

— Nie myślisz, że mogli uszkodzić statek, aby zatrzymać nas na planecie? — spytał Pelorat.

— Brak im odpowiedniej techniki — odparł ponuro Trevize.

Kiedy wyszła Bliss, prowadząc za rękę Fallom, Trevize zgasił światło.

Potem siedzieli cicho w ciemnościach. Kiedy Trevizę otworzył wreszcie ostrożnie drzwi, wydawało im się, że przesiedzieli tak pół nocy, choć minęło pewnie nie więcej niż pół godziny. Niebo wydawało się trochę zachmurzone, ale było widać gwiazdy. Wysoko na niebie świeciła Kasjopea, z gwiazdą, która być może była słońcem Ziemi, na dolnym końcu, Było bezwietrznie i pusto, żadnych odgłosów.

Trevize powoli wysunął się na dwór, skinąwszy na pozostałych, aby szli za nim. Jego dłoń niemal machinalnie znalazła się przy kolbie bicza neuronowego. Był pewien, że nie będzie musiał z niego skorzystać, ale…

Bliss przesunęła się na czoło. Wzięła za rękę Pelorata, a on podał rękę Trevizemu. Drugą ręką Bliss trzymała Fallom, która z kolei w drugiej dłoni trzymała flet. Badając ostrożnie, w niemal zupełnej ciemności, grunt stopą, Bliss poprowadziła ich — w kierunku, z którego docierała do niej bardzo słaba „gajańskość” jej ubrania.

19. Radioaktywna?

85

„Odległa Gwiazda” wystartowała cicho, wznosząc się wolno przez atmosferę nad pogrążoną w mroku wyspą. Nieliczne punkciki świetlne pod nimi przygasły i znikły, za to w miarę nabierania wysokości wchodzili w coraz rzadsze warstwy atmosfery, które umożliwiały szybszy lot, coraz jaśniej świeciły gwiazdy i przybywało ich coraz więcej.

W końcu, kiedy spojrzeli w dół, z Alfy został już tylko oświetlony sierp, a i ten był częściowo zakryty chmurami.

— Przypuszczam, że technika kosmiczna nie jest u nich za bardzo rozwinięta — powiedział Pelorat. — Nie mogą nas gonić.

— Nie powiem, żeby mnie to specjalnie cieszyło — rzekł Trevize z przygnębieniem. — Jestem zarażony.

— Ale uśpionym wirusem — powiedziała Bliss.

— Jednak można go obudzić. Mają jakąś metodę. Co to za metoda?

Bliss wzruszyła ramionami.

— Hiroko mówiła, że ten wirus, jeśli pozostanie uśpiony w nie przystosowanym do niego organizmie, takim jak twój, w końcu zginie.

— Tak? — rzekł ze złością Trevize. — A skąd ona o tym wie? Zresztą skąd mogę wiedzieć, czy nie skłamała, żeby uspokoić własne sumienie? A poza tym czy ten proces uśpienia, na czymkolwiek polega, nie może zostać wyzwolony działaniem jakichś czynników naturalnych? Jakimś związkiem chemicznym, promieniowaniem jakiegoś typu, czy ja wiem czym? Mogę nagle zachorować, a wówczas wy też zginiecie. A jeśli zdarzy się to po naszym przylocie na jakiś gęsto zaludniony świat, to może wybuchnąć potworna pandemia, a uciekinierzy z zarażonego świata mogą zawlec chorobę na inne światy. Spojrzał na Bliss.

— Możesz na to coś poradzić? — spytał. Bliss potrząsnęła wolno głową.

— To nie takie proste. Na Gaję składają się też pasożyty — drobnoustroje, robaki, ale one spełniają dobroczynną rolę, współtworząc z innymi częściami Gai równowagę ekologiczną. Mają swój udział w świadomości Gai, żyją, ale nie rozmnażają się nadmiernie. Żyją nie czyniąc nikomu zauważalnych szkód. Kłopot w tym, że wirus, którym zostałeś zarażony, nie jest częścią Gai.

— Powiedziałaś „nie takie proste” — rzekł Trevize, marszcząc brwi. — Czy w sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, możesz się tego podjąć, nawet jeśli może to być trudne zadanie? Czy potrafisz znaleźć we mnie tego wirusa i zniszczyć go? Czy gdyby ci się to udało, możesz przynajmniej wzmocnić mój mechanizm obronny?

— Zdajesz sobie sprawę, o co prosisz? Nie znam mikroskopijnej flory twego ciała. Może mi być trudno odróżnić wirusa znajdującego się w twoich komórkach od twoich normalnych genów. Jeszcze trudniej byłoby odróżnić wirusy, do których przywykł twój organizm, od tych, którymi zaraziła cię Hiroko. Spróbuję, ale to potrwa i może się nie udać.

— Niech potrwa — powiedział Trevize. — Spróbuj.

— Oczywiście — odparła Bliss.

— Jeśli Hiroko mówiła prawdę — rzekł Pelorat — to może udałoby ci się znaleźć wirusy, których żywotność już się zmniejsza, i przyspieszyć ten proces.

— Mogłabym to zrobić — powiedziała Bliss. To dobry pomysł.

— Starczy ci sił? — spytał Trevize. — Wiesz, zabijając te wirusy, będziesz musiała zniszczyć drogocenne życie.

— Szydzisz sobie ze mnie — powiedziała zimno Bliss — ale bez względu na to, co myślisz, wskazujesz na prawdziwą trudność. Mimo to nie zawaham się postawić twojego życia ponad życie wirusa. Nie obawiaj się, jeśli będę miała możliwość, to zabiję je. W końcu nawet gdybym zawahała się — skrzywiła usta, jak gdyby starając się ukryć uśmiech — to życie Pelorata i Fallom też jest w niebezpieczeństwie, a może bardziej dowierzasz moim uczuciom do nich niż do ciebie. No i może pamiętasz, że moje życie też jest w niebezpieczeństwie.

— Nie wierzę, że dbasz o swoje życie — mruknął Trevize. — Jesteś gotowa poświęcić je dla jakichś wyższych celów. Ale wierzę, że troszczysz się o Pelorata. — Potem spytał: — Nie słyszę fletu. Czy z Fallom coś nie w porządku?

— Nie — odparła Bliss. — Śpi. Zupełnie naturalnym snem, bez mojego wpływu. Proponuję, żebyśmy po skoku w stronę tej gwiazdy, która naszym zdaniem jest słońcem Ziemi, zrobili to samo. Bardzo potrzeba mi snu i myślę, że tobie też.

— Owszem, jeśli uda mi się zasnąć… Wiesz, Bliss, miałaś jednak rację.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie izoli. Nowa Ziemia nie jest rajem, choć mogłoby się tak pozornie wydawać. Ta ich gościnność, ten ich przyjazny stosunek do nas już przy pierwszym spotkaniu, miały uśpić naszą czujność, żeby można było łatwiej zarazić jedno z nas. A ta cała gościnność potem, te wszystkie festiwale, miały nas zatrzymać do czasu, kiedy powróci flota rybacka i zostaną rozbudzone wirusy. I gdyby nie Fallom i jej muzyka, wszystko ułożyłoby się zgodnie z ich planem. Być może w tej sprawie też miałaś rację.

— W sprawie Fallom?

— Tak. Ja nie chciałem jej zabrać i nigdy nie pogodziłem się z jej obecnością na statku. To twoja zasługa, Bliss, że mamy ją tutaj, a jej,

że — nieświadomie — ocaliła nam życie. A jednak…

— A jednak co?

— Na przekór temu, dalej niepokoi mnie jej obecność. Nie wiem dlaczego.

— Jeśli poprawi ci to samopoczucie, to powiem ci, że nie wiem, czy możemy całą zasługę za uratowanie nas przypisywać Fallom. Hiroko usprawiedliwiła to, co reszta Alfian na pewno potraktowałaby jako akt zdrady, uwielbieniem dla muzyki Fallom. Może nawet sama w to uwierzyła, ale w jej umyśle było coś jeszcze, coś, czego obecność wykryłam, ale czego nie potrafiłam zidentyfikować, coś, do czego być może wstydziła się przyznać sama przed sobą. Zdaje mi się, że czuła coś do ciebie i że, bez względu na Fallom i jej muzykę, nie pozwoliłaby ci umrzeć.

— Naprawdę tak myślisz? — spytał Trevize, uśmiechając się lekko po raz pierwszy od chwili, kiedy opuścili Alfę.

— Tak. Musisz mieć jakąś specjalną umiejętność obchodzenia się z kobietami. Skłoniłeś minister Lizalor, żeby pozwoliła nam zachować statek i odlecieć z Comporellona i wywarłeś takie wrażenie na Hiroko, że ocaliła nam życie. Trzeba oddać każdemu, co mu się należy.

Trevize uśmiechnął się szerzej.

— No, skoro tak mówisz… Zatem na Ziemię! Wszedł do sterowni niemal radosnym krokiem.

Pelorat zatrzymał się i powiedział:

— W końcu ukoiłaś go, prawda, Bliss?

— Nie, Pel, nawet nie tknęłam jego mózgu.

— Na pewno tknęłaś, skoro tak bardzo połechtałaś jego męską próżność.

— Tylko pośrednio — uśmiechnęła się Bliss.

— I tak dziękuję ci, Bliss.

Po skoku znajdowali się jeszcze o jedną dziesiątą parseka od gwiazdy, która mogła być słońcem Ziemi. Była teraz najjaśniejszym obiektem na niebie, ale nadal nie różniła się od innych gwiazd.

Aby móc swobodnie patrzeć, Trevize polecił komputerowi założyć filtr i przyglądał się jej z posępną miną.

— Jest to bez wątpienia bliźniaczka Alfy, gwiazdy, wokół której krąży Nowa Ziemia. Ale Alfa jest na mapie komputera, a tej gwiazdy nie ma. Nie znamy jej nazwy, nie mamy jej danych ani żadnych informacji na temat jej układu planetarnego, jeśli jakiś posiada.

— Czy nie tego właśnie należałoby oczekiwać, jeśli wokół tego słońca krąży Ziemia? — rzekł Pelorat. — Takie wytłumienie danych współgrałoby z faktem usunięcia wszelkich informacji dotyczących Ziemi.

— Owszem, ale może to równie dobrze znaczyć, że jest to świat Przestrzeńców, który przypadkiem nie znalazł się w tym spisie na Melpomenii. Nie mamy przecież niezbitej pewności, że ten spis jest kompletny. Jest też możliwe, że ta gwiazda nie ma planet i dlatego nie została uwzględniona na mapie, która została sporządzona przede wszystkim w celach militarnych i handlowych… Czy istnieje jakaś legenda, Janov, która mówi, że słońce Ziemi znajduje się w odległości około parseka od swojego bliźniaka?

Pelorat potrząsnął głową.

— Przykro mi, Golan ale nie przypominam sobie żadnej takiej legendy. Oczywiście nie znaczy to, że takiej legendy nie ma. Moja pamięć nie jest doskonała. Sprawdzę to.

— To nie jest takie ważne. Czy słońce Ziemi ma jakąś nazwę?

— Legendy podają kilka różnych nazw. Przypuszczam, że w każdym języku miało ono inną nazwę. — Stale zapominam, że na Ziemi było wiele języków.

— Musiało być. Tylko w ten sposób można wyjaśnić wiele legend.

— No więc co robimy? — rzekł z rozdrażnieniem Trevize. — Z tej odległości nie możemy nic powiedzieć o systemie planetarnym tej gwiazdy. Musimy się do niej bardziej zbliżyć. Chciałbym zachować ostrożność, ale czasami ostrożność może być nadmierna i niczym nie uzasadniona, a nie dostrzegam nic, co by świadczyło o ewentualnym niebezpieczeństwie. Przypuszczam, że to, co było na tyle potężne, aby usunąć z całej Galaktyki informacje o Ziemi, jest też na tyle potężne, aby — jeśli poważnie nie chce dopuścić do zlokalizowania swojej siedziby — zniszczyć nas nawet z takiej odległości, a jednak nic się nie stało. To nieracjonalnie czekać tu nie wiadomo ile czasu tylko dlatego, że istnieje możliwość, że coś się zdarzy, jeśli podlecimy bliżej,

prawda?

— Rozumiem z tego, że komputer nie wykrył nic, co można by uważać za niebezpieczne — powiedziała Bliss.

— Kiedy mówię, że nie dostrzegam niczego, co mogłoby świadczyć o ewentualnie grożącym nam niebezpieczeństwie, to opieram się na komputerze. Sam, nieuzbrojonym okiem, na pewno nic bym nie zdołał zauważyć. Nawet nie pomyślałbym o tym.

— A zatem rozumiem, że po prostu szukasz poparcia dla decyzji, którą uważasz za ryzykowną. W porządku. Jestem z tobą. Nie przelecieliśmy chyba tyle drogi, żeby teraz wracać bez powodu, prawda?

— Prawda — odparł Trevize. — A co ty powiesz, Janov?

— Ja chcę lecieć dalej, choćby z czystej ciekawości. Nie mógłbym znieść myśli, że wracamy, nie wiedząc, czy znaleźliśmy Ziemię.

— A więc wszyscy się zgadzamy — stwierdził Trevize.

— Nic podobnego — rzekł Pelorat. — Jest jeszcze Fallom.

Trevize spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Chcesz, żebyśmy to uzgadniali z dzieckiem? Jakie znaczenie miałoby jej zdanie, nawet gdyby się wypowiedziała w tej sprawie? Poza tym ona chce tylko tego, żeby znaleźć się z powrotem na swoim świecie.

— Możesz jej mieć to za złe? — spytała ciepło Bliss.

Jak tylko przypomniano mu o Fallom, Trevize zdał sobie sprawę, że z jej kabiny dobiega dźwięk fletu. Melodia przypominała żywy marsz.

— Posłuchajcie tylko — powiedział. — Gdzie ona mogła usłyszeć cokolwiek w rytmie marsza?

— Może Jemby grał jej marsze.

Trevize potrząsnął głową.

— Wątpię. Rytmy taneczne, kołysanki to tak… Słuchajcie, ona mnie naprawdę niepokoi. Za szybko się uczy.

— Ja jej w tym pomagam — powiedziała Bliss. — Pamiętaj o tym. Poza tym ona jest bardzo inteligentna, a pobyt z nami bardzo ją pobudził. Miała mnóstwo nowych wrażeń. Zobaczyła przestrzeń, różne światy, wielu ludzi, a wszystko to oglądała po raz pierwszy.

Marsz stał się żywszy. Było w nim coś barbarzyńskiego.

Trevize westchnął i powiedział:

— No cóż, gra melodię, która zdaje się promieniować optymizmem i chęcią przygody. Biorę to za jej głos za tym, byśmy lecieli dalej. Będziemy się zbliżać ostrożnie i sprawdzimy układ planet tej gwiazdy.

— Jeśli są tam jakieś planety — zauważyła Bliss.

Trevize uśmiechnął się blado.

— Są. Idę o zakład. Wymień tylko sumę.

— Przegrałaś — powiedział Trevize z roztargnieniem. — Ile zdecydowałaś się postawić?

— Nic. Nie przyjęłam zakładu — odparła Bliss.

— Też dobrze. I tak nie przyjąłbym tych pieniędzy.

Znajdowali się około dziesięciu miliardów kilometrów od słońca. Wyglądało nadal jak gwiazda, ale świeciło z siłą równą jednej czterotysięcznej przeciętnego słońca oglądanego z powierzchni planety nadającej się do zamieszkania.

— Przez teleskop można stąd dojrzeć dwie planety — powiedział Trevize. — Sądząc z ich średnicy i widma odbijanego przez nie światła, są to olbrzymy gazowe.

Statek znajdował się dość daleko od płaszczyzny obrotu planet, więc Bliss i Trevize, spoglądając ponad ramieniem Trevizego na ekran, zobaczyli dwa niewielkie zielonkawe światełka w kształcie półksiężyca. Mniejsze z nich było w późniejszej fazie niż drugie, a więc trochę szersze.

— Janov! — powiedział Trevize. — W układzie planetarnym słońca Ziemi mają być podobno cztery olbrzymy gazowe, tak?

— Według legend, tak — odparł Pelorat.

— Ten z nich, który jest najbliżej słońca, jest największy, a drugi z kolei ma pierścienie. Zgadza się?

— Tak, Golan. Duże pierścienie. Musisz się jednak, stary, liczyć z tym, że w legendzie przekazywanej przez tyle lat z ust do ust wszystko może być przesadnie przedstawione. Jeśli nie znajdziemy planety z niezwykłym systemem pierścieni, to uważam, że nie powinniśmy tego traktować jako dowodu na to, że to nie jest słońce Ziemi.

— Jednakże te dwa, które widzimy, mogą być akurat tymi, które leżą najdalej od słońca, a te dwa bliższe mogą znajdować się po jego drugiej stronie, za daleko, żeby — na tle gwiazd — można je było łatwo zlokalizować. Musimy się zbliżyć jeszcze bardziej i obejrzeć to słońce z drugiej strony.

— Czy to wykonalne w pobliżu masy tego słońca?

— Jestem pewien, że przy odpowiednich środkach ostrożności komputer potrafi to zrobić. Jeśli jednak uzna, że ryzyko jest za duże, to nie posłucha nas i wtedy będziemy musieli się zbliżać ostrożniej, małymi ruchami.

Wydał komputerowi polecenie i pole gwiezdne na ekranie przesunęło się. Gwiazda w centrum wyraźnie pojaśniała, a potem zniknęła za krawędzią ekranu, gdyż komputer, wykonując polecenie, przeczesywał niebo w poszukiwaniu innego olbrzyma gazowego. Poszukiwania te dały rezultat.

Cała trójka zamarła i gapiła się na ekran. Trevize, ledwie mogąc pozbierać myśli z zaskoczenia, zdołał jakoś polecić komputerowi, aby dał większe powiększenie.

— Niewiarygodne — wykrztusiła Bliss.

88

W polu widzenia znajdował się olbrzym gazowy. Kąt, pod którym go oglądali, sprawiał, że większa jego część była oświetlona promieniami słońca. Otaczał go szeroki, lśniący pierścień materii, który był tak nachylony, że zwrócona do nich strona odbijała światło słoneczne. Pierścień był o wiele jaśniejszy niż sama planeta. Na jednej trzeciej jego szerokości, patrząc w kierunku planety, widać było cienką, dzielącą go linię.

Trevize polecił komputerowi dać maksymalne powiększenie i pierścień rozpadł się na wąskie, koncentryczne kręgi. Na ekranie widać było tylko część układu tych pierścieni, a sama planeta znalazła się poza polem widzenia. Następne polecenie i w rogu ekranu pojawił się obraz całej planety, wraz z pierścieniami, w mniejszym powiększeniu.

— Często się spotyka takie rzeczy? — spytała Bliss z nabożeństwem.

— Nie — odparł Trevize. — Prawie każdy olbrzym gazowy ma pierścienie utworzone z okruchów skał, ale zazwyczaj są one cienkie i ciemne. Widziałem jednego, który miał pierścienie co prawda cienkie, ale zupełnie jasne. Nigdy jednak nie widziałem ani nie słyszałem o takich, jakie ma ten.

— To jest bez wątpienia ten opierścieniony olbrzym, o którym mówią legendy — rzekł Pelorat. Jeśli rzeczywiście jest on unikalny…

— O ile mi albo komputerowi wiadomo, jest rzeczywiście unikalny — powiedział Trevize.

— To wobec tego musi być to system planetarny, do którego należy Ziemia. Na pewno nikt nie mógł wymyślić takiej planety. Żeby ją opisać, trzeba było ją zobaczyć.

— Teraz jestem gotów uwierzyć we wszystko, co mówią twoje legendy — powiedział Trevize. — To szósta planeta. Ziemia powinna być trzecia?

— Tak, Golan.

— Wobec tego powiedziałbym, że jesteśmy mniej niż o półtora miliarda kilometrów od Ziemi i nikt nas nie zatrzymał. Gaja zatrzymała nas, kiedy się do niej zbliżyliśmy.

— Kiedy zostaliście zatrzymani, znajdowaliście się bliżej Gai — powiedziała Bliss.

— Tak — odparł Trevize — ale moim zdaniem Ziemia jest potężniejsza od Gai, więc przyjmuję to za dobry znak. Jeśli nas nie zatrzymano, to może Ziemia nie ma nic przeciw temu, żebyśmy na niej wylądowali.

— Albo może nie ma Ziemi — powiedziała Bliss.

— Może tym razem przyjmiesz zakład? — spytał groźnie Trevize.

— Myślę — powiedział Pelorat — że Bliss chodzi o to, że — jak wszyscy uważają — Ziemia może być radioaktywna i nikt nas nie zatrzymał po prostu dlatego, że nie ma na niej życia.

— Nie! — zaprzeczył gwałtownie Trevize. Uwierzę we wszystko, co się mówi o Ziemi, ale nie w to. Zbliżymy się do Ziemi i sami się przekonamy. Czuję, że nikt nas nie zatrzyma.

Olbrzymy gazowe zostały daleko za nimi. Za olbrzymem leżącym najbliżej słońca znajdował się pas asteroid. (Ten olbrzym był największy i miał najwyższą masę, tak jak mówiły legendy). Za pasem asteroid były cztery planety.

Trevize przyjrzał się im uważnie.

— Największa jest trzecia. Ma odpowiednie wymiary i znajduje się w odpowiedniej odległości od słońca. Może nadawać się do zamieszkania.

Pelorat wyczuł w głosie Trevizego nutę, która mogła oznaczać niepewność.

— Ma atmosferę? — spytał.

— O tak — odparł Trevize. — Atmosferę mają druga, trzecia i czwarta. 1, jak w bajce dla dzieci, atmosfera drugiej jest zbyt gęsta, czwartej zbyt rzadka, natomiast trzeciej taka, jaka być powinna.

— A więc myślisz, że to Ziemia?

— Czy myślę, że to Ziemia? — prawie wybuchnął Trevize. — Nie muszę myśleć. To jest Ziemia. Ma tego olbrzymiego satelitę, o którym mi opowiadałeś.

— Ma? — na twarzy Pelorata pojawił się tak szeroki uśmiech, jakiego Trevize jeszcze nigdy u niego nie widział.

— Oczywiście! Spójrz sam. Mamy maksymalne powiększenie.

Pelorat ujrzał dwie półkule, z których jedna była wyraźnie większa i jaśniejsza od drugiej.

— Ta mniejsza to satelita? — spytał.

— Tak. Znajduje się dalej od planety, niż można się było spodziewać, ale bez wątpienia obraca się wokół niej. Chodzi tylko o wielkość tej małej planety, jest mniejsza niż którakolwiek z tych czterech krążących wokół słońca. Jednak, jak na satelitę, jest duża. Ma średnicę przynajmniej dwóch tysięcy kilometrów, co umieszcza ją w rzędzie dużych satelitów obracających się wokół olbrzymów gazowych.

— Nie większą? — Pelorat sprawiał wrażenie zawiedzionego. — A więc nie jest olbrzymim satelitą?

— Owszem, jest. Satelita o średnicy dwóch do trzech tysięcy kilometrów krążący wokół potężnego olbrzyma gazowego to zupełnie co innego niż taki sam satelita krążący wokół niewielkiej, skalistej, nadającej się do zamieszkania planety. Średnica tego satelity wynosi ponad jedną czwartą średnicy Ziemi. Słyszałeś kiedy o takim prawie równorzędnym układzie między satelitą a planetą nadającą się do zamieszkania?

— Bardzo mało wiem o tych sprawach — odparł nieśmiało

Pelorat.

— Wobec tego uwierz mi na słowo, Janov. To rzecz unikalna. Mamy przed sobą coś, co jest praktycznie podwójną planetą, a jest bardzo mało planet, wokół których krążą ciała większe od kamyków… Janov, jeśli weźmiesz pod uwagę fakt, że na szóstym miejscu w tym systemie planetarnym znajduje się ten olbrzym gazowy z potężnymi pierścieniami, a na trzecim ta planeta z potężnym satelitą — o których dowiedziałeś się z nieprawdopodobnych, wydawałoby się, legend — to świat, na który patrzymy, musi być Ziemią. Niemożliwe, żeby było to coś innego. Znaleźliśmy ją, Janov, znaleźliśmy ją!

90

Już drugi dzień zbliżali się powoli do Ziemi. Siedzieli właśnie przy obiedzie. Bliss ziewnęła i powiedziała:

— Zdaje mi się, że powolne zbliżanie się do planet i oddalanie się od nich zajęło nam więcej czasu niż wszystko inne. Dosłownie całe tygodnie.

— Jest tak po części dlatego — powiedział Trevize — że skok w bliskim sąsiedztwie gwiazdy jest zbyt niebezpieczny. A w tym przypadku zbliżamy się tak powoli również dlatego, że nie chcę, lecąc zbyt szybko, narazić się na jakieś inne niebezpieczeństwo.

— Powiedziałeś, zdaje mi się, że czujesz, iż nikt nas nie zatrzyma.

— Powiedziałem tak, ale nie chcę narażać się, opierając wszystko na przeczuciu. — Trevize popatrzył na łyżkę, zanim podniósł ją do ust, i powiedział: — Wiecie, brak mi tych ryb, które jadłem na Alfie. Zjedliśmy tam wszystkiego trzy posiłki.

— Szkoda — przyznał mu rację Pelorat.

— No cóż — powiedziała Bliss — odwiedziliśmy pięć światów i każdy z nich musieliśmy opuścić w takim pośpiechu, że nie zdążyliśmy nawet uzupełnić zapasów żywności. I to nawet, kiedy dany świat miał nam co zaoferować, jak choćby Comporellon czy Alfa i prawdopodobnie…

Nie skończyła zdania, bo Fallom szybko podniosła głowę i powiedziała:

— I Solaria? Nie mogliście tam dostać jedzenia? Jest tam mnóstwo jedzenia. Tyle co na Alfie. I to lepszego.

— Wiem o tym, Fallom — powiedziała Bliss. Po prostu nie mieliśmy na to czasu.

Fallom spojrzała na nią poważnie.

— Czy zobaczę jeszcze kiedyś Jemby'ego, Bliss?

Powiedz prawdę.

— Może tak, jeśli wrócimy na Solarię — powiedziała Bliss.

— A wrócimy kiedyś na Solarię?

Bliss zawahała się.

— Trudno powiedzieć.

— Teraz lecimy na Ziemię, prawda? Czy to nie jest ta planeta, z której — jak mówiłaś — wszyscy pochodzimy?

— Z której pochodzili nasi dziadowie — poprawiła ją Bliss.

— Potrafię powiedzieć „przodkowie" — rzekła Fallom.

— Tak, lecimy na Ziemię.

— Po co?

— Każdy chyba chciałby zobaczyć świat swoich przodków — powiedziała lekkim tonem Bliss.

— Myślę, że jest w tym coś więcej. Wszyscy wydajecie się tacy niespokojni.

— Bo jeszcze nigdy tam nie byliśmy. Nie wiemy, czego się spodziewać.

— Myślę, że jest w tym coś więcej.

Bliss uśmiechnęła się.

— Skończyłaś jeść, Fallom, więc może byś poszła do siebie i zagrała nam jakąś serenadę na flecie. Grasz coraz piękniej. No, idź już, idź. — Klepnęła ją lekko w pupę i Fallom wyszła, obróciwszy się tylko raz i spojrzawszy z zadumą na Trevizego.

Trevize popatrzył za nią z wyraźną niechęcią.

— Czy toto potrafi czytać w myślach? — spytał.

— Nie nazywaj jej tak, Trevize — powiedziała ostro Bliss.

— Czy ona potrafi czytać w myślach? Powinnaś potrafić to spostrzec.

— Nie, nie potrafi. Ani Gaja. Ani Druga Fundacja. Czytanie w myślach w sensie podsłuchiwania rozmowy czy dokładnego odczytywania myśli to coś, czego nie potrafi dokonać nikt, ani teraz, ani w dającej się przewidzieć przyszłości. Możemy wykrywać, interpretować i w pewnym sensie zmieniać emocje, ale to zupełnie co innego.

— Skąd wiesz, że ona nie potrafi robić tego, czego rzekomo nie można zrobić?

— Stąd, że — jak sam powiedziałeś — powinnam potrafić to spostrzec.

— Może tak umiejętnie postępuje z tobą, że nie dostrzegasz tego, że ona to potrafi.

Bliss westchnęła i zwróciła oczy do góry.

— Bądź rozsądny. Nawet gdyby miała niezwykłe umiejętności, to ze mną by sobie nie poradziła, gdyż nie jestem Bliss, lecz Gają. Stale o tym zapominasz. Wiesz, jaka jest siła inercji mentalnej całej planety? Myślisz, że jeden izol, choćby nie wiem jak utalentowany, mógłby pokonać tę inercję?

— Nie wszystko wiesz, Bliss, więc nie bądź zbyt pewna siebie — powiedział Trevize ponuro. — Toto… ona jest z nami od niedawna. Ja przez ten czas mógłbym co najwyżej poznać podstawy obcego języka, a ona mówi doskonale po galaktycznemu i ma duży zasób słów. Owszem, wiem, że jej pomagasz, ale chcę, żebyś przestała.

— Mówiłam ci, że jej pomagam, ale mówiłam też, że jest nadzwyczaj inteligentna. Na tyle inteligentna. by została częścią Gai. Gdyby udało się nam włączyć ją do Gai, jeśli jest jeszcze wystarczająco młoda na to, to moglibyśmy dowiedzieć się o Solarianach tyle, by w końcu wchłonąć cały ten świat. Mogłoby to być dla nas korzystne.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że nawet według moich kryteriów Solarianie to patologiczni izole?

— Zmieniliby się, gdyby stali się częścią Gai.

— Myślę, że się mylisz, Bliss. Myślę, że to dziecko jest niebezpieczne i że powinniśmy się go pozbyć.

— Jak? Wyrzucając ją przez luk? A może mamy ją zabić, posiekać i dodać do naszego jedzenia?

— Och, Bliss! — powiedział Pelorat.

— To, co mówisz, jest wstrętne i niczym sobie na to nie zasłużyłem — rzekł Trevize. Słuchał przez chwilę. Z kabiny Fallom dobiegał czysty, bez żadnych fałszów dźwięk fletu i rozmawiali półszeptem. — Kiedy to się skończy, musimy odstawić ją z powrotem na Solarię i upewnić się, że Solaria zostanie na zawsze odcięta od reszty Galaktyki. Osobiście uważam, że powinna zostać zniszczona. Nie ufam im i obawiam się ich.

Bliss zastanawiała się chwilę, a potem powiedziała:

— Słuchaj, wiem, że posiadasz talent podejmowania słusznych decyzji, ale wiem też, że od samego początku czułeś niechęć do Fallom. Podejrzewam, że mogło się to wziąć stąd, że doznałeś na Solarii upokorzenia i w rezultacie znienawidziłeś planetę i jej mieszkańców. Ponieważ nie wolno mi manipulować twoim mózgiem, nie mogę tego stwierdzić na pewno. Pamiętaj, jednak, proszę, że gdybyśmy nie zabrali Fallom ze sobą, to teraz bylibyśmy nie tu, ale na Alfie — martwi i pewnie już w piachu.

— Wiem, Bliss, ale mimo to…

— A jeśli chodzi o jej inteligencję, to należy ją podziwiać, a nie zazdrościć.

— Ja jej nie zazdroszczę, ja się jej obawiam.

— Jej inteligencji?

Trevize oblizał wargi w zamyśleniu.

— Niezupełnie.

— A więc czego?

— Nie wiem, Bliss. Gdybym wiedział, czego się obawiam, to może nie musiałbym się obawiać. To jest coś, czego nie rozumiem. — Ściszył głos, jak gdyby mówił sam do siebie. — Galaktyka zdaje się pełna rzeczy, których nie rozumiem. Dlaczego wybrałem Gaję? Dlaczego muszę znaleźć Ziemię? Czyżby psychohistorii brak było jakiegoś założenia? A jeśli tak, to jakiego? I przede wszystkim, dlaczego tak mnie niepokoi Fallom?

— Niestety nie potrafię odpowiedzieć na te pytania — powiedziała Bliss. Wstała i wyszła ze sterowni.

Pelorat spojrzał za nią, a potem powiedział:

— Na pewno nie wszystko maluje się tak czarno, Golan. Z każdą chwilą jesteśmy bliżej Ziemi, a gdy się już na niej znajdziemy,

wyjaśnią się wszystkie tajemnice. A na razie nikt nie stara się nas powstrzymać przed wylądowaniem na niej.

Trevize zerknął na Pelorata i powiedział cicho:

— Wolałbym coś innego.

— Tak? — spytał Pelorat. — Dlaczego?

— Wolałbym jakiś znak życia.

Pelorat otworzył szeroko oczy.

— Czyżbyś stwierdził, że Ziemia jest jednak radioaktywna?

— Niezupełnie. Ale jest ciepła. Trochę cieplejsza, niżbym się spodziewał.

— Czy to źle?

— Niekoniecznie. To, że jest ciepła, niekoniecznie znaczy, że nie nadaje się do zamieszkania. Ma grubą warstwę chmur, składających się z pary wodnej. Te chmury i duże ilości wody oceanicznej mogą, mimo dość wysokiej temperatury, którą obliczyliśmy na podstawie analizy emisji mikrofalowej, stwarzać tam odpowiednie warunki dla istnienia życia. Mimo to nie mam pewności. Chodzi o to, że…

— Że co, Golan?

— Że gdyby Ziemia była radioaktywna, to wyjaśniałoby to dlaczego jest cieplejsza, niż należało się spodziewać.

— Ale nie dowodzi to odwrotności tej implikacji, co? Jeśli jest cieplejsza niż należało się spodziewać, to nie znaczy, że musi być radioaktywna, co?

— Tak — Trevize zdobył się na uśmiech. — Nie ma sensu spekulować. Za dzień czy dwa będę mógł o tym powiedzieć więcej i będziemy już wiedzieli na pewno, jak jest.

91

Kiedy Bliss weszła do kabiny, Fallom siedziała na łóżku pogrążona w myślach. Spojrzała na Bliss, a potem znowu opuściła wzrok.

— Co się stało, Fallom? — spytała cicho Bliss.

— Bliss, dlaczego Trevize tak bardzo mnie nie lubi?

— Dlaczego uważasz, że cię nie lubi?

— Patrzy na mnie z irytacją… Czy to odpowiednie słowo?

— Może odpowiednie.

— Patrzy na mnie z irytacją, kiedy jestem koło niego. Jego twarz zawsze się trochę wykrzywia.

— Trevize przeżywa teraz ciężkie chwile, Fallom.

— Dlatego, że szuka Ziemi?

— Tak.

Fallom myślała przez chwilę, a potem powiedziała:

— Szczególnie irytuje go, kiedy chcę coś poruszyć myślą.

Bliss zacisnęła lekko usta.

— Słuchaj, Fallom, nie mówiłam ci, żebyś tego nie robiła, szczególnie wtedy, kiedy jest przy tym Trevize?

— To było wczoraj, tu, w tym pokoju. Stał w drzwiach, a ja go nie zauważyłam. Nie wiedziałam, że wszystko widzi. Zresztą to był jeden z książkofilmów Pela. Próbowałam tak zrobić, żeby stanął na boku. Nie robiłam nic złego.

— To go denerwuje, Fallom, i nie chcę, żebyś to robiła, bez względu na to, czy patrzy czy nie.

— Czy dlatego go to denerwuje, że on tego nie potrafi?

— Być może.

— A ty potrafisz?

Bliss potrząsnęła głową.

— Nie.

— Ale nie denerwuje cię, kiedy to robię. Pela też nie.

— Każdy człowiek jest inny.

— Wiem — powiedziała Fallom z nagłą stanowczością, która zaskoczyła Bliss.

Bliss zmarszczyła brwi.

— Co wiesz, Fallom? — spytała.

— Że jestem inna.

— Oczywiście, przecież przed chwilą to mówiłam. Każdy jest inny.

— Ale ja mam inne kształty. Mogę wprawiać rzeczy w ruch.

— To prawda.

— Muszę wprawiać rzeczy w ruch — powiedziała Fallom z nutą buntu w głosie. — Trevize nie powinien się za to na mnie gniewać i

nie powinien mnie przed tym powstrzymywać.

— A dlaczego musisz wprawiać rzeczy w ruch?

— Bo to jest praktyka. Ćwiczeń… Czy to właściwe słowo?

— Niezupełnie. Ćwiczenie.

— Tak. Jemby zawsze mówił, że muszę ćwiczyć swoje… swoje…

— Przetworniki?

— Tak. I wzmacniać je. Potem, kiedy dorosnę, będę mogła dostarczać energii wszystkim robotom. Nawet Jemby'emu.

— Fallom, a kto dostarczał energii wszystkim robotom, kiedy ty nie mogłaś?

— Bander. — Fallom powiedziała to rzeczowym tonem.

— Znałaś Bandera?

— Oczywiście. Widziałam go wiele razy. Miałam być po nim głową posiadłości. Posiadłość Bandera miała się stać posiadłością Fallom. Jemby tak mówił.

— Chcesz powiedzieć, że Bander przychodził do twojego…

Z wrażenia Fallom aż otworzyła usta.

— Bander nigdy by nie przyszedł do… — zaczęła zduszonym głosem, ale zabrakło jej tchu. Po chwili doszła do siebie i powiedziała: — Widziałam Bandera na ekranie.

— A jak on cię traktował? — spytała z wahaniem Bliss.

Fallom spojrzała na nią z lekkim zaciekawieniem.

— Bander pytał mnie, czy czego potrzebuję, czy jest mi dobrze… Ale zawsze był przy mnie Jemby, więc niczego nie potrzebowałam i zawsze było mi dobrze.

Pochyliła głowę i zapatrzyła się w podłogę. Potem zakryła dłońmi oczy i powiedziała:

— Ale Jemby przestał działać. Myślę, że dlatego, że Bander… też przestał działać.

— Dlaczego tak myślisz?

— Myślałam o tym. Bander zasilał wszystkie roboty, więc jeśli Jemby przestał działać, i inne roboty też, to musiał przestać działać Bander. Prawda?

Bliss milczała.

— Ale kiedy zawieziecie mnie z powrotem na Solarię, to uruchomię Jemby'ego i resztę robotów i znowu będę szczęśliwa.

Zaczęła łkać.

— Nie jesteś szczęśliwa z nami, Fallom? — spytała Bliss. — Ani trochę? Nigdy?

Fallom podniosła zapłakaną twarz. Głos jej się trząsł, kiedy pokręciła głową i powiedziała:

— Chcę do Jemby'ego.

W nagłym przypływie współczucia, Bliss zarzuciła jej ręce na szyję.

— Och, Fallom, jak bardzo bym chciała zawieźć cię z powrotem do Jemby'ego — powiedziała i uświadomiła sobie, że ona też płacze.

Znalazł je tak Pelorat. Zatrzymał się w pół kroku i rzekł:

— Co się stało?

Bliss oderwała się od Fallom i zaczęła niezgrabnie szukać czegoś, aby wytrzeć oczy. Potrząsnęła głową i Pelorat natychmiast spytał, z jeszcze większym niepokojem:

— Ale co się stało?

— Fallom, odpocznij trochę — powiedziała Bliss. — Pomyślę, co zrobić, żeby było ci lepiej. Pamiętaj — kocham cię tak samo jak Jemby.

Chwyciła Pelorata za łokieć i wypchnęła go do salonu, mówiąc:

— Nic się nie stało, Pel… Nic.

— Ale chodzi o Fallom, prawda? Nadal odczuwa brak Jemby'ego.

— Bardzo. I nic nie możemy na to poradzić. Mogę jej tylko powiedzieć, że ją kocham… i naprawdę ją kocham. Jak można nie pokochać tak inteligentnego i miłego dziecka? Niezwykle inteligentnego. Trevize uważa, że aż zanadto. Wiesz, widziała w swoim czasie Bandera, a raczej oglądała jego holograficzny obraz. Jednak jego wspomnienie wcale jej nie wzrusza. Mówi o tym zupełnie chłodno i rzeczowo i rozumiem dlaczego. Łączyło ich tylko to, że Bander był ówczesnym właścicielem posiadłości, a Fallom miała być następnym. Nic poza tym.

— Czy Fallom zdaje sobie sprawę z tego, że Bander był jej ojcem?

— Jej matką. Jeśli ustaliliśmy, że uważamy ją za dziewczynkę, to Bander musimy uważać za kobietę.

— Wszystko jedno, kochana. Czy Fallom zdaje sobie z tego sprawę?

— Nie wiem, czy ona zrozumiałaby, co to jest. Może tak, ale nie zdradziła się ani słowem. Jednakże, Pel, doszła do wniosku, że Bander jest martwy, gdyż oświeciło ją, że unieruchomienie Jemby'ego musiało być skutkiem braku dopływu energii, a skoro to Bander zapewniał ten dopływ… To mnie przeraża.

— Dlaczego, Bliss? — spytał po namyśle Pelorat. — W końcu to tylko logiczny wniosek.

— Inny logiczny wniosek można wyciągnąć z faktu jego śmierci. Na Solarii, wśród tych długowiecznych i żyjących w odosobnieniu Przestrzeńców, śmierć musi zdarzać się rzadko i przeważnie gdzieś daleko. Nikt z nich nie ma okazji często stykać się z naturalną śmiercią, a dzieci w wieku Fallom chyba nigdy. Jeśli Fallom będzie nadal myślała o śmierci Bander, to zacznie zastanawiać się dlaczego ona umarła i fakt, że zdarzyło się to akurat kiedy na planecie byliśmy my, obcy, na pewno doprowadzi ją do odkrycia zależności

przyczynowo-skutkowej między tymi zdarzeniami.

— Do tego, że my zabiliśmy jej matkę?

— To nie my zabiliśmy jej matkę, Pel. To ja ją zabiłam.

— Nie odgadnie tego.

— Ale ja sama będę musiała jej o tym powiedzieć. Już i tak nie podoba się jej Trevize, a jest jasne, że on jest kierownikiem tej wyprawy. Przyjmie za pewnik, że to on spowodował śmierć Bander. Czy mogę pozwolić, aby został przez nią niesłusznie obwiniony?

— Co to ma za znaczenie, Bliss? To dziecko nic nie czuje do oj… do matki. Darzy uczuciem tylko swojego robota, tego Jemby'ego.

— Ale śmierć jej matki oznaczała też śmierć jej robota. Niewiele brakowało, żebym się przyznała do odpowiedzialności za to. Kusiło mnie, żeby to zrobić.

— Dlaczego?

— Tak więc mogłam jej to wyjaśnić na swój sposób. Mogłam ją uspokoić, a potem uprzedzić odkrycie przez nią tego faktu w drodze rozumowania, które doprowadziłoby ją do wniosku, że to zabójstwo nie było niczym usprawiedliwione.

— Ale przecież było usprawiedliwione! To była samoobrona. Gdybyś tego nie zrobiła, to za moment byłoby po nas.

— To właśnie bym jej powiedziała, ale nie mogłam się zdobyć na wyjaśnienie tej sprawy. Bałam się, że mi nie uwierzy.

Pelorat pokręcił głową. Rzekł z westchnieniem:

— Nie sądzisz, że może byłoby lepiej, gdybyśmy jej nie zabrali ze sobą? Ta sytuacja tak cię przygnębia.

— Nie — powiedziała Bliss ze złością. — Nie mów takich rzeczy. Byłabym o wiele bardziej nieszczęśliwa, gdybym musiała teraz siedzieć tu i myśleć, że zostawiliśmy niewinne dziecko, które zostało bezlitośnie zabite z powodu tego, co my sami zrobiliśmy.

— To normalne na jej świecie.

— Słuchaj, Pel, nie przejmuj od Trevizego jego sposobu myślenia. Izole mogą przyjmować takie rzeczy spokojnie i nie myśleć o nich, jednak dla Gai normalne jest chronić, a nie niszczyć życie albo siedzieć z założonymi rękami, kiedy je ktoś niszczy. Wszyscy wiemy, że życie, we wszystkich swych odmianach, musi mieć koniec, aby mogło powstać lub przetrwać jakieś inne życie, ale nigdy nie może to być koniec niepotrzebny, bezcelowy. Trudno mi się pogodzić ze śmiercią Bander, a już myśli, że mogłaby zginąć też Fallom po prostu nie potrafię znieść.

— No cóż — powiedział Pelorat — przypuszczam, że masz rację… Ale tak czy inaczej nie przyszedłem tu z powodu Fallom. Chodzi o Trevizego.

— A co z nim?

— Bliss, martwię się o niego. Czeka, żeby wyjaśnić sprawę Ziemi i

nie jestem pewien, czy może znieść to napięcie.

— O niego się nie obawiam. Myślę, że ma silną i zrównoważoną psychikę.

— Wytrzymałość każdego ma granice. Słuchaj, okazuje się, że Ziemia jest cieplejsza, niż się spodziewał. Tak mi powiedział. Podejrzewam, że myśli, iż może być za ciepła, aby mogło tam istnieć życie, chociaż najwyraźniej stara się przekonać sam siebie, że tak nie jest.

— Może ma rację. Może nie jest za ciepła, żeby mogło na niej istnieć życie.

— Przyznaje też, że jest możliwe, iż to ciepło jest skutkiem radioaktywności, ale tak samo nie chce w to uwierzyć… Za dzień — dwa zbliżymy się na tyle, że będziemy się mogli o tym niezbicie przekonać. Co będzie, jeśli Ziemia faktycznie jest radioaktywna?

— Będzie musiał przyjąć ten fakt do wiadomości.

— Ale… Nie wiem, jak to powiedzieć, czy jak to ująć w terminach mentalistyki. Co będzie, jeśli w jego głowie…

Bliss czekała chwilę, a potem powiedziała z wymuszonym uśmiechem:

— Przepali się bezpiecznik?

— Tak. Jeśli przepali się bezpiecznik. Może powinnaś teraz coś zrobić, żeby go wzmocnić? Wziąć jego umysł pod kontrolę, żeby trzeźwo myślał, jeśli można tak powiedzieć.

— Nie ma mowy, Pel. Nie wierzę, żeby był taki słaby, a poza tym Gaja stanowczo obstaje przy swojej decyzji, żeby pod żadnym pozorem nie tykać jego mózgu.

— Ale o to właśnie chodzi! On ma ten niezwykły zmysł „słuszności”, czy jak tam to nazywacie. Szok spowodowany zawaleniem się jego całego planu, i to w momencie, w którym spodziewał się go szczęśliwie zrealizować, może nie uszkodzi jego mózgu, ale może zniszczyć ten zmysł „słuszności”. To zupełnie niezwykła właściwość. Czy nie może być także niezwykle nieodporna na wstrząsy?

Bliss przez chwilę nie mówiła nic, pogrążona w myślach. W końcu wzruszyła ramionami.

— No dobrze, postaram się mieć go na oku.

93

Przez następne trzydzieści sześć godzin Trevize ledwie zdawał się zauważać, że Bliss i, w mniejszym stopniu, Pelorat nie odstępowali go na krok. Jednak na tak małym statku nie było w tym nic niezwykłego, a poza tym miał inne sprawy na głowie.

Teraz, kiedy siedział przy komputerze, zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że stoją oboje przy drzwiach. Spojrzał na nich pustym wzrokiem:

— No co? — powiedział bardzo spokojnym głosem.

— Jak się czujesz, Golan? — spytał dość niezręcznie Pelorat.

— Spytaj Bliss — odparł Trevize. — Wpatruje się we mnie od wielu godzin. Pewnie widzi mój mózg na wylot… Prawda, Bliss?

— Nie — odparła spokojnie — ale jeśli uważasz, że potrzebujesz mojej pomocy, to mogę spróbować… Chcesz, żebym ci pomogła?

— Nie, dlaczego? Zostawcie mnie samego. Oboje.

— Powiedz nam, proszę, o co chodzi — rzekł Pelorat.

— Zgadnij!

— Czy Ziemia jest…

— Tak. To, co wszyscy nam uparcie mówili, to szczera prawda. — Trevize wskazał na ekran, który pokazywał ciemną stronę Ziemi, przesłaniającej słońce. Na tle rozgwieżdżonego nieba przedstawiała się jako czarny krąg, którego obwód wyznaczała przerywana, pomarańczowa linia.

— Ten pomarańczowy kolor to radioaktywność? — spytał Pelorat.

— Nie. To światło słoneczne załamujące się w atmosferze. Gdyby nie było tak pochmurno, to widzielibyśmy jednolity pomarańczowy krąg. Radioaktywności nie możemy zobaczyć. Różne rodzaje promieniowania, nawet promienie gamma, są wchłaniane przez atmosferę. Jednakże wywołują one inne promieniowanie, wprawdzie dość słabe, ale wykrywalne za pomocą komputera. To promieniowanie jest też dla nas niewidoczne, ale komputer może zastąpić każdą jego cząstkę czy falę fotonem światła widzialnego i przedstawić Ziemię w sztucznych kolorach. Spójrzcie.

Czarny krąg rozjarzył się bladoniebieskim światłem.

— Jak silne jest to promieniowanie? — spytała cicho Bliss. — Jest tak silne, że nie może tam istnieć życie?

— W żadnej formie — odparł Trevize. — Ta planeta nie nadaje się do zamieszkania. Już od dawna nie ma tam nawet żadnych bakterii ani wirusów.

— Możemy ją zbadać? — spytał Pelorat. — To znaczy w skafandrach kosmicznych?

— Możemy tam spędzić parę godzin… dopóki nie osłabi nas

choroba popromienna.

— No to co zrobimy, Golan?

— Co zrobimy? — Trevize spojrzał na Pelorata tym samym, pustym wzrokiem. — Wiesz, co chciałbym zrobić? Chciałbym zawieźć ciebie i Bliss — i to dziecko — z powrotem na Gaję i zostawić tam was na zawsze. Potem chciałbym wrócić do Terminusa, oddać statek i złożyć rezygnację z funkcji radnego, co powinno uszczęśliwić burmistrza Branno. A potem żyć spokojnie z emerytury i zostawić Galaktykę jej losowi. Nie dbać o Plan Seldona, Fundację, Drugą Fundację czy Gaję. Galaktyka może sama wybrać dalszą drogę. Przetrwa mnie, więc dlaczego miałbym się przejmować tym, co będzie później?

— Chyba nie mówisz tego poważnie, Golan rzekł z naciskiem Pelorat.

Trevize patrzył na niego, a potem zaczerpnął głęboko powietrza.

— Nie, nie mówię tego poważnie, ale, o rany, jak bardzo bym chciał zrobić dokładnie to, co powiedziałem.

— Nie mów już o tym. Powiedz, co zrobisz.

— Zostawię statek na orbicie wokół Ziemi, odpocznę, dojdę do siebie po tym wstrząsie i dopiero wtedy zastanowię się, co robić dalej. Tylko że…

— Co?

Trevize nie wytrzymał i wybuchnął:

— Co mogę teraz zrobić? Czy jest jeszcze czego szukać? Czy jest jeszcze coś do znalezienia?

20. Pobliski świat

Przez cztery następne posiłki Pelorat i Bliss spotykali Trevizego tylko przy stole. Cały pozostały czas spędzał albo w sterowni, albo w swej kabinie. Podczas posiłków nie odzywał się ani słowem. Miał zaciśnięte usta i mało jadł.

Jednak przy czwartym posiłku wydało się Peloratowi, że oblicze Trevizego nie jest już tak pochmurne. Pelorat chrząknął dwa razy, jak gdyby przygotowywał się, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

Po chwili Trevize spojrzał na niego i powiedział:

— No?

— Czy… czy przemyślałeś już to, Golan?

— Dlaczego pytasz?

— Wydajesz się w lepszym nastroju.

— Nie jestem w lepszym nastroju, ale myślałem o tym. I to usilnie.

— Możemy się dowiedzieć, do czego doszedłeś? — spytał Pelorat.

Trevize zerknął na Bliss. Patrzyła w talerz, nie odzywając się, jak gdyby była pewna, że w tej delikatnej sprawie Pelorat spisze się lepiej niż ona.

— Ciebie to też interesuje, Bliss? — spytał Trevize.

Na chwilę podniosła wzrok znad talerza.

— Tak. Oczywiście — powiedziała.

Fallom kopnęła nogę stołu i spytała z ożywieniem:

— Znaleźliśmy Ziemię?

Bliss ścisnęła ją za ramię, ale Trevize nie zwracał na nią uwagi.

— Musimy zacząć od podstawowego faktu powiedział. — Ze wszystkich światów zostały usunięte wszystkie informacje na temat Ziemi. Musi nas to nieuchronnie doprowadzić do wniosku, że na Ziemi jest coś ukryte. Ale z obserwacji wiemy, że Ziemia jest skażona śmiercionośnym promieniowaniem radioaktywnym, a więc automatycznie wszystko, co się tam znajduje, jest ukryte. Nikt nie może na niej wylądować, a z tej odległości, w jakiej się znajdujemy, w pobliżu skraju magnetosfery, nie można tam niczego znaleźć.

— Jesteś tego pewien? — spytała miękkim głosem Bliss.

— Spędziłem mnóstwo czasu przy komputerze, badając Ziemię na wszystkie znane mnie i komputerowi sposoby. Nic tam nie ma. Co więcej, czuję, że tak jest naprawdę. A zatem dlaczego zostały zniszczone dane dotyczące Ziemi? Na pewno to, co zostało tam ukryte, jest teraz ukryte lepiej niż można sobie wyobrazić. Nie trzeba nocy malować na ~zarno, żeby była ciemniejsza.

— Być może — powiedział Pelorat — na Ziemi faktycznie coś ukryto, ale w czasach, kiedy nie była ona jeszcze tak bardzo skażona.

Wtedy Ziemianie mogli się obawiać, że ktoś przyleci i znajdzie to coś. I to właśnie wtedy Ziemia postarała się o usunięcie dotyczących jej informacji. Stan, który mamy teraz w tym względzie, to pozostałość po tych niepewnych czasach.

— Nie sądzę — rzekł na to Trevize. — Usunięcie informacji z Biblioteki Galaktycznej na Trantorze odbyło się, jak pamiętam, niedawno. — Odwrócił się do Bliss: — Mam rację?

— Ja-my-Gaja — powiedziała spokojnie Bliss zdołaliśmy tyle wydobyć z mózgu znajdującego się w opałach człowieka z Drugiej Fundacji, Gendibala, kiedy on, ty i ja spotkaliśmy się z burmistrzem Branno.

— A więc cokolwiek zostało tam ukryte, musi być nadal w ukryciu i mimo że Ziemia jest skażona, musi — w mniemaniu tych, co to ukryli — istnieć nadal niebezpieczeństwo, że ktoś to odkryje — powiedział Trevize.

— Ale jak to możliwe? — spytał z niedowierzaniem Pelorat.

— Zastanów się — powiedział Trevize. — A jeśli to, co było na Ziemi, zostało stamtąd gdzieś przeniesione, kiedy promieniowanie zaczęło zagrażać życiu mieszkańców? Ale niewykluczone, że mimo iż nie ma już tego czegoś na Ziemi, to istnieje możliwość, że jeśli ktoś ją odnajdzie, będzie w stanie wydedukować, gdzie się to teraz znajduje. Gdyby tak było, to współrzędne Ziemi musiałyby być nadal trzymane w tajemnicy.

— Bo jeśli nie znajdziemy Ziemi — znowu odezwał się piskliwy głos Fallom — to Bliss mówi, że zawieziecie mnie z powrotem do Jemby'ego.

Trevize odwrócił się w jej stronę i zmierzył ją wściekłym wzrokiem. Bliss powiedziała cicho:

— Powiedziałam, że może cię tam zawieziemy, Fallom. Później o tym porozmawiamy. Teraz idź do siebie i poczytaj, pograj na flecie, albo zajmij się czymś innym. Idź… idź.

Fallom wstała z nadąsaną miną i wyszła.

— Jak możesz tak mówić, Golan? — rzekł Pelorat. — Jesteśmy tu przecież. Znaleźliśmy Zienuę. Czy możemy wydedukować gdzie jest to coś, skoro nie ma tego na Ziemi?

Minęła chwila, zanim Trevizemu minął zły humor, w który wprawiła go Fallom. W końcu powiedział:

— A dlaczego nie? Przypuśćmy, że promieniowanie powoli, ale stale wzrastało. Tak samo, powoli, ale stale, zmniejszałaby się — na skutek zgonów i emigracji — liczba ludności, a ta ich tajemnica byłaby w coraz większym niebezpieczeństwie. Kto by tam został, by ją chronić? W końcu trzeba by było przenieść to coś na inny świat, bo inaczej byłoby to stracone dla Ziemi. Przypuszczam, że czuliby niechęć do takiego rozwiązania i że zrobiliby to dosłownie w ostatniej

chwili. No a teraz, Janov, pamiętasz tego starca na Nowej Ziemi, który przedstawił ci swoją wersję dziejów Ziemi?

— Monolee?

— Tak. Jego. Czy nie powiedział ci w związku z założeniem Nowej Ziemi, że resztki ludności Ziemi przesiedlono na tę planetę?

— Chcesz przez to powiedzieć, stary, że to, czego szukamy, jest teraz na Nowej Ziemi? Zabrane przez ostatnich ludzi, którzy opuścili Ziemię?

— A nie mogłoby tak być? — odparł Trevize. Nowa Ziemia jest w Galaktyce niewiele lepiej znana niż Ziemia, a jej mieszkańcy podejrzanie skwapliwie zabiegają o to, żeby wszyscy obcoświatowcy trzymali się od niej z daleka.

— Byliśmy tam — wtrąciła Bliss. — Nic nie znaleźliśmy.

— Bo nie szukaliśmy niczego oprócz współrzędnych Ziemi.

— Ale szukaliśmy świata z wysoko rozwiniętą techniką — powiedział z zakłopotaniem Pelorat czegoś, co potrafi usunąć informacje pod samym nosem Drugiej Fundacji, a nawet — wybacz mi, Bliss — pod nosem Gai. Może ludzie na Nowej Ziemi potrafią regulować pogodę na tym swoim skrawku lądu, może dysponują jakimiś technikami biotechnologii, ale myślę, że się zgodzisz, iż poziom ich techniki jest, ogólnie biorąc, dość niski.

Bliss skinęła głową.

— Zgadzam się z tobą, Pel.

— Wydajemy sądy na kruchej podstawie — powiedział Trevize. — Nie widzieliśmy nawet tych mężczyzn z floty rybackiej. Nie widzieliśmy właściwie wyspy, poza tym małym kawałkiem, na którym wylądowaliśmy. Kto wie, co znaleźlibyśmy, gdybyśmy szukali dokładniej? Nie zorientowaliśmy się nawet, że mają oświetlenie fluoroscencyjne, dopóki nie zobaczyliśmy go w działaniu, a jeśli wydaje się, powtarzam — wydaje się, że poziom ich techniki jest niski…

— To co? — spytała Bliss, wyraźnie nie przekonana.

— To może to być część zasłony, która ma zakryć prawdę.

— To niemożliwe — powiedziała Bliss.

— Niemożliwe? Ty sama powiedziałaś mi, jeszcze na Gai, że na Trantorze, w o wiele większej cywilizacji celowo utrzymywano technikę na niskim poziomie, aby ukryć mniejszą społeczność, Drugą Fundację. Dlaczego ta sama strategia nie miałaby zostać wykorzystana na Nowej Ziemi?

— A zatem sugerujesz, żebyśmy wrócili na Nową Ziemię i znowu stanęli wobec groźby zarażenia tym razem skutecznego? Stosunek płciowy jest niewątpliwie szczególnie przyjemnym sposobem zarażenia się, ale może mają też inne sposoby.

Trevize wzruszył ramionami.

— Nie palę się do tego, żeby jeszcze raz lecieć na Nową Ziemię, ale może będziemy musieli to zrobić.

— Może?

— Może! W końcu jest też inna możliwość.

— Jaka?

— Nowa Ziemia krąży wokół gwiazdy, którą ci ludzie nazywają Alfą. Ale Alfa jest częścią układu podwójnego. A może także wokół towarzyszki Alfy krąży jakaś zamieszkana planeta?

— Myślę, że ta druga gwiazda jest zbyt blada powiedziała Bliss, kręcąc głową. — Ma tylko jedną czwartą jasności Alfy.

— Blada, ale nie za bardzo. Jeśli planeta znajduje się blisko gwiazdy, to takie światło może wystarczyć.

— Czy komputer wie coś o jakichś planetach wokół tej gwiazdy? — spytał Pelorat.

Trevize uśmiechnął się cierpko.

— Sprawdziłem to. Jest tam pięć planet umiarkowanej wielkości. Nie ma żadnych olbrzymów gazowych.

— Czy któraś z tych pięciu planet nadaje się do zamieszkania?

— Oprócz ich liczby i faktu, że nie są duże, komputer nie podaje żadnych informacji na ich temat.

— Och…

— Nie ma się czym zniechęcać — rzekł Trevize. — W komputerze nie ma żadnego ze światów Przestrzeńców. Informacje o samej Alfie są znikome. Te rzeczy zostały celowo ukryte i jeśli o towarzyszce Alfy prawie nic nie wiadomo, to można to uważać za dobry znak.

— Wobec tego — powiedziała Bliss rzeczowym tonem — twój plan wygląda tak: lecisz obejrzeć drugą gwiazdę, a jeśli zawiedziesz się, wracasz do Alfy.

— Tak. Ale kiedy tym razem wylądujemy na Nowej Ziemi, będziemy przygotowani. Przed lądowaniem dokładnie zbadamy całą wyspę i spodziewam się, Bliss, że użyjesz swoich umiejętności, aby nas osłonić…

W tym momencie „Odległa Gwiazda” zachwiała się, jakby dostała czkawki, i Trevize wrzasnął na poły ze złością, a na poły ze zdumieniem:

— Kto jest przy sterach?

Ale już po chwili, gdy to wyrzucał z siebie, wiedział bardzo dobrze, kim jest ten ktoś.

95

Fallom była kompletnie pochłonięta manipulowaniem przy pulpicie komputera. Rozłożyła szeroko swe małe dłonie o długich palcach, aby umieścić je w lekko lśniących zagłębieniach na pulpicie. Wydało się jej, że ręce zatapiają się w płytę, chociaż czuła, że jest ona twarda i śliska.

Wiele razy widziała, jak robił to Trevize. Nie widziała, żeby robił coś więcej, chociaż było dla niej zupełnie oczywiste, że w ten sposób kierował statkiem.

Parę razy widziała, że Trevize zamyka oczy, więc też zamknęła. Po chwili usłyszała jak gdyby słaby, dobiegający z oddali głos. Dobiegał z oddali, ale rozlegał się w jej głowie, dochodząc (jak sobie niejasno uświadomiła) przez przetworniki. Były nawet ważniejsze niż ręce. Wytężyła uwagę, aby zrozumieć, co mówi głos.

„Instrukcje — mówił głos, niemal błagalnie. Jakie są twoje instrukcje?"

Fallom nic nie powiedziała. Nigdy nie widziała, żeby Trevize mówił coś do komputera, ale wiedziała, czego pragnie całym swoim sercem. Chciała wrócić na Solarię, do pokrzepiającej swymi nie kończącymi się korytarzami posiadłości, do Jemby'ego… do Jemby'ego… do Jemby'ego…

Chciała tam wrócić i kiedy tylko pomyślała o świecie, który kocha, wyobraziła sobie jego widok na ekranie, przypominający obrazy innych światów, których nie chciała. Otworzyła oczy i spojrzała na ekran, pragnąc ujrzeć tam jakiś inny świat niż tę znienawidzoną Ziemię, a potem patrzyła na to, co się pojawiło, wyobrażając sobie, że to Solaria. Nienawidziła pustej Galaktyki, w której znalazła się wbrew swej woli. Łzy napłynęły jej do oczu i statek zadrżał.

Odczuła ten wstrząs i też lekko się zakołysała.

A potem usłyszała głośne kroki na korytarzu i kiedy otworzyła oczy, zobaczyła wykrzywioną twarz Trevizego zasłaniającą jej cały ekran, na którym było wszystko to, co chciała. Trevize krzyczał coś, ale nie zwracała na niego uwagi. To on zabrał ją z Solarii, zabiwszy Bandera, to on uniemożliwiał jej powrót tam, myśląc tylko o Ziemi. Nie zamierzała go słuchać.

Chciała skierować statek na Solarię. Pod wpływem jej decyzji zadrżał znowu.

Bliss wczepiła się w ramię Trevizego.

— Nie! Nie! — krzyczała.

Odciągała go od Fallom. Za nimi stał nieruchomo zmieszany Pelorat.

Trevize wrzeszczał:

— Zabierz łapy z komputera!… Bliss, nie wchodź mi w drogę, nie chcę ci zrobić krzywdy.

Bliss powiedziała głosem, który zdawał się świadczyć, że jest na krawędzi wyczerpania:

— Nie rób nic temu dziecku. Będę musiała cię zranić — wbrew wszelkim instrukcjom.

Trevize przeniósł wzrok z Fallom na Bliss.

— No to zabierz ją stąd! I to już!

Bliss odepchnęła go ze zdumiewającą siłą („pewnie czerpała ją z Gai" — pomyślał potem Trevize).

— Fallom — powiedziała. — Zabierz ręce.

— Nie! — krzyknęła Fallom. — Chcę, żeby statek poleciał na Solarię. Chcę, żeby leciał tam. Tam. — Pokazała ekran głową, nie chcąc oderwać nawet jednej ręki od pulpitu.

Bliss położyła jej dłonie na ramionach i pod jej dotykiem Fallom zaczęła drżeć.

— Teraz, Fallom — powiedziała łagodnie Bliss — powiedz komputerowi, żeby znowu było tak, jak przedtem i chodź ze mną. — Pogładziła ją po plecach i Fallom osunęła się ze szlochem.

Bliss ujęła ją pod ramiona i wyprostowała. Obróciła ją i przycisnęła mocno do piersi, dając się jej wypłakać. Potem powiedziała do Trevizego, który stał nieruchomo w drzwiach:

— Zejdź z drogi i nie dotykaj żadnej z nas, kiedy będziemy przechodziły.

Trevize zszedł szybko na bok.

Bliss zatrzymała się na chwilę i powiedziała cicho:

— Musiałam na chwilę dostać się do jej mózgu. Jeśli coś uszkodziłam, to łatwo ci tego nie wybaczę. Trevize miał już odpowiedzieć, że mózg Fallom nie obchodzi go nawet tyle, co milimetr sześcienny przestrzeni, że boi się tylko o komputer, ale widząc utkwiony w siebie wzrok Gai (na pewno nie było to tylko spojrzenie Bliss, choć i ona mogłaby wzbudzić lęk, który poczuł w tym momencie), nie rzekł nic.

Bliss i Fallom zniknęły w swojej kabinie, a on nadal stał w milczeniu i nieruchomo. Stał tak, dopóki Pelorat nie spytał cicho:

— Golan nic ci nie jest? Chyba nic ci nie zrobiła, co?

Trevize potrząsnął energicznie głową, jak gdyby chciał się otrząsnąć z niemocy, która go nagle ogarnęła.

— Nic mi nie jest. Pytanie tylko, czy komputerowi nic nie jest. — Usiadł przy pulpicie, kładąc ręce na znakach, które jeszcze przed chwilą zakrywały dłonie Fallom.

— No i jak? — zapytał z niepokojem Pelorat. Trevize wzruszył ramionami.

— Zdaje się reagować normalnie. Później może się okaże, że coś nie gra, ale na razie wszystko wydaje się w porządku. — Potem dodał ze złością: Ten komputer nie powinien poprawnie reagować na inne ręce niż moje, ale w przypadku tego hermafrodyty to nie były tylko ręce. Jestem pewien, że to te przetworniki…

— Ale dlaczego statek się zatrząsł? Nie powinien się trząść, prawda?

— Nie. To statek grawitacyjny, więc nie powinniśmy odczuwać żadnych efektów bezwładu. Ale ten potworek… — Przerwał, robiąc się znowu zły.

— No?

— Podejrzewam, że postawiła komputerowi dwa sprzeczne żądania, oba tak stanowczo, że komputer nie miał innego wyjścia, jak tylko postarać się spełnić oba równocześnie. Próbując wykonać to, co niewykonalne, komputer musiał na chwilę stracić panowanie nad statkiem i kontrolę nad jego inercją. Przynajmniej tak mi się wydaje. — Nagle jego twarz rozpogodziła się. — Ale może i dobrze, że się tak stało, bo przyszło mi teraz do głowy, że to całe moje gadanie o Alfie i jej towarzyszce to bzdury. Wiem już, gdzie Ziemia musiała ukryć swój sekret.

Pelorat popatrzył na niego, ale zignorował ostatnie zdanie i wrócił do tego, co go wcześniej zafrapowało:

— W jaki sposób Fallom wydała dwa sprzeczne polecenia?

— Powiedziała, że chce, żeby statek poleciał na Solarię.

— Tak. Oczywiście, że chce.

— Ale co miała na myśli, mówiąc o Solarii? Nie potrafi poznać Solarii, oglądając ją z przestrzeni. Nigdy nie widziała jej z przestrzeni. Kiedy w pośpiechu opuszczaliśmy ten świat, spała. I mimo tych lektur z twojej biblioteki i tego, co jej opowiadała Bliss, wątpię, żeby naprawdę pojęła, czym jest Galaktyka, z setkami miliardów gwiazd i milionami zamieszkanych planet. Wychowana pod ziemią i w samotności, zrozumiała z tego wszystkiego pewnie tylko tyle, że są różne światy… Ale ile ich jest? Dwa? Trzy? Cztery? Dla niej każdy świat, który widzi, może być Solarią, a biorąc pod uwagę silne pragnienie zobaczenia jej, jest Solarią. A ponieważ, jak przypuszczam, Bliss starała się ją uspokoić, dając do zrozumienia, że jeśli nie znajdziemy Ziemi, to wrócimy na Solarię, mogła nawet dojść do wniosku, że Solaria leży blisko Ziemi.

— Ale na jakiej podstawie tak sądzisz, Golan?

— Sama prawie nam to powiedziała, Janov, kiedy naskoczyliśmy na nią. Wykrzyczała, że chce lecieć na Solarię i dodała „tam… tam", wskazując głową na ekran. A co jest na ekranie? Satelita Ziemi. Kiedy wychodziłem stąd przed obiadem, nie było go tam, była tam Ziemia. Ale Fallom, żądając lotu na Solarię, musiała mieć w głowie obraz tego satelity, a więc komputer musiał się na nim skoncentrować. Wierz mi, Janov, ja wiem, jak działa ten komputer. Kto może to lepiej wiedzieć?

Pelorat popatrzył na szeroki, świecący sierp i powiedział z zamyśleniem:

— Przynajmniej w jednym z ziemiańskich języków nazywał się on po prostu Księżycem. W innym języku Luną. Pewnie miał też inne nazwy… Wyobraź sobie, stary, jakie musi panować zamieszanie na świecie, na którym mówi się wieloma językami, te nieporozumienia, te komplikacje, te…

— Księżyc? — rzekł Trevize. — Rzeczywiście, prosta nazwa… Poza tym, jeśli pomyślę teraz o tym, to przychodzi mi do głowy, że dziecko mogło instynktownie spróbować pokierować statkiem za pomocą swoich przetworników, co też mogło wpłynąć na chwilowe pojawienie się inercji… Ale to wszystko nie jest ważne, Janov. Ważne jest, że dzięki temu na ekranie pojawił się Księżyc i że nadal tam jest. Patrzę teraz na niego i zastanawiam się.

— Nad czym, Golan?

— Nad jego rozmiarami. Zazwyczaj nie zwracamy uwagi na satelity, Janov. To takie małe obiekty, jeśli w ogóle gdzieś są. Ten jednak jest inny. To świat. Jego średnica liczy około trzech i pół tysiąca kilometrów.

— Świat? Chyba nie nazwiesz tego światem. Nie może być zamieszkany. Nawet trzy i pół tysiąca kilometrów średnicy to za mało. Nie ma atmosfery. Mogę to stwierdzić po prostu patrząc na niego. Nie ma chmur. Jego krzywizna odcina się ostro od tła, tak samo ta linia, która oddziela półkulę oświetloną od zaciemnionej.

Trevize skinął głową.

— Stajesz się doświadczonym podróżnikiem, Janov. Masz rację. Nie ma tam powietrza. Nie ma też wody. Ale znaczy to tylko tyle, że na jego nie osłoniętej powierzchni nie ma warunków do życia. A pod ziemią?

— Pod ziemią? — rzekł z powątpiewaniem Pelorat.

— Tak. Pod ziemią. A dlaczego nie? Sam mi mówiłeś, że na Ziemi miasta były pod ziemią. Wiemy, że Trantor był podziemnym miastem. Duża część stolicy Comporellona znajduje się pod Ziemią. Rezydencje Solarian prawie całkowicie zbudowane są pod Ziemią. To normalny stan rzeczy.

— Ale w każdym z tych przypadków było to na planecie, na której panowały warunki umożliwiające istnienie życia. Również na powierzchni tych planet. Na każdej była atmosfera i woda. Czy można żyć pod ziemią, jeśli powierzchnia nie nadaje się do zamieszkania?

— Daj spokój, Janov. Pomyśl! Gdzie my teraz żyjemy? „Odległa Gwiazda" jest naszym maleńkim światem o powierzchni nie nadającej się do zamieszkania. Na zewnątrz nie ma ani powietrza, ani wody. A mimo to w środku żyje się nam zupełnie wygodnie. Galaktyka jest pełna stacji kosmicznych i sztucznych osad przeróżnych rodzajów, nie mówiąc już o statkach, i na żadnej z tych konstrukcji nie ma warunków do życia, a jednak żyją na nich ludzie. Wyobraź sobie, że Księżyc jest ogromnym statkiem kosmicznym.

— Z załogą?

— Tak. Mogą tam żyć miliony ludzi, rośliny i zwierzęta, i może istnieć wysoko rozwinięta technika… No i co, Janov, czy to nie brzmi sensownie? Jeśli Ziemia w ostatnich dniach swego istnienia mogła wysłać grupę Przestrzeńców na planetę krążącą wokół Alfa Centauri i ukształtować ją przynajmniej częściowo na swój wzór: zapełnić ocean żywymi stworzeniami, zbudować ląd stały tam, gdzie nie było skrawka suchej ziemi — to czy nie mogła także wysłać innej grupy na swego satelitę i przystosować jego wnętrza do ich potrzeb?

— Może i tak — odparł niepewnie Pelorat.

— Zrobiłaby to. Jeśli ma coś do ukrycia, to po co wysyłać to o parsek dalej, jeśli można to ukryć na świecie położonym o jedną

milionową odległości dzielącej ją od Alfy? A z psychologicznego punktu widzenia Księżyc byłby o wiele lepszą kryjówką. Nikt nie pomyślałby, że na satelicie może istnieć życie. Jeśli o to chodzi, ja też nie pomyślałem. Mając Księżyc pod samym nosem, myślałem o odległej Alfie. Gdyby nie Fallom… — Zacisnął usta i pokręcił głową. — Myślę, że będę musiał przyznać, że to jej zasługa. Jeśli ja tego nie przyznam, to na pewno zrobi to Bliss.

— No tak, stary — rzekł Pelorat — tylko że jeśli coś kryje się pod powierzchnią Księżyca, to jak to znajdziemy? Jego powierzchnia musi mieć ładnych parę milionów kilometrów kwadratowych…

— Z grubsza czterdzieści milionów.

— I będziemy musieli ją całą zbadać, szukając czego? Otworu? Jakiegoś włazu?

— Jeśli to przedstawić w ten sposób, to rzeczywiście wydaje się to trudnym zadaniem, ale nie szukamy jakichś obiektów, lecz istot żywych, do tego inteligentnych. Mamy przecież Bliss, a wykrywanie istot inteligentnych to jej specjalność, prawda?

Bliss spojrzała na Trevizego oskarżycielsko i powiedziała:

— W końcu ją uśpiłam. Przeżyłam ciężkie chwile. Była bliska obłędu. Na szczęście zdaje mi się, że nie zrobiłam jej nic złego.

— Mogłaś próbować usunąć tę jej fiksację na punkcie Jemby'ego, skoro — jak wiesz — nie mam najmniejszego zamiaru wrócić jeszcze kiedykolwiek na Solarię — powiedział chłodno Trevize.

— Tak po prostu usunąć tę jej fiksację, tak? Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach? Nigdy nie „poczułeś" mózgu. Nie masz pojęcia, jak bardzo jest skomplikowany. Gdybyś wiedział o nim choć trochę, to nie mówiłbyś o usunięciu fiksacji w taki sposób, jak gdyby chodziło o wyjęcie dżemu ze słoika.

— No to przynajmniej zmniejsz ją trochę.

— Mogłabym ją trochę zmniejszyć, ale po miesiącu starannego rozprzewlekania.

— Rozprzewlekania? Co to znaczy?

— Nie można tego wytłumaczyć komuś, kto nie orientuje się w tych sprawach.

— No to co chcesz zrobić z tym dzieckiem?

— Jeszcze nie wiem. Trzeba się będzie dobrze zastanowić.

— W takim razie pozwól, że powiem ci, co chcę zrobić ze statkiem.

— Wiem, co chcesz zrobić. Wrócić na Nową Ziemię i jeszcze raz spróbować ze śliczną Hiroko, jeśli ci obieca, że tym razem cię nie zarazi.

Trevize wysłuchał tego z kamienną twarzą.

— Otóż nie — powiedział. — Zmieniłem zamiar. Lecimy na Księżyc.

— Na satelitę? Dlatego, że jest to świat znajdujący się najbliżej? Nie pomyślałam o tym.

— Ani ja. Zresztą nikt by nie wpadł na taki pomysł. Nigdzie w Galaktyce nie ma satelity, którym warto by sobie zaprzątać głowę, ale ten satelita jest, ze względu na wielkość, wyjątkowy. Co więcej, anonimowość Ziemi rozciąga się też na niego. Ten, kto nie może znaleźć Ziemi, nie może też znaleźć Księżyca.

— Czy nadaje się do zamieszkania?

— Jego powierzchnia nie, ale nie ma tam w ogóle radioaktywności, a więc nie można powiedzieć, że się absolutnie nie nadaje. Może tam istnieć życie, może nawet kipi życiem, ale ukrytym pod powierzchnią. No, a oczywiście ty będziesz w stanie stwierdzić, czy tak jest, kiedy już znajdziemy się wystarczająco blisko.

Bliss wzruszyła ramionami.

— Spróbuję… Ale co się stało, że nagle wpadłeś na pomysł, żeby sprawdzić satelitę?

— Nasunęło mi tę myśl coś, co zrobiła Fallom będąc przy sterach — powiedział spokojnie Trevize.

Bliss czekała chwilę, jak gdyby spodziewała się usłyszeć coś więcej, a potem jeszcze raz wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, co to było, ale podejrzewam, że nie doszłoby do tego nagłego natchnienia, gdybyś poszedł za swoim impulsem i zabił ją.

— Nie miałem zamiaru jej zabijać.

Bliss machnęła ręką.

— Już dobrze. Niech tak będzie. A więc teraz lecimy na Księżyc?

— Tak. Dla ostrożności nie będziemy się spieszyć, ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, za trzydzieści godzin będziemy koło niego.

99

Księżyc wyglądał jak pustynia. Trevize przyglądał się jego jasno oświetlonej części wolno przesuwającej się pod nimi. Widział jednostajną panoramę kraterów i wzniesień, rzucających w ostrych promieniach słońca czarne cienie. Pewne części jego powierzchni różniły się od siebie nieznacznie kolorem, a tu i ówdzie rozciągała się dość duża płaszczyzna, naznaczona małymi kraterami.

W miarę jak zbliżali się do strony nocnej, cienie wydłużały się, aż w końcu zlały się w jedną ciemność. Jeszcze przez chwilę lśniły w słońcu, niczym duże gwiazdy, szczyty gór, które zostawili za sobą. Potem i one zniknęły i widzieli pod sobą tylko słabe światło Ziemi. Widać było tylko jedną niebieskawobiałą półkulę. Wreszcie odlecieli na tyle, że Ziemia też zniknęła za horyzontem i została nieprzenikniona ciemność. Tylko w górze migotało słabo morze gwiazd, co dla wychowanego na Terminusie Trevizego było cudownym widokiem.

Potem pojawiły się przed nimi nowe jasne gwiazdy, najpierw jedna czy dwie, potem reszta. Powiększały się, zajmując coraz więcej nieba, aż w końcu stopiły się w jedno. Przekroczyli terminator i znaleźli się znowu w strefie dnia. Słońce rozbłysło jak ogień piekielny i komputer natychmiast przesunął ekran i spolaryzował blask ziemi pod nimi.

Trevize doskonale zdawał sobie sprawę, że byłoby daremnym trudem starać się znaleźć jakieś wejście do zamieszkanego wnętrza jeśli w ogóle było ono zamieszkane), badając wzrokiem ten rozległy świat.

Odwrócił się i spojrzał na siedzącą obok Bliss. Nie patrzyła na ekran, miała zamknięte oczy. Wydawało się, że nie siedzi, lecz leży bezwładnie na krześle.

Zastanawiając się, czy nie zasnęła, spytał:

— Odkryłaś coś?

Bliss lekko pokręciła głową.

— Nie — szepnęła. — Odczułam tylko jakby słaby powiew. Lepiej zawróćmy tam. Wiesz, gdzie jest ten rejon?

— Komputer wie.

Przypominało to namierzanie celu — przesunięcie w jedną stronę, potem w drugą i w końcu uchwycenie właściwego punktu. Badany obszar był wciąż pogrążony w mrokach nocy i jeśli nie liczyć faktu, że dość nisko na niebie świeciła Ziemia, rzucając na powierzchnię Księżyca bladą poświatę, w której majaczyły cienie wzgórz, nie można było nic dostrzec, i to nawet mimo tego, że specjalnie wygasili światła w sterowni.

W drzwiach sterowni stanął Pelorat.

— Znaleźliśmy coś? — spytał ochrypłym szeptem.

Trevize dał mu znak ręką, aby był cicho. Obserwował Bliss. Wiedział, że minie parę dni, zanim w to miejsce powróci słońce, ale wiedział też, że dla tego, co próbuje wykryć Bliss, fakt, czy jest słońce czy nie, nie ma żadnego znaczenia.

— Jest tam — powiedziała.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— I to jest jedyne miejsce?

— Jedyne, które wykryłam. Przeleciałeś nad każdym kawałkiem powierzchni?

— Nad znaczną jej częścią.

— A więc to jest wszystko, co wykryłam na tej znacznej części. Teraz czuję to silniej, jak gdyby to wykryło nas. Nie wydaje się groźne. Uczucie, które odbieram, jest przyjazne.

— Jesteś pewna?

— Takie uczucie odbieram.

— A czy to coś nie może udawać takiego uczucia? — spytał Pelorat.

— Możesz być pewien, że wykryłabym udawanie — powiedziała Bliss z nutą pychy w głosie.

Trevize mruknął coś na temat zadufania, a potem powiedział:

— Mam nadzieję, że to, co wykryłaś, to istota inteligentna.

— Wyczuwam silną inteligencję. Tylko że… W jej głos wkradła się jakaś dziwna nuta.

— Tylko że co?

— Ćśś. Nie przeszkadzaj mi. Daj mi się skoncentrować. — Ostatnie słowo raczej odgadł z ruchu warg, niż usłyszał.

Potem powiedziała ze zdziwieniem:

— To nie jest ludzka inteligencja.

— Nie ludzka? — powtórzył Trevize z o wiele większym zdziwieniem. — Czyżby znowu roboty? Jak na Solarii?

— Nie — uśmiechnęła się Bliss. — To mi nie za bardzo wygląda na roboty.

— Musi być albo jedno, albo drugie.

— Ani jedno, ani drugie. — Bliss aż zachichotała. — To nie jest człowiek, ale też nie przypomina żadnego z robotów, z którymi się zetknęłam.

— Chciałbym to zobaczyć — powiedział Pelorat. Kiwnął energicznie głową. W jego oczach widać było radość. — To byłoby fantastyczne. Coś nowego.

— Coś nowego… — mruknął Trevize, czując nagły przypływ otuchy, a jednocześnie coś jakby błysk olśnienia, po którym jednak

zostało tylko nie dające się sprecyzować wrażenie.

100

Zeszli tuż nad powierzchnię Księżyca. Byli w niemal radosnym nastroju. Nawet Fallom przyłączyła się do nich i nie posiadając się z radości, zaciskała ręce, jak gdyby właśnie wracali na Solarię.

Jeśli chodzi o Trevizego, to zachował on jeszcze tyle trzeźwości umysłu, aby pomyśleć, iż jest bardzo dziwne, że Ziemia — czy co to tam kryło się na Księżycu — która podjęła takie środki, by nikt się nią nie zainteresował, teraz zdaje się zachęcać ich do lądowania. A może cel pozostał ten sam, tylko zmieniły się metody? Czyżby postępowała według zasady: „Jeśli nie możesz ich utrzymać z daleka, to ściągnij ich i zniszcz”? Tak czy tak, jej tajemnica pozostałaby nienaruszona.

Ale myśl ta szybko rozpłynęła się i znikła w przypływie euforii, która potęgowała się w miarę zbliżania się do powierzchni. Nade wszystko jednak starał się odtworzyć to olśnienie, które spłynęło na niego na chwilę przed rozpoczęciem schodzenia ku powierzchni satelity Ziemi.

Zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości co do tego, gdzie zmierza statek. Znajdowali się właśnie nad szczytami pofałdowanych wzniesień i Trevize, siedząc przy komputerze, czuł, że nie musi absolutnie nic robić. Było to tak, jakby i nim, i komputerem ktoś kierował i ogarnęła go niezwykła radość na myśl, że zdjęto z niego ciężar odpowiedzialności.

Szybowali równolegle do powierzchni w stronę groźnie wznoszącej się skały, która wyrastała na ich drodze niczym bariera, bariera połyskująca lekko w blasku Ziemi i reflektora „Odległej Gwiazdy”. Perspektywa zderzenia z nią nie robiła jakoś na Trevizem wrażenia i kiedy część skały rozsunęła się, ukazując oświetlony sztucznym światłem tunel, powitał to bez żadnego zdziwienia.

Statek prawie zupełnie wyhamował, najwyraźniej sam z siebie, i ustawił się dokładnie naprzeciw otworu, a potem wśliznął się do tunelu… Wejście zamknęło się i otworzyło się inne. Statek wszedł przez nie do ogromnej hali, która wydawała się wypełniać całe wnętrze góry. Potem zatrzymał się i wszyscy skoczyli do luku. Nikomu z nich, nawet Trevizemu, nie przyszło do głowy, żeby najpierw sprawdzić, czy jest tam powietrze, którym można oddychać, czy w ogóle jest tam jakaś atmosfera.

Powietrze jednak tam było. Można było swobodnie oddychać. Rozglądali się wokół z zadowolonymi minami ludzi, którzy wrócili do domu, i dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że w pewnej odległości czeka na nich spokojnie jakiś człowiek.

Był wysoki i miał poważną minę. Miał brązowe, krótko ostrzyżone włosy, szerokie kości policzkowe i jasne oczy. Jego ubiór

przypominał ilustracje ze starożytnych książek historycznych. ‚Chociaż jego wygląd świadczył o sile i energii, to jednak z całej jego postaci emanowało jakieś znużenie. Trudno było powiedzieć, co sprawiało takie wrażenie, wydawało się, że odbierają to jakimś nieokreślonym zmysłem.

Pierwsza zareagowała Fallom. Puściła się pędem w stronę mężczyzny, rozkładając szeroko ręce i krzycząc piskliwie: — Jemby! Jemby!

Kiedy znalazła się przy nim, pochylił się, wziął ją na ręce i uniósł w górę. Zarzuciła mu ramiona na szyję i ze szlochem raz jeszcze wykrztusiła: — Jemby!

Reszta pasażerów „Odległej Gwiazdy” podeszła spokojniej, a Trevize powiedział wolno i wyraźnie (zastanawiając się, czy ten, do kogo mówi, zna galaktyczny):

— Prosimy o wybaczenie. To dziecko straciło opiekuna i rozpaczliwie pragnie go odnaleźć. Jest dla nas zagadką, dlaczego przylepiło się do pana, jako że szuka robota mechanicznego…

Mężczyzna odezwał się po raz pierwszy. Głos miał raczej czysty niż mile brzmiący, a wymowę nieco archaiczną, ale świetnie radził sobie z ogólnogalaktycznym.

— Miło jest mi powitać was wszystkich — powiedział i wyglądało na to, że jest rzeczywiście przyjaźnie nastawiony, mimo iż jego twarz zachowała wyraz uroczystej powagi. — Jeśli chodzi o to dziecko, to jest ono chyba bardziej spostrzegawcze niż wy, jako że jestem robotem. Nazywam się Daneel Olivaw.

21. Koniec poszukiwań

101

Trevize nie wierzył własnym uszom. Wyzwolił się już z tej dziwnej euforii, którą odczuwał tuż przed i po wylądowaniu, euforii, w którą — jak zaczął teraz podejrzewać — wprowadził go ten samozwańczy robot.

Nadal gapił się na niego, lecz choć myślał teraz trzeźwo, a na jego mózg nikt nie wpływał, nie posiadał się ze zdumienia. Rozmawiał, ale nie bardzo wiedział, co sam mówi i co do niego mówią, gdyż całą uwagę skupił na zachowaniu i sposobie mówienia tego pozornie prawdziwego człowieka, starając się znaleźć coś, co wskazywałoby, że jest to robot.

Nic dziwnego, że Bliss wykryła coś, co jej zdaniem nie przypominało ani człowieka, ani robota, lecz było — jak to określił Pelorat — „czymś nowym". Oczywiście było to wszystko jedno, bo i tak skierowało to myśli Trevizego na zupełnie nowy tor, ale na razie nawet ten nowy tor znajdował się na drugim planie.

Bliss oddaliła się z Fallom, aby się rozejrzeć po pomieszczeniach. Był to pomysł Bliss, ale Trevizemu wydało się, że przyszedł jej do głowy po błyskawicznej wymianie spojrzeń z Daneelem. Kiedy Fallom nie chciała się na to zgodzić i prosiła, żeby pozwolić jej zostać z tym kimś czy czymś, co nadal nazywała Jembym, wystarczyło jedno surowo wypowiedziane słowo Daneela i jego wzniesiony w górę palec, aby natychmiast posłusznie poszła z Bliss. Trevize i Pelorat pozostali.

— To nie są obywatele Fundacji, panowie — powiedział robot, jakby tytułem wyjaśnienia. — Jedna to Gaja, a drugie Przestrzeniec.

Robot poprowadził ich w stronę drzewa, pod którym stały proste krzesła. Trevize przez cały czas nie odzywał się. Usiedli na zapraszający gest robota, który też usiadł, poruszając się przy tym zupełnie jak człowiek.

— Jest pan naprawdę robotem? — spytał Trevize.

— Naprawdę, proszę pana — odparł Daneel.

Twarz Pelorata wydawała się promieniować radością.

— W starych legendach znajdują się wzmianki na temat robota imieniem Daneel. Zostałeś tak nazwany na jego pamiątkę?

— Ja jestem tym robotem — odparł Daneel. — I nie jest to legenda.

— O nie! — powiedział Pelorat. — Gdybyś był tym robotem, to musiałbyś mieć parę tysięcy lat.

— Dwadzieścia tysięcy — odparł spokojnie Daneel.

Pelorat zmieszał się i spojrzał na Trevizego, który rzekł z lekką złością:

— Jeśli jesteś robotem, to nakazuję ci mówić prawdę.

— Nie trzeba mi tego nakazywać, proszę pana. Muszę mówić prawdę. A zatem ma pan trzy możliwości: albo jestem człowiekiem, który was okłamuje, albo robotem, który został tak zaprogramowany, iż wierzy, że ma dwadzieścia tysięcy lat, choć w rzeczywistości nie jest taki stary, albo jestem robotem, który ma dwadzieścia tysięcy lat. Musi pan zdecydować, którą możliwość wybrać.

— Może ta sprawa sama się wyjaśni podczas dalszej rozmowy — rzekł sucho Trevize. — Jeśli o to idzie, to trudno uwierzyć, że znajdujemy się pod powierzchnią Księżyca. Ani światło — podniósł głowę mówiąc to, gdyż choć nie było na niebie widać słońca, a nawet nie było dobrze widać żadnego nieba, światło przypominało do złudzenia rozproszone w atmosferze światło słoneczne — ani przyciąganie nie świadczą o tym. Na tym świecie grawitacja na powierzchni powinna wynosić mniej niż 0,2 g.

— Grawitacja na powierzchni powinna wynosić dokładnie 0,16 g, proszę pana. Jest ona jednak utrzymywana sztucznie przez te same siły, które sprawiają, że na pokładzie swego statku odczuwacie normalną siłę ciążenia nawet podczas swobodnego spadania lub w momencie przyspieszenia. Zapotrzebowanie na energię dla innych celów, włącznie z oświetleniem, również zaspokajamy wykorzystując grawitację, aczkolwiek tam, gdzie to jest dogodne, korzystamy z energii słonecznej. Nasze potrzeby materiałowe, z wyjątkiem pierwiastków lekkich: wodoru, węgla i azotu, których nie ma na księżycu, zaspokajamy korzystając z miejscowych surowców. Pierwiastki lekkie uzyskujemy chwytając przelatujące niekiedy komety. Wystarczy jedna na stulecie, aby zaspokoić nasze potrzeby.

— Rozumiem, że Ziemia nie nadaje się do wykorzystania jako źródło surowców.

— Niestety jest tak, jak pan mówi. Nasze pozytronowe mózgi są równie wrażliwe na promieniowanie radioaktywne jak białkowe mózgi ludzkie.

— Używasz liczby mnogiej, a ta posiadłość wygląda na dużą, ładną i zadbaną — przynajmniej z daleka. Wobec tego są tu też inne istoty. Ludzie czy roboty?

— Tak. Mamy tu, na Księżycu, kompletny ekosystem i rozległe wydrążenie, w którym ten system istnieje. Jednakże wszystkie istoty inteligentne to roboty, bardziej lub mniej podobne do mnie. Co do tej posiadłości, to korzystam z niej tylko ja. Została ona założona dokładnie na wzór tej, na której mieszkałem dwadzieścia tysięcy lat temu.

— A którą szczegółowo pamiętasz, tak?

— Tak, proszę pana. Zostałem wykonany i przez pewien czas — jakże krótko to trwało, wydaje mi się teraz — przebywałem na świecie Przestrzeńców, na Aurorze.

— Na tym, na którym… — zaczął Trevize, ale przerwał.

— Tak, proszę pana. Na tym, na którym są te psy.

— Wiesz o nich?

— Tak, proszę pana.

— Jak się wobec tego tu znalazłeś, skoro mieszkałeś na Aurorze?

— Przyleciałem tu w samych początkach kolonizacji Galaktyki, aby zapobiec skażeniu radioaktywnemu Ziemi. Był ze mną jeszcze jeden robot, Giskard, który potrafił wyczuwać i przestrajać mózgi.

— Tak jak Bliss?

— Tak, proszę pana. W pewnym sensie zawiedliśmy, a Giskard przestał funkcjonować. Jednak zdążył jeszcze przedtem przekazać mi swoje umiejętności i zostawił mi troskę o Galaktykę, a w szczególności o Ziemię.

— Dlaczego w szczególności o Ziemię?

— Po części ze względu na człowieka o nazwisku Elijah Baley, Ziemianina.

— To jest ten bohater kulturowy, o którym ci mówiłem jakiś czas temu, Golan — wtrącił z podnieceniem Pelorat.

— Bohater kulturowy, proszę pana?

— Profesor Pelorat chce przez to powiedzieć rzekł Trevize — że jest to osoba, której wiele przypisywano, a która w rzeczywistości może łączyć w sobie cechy i osiągnięcia wielu osób albo nawet jest całkowicie fikcyjna.

Daneel zastanawiał się chwilę, a potem powiedział zupełnie spokojnie:

— Nie, proszę panów. Elijah Baley był postacią rzeczywistą. Nie wiem, co mówią o nim legendy, ale w rzeczywistości, gdyby nie on, Galaktyka być może nigdy nie zostałaby skolonizowana. Ze względu na jego pamięć zrobiłem, co mogłem, aby po skażeniu Ziemi uratować z niej, co tylko się da. Rozmieściłem w całej Galaktyce swych towarzyszy, robotów, aby wpływały w różnych miejscach na różne osoby. W pewnym momencie udało mi się doprowadzić do rozpoczęcia akcji wymiany gleby na Ziemi. Długo potem doprowadziłem do akcji terraformowania świata krążącego wokół leżącej w pobliżu gwiazdy, świata, który teraz nazywa się Alfa. W obu przypadkach moje działania nie zakończyły się pełnym sukcesem. Nigdy nie mogłem wpłynąć na ludzkie umysły dokładnie tak, jak chciałem, gdyż zawsze istniało niebezpieczeństwo wyrządzenia krzywdy ludziom, których umysłami kierowałem. Rozumiecie, byłem — i jestem do dnia dzisiejszego — skrępowany prawami robotyki.

— Tak?

Z pewnością nie trzeba było mentalnych zdolności Daneela, aby wychwycić wątpliwość brzmiącą w tej monosylabie.

— Pierwsze prawo, proszę pana — powiedział powiada: „Robot

nie może wyrządzić krzywdy istocie ludzkiej albo — poprzez wstrzymanie się od działania — pozwolić, aby stała się jej krzywda". Drugie: „Robot musi słuchać poleceń wydawanych mu przez istotę ludzką, z wyjątkiem poleceń, które kolidowałyby z pierwszym prawem". Trzecie prawo: „Robot musi chronić swoje istnienie, jeśli nie koliduje to z pierwszym lub drugim prawem". Naturalnie, przedstawiam te prawa w wersji uproszczonej, którą można wyrazić w języku. W rzeczywistości prawa te są skomplikowanymi kombinacjami zawartymi w naszych pozytronowych obwodach mózgowych.

— Czy ciężko ci działać w zgodzie z tymi prawami?

— Oczywiście, proszę pana. Pierwsze prawo to absolut, który niemal zupełnie zabrania mi korzystać z moich zdolności mentalnych. Kiedy ktoś zajmuje się Galaktyką, to niemożliwe jest przyjęcie takiego kierunku działania, aby zupełnie nikomu nie wyrządzić krzywdy. Zawsze ucierpią jacyś ludzie, może nawet wielu ludzi, a więc robot musi wybierać takie działania, aby wyrządzić jak najmniejszą krzywdę. Jednak jest taka mnogość różnych możliwości, że dokonanie wyboru wymaga dużo czasu, a i tak nigdy nie można mieć pewności, że wybrało się najlepszą możliwość.

— Rozumiem — powiedział Trevize.

— Przez całe dzieje Galaktyki — mówił dalej Daneel — starałem się łagodzić najgorsze skutki konfliktów i nieszczęść, które stale są jej udziałem. Być może czasami udawało mi się to w jakimś stopniu osiągnąć, ale jeśli znacie historię Galaktyki, to wiecie, że nie zdarzało się to zbyt często ani nie kończyło wielkim sukcesem.

— Tyle wiem — powiedział Trevize, uśmiechając się krzywo.

— Tuż przed swoim końcem Giskard wpadł na pomysł prawa, które zastępowało nawet pierwsze prawo robotyki. Nie potrafiąc wymyśleć innej sensownej nazwy, nazwaliśmy je prawem zerowym. A oto ono: „Robot nie może wyrządzić krzywdy ludzkości albo przez wstrzymanie się od działania pozwolić, aby stała się jej krzywda". Pociąga to za sobą automatycznie modyfikację pierwszego prawa, które musi brzmieć: „Robot nie może wyrządzić krzywdy istocie ludzkiej albo — poprzez wstrzymanie się od działania — pozwolić, aby stała się jej krzywda, z wyjątkiem sytuacji, kiedy koliduje to z prawem zerowym". Podobnych modyfikacji należy dokonać w prawach drugim i trzecim.

Trevize zmarszczył się.

— Jak możesz decydować, co jest, a co nie jest szkodliwe dla ludzkości?

— No właśnie — odparł Daneel. — Teoretycznie, prawo zerowe rozwiązywało nasze problemy. W praktyce nigdy nie mogliśmy się zdecydować. Człowiek to obiekt konkretny. Jego krzywdę można ocenić. Ludzkość to abstrakcja. Jak z nią postępować?

— Nie wiem — odparł Trevize.

— Chwileczkę! — powiedział Pelorat. — Można by przekształcić ludzkość w jeden organizm. W Gaję

— To właśnie spróbowałem zrobić, proszę pana. Zaprojektowałem Gaję. Jeśliby przekształcić całą ludzkość w jeden organizm, to stałaby się konkretnym obiektem i można by zająć się nią. Jednak stworzenie superorganizmu nie było takie łatwe, jak przypuszczałem. Przede wszystkim nic by z tego nie wyszło, dopóki ludzie nie zaczęliby cenić superorganizmu bardziej niż swojej indywidualności. Musiałem znaleźć formę mentalności, która by umożliwiła takie nastawienie. Minęło dużo czasu, zanim pomyślałem o prawach robotyki.

— Ach, więc tajanie są robotami. Od początku podejrzewałem, że tak jest.

— W takim razie mylił się pan. Są ludźmi, tyle że kierują się wszczepionym w ich mózgi równoważnikiem praw robotyki. Muszą cenić życie, naprawdę cenić… Ale nawet kiedy już to zrobiłem, pozostała do usunięcia pewna poważna wada. Superorganizm składający się tylko z ludzi nie jest stabilny. Musi też objąć inne zwierzęta, potem rośliny, potem naturę nieożywioną. Najmniejszym naprawdę stabilnym superorganizmem jest cały świat, i to świat na tyle duży i złożony, by mógł na nim istnieć stabilny ekosystem. Zrozumienie tego też zajęło mi dużo czasu i tak naprawdę Gaja została ostatecznie uformowana dopiero w ubiegłym stuleciu. Dopiero wtedy mogła zacząć przygotowania do utworzenia Galaxii, co i tak zajmie dużo czasu. Może nie aż tyle, ile zajęły dotychczasowe działania, gdyż teraz znamy już reguły, zgodnie z którymi trzeba postępować. — Ale potrzebowałeś mnie. Chciałeś, żebym podjął za ciebie decyzję. Tak, Daneel?

— Tak, proszę pana. Prawa robotyki nie pozwalają ani mnie, ani Gai podjąć decyzji, która mogłaby przynieść ludzkości szkodę. Tymczasem pięćset lat temu, kiedy wydawało się, że nigdy nie uda mi się wypracować metod pozwalających usunąć wszystkie trudności piętrzące się na drodze do ustanowienia Gai, wybrałem gorsze, ale jedyne możliwe wówczas rozwiązanie, i przyczyniłem się do powstania psychohistorii.

— Mogłem się tego domyślić — mruknął Trevize. — Wiesz, Daneel, zaczynam wierzyć, że naprawdę masz dwadzieścia tysięcy lat.

— Dziękuję panu.

— Zaczekajcie chwilę — powiedział Pelorat. — Zdaje mi się, że zaczynam rozumieć. Czy ty sam jesteś częścią Gai, Daneel? To w ten sposób dowiedziałeś się o psach na Aurorze? Przez Bliss?

— W pewnym sensie ma pan rację. Jestem stowarzyszony z Gają, choć nie jestem jej częścią. Trevize uniósł brwi.

— Zupełnie przypomina mi to Comporellon, świat, który

odwiedziliśmy bezpośrednio po odlocie z Gai. Utrzymuje, że nie jest częścią Konfederacji Fundacyjnej, lecz jest z nią tylko stowarzyszony. Daneel skinął głową.

— Sądzę, proszę pana, że to właściwa analogia. Będąc stowarzyszony z Gają, mogę wiedzieć o wszystkim, o czym wie Gaja — na przykład w osobie tej kobiety, Bliss. Jednakże Gaja nie ma możliwości, żeby zorientować się, co ja wiem, tak więc mam swobodę działania. Muszę ją mieć, dopóki nie zostanie ustanowiona Galaxia.

Trevize przyglądał się przez chwilę bacznie robotowi, a potem powiedział:

— Korzystałeś z wiedzy, którą czerpałeś za pośrednictwem Bliss, aby wpływać na rozwój wydarzeń podczas naszej podróży i kształtować je zgodnie ze swą wolą?

Daneel westchnął zupełnie jak człowiek.

— Niewiele mogłem zrobić, proszę pana. Zawsze powstrzymują mnie prawa robotyki… Jednak mimo to starałem się ulżyć Bliss, przyjmując część odpowiedzialności na siebie, tak by mogła sobie poradzić z psami na Aurorze i tym Przestrzeńcem na Solarii szybciej i bez szkody dla siebie. Poza tym wpłynąłem, poprzez Bliss, na tę kobietę na Comporellonie i tę drugą, na Nowej Ziemi, aby poczuły słabość do pana, dzięki czemu mogliście kontynuować swoją podróż.

Trevize uśmiechnął się smutno:

— Powinienem był się domyślić, że to nie moja zasługa.

— Przeciwnie, proszę pana — powiedział Daneel. — W znacznej mierze była to pana zasługa. Obie od początku zainteresowały się panem. Ja tylko wzmocniłem ich uczucia — tylko tyle mogłem zrobić, będąc skrępowany prawami robotyki. Ze względu na surowy charakter tych praw, jak również z innych przyczyn, udało mi się sprowadzić was tu dopiero po wielu kłopotach, a i to pośrednio. Parę razy niewiele brakowało, abym was stracił.

— Ale teraz jestem tu — powiedział Trevize. Czego chcesz ode mnie? Żebym podtrzymał swoją decyzję w sprawie Galaxii?

Wydawało się, że na nieruchomej twarzy Daneela pojawił się wyraz rozpaczy.

— Nie, proszę pana. Sama decyzja już nie wystarczy. Sprowadziłem was tu, starając się — w stanie, w jakim się obecnie znajduję — przeprowadzić to jak najlepiej, w sprawie o wiele bardziej rozpaczliwej. Ja umieram.

Może sprawił to rzeczowy ton, którym Daneel wypowiedział te słowa, a może fakt, że śmierć po dwudziestu tysiącach lat życia nie wydawała się komuś, kto mógł przeżyć mniej niż pół procenta tego okresu, żadną tragedią, w każdym razie Trevize nie odczuł litości:

— Umierasz? Czy maszyna może umrzeć?

— Mogę przestać istnieć, proszę pana. Niech pan to nazywa, jak pan chce. Jestem stary. Nie ma w Galaktyce ani jednego świadomego swego istnienia obiektu — ani człowieka, ani robota — który by istniał już wtedy, kiedy obdarzono mnie świadomością. Nawet mnie samemu brak ciągłości.

— W jakim sensie?

— Nie ma w moim ciele takiej części, która nie zostałaby wymieniona, i to wiele razy. Nawet mój pozytronowy mózg został pięciokrotnie wymieniony. Za każdym razem zawartość mojego starego mózgu została, do ostatniego pozytrona, wprowadzona do nowego. Każdy kolejny mózg miał większą pojemność i był bardziej złożony od poprzedniego, tak że istniało w nim miejsce na nowe informacje i mogłem szybciej podejmować decyzje i działania. Ale…

— Ale?

— Im bardziej mózg jest złożony, tym bardziej jest czuły i tym szybciej się psuje. Mój obecny jest sto tysięcy razy bardziej czuły od pierwszego i ma o milion razy większą pojemność, ale pierwszy przetrwał dziesięć tysięcy lat, a obecny ma dopiero sześćset i już się zestarzał. Ponieważ jest w nim dokładnie zapisana pamięć o wszystkim, co zdarzyło się przez dwadzieścia tysięcy lat, i działa doskonały mechanizm odtwarzania, mózg osiągnął już granicę swej pojemności. Gwałtownie spada jego zdolność podejmowania decyzji, a zdolność do badania umysłów znajdujących się w odległościach nadprzestrzennych i wpływania na nie nawet szybciej. Nie mogę zaprojektować kolejnego, szóstego mózgu. Dalsza miniaturyzacja napotkałaby przeszkodę w postaci zasady nieoznaczoności, natomiast większa złożoność oznaczałaby niemal natychmiastowy jego rozkład.

Pelorat zdawał się autentycznie poruszony.

— Ależ, Daneel, Gaja na pewno potrafi sobie radzić bez ciebie. Teraz, kiedy Trevize wybrał Galazię… — Ten proces trwał po prostu zbyt długo, proszę pana — powiedział Daneel, jak zawsze nie zdradzając żadnych emocji. — Musiałem czekać, aż — mimo różnych nieprzewidzianych trudności — zostanie ustanowiona Gaja w pełnej postaci. Kiedy znaleziono odpowiedniego człowieka — pana Trevizego — który mógł podjąć kluczową decyzję, było już za późno. Proszę jednak nie myśleć, że nie podjąłem żadnych środków, aby przedłużyć

sobie życie. Ograniczyłem stopniowo swoje działania, oszczędzając siły na wypadek jakiejś krytycznej sytuacji. Kiedy nie mogłem już polegać na bezpośrednich środkach utrzymania sytemu Ziemia — Księżyc w izolacji, uciekłem się do środków pośrednich. Zacząłem ściągać tu, jednego po drugim, człekokształtne roboty, które pomagały mi w moim dziele. Trwało to przez wiele lat. Ostatnim zadaniem każdego z nich było zniszczyć wszelkie wzmianki na temat Ziemi znajdujące się w archiwach planet, z których wracały tutaj. A beze mnie i moich towarzyszy robotów jako podstawowych narzędzi ustanowienie Galaxii zajmie Gai niezmiernie dużo czasu.

— I wiedziałeś o tym wszystkim, kiedy podejmowałem swoją decyzję? — spytał Trevize.

— Dużo wcześniej, proszę pana. Gaja oczywiście nie.

— A więc jaki był sens tej całej szarady? — spytał ze złością Trevize. — Co to wszystko dało? Od czasu, kiedy podjąłem tę decyzję, latałem jak głupi po całej Galaktyce, szukając Ziemi i tego, co uważałem za jej tajemnicę — nie wiedząc, że to ty jesteś tą tajemnicą — żebym mógł potwierdzić słuszność tej decyzji. No dobrze, potwierdzam, że była właściwa. I co z tego? Teraz, kiedy wiem, że utworzenie Galaxii jest absolutnie konieczne, okazuje się, że wszystko na darmo. Dlaczego nie zostawiłeś Galaktyki jej, a mnie mojemu losowi?

— Dlatego, proszę pana, że szukałem jakiegoś wyjścia i działałem w nadziei, że może uda mi się je znaleźć. Myślę, że znalazłem. Zamiast zastępować swój mózg kolejnym mózgiem pozytronowym, co byłoby niepraktyczne, mogę połączyć go z mózgiem ludzkim. Trzy prawa robotyki nie mają wpływu na ludzki mózg, dzięki czemu nie tylko zwiększy się pojemność mojego mózgu, ale zyskam także zupełnie nowe możliwości. Dlatego was tu sprowadziłem.

Trevize spojrzał na niego z przerażeniem.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar włączyć mózg ludzki do swojego? Czyżby mózg ludzki tak już stracił swój jednostkowy charakter, że możesz skonstruować dwumózgową Gaję?

— Tak, proszę pana. Nie zapewni mi to nieśmiertelności, ale może da jeszcze tyle życia, bym mógł ustanowić Galaxię.

— I po to mnie tu sprowadziłeś? Chcesz, żeby moja niezależność od trzech praw i zdolność trafnego wydawania sądów stały się twymi, i to za cenę utraty mojej indywidualności? … Nic z tego!

— Powiedział pan chwilę temu, że utworzenie Galaxii jest niezbędne dla dobra ludzkości…

— Nawet jeśli tak jest, to utworzenie Galaxii nie szybko nastąpi, a ja przez całe swoje życie pozostanę niezależną jednostką. Z drugiej strony, gdyby Galaxia została utworzona szybko, to utrata indywidualności stałaby się zjawiskiem na skalę galaktyczną i moja

osobista utrata byłaby tylko drobną cząstką niewyobrażalnie dużej całości. Jednakże nigdy nie zgodzę się poświęcić swojej niezależności, jeśli reszta ludzi zachowa swoją.

— A więc jest tak, jak myślałem — powiedział Daneel. — Pana mózg nie połączyłby się dobrze z moim, a poza tym może się bardziej przydać, jeśli zachowa niezależność sądu.

— A zatem zmieniłeś zdanie? Powiedziałeś, że sprowadziłeś mnie tutaj w celu połączenia mózgów. — Tak, i udało mi się to tylko dzięki maksymalnej mobilizacji moich bardzo już wątłych sił. Mimo to, kiedy powiedziałem, że sprowadziłem was tutaj, miałem na myśli nie tylko pana, lecz was wszystkich.

Pelorat wyprostował się sztywno na swoim krześle.

— Tak? — spytał. — Wobec tego powiedz mi, Daneel, czy połączony z twoim mózg ludzki miałby dostęp do wszystkich twoich wspomnień, z całych dwudziestu tysięcy lat, poczynając od czasów legendarnych?

— Oczywiście, proszę pana. Pelorat zaczerpnął głęboko tchu.

— Badanie ich starczyłoby na całe życie, a za to chętnie oddam swoją niezależność. Wyświadcz mi tę łaskę i pozwól, żebym połączył swój mózg z twoim.

— A Bliss? Co z nią? — spytał Trevize.

Pelorat zawahał się chwilę.

— Bliss to zrozumie — powiedział. — W końcu, po pewnym czasie, będzie jej lepiej beze mnie.

Daneel pokręcił głową.

— Pana propozycja, profesorze Pelorat, jest dla mnie zaszczytem, ale nie mogę jej przyjąć. Pana mózg jest już stary i, nawet po połączeniu z moim, nie przetrzymałby dłużej niż dwadzieścia, trzydzieści lat. Potrzebuję czegoś innego… Proszę spojrzeć! Wskazał ręką i powiedział: — Zawołałem ją z powrotem.

Bliss powracała w radosnym nastroju, podskakując lekko.

Pelorat poderwał się gwałtownie na nogi.

— Bliss! — krzyknął. — O nie!

— Proszę się nie niepokoić, profesorze — powiedział Daneel. — Nie mogę użyć do tego celu Bliss. Połączyłoby mnie to z Gają, a jak już wcześniej wyjaśniłem, muszę być niezależny od Gai.

— Ale kto w takim razie… — zaczął Pelorat.

Trevize, spoglądając na szczupłą postać biegnącą za Bliss powiedział:

— On cały czas chciał Fallom, Janov.

Bliss wróciła wyraźnie szczęśliwa.

— Nie mogłyśmy wyjść poza granice tej posiadłości — powiedziała — ale to wszystko bardzo przypomina mi Solarię. Fallom

jest oczywiście przekonana, że to Solaria. Spytałam ją, czy nie uważa, że Daneel wygląda inaczej niż Jemby — w końcu Jemby zbudowany był z metalu — na co odpowiedziała mi: „Niezupełnie". Nie wiem, co chciała przez to powiedzieć.

Spojrzała na Fallom, która w pewnej odległości od nich grała Daneelowi coś na flecie. Daneel z poważną miną kiwał głową do taktu. Docierał do nich cichy, ale wyraźny dźwięk miłej melodii.

— Wiedzieliście, że zabrała ze sobą flet, kiedy wychodziliśmy ze statku? — spytała Bliss. — Zdaje mi się, że nie szybko uda nam się oderwać ją od Daneela.

Odpowiedziało jej głuche milczenie, więc Bliss spojrzała na obu mężczyzn z niepokojem.

— Co się stało?

Trevize wskazał ręką na Pelorata. „Niech on to wyjaśni" zdawał się mówić ten gest.

Pelorat odchrząknął i powiedział:

— Prawdę mówiąc, Bliss, myślę, że Fallom zostanie z Daneelem już na stałe.

— Tak? — Bliss zmarszczyła się i zrobiła ruch, jakby chciała podejść do Daneela, ale Pelorat złapał ją za ramię. Powiedział:

— Bliss, kochana, nic nie poradzisz. On jest potężniejszy nawet od Gai, a poza tym, jeśli Galaxia ma się stać faktem, Fallom musi z nim zostać. Zaraz ci to wyjaśnię… Golan, proszę cię, popraw mnie, jeśli się w czymś pomylę.

Bliss słuchała wyjaśnienia w milczeniu, ale jej twarz wyrażała prawie rozpacz.

— Sama widzisz, jak to wygląda — powiedział Trevize, starając się przemówić jej do rozsądku. To dziecko jest Przestrzeńcem, a Daneel został zaprojektowany i skonstruowany przez Przestrzeńców. Fallom została wychowana przez robota i żyjąc w posiadłości równie pustej jak ta, nie znała nikogo oprócz robotów. Ma zdolność przetwarzania energii, której będzie potrzebował Daneel i będzie żyła trzysta, czterysta lat, co może wystarczy dla stworzenia Galaxii.

Bliss miała czerwone policzki i wilgotne oczy. Powiedziała:

— Podejrzewam, że ten robot celowo wytyczył nam taką trasę na Ziemię, abyśmy znaleźli się na Solarii i zabrali stamtąd dla niego jakieś dziecko.

Trevize wzruszył ramionami.

— Może po prostu skorzystał z nadarzającej się okazji. Nie sądzę, aby w tej chwili był na tyle silny, by z takiej odległości kierować nami jak kukiełkami.

— Nie. To było celowe. Postarał się, żebym się tak silnie przywiązała do tego dziecka, by je zabrać ze sobą zamiast zostawić na pewną śmierć na Solarii, żebym broniła je nawet przed tobą, kiedy

okazywałeś niechęć i niezadowolenie z faktu, że ona jest z nami.

— Może postępowałaś po prostu zgodnie ze wskazaniami gajańskiej etyki, a Daneel wzmocnił tylko trochę twoje postanowienie. Daj spokój, Bliss, nic tu nie zyskasz. Załóżmy, że mogłabyś zabrać Fallom ze sobą. Czy gdzie indziej byłaby tak szczęśliwa jak tu'1 Gdzie byś ją zabrała? Na Solarię, gdzie natychmiast, bez żadnych skrupułów zabito by ją; na jakiś gęsto zaludniony świat, gdzie czułaby się źle i w końcu umarła; na Gaię, gdzie usychałaby z tęsknoty za Jembym; w nie kończącą się podróż przez Galaktykę, gdzie każdy świat, koło którego byśmy przelatywali, wydawałby się jej Solarią? I czy znalazłabyś kogoś na jej miejsce, kto trzymałby Daneela przy życiu, dopóki nie zostanie utworzona Galaxia?

Bliss milczała ze smutkiem.

Pelorat wyciągnął do niej nieśmiało rękę.

— Bliss — powiedział — zaproponowałem Daneelowi, że połączę swój mózg z jego mózgiem, ale nie zgodził się, mówiąc, że jestem za stary. Wolałbym, żeby się zgodził, gdybyś mogła dzięki temu odzyskać Fallom.

Bliss ujęła jego dłoń i pocałowała ją.

— Dziękuję ci, Pel, ale byłaby to zbyt wysoka cena, nawet za Fallom. — Zaczerpnęła głęboko powietrza i spróbowała się uśmiechnąć. — Może kiedy wrócimy na Gaję, znajdzie się w globalnym organizmie miejsce na moje dziecko… Umieszczę „Fallom" w sylabach jego imienia.

Daneel, jak gdyby uświadomiwszy sobie, że sprawa została załatwiona, ruszył w ich kierunku, z Fallom podskakującą u jego boku. Fallom po paru krokach puściła się biegiem i znalazła się przy nich pierwsza. Powiedziała do Bliss:

— Dziękuję ci, Bliss, że przywiozłaś mnie z powrotem do Jemby'ego i że opiekowałaś się mną na statku. Zawsze będę cię pamiętać. — Potem rzuciła się jej w objęcia.

— Mam nadzieję, że zawsze będziesz szczęśliwa — powiedziała Bliss, ściskając ją. — Ja cię też będę pamiętać, kochanie — dodała i niechętnie ją puściła.

Fallom zwróciła się do Pelorata:

— Tobie też dziękuję, Pel, że pozwoliłeś mi czytać swoje książkofilmy. — Wreszcie, bez słów i po krótkim wahaniu, wyciągnęła cienką, dziewczęcą dłoń do Trevizego. Trevize ujął ją na chwilę.

— Powodzenia, Fallom — mruknął.

— Dziękuję państwu — powiedział Daneel — za to co, każde na swój sposób, zrobiliście. Możecie teraz swobodnie wracać, gdyż wasze poszukiwania zakończyły się. Jeśli chodzi o moją pracę, to teraz też zostanie dość szybko i z powodzeniem zakończona.

Ale Bliss powiedziała:

— Chwileczkę, jeszcze niezupełnie skończyliśmy. Nie wiemy, czy Trevize nadal uważa, że właściwą przyszłością dla ludzkości jest, w przeciwieństwie do wielkiego zbiorowiska izoli, Galaxia.

— Chwilę temu postawił sprawę jasno, proszę pani — powiedział Daneel. — Powziął decyzję na korzyść Galaxii.

Bliss zacisnęła usta.

— Wolałabym to usłyszeć z jego własnych ust. Trevize, który to ma być model?

— A który chcesz, Bliss? — spytał spokojnie Trevize. — Jeśli opowiem się przeciw Galaxii, będziesz mogła zabrać Fallom.

— Jestem Gają — powiedziała Bliss. — Muszę poznać twoją decyzję i powody, dla których ją podjąłeś, tylko po to, żeby znać prawdę i nic więcej.

— Niech pan jej powie — rzekł Daneel. — Pana umysł, z czego Gaja zdaje sobie sprawę, jest nietknięty.

— Zdecydowałem na korzyść Galaxii — powiedział Trevize. — W tym względzie nie mam już żadnych wątpliwości.

104

Przez czas, który wystarczyłby, żeby spokojnie policzyć do pięćdziesięciu, Bliss stała bez ruchu, jak gdyby chciała, żeby informacja ta dotarła do każdej części Gai, a potem spytała:

— Dlaczego?

— Posłuchaj — odparł Trevize. — Od samego początku wiedziałem, że ludzkość ma przed sobą dwie możliwe wersje przyszłości: Galaxię lub Drugie Imperium, zgodnie z Planem Seldona. Wydawało mi się, że te możliwości wzajemnie się wykluczają. Że nie moglibyśmy mieć Galaxii, gdyby w Planie Seldona nie tkwił jakiś podstawowy błąd.

Niestety, nie wiedziałem o tym planie nic poza dwoma aksjomatami, na których się opierał, a mianowicie, że — po pierwsze — przedmiotem jego działania musi być odpowiednio duża liczba ludzi, aby można ich było traktować statystycznie jako grupę indywiduów wchodzących ze sobą w przypadkowe związki oraz że — po drugie — ludzie nie mogą znać rezultatów rozstrzygnięć psychohistorii, zanim nie zostaną one wprowadzone w życie.

Ponieważ już wcześniej podjąłem decyzję na korzyść Galaxii, czułem, że muszę podświadomie zdawać sobie sprawę z błędów w Planie Seldona i że błędy te muszą się kryć w owych aksjomatach, gdyż one były wszystkim, co wiedziałem o Planie. Jednak mimo to nie potrafiłem dostrzec w nich żadnego błędu. Wobec tego zacząłem szukać Ziemi, czując, że nie bez celu musi być otoczona taką tajemnicą. Musiałem się dowiedzieć, co to był za cel.

Nie miałem właściwie żadnego powodu, aby oczekiwać, że kiedy tylko znajdę Ziemię, znajdę też rozwiązanie mojego problemu, ale byłem tym tak pochłonięty, że nie mogłem myśleć o niczym innym… Być może pragnienie Daneela, aby mieć przy sobie dziecko solariańskie, też się przyczyniło do tego.

W każdym razie w końcu znaleźliśmy Ziemię, a potem Księżyc, i Bliss wykryła umysł Daneela, który on, oczywiście, specjalnie kierował ku niej. Opisała go jako istotę myślącą, która nie jest ani człowiekiem, ani robotem. Oceniając to z obecnej perspektywy, miała w pewnym sensie rację, gdyż mózg Daneela o wiele przewyższa mózgi robotów, które kiedykolwiek istniały, i z tej przyczyny nie może być określony jako po prostu mózg robota. Jednakże nie może być też określony jako mózg ludzki. Pelorat określił go jako „coś nowego” i to wyzwoliło „coś nowego” u mnie, nową myśl.

Tak jak dawno temu Daneel wraz ze swym kolegą opracowali nowe; czwarte prawo robotyki, które jest bardziej ogólne i podstawowe niż trzy pozostałe, tak ja nagle odkryłem nowy, trzeci

aksjomat psychohistorii, który jest bardziej ogólny i podstawowy niż pozostałe dwa, który jest tak podstawowy, że nikt nigdy nie zadał sobie nawet trudu, aby o nim wspomnieć.

A oto on. Dwa ogólnie znane aksjomaty dotyczą ludzi i opierają się na milczącym założeniu, że ludzie są jedynym gatunkiem istot myślących w Galaktyce i że przeto są jedynymi organizmami, których działania liczą się w społeczeństwie i w historii. To właśnie trzeci, nigdy nie sformułowany aksjomat — że w Galaktyce jest tylko jeden gatunek istot inteligentnych i że gatunkiem tym jest homo sapiens. Gdyby pojawiło się coś nowego, gdyby znalazły się inne gatunki istot inteligentnych, bardzo różniące się nawzajem od siebie i od nas, to matematyka psychohistorii nie byłaby adekwatnym narzędziem do opisu ich zachowań i Plan Seldona straciłby w ogóle znaczenie. Rozumiecie?

Trevize prawie się trząsł z emocji, starając się, aby go zrozumiano.

— Rozumiecie? — powtórzył.

— Tak — odparł Pelorat — ale jako advocatus diaboli…

— No co? Mów.

— Ludzie są rzeczywiście jedynymi istotami inteligentnymi w Galaktyce.

— A roboty? — powiedziała Bliss. — A Gaja?

Pelorat myślał przez chwilę, a potem rzekł z wahaniem:

— Od czasu zniknięcia Przestrzeńców roboty nie odegrały żadnej znaczącej roli w ludzkich dziejach. Gaja do niedawna też nie odgrywała ważnej roli. Roboty są dziełem ludzi, a Gaja jest dziełem robotów i zarówno roboty, jak i Gaja, w tym zakresie, w jakim krępują je prawa robotyki, nie mają wyboru i muszą się poddać woli ludzi. Mimo tych dwudziestu tysięcy lat pracy Daneela i długiego okresu rozwoju Gai jedno słowo Golana Trevizego, człowieka, położyłoby kres i tej pracy, i temu rozwojowi. Wynika zatem z tego, że ludzie są jedynym gatunkiem istot myślących w Galaktyce i psychohistoria nadal zachowuje ważność.

— Jedynym gatunkiem istot myślących w Galaktyce — powtórzył wolno Trevize. — Zgadzam się. Ale mówimy tak dużo i tak często o Galaktyce, że zapominamy, iż Galaktyka to nie wszystko. Galaktyka to nie wszechświat. Są inne galaktyki.

Pelorat i Bliss poruszyli się z niepokojem. Daneel słuchał z powagą, gładząc wolno Fallom po głowie.

— Posłuchajcie dalej — powiedział Trevize. Tuż obok Galaktyki znajduje się Obłok Magellana, gdzie nigdy nie zagłębił się żaden ludzki statek. Za nim są inne, małe galaktyki, a nie tak daleko od nas znajduje się galaktyka Andromedy, większa od naszej. Za nią miliardy innych galaktyk.

W naszej galaktyce rozwinął się tylko jeden gatunek istot na tyle inteligentnych, że potrafiły stworzyć społeczeństwo dysponujące techniką, ale co wiemy o innych galaktykach? Nasza może być nietypowa. W niektórych innych, a może nawet we wszystkich, może istnieć wiele rywalizujących ze sobą gatunków, z których każdy może być dla nas niezrozumiały. Może zajmuje je właśnie ta wzajemna walka, ale co się stanie, jeśli w którejś galaktyce jeden gatunek zdominuje pozostałe i będzie miał czas, żeby zastanowić się nad możliwością spenetrowania innych galaktyk?

Ujmując to z punktu widzenia nadprzestrzeni, Galaktyka jest punktem — podobnie wszechświat. Nigdy nie odwiedziliśmy żadnej innej galaktyki i, o ile nam wiadomo, żadne istoty inteligentne z innej galaktyki nie odwiedziły naszej, ale ten stan rzeczy może się któregoś dnia skończyć. Jeśli pojawią się najeźdźcy, to na pewno znajdą sposoby zwrócenia jednych ludzi przeciw drugim. Dotąd nie musieliśmy walczyć z nikim innym, jak tylko ze sobą nawzajem, tak że jesteśmy przyzwyczajeni do krwawych sporów. Najeźdźca, który znajdzie nas podzielonych, zdominuje nas wszystkich albo zniszczy. Jedynym skutecznym środkiem obrony jest Galaxia, której nie będzie można zwrócić przeciw samej sobie i która będzie mogła stawić czoło najeźdźcom z maksymalną siłą.

— Obraz, który malujesz, jest przerażający powiedziała Bliss. — Czy starczy nam czasu, aby utworzyć Galaxię?

Trevize spojrzał w górę, jak gdyby chciał przebić wzrokiem grubą warstwę skały oddzielającą go od powierzchni i od przestrzeni, jak gdyby chciał ujrzeć te odległe galaktyki, przemierzające wolno niewyobrażalny ogrom przestrzeni.

— Z tego, co wiemy, w całych dziejach ludzkości nie zdarzyło się ani razu, aby zaatakowały nas jakieś inne inteligentne istoty. Wystarczy, jeśli ten stan potrwa jeszcze kilkaset lat, może trochę dłużej niż jedną tysięczną tego okresu, przez który istnieje cywilizacja, abyśmy byli bezpieczni. W końcu — tu Trevize poczuł nagle pewien niepokój, ale zmusił się, aby się z niego otrząsnąć — na razie nie ma tu jeszcze żadnych nieprzyjaciół.

Nie spojrzał w dół, aby nie spotkać zamyślonych oczu Fallom — istoty odmiennej, hermafrodyty, posiadającego moc przetwarzania i przekazywania energii — które spoczęły na nim.

KONIEC